

Lena Najdecka

RODZINA WENCIOŁÓW



UKŁAD

Witajcie w świecie, w którym każdego można podsłuchać,
skontrolować, nagrać. I na każdego coś znaleźć...

Prolog

Z drzemki wyrwał go stłumiony dźwięk. Zdawał się dochodzić z zewnątrz, z podwórka. Brzmiał tak, jakby ktoś stuknął prętem o coś twardego: mur, może asfalt.

Mimo że raptownie obudzony, nawet nie drgnął, wsłuchując się w otaczające go odgłosy, wyostając zmysły do ponadnaturalnych niemal możliwości.

W przedślonku miarowo pochrapywał pies. Spał. A przecież, w razie czego, zbudziłby się...

Z kuchni dochodził warkot lodówki – prawie czterdziestoletniego mińska. Poza tym nic. Cisza. Mijały minuty, lecz dźwięk się nie powtórzył.

Ogarnęły go wątpliwości. Może tylko mu się śniło?

Po lekach, które zażywał, niczego nie mógł być pewien. Sen był po nich czarny i kleisty jak smoła. Ciężko było się z niego wygrzebać, a jeszcze trudniej odróżnić majaki od rzeczywistości.

Wciąż tkwił nieruchomo, nastawiając uszu. Bezgłośnie grał telewizor, jego trupio niebieskawe światło pełzało po lakierowanych powierzchniach mebli. Która to mogła być godzina? Sądząc po starym gównie, które nadawali, późna...

A więc znów zasnął na wózku... Coraz gorzej z nim. Kiedyś rzadko mu się to zdarzało. Noce spędzone na czuwaniu odsypiał w dzień. Ale wtedy nie musiał jeszcze łykać tyłu prochów.

Oddychał teraz równomiernie, starał się uspokoić. Nadal wyęczał słuch, ale niczego już nie wyłowił. Chyba jednak fałszywy alarm.

Ostrożnie podjechał do szczelnie zasłoniętego okna. Dłuższą chwilę siedział niezdecydowany. A jeżeli rzeczywiście tam byli? Lepiej siedzieć cicho czy... Przyczajony, tkwił za kotarą, pocierając zeszywniałe dłonie.

Od nieszczelnego okna ciągnęło zimno. Przez głowę przemknęło mu, że trzeba by je czymś okleić.

No i niebawem znów zacząć palić w piecu. Tylko patrzeć, jak przyjdą mrozy.

Miał schowane sto złotych na zakup opału, ale trudno mu teraz będzie znaleźć wykonawcę podobnego zlecenia. Od czasu „wypadku” omijali go jak trędowatego. Fakt – nigdy nie był towarzyski. Wcześniej też nie. Pogardzał barachłem, które tutaj mieszkało. Czy teraz tego żałował?

Nie. Właśnie sytuacja, w której się znalazł, doskonale dowiodła, że wszyscy oni byli diabła warci.

Teraz, kiedy na własnej skórze się przekonał, do czego strach doprowadza ludzi, nie zdziwią go już żadne wojenne historie o najdzikszych okrucieństwach.

Ci tutaj też zdolni byliby do najgorszego. Z łatwością wyobrażał ich sobie wydających dzieci, starców, ciężarne... Byle ratować własne dupy. A i zarobić parę srebrników. Tfu.

Nie, nie wyjrzy. Musi całkowicie zaciemnić pomieszczenie.

Skrzypiąc wózkiem, podjechał do telewizora i wcisnął wyłącznik. Pudło zgasło z głośnym stęknieniem. Roki wstał. Otrzeptał się hałaśliwie, po czym, mrużąc z niezadowoleniem, ruszył w stronę pana, stukając pazurami o linoleum. Mężczyzna pogłaskał zmierzwiiony łeb zwierzęcia, w ciemności ominął pluszowy fotel i znów zatrzymał się koło okna. Chwilę siedział nieruchomo. A jednak mu się zdawało. Pies, choć stary, wyczułby ich na pewno. Już by jazgotał.

Teraz, kiedy zgasił telewizor i pokój pogrążył się w zupełnej ciemności, delikatnie uchylił zasłony.

Ciemno, ponuro, wietrznie. W świetle betonowej ulicznej latarni widoczne ogrodzenie i furtka. Za nią ulica. Dalej szeroki, usiany gównami trawnik i ściana bloków. Prawie wszystkie

okna wygaszone. Ani żywej duszy. Od ulicy nikogo. Ale i tak bardziej prawdopodobne, że zachodziliby od tyłu, od pola. Po dachu komórki na drewno można się wspiąć bez większego problemu. Potem wystarczy zeskoczyć. Nie musieliby nawet specjalnie się kryć.

Wiedzieli, że nikt z sąsiadów nawet nosa za drzwi nie wyściubi. Stara Chodyrowa miała synalka na warunkowym. Wystarczyło jedno słowo pana Wędzichy, a posadziliby przyszczatego sukinsyna z powrotem. Stara nie będzie ryzykować. W zasadzie trudno było jej się dziwić. A jeśli chodziło o tego dziadygę z drugiego piętra, to też nie mieli powodów do obaw. Choćby pół osiedla wyrzynali, tamten słowa nie piśnie. Wredny skurwiel z lisim uśmiechem był pewnie teraz w siódmym niebie.

Dawniej łachmyta mu zazdrościł. Wykształcenia, roboty, pieniędzy. Teraz popatrywał szyderczo, wręcz triumfalnie. Teraz ta jego licha emerytura to fortuna w porównaniu z głodową rentą inwalidzką. Załatwioną zresztą przez nich. Jemu przecież nie pozwolili oddalać się od domu, a co dopiero jechać do urzędu miejskiego. Mógł jeździć co najwyżej do pobliskiego sklepu i apteki na końcu ulicy.

Nie raz, nie dwa dziadygę przyfilował, jak wracając z zakupami i widząc ich w aucie, kłaniał się w pas. Gorliwie, uniżenie. Niżej niż pieprzony stary ubek z bloków naprzeciwko.

Nawet ten ubek miał więcej godności. No i zapewne opłacali go sowicie. Dlatego, kutas, nie odchodził od firanki. Obserwował go dzień i noc.

Cofnął się od okna i znów bezszelestnie ruszył wózkem w głąb pokoju. Minął stół, meblościankę z telewizorem i dotarł do wysokiego kaflowego pieca. Wziął do ręki ciężki pogrzebacz i ułożył go sobie na kolanach, a następnie skierował się do kuchni.

Kuchnia i ubikacja wychodziły na wewnętrzne podwórko, lecz okna były wysoko pod sufitem. Poza jego zasięgiem. Gdyby mieli wleźć do środka, będzie miał tylko tę przewagę, że zobaczy ich pierwszy...

Rąbnie pogrzebaczem, ile sił i niech się dzieje, co chce.

Nie da się zaskoczyć. Nie pójdzie im łatwo, choć myślą, że jest bezbronny. Wiedzą, że nie ma do kogo się zwrócić.

W sklepie boją się nawet na niego patrzeć. Kasjerka, matka małych dzieci, prawie nie podnosi na niego oczu. Ma kobiecina pietra. Listonosz, niby wielki chłop, a też zawsze umyka wzrokiem. Wciska mu rentę i czym prędzej gna na pierwsze. Trzęsąca się kupa gówna, nie człowiek! Raz chciał go przekonać, by wysłał mu list do ministerstwa. Tamten najpierw bronił się rękami i nogami, w końcu skrajnie przerażony huknął na niego, by mu dupy nie zawracał i żeby sam pojechał na pocztę.

Ale jechać na pocztę już więcej nie zamierzał. Dwie niewładne kończyny w pełni wystarczyły, by zniechęcić go do jakiegokolwiek ryzyka. Czy bardzo się bał? Owszem, bał się. Przecież jakby co, to pies z kulawą nogą się o niego nie upomni.

W końcu jakiś urzędnik odnotuje, że coś nie gra. Ot, choćby renta. Będzie wracała renta. Ale zanim kogoś tu przyślą, on zdąży już zgnić w lesie.

Nie to, żeby uparcie czepiał się życia, ale miał do zrealizowania jeszcze jedną misję.

Pograć starego, wszechwładnego skurwysyna. Dostać się do dokumentów, które uprzednio zadekował i pograć go na amen. Jego i tego młodego. Najbardziej oślizgłą kanalię, jaką zdarzyło mu się spotkać.

Przymknął oczy, po raz setny rozważając swoje nikłe możliwości, gdy od strony ogrodu znów rozległ się głośny dźwięk, tym razem jakby pies przeciągnął łańcuchem po metalowej misce.

Tyle że nikt tutaj nie trzymał na zewnątrz psa.

Teraz Roki zbliżył się, głucho warcząc. Zjeżony, postąpił parę kroków w stronę kuchni

i wydał kilka głośnych szczeknięć.

A jednak. Nie zdawało mu się. Szli tutaj. Serce zaczęło mu mocniej bić, w uszach szumiało. Zdążył tylko chwycić pogrzebacz oburącz, gdy rozległ się potworny huk i brzęk tłuczonego szkła, po którym mimowolnie cały się skulił.

W pierwszej sekundzie nie miał pojęcia, co się w ogóle stało, ale już po chwili zrozumiał, że ktoś wybił kuchenną szybę. Pałą? Cegłą? Kamieniem?

Zbili szybę, by go postraszyć, czy wejdą do środka?

Zastygł w bezruchu, nadsluchując i kurczowo ściskając pogrzebacz.

Skompromitować Pawła Wencła

Robert Zagajewicz, wieloletni partner kancelarii prawniczej Wencel, Zagajewicz i Zybort, spacerował niczym tygrys po klatce, tam i z powrotem, przed wejściem do warszawskiego biurowca Ujazdowski Crescent – siedziby sieciówki Guy et Chardon. Czatował tam na Mirosława Kwaśniaka. Chciał zaskoczyć go pod biurem. Wyelegantowany, z rękami wbitymi w kieszenie prochowca, starał się zachować fason nawet w tak krępującej sytuacji. Co chwilę poprawiał lśniące, półdługie włosy i ze zniecierpliwieniem spoglądał na zegarek, udając Bóg tylko wie przed kim, jakoby miał tu z kimś umówione spotkanie.

W końcu dostrzegł wysoką postać Kwaśniaka, czujnie przechodzącego przez ulicę. Natychmiast ruszył w jego kierunku. Zamierzał go zaskoczyć. Rozmówić się z nim, jakos postraszyć...

Kwaśniak sprawiał wrażenie, jakby na jego widok zamierzał odwrócić się na pięcie i zwiać, ale po chwili wahania opanował się i z chmurną miną zbliżył do Roberta.

– Hmmm, witaj, Robert, miło cię widzieć. Szkoda, że nie zadzwoniłeś, chłopie. Lecę na spotkanie, jestem cholernie zajęty. – Jego wzrok ślizgał się po twarzy Zagajewicza i wciąż uciekał w stronę wejścia do biurowca.

– Stary, nie dam się splawić, nie licz na to! – Robert bezskutecznie usiłował nadać swojemu głosowi złowieszczą nutę.

– Przyjacielu, ja tu pracuję. Ludzie się gapią. Robisz widowisko! – Kwaśniak rozglądał się z oburzeniem, by w razie czego ktoś znajomy pomyślał, że został zaczepiony przez szaleńca.

– Nie ruszę się stąd! – zapowiedział Zagajewicz desperacko. – I gównu mnie obchodzi, że ktoś usłyszy! Niech się dowiedzą!

Przechodnie zerkali na nich ukradkiem. Jakiś wchodzący do budynku mężczyzna kiwnął Kwaśniakowi głową na powitanie. Ten zaśmiał się teatralnie, jakby Zagajewicz opowiedział mu pyszny dowcip, klepnął go po plecach i lekko popychając, skierował w stronę pobliskiej kawiarni. Minęło ich kilka spieszących do biura osób. Wszystkim im Kwaśniak kłaniał się niemal przesadnie, plotąc do Zagajewicza jakieś bzdury na temat korków w stolicy.

Zagajewicz, nieobojętny na własny wizerunek, zdołał nieco ochłonąć. Gdy weszli do lokalu, zajął miejsce oddalone od innych i podrygując kolaniem, ze zniecierpliwieniem czekał na Kwaśniaka, który najwyraźniej nie palił się do podjęcia rozmowy. Tkwił przy barze, przeciągając kwestię wyboru syropu do kawy. W końcu zasiadł przy stoliku, zamieszał latte i westchnął.

– A wiesz, stary, nawet dobrze, że wpadłeś. Nie mieliśmy rano z Joasięnką czasu napić się dobrej kawy. – I z lubością wciągnął nosem przyjemny zapach.

– Stary – zaczął Zagajewicz, ledwo się hamując – czy ty w ogóle rozumiesz, w co mnie wrobiłeś?

– Ja? – Kwaśniak był autentycznie zdumiony. – Ciebie?

W geście bezradnej wściekłości Robert Zagajewicz prasnął się dłońmi po udach i opadł na oparcie.

– Wspominałeś, że na spółce, którą kupił twój klient, był dług. – Kwaśniak upił maleńki łyk kawy i z szeroko otwartymi oczami obserwował rozmówcę.

Zagajewicz wielokrotnie projektował tę rozmowę w myślach. Udreka ostatnich dni doprowadzała go do takiego stanu podniecenia umysłowego, że do białego rana nie mógł usnąć, wyobrażając sobie, jak przypiera Kwaśniaka do muru – albo intelektualnie, albo uciekając się do przemocy fizycznej. Jednak teraz, postawiony wobec oczywistej bezczelności, nie był w stanie wygłosić tej tak starannie układanej tyrady potępieńczej. Chowany w cieplarnianych warunkach przez ojca, który zawsze podtykał mu klientów, zapewniając niejako byt, rozpieszczany przez

wszystkie kobiety jego życia, z matką na czele, nigdy do tej pory nie musiał walczyć o swoje, więc teraz czuł ogromny żal do losu, że poddał go takiej próbie. Co innego myśleć o konflikcie, a co innego stawić mu czoło w rzeczywistości. Zwłaszcza jeśli do tej pory wszystko zwykł załatwiać polubownie.

– Nie „jakiś tam” dług. Osiem pieprzonych baniek. – W duchu sam już karcił się za to, że nie zabrzmiało to wystarczająco groźnie.

– Poważna sprawa. – Kwaśniak był przejęty, wręcz oburzony. – Coś takiego. Kto by pomyślał... No, ale szczerze mówiąc, dziwi mnie, że nie posprawdzaliście kwitów, stary. Od tego są prawnicy...

– Człowieku, mówisz, jakbyś nie brał w tym udziału – wybuchnął Zagajewicz. Jeśli ta menda myśli, że się z tego wywinie...

– Robson, stary, ja cię bardzo lubię i naprawdę współczuję, że jesteś po uszy w szambie, ale, przyjacielu, kategorycznie wypraszam sobie takie insynuacje. – Kwaśniak odchylił się na oparcie i obserwował Zagajewicza surowo.

– Stary... – Resztki kindersztuby spływały z Zagajewicza wraz z zimnym potem. Zamierzał być powściągliwy i starannie dobrać słowa, tymczasem z trudem tłumiąc przekleństwa, wrzasnął głośno, tak, że wszyscy obrócili się w ich kierunku. – Naraileś mi tę spółkę! Nalegałeś na szybki zakup! Byłeś pośrednikiem i inicjatorem! Musiałeś wiedzieć, że są zadłużeni! Mam na to dowód!

– No, co masz, gnojku? No, co masz? – wysyczał Kwaśniak złowieszczo. Oczy załśniły mu wyzywająco, twarz wykrzywiła się w pogardliwym grymasie, jakby opadła z niej maska i na moment ukazała się ta prawdziwa, do tej pory przez Zagajewicza nieoglądana.

– Twój przelew bankowy. Honorarium za podsunięcie im feralnej spółki. Ciekawe, ileś ty od nich dostał za wciśnięcie komuś tego gówna?! – Zagajewicz drżącymi rękami szukał papierosa po kieszeniach. Ostatnio mocno się „rozpalił”, zresztą w zaistniałej sytuacji nawet Marzena przestała mu to wypominać.

– Chłopie. – Kwaśniak uśmiechał się „po staremu”, zdoławszy się nieco opanować. – Zanim wyskoczysz z oskarżeniami, lepiej posprawdzaj, co i jak, bo napytasz sobie jeszcze większej biedy. Gwarantuję ci, że na twoim koncie nie widnieje żaden przelew ODE MNIE. Po prostu nie ja ci go zrobiłem. Tyle. Sprawdź, a się przekonasz...

– Mam na ciebie dowody, gadaliśmy, mam od ciebie papiery tamtej spółki. – Zagajewiczowi zdawało się, że w pomieszczeniu zaczyna brakować tlenu.

– Przekazałem papiery spółki na sprzedaż, to żadna zbrodnia! Pośrednictwo, mój drogi! Stary, wiesz, że cię lubię, ale wszystko ma swoje granice. – Kwaśniak z lekka tracił cierpliwość.

– Nie rzucaj bezpodstawnych oskarżeń, zwłaszcza po tym, jak wykrzyczałeś mi tutaj, prawie przy świadkach, iż przyjąłeś jakiś przelew, a innymi słowy: korzyść majątkową, za doradzenie własnemu klientowi kupna spółki, na której, jak mi w dodatku mówisz, był dług. Za to grozi kryminał, stary!

Zagajewicz wyjął z kieszeni buteleczkę z lekarstwami, drżącą ręką wydłubał dwie pastylki i połknął łączywie. Usiłował przypomnieć sobie chronologię wydarzeń i znaleźć jakiś punkt zaczepienia, jakieś miejsce, w którym ktoś by ich widział czy byłby świadkiem ich rozmów, lecz w głowie miał pustkę. Jeżeli faktycznie przelew przyszedł z konta, które nie należało do Kwaśniaka... A w zasadzie to jasne, że Kwaśniak nie był na tyle głupi, żeby przelać z własnego...

Nie miał więc żadnego straszaka na tego skurwysyna. Straszaka, bo przecież do sądu i tak by z tym nie poleciał. On – Robert Zagajewicz – przyjął korzyść majątkową, to fakt, ale dowodu na to jeszcze nie ma. Nie ma nikt, nawet przebrzydły, zarozumiały Paweł.

A właśnie, Paweł. Ostatnia deska ratunku.

– Moment, moment – zagaił znów, widząc, że Kwaśniak zbiera się do odejścia. – Jest jeszcze jedna kwestia.

Kwaśniak, zniecierpliwiony, szukał czegoś w otwartej aktówce.

– Mów więc szybko, mam dziś rozprawę.

– Jeśli myślisz, że wyjdiesz z tego bez szwanku, a mnie udupisz, to się grubo mylisz...

– Ach tak? – Kwaśniak kiwnął kelnerce głową, aby przyniosła rachunek.

– A tak. Rozmawiałem wczoraj z Pawłem.

Zaległa cisza. Kwaśniak powoli zamknął teczkę i podniósł na Zagajewicza rozgniewany wzrok.

– No i co z tego?

– Jest pełnomocnikiem Budexprimu. Chcą mnie obciążyć na te osiem baniek.

Kwaśniak rozłożył ręce i pokręcił głową, jakby mówiąc: „A co mi do tego?”, po czym podniósł teczkę i wstał.

– Ale on na tym nie poprzestanie. Powiedział, że dojdzie do sedna sprawy. Paweł Wencel wie, że to ty za tym stoisz. – Robert wreszcie znalazł papierosa w bocznej kieszeni płaszcza i natychmiast go zapalił.

Kwaśniak milczał chwilę, jakby się wahał. Nie wyglądało na to, że informacja zrobiła na nim wielkie wrażenie. Jednak z powrotem przysiadł na brzegu krzesła i po chwili namysłu wysyczał:

– Wydawało mi się, iż cię ostrzegałem, byś nie próbował wciągać mnie do szamba, w które wpadłeś? Jeszcze raz usłyszę coś o tej sprawie, a udam się do stosownych organów i przedsięwzmę odpowiednie kroki. Zrozumiałeś? Nie nachodź mnie, nie nękać, bo złożę zeznanie w prokuraturze.

– Nie próbuj mnie zastraszyć, bo ja i tak będę miał sprawę w prokuraturze, już Wencel się o to postara. – Robert przymknął oczy i głęboko zaciągnął się dymem. – Ja się już tego nie boję! Chcę ci tylko powiedzieć, że jedziemy na tym samym wózku, bo jak Paweł się do kogoś dobierze, to mu nie odpuści. I wiem, Mirek, że to ciebie, a nie mnie ma na celowniku...

– Jak mam to rozumieć? Szantażujesz mnie? – Dłoń Kwaśniaka zacisnęła się na szklance z kawą. – Chyba ci tłumaczyłem, byś nie próbował więcej mieszać mnie do tego! Lecisz na dno i próbujesz uczciwego człowieka wciągnąć ze sobą w przepaść?! Zgarnąłeś łapówkę i jeszcze przyznałeś się do tego współnikowi, konfabulując, iż to ode mnie? Jesteś więc głupszy, niż myślałem! A ja chciałem z tobą budować nową kancelarię! O ja naiwny!

– Nic takiego mu nie mówiłem, nie jestem idiotą! – Zagajewicz był cały czerwony. – Nie w moim interesie byłoby kierować uwagę na ciebie, wiemy o tym obaj! On sam wie, że to ty, jest o tym wręcz przekonany! Nie wiem, skąd wie, ale wie. Rozumiesz? Powiedział mi o tym.

– Tego już za wiele! Zaraz udam się w stosowne miejsce – zagroził Kwaśniak dygoczącym głosem.

– Nie ja mu to podsunąłem! Przecież wiesz doskonale! – Zagajewicz poczuł się nieco raźniej, widząc, że nie on jeden jest tutaj przerażony. – Za to powiem ci coś! Znam Wencla od lat i nie ma zacieklejszego sukinsyna niż on! Jak ktoś nadeptnie mu na odcisk, to Paweł będzie go potem tropił, choćby sam siebie miał przy tym pogrzebać! Aż dopadnie. Kiedyś wygrał sprawę nie do wygrania, bo tropił tamtych facetów jak cień! I wiem, że zagiął parol nie na mnie, ale na ciebie!

Kwaśniak zmarszczył brwi, dopił kawę do ostatniej kropli, zostawił Zagajewiczowi równo, co do grosza, swoją część rachunku i dziarsko opuścił lokal. Musiał być jednak przejęty, bo gdy przechodził na drugą stronę ulicy, wpadł na jakąś kobietę. Kartki z jego teczki rozsypały

się, sunęły po jezdni, fruwały na wietrze.

Zagajewicz westchnął ciężko, zwichrzył sobie włosy, a następnie uładził, przeczesując palcami. Skierował wzrok na kelnerkę. Musiał, po prostu musiał strzelić sobie setkę.

Wychylił dwa kieliszki czystej. Po chwili sprawa zmieniła nieco perspektywę, zaczęła wyglądać lepiej. Po pierwsze, nadal miał na koncie swoje dwieście tysięcy, prawie nienaruszone (wprawdzie hucznie oblał wziętkę po feralnej transakcji, ale na kolację nie poszło więcej niż marne parę tysi). Po drugie, jak na razie, Paweł nie wygrał z nim sprawy o działanie na szkodę klienta. Po trzecie, wykrycie pobrania, czyli tak zwanej korzyści majątkowej – tu Zagajewicz niespokojnie poruszył się na krześle i odruchowo przygładził włosy – było niemal niemożliwe. Jedyną osobą, która wiedziała, był Kwaśniak... A więc tu miał „trzymanie”. Nawet jeśli Kwaśniak puścił pieniądze z obcego konta, pewnie z jakiegoś offshore’a^[1], to raczej nie będzie się tym nikomu chwalił... Po czwarte, on, Robert, zawsze będzie mógł się bronić, że dług był nie do wykrycia, a jak sędzia zacznie się upierać, zmieni się sędziego. Od czego ojciec ma kumpli w warszawskich sądach?

Myśl o ojcu była krzepiąca. Kochany staruszek nie dopuści, by stała mu się jakakolwiek krzywda. Jest umocowany jak mało kto. Co prawda ostro się poróżnili, gdy Robert opowiedział o całej sprawie. Ojciec lekko się zagotował. Ale pewnie zdążył już nieco ochłonąć, więc Robert mógł spokojnie do niego pojechać. Z wizytą, poradzić się... Ot, choćby zaraz. Idealnie się składało, albowiem do spotkania z Zybertem zostały trzy godzinki. Niech ojciec mu powie, co myśli o planie. Niegłupio będzie wysłuchać, co stary ma do powiedzenia. A nuż, widelec dorzuci coś od siebie. Co więcej, może już z kimś gadał i wiedział nieco więcej. Na przykład, czy Paweł rozmawiał już o pozwie przeciw Robertowi z dziekanem okręgowki.

Zapłacił, zostawiając suty napiwek i z galanterią opuścił lokal, nie szczędząc kelnerce śmiałych komplementów (był niewyspany i wypity na czczo alkohol mocno uderzył mu do głowy). Potem szedł Piękną, wypatrując taksówki (ryzykować prowadzenia po alkoholu nie zamierzał, a oszczędzać głupie sto złotych tym bardziej). Zimny październikowy wiatr rozwiewał mu włosy i studził rozpaloną głowę.

Zagajewicz nie był typem człowieka, który mógł się czymś długo trapić, tak więc, skonstruowawszy ten dość ogólnikowy plan zaradczy, postanowił nie martwić się na zapas. I mrugając zawiadaczająco do przechodzących uczennic, wsiadł do najwygodniejszej taksówki na postoju, choć była dopiero trzecia w kolejce.

Obszerny wóz mknął Kruczą, przeciął Aleje Jerozolimskie, potem pędził Nowym Światem. Październikowe słońce przezierало między kamienicami, oślepiając rozpartego na tylnym siedzeniu Roberta. W powietrzu tańczyły drobinki kurzu, w radiu spiker monotonnym głosem nadawał hiobowe wieści o przyszłości światowej gospodarki. Po straszliwym krachu na nowojorskiej giełdzie WIG 20 spadł o osiem procent. Zagajewicz ukrył twarz w dłoniach i zamknął oczy. Jeśli faktycznie ten skurwiel Paweł, do tej pory zwany przyjacielem, zlicytuje go i puści z torbami, on – Robert – przynajmniej będzie mógł rozpowiadać, że utracił majątek na giełdzie.

Minęli most Grota. Taksiarz, słysząc zza pleców cierpiętnicze westchnienia, zlitował się i zmienił stację. Rozległa się kojąca muzyka poważna. Zagajewicz z przyjemnością oddał się słuchaniu, odchylając głowę do tyłu i przyzymkając oczy.

A jednak coś dobrego wyniknęło z dzisiejszego spotkania z Kwaśniakiem. Sukinsyn ewidentnie się przestraszył. Widać to było po nim, choć próbował zgrywać cwaniaka. A więc instynkt nie zawiódł Zagajewicza. Korzystne było mieć Kwaśniaka po swojej stronie, bo jak się już Robert zdążył przekonać, tamten nie cofnie się przed niczym, byle tylko osiągnąć cel. Może więc sam weźmie się do Pawła?

Tymczasem samochód zajechał przed okazały dom rodziców. Licowany kamieniem, z wielospadowym, cynowym dachem, był zapewne sporo wart. Zafrasowany Zagajewicz dokonywał szybkich, gorączkowych obliczeń, otwierając kutą, żeliwną furtkę.

Ojciec przywitał go w progu z poważną miną, unikając synowskiego spojrzenia.

– Rozbierz się. Śniadanie jadłeś?

Robert ze zniecierpliwieniem kiwnął głową, szurając butami po wycieracze.

– Zdejmij buty. Sprzątane było.

Poszli prosto do kuchni, bo jak się okazało, matki i tak nie było w domu. Robert stanął przy oknie, pod łukowatym sklepieniem, przywodzącym na myśl tłusty okres transformacji. Oparł się o parapet, głowę odchylił do tyłu, jakby gotowy na rozstrzelanie. Marian Zagajewicz niespiesznie parzył zioła. Jak do tej pory nie zaszczycił syna ani jednym spojrzeniem. Robertowi wydawało się, że minęły wieki, zanim ojciec w końcu się odezwał:

– Tak jak ci zapowiedziałem, wczoraj rano pojechałem do Izby. Widziałem się z Paluchem. Niestety, sprawa JEST poważna. Nie będę już wnikał w to, co mi powiedział, bo nie chcę cię dobijać. Wiedz tylko, że Paweł Wencel złożył na ciebie zawiadomienie dyscyplinarne, jakobyś działał na szkodę klienta. Jest to sprawa naruszenia etyki zawodowej. W grę wchodzi gigantyczna suma pieniędzy. – Rzucił synowi zimne, ostre spojrzenie. – Nie wiem, jak się z tego wyliziesz, chłopie...

– W sądzie Wencel nigdy mi nie udowodni, że działałem na szkodę klienta! – buńczucznie wykrzyknął Robert. – Nawet Duch Święty by się do tego zobowiązania nie dogrzebał. Działalem według swej najlepszej wiedzy...

Umilkł speszony pod wzrokiem starego Zagajewicza.

– Zaleciłeś klientowi zakup spółki, bez zastrzeżeń, bez najmniejszego nawet warunku... Jak idiota – nie zdołał się pohamować ojciec, trzęsąc potężną głową. – Gdzie ty miałeś rozum?

Głowa wpadła mu w nerwowy tik i stał teraz tyłem do syna, usiłując się opanować.

– Do zarobienia były grube pieniądze. Działalem z zaufanym człowiekiem. Tylko pod takim warunkiem mogło dojść do zakupu! – dobiegł go histeryczny głos jedynaka.

– I nie zastanowiło cię to? – Ojciec obrócił się na pięcie i zmroził syna spojrzeniem. Do diabła, ten fanfaron był wyelegantowany jak na wesele. Za co Bóg pokarał go takim bezmyślnym... Czuł, jak skacze mu ciśnienie. Znów usłyszał podniesiony głos Roberta:

– Mówię ci, że człowiek, z którym to robiłem, był pewny jak opoka, partycypował w tym...

– No i co wynikło z dzisiejszej rozmowy? Postraszyłeś go, jak ci mówiłem?

– On zrobił mi ten przelew z obcego konta... Tak więc... – Robert miętosił chwost sutej zasłony.

– Tak więc nic na niego nie masz? Ech... – Pogardliwie machnął ręką i szurając skórzanymi pantoflami, poczłapał do czajnika, by podlać zioła nową porcją wrzątku.

– Słuchaj... – Zagajewicz zerwał się i ruszył w jego kierunku, jakby chciał przerwać jakąś niewidzialną tamę, lecz wyciągnięta ręka ojca zatrzymała go w miejscu.

– Nie, to ty posłuchaj – tamten wpadł mu w słowo. – Po pierwsze, nie rozumiem, jak mogłeś nie wiedzieć, od kogo przyszedł przelew, na miłość boską?! Nie sprawdziłeś nadawcy w wyciągu z konta? Dodatkowo ośmieszyłeś się dziś przed tym człowiekiem! Po drugie, co do dziekana, mam złą wiadomość. Niewiele tam wskóram, najpewniej czeka cię dyscyplinarka, więc radź sobie, jak umiesz. To nie moje pokolenie, nikogo tam nie znam i nie mam zamiaru robić z siebie błazna. Natomiast w sądzie ukręcę sprawie łeb. Jak trafi do Krzyżanowskiego czy Pietruchy – sprawę mamy załatwioną z miejsca. Znam ich obu lepiej, niżby sobie życzyli.

Gorzej, jeśli trafi do kogoś młodego. No, ale możemy ją przekierować, więc tak czy inaczej łatwo skóry na tobie nie złupi ten gruboskórny, podwarszawski... – obelżywe słowa uwięzły mu w wychudłej, obwisłej grdyce. Na chwilę zamilkł. Zapadła cisza. Jedynym dźwiękiem był odległy, miarowy odgłos piły tarczowej. Robert wbił wzrok w swoje skarpety. Nie mógł wprost znieść widoku tego wiecznie pomiatającego nim, starzejącego się, lecz nadal tak potężnego człowieka. Jakby z oddali znów dobiegł go jego pogardliwy, sztucznie złagodzony głos, przypominający łajanie niesfornego dziecka:

– Zaraz masz spotkanie z Zybtertem. Nie spieprz i tego. Musisz go przekabacić na swoją stronę. W ilości też siła – tłumaczył, wpatrując się w syna wylupiastymi oczami. – Powiedz mu, że wszyscy klienci ode mnie... – Tu na chwilę się zatrzymał, jakby coś go zastanowiło. – ...że wszyscy klienci ode mnie pójdą za tobą. I jemu zleć przekonanie aplikantów, by zostali z wami. Jemu! Nie rób tego sam! Niech im powie, że to wy zostajecie w lokalu. A o lokal niech was głowy nie boją. Jak pamiętasz, to ja załatwiłem wam tam czynsz w ramach rozliczeń z profesorem Grzybałą – ciągnął suchym jak wiór głosem, wypranym z wszelkich emocji. Robert czuł, że jeszcze chwila, a nie wytrzyma...

– Niech Wencel pakuje manatki i wyprowadza się z luksusowego lokalu, który wam załatwiłem. Umowa jest na mnie, więc w try miga ma go tam nie być... I zapewniam cię, że mimo ciężających na tobie podejrzeń załoga zostanie przy was. Zresztą większość klientów też. Szepnę słówko na mieście, rozpuszczę wici. Pies z kulawą nogą się przy nim nie ostanie. Niech obrabia bankruta Baranowskiego, któremu NOP depcze po piętach...

Zamilkł, zajęty odmierzaniem kawy do maszynki. Sypał łyżka po łyżce, pilnując, by nie uронić ani odrobiny.

– ...i napij się kawy. – Obrzucił Roberta krytycznym spojrzeniem. – Musisz wziąć się w garść.

Robert usiadł. Ojciec ustawił przed nim porcelanową filiżankę i małą srebrną cukiernicę, a łyżeczkę położył idealnie prostopadle do bambusowej maty. Potem poszedł do salonu i wpatrując się w okno, dodał jeszcze:

– Aha, i rozpuść w kancelarii plotkę, że o coś się poróżniliście... Niech pracownicy myślą, że cię pozywa, bo jest niepoczytalny, bo chce się za coś zemścić. Najlepiej podsuń, że ma to coś wspólnego z jego żoną. Wtedy wszyscy pomyślą, że to prawda, ale staną po twojej stronie, bo dojdą do wniosku, że pozywając ciebie, działa w afekcie. Że robi to z zemsty – mówiąc to ostatnie zdanie, zwrócił się w stronę syna, jakby niepewny, czy tamten rozumie, co się do niego mówi. – Wtedy stracą do niego szacunek jako do dobrego prawnika... Rozumiesz?

Stary Wencel rozmyśla

Ryszard Wencel, dostojny *pater familias*, był tego dnia przygnębiony. Niespokojnie krążył po swojej mazurskiej „chałupie” w grubym szlafroku, co chwilę ciężko wzdychając i ostentacyjnie masując się po krzyżu. Na próżno upatrywał pocieszenia a to w zapierającym dech widoku niespokojnych Śniardw, a to w zdobiącej ściany holu imponującej kolekcji poroży. W końcu powlókł się do kuchni, nastawił wodę na herbatę, po czym siedział dłuższy czas, wlepiając niewidzący wzrok w pożółkłą lipę rosnącą przed domem od strony podjazdu. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że szum ustał i woda już dawno się zagotowała. Ociężale wstał, nalał wrzątku do małego czajniczka, obficie osłodził, po czym sięgnął po kubek i znów zapadł w stan podobny do letargu.

Od jakiegoś czasu odczuwał narastające znużenie mnożącymi się problemami synów. Ileż można? Nie tak wyobrażał sobie emeryturę. Nie po to zainwestował tyle pieniędzy w ich edukację, nie po to się przy nich tyle naszarpał, by jeszcze teraz... W jesieni życia...

Końca nie było zgryzotom. Co więcej, wszelkie błędne posunięcia jego dzieci zdawały się mieć coraz bardziej poważne konsekwencje!

O ile beznadziejną sytuację Pawła można było jeszcze wytłumaczyć tak zwanym... hm... źle ułożonym uczuciem, o tyle tego bęcwała Mateusza nijak nie był w stanie rozgryźć. Fantastyczna wieść: żona w ciąży, a on co? Struty, posępny, zamysłony... Dupczenie na boku mu się skończy, ot co! Doprawdy, po kim ten chłopak to ma?

I jeszcze ten najmłodszy – skaranie boskie! – ima się wciąż nowych zajęć. Słomiany zapał do wszystkiego, diabli by go wzięli! Jak tak dalej pójdzie, zupełnie zejdzie na psy! Najmą go do odgarniania śniegu! Łeb przeżarty marihuaną albo czymś jeszcze gorszym!

Nagle coś mu się przypomniało...

Pora obudzić Elżbietę, trzeba jej o tym powiedzieć. Zresztą ile się może babsko wylegiwać?! I jakim prawem on ma się tu martwić sam?

Podniósł się i pomału poczłapał do obszernego holu. Chód jego był ostrożny i ociężały, jakby zamiast sześćdziesięciu Ryszard miał co najmniej dziewięćdziesiąt lat.

– Elżbieta! – huknął, stojąc u podestu schodów, z irytacją zadzierając głowę do góry.

Po chwili zaskrzypiała podłoga, drgnął zyrandol zawieszony pod wysokim sklepieniem. Schodziła... Czym prędzej wrócił na swoje stałe miejsce przy stole, by zastała go tam przygarbionego i stroskanego. Nieprzytomna, nie do końca obudzona weszła do kuchni, otulając się podomką. Niemal po omacku ruszyła w stronę czajnika. Zrobić kawę.

Obrzucił ją ukradkowym, pełnym tajonej urazy spojrzeniem. Hm. Zaróżowiona, zadowolona i wyspana. Tej nigdy nic nie zakłóci snu! Chociażby on wiercił się i przewracał z boku na bok... Tak jak dziś. Takie koszmary mu się śniły, że w końcu o trzeciej nad ranem poderwał się z łóżka i przez bitą godzinę siedział w rześcisie oświetlonej kuchni, usiłując przegnać paskudne majaki...

Tymczasem ona, nie spytawszy nawet o jego samopoczucie, jakby nigdy nic włączyła radio i poświstując przez zęby, zaczęła krzątaninę. Zaraz zepsuje jej ten dobry humor! Wbijając wzrok w niesioną do ust filiżankę z herbatą, wycedził:

– Dzwonił ten darmożjad, twój syn!

Podśpiewywanie ustało.

– Piotruś? – domyśliła się. – A co? Przyjeżdża na weekend?

„Piotruś!”. Masz tobie! Właśnie to ciągle pobażanie zrobiło z niego taką... Ledwo stłumił ohydne przekleństwo i aż sam zląkł się gniewu opatrności. Ale nie, miał rację! Gdyby tylko go posłuchano! Chłopaków trzeba trzymać krótko, zawsze tak mówił. Wiedział, że tak się to

skończy! Ale Bóg mu świadkiem, że jak tylko próbował najmłodszego zrugać, rzucała się w jego obronie jak Rejtan.

– Przyjeżdża, owszem... Ale nie sam! – mruknął, nie odrywając oczu od porcelanowej filiżanki. – Kazał ci przekazać, że chce nam dziewczynę przedstawić!

Elżbieta odwróciła się plecami do Ryszarda i obracała w dłoni kubek do kawy, jakby zapomniała, co chciała z nim zrobić. Wiadomość zrobiła na niej wrażenie. Jak do tej pory najmłodszy nigdy nie zapowiadał niczego podobnego! Co też mu w głowie powstało?! No cóż, jeśli tak się sprawy miały... Trudno, trzeba przygotować coś okazalszego na obiad. Z wyrazem determinacji na twarzy zaczęła przeglądać najpierw lodówkę, a następnie spiżarnię.

– Ale to nie koniec! – sapnął Ryszard.

Rozczarowany umiarkowaną reakcją na poprzednią rewelację liczył, że następna bomba, którą miał w zanadrzu, wywoła więcej huku.

– Taaak? – Elżbieta, pochylona, szukała czegoś w szafce.

– Ta dziewczyna ma na imię Zosia! – Jego głos zabrzmiał złowroźnie, a samo imię dziewczyny wymówił znacznie ciszej, niemal z lękiem.

Doprawdy, Rysiek dziwaczał na stare lata!

– Chcą, żebym kupił im to siedlisko w Górnym Łęgu. To, które kiedyś wyszukałem dla Pawła, pamiętasz? Mają zamiar przenieść się na Mazury i otworzyć pensjonat! – wypalił i zamarł, oczekując na efekt swoich słów.

– A wiesz, że to nawet interesujący pomysł? – Podeszła do stołu, przysiadła na krześle i wpatrzyła się w Ryszarda z zaciekawieniem. – To mogłoby być coś w sam raz dla niego!

– BREDZISZ! – Spiorunował ją wzrokiem. – Co ty wiesz o kosztach?! Myślisz, że pieniądze to ja maszynką robię?

– Sam mówiłeś, że ciemni chłopcy chcą to sprzedać za grosze...

Natychmiast pożałowała swoich słów, widząc, jak spurpurowiał na twarzy. Rzeczywiście, miał nerwy na postronkach. Nie należało go tak drażnić.

– Jeśli Paweł by się do tego zabrał, miałyby to ręce i nogi! – tłumaczył jej sztucznie złagodzone głosem, jakby walczył ze sobą, żeby nie wybuchnąć. – Wtedy tak! Ale tu... Nie rozumiesz? Wszystkie koszty będę musiał ponieść sam! Bez żadnej gwarancji, że to się zwróci!

Przez następne pół dnia nie poruszali tego tematu, oboje poirytowani różnicą zdań. Jednak po południu Elżbieta nie wytrzymała. Weszła do salonu i zbliżyła się do sofy, na której na wznak leżał Ryszard z brodą uwięzłą w dwóch fałdach tłuszczu.

Opadła na pobliski fotel i podjęła rozmowę:

– Powiedzże coś więcej, zanim przyjadą. Czy oni mają wobec siebie jakieś poważne plany?

– A diabli ich wiedzą! W każdym razie on do tego pensjonatu bardzo się zapalił. Zresztą jak do każdego kolejnego pomysłu! – Ryszard poruszył się nerwowo. – Pewnie to robota tej panienki! Widać, że steruje nim, jak chce! Już mają ułożony cały plan... Chcą mieć wszystko „naturalnie” i żeby zjeżdżała tam, jak to on określił, „bohema artystyczna”. Bohema! – prychnął jadowniczo. – Już ja to widzę! Pewnie ćpuny, pijusy i inni życiowi wykolejeńcy! Chałturnicy, aktorzy! Całe to tałatajstwo. Wszystko na pokaz, a groszem nie śmierdzą! Jak Piotrusia znam, będzie ich gościć za darmo i za dwa lata interes splajtuje!

Umilkł, przerażony wizją, która rozpościerała się przed nim z całą wyrazistością. Piotruś ze swoimi naiwnymi poglądami! Ze swoją wiarą w ludzi i w sztukę! Toż orzną go tam z kretesem, wycykają do reszty, do ostatniej kropli! Wypiją za jego, zjedzą za jego, nasrają mu tam i tyle ich widzieli!

– A ta dziewczyna? Kim ona jest? Pytałeś go? – W te filozoficzne rozważania wdarł się

zaniepokojony głos żony.

– Bez grosza – wymamrotał stary Wencel.

– A skąd wiesz? – Popatrzyła na niego surowo.

– Bo całe pieniądze chcą ode mnie, a stąd wiem! – wrzasnął Ryszard, nie ruszając już jednak głową, a nadrabiając za to gałkami ocznymi, które w takt tykającego zegara biegały od Elżbiety do uspokajającego widoku Kossaków na ścianie.

– Może tamten ojciec nie jest tak głupi, żeby dawać w ciemno na szemrane interesy...

– Więc chcesz, żebym odmówił?

– A masz zamiar odmówić?! Po tym, jak wyposażyleś dwóch starszych w wielkie mieszkania?

Ryszard opadł na poduchy, machając ręką w geście rezygnacji. Nie dogodzisz babie! Pomóc temu nieudacznikowi – źle! Nie pomóc – jeszcze gorzej! Otóż to! Ojciec „Zosi” nie jest frajerem, bo nie wyłożył pieniędzy na fanaberie młodych! Natomiast gdyby on – Rysiek – miał nie pomóc, natychmiast zostanie uznany za okrutnego, srogiego tyrana! Tłamszącego marzenia dziecka! Torpedującego plany Piotrusia tylko dlatego, że był odmiennie niż on – Ryszard – konstrukcji psychicznej! LEWEJ, chciałoby się rzec!!! Właściwie to zapewne jego – Ryszarda – wina, że chłopak zapala się do każdego przedsięwzięcia jak stóg siana, po czym gaśnie jeszcze szybciej! To jego – Ryszarda – wina, bo nie wierzy w powodzenie tych przedsięwzięć! A dlatego, że on – Ryszard – nie wierzy, to się one nie udają! A chuj by strzelił wszystkie współczesne teorie psychologiczne, którymi baby nabijają sobie łby! Ileż więcej miałby dziś w portfelu, gdyby wszystkich psychologów przykuć do dna morza. Świat byłby znów normalny!

Ostrożnie przekręcił głowę i z marsem na czole obserwował blade słońce, mimo wczesnej pory stojące tak nisko na niebie. Las rosnący wokół jeziora pysznił się bajkowymi barwami jesieni, lecz widok ten – zwiastujący, jakkolwiek by patrzeć, jakiś koniec – nie nastrajał dziś Ryśka zbyt optymistycznie. Niechętnie odwrócił wzrok od okna.

Jakże miło było leżeć w tym przytulnym wnętrzu i rozkoszować się swoimi Kossakami w pięknych, złożonych ramach! Już same ramy warte były krocie! Obrazek przyjemny, solidny, przedstawiający ogólny dobrobyt. Ach, gdybyż tak wstrętny świat zewnętrzny nie miał dostępu do tego przytulnego wnętrza!

I gdyby on, Ryszard, nie musiał – za sprawą swoich synów – co chwila zastanawiać się nad tym zmieniającym się (i to niewątpliwie na gorsze), dziwnym światem!

Świat miał już swój złoty wiek – ten poprzedni. Wraz z jego końcem było już tylko gorzej. W muzyce – nowomodna kakofonia, która osiągnęła zenit w osobie Krzysztofa Pendereckiego – kurwa mać, żaden „znawca” nie wmówi mu, że to jest piękne! W sztuce – jeszcze gorzej! O tym już tyle napisano i powiedziano, że doprawdy szkoda strzępić sobie język! Świat doszedł do punktu, że jeśli w galerii wystawiliby prawdziwe gówno, z pewnością znalazłoby się mnóstwo salonowców z gębą pełną pustych frazesów, którzy nazwaliby to gównem sztuką! Ryszard nie miał co do tego wątpliwości.

I to samo w każdej niemal dziedzinie. Współczesne wychowanie dzieci. Jedzenie. Ba! Nawet powietrze, którym oddychali. Nawet woda, którą pili. Może oprócz tej ciągniętej ze studni w Niedźwiedzim Rogu. Ta byłaby naprawdę przyzwoita, gdyby nie okoliczni chłopcy, nawożący ziemię byle jakim barachłem! Cholera wie, jakiego ścierwa przyjdzie się nabawić, pijąc podtrawaną tym czymś wodę, tak dzień po dniu.

I żeby było się jeszcze kogo poradzić. Dzisiejsi lekarze to temat rzeka. Spod jednej matrycy, chętni „uświadamiać” pacjenta! Zwłaszcza ci tuż po studiach! Kiedyś być może dłużej terminowali u starszych. Dziś puszczają ich na żywioł, do pacjentów. Melduje toto człowiekowi wszystko, czego się nauczył z podręcznika. „Boli pana głowa?”. „Oj, niedobrze. Może rak?”.

I w wykrochmalonym kitlu, jak z reklamy, zapisuje ci toto ibuprom! Dobry Boże.

A jacy chętni uświadamiać! Według nowej, chuj wie, jakiej szkoły, będą mówić każdemu prosto w oczy najgorszą prawdę! I jaki z tego pożytek?

Gotowi niedługo emitować pacjentom krótki film doszkalający! Patrz pan, co mówią statystyki! Będziesz konał tak i tak, w takim a takim tempie! Wstrzykniemy panu to i to, ale niech pan ma świadomość, że nie zda się to na wiele! Witajcie w epoce ogólnego uświadomienia! Nie dziwne, że wokoło tyle nerwic. Ludzie nic, tylko prochy łykają, bo normalnie by ochujeli.

Kiedyś to byli lekarze! Ot, choćby taki Rott. Tęga głowa, człowiek kształcony przed wojną. Ryszard, jak był mały, jeździł do niego z matką. Chłop znał się na wszystkim. Jak Rott zaordynował lekarstwo, można było mieć pewność, że pomoże. Nie to, co dzisiaj – pieprzone konowały, wysoko wyspecjalizowane. Ten tylko od lewego kolana. Tamten od prawego. A wiedzy ogólnej za grosz. Toż organizm ludzki nie składa się z części, jak robot! Trzeba widzieć cały obraz, by trafić z diagnozą!

Dopiero co on sam latał ze swoimi dolegliwościami, jak kot z pęcherzem, odsyłany od Annasza do Kajfasza. Jeden imbecyl już widział u niego raka, niemal zmusili go do kolonoskopii! Ileż się napłacił, ile gabinetów odwiedził, nim wreszcie stwierdzono, że bóle idą od kręgosłupa! Ilu szarlatanów musiał znieść, z iloma palantami się naużerać, nim trafił do tego właściwego! I tak ze wszystkim! Jak nie masz pieniędzy na prywatne leczenie, to zdychaj jak pies!

Życie robiło się nie do zniesienia! Jak pragnął zdrowia, czasem lepiej mu było żyć za komuny! Ludzie więcej się spotykali, śmiali! Pili sobie, palili, żarli tłuszcz i masło, nie znając jeszcze ich śmiertcionośnych właściwości.

– Bo co robiłby w mieście? – doleciał go zaaferowany głos Elżbiety. – To może być dla Piotrusia najlepsze wyjście! Jedyne wyjście! Ty wiesz, podoba mi się ten pomysł!

– Niedawno mówiłaś, że mógłby się zaczepić w reklamie – mruknął, byle coś powiedzieć i potrzymać żonę w niepewności, choć w myślach już liczył, ile ewentualnie będzie musiał dać i ile na tym może stracić. Strata tych kilkudziesięciu tysięcy to jedno, ale chodziło przede wszystkim o wejście w posiadanie! Hm. Nie będzie to proste. Naturalnie, w tej kwestii mógł liczyć tylko na Pawła. On – Ryszard – zaoferował tym chłopom kupno siedliska za wyższą cenę, aniżeli dawał wrocławski cwaniak, i z tego, co słyszał, tamten nie dał więcej znaku życia. Więc kto wie? A nuż, widelec?

– Ty wiesz, jaką grubą skórę trzeba mieć w reklamie?! – usłyszał oburzony głos Elżbiety. – Nasz chłopak jest delikatny, wrażliwy! Ma artystyczną duszę! Zjedliby go tam...

– Śmierdzący leń i nierób! Zaprzepaścił te dwadzieścia tysięcy, które... Czekaj, czy to nie było trzydzieści tysięcy? – Ryszard, nachmurzony, gapił się w sufit, bo tylko w takiej pozycji nie czuł w krzyżu palącego bólu.

– Chcesz herbaty?

– Dałabyś kielicha, nie herbaty! Rąbie mnie tak! Cholera wie, ile będę żył? A tu ciągle wyrzeczenia! Tego nie wolno, tamtego nie wolno i dawaj im tylko pieniądze!

Elżbieta, kobieta doświadczona, wiedziała, kiedy należało ulec, by osiągnąć cel. W okamgnieniu obróciła z powrotem, ostrożnie transportując szklaneczkę whisky niczym panaceum.

– To co z siedliskiem? Ty wiesz, że to może być jakieś rozwiązanie? – znów zaczęła ugodowo. – Jeżeli dziewczyna jest obrotna i weźmie go w karby...

– Jeszcze nie widziałem, żeby jakaś wzięła naszego Piotrusia pod pantofel – Ryszard ujął się nagle za marnotrawnym najmłodszym.

– Oj – prychnęła ze znanstwem Elżbieta, patrząc na męża z rozbawieniem.

– No mówię ci, on ma to po mnie! Nigdy się nie da! – zaperzył się Ryszard i ze swojej niewygodnej pozycji, poirytowany obserwował żonę, która krzątała się wokół stołu z wszystkowiedzącym uśmiechem.

– Lepiej idź się ubierać, nie wiadomo, o której zajadą! – rzuciła, szukając czegoś w kredensie.

Była w swoim żywiole. Teraz nie myślała już o niczym innym niż o tym, jak olśnić i przytłoczyć potencjalną rywalkę najwykwintniejszymi daniami. Ryszarda dochodziły wściekłe brzęki naczyń, bieganina, uderzanie patelniami. Elżbieta co chwila przelatywała przez salon, otwierając drzwi na taras i wpuszczając do środka lodowate podmuchy. Stary Wencel cmokał z niezadowolaniem i ostentacyjnie okrywał plecy kocem, lecz żona była tak pochłonięta własnymi myślami, że zupełnie nie zwróciła na to uwagi.

Ofiary korporacji

Ulica Marynarska, mokra od deszczu, stała sparaliżowana poniedziałkowym korkiem. Już trzy razy zmieniły się światła, lecz samochody ani drgnęły. Jakiś matoł wjechał na środek skrzyżowania, klajstrując ruch na amen. Rozjuszeni kierowcy nacierali na niego z czterech stron, trąbiąc, jakby ich opętało.

Mateusz Wencel zasłonił dłońmi oczy. Chwilę zabawiał się, rozszerzając i zwierając palce. Ukazywał się wtedy i znikał obraz miejskiego piekiełka, zamazany lejącym się na szyby deszczem. Czy współcześnie żyjący człowiek mógł w ogóle pozostać przy zdrowych zmysłach, będąc zmuszonym dzień po dniu stawiać czoło podobnej rzeczywistości? I czy miało to jakikolwiek związek z prawdziwym życiem? Ciąg aut, w których pocili się znerwicowani nieszczęśnicy, usiłujący dostać się na czas do pracy... Biedni, biedni niewolnicy nowej, wariackiej rzeczywistości! Wariackiej inaczej.

Ot, chociażby ten w samochodzie obok. Podobnie jak on sam, ofiara korporacji. Tyle że parę szczebli niżej, sądząc po flotowym aucie. Pewno serwisant. Ostro spanikowany... Najwyraźniej spóźniony. Wlepiął wzrok w poprzedzający go samochód, międlł pod nosem przekleństwa, siedział babce niemal na ogonie. Komiczny, groteskowy, prymitywny, ale wzbudzał w Matim litość.

Pewnie żywiciel rodziny, ojciec dzieciom. Jak go wyleją, nie będzie miał wesoło. Nie dziwota, że tak się wkurza. Wybudowali tysiące nowych osiedli, ale nie pomyśleli o drodze dojazdowej. Polacy wyginą nie od najeźdźcy, ale od swoich własnych dróg. Albo od ich braku.

Mati odwrócił się w drugą stronę, szukając przyjemniejszego widoku i natychmiast natrafił na pogardliwe spojrzenie młodzieńca stojącego na przystanku autobusowym. Niedbale odziany, ze słuchawkami w uszach i łapami w kieszeniach, ironicznie lustrował odsztafirowanego Mateusza i jego wyglansowanego porszaka.

Masz tobie. Buntownik.

Czekaj, gołowąsie – pomyślał, nerwowo przeczesując włosy. – Dożyjesz moich lat, a inaczej zaśpiewasz. Poznasz miłą laseczkę i ani się obejrzyysz, jak i w tobie zakwitnie chęć posiadania.

Ten zagniewany idealista przywiódł mu na myśl własnego brata, Piotrułę. To właśnie on opowiadał mu kiedyś, jak szukał roboty i przeczytał ogłoszenie o pracy w agencji reklamowej. Nie było wymagane doświadczenie – okoliczność ze wszech miar pożądana, jako że Piotruś, zwany w rodzinie „inteligentnym, ale leniwym”, nie przepracował nigdzie dłużej niż dwa miechy.

Braciszek poszedł pod wskazany adres i znalazł się w dziwnej hali, gdzie oprócz niego czekało mnóstwo innych osób. Nagle część z nich wpuszczono do dużej sali, gdzie grupa ludzi tańczyła i skandowała powtarzające się słowa-klucze. Pośrodku stał ponoć jakiś świr – wodzirej – i wrzeszczał jak opętany, że jeśli nie będą mieli dość sił i motywacji do działania (na tym etapie Piotruś nie miał jeszcze pojęcia, o jakie działania chodziło), to mogą wrócić do domów i od jutra „tokać” na swych tokarkach. Praca na tokarce przedstawiana była przez niego, w przeciwieństwie do pracy w ich firmie, jako coś haniebnego i mało lukratywnego. Słowem: dno. Po każdej kolejnej wykrzykiwanej przez „zagrzewacza” porcji bzdur grupa skandowała: „Juice, juice”. Piotruś nie wiedział, o co biega. Przerażony, zaczął wycofywać się w stronę wyjścia, gdy zaczepił go „inny”, najwyraźniej jakoś z tamtymi już związany, mówiąc: „Co? Lepiej pić kawę i narzekać?”. Pozostali, którzy weszli razem z nim w funkcjonującą już najwyraźniej grupę, mimo że też nie mieli zielonego pojęcia, o co chodzi, poruszali się wkoło wraz z pozostałymi. Starali się dopasować. Nie znali słów „piosenki”, lecz wychwycili już wybijający się refren. Ich

wargi, choć nie wydawały dźwięków, już układały się w słowa „juice, juice”^[2].

Potem okazało się, że werbowano przedstawicieli handlowych, a robiono to według znanej amerykańskiej metody polegającej na zagrzewaniu do pracy. Pracą zaś było ruszenie na ulicę i zaczepianie przechodniów w celu namówienia ich na zakup produktu lub usługi. Tego typu szkolenia budziły w Matim przygnębienie. Do czego jeszcze posunie się świat? Toż „tokanie”, jak ujął to ten imbecyl, na tokarce, było, w porównaniu z ich zrzeszeniem, superszacownym zajęciem. Normalnym zajęciem! Godnym zajęciem. Kurka wodna, świat oszalał!

Tymczasem on powinien już kombinować, jak się wytłumaczyć ze spóźnienia, bo jak tak dalej pójdzie, sam będzie latał z wywieszonym ozorem, szukając jakiejś roboty. Najgorsze jest to, że pomału docierało do niego, że „nowa”, z którą zaraz będą mieli spotkanie, nie była zwykłą menadżerką, mającą dostosować ich dział do zintegrowanych procedur. Dwa dni temu, na jej przyjazd, zmienili nawet wystawę w gablotce w głównym holu. Nie, ona była kimś daleko ważniejszym...

Cholera, za późno wyszedł. Ale warto było...

Na wspomnienie poranka z Antošką przez wargi przewinął mu się cień leniwego uśmiechu.

Tymczasem dziś wieczorem musi stawić się w domu. Nieodwołalnie. Trzy dni rzekomej delegacji – i to już trzeci raz z rzędu – to nazbyt wiele jak na kogoś, kto ma żonę w ciąży. Choć wszystko nadzorował telefonicznie i dzwonił do niej co parę godzin, troskliwie pytając, jak się czuje. A że Karola ma końskie zdrowie... Niczym przecież nie ryzykował. Poza tym, tak naprawdę był niedaleko, więc gdyby coś się zaczęło dziać... No i nic się nie wydarzyło. Wszystko grało, wszystko obcykane, wszystkie ogniwa, które mogłyby prowadzić do wypływu niepotrzebnych informacji, odcięte. Zabezpieczone. Plan przemyślany był w najdrobniejszych szczegółach niczym morderstwo doskonałe. Odruchowo usiadł prosto, potarł ręką twarz, jakby coś z niej zmazując.

Teraz jednak pozostawało jeszcze poinformować Antoninę, że dziś nie przyjdzie już do niej na całą noc. Może wpaść do niej po robocie. Na godzinkę, dwie... Powinien był powiedzieć jej o tym już wczoraj wieczorem, ale nie lubił przeprowadzać takich rozmów twarzą w twarz. Teraz jednak musi, potem nie będzie już jak. W pracy będzie za dużo zamieszania... Gwałtownie sięgnął ręką w stronę zestawu głośnomówiącego i wybrał numer. Odebrała po kilku sygnałach.

– Halo. – Jej głos brzmiał oficjalnie, profesjonalnie. Nie była pewna, skąd dzwoni. Wytrawna konspiratorka. Czujna. Dla dobra jęgo czy siebie samej?

– Jeszcze nie dojechałem do biura, jestem sam, możemy rozmawiać swobodnie – pospieszył z zapewnieniami. – Tylko żadnych świństw, pani mecenas, mój starszy brat ma na tym punkcie prawdziwego fioła. Uważa, że wszystkie rozmowy są nagrywane. Zwłaszcza w korporacjach.

– A ty myślisz, że jest inaczej?

W tle słycać było pobrzękiwanie naczyń. Widać nie wyszła jeszcze z domu.

– Nie wiem. To ty jesteś u nas prawnikiem i wiesz, do czego mają prawo. Albo raczej, do czego są zdolni...

– Wątpię, byś dzwonił, żeby rozmawiać o podsłuchach. Masz pół godziny do spotkania z wyjątkowo paskudną harpią. Mów wprost, czego chcesz?

– Jak ty mnie dobrze znasz! Jesteś po prostu niebezpieczna... Bałbym się mieć ciebie przeciwko sobie, wiesz? – Mati, mówiąc te słowa, patrzył uwodzicielsko w swoje odbicie w lusterku wstecznym tak długo, że mało nie wjechał w stojący przed sobą autobus.

Nie odpowiedziała.

– No dobra. No więc... dziś wieczorem nie mogę już zostać na noc. – Zawahał się na moment, po czym szybko dodał: – Dziś ją wypisują!

Kłamstwo zostało wypowiedziane gładko, bez zająknięcia, miało bowiem solidnie przygotowany grunt. Dwa tygodnie temu, gdy Mati dowiedział się, że jego żona jest w ciąży i postawiony został przed koniecznością wyboru, ogarnęła go panika.

Cokolwiek by się działo, wiedział, że nigdy nie zrezygnuje z Antosi! Na pewno nie będzie jednym z tych frajerów, którzy „zrobieni na dzieciaka” będą się katować do końca życia, składając samego siebie w ofierze. Nie czuł się takim bohaterem. Dumny ze swej niekonwencjonalności, jakiś czas napawał się niezależnością wobec ogólnie obowiązujących norm moralnych. Już on im wszystkim pokaże! Nie da się sprowadzić do parteru. Tak więc gdy minął pierwszy szok, chciał iść do żony i o wszystkim jej opowiedzieć. Po prostu wywalić kawę na ławę i niech ona teraz się martwi... Wydawało mu się to całkiem rozsądne! To ona go oszukała, ona potajemnie przestała brać tabletki, najprawdopodobniej wtedy, gdy zauważyła, że Mati „coś kombinuje”! Jeśli nie miała skrupułów, czemuż on miałby je mieć?

Rozumując w ten sposób, przez kilka dni szykował się do tej ostatecznej rozmowy, ale równocześnie, pod wpływem bieżących wydarzeń, jego determinacja słabła, a nieugiętość decyzji poddawana była ciężkim próbom.

Pierwsze wahanie wzbudził entuzjazm jego rodziny. Rodzice, bracia... Jakże cieszyli się z tej wiadomości, przekazanej im naturalnie przez samą Karolinę, bez konsultacji z nim. Zrobiła to specjalnie? Ciasna pętla zaciskała się jeszcze bardziej.

Zresztą nawet bez ich gadaniny było ciężko...

Nie był przecież doszczętnie pozbawiony sumienia. Wahał się. Do głowy przychodziły mu dziwne myśli. Skrajne scenariusze. Gdy zdawał się przechylać w stronę jakiejś decyzji, mózg samoczynnie znajdował kolejne kontrargumenty. Zasiewał niepewność.

Bo co, jeśli żona niczego się nie domyślała? Jeśli ciąża faktycznie była zwykłą wpadką? Jakiż byłby to dla niej szok, jaki cios! Jako rodowity Wencel Mati miał mocno zakorzenione poczucie odpowiedzialności materialnej za domowe gniazdo, tak go wychowano! W jakiej sytuacji znajdzie się jego potomek, jeśli rodzice wezmą się teraz za łby...

Nie, nie. To wszystko należało rozważyć pomału, bez pośpiechu.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że na razie nie dokona żadnego wyboru. Żadnego! Nie zrezygnuje z żadnej z kobiet. Utrzyma je obie, przynajmniej na razie, dopóki sytuacja z niekochaną żoną zaogni się na tyle, by ona sama zechciała odejść. A kiedy to ona podejmie decyzję o rozstaniu, łatwiej ułożą sobie stosunki!

Tak, z grubsza, to sobie wyobrażał.

Teraz, skoro podjął jedyną słuszną decyzję, jaką mógł podjąć kochający mężczyzna, należało się tylko zastanowić, cóż takiego powiedzieć Antoninie. Jak jej wytłumaczyć, że jeszcze nie może się do niej wprowadzić?

Prawda była wykluczona. Prawda byłaby namacalnym dowodem na to, że Mati mijał się z nią już wcześniej, gdy zapewniał Antosie, że... tylko ją... że tylko z nią...

Tak więc trzeba było czegoś „solidnego”. Niepodważalnego. W zasadzie zadanie banalne, bo w wymyślaniu historyjek Mati był specjalistą. Był nie do pobicia.

Dwa dni zastanawiał się intensywnie i trzeciego miał już gotowy plan na kłamstwo doskonałe. Jak umyślił, tak zrobił. Skłamał, choć na jego obronę trzeba przyznać, że robił to z ciężkim sercem, klnąc w duchu na wszystkie świętości, że robi to po raz ostatni!

Powiedział Antosi, że przyznał się żonie do wszystkiego, na co ta wpadła w istny szal. Nie chciał poruszać sumienia Antoniny, przytaczając drastyczne szczegóły, nie omieszkał jednak zapewnić – gdzieś między wierszami – że żona cierpiała katusze. W opowieści tej on,

niewzruszony, twardy w swym postanowieniu, konsekwentnie pakował ubrania do walizki, by wreszcie się wyprowadzić, by uciec z tej, jak to ujął, „piekielnej złotej klatki”. Był już w drzwiach, lecz zatrzymał go dziwny, głuchy łomot. „Jakby coś ciężkiego uderzyło o podłogę”. Wrócił do sypialni i znalazł żonę na dywanie. Obok dwa puste opakowania po tabletkach nasennych! Natychmiast wezwał pogotowie. Z trudem ją odratowano, a potem przeniesiono na oddział intensywnej terapii.

W bliżej nieokreślonym szpitalu miała przebywać właśnie do dziś.

Oczywiście historia podziałała bezbłędnie, dokładnie tak, jak przewidywał. Wprawdzie w czasie samego opowiadania Antonina uparcie milczała. Milczenie jej zdawało mu się niepokojące, zastanawiające... Powinna była się dopytywać, emocjonować! Ba! Wręcz cieszyć, że zdecydował się na to „wyznanie”!

Ale koniec końców opowieść przyniosła pożądany efekt. O tamtego momentu przestała w ogóle pytać, co będzie dalej, przestała się domagać, by wyprowadził się od żony. Tymczasem on uwijał się w tamtym okresie jak pszczoła. Krążył między jednym domostwem a drugim, kłamiąc tak doskonale, że niemal sam wierzył w wykreowaną rzeczywistość. Funkcjonował w tym tak zaskakująco dobrze, że czasem śmiał się z siebie samego, jak mógł się przejmować, że coś pójdzie nie tak.

Teraz, skoro w pewnym sensie usankcjonował ów układ, niejako polityką faktów dokonanych, musiał trochę zwolnić tempo. Zbyt często nocował raz tu, raz tam. Jego ubrania rozproszone były po dwóch domach. A właśnie takie duperełki, drobiazgi, mogły go zgubić.

Ostatnio w czasie spotkania biznesowego w eleganckiej sali konferencyjnej Telecommerce zorientował się, że ma jedną skarpetę granatową, a drugą czarną! Był to moment przełomowy, wstrząsający! Najwyraźniej przeholował, stracił nad tym kontrolę. Czas to trochę uspokoić, okiełznać, uregulować.

Bo ileż razy można było jeździć w delegację! Nie, naprawdę, koniec z tym szaleństwem. Przeszarżował. Dlatego właśnie powiedział Antośce, że Karolinę wypisują ze szpitala. Nie trzeba było nawet tłumaczyć, co to dla nich oznaczało. Wiadomo było, że teraz będzie musiał poświęcić się „rekonwalescentce”. Sama Antonia jakiś czas temu coś takiego wspominała, lecz najwyraźniej teraz realna perspektywa powracającej do zdrowia Karoliny nie uradowała jej, bo w słuchawce zapadła głucha, wroga cisza.

– Nineczko – odezwał się w końcu. – Przecież wiedziałaś, że prędzej czy później to musiało nastąpić. Dajmy kobitce dojść do siebie... A potem... Niedługo... Cierpliwości! – Gdy mówił te słowa, święcie w nie wierzył i gniewał się, że ona ma jakiegokolwiek pretensje czy wątpliwości. Koniec końców tak właśnie będzie. Czemu te kobiety są takie gwałtowne, natarczywe? Czemu chcą wszystkiego teraz, zaraz?

Ponieważ nic nie mówiła, zaczął znowu, gorliwiej niż przedtem:

– Nineczko, Ninuś! Dlaczego mi to robisz, dlaczego się nie odzywasz? Czy musimy znów to przerabiać?

Złowróźbna cisza przedłużała się.

– Pewnie się gniewasz, że dopiero teraz ci mówię o tym, że ją wypuszczają. Uspokoisz się, jak ci wszystko wyjaśnię. Dopiero przed chwilą zadzwonił doktor. Po porannym obchodzie zmienili decyzję! Postanowili wypisać ją wcześniej. Od razu więc zatelefonowałem do ciebie... Ty dowiedziałaś się pierwsza...

– Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz, Mateusz – odparła zimno. – Mam skakać ze szczęścia?

– Oczekuję odrobiny zrozumienia – wybuchnął. – Tylko odrobiny zrozumienia! Rozpierdałam dla ciebie całe dotychczasowe życie! I jedyne, o co proszę, to krztyna zaufania!

– Skończmy tę dyskusję. Jest późno, za chwilę masz ciężkie spotkanie...

– W porządku. To do usłyszenia, co? Zadzwoń później?

Rozłączyła się. Była zła! Jadąc dalej, starał się nie myśleć i nie zastanawiać zbyt wiele. Stosował tę taktykę z powodzeniem od kilku dni i musiał przyznać, że działała znacznie lepiej niż neurotyczna galopada myśli. Póki co... Robienie jakichkolwiek podsumowań? Planów? Co ma być, i tak będzie. Zwłaszcza że, jak już zdążył się przekonać, nie warto igrać z opatrnością, a tym bardziej starać się ją przechytryć. Opatrzność, w której istnienie do tej pory wątpił, nabrała ostatnio całkiem realnych kształtów. Zaczęła mu nawet przypominać zmarłą dawno temu ciotkę Leokadię, która nie miała dzieci, za to trzymała stado kotów. Ciotka pachniała kamforą i słodem, nosiła czarne, wełniane chusty i paliła w kaflowych piecach. Mateusz z braćmi jeździł do niej na wakacje. Trochę się jej bali, bo przypominała dużą wronę. Kiedyś ciotka Leokadia wyciągnęła go na zwierzenia (robiła to z wielkim znanstwem i uważana była za największą w rodzinie intrygantkę). Mały Mati wyznał jej, że chciałby dostać na urodziny laleczkę, a ciotka zrobiła z tego użytek na rodzinnych imieninach. Tego lata musiał się kilkakrotnie bić z kuzynami i braćmi w obronie swojego honoru, ale lekcję zapamiętał. A laleczki obrzydzono mu do cna.

Tymczasem zajechał pod budynek firmy. W gabinecie był po dziewiątej. Włączył komputer, sprawdził kalendarz i z niezadowoleniem skonstatował, że ma tylko minutę na wypicie kawy, gdyż gorliwy Jean Paul wyznaczył spotkanie z ich nową koleżanką, panną Wiktorią Dziedzic, już na wpół do dziesiątej. Brrr. Na myśl o tak tajemniczo podzruczonej przez *cluster*^[3] współpracownicy przeszywał go zimny dreszcz. Jakiś pieprzony koń trojański...

Telecommerce miało w planach mariaż z inną firmą telekomunikacyjną, francuskim gigantem – Unitelem. Połączone firmy pod nową nazwą Unitel Commerce miałyby ogromny udział w rynku. Stałyby się monopolistą. Na rynku obowiązywałyby je zaostrzone rygory postępowania. Zatem „nowa” przychodząca właśnie z Unitelu miała za zadanie, przynajmniej teoretycznie, skoordynować dawne procedury z procedurami obowiązującymi monopolistę.

Ale coś tu Matiemu śmierdziało. Gdyby chodziło o zwyczajny projekt, nie robiliby wokół niej tyle szumu...

Niewykluczone, że mieli w planach jakąś nieciekawą restrukturyzację... Zwłaszcza że Unitel działał już w innych krajach Europy Wschodniej. Z pewnością nie potrzebował kilku niezależnie funkcjonujących działów marketingu w tej części Europy. Może panna Wiktoria Dziedzic miała przeprowadzić również jakieś małe redukcje personelu?

Kolejny pomysł na oszczędność, kolejny nowy menadżer w headquartersach^[4], usiłujący się wykazać. Cięcie kosztów. W każdym razie należało mieć się mocno na baczności! Najlepiej być z nią w dobrych stosunkach... A stosunki były przecież jego mocną stroną.

I Mati, powściągając mimowolny uśmiešek, zamknął drzwi swojego wygodnego gabinetu. Mrugnawszy do nowej sekretarki, ruszył korytarzem w stronę kantyny po kubek kawy i makaronik pistacjowy. Zaprowiantowany w ten oto nietuzinkowy sposób, z płaskim palmtopem w wewnętrznej kieszeni marynarki, wkroczył zamaszycie do wielkiej sali konferencyjnej, gdzie zebrany był już jego zespół oraz czerwony, naindyczony Jean Paul.

Naindyczony, bo musiał świecić za Mata oczami. A więc było tak, jak Mati przypuszczał. „Nowa” okazała się daleko ważniejsza, niż im pierwotnie mówiono. Fakt, że próbowano to ukrywać, również nie wróżył dobrze. Tymczasem Mati odszukał wzrokiem sprawczynię tego zamętu.

Ho, ho, jak na korporacyjną harpię, całkiem, całkiem... No i wcale nie wyglądała tak znowu groźnie. W zasadzie całkiem sympatycznie... Patrzyła na niego jakoś porozumiewawczo. Zdaje się, że dobrze się ze sobą dogadają. Niech się lepiej Jean Paul martwi o swoje dupsko. Z grona członków zarządu też mogą ścinać!

– Witam cię, Wiktorio. – Szybko podszedł do niej i uściśnął jej dłoń. – Jestem Mateusz Wencel, zarządzam działem marketingu. Wiele o tobie słyszałem. – Uśmiechnął się do niej ostrożnie, próbując wybadać grunt. Czemuż ten Jean Paul taki spięty? Kobitka pewnie wysoka rangą, ale nie wyglądała na perfidną jędzę. O proszę, jak teraz się uśmiechnęła. Ciepło, sympatycznie... Jednak na niego, na Matiego, nie było mocnych, oj, nie było! Wszystkie łądowały w jego siłach...

– I ja o tobie słyszałam.

No proszę. Jego słowa go wyprzedza.

– Nie wierz im! Połowa tego, co gadają to bzdury! – dowcipkował, pozorując swobodę.

Uśmiechnęła się, ale jakby z dystansem. No cóż, nie tak łatwo ją kupić. Tym lepiej. Lubił wyzwania. Nie spocznie, dopóki ona nie zerknie na niego, jak kobieta powinna patrzeć na mężczyznę. Zwarty i gotowy, usiadł po drugiej stronie stołu, naprzeciwko niej, jak bokser wyglądający starcia.

Tymczasem Jean Paul podjął swe nudne wywody, mające na celu przybliżyć zespołowi zakres kompetencji Wiktorii. Mati, obdarzony podzielną uwagą, rejestrował wszelkie drobne zająknięcia szefa, bacząc, by w porę dosłyszeć coś, co potwierdzałoby jego przypuszczenia, a jednocześnie próbując uchwycić jej spojrzenie.

Ona z kolei, najwyraźniej oporna na jego podprogowy atak, siedziała skupiona na meritum. Mati zauważył to po kilku celnych uwagach, które od czasu do czasu rzucała, przyprowadzając pocącego się Jean Paula o nerwowe drżenie rąk. Ożeż w mordkę jeża. To taka ona była. Pochylił się mocno do przodu, jakby w ten sposób chcąc zaznaczyć zaangażowanie w rozmowę.

Zaraz, zaraz, co ten Jean Paul pierniczy? Czy już mu się wszystko we łbie pomerdowało? Po kiego grzmota tłumaczy się jej z tego, kto się czym zajmuje w jego dziale, podczas gdy tamta przepytuje go jak uczniaka? Mati uznał za stosowne szybko się wmieszać.

– Jean Paul, nie bardzo rozumiem, po co tłumaczysz naszej nowej koleżance zawilóści wynikające ze specyfiki pracy z naszymi klientami? Do czego Wiktorii taka informacja?

– Mateuszu, pozwól, że sama ci to wyjaśnię! – „Nowa” zwróciła w jego stronę całe ciało, jak bacząca na zmieniającą się kamerę prezenterka wydarzeń wieczornych. W tej chwili Mati uzmysłowił sobie, że zarówno jej sympatyczna mimika, jak i otwarte, ciepłe gesty są dokładnie wystudiowane! Postanowił wzmocnić czujność.

– Owszem, moim zadaniem, jak sam słusznie zauważyłeś, jest integracja procedur, by spełniały zaostrome wymogi. Wymogi obowiązujące każdego monopolistę. Zarząd Telecommerce, a już niebawem Unitel Commerce, oczekuje ode mnie, by do końca czerwca dwa tysiące ósmego wdrożyć zintegrowany system zarządzania korporacją. Oznacza to, że procedury zakupu, współpracy z dostawcami i wszelkie inne, nawet administracyjne, jak wystawianie faktur, a nawet personalne, takie jak branie urlopu czy sposób komunikacji z kolegami, będą zunifikowane.

– Zgadza się. Ale jeśli chodzi o nasz dział, nie będziesz miała zbyt wiele roboty. Dawno już dostosowaliśmy procedury do najsurowszych wymagań unijnych, podobnie jak wcześniej zrobił to węgierski oddział Telecommerce, nie sądzę więc...

– Pozwól mi skończyć, Mati. – Nadal uśmiechała się słodko, lecz w jej oczach zalśniła stal. – Za integracją waszego przedsiębiorstwa z Unitelem i scaleniem go w jeden wielki, sprawnie funkcjonujący organizm będą iść pewne następstwa, o których może jeszcze nie słyszeliście, a o których ja właśnie chcę was poinformować! Pozwólcie, że porównam tę zmianę do kropli, która wpada do morza. Jako dział marketingu będziecie mieć o wiele większe możliwości finansowe oraz budżet, ale zostanieie pozbawieni indywidualizmu. Tak jak z tą

kroplą wpadającą do morza. Nie będzie miała już odrębności kropli, za to siłę całego oceanu. Czy wyrażam się jasno?

– Aż nazbyt jasno, droga Wiktorio, aż nazbyt! – przerwał ten wywód zaniepokojony Mati.
– Ale, powiem szczerze, że jesteśmy tym faktem nieco, jak by to ująć... Zaskoczeni!

– Cóż jest w tym zaskakującego? – uprzejmie zdziwiła się wciąż uśmiechnięta Wiktoria.
Mat kątem oka zobaczył, jak Jean Paul ukradkiem luzuje ciskaną go najwyraźniej kołnierzyk.

– Zgodnie z twoją teorią kropli wygląda to dość niepokojąco.

– Nie bardzo rozumiem.

– Za chwilę ma nas wchłonąć ocean, mający kompletnie pozbawić nas indywidualizmu, dzięki któremu do tej pory, dostosowując się do potrzeb polskiego konsumenta, osiągnęliśmy fantastyczne rezultaty. Tymczasem ocean, który tak obrazowo opisałaś...

– Ocean, który da wam środki i możliwości, o których dotąd nie śniliście! – przerwała mu.

– To, że mielibyśmy większy budżet, działa naturalnie na naszą korzyść, ale już kwestia ujednolicenia poszczególnych aktywności reklamowych nie jest odgórnie narzucana z racji tego, że jest się monopolistą. To leży w gestii dyrektorów zarządzających! Z tego, co się orientuję, oddział węgierski, dla dobra rynku, pozostawił decyzyjność co do sposobów komunikacji swojemu działowi marketingu. Nikt nie narzuca im niczego z góry... Rynek telekomunikacyjny to nie to samo co FMCG^[5]! Nie można wrzucać takiej samej reklamy na całą Europę! Nie bardzo więc rozumiem, dlaczego w Polsce miałyby być inaczej niż na Węgrzech...

– Ekhem, Mat – wmieszał się zaniepokojony Jean Paul. – Nie masz podstaw czuć się zaniepokojony! Nikt nie będzie wchodził w twoje kompetencje... Nasz dział marketingu zachowa odrębność. Zadaniem Wiktorii jest jedynie usprawnienie pewnych spraw technicznych. Takie jak procedury dotyczące wyboru dostawców...

Wyraźnie dawał Wencłowi znaki, by nie brnął w dalszą dyskusję, lecz przekorna natura nie pozwalała Mateuszowi milczeć, gdy próbowano go do tego zmusić.

Zakres kompetencji Wiktorii był zbyt szeroki. Szeroki, a zarazem mglisty, co dawało jej pole do wielu nadużyć, gdyby miała ku temu ochotę. A on nie zamierzał wpuszczać nikogo na swoje terytorium. Jeśli nie powstrzyma jej teraz, potem będzie tylko gorzej...

– Droga Wiktorio – zaczął z szerokim uśmiechem. – W zeszłym roku dopasowaliśmy już procedury dotyczące wyboru podwykonawców do wymogów klasy A, a więc tych najbardziej restrykcyjnych, obowiązujących rynkowych monopolistów. Słyszę, że masz to teraz usprawniać. Droga Wiktorio, po co naprawiać coś, co działa doskonale?

Po sali przeleciał śmieszek, ale jakże nikły! Bali się jej, kurwa. Po prostu się jej bali!

– Drogi Mateuszu! – zaczęła identycznym jak on tonem. – A kto powiedział, że działa doskonale?

– Wyniki mojego zespołu mówią same za siebie. – Nie odrywał od niej wzroku, nadal uśmiechając się szeroko.

Również się uśmiechała, lecz Mati miał już zupełnie inne wrażenie niż z początku rozmowy. Antonia miała rację – groźna z niej jędrza. Niepozorna. Tym gorzej. Pewnie czuł to już od wejścia, lecz sam siebie oszukiwał, łudząc się, że sprawiała wrażenie miłej. W dodatku, jeśli zwiódła go od progu, oznaczało, że była sprytna. Uprzejma i kulturalna, nie popuszczała jednak ani na krok. Na jedno jego słowo miała w odpowiedzi dziesięć własnych.

Oj, niedobrze to wyglądało, niedobrze...

– Liczby i wyniki to w Unitelu nie wszystko, Mati – mówiła ciepło, niemal przyjacielsko. Poczul na plecach gęsią skórę. A więc będzie ich karmić korporacyjnym bełkotem. Świetnie! Tego jeszcze w dziale nie mieli.

– Brzmi to bardzo dogmatycznie, Wiktorio! – Założył nogę na nogę. – W takim razie jeśli nie kryteriami liczbowymi, czym więc będziesz się kierować przy usprawnianiu procedur?

– Wartościami korporacji, które, tak się składa, wyznają również w życiu prywatnym – mówiła cichym, stanowczym głosem. Jean Paul dyskretnie osuszył czoło bawełnianą chusteczką. Członkowie Mateuszowego zespołu słuchali w napięciu.

– Słuchajcie, nie chcę zaburzać pracy waszego najwyraźniej dobrze funkcjonującego zespołu, nie bójcie się! Mam jednak robotę do wykonania i nic mnie nie powstrzyma. Owszem, wyniki macie dobre, ale konkurencja nie śpi. Rynek zmienia się bardzo dynamicznie! Coś, co dobrze działa dziś, jeśli pozostanie niezmienione, za dwa lata wypada z obiegu, bankrutuje. Musimy bacznie przyglądać się tendencjom rynkowym, musimy umieć dostrzegać wahnięcia, zmiany i zaradzić im w porę!

– Zgadzam się! Ale możemy to zrobić, jedynie zachowując odrębność! Nie zdołamy wychwycić takich trendów w skali masowej!

– Pozwolę się z tobą nie zgodzić, Mati! Konsument polski niewiele się już różni od europejskiego. Zresztą niczego nie przesądzam. Obiecuję, że z całego serca będę się starać szukać dla was jak najlepszych rozwiązań, ale muszę mieć pełną współpracę z waszej strony! Muszę wiedzieć o wszystkim, by realnie ocenić sytuację! Chcę, żebyście wszyscy w pełni zaangażowali się ze mną w tę podróż – w próbę wprowadzenia Telecommerce w przyszłość!

Zapadła grobowa wprost cisza. Dopiero po chwili swe popisy krasomówcze rozpoczął spocony Jean Paul. Poczciwina pragnął pogodzić zwaśnionych. Z jednej strony gorliwie zapewniał Wiktorię o pełnej gotowości współpracy całego działu, z drugiej pocieszał Matiego, że nic się nie zmienia i że ten nadal będzie się cieszył niczym nieskrępowaną swobodą. Nawet ci, którzy obdarzeni byli bardzo bujną wyobraźnią (a nie brakowało takich w dziale zajmującym się reklamą), nijak nie mogli sobie jednak wyobrazić, jak ta gładka współpraca miałaby wyglądać, gdy dwa przeciwstawne fronty gotowały się już do starcia, jak masy gorącego i zimnego powietrza zapowiadające nadciągający huragan.

Rozdział kancelarii

Paweł Wencel leżał z szeroko otwartymi oczami i wpatrywał się w sufit. Ulicą przejechał samochód, dziwne smugi światła sunęły po suficie. Nie mógł spać. I dobrze. Sen nie przynosił ukojenia. Poza tym każde przebudzenie kazało na nowo doświadczać tego, co już raz przeżył. Tak jakby ktoś co rano doręczał mu koszmarną depezę. Pierwszą dyżurną myślą o poranku było niezmiennie to, że odeszła. Odeszła z gachem. Chłoptasiem. Gnojkiem. Gołodupcem. Zerem.

Potem, niczym chmara kęsających much, nadlatywały palące wspomnienia rozmowy ze współnikiem. Rozpierzdolona firma. Zybert nieodbierający telefonu. Spisek. Istny spisek, kurwa! Zdrada na całej linii. Sprawa Baranowskiego.

Gwałtownie podniósł głowę z poduszki i zapalił lampkę.

Ciekawe, jak głęboko sięga królicza norka? I czy na pewno powinien nią podążać?

Zapalając pięścią wszystkie światła, jakie napotkał po drodze, dotarł do kuchni i nastawił wodę na kawę. Czekając, aż się zagotuje, sięgnął po papierosa. W rozpiętej koszuli stał w oknie i palił. A więc Zagajewicz wykorzystał sytuację. Kiedy on, Paweł, zajęty był pisaniem wniosku o zabezpieczenie powództwa na majątku współnika, tamten chyłkiem obdzwonił wszystkich wspólnych klientów z propozycją współpracy.

Baranowski mu o tym doniósł. Poczciwy, lojalny Baranowski dowiedział się o tym od swojego kolegi, prezesa innej dużej spółki deweloperskiej. Ponoć Zagajewicz oczerniał Pawła, gdzie mógł. Skurwiel.

Dziś o dziewiątej rano miał spotkanie z byłymi współnikami. Mieli rozdzielić biznes. Całą kancelarię. Ciekaw był przy okazji, jak zachowają się pracownicy. W dużej mierze zależało to od tego, co im Zagajewicz naopowiadał lub naobiecywał... Pawłem wstrząsnął dreszcz.

Od tygodnia nie przychodził do biura, zajęty koordynowaniem działań mających na celu przyskrzynienie współnika. Chciał doprowadzić do zajęcia jego majątku, pisał już pozew w imieniu Budexprimu, a równocześnie spotykał się z komornikiem i dziekanem OIRP^[6]. Zaniedbał więc trochę tę jakże istotną kwestię: politykę... Dopiero dwa dni temu wysłał wszystkim swoim klientom informację o niechlubnym splicie^[7] i propozycję indywidualnej współpracy. Zapewne te dwa szczury zrobiły to samo, a o ile zdążył ich poznać, nie grali czysto. Był jednak tak zajęty formalnościami, że nie myślał wtedy o niczym innym. A to błąd, duży błąd. Z drugiej strony, znając swoją solidność i przywiązanie klientów do jego – a nie Zagajewicza – porad, zdziwiłby się, gdyby zdecydowali się pójść za byłym współnikiem.

Dzisiejsza rozmowa pewnie nie będzie należała do przyjemnych. Miał świadomość, że tych dwóch łgarzy jest już zapewne dawno dogadanych. Pytanie tylko, kto z pracowników kancelarii zdecyduje się przy nim zostać. Z pewnością ci, którzy obrabiali jego klientów, to jasne... Gorzej będzie z samym lokalem. Czynniki negocjował ojciec Zagajewicza, a że dobrze znał wynajmującego, mógł z łatwością wpływać na jego decyzje.

Nieważne. To wszystko nieważne. Znajdzie nowy lokal. I tak nie mógłby tam pozostać i oglądać tych dwóch... Zdawał sobie sprawę, że nie powinien kierować się sentymentami, a jedynie kosztami i zdrowym rozsądkiem, lecz aż wzdragał się na myśl o spotkaniu z Zagajewiczem.

Oszust, którego uważał za najlepszego kumpla. Któremu parę razy, po wódce, zwierzał się z problemów z Hanną.

Zapalił drugiego papierosa i przyglądał się, jak ulica budzi się do życia. Świtało. Przydymiona czerń zmieniała się w siwą szarość poranka. Ulicą przemykali przygarbieni przechodnie. Z oddali dobiegał szum ruchu ulicznego. Po moście Poniatowskiego zaczynały jeździć pierwsze tramwaje. No, czas na niego. Musiał się przygotować. Chciał wyglądać

nienagannie, zwłaszcza że nie wiedział, do czego zmuszą go dzisiejsze rozmowy.

Kąpał się ponad godzinę. Choć źle mu to robiło na serce, zapalił w wannie jeszcze jednego papierosa. Potem zanurzył się cały i dokładnie umył głowę. Nieskazitelnie czysty i bardzo starannie ubrany stanął przed lustrem i gniewnie przyglądał się swojemu odbiciu. Zauważył, że w ciągu ostatnich dni trochę schudł. Z zaciętą miną porwał płaszcz i teczkę. Jego zwalista, przygarbiona, trochę niedźwiedziowata postać zniknęła za drzwiami frontowymi.

Punkt dziewiąta przestąpił próg kancelarii. Mimo że niemal nie podnosił oczu, jego mózg rejestrował i gromadził wszystkie niepokojące sygnały nadciągającej burzy. Sekretarka trwożnie uniosła głowę, kiedy ją mijał. Zmieszana, zawołała za nim „Dzień dobry”, na co odpowiedział jedynie skinieniem głowy. Drzwi gabinetów Zagajewicza i Zyberta były zamknięte. Pani Mazur, radca prawny, którą minął przy kserokopiarce, zachowywała się co najmniej dziwnie. Zaczerwieniona, spuściła głowę, ledwo mamrocząc słowa powitania. Odburknął coś nieuprzejmie. Panienki Malinowska i Kazubek, które właśnie wyszły na korytarz, rozpierchły się przed nim jak gazy na widok lwa. Paweł minął je z miną niewróżącą niczego dobrego. Spisek, spisek na całego! O, niedoczekanie ich! Próżne lafiryndy! Mają swoją chwilę uciechy za wszystkie uwagi, które im często czynił, zresztą bez większego przekonania, że cokolwiek im klarował, zapadnie w te ptasie mózdzki. Dotarł do swojego gabinetu, rzucił płaszcz i teczkę, wziął komórkę i nie mogąc wytrzymać ani minuty dłużej, ruszył ponury jak chmura gradowa w stronę sali konferencyjnej, gdzie już powinni czekać oni. Wspólnicy.

Znów minął sekretarkę. Spod spuszczonej rzes dostrzegł jej twarz. Czy mu się wydawało, czy uśmiechnęła się do niego współczująco?

Teraz dopiero poczuł, jak narasta w nim ślepa furia. On, który wykrył nieprawidłowości we własnej kancelarii, on, który ma tu moralne prawo do piętnowania innych, sam jest ofiarą?! A więc bezczelny szarlatan Zagajewicz nie dość, że wyciął numer własnemu klientowi, JEGO – Pawła – klientowi, to jeszcze naszykował tu najwyraźniej jakiś rokosz. Bunt debili? Och, niedoczekanie ich wszystkich! Zaraz rozgoni tę czeredę na cztery wiatry!

Czerwony, z rozdętymi nozdrzami, wszedł powoli do sali konferencyjnej. Na końcu wielkiego, mahoniowego stołu siedzieli obok siebie jego wspólnicy. Zagajewicz i Zybert. Szeptali coś między sobą, ale na jego widok zamilkli, jakby zobaczyli diabła. Pierwszy wstał Robert i ruszył w kierunku Pawła, jakby chciał uścisnąć mu rękę, lecz Wencel nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Usiadł naprzeciwko nich, ze skupioną miną otworzył grubą teczkę, po czym zaczął ją wertować. Twarz Zagajewicza okryła się żółtawą purpurą. Wrócił na swoje miejsce i, posapując, zaczął poprawiać dłonią wybrylantynowane włosy i strzepywać pyłki z, wydawałoby się, nieskazitelnej włoskiej marynarki.

– Panowie. – Zybert chrząknął z zakłopotanym uśmiechem, kręcąc z dezaprobatą głową i wbijając wzrok we własne buty. – Nie róbmy tutaj cyrku. Zróbmy to profesjonalnie! Ostatecznie znajomość to znajomość, a biznes to biznes! Załatwmy sprawy kulturalnie! Proponuję...

– Nie odzywaj się, nie ciebie sprawa dotyczy. – Paweł podniósł na Zagajewicza skupiony, chłodny wzrok.

– O, przepraszam! O ile mi wiadomo, jestem tu równoprawnym...

– Adam... Adam... – Zagajewicz uspokajająco poklepał kolegę po dłoni. – Daruj mu, jest zdenerwowany. Czeka, potem wyjaśnimy sprawy spółki...

Zybert podniósł do ust filiżankę herbaty z cytryną, chcąc ochłonać. Drżała mu ręka. Zagajewicz jeszcze raz klepnął go po plecach, jakby chcąc mu dodać otuchy.

Ach, więc to tak się sprawy miały? I odganiając wizję rzucenia w nich stołem, przy którym siedzieli, Paweł podjął suchym głosem:

– Z tego, co mówi Zybert, sprawa spółki zdaje się być przesądzona. Nie spodziewałem się po nim niczego innego – mówił o Zybercie w trzeciej osobie, jakby tamtego nie było na sali.

– Nie ma to zresztą dla mnie żadnego znaczenia. Odchodzicie razem w swoją stronę, ja w swoją.

– Daruj, przyjacielu, ale to ty pakujesz manatki i stąd się zwijasz. – Zagajewicz, wciąż czerwony, rozparty niczym basza, bawił się swoim telefonem komórkowym.

Pawłowi krew uderzyła do głowy. Pochylił się do przodu i patrząc byłemu wspólnikowi prosto w oczy, wycedził:

– A za co opłacisz czynsz, złodzieju? Za to, co wywinałeś Baranowskiemu, zlicytuję cię co do ostatniej złotówki! Tym razem nikt ci nie pomoże!

Zybert siedział wstrząśnięty, jednak nie mógł się oprzeć i wyjąkał:

– Kierujesz się osobistą zemstą, Pawle! W życiu bym się tego po tobie nie spodziewał!

– Co? – Paweł przeniósł na niego nieprzytomny ze wściekłości wzrok.

– Wszyscy w kancelarii wiedzą, co stało się z twoją żoną. Nie możesz jednak przekładać tego, co między wami, na biznes. Straciłeś wiarygodność, nie tylko u wszystkich pracowników kancelarii...

– Adam, Adam – mitygował go Zagajewicz, jakoś zaniepokojony zwrotem w konwersacji.

Paweł widział ich jak przez mgłę. Co, u diabła, bredził ten karaluch? A więc Zagajewicz sprzedał im wersję, że Paweł podaje wspólnika do sądu z zazdrości?! Może i powinien wyjaśnić Zybertowi tę kwestię, ale jakiś niechętny upór, leżący u podstawy jego charakteru, zamykał mu usta. Wycedził tylko, patrząc na Roberta:

– Sprawy między mną a moją żoną to nie wasz zasrany interes. To, że kłamiesz, rozpowszechniając tu jakąś nieprawdziwą wersję wydarzeń, niebawem się wyda! I jeśli sądzisz, że w środowisku nie wyjdzie na jaw, że wsadziłeś Baranowskiego na minę, jesteś w błędzie...

Zagajewicz, ceglasczerwony na twarzy, nerwowo podrygiwał stopą, wbijając wzrok w swój kalendarz. Nie odpowiedział ani słowem.

– Szczegóły pozwu poznasz wkrótce, zostawię ci tę przyjemność na potem. Natomiast powiedz swojemu zleceniodawcy, tej cholernej gnidzie, że chociażbym miał resztę życia na tym spędzić, doprowadzę zarówno ciebie, jak i jego przed oblicze prawa!

– Czegoś się tak na to uparł? – nie wytrzymał Zagajewicz. Poderwał głowę do góry i przygryzł policzek. – Nie widzisz, ile obaj na tym tracimy?

Dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Paweł wiedział doskonale, jak rozumuje Zagajewicz. Nie było w żadnego z nich interesie się procesować. Wynagrodzenie, które zapłaci Pawłowi Baranowski za wygranie procesu, nie zdoła w najmniejszym nawet stopniu powetować strat, które poniesie jego kancelaria, rozdzielając się. Stracą dobry wizerunek, obaj okryją się hańbą, kiedy jakakolwiek wersja wydarzeń rozejdzie się po mieście. Zagajewicz nie mógł Pawła zrozumieć, w głowie mu się nie mieściło, że można robić coś ze względu na zasady.

Paweł jednak nie zamierzał mu tego wyjaśniać. Przymknął oczy. Dobiegł go dygoczący głos Roberta:

– Zmuszasz mnie, bym po tylu latach wyrzucił cię z lokalu. Ale nie zostawiasz mi wyboru!

– W ciągu kilku dni spakuję akta, zabiorę ludzi i wyprowadzam się – chłodno odparł Paweł.

– Zaraz, zaraz, jakich ludzi? – niespokojnie wtrącił Zybert.

– Czekaj! – Zagajewicz rzucił koledze karcące spojrzenie, po czym założył nogę na nogę.

– A jakich to ludzi zamierzasz stąd zabierać? I, przepraszam, dokąd?

– Moich aplikantów. I trzech radców. Czy ich też nastawiłeś przeciwko mnie? – zapytał

Paweł, purpurowy na twarzy.

– Rozmawiałem między innymi z panem Rochowiczem. Ma bardzo mieszane uczucia!

– Ohoho! Ale z ciebie twardziel! – Paweł uśmiechnął się złowieszczo. – Jeśli potwierdzą się twoje słowa, że Rochowicz rozmawiał z tobą w taki sposób, za moimi plecami, wymiotę go z PGNiG-u w piętnaście sekund! – zagrział. – I zaraz znajdę sześćdziesięciu chętnych na jego miejsce, którzy będą dwa razy tańsi. Ale jeżeli łzesz...

Zagajewicz poruszył się nagle, jakby ktoś niewidzialny pchnął go do przodu. Puszczaly mu nerwy, nie do końca panował nad ciałem. Wyjął z kieszeni papierosy, drżącymi rękami szukał zapalek... Zybert zaczął coś cicho szeptać...

– Sekundę! Spokojnie, Adam! Nie szturchaj mnie, wiem, co mówić! Co do Rochowicza, to Adam z nim rozmawiał, nie jestem więc pewny, jakie są jego postanowienia...

– A jakim, kurwa, prawem rozmawiałeś z moimi pracownikami o tym, z kim pozostaną, bez ustaleń ze mną? – Paweł z miną warczącego psa zwrócił się teraz do Adama Zyberta.

– Są nie tylko twoimi pracownikami. – Zybert z oburzeniem poprawił okulary. – Dostają zlecenia od nas wszystkich!

– Dwie marne apelacje rocznie, które im zlecasz, kupią ci ich lojalność? – Teraz i Paweł wyciągnął papierosa. Zapalił, wydmuchując w stronę Zyberta chmurę szarego dymu. – Jakim prawem podburzasz przeciwko mnie pracowników?

– Paweł, Paweł, bez agresji...

– Kończmy tę komedię, nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia! – Paweł strzepnął popiół do pustego kubka po kawie. – Nie mam ochoty dalej w to brnąć. Żałuję, że w ogóle podjęliśmy jakąkolwiek rozmowę. Poprzestańmy na rozdziale klientów. Mam tu ich listę – odezwał się sucho. – Dogadajmy się, żeby nie robić obciachu na zewnątrz. Jak podzielimy, co powinno być łatwe, bo każdy weźmie tych, których sam przyprowadził, przyporządkujemy do nich pracowników, którzy ich obsługują i będziemy mieć to z głowy. Resztę dogadamy telefonicznie lub mailowo.

– Niestety, Paweł, chyba nie będzie to takie proste. – Szklą okularów Zyberta zaświeciły złośliwie. – Chcę ci powiedzieć, nie bez satysfakcji, że Dromex, czyli klient przyprowadzony przez ciebie, przysłał nam już podpisaną deklarację współpracy. Jak widzisz, takie zachowanie jak twoje nie popłaca.

Paweł poczerwieniał jak burak. Powoli uniół ręce i zasłonił sobie oczy. Parę dni temu przetrwał już zdradę Zagajewicza. Wiedział też, że czeka go batalia sądowa przeciwko wspólnikowi. Ale podchody o klientów? Brudne, lepkie gierki? O nie. To było ponad jego siły!

Gwałtownie wstał i podszedł do okna. Czuł, że ci dwaj obserwują go ze strachem. Nie mieli pojęcia, do czego skłoni go ten nowy zwrot w rozmowie. Spodziewali się, że zachowa się tak, jak oni by się zachowali.

Nie miał na to siły. Po prostu fizycznie nie był zdolny prowadzić dalej tej dyskusji. Mogli go nazywać frajerem, mięczakiem... Trudno. Jak w koszmarnym śnie zgarnął ze stołu komórkę i przyniesiony na spotkanie kalendarz z listą klientów. Kątem oka widział ich zdumione miny. Z hukiem zatrzaskała za sobą drzwi.

Słaniając się, szedł korytarzem w stronę swojego gabinetu. Po drodze mijał aplikantów i studentów. Niektórzy umykali przed nim wzrokiem, inni przyglądali się ciekawie. Pani Malinowska i pani Mazur stały przy kontuarze recepcji, rozbawione.

Paweł dotarł do gabinetu i zamknął drzwi na klucz. Powoli podszedł do ozdobnej biblioteczki, odsunął szybkę, wyjął kilka książek. Za nimi ukazał się sejf. Ostrożnie go otworzył. Powoli, jakby w zwolnionym tempie, opróżnił go, skrętnie chowając zawartość do aktówki. Potem zatrzaskała drzwiczki, ustawił książki i ruszył w stronę biurka. Skrupulatnie przejrzał dwie

górne szuflady. Niektóre teczki chował do neseseru, inne zamykał na kluczyk.

Na koniec wyjął z szafy kilka skoroszytów i umieścił je w neseserze, a następnie pozamykał na kluczyk wszystkie szafy i szafeczki. Potem wyszedł z pokoju, który zamknął na wszystkie możliwe zasuwki (dziś mógł sobie pogratulować, że tak przezornie niegdyś je zainstalował).

Objuczony, szedł korytarzem do wyjścia. Kręcący się tam pracownicy znikali mu z pola widzenia, jakby zmieceni wiatrem. Opuścił głowę i szedł, najszybciej jak mógł. Nagle ktoś dotknął jego ramienia.

Pani Agnieszka, sekretarka. Stała tuż za nim, jakby przerażona swoją śmiałością.

– Tak, pani Agnieszko? – odezwał się gniewnym, znużonym głosem. – Jeśli to może poczekać, byłbym wdzięczny...

– Wychodzę z panem, panie mecenasie. – Patrzyła na niego przejęta.

Rzeczywiście była w płaszczu, w ręku trzymała dokumenty.

– Wychodzi pani? Po co? Dlaczego?

Paweł nie zrozumiał. Chciał jak najprędzej znaleźć się sam. Tym bardziej że drzwi do sali konferencyjnej otworzyły się i stał w nich ten pajak, Zyberty, przyglądając się im z niepokojem.

– Pani Agnieszko, co pani robi? – Zyberty ruszył korytarzem w ich kierunku. – Co tam pani niesie?

Z pokoi wyglądały zaciekawione głowy.

– Pani Agnieszko, mówię do pani! – Głos Zyberty zgrzytnął surowo. – Jestem pani pracodawcą i proszę, żeby odłożyła pani te dokumenty, będące własnością kancelarii.

Pani Agnieszka utkwiała w Pawle przerażony, pytający wzrok. Zyberty podszedł bliżej i chciał chwycić ją za rękę.

Paweł, oszołomiony ostatnimi wydarzeniami, sam do końca nie wiedząc, co robi, schwycił Zyberty za węzeł cienkiego krawata i uniósł tak, że tamten zaczął się wić i krztusić.

– Póki co, to ja jestem jej szefem! – Przybliżył twarz do wykrzywionej, przerażonej twarzy tamtego. – A ty wracaj polerować kutasa Zagajewiczowi, wazeliniarzu przekłety!

I niejako na potwierdzenie plotek rozgłaszanych przez Zagajewicza, że stał się niepoczytalny, nasadził chuderlawego wspólnika na ostry, kanciasty stojak na parasole, który niegdyś osobiście zakupił w Liberty Style Boutique w Paryżu. Potem chwycił za rękę panią Agnieszkę i pociągnął za sobą na zewnątrz, silnie trzaskając drzwiami.

Forum ekonomiczne w Krynicy

W sali bankietowej starego domu zdrojowego w Krynicy zgromadził się elegancki tłumek. Moźni, znani i bogaci. Więksi lub mniejsi biznesmeni. Lobbyści i politycy. Wszyscy oni usadzeni zostali przy okrągłych, dziesięcioosobowych stołach. Cichy gwar i pobrzękiwanie szkła uzupełniała dyskretna muzyka skrzypcowa.

Mirosław Kwaśniak z trudem krył zniecierpliwienie. Niefortunnie zajął miejsce obok jakiegoś starego bałwana, który od piętnastu minut katował go opowieścią o zamachu Armii Krajowej na jakiegoś komendanta Pawlaka czy może Pawiaka? Kwaśniak nie umiałby powiedzieć ze stuprocentową pewnością, gdyż wpuszczał historię jednym uchem, a wypuszczał drugim. Nerwowo bębnił palcami w obrus, popijał wodę i tęsknie spoglądał ku sąsiednim stolikom, gdzie, jak sądził, ubiłby już kilka lukratywnych deali¹⁸¹. Coraz bardziej ostentacyjnie odwracał się plecami do namolnego piernika, ale tamten nie dawał za wygraną.

Jakaż niepowetowana strata czasu! Pieniądze umykały mu koło nosa. No proszę – jego szef, Vince, siedzący parę stołów dalej (Kwaśniak widział jego dużą wełnistą głowę) – nie tracił czasu. Już przygruchał sobie jakiegoś prowincjonalnego biznesmena – zapewne prezesa zakładu przetwórstwa czy produkcji – co Kwaśniak poznał po garniturze. Tacy byli najlepsi, bo bez szemrania płacili wysoką stawkę, bojąc się wyjść na dziadów – przynajmniej tak Kwaśniak słyszał, bo jak na razie niewiele miał wspólnego z prawdziwym biznesem. Obsługiwał klientów korporacyjnych, z francuskim kapitałem, a jego działalność tyczyła głównie umów najmu. Od dawna był jednak głęboko przeświadczony, że gdyby tylko miał taką możliwość, ukręciłby parę grubych interesów na własną rękę. I właśnie dziś taka okazja wreszcie się nadarzała.

Vincent wybrał na ten wyjazd jego i jeszcze jednego aplikanta radcowskiego, totalnego żółtodzioba – Nawrockiego. Zabrał ich na forum ekonomiczne głównie w charakterze tłumaczy. Ponoć miał tu być reprezentowany francuski kapitał, więc należało skorzystać z okazji, by przydybać paru klientów już przy wejściu na polski rynek. Część obecnych tutaj żabojadzkich klientów nie była obsługiwana przez Guy globalnie, dlatego Vincent umieściłby sobie taki połów na sztandarze osobistego sukcesu.

Teraz siedział spięty i szczyrzył duże, ostre zęby w wilczym, drapieżnym uśmiechu, próbując zrozumieć koślawą angielszczyznę tego pożał się Boże przedsiębiorczyny o załęcznionym wyrazie oczu. Nawrocki owszem, tłumaczył, ale zapewne robił coś nie po myśli Vincenta, bo ten co chwila mu przerywał, niemal odsuwając go od stołu wraz z krzesłem i od czasu do czasu zaciskając wielką, żylastą, włochatą łapę na jego chudej, chłopięcej dłoni, jakby chciał mu ją zmiażdżyć.

Jego zniecierpliwiony wzrok spotkał się z unizonym, gorliwym spojrzeniem Kwaśniaka, który odruchowo wyprostował się i poprawił krawat. Cholera jasna, teraz Vincent był na niego wściekły, a przecież to nie jego wina. Szukał miejsca obok nich, ale wszystko było pozajmowane. Wcześniej niepotrzebnie wstąpił do toalety. W efekcie spóźnił się, a jakiś prominentny gość przesunął karteczkę z jego nazwiskiem i zajął mu miejsce. A Kwaśniak nie śmiał protestować. Gość był obcokrajowcem i wyglądał na bogacza, cholera zresztą wie, kto zacz. Masz ci los. I siłą spojrzenia, i mimiką twarzy próbował przekazać teraz szefowi zarazem wsparcie i skruchę. Chciał też wyrazić na migi solidarną dezaprobatę wobec nieudolności Nawrockiego, ale nie zdążył. Wściekły Vince już odwrócił od niego oczy.

Zaniepokojony rozdrażnieniem szefa, wyjątkowo opryskliwie odpowiedział staremu ramolowi. Miał już serdecznie dość tej gadaniny o drugiej wojnie światowej, cholera jasna. Rozzłoszczony, a zarazem wylękniony jadł tatar, popychając go chlebem na widelec.

Zdecydowanie nie znajdował się w sytuacji, w której mógłby pozwolić sobie na błędy.

Owszem, planował opuścić gościnne jak dotąd mury Guy, ale wiedział doskonale, że co nagle, to po diable. Musi najpierw wyłowić kilka grubszych ryb, musi zacząć je skrobać na własny rachunek. Ma mieć solidną bazę klientów, zanim zacznie działalność na własną rękę. Nie ma co podpadać komukolwiek w Guy! Pieniądze, które wyciągnął dzięki tym dwóm osłom, teraz bardzo się przydadzą. Niezła sumka jak na start. I ten idiota Zagajewicz... Bezradny jak pachole. Dużo od niego starszy, ojciec dzieciom, a taki bęcwał.

Jedyną myślą, która kładła się lekkim cieniem na wszystkie jego plany i dzisiejsze samopoczucie, była zniechęcona postać Pawła Wencła. A więc Paweł go tropił... Coś podejrzewał. Hm. Mógł sobie szukać wiatru w polu. Wszystko przeprowadzone zostało czysto, w białych rękawiczkach. Przez spółki offshore'owe. Wencel nie miał szans. Mógł sobie podejrzewać, ale praktycznie nie miał możliwości niczego mu udowodnić. Ale jednak... Mimo wszystko nie była to przyjemna świadomość. Mirosław lubił mieć wszystko na czysto...

Teoretycznie jednak nie było sposobu, żeby ktoś mu coś udowodnił. Rozmowy prowadził w cztery oczy, a poza tym nikt mu nie udowodni, że wziął w łapę! Pod względem technicznym sprawa wyglądała jak pewniak, ale niesmak pozostawał...

Ileż by dał, żeby ktoś tamtemu obił gębę, postraszył go jakoś... Ale nie... Nie posunąłby się do tego, to zbyt niebezpieczne. Poza tym – niecywilizowane! Zresztą takie rzeczy zawsze wychodzą na jaw, prędzej czy później. Miałby tylko kłopoty, a po co mu one, kiedy przed nim wielka kariera, czuł to...

Zresztą nieważne. Zaraz skończy się ten przekłęty obiad, odczepi się od trzęsącego się dziadygi i rozpocznie polowanie. Wyłuska paru klientów, a za parę miesięcy kulturalnie, spokojnie i bez palenia za sobą mostów odejdzie z Guy. Rozpocznie własną praktykę prawniczą. Na pewnym szwajcarskim koncie spoczywała ładna sumka, która wystarczy na wielomiesięczne zabezpieczenie. Kryzys mu niestraszny. On z głodu nie umrze.

À propos głodu – podano deser. Mus czekoladowy z wiśniami i czubkiem z bitej śmietany. Mirosław Kwaśniak zanurzył w nim łyżeczkę i udał, że nie słyszy, jak stary znów się do niego odzywa. Postanowił zwrócić się do kobiety, którą miał po lewej. Do tej pory rozmawiała ze swoim towarzyszem, który właśnie odszedł od stołu. Kobieta zainteresowała go z dwóch powodów. Po pierwsze, szukał pretekstu, by odczepić się wreszcie od natrętnego rozmówcy, a po drugie, wydawała mu się skądś znajoma. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że była kimś znaczącym. Sprawę ułatwiał fakt, że kilka razy zerknęła na niego z zaciekawieniem. Naturalnie.

Poprawił krawat, uśmiechnął się uwodzicielsko i rzucił jej ukośne spojrzenie.

– Wyborne wino, nie sądzi pani?

– Ja tam wina nie pijam za często, więc się nie znam, ale smakuje całkiem dobrze – odezwała się, uśmiechając się sympatycznie. Usłyszawszy jej głos, nareszcie skojarzył! No jasne, jak mógł być takim ignorantem! To była Beata Rząsa-Pracz, posłanka Porozumienia Narodowego, nowej formacji politycznej, utworzonej niecały miesiąc temu, po rozpadzie poprzedniej koalicji. Formacja ta, po przedterminowych wyborach i pod płaszczykiem zmian wewnętrznych, drugi raz z rzędu sięgnęła po władzę. Ludzie pozostali ci sami, ale nazwali się inaczej. Dokooptowali paru posłów z innych ugrupowań i pod wodzą nowo wybranego charyzmatycznego prezesa rozpoczęli rządy jako ugrupowanie umiarkowane postępowe, głoszące, że tym razem naprawdę skutecznie zamierza zrobić porządek z korupcją.

Widział ją w telewizji mnóstwo razy! Nowy prezes chyba bardzo jej ufał, bo co rusz prezentowała się o niebo lepiej niż w telewizji. Jakby szczuplejsza. Z trudem powstrzymał się od zatarcia rąk. Miał tylko moment, by zadziałać, jej towarzysz zapewne tylko na chwilę poszedł do

toalety. Mało prawdopodobne, by to był mąż. Z tego, co Mirek zdążył zaobserwować, odnosili się do siebie z rezerwą i nieufnością. Raczej mało znaczący kolega z klubu.

Bystro omiół wzrokiem jej dłonie i torebkę, jakby i tam mógł odnaleźć świadectwo stanu cywilnego. Pewnie mężatka, choć nigdy na żadnych uroczystościach czy wystąpieniach z mężem się nie pokazywała.

– Ja też rzadko piję, we wszystkim należy zachować umiar. – Chrząknął i niespokojnie rozejrzał się dookoła.

– Absolutnie się z panem zgadzam. – Była chyba co najmniej dziesięć lat starsza od jego Joasieńki. Cera zmęczona, poszarzała. Pewnie palaczka. Ale te oczy! Wyrażały aprobatę, podziw! Żaden facet nie pozostałby obojętny. Tak przynajmniej sobie tłumaczył Kwaśniak ów nagły przypływ zainteresowania tą niezbyt urodziwą, przynajmniej w jego mniemaniu, kobietą.

– Pani tu z mężem? Zapewne jest biznesmenem? – Znacząco powiódł wzrokiem w stronę drzwi, gdzie przed chwilą zniknął jej towarzysz. Postanowił udawać, że jej nie zna, by nie pomyślała, że jest interesowny. Udowodnienie jej tego wydało mu się teraz najpilniejszą kwestią.

– Nie, jestem tu, można powiedzieć, zawodowo. – Cień niedowierzania przemknął przez jej twarz. A więc wydawało się jej niemożliwe, by jej nie rozpoznał. Należało szybko rozwiązać te wątpliwości.

– Pani pozwoli, że się przedstawię. Mirosław Kwaśniak. Jestem radcą prawnym w Guy et Chardon, dużej francuskiej sieciówce. Pewnie pani o nas słyszała. Miałem tu kilka wykładów. Pracuję głównie naukowo, trochę publikuję. Praktycznie ciągle siedzę z nosem w książkach. Można mnie nazwać typowym mołem książkowym! Pewnie dlatego nigdy nie wiem, kto jest kto – dodał niepotrzebnie.

– Bardzo mi miło!

– Ależ nie. To mnie jest bardzo miło! To ja jestem zaszczycony! I to ja jestem beneficjentem tego spotkania – wypowiedział swą wypróbowaną formułkę, szarmancko całując ją w dłoń.

– Beata Rząsa – rzekła nieco zmieszana, ale jednocześnie zachwycona, gdy dłużej przytrzymał jej rękę.

– Nazwisko, *par excellence*, skądś mi znajome! – Kwaśniak nie wypuszczał jej dłoni, co wywołało u nieszczęsnej kobiety rumieniec zawstydenia.

Proszę, proszę, taka wyszczekana na wizji, a jeden dotyk męskiej ręki i mięknię jej kolanka. Poczucie władzy nad nią przydawało mu pewności siebie i elokwencji.

– Już wiem! Czytałem o pani w „Rzeczpospolitej”!

– Co pan tam o mnie wyczytał?

– Zajmuje się pani otwieraniem korporacji prawniczych dla mniej uprzywilejowanych. Godne najwyższej pochwały! Będę niebawem pisał o tym pracę naukową.

Zdumienie odebrało jej mowę. Taki zbieg okoliczności! Jednak była kobietą doświadczoną, po przejściach i bała się zbyt łatwo okazać zaufanie. A nuż chciał ją wykorzystać?

– I naprawdę nigdy nie widział mnie pan w telewizji?

– Droga pani, w ogóle nie posiadam telewizora! – Kwaśniak kłamał jak z nut. – Całe dni siedzę w pracy, a wieczory spędzam w bibliotekach lub w domu z książkami. Koledzy z kancelarii mówią, że jestem dinozaurem. Skamieliną z innej epoki.

Chcąc zyskać na czasie, wzięła do ust łyżeczkę kremu czekoladowego.

– Wraca pani towarzysz, nie będę dłużej zawracał pani głowy. – Rzucił jej przeciągłe spojrzenie.

– To tylko kolega. Z klubu – wyrwało jej się mimo woli i wykonała nieokreślony gest ręką. Patrzył na nią w znaczącym milczeniu.

– Ależ naprawdę, proszę się do nas przyłączyć! Panu Adamowi będzie miło pana poznać – ciągnęła gorliwie.

– Pani Beato, jeśli mogę tak powiedzieć... – mówił do niej z bardzo bliska i ciszej, a jednak dobitniej niż do tej pory – ...rozmowa z PANIĄ to czysta przyjemność, ale polityka zupełnie mnie nie interesuje! Proszę wybaczyć naiwnemu idealistcie.

Nadał swojemu spojrzeniu taką intensywność i tyle wyrazu, że biedna pani Beata, kompletnie zawojowana, pozostała nieruchoma, jak rażona piorunem. Dopiero głos partyjnego kolegi przywrócił jej względną przytomność umysłu. Z trudem jednak panowała nad sobą i musiała użyć całej siły woli, by w miarę logicznie odpowiadać na jego natarczywe pytania. Tymczasem kolacja miała się ku końcowi. Szuranie krzesel. Wszyscy wstawali i kierowali się do sąsiedniej sali balowej. Adam Boroń ciągle perorował. Jeszcze tylko jedno przelotne spojrzenie i przystojny młody doktorant zniknął jej z oczu w tłumie.

Tymczasem Mirosław Kwaśniak, przeciskając się przez hałaśliwych gości, odnalazł Nawrockiego – tę pierdołę saską – cichutko podpierającego ścianę w pobliżu fontanny z fondue czekoladowym. Pociągnął go za sobą i wspólnie wyruszyli na poszukiwanie szefa, który zagubił się Nawrockiemu gdzieś przy barze. Kwaśniak zręcznie lawirował w gęstym tłumie, jednocześnie podtrzymując dość fasadową konwersację ze swoim firmowym kolegą, który momentami musiał niemal biec, by za nim nadążyć.

– Stańmy na chwilę! Wtedy łatwiej go odszukamy – zbuntował się w końcu Nawrocki, mając wrażenie, że Kwaśniakowi wcale nie zależy na odszukaniu Vincenta.

– Czekaj sekundkę, widzę Jakuba Bogatyna. Pójdźmy się przywitać! Tak wypada! – pouczył go Kwaśniak.

– Przecież nawet go nie znasz! – zdenerwował się Nawrocki, lecz kolega już ruszył w tamtą stronę.

Zwarty krąg otaczał bogatego biznesmena. Znani politycy, samorządowcy i prezesi firm napierali zewsząd, by znaleźć się jak najbliżej potentata przemysłu paliwowego.

– Panie prezesie, wiesz! – głośno wykrzyknął Kwaśniak, z determinacją przeciskając się w stronę zdumionego bogacza. Otaczający prezesa z pewnym zdziwieniem rozsunęli się na boki. Tylko ktoś znaczący mógłby przemawiać w ten sposób, co do tego nie mieli wątpliwości. Jednak mina Bogatyna wyrażała pewną nieufność.

– Mistrzowskie posunięcie, ten pana ostatni ruch. – Kwaśniak był już bardzo blisko i teraz zniżył głos do poufałego szeptu: – Mam na myśli zakup upadającej firmy kolejowej i obrócenie tego w złoto!

– Dziękuję – wycedził Bogatyn, rozglądając się na boki. – My się znamy?

– Mirosław Kwaśniak, do usług, kancelaria Guy et Chardon, obsługujemy między innymi Henke, firmę produkującą podkłady kolejowe, czyli pana potencjalnych klientów. – Kwaśniak znacząco zawiesił głos i wpatrywał się badawczo w twarz rozmówcy. Jakub Bogatyn milczał, a jego wzrok nie wróżył niczego dobrego, więc Kwaśniak nieco mniej poufałym tonem podjął kolejną desperacką próbę: – Po prostu jestem, *par excellence*, pana wielkim wielbicielem, śledzę i podziwiam rozwój pańskiego przedsiębiorstwa, a poza tym sam trochę siedzę w biznesie, znam trochę ludzi, więc ośmieliłem się – zawiesił na chwilę głos, wlepiając wzrok w twarz prezesa, jakby chciał z niej wyczytać, czy może mówić dalej, lecz najwyraźniej ten dał mu jakiś niewerbalny sygnał odmowny, bo Kwaśniak już tylko gorączkowym gestem gmerał w kieszeniach i ku nieukrywanemu zdumieniu wszystkich obecnych wcisnął biznesmenowi swoją wizytówkę.

Potem, jakby nigdy nic, odwrócił się na pięcie i mrugnął krzepiąco do stojącego nieopodal osłupiałego Nawrockiego, zgarnął z tacy dwa flety wypełnione prosecco i rzucił

pogodnie:

– No, załatwione! *Alors, on y va!*^[9] – I jak na skrzydłach ruszył przed siebie.

– Co mu powiedziałaś? – Nawrocki pociągnął większy haust ze szczupłego kieliszka, gwałtownie odchylając głowę do tyłu, jakby sobie strzelał kielich gorzałki. Miał już dosyć biegania za Kwaśniakiem, ale był w Guy nowy i nie zamierzał na razie podskakiwać. To, co wyprawiał Kwaśniak, zdawało mu się przesadne, ale kto wie? Może właśnie tak się to robi?

– Makaron mu na uszy nawijałem – odparł Kwaśniak, błędząc roztargnionym wzrokiem gdzieś nad głową rozmówcy. Naiwność tego żółtodzioba była prawie wzruszająca. – Morowy gość z tego Bogatyna! Świetny człowiek, świetny biznesmen. Zawsze miałem o nim wysokie mniemanie! – perorował ze znanstwem, wolno sącząc wino i jednocześnie wprawnie lustrując kłębiący się tłum. Nawrocki przestępował z nogi na nogę, rozglądając się niepewnie.

– Widzę dyrektora marketingu PGNiG-u – znów odezwał się Kwaśniak kulturalnym, spokojnym i lekko zduszonym głosem. – Czekaj chwilę, zamienię z nim parę słów. Zostań tu.

Ale nie zdążył się oddalić, bo z tłumy wyłonił się krępy, elegancko ubrany mężczyzna i władczo kiwnął na nich palcem, przywołując ich do siebie tym niepozostawiającym złudzeń co do hierarchii ważności gestem. Vince, ubrany w nieco zbyt opięty garnitur, stał w towarzystwie jakiegoś nadętego biznesmena, a wzrok jego wyrażał dezaprobatę. Kwaśniak w okamgnieniu znalazł się obok szefa.

– Vincent, wszędzie cię szukałem! Czego się napijesz?

– *Ça va, ça va*^[10] – opryskliwie odparł szef, pokazując mu szklaneczkę z odrobiną whisky na dnie. – *Je suis seul avec monsieur Nejman, il ne parle pas français. Monsieur Nejman, mes copains!*^[11]

Poirytowany Vince dokonywał prezentacji, nie bacząc nawet, by stwarzać pozory równości między sobą a podwładnymi. Nie znał słowa po polsku, a pech chciał, że jego potencjalny klient władał tylko i wyłącznie tym właśnie językiem. Vince stał już od kilkunastu minut, szczerząc ostre zęby do prezesa niewielkiej firmy telekomunikacyjnej i niemal na siłę utrzymywał go koło siebie. Jednocześnie pałającym wzrokiem przeczesywał tłum w poszukiwaniu tych dwóch polskich osłów, zabranych tu wyłącznie po to, by uniknąć sytuacji, w jakiej właśnie się znalazł. Teraz miał ochotę wytargać Kwaśniaka za ucho. Z trudem przezwyciężając tę chęć, wysyczał mu po francusku, by natychmiast zajął się klientem. I ostrzegł, że ma tego nie zepsuć, używając słów powszechnie uznanych za niecenzuralne.

Kwaśniak dwoił się i troił, by zatrzeć złe wrażenie. Pan Nejman nieco się rozpogodził, zwłaszcza że nareszcie zjawił się ktoś, z kim można było normalnie pomówić. Po polsku. Po chwili na tyle się rozluźnił, że postanowił wyznać temu jakże uroczemu, rozsądnemu, młodemu człowiekowi, że ma chęć na odrobinę czystej wódeczki. Przez całą kolację zmuszony był bowiem nie tylko znosić obcojęzyczny szwargot, ale i zadowalać się jedynie winem! Strasznie go suszyło, zbyt się najadł i dostał chyba zgagi od tego francuskiego octu – tak właśnie wyraził się o winie, o którym Mirosław miał tak dobre mniemanie.

Co za profanacja! Kwaśniak z nieprzeniknioną miną angielskiego dżentelmena powiódł pana Nejmana do baru. Po dwóch kieliszkach wódki prezes na tyle doszedł do siebie, że gotów był już umawiać się z Kwaśniakiem i jego szefem na spotkanie w Warszawie, a następnie zaczął zwierzać się ze swych kłopotów z podwykonawcami. Bał się wiązać z Chińczykami, z kolei Turcy nie budzili jego zaufania. Z uporem godnym lepszej sprawy usiłował nakłonić „szanownego mecenasa” do wypowiedzenia się w tej kwestii, co Kwaśniak kwitował pobłażliwym uśmiechem. W końcu zmuszony coś odpowiedzieć, pociągnął maleńki łyk wina i rzekł:

– *Quot capita, tot sensus*^[12], jak mawiał Horacy, szanowny panie prezesie. Każdy zaiste

ma na ten temat swoje zdanie, w zależności od okoliczności i doświadczeń. Osobiście głęboko wierzę, iż obie nacje są pracowite i sumienne, a generalizowanie czy kierowanie się jakimikolwiek stereotypami nie leży w mojej naturze...

Prezes zamilkł zdumiony i szczęśliwie zmienił temat. Mirosław Kwaśniak, odprężony po zażegnanej burzy (Vincent, stojący nieopodal, zerkał z aprobatą na te oznaki zażyłości) i zadowolony z obrotu spraw, słuchał nieuważnie, bo jego wzrok przyciągnął weteran wojenny, sąsiad z kolacji, który sprawnie operując laską, pomału, lecz stanowczo posuwał się w stronę baru. Kwaśniak już chciał uciekać, przekonany, że upierdliwy akowiec idzie właśnie do niego, gdy nagle, ku swemu najwyższemu zdumieniu, zobaczył grupę dostojnie wyglądających gości, która rzuciła się witać ramola z najwyższymi honorami.

Zbity z pantałyku, zezował w tamtą stronę, usiłując dosłyszeć, o co chodzi, lecz wianuszek otaczający starca był teraz tak gęsty, że nie sposób było wychwycić choćby jednego słowa.

Podrażniony i zarazem zaintrygowany, pospiesznie, niemal niegrzecznie, zakończył rozmowę z prezesem, nieuważnie potwierdzając termin spotkania biznesowego. Odnalazł Nawrockiego.

– Ty, Robert. Kto to jest tamten dziad?

– Dziad?! Jaki dziad?

– Tamten! Ten stary, wokół którego tak się tłoczą. Między innymi minister spraw wewnętrznych, burmistrz Krynicy, wojewoda... – wyliczał.

– Mówisz o panu Kazku Trzeciakowskim? Serio, nie wiesz, kto to? Chłopie! To wielki bohater Armii Krajowej – człowiek legenda! Prawie dziewięćdziesiątka na karku, ale wciąż twardziel, a umysł ma ponoć jak brzytwa. Osobiście wykonał wyroki na kilku najważniejszych szychach nazistowskich, a potem rzezał komunistów. W końcu musiał zwiewać z Polski. Przez lata mieszkał we Francji. Przy okazji jest też dziadkiem znanego młodego biznesmena George’a Trzeciakowskiego, który zamierza podobno robić w Polsce jakieś interesy nieruchomościowe. Chciałem go nawet zaczepić, by polecił wnukowi nasze usługi, ale nie było jak... Jest oblegany... Każdy chce uścisnąć mu dłoń. Stary, coś tak pobladł?

Mirosław nie odpowiedział. Usłyszał, co miał usłyszeć i kombinował teraz, jak naprawić swój błąd. Cholera jasna, ależ pokpił sprawę. Aż mu się śmiać zachciało z siebie samego. A może nie wszystko stracone? Postąpił parę kroków w stronę pana Trzeciakowskiego, ale nie szło się do niego dopchać. Interesowne, obmierzłe ścierwa – myślał z pogardą, gdy jakiś przysadzisty mężczyzna trącił go w ramię – widocznie już wyniuchali, kto to jest.

Jakoś dziś mu nie szło. Cóż. Musi się odrobinę zrelaksować.

Stanął przy barze, gotów wreszcie czegoś się napić. Pogrążony w posępnej zadumie nad podłością natury ludzkiej i koniecznością wiecznego szarpania się o każdy ochłap, szybko wychylił lampkę wina. Oto do czego jest zmuszany. Trudno się więc dziwić, że pragnie się wyrwać z korporacji i stać się panem własnego losu. Powoli obracał w dłoni ulotkę reklamującą heinekena. Nagle poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Odwrócił się instynktownie, już wiedząc, kogo ujrzy. Jego spojrzenie stało się intensywniejsze, jakby włączył ksenonowe światła. Przeszył nim stojącą tuż za nim posłankę Beatę Rząsę.

– Panie Mirku, cóż pan tak stoi samotnie, zamyślony... – mówiła pieszczotliwie, jakby zwracała się do małego dziecka.

– Och... – bez trudu wszedł w rolę zbolełego romantyka – ...tak sobie rozmyślam o naturze ludzkiej.

– Prawnik, idealista, a do tego jeszcze filozof. – Popatrzyła filuternie, układając usta w dzióbek.

Chwilę milczeli.

– Po prostu nie lubię takiej wrzawy, tego obnoszenia się na pokaz. – Kwaśniak wzruszył ramionami.

– Jest pan rzeczywiście typem niedzisiejszym...

– To prawda. Szalenie irytuje mnie współczesna moralność. Ta pogoń za klientem. – Zatoczył palcem kóleczo, jakby wskazywał cały otaczający ich świat.

– Jakże więc pan sobie radzi w swoim zawodzie? – zaciekała się pani Beata, opierając się o bar tuż obok niego.

– Cha, cha, cha – zaśmiał się z goryczą. – To temat rzeka, wie pani?

Milczała niepewnie.

– Pan mi chyba nie ufa? – rzekła w końcu przyciszonym głosem.

– Droga pani Beato, jest pani uroczą kobietą, ale...

Spojrzał na nią wymownie.

– Jestem politykiem. – Pokiwała głową. Teraz i ona uśmiechnęła się cynicznie. –

A politykom się nie ufa, to miał pan na myśli?

– Droga pani Beatko, żyjemy w Polsce!

– Panie Mirosławie, wiem, że jest pan idealistą i widzę w pana oczach, że uważa pan polityków za ludzi interesownych, pozbawionych skrupułów. I pewnie mi pan nie uwierzy, jak panu powiem, że w naszej partii jest inaczej...

– Ach – westchnął Kwaśniak i spoglądał na nią z rozrzewnieniem jak na małą, naiwną dziewczynkę.

– Panie Mirosławie! Widzę po panu, że musiał się pan zetknąć z niejednym...

– Ooo. – Kwaśniak machnął z goryczą ręką, dając znać, że długo by opowiadać.

– Zapewniam pana, że miliony myślą tak, jak pan! Że wszędzie korupcja, nepotyzm, koniunkturalizm! I może zabrzmi to banalnie, ale u nas ludzie myślą inaczej!

Kwaśniak tylko się uśmiechał.

– Panie Mirku, proszę mi wierzyć! Nasi ludzie są inni! Czy prezes nie udowodnił, że bez pardonu zamierza ścigać korupcję?!

Mina Kwaśniaka wyrażała powątpiewanie.

– Myśli pan zapewne, że to wszystko po to, by zyskać władzę. Otóż nie! Prezes jest równie surowy dla swoich, jak i dla przeciwników politycznych. Może nawet surowszy. I powiem panu więcej, widzę bowiem, że jest pan nieskazitelnym moralnie młodym człowiekiem! Takich jak pan bardzo nam dziś potrzeba! Zwłaszcza że jest pan prawnikiem!

Kwaśniak patrzył nad jej głową i zdawał się podziwiać sklepienie sufitu. Sprawiał wrażenie, jakby temat rozmowy mało go obchodził i słuchał jej tylko przez wrodzoną kulturę osobistą.

– Uroczą pani Beatko, jeśli mogę – odezwał się cicho i namiętnie. – Nie rozmawiajmy już o rzeczach, które nas dzielą. Pozwoli pani, że zmienię na chwilę temat. Skądinąd cudownie ornamentowany sufit. Proszę spojrzeć na te stiuki! Genialny przykład polskiej secesji!

Przysunął się do niej bliżej, tak że ich uda na chwilę się zetknęły.

– I żeby zakończyć tamtą sprawę, dodam jeszcze, że napatrzyłem się na tyle świństw wśród kolegów po fachu i tylu polityków i samorządowców, którzy są tacy sami, że straciłem wszelką wiarę w nasz system sprawiedliwości! Nie wierzę już nikomu.

Ich głowy znajdowały się teraz w bardzo bliskiej odległości. Mirosław Kwaśniak patrzył na nią z takim ładunkiem emocjonalnym, że Beata Rząsa mogła jedynie opuścić wzrok.

– Może moglibyśmy... – bąknęła i popatrzyła wyczekująco, lecz niczego jej nie ułatwił.

Rybka połknęła haczyk. Może to spotkanie okaże się najlepszym trofeum dzisiejszego

wieczoru, kto wie? W razie czego znajdzie ją z łatwością. Choćby na Wiejskiej... Jednak bez powodu nie zamierzał rzucać się na oślep w nową aferę. Patrzył na nią w milczeniu jeszcze chwilę.

– Odezwę się w Warszawie. Jeśli nie będzie pani zbyt zajęta polityką, może wyskoczylibyśmy na kawę – rzucił w końcu, zwracając się w stronę sali, gdzie wrzało jak w ulu: pewnie w tej chwili toczyły się tam setki podobnych rozmów. Może w nieco innym duchu, ale na pewno w tym samym celu. Bo i seks, i pieniądze prowadziły zawsze do jednego. Do władzy! Ta gorzka myśl uderzyła go zniecacka. Ha! Co za truizmy przychodziły mu do głowy. A jednak to prawda!

– Dać panu mój numer? – spytała nieśmiało, otwierając kopertówkę.

– Pani Beato, nie śmiałem prosić! Naturalnie, że tak! – wykrzyknął.

Nonszalancko wyciągnął z kieszeni komórkę i rozglądając się ze źle skrywaną satysfakcją, wstukał jej numer.

Pani Agnieszka

Panie mecenasie.

Paweł Wencel gwałtownie poderwał głowę z biurka. Musiał przysnąć. No tak, na dworze już zupełnie ciemno. W świetle latarni parkowej widać było zacinający śnieg z deszczem. Pani Agnieszka stała w progu z tacą.

– Pani Agnieszko, przysnąłem. – Był lekko nieprzytomny, lecz jak to on, błyskawicznie odzyskiwał świadomość, a wraz z nią obawę, czy aby nie zachował się w sposób niekonwencjonalny lub budzący śmieszność.

– Co tu pani jeszcze robi? – zganił ją surowo i zerknął na zegarek. – Co? Wpół do dziesiątej?

Poderwał się na równe nogi. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się coś podobnego. Zasnąć przy biurku! I do tego przy niej? Przy sekretarce? Co za uwłaczający dowód słabości. W dodatku znajdowali się w tej obskurnej klitce, w tej szurzej norze.

– Ja też jeszcze pracuję. Coś kończę – rzekła z naciskiem, ustawiając przed nim filiżankę herbaty z cytryną i biszkopty.

– Nie trzeba było... – mamrotał, pomagając jej usunąć z biurka walające się papierzyska. Stali tak naprzeciwko siebie, segregując materiały i Pawłowi przemknęło przez myśl, że ona pracuje ponad siły i być może – o zgrozo! – kierowana litością! Nad nim.

Czyżby z dnia na dzień stał się godnym pożałowania nieudacznikiem? Porzuconym przez żonę i wydymanym przez współnika frajerem?

– Sam to posprzątam, niechże pani usiądzie – mruknął odpychająco, lecz ona nie zwróciła na to uwagi. Metodycznie, sprawnie układała papiery.

– Tu leży wniosek o zabezpieczenie przeciwko... ekhem... mecenasowi Zagajewiczowi – rzekła z wahaniem. – Wkładam go do czerwonej teczki, bo tym się zajmiemy jutro z samego rana...

Zajmiemy się? Czy on dobrze słyszał?

– Pozwoli pani? Jednak zamierzam jeszcze dziś nad tym popracować! – Paweł zdecydowanym gestem wziął od niej teczkę. Ma trochę kłopotów, ale jeszcze nie zidiociał. Nikt nie będzie mu mówił, co i kiedy ma robić. A już na pewno nie sekretarka! Nawet jeśli było to podyktowane jakąś, hmmm, przedwczesną troską o jego stan ducha. Czy może i umysłu?

– Panie mecenasie, dziś musimy złożyć terminowe odwołanie w sprawie pana Dziadosza i jego spółki! – Pani Agnieszka wsparła się pod boki.

Dziadosz. Chryste. Na śmierć o nim zapomniał! Za żadne skarby nie może zdradzić się miną. Za chwilę i ona gotowa pomyśleć, że postradał rozum.

– Bardzo doceniam pani troskę o sprawę kancelarii, ale pozwoli pani, że już sam się tym zajmę – odezwał się oschłym tonem. – Jeśli chodzi o pismo Dziadosza, szczęśliwie zająłem się tym już wcześniej i teraz zostało tylko dopisanie wniosków. Mam dwie godziny do zamknięcia poczty głównej, powinienem zdążyć. Pani niech już biegnie do domu...

– Ale ja właśnie napisałam te wnioski zgodnie z planem pańskiego odwołania... I chciałam, by pan to teraz sprawdził! – Stała przed nim, nieudolnie maskując podekscytowanie.

Spojrzał na nią spod oka. Kurczowo ścisnęła plik dokumentów. Cóż za entuzjazm, szczególnie o tak późnej porze!

– Niech pani pokaże. – Wyciągnął rękę, a pani Agnieszka wręczyła mu papiery, wyglądając, jakby decydowała się na skok do głębokiej wody.

Paweł z nieprzeniknionym wyrazem twarzy przebiegał wzrokiem po schludnie sformatowanym tekście. A niech ją licha! Sprytna, mała pchełka. Całkiem, całkiem! Jak na

studentkę. Niebawem! Treść odwołania na głowę biła wszystko, co kiedykolwiek zdołali wyprodukować pani Mazur i pani Gilis razem wzięte. Owszem, miał parę uwag co do ostatecznej argumentacji, ale wnioski były logiczne, zrozumiałe i poparte właściwymi przepisami. Zero patosu, zbędnych ozdóbek, właściwych studentom prawa, a nierzadko nawet aplikantom. Nie mówiąc już o bzdurach, które nieraz wypisywał sam Zagajewicz.

– Hmm – odezwał się w końcu, podnosząc na nią badawczy wzrok. Pani Agnieszka wstrzymała oddech. – No, niechże pani siada! Na którym jest pani roku?

– Na czwartym. – Zdawało się, że krew znów odpłynęła z jej twarzy. Czy aż tak wysoko ceniła sobie jego zdanie? Paweł, nie chcąc już dłużej jej męczyć, odłożył papierzyska na stół i zapalił cygaretkę.

– Napisane bardzo profesjonalnie – rzekł, cedząc słowa, i natychmiast otoczył się chmurą niebieskawego dymu. – Choć sądzę, że powinniśmy jeszcze uzasadnić, dlaczego spółka pana Dziadosza musiała ogłosić upadłość, nie sądzi pani? Ma to przecież znaczenie dla sprawy!

Wzięła z jego biurka długopis i skrzętnie notowała w małym notesie, podczas gdy on dyktował.

– Tak więc, jak już naniesie pani te dwie poprawki i zlikwiduje wszystkie literówki – znów podniósł na nią oczy – będę mógł zawieźć to na pocztę, bez większych zmian.

Pani Agnieszka poderwała się, zgarnęła notatki i już chciała wybiec, by zabrać się do pracy, gdy Paweł wstał i zawołał:

– Pani Agnieszko, jedną sekundę. Muszę to powiedzieć.

Stała na progu, zaskoczona.

– Tak, panie mecenasie?

– Odwaliła pani kawał solidnej roboty. Zdjęła pani ze mnie dwie godziny pracy. Ja w tym czasie smacznie spałem. Pewnie bym nie zdążył. Nie do wiary! Dziękuję!

Przycisnęła dokumenty do piersi, nie wiedząc, co odpowiedzieć, a najwyraźniej nie chcąc fałszywie się krygować czy umniejszać swoich zasług. Widać jednak, że komplement dodał jej skrzydeł. Ach, ten jej młodzieńczy entuzjazm. Sam nie wiedział, czy bardziej go drażnił, czy rozbrajał...

Znów chciała się oddalić, gdy dodał:

– To jeszcze nie wszystko! Ekhem. Ponieważ dzięki pani mam teraz te dwie godziny wolne, dziesięć minut możemy poświęcić na małe wyjaśnienia. Wyjaśnienia, które należą się pani i które powinienem był złożyć wcześniej. Niech pani jeszcze usiądzie. Odwołanie jest naprawdę dobre, poprawki zajmą pani nie więcej niż kwadrans. No może dwa.

Powoli, jakby z namysłem, wróciła i znów przysiadła na brzegu krzesła. Rozemocjonowana i zaciekawiona, wyglądała nieco lepiej niż zwykle, choć Paweł do końca nie umiał tego stwierdzić, bo nigdy się jej nie przyglądał. Ot, taka zwyczajna. Drobną i szczupłą. Rysy regularne, nic szczególnego. Żadna z niej piękność. Ciemne oczy – niebrzydkie, trzeba przyznać, ciemne włosy zawinięte za uszy, ubrana pospolicie. Śniada jak Cyganka. Jakby stale się opalała. Paweł mocno się zaciągnął i rzekł:

– Muszę... A raczej chcę, wyrazić swoją wdzięczność za to, jak się pani zachowała tamtego dnia. Niech pani nie myśli, że tego nie doceniam. Nie podziękowałem do tej pory, gdyż, jak pani doskonale wie, mieliśmy urwanie głowy z zagospodarowaniem tej psiej budy i przeniesieniem tutaj wszystkich moich dokumentów. Szczęście, że te dwie łachudry nie utrudniały nam dostępu do akt. Bóg mi świadkiem, wszystkiego się po nich można spodziewać. – Rozdymając nozdrza, wgniół niedopałek w popielniczkę. – Nieważne zresztą. Istotne jest dla mnie, by dowiedziała się pani prawdy o tym, co zaszło. Normalnie niczego bym nie wyjaśniał... Nie mam zwyczaju wdawać się w tego typu rozmowy z pracownikami, zwłaszcza

z młodocianymi panienkami... Ale... Jestem to pani winien. Zachowała się pani na medal. Dając swoją postawą do zrozumienia, że jest pani ze mną, dodała mi pani otuchy. Serio.

Wstał na chwilę, jakby chciał rozprostować krzyż. Potem przecesał oburącz włosy, usiadł i znów sięgnął po cygaretkę. Potem odłożył ją i z kieszeni marynarki wyjął paczkę marlboro. Z wolna przeniósł wzrok na sekretarkę, lecz zdawał się patrzeć poprzez nią.

– Nie wiem, jakiego rodzaju plotki rozpuszczali, ci, ci... – Zapalił papierosa, dusząc w sobie przekleństwo. – Ci dwaj łgarze, moi byli wspólnicy! Zdaje mi się, że próbowali stwarzać wrażenie, że mam nie po kolei w głowie i pozywam Zagajewicza z zazdrości o... o sprawy prywatne! – Nazwanie rzeczy po imieniu, opowiadanie tej smarkuli o swoim małżeństwie, wydawało się Pawłowi już nazbyt patetyczne.

Patrzyła na niego w milczeniu. Chyba starała się nie okazywać zbyt ciekawości.

– Lecz to bzdura! Wierutne kłamstwo! – ciągnął wzburzonym głosem. – Mecenas Zagajewicz za moimi plecami przeprowadził nieczystą transakcję, i to z Budexprimem – moim własnym klientem, narażając go tym samym na wielomilionowe straty. W dodatku zrobił to najprawdopodobniej z głupoty, kierowany żądzą szybkiego zysku. Inne wytłumaczenia nie znajduję!

Pani Agnieszka nie wydawała się ani odrobinę zdziwiona.

– Gdy byłem w ogniu różnych kłopotów, cichcem poszedł do prezesa Budexprimu, pana Baranowskiego, i mówiąc, że działa w moim imieniu, namówił go na zakup spółki Invest Nobiscum. Zrobił im *due dilligence*^[13], szczęście, że na własne konto...

– Bo miał pan z nim spółkę partnerską – ośmieliła się wtrącić. Łebska smarkula! Zorientowana była.

– Właśnie. I zaraz potem, już po zawarciu umowy, wyszło na jaw, że kupiona spółka miała ogromny kredyt w szemranym banku. Prezes Baranowski kupił spółkę z ośmiomilionowym długiem, nic o tym nie wiedząc! Tak więc natychmiast zlecił mi pozwanie Zagajewicza. Ach, gdybym tylko był w posiadaniu dowodów na to, że za dopięcie tej transakcji Zagajewicz wziął łapówkę! – Paweł ostrożnie strzepnął popiół do eleganckiej popielniczki, wypakowanej dziś rano z jednego z kartonów. – Wie pani, mam pewną teorię, tylko brak mi dowodów! Uważam, że maczał w tym palce pewien cwaniaczek, obmierzył typek, niejaki Mirosław Kwaśniak. Wiem, że kręcił się koło Zagajewicza przez parę miesięcy.

– Panie mecenasie, ja też czekałam na stosowny moment. I ja chciałam z panem porozmawiać. Właśnie w tej sprawie. Czy poczęstuje mnie pan jednym papierosem?

Paweł spojrział na nią zdumiony i mamrocząc przeprosiny, podał jej papierosa, a potem ogień. Chwilę milczeli, jakby oboje uderzyła nagle nierealność sytuacji, w której się znaleźli. Pawła, który był zagorzałym estetą, niemal hipnotyzowała mrugająca spod sufitu jarzeniówka, rzucająca na zagracony nierozpakowanymi kartonami pokój białawe, trupie światło. Lokal ten, wynajęty na miesiąc od znajomego, miał im na razie posłużyć jako baza do poszukiwania czegoś znacznie bardziej prestiżowego, lecz ilekroć Paweł do niego wchodził, na nowo ogarniało go przygnębienie. Jak nisko można upaść! Na próżno tłumaczył sobie, że to chwilowe. Poza tym siedzenie tutaj z tą panią i opowiadanie jej – sekretarce! – o sprawach wewnętrznych kancelarii... To takie do niego niepodobne! Jak może tak postępować? To niezgodne z zasadami, których trzymał się przez ostatnie kilkanaście lat uprawiania zawodu radcy prawnego. Nie spoufalać się z personelem! Oto zasada numer jeden. Zasada, która zawsze popłacała.

A jednak sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nie było jak dawniej. Nie był już wymuskany szefem, siedzącym za potężnym, mahoniowym biurkiem. Siedział na pakach niczym dworcowy kłozard, snując plan zemsty z dwudziestoparoletnią sekretarką. Paradne! Chyba powinien się napić. Nigdy nie robił tego nawet w towarzystwie aplikantów. To byłoby już

dno. Złamanie wszelkich norm i zasad. Nie. Z trudem powściągnął chęć sięgnięcia pod biurko, do małego barku na kółkach.

– Panie mecenasie... – Jej głos wyrwał go z tych ponurych rozważań.

Przeniósł na nią wzrok.

– Mówiłam – ciągnęła z przejęciem – że tego dnia, w którym pan miał rozmówić się ze współnikami... Ja już rano spodziewałam się, co się stanie! Wiem, że pana to zdziwi, ale w kancelarii nic się nie ukryje. Dawno zauważyłam, że mecenas Zagajewicz, za przeproszeniem, coś kombinuje. Zresztą wszyscy pracownicy o tym szeptali! Jutro panu opowiem detale, bo dzisiaj nie mamy zbyt wiele czasu! Zamkną nam pocztę.

– Co? – Paweł drgnął, jakby ktoś oblał go kubłem zimnej wody.

Niewiarygodne. Oni wszyscy mieli go za frajera. Wiedziano o tych nieprawidłowościach. Może nawet otwarcie mówiono! Więc on był jedynym naiwnym? Niepodobna nad sobą zapanować!

Milczał, blady jak upiór, a ona ciągnęła szybko i nerwowo, patrząc na niego niespokojnie, jakby bała się, że za chwilę dostanie apopleksji.

– Panie mecenasie, niech pan posłucha. Wydrukowałam pewne dokumenty, które bardzo nam teraz pomogą. Pomogą udowodnić panu Zagajewiczowi pobór korzyści majątkowych!

Paweł siedział jak skamieniały, nie odrywając od niej wzroku.

– Jest pan zdumiony i nie dziwię się. Zaraz to panu wyjaśnię. No więc, jako sekretarka, miałam dostęp do pewnego tajnego konta internetowego mecenasa Zagajewicza. Pewnie zastanawia się pan teraz, czemu mnie w ogóle do niego upoważnił? Otóż mecenas Zagajewicz prowadził, że się tak wyrażę, bujne życie towarzyskie i naturalnie nie chciał, by ktokolwiek o tym wiedział. A ponieważ sam nie był zbyt biegły w korzystaniu z netu, ciągle zlecał mi robienie różnych przelewów, rezerwacji, przesyłek. Najpierw trochę się z tym krył, ale że był leniwy, a ja nigdy nie zadawałam pytań, z czasem przestał się opalać i wszystko cedował na mnie. Rezerwowałam mu bilety lotnicze, hotele. Płaciłam jego kartą, bo on sam nie umiał. Potem doszła jeszcze ta kawalerka, którą, jak twierdził, wynajmował dla siostrzenicy. Wtedy musiał podać mi hasło do konta. To stamtąd regulowałam płatności za czynsz i za dwie komórki. Odpalał mi za to dwieście złotych miesięcznie. Myślę, że nikt prócz mnie nie wiedział o tym koncie – a na pewno nie jego żona.

Paweł gwałtownie sięgnął pod stół i wyciągnął butelkę bourbona.

– Nalać pani odrobinę? – spytał, trzymając cygaretkę w zębach.

– Nieee... Albo zresztą.

Oszołomiony, machinalnie napelnił dwie szklanki i podał jedną sekretarce. Patrzył na nią z niedowierzaniem, gdy wychyliła połowę bez mrugnienia okiem. Potem ciągnęła dalej:

– No więc, jak pan przyszedł się z nimi rozmówić, to ja już wiedziałam, że to się tak potoczy, dlatego że słyszałam, jak ustalali z Grzybałą renegocjacje umowy najmu pod nową spółkę, którą założyli kilka dni wcześniej.

– Skurwysyny! – Paweł wychylił szklankę i z hukiem odstawił ją na stół.

– Tak. Więc wiedziałam, że wyrzucą pana z lokalu. A gdy pan już przyszedł i zaczęła się ta awantura – przerwała na moment, obracając w dłoniach szklaneczkę whisky – coś mnie tknęło... Postanowiłam zajrzeć na to sekretne konto mecenasa Zagajewicza. Wiem, że pan sobie źle o mnie pomyśli, bo nie powinnam była, ale wie pan, ja już wcześniej widziałam, że on pana oszukuje! Zrobiłam to dosłownie w ostatniej chwili! I wie pan, co tam znalazłam?

Paweł pokiwał twierdząco głową, dolewając sobie szczerze.

– Wiem. Ciekaw tylko jestem ile.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

– Uchachacha! – zaśmiał się gorzkim, nienaturalnym śmiechem, dziwnie brzmiącym w tym nieumeblowanym, wysokim pomieszczeniu. – A to debil! Debil!

– Debil?

– Zakończyć własną karierę za dwieście pięćdziesiąt tysięcy może tylko kompletny debil!

– Patrzył na nią niewidzącym, niespokojnym wzrokiem. – Wydrukowała pani ten wyciąg?

W odpowiedzi tylko się uśmiechnęła. Przebiegła, szczwana smarkuła!

– Od kogo przyszedł przelew? – kontynuował niczym prokurator.

– Niestety, ze spółki zarejestrowanej na Cyprze! Zadałam sobie trochę trudu i sprawdziłam ten numer z koleżanką, która pracuje w BGH.

– To było do przewidzenia. Kwaśniak idiotą nie jest! Kiedy zamierzała mi pani o tym powiedzieć?

– Jutro, jak skończymy sprawę Dziadosza.

– Dlaczego? Dlaczego nie wcześniej?!

– Bo jeśli nie złożymy dokumentów Dziadosza w terminie, opuści pana jeden z dwóch najlepszych klientów, jacy panu pozostali, panie mecenasie – rzekła dobitnie. – A pan zdaje się żyć teraz tylko sprawą Baranowskiego. A z niego samego nie wyżyjemy!

– Powiedziałbym, że nie pani zadaniem jest to oceniać, ale ze względu na to, co pani dla mnie zrobiła, jestem chyba pani dłużnikiem. – Paweł kręcił szklanką, bujając złotawym płynem. Na chwilę umilkli, oboje zamyśleni. Cisza wprost dzwoniła w uszach.

– Nie moim zadaniem, to prawda – podjęła w końcu ona – ale... Widzę po prostu, że...

– Że co?

– Że pan tonie!

Paweł już miał się wściec, ale patrzyła na niego z takim oddaniem, że zachciało mu się śmiać.

– Ja? Tonę? Pani Agnieszko, już pani wypięła? – rzekł, wstając.

Patrzyła ze zdziwieniem. Chyba wciąż miała go za niepoczytalnego. A to ci dopiero nowość! Zabawne uczucie, być uważanym za szaleńca. Ale dosyć tego dobrego.

– Wypięłam – odparła niepewnie.

– To jazda do swojego gabinetu, niech pani dokończy pismo dla Dziadosza! I proszę mi zamówić taksówkę na jedenastą piętnaście, żebym zdążył na pocztę! Nie będę jeździł na rauszu, skoro mam nas jeszcze przez jakiś czas utrzymać na powierzchni! Jutro pani udowodnię, że nie tak łatwo im będzie nas zatopić! Tymczasem ja jeszcze popracuję nad wnioskiem Baranowskiego, a rano pokaże mi pani wszystko, co pani ma! Wtedy się zastanowimy, jak to ugryźć. Jak to włączyć do sprawy.

Stała nieruchomo jeszcze chwilę, lecz on tylko uniósł brew i wskazał wzrokiem drzwi, po czym otworzył czerwoną teczkę i patrząc wyzywająco na sekretarkę, zaczął na nowo rozkładać papiery. Parsknęła śmiechem, pokręciła głową, zgarnęła swoje dokumenty i lekkim krokiem wyszła z gabinetu.

I choć teoretycznie nie było ku temu powodu, wbrew ponurej listopadowej nocy, poczuła w duszy dziwną radość.

Następnego dnia Paweł Wencel zjawił się w ich tymczasowym biurze na Parkowej już przed ósmą wraz z wielkim ciężkim pudłem, zawierającym domowy ekspres do kawy. Przyszedł wcześniej, bo zamierzał posiedzieć przez chwilę sam, by pogłórkować. Na spokojnie zastanowił się nad treścią pozwu w kontekście nowych rewelacji, które zawdzięczał swojej sekretarce, oraz wymyślić strategię działania w odniesieniu do klientów, którzy przy nim pozostali. A także spróbować się zastanowić, jak, u licha, odzyskać tych, którzy wybrali Zagajewicza i Zyberta. Co z nimi robić? Czy powiedzieć im prawdę o tym, co się wydarzyło? I czy będzie to dobrze

widziane? Paplać o wewnętrznych sprawach kancelarii ludziom, których to nie dotyczy? Czy nie zrobi to aby jeszcze gorszego wrażenia i nie przyniesie skutku odwrotnego od zamierzonego? Paweł Wencel miał opinię człowieka, który „milczy jak grób”, czy warto więc dla tych kilku klientów zburzyć tę przez lata wypracowaną markę? Miał wątpliwości.

Wszedł na pierwsze piętro urokliwej, choć nieco zapuszczonej klatki schodowej kamienicy z lat trzydziestych, której okna frontowe wychodziły wprost na park. I to nie byle jaki. Same Łazienki Królewskie...

Może i nora, ale lokalizacja przednia.

Chociaż przyjąć nie można tu nawet kuriera, o klientach nie wspominając. Jeszcze rozpuszczą po mieście, że Paweł Wencel zszedł na psy. Że wynajął komórkę.

Trzeba będzie jak najszybciej znaleźć coś odpowiedniego. Sto metrów by wystarczyło, byle tylko w eleganckiej kamienicy i za dobrą cenę. W czasach kryzysu takiego jak ten, który właśnie nadciągał, prawdopodobnie znalazłoby się coś atrakcyjnego nawet w nowoczesnym biurowcu, ale prędzej szczytnie, niż da zarobić żabojadom czy – nie daj Boże – Szwabom! Wolny handel – owszem! Ale jeśli nie godził w polskie interesy. I Paweł, który nigdy, nawet przed samym sobą, nie przyznałby się, że dokonuje wyborów, nie do końca kierując się względami ekonomicznymi, a ideowymi, uporał się wreszcie z zapiekłym starym zamkiem.

Oczom jego ukazało się wąskie, wysokie pomieszczenie – „sekretariat” pani Agnieszki. Hm, jaki porządek zostawiła! Zdaje się, że wypakowała jeszcze kilka pudeł... Wczoraj, tak późno w nocy? Zaciekawiony, szybko przemierzył mały pokój, przechodząc przezeń do drugiego, większego – gdzie mieścił się jego własny, tymczasowy gabinet. No tak. Biurko było posprzątane, kubki po kawie usunięte, popielniczka umyta, papiery ułożone! A na dodatek wypakowała i ustawiła jego ulubione akcesoria! Nożyk do listów, zabytkowy dziurkacz, brązowa lampkę – piękną secesję niemiecką – nimfę trzymającą klosz niczym parasol z pawich piór.

Potem dostrzegł, że wyładowała jeszcze akta i umieściła je w przygotowanych w tym celu szafkach na kółkach. Zbliżył się i niecierpliwie przesunął segregatory. Ułożyła według nazwisk klientów, w dodatku alfabetycznie. Hm. Pewnie zjawi się dopiero koło południa. Musi to przecież odespać! I lekko niezadowolony wrócił do jej pokoiku, a stamtąd do małej kuchni z jednym tylko oknem, umieszczonym tuż pod samym sufitem. Zamierzał napić się herbaty.

Hanna nie zносиła herbaty. Pijała tylko kawę i robiła to z właściwą sobie bezwstydną nonszalancją! I nigdy go nie... nie rozumiała. Podczas gdy on...

Czajnik szumił, a Paweł siedział w płaszczu i rozglądał się po tym dziwnym mieszkaniu, które mógł stąd w całości objąć wzrokiem. Kiedyś było częścią dużego apartamentu. Po wojnie, w sposób absurdalny rozparcelowane, miało jednak swój klimat. Sądząc po przedsiönku, z którego prowadziły trzy pary zamkniętych dziś na głucho drzwi, zapewne kiedyś stanowiło całość z sąsiednimi lokalami i zajmował je jakiś bogacz – arystokrata. Naturalnie sowieckie władze wprowadziły tu kilka rodzin. Jakieś wsiowe bydło rozgrało własność arystokraty. I nagle uderzyło go, czy i jego rodzina nie zostałaby takim grabiącym własność innych bydłem, gdyby nie czysty przypadek? Dziadek jego, stary Wiesiek Wencel, będący przed wojną pucybutem, za okupacji, a potem podczas Powstania i po nim, zamiast szabrować dogorywającą Warszawę, z nieustającym powodzeniem pędził bimber. Zbił na tym wcale ładny kapitał. Po wojnie jeszcze jakiś czas nielegalnie produkował szminki, dopóki nie podkapował go jeden tajniak nazwiskiem Bigos. Ale dziadek Wencel miał na tyle oleju we łbie, że zakopał słoń z pieniędzmi zarobionymi na bimbrze i szminkach w sobie tylko znanym miejscu pod lasem. Kiblował za to trzy lata na Rakowieckiej. Babka z dumą rozpowiadała, że to za działalność w Kedywie^[14].

Gdy wyszedł, dla niepoznaki przez rok harował w gorzelni, a potem, kiedy jedna z ciotek

kopnęła w kalendarz, wykopał słoik, a na lewo i prawo trąbił o godziwym spadku. Zakupił nową warszawę i jeździł „na taryfie”. Aż do osiemdziesiątego trzeciego roku, póki żył. Od kiedy Paweł pamiętał, u nich zawsze była i kielbasa, i gorzalka. Wenclowie nigdy nie przymierali głodem. Mieli organicznie wrodzoną zdolność przetrwania.

Czy i on ją odziedziczył?

Od kilku tygodni nie czuł się sobą. Nie zamierzał więcej analizować przyczyn rozpadu małżeństwa ani tym bardziej z nikim na ten temat rozmawiać. Uzewnętrzniać swoje emocje to dobre dla kobiet, artystów i pedałów! Paradoksalnie, lekarstwem na myśli o Hannie był Zagajewicz, to zakłamane, parszywe ściervo. Oraz jego kompan Kwaśniak – szuja, jakich mało. Oni dwaj ratowali Pawła od udręki rozpamiętywania. Tropienie tych dwóch kanałii dobrze mu robiło. Doprowadzić ich obu przed oblicze wymiaru sprawiedliwości – tylko to go uspokoi. A sprawę z Hanną ma już za sobą. Szczęście, że wymierzyła mu taki policzek, że tak śmiertelnie zraniła jego miłość własną! Żeby jeszcze odeszła z prawdziwym mężczyzną... Ale ten, ten... chłoptaş...

Przezuwając myśli czarne jak smoła, chlusnął wrzątkiem do filiżanki, niewprawnie ukroił gruby plaster cytryny i machinalnie przypalił, trzymanego od dłuższego czasu w ustach, papierosa. Nagle usłyszał szczęk kluczy w zamku i prawie się ucieszył. W drzwiach stanęła pani Agnieszka, w dodatku z torbą z cukierni. Ranny z niej ptaszek.

– Przyniosłam pączki – wyjaśniła, widząc jego lekko uniesione brwi. – Do kawy...

– Hm. Pączki – mruknął. A więc zamierza się z nim spoufalać. Przez moment rozważał jakąś zjadliwą uwagę, ale usiłując wniknąć w swe zagmatwane uczucia, doszedł do wniosku, że jej widok sprawia mu prawie... przyjemność?

Szczupła, smarkata, młodzieńczo rozpromieniona, mimo że spała pewnie niewiele ponad trzy godziny. Prawie jej pozazdrościł tego entuzjazmu. Pewnie ma chłopaka, z którym codziennie figluje, łązi do kina, pali trawkę na imprezach i Bóg wie, co tam jeszcze. Zero obowiązków i trosk. Bezmyślna, jak całe to nowoczesne pokolenie. Wychowana na MTV. Ale, ale... Zauważył, że posmutniała. Odwróciła się tyłem, podejrzenie długo wieszła płaszcz.

– Chętnie zjem jednego pączka, o ile uruchomi pani to dziadostwo – burknął, wskazując na błyszczący automat do kawy, który przyniósł. Hanna prawie go nie używała, uważała kawę z maszynki za jedyną godną przyrządzenia w warunkach domowych. Espresso piła tylko w kawiarniach, we Włoszech, Francji i paru innych krajach, które w jej mniemaniu... A zresztą, nieważne... Było to zapewne rezultatem snobizmu Roliczów albo (co gorsza!) scheda po ojcu – żabojadzie. Co tam, żabojadzie! Paryżanie! I nikt Pawłowi nie zarzuci, że jest uprzedzony. Arogancka wyższość, z którą mieszkańcy Paryża odnosili się do obcokrajowców, była chyba powszechnie znana.

– Ooo – zainteresowała się w sposób typowo kobiecy, podchodząc bliżej ekspresu. – Można zrobić latte.

– O ile dojdziemy, jak to obsługiwać! – powątpiewał Paweł.

Ustrojstwo miało milion guzików, wajch, pojemniczków. Agnieszka nie odpowiedziała, za to już wertowała grubą instrukcję obsługi, sprawnie odnajdując właściwy rozdział.

Pół godziny później, posileni pączkami i nienajgorszą kawą, usiedli w jego gabinecie na dwóch miękkich, skórzanych fotelach, które pracowita jak pszczoła pani Agnieszka oczyściła ze stosów papierzysk. Paweł ze zmarszczonymi brwiami przeglądał wydruk z konta wspólnika. No tak. Między różnymi nieznaczącymi sumami przelewanych do przedziwnych „firm” (ot, choćby pierwsza lepsza, która rzuciła mu się w oczy – salon bielizny lateksowej w Paryżu!) czy regularnym zleceniem przelewu za lokal przy Wilczej (zapewne tej garsoniery, o której pani Agnieszka wspominała) widniała tamta kwota. Przelew przychodzący z cypryjskiej spółki Global

Project Development Ltd. O ironio losu! Zawsze wiedział, że Zagajewicza zgubią przygodne dupy. I tak się stało. Miał to czarno na białym.

– Pani Agnieszko, nigdy jeszcze nikt nie pomógł mi tak, jak pani dziś. – Uśmiechnął się prawie niezauważalnie. – Dzięki pani mamy szansę udowodnić, że zrobił to CELOWO.

Chwilę milczeli, po czym on zaczął znowu, coraz bardziej zaniepokojony:

– Ale jedna rzecz nie daje mi spokoju! Co panią tknęło, by w ostatniej chwili zajrzeć do tego jego rachunku bankowego?!

Och, niewdzięczny z niego obiekt bezinteresownej pomocy. Nie na darmo matka nazywała go zawsze niewiernym Tomaszem!

– Od dłuższego czasu działania mecenasa Zagajewicza wzbudzały moje podejrzenia – odpowiedziała spokojnie. – Wczoraj nie zdążyłam panu powiedzieć, w jaki sposób tamto konto było zasilane. Otóż wpadały tam od czasu do czasu różne sumy niewiadomego pochodzenia z firmy Ronko, zarejestrowanej na panią Irenę Kowalską. Myślę, że mecenas Zagajewicz fakturował jakiegoś wspólnego klienta na własny rachunek. Pewnie był to ktoś, z kim miał dobry układ. Może Dromex.

Tak. Paweł też pomyślał o Dromeksie.

– Ale były to kwoty na tyle niewielkie, że pewnie pan się nigdy nie połapał. Kwoty w sam raz na te dodatkowe „potrzeby” mecenasa.

Chcąc ukryć wzburzenie, Paweł otworzył kalendarz i prawie bezwiednie zaczął szkicować fantazyjnego smoka.

– Nie wiem, czy wiedział o tym mecenas Zybert. Nie umiem powiedzieć... – ciągnęła ostrożnie.

Ach, tak. A więc knowania tamtych dwóch były zauważalne już od dawna. Tylko on, ostatni frajer, rozliczał się z nimi co do grosza. Uczciwie, zgodnie z umową dzielił gigantyczne, generowane przez siebie dochody na trzech. Ależ z niego palant. Ale chuj z takim rozpamiętywaniem. I tak nie umiałyby postąpić inaczej!

– Czy kiedykolwiek wspominała pani komuś o swoich podejrzeniach? – Zamaszystym gestem dorysował smokowi długie, rozwidlone jęzory.

Ich spojrzenia spotkały się na moment nad otwartym laptopem.

– Nie czułam się upoważniona do takich rozmów. Nie miałam zresztą żadnych dowodów, że robi pana...

Utknęła, nie chcąc najwyraźniej użyć niecenzuralnego słowa.

– W balona – dokończył za nią Paweł, cyzelując swój wcale niezły szkic, a następnie wyrrywając kartkę i z pasją drąc ją na maleńkie kawałeczki.

– Nie chciałam rzucać bezpodstawnych oskarżeń ani wściubiać nosa w nie swoje sprawy.

– A jednak, szczęśliwie dla mnie, w końcu postanowiła pani wściubić?

– Tak. Patrzyłam na mecenasa Zagajewicza sceptycznie, ale dopiero kiedy zaczął pojawiać się w kancelarii w towarzystwie tego aplikanta, Kwaśniaka, wtedy naprawdę poczułam, że coś jest na rzeczy.

Paweł obserwował ją z fascynacją. Cóż, abstrahując już od swojej własnej naiwności, musiał uznać, że ta niepozorna dziewczyna potrafiła dodać dwa do dwóch!

– Po pierwsze, zawsze spotykali się albo dzwonili do siebie, kiedy pana nie było w biurze. Po drugie, gdy kiedyś Kwaśniak spieszenie od nas wychodził, przystanęli na chwilę przy kontuarze i usłyszałam, jak Zagajewicz powiedział przy mnie – a kompletnie nie zwracali na mnie uwagi, musieli uważać mnie za bezmyślną pindę do odbierania telefonów i parzenia kawy! – no więc powiedział: „Powinni wydolić! Mają kapitał zakładowy ponad trzydzieści baniek”. Od razu zajarzyłam, że chodziło o Budexprim, bo żaden inny klient tyle nie ma. A że właśnie wtedy

prowadziliśmy im tę sprawę, którą pan tak spektakularnie wygrał, to dobrze mi to utkwiło w pamięci.

Paweł zapalił cygaretkę. Która to już dziś? Druga? Nie, dopiero pierwsza.

– I potem stało się coś jeszcze. Jakoś na początku września Zagajewicz przyszedł do mnie wieczorem, po godzinach, naturalnie kiedy pana już nie było i poprosił o akta sprawy Budexprimu. Miałam świadomość, że on nigdy wcześniej tego nie tykał. Zresztą sprawa była wygrana! Ale nie znałam ustaleń między panami, więc cóż mogłam zrobić? Wydałam mu je oczywiście. Na tym etapie nie miałam jeszcze pojęcia, czym to się skończy. To, że pana wrobili, uświadomiłam sobie dopiero, gdy prezes Baranowski zaczął wydzwaniać do nas, pan wybaczy określenie, jak opętany. A pomysł, by sprawdzić tamto konto, przyszedł mi do głowy w tej ostatniej chwili!

Nagle wstała i osobliwym, poufałym tonem dodała:

– Panie mecenasie, by udowodnić, że to Kwaśniak naraił im tę spółkę, musimy dojść, jaka firma przelała pieniądze...

Tak. Paweł doskonale o tym wiedział, był jednak pewien problem. Spółki zarejestrowane w ramach podatkowych zakładane były tak, by właśnie nie dało się dojść, kto jest właścicielem. W tym cały szkopuł.

– A może by tak wynająć hakera? – podsunęła rozemocjonowana.

Ta dziewczyna miała zbyt bujną wyobraźnię, naprawdę. Poirytowany, zerwał się z krzesła i zaczął krążyć od drzwi do okna.

Hakerzy! Też pomysł! Hakerzy istnieli tylko w filmach przygodowych. Paweł nie cierpiał nawet informatyków, a ona każe mu szukać hakerów! Informatycy, hakerzy, w ogóle komputerowcy – to najgorszy gatunek ludzi.

Znał jednego informatyka – nieznośny kawał wałkonia. Nierób, jakich mało. Niedomyty, z długimi, tłustymi włosami i wszechwiedzącym uśmiechem, nigdy nie umiał niczego zreperować, a kazał im płacić bająnskie sumy za swoje pieprzone usługi! A i tak zawsze kończyło się na odłączeniu diabelskiego urządzenia od prądu.

– Mogę spróbować znaleźć kogoś, kto się na tym zna – ciągnęła, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo go tym irytuje. – Panie mecenasie?

– Pani Agnieszko, podziwiam pani entuzjazm, ale to nie powieść science fiction – odezwał się surowo. – Ci, ci... hakerzy pomyślą, że jest pani naiwna, wyciągną tylko pieniądze, a nie znajdą niczego. I jeszcze potem na nas doniosą, a tamci – kimkolwiek są – pozwą nas o naruszanie danych osobowych, za jakieś nielegalne machlojki! Niech pani zapomni o hakerach!

– Zapalił papierosa i przystanął przy oknie, patrząc na zamglony, czarno-biały park.

Umilkła, najwyraźniej stropiona. Chyba lekko przesadził.

– Pani Agnieszko, bardzo mi pani pomogła! – pospieszył z wyjaśnieniami, odwracając się ku niej. – Sowiec panią za to wynagrodzę! Ale niech pani już to zostawi. Niech pani nie łamie sobie tym głowy! Ja o tym pomyślę.

Milczała, lecz jej mina zdradzała, że raczej nie spodobał się jej ten pomysł.

– A zmieniając temat, musimy rozdzielić obowiązki na cały tydzień. Obiecałem wczoraj, że tak szybko nie pójdziemy na dno. I słowa dotrzymam. Dziś spotykam się z dyrektorem departamentu PGNiG-u. Wywaliłem Rochowicza i Wójcika za nielojalność i pertraktacje z tym wszarzem Zybterem. Posadzę w PGNiG-u dwóch radców, których polecił mi Ciech. Obaj mają duże doświadczenie. Jeden wiele lat pracował w dużej sieciówce amerykańskiej i obsługiwał Orlen, a drugi był in house^[15] Petrochemii Płock. Dyrektor w PGNiG jest moim wieloletnim przyjacielem i mam z nimi podpisaną umowę, zatem, jak pani widzi, z głodu jeszcze nie umrzemy. Musi pani tylko wyręczyć mnie w znalezieniu odpowiedniego lokalu. – Chrząknął

i z odrazą obrzucił wzrokiem „gabinet”. – Wbrew pani obawom nie zostaliśmy przy dwóch klientach. Natomiast faktycznie muszę jak najszybciej odnowić kontakty. No i mieć gdzie zaprosić gości! Trzeba mi gwałtem znaleźć lokal.

Teraz i ona zapaliła papierosa.

– To doskonale, że ma pani tyle pomysłów, jak przygwoździć Kwaśniaka, ale wczoraj wiele myślałem o tym, co pani powiedziała...

– Że pan tonie?...

Na miłość boską. Przyznawanie się do porażki nie leżało w jego naturze, wydawało mu się to patetyczne, krańcowe... Ale cóż. Sytuacja tego wymagała.

– Tak. I doszedłem do wniosku – ciągnął, znów odwracając się w stronę okna, by nie widziała wyrazu jego twarzy – że jest w tym ziarno prawdy. Musimy więc tak podzielić się pracą, by odbudować z ruin, co się da. Przede wszystkim – wiarygodność!

– A sprawa Kwaśniaka? – W jej głosie brzmiało lekkie rozczarowanie. A więc i ona pragnęła go dopaść? Zawzięta smarkata!

– Spokojnie! Zajmiemy się i jednym, i drugim. Ja będę nadzorował proces Zagajewicza, a pani będzie czuwać nad sekretariatem oraz nad tym, by wszyscy nowi wykonywali swoje obowiązki!

Widząc rozczarowanie na jej twarzy, szybko dodał:

– To potężne zadanie, jak na studentkę czwartego roku! I dostanie pani znaczącą podwyżkę! – zagrmiał z dumą. Co? Wciąż niezadowolona mina? Czego ta mała pchła znów od niego chce? Zdumiony, potarł twarz dłońmi. A może podwyżka jej nie wystarczy? Może ma aspiracje zostać junior partnerem! W głowie jej się przewracało czy co?

– Pani Agnieszko, zadania, które pani powierzam, są bardzo poważne jak na studentkę! Sekretarkę! Jeszcze nie jest pani na aplikacji! Naturalnie, za kontrybucję w sprawie Baranowskiego przewidziałem dla pani specjalne honorarium. Dostanie pani dziesięć procent mojego wynagrodzenia! Wie pani, ile to będzie?

Pokiwała głową z szacunkiem, ale nadal wydawała się smutna. Co znowu, u licha? Za mało? Bezmyślna, mała liszka nie ma pojęcia, że Baranowski za wyciągnięcie ośmiu baniek od ubezpieczyciela Zagajewicza ma mu zapłacić dziesięć procent prowizji. A więc jej dziesięć od jego dziesięciu to równo osiemdziesiąt tysięcy!

– Pani Agnieszko, naprawdę proponuję pani spore pieniądze – wyjąkał, zaskoczony jej reakcją.

Kobiety. Nikt za nimi nie dojdzie. Jakże pazerne to istoty!

Poderwała się z krzesła jak oparzona.

– Panie mecenasie! Źle mnie pan zrozumiał! Ja nie chcę pieniędzy! To znaczy chcę, ale nie o to mi chodzi w tym momencie! Ja, ja...

– O cóż więc chodzi, pani Agnieszko? – z trudem krył zniecierpliwienie.

Milczała.

– Pani Agnieszko, o co chodzi? – rzekł łagodniej, prawie ciepło. Cholera jasna, będzie miał nowe utrapienie!

– Chodzi o to, że ja... Ja nie chcę zajmować się tylko sekretariatem czy wynajmem!

– A czego pani chce?

– Chcę do końca pracować z panem przy sprawie Kwaśniaka!

Masz ci los! A to ci dopiero! Miał teraz „partnera”. Dwudziestotrzyletnią panienkę. Znalazł się doktor Watson. Skaranie boskie z tymi jej ambicjami detektywistycznymi. Jeszcze gotowa ich oboje pociągnąć do kryminału. Będzie miał z tym więcej roboty, niż gdyby działał sam, jak zamierzał. Oburzony, już zamierzał ryknąć, że za wiele sobie pozwala i teraz faktycznie

przekroczyła wszelkie granice, ale jakoś nie miał sumienia. Tak bardzo mu pomogła. Cholera jasna, stał się teraz jej dłużnikiem czy co? Osiemdziesiąt tysięcy nie wystarczy, by się odczepiła? Mała pijawka! I nagle, osłabiony i wykończony, dziwiąc się własnej reakcji, odwrócił się i rzekł sztywno:

– Dobrze, już dobrze. Wygrała pani. *Case* Kwaśniaka zrobimy razem.

Kiedy się uśmiechała, była niemal... ładna? Nie, ładna to chyba za duże słowo. Znośna.

Odyseusz

Przeszkadzam? – Drzwi z mlecznego szkła uchyliły się i do gabinetu Mateusza Wencła zajrzała Wiktoria Dziedzic, uzbrojona w korporacyjny uśmiech. – Jakieś ważne spotkanie?

Mati z Antoniną siedzieli tuż obok siebie, przy drewnianym, szczęśliwie nieprzezroczystym stole, gorliwie przeglądając papiery. Antonina, mimo że bluzeczkę miała odrobinę przekrzywioną, nie zwykła była tracić zimnej krwi. Ani jednym gestem nie zdradzając zmieszania, podniosła wzrok znad dokumentów i zatopiła w „nowej” chłodne, nieprzeniknione spojrzenie.

– O! Jak się masz, Wiktorio! – zawołał jowialnie Mati, dyskretnie wyjmując rękę spod stołu i łapiąc pierwsze z brzegu papiery, a następnie skrętnie je porządkując. – Owszem, omawiamy sprawy wielkiej wagi!

Po czym zamilkł, odwzajemniając się Wiktorii identycznym szerokim uśmiechem.

Wiktoria stała niewzruszona, uśmiechając się niestrudzenie, jednak samymi tylko ustami, oczy jej bowiem, podobne do ślepi bazyliuszka, przesywały beczelnego dyrektora marketingu na wskroś. Mati wiedział, że żadna była wyjaśnień: choćby przybliżenia tematu tego niezwykle pilnego spotkania z prawniczką, które zwałniało go z odbycia spotkania działowego, zabukowanego na dziś rano z inicjatywy właśnie jej – Wiktorii. Niemal fizyczną przyjemność sprawiała mu ta pełna tajonego napięcia cisza. Już on jej pokaże, kto tu rządzi!

Niby z jakiej racji ma się tłumaczyć czy udzielać wyjaśnień odnośnie do tematu przeprowadzanych spotkań?

Antonina, wyczuwając jego rozdrażnienie, już zamierzała wtrącić coś łagodzącego, lecz on mocno przycisnął swoje udo do jej, dając tym samym tajemny znak. Niepewna, o co mu chodzi i czy aby Wiktoria Dziedzic ze swojej perspektywy nie ma przypadkiem doskonałego widoku na ich stykające się pod stołem kolana, zamilkła.

W końcu ciszę przerwała „nowa”:

– Mamy jakieś kłopoty prawne?

A więc nie dawała za wygraną! Wścibska, wszędobylska baba.

– Standardowe procedury – Mati odparł szybko, zanim Antonina zdążyła otworzyć usta.

– Związane z... – Wiktoria uniosła jedną brew i zawiesiła pytająco głos. Jej wściubianie nosa we wszystko dookoła budziło w Matim wrodzoną przekorę.

– Wiktorio. – Zaśmiał się cicho i złowieszczo. – Nie chcę być nieuprzejmy, ale chyba szkoda twojego bardzo KOSZTOWNEGO czasu na wysłuchiwanie tej jakże długiej historii. Musiałbym poświęcić co najmniej dwadzieścia minut twojego cennego czasu, by wprowadzić cię w arkana tej sprawy, ciągnącej się od ponad dwóch lat. Obecna tu pani mecenas doskonale sobie z tym radzi, nie ma najmniejszej potrzeby, ekhem, że tak powiem, twojej szacownej interwencji. Jeśli kiedykolwiek będziemy mieć kłopoty z tą, tak naprawdę kończącą się już, historią, rozumiem, że ruszysz nam z odsieczą! Jak na razie, dajemy sobie radę i to całkiem nieźle, więc pozwól, że nie będę zdręczał cię takimi przyziemnymi, że tak powiem, pierdołami i pozwolę ci zająć się sprawami większej wagi, stosownymi do twojej pozycji. Wiem, że masz na głowie, między innymi, pracę nad poprawą składania purchase orderów^[16] w dziale... – Tu znacząco zawiesił głos i zerknął na drzwi z niewinną miną.

Wiktoria lekko poczerwieniała i skierowała wzrok na siedzącą cicho prawniczkę.

– Pani mecenas, nie będę teraz przeszkadzać, jednak mimo wszystko, pomimo „błahości” zagadnienia, jak twierdzi pan dyrektor, proszę panią uprzejmie o półgodzinne spotkanie, nawet dziś po południu, jeśli ma pani czas. Zbiefuje^[17] mnie pani. Jestem tutaj nowa i pragnę się zorientować w całej sytuacji, łącznie ze wszelkimi aspektami prawnymi. A swoją drogą,

Mateusz, jeśli rzecz jest tak nieistotna, jak twierdzisz, to może jednak przyłączysz się do mojego cotygodniowego update'u^[18] tuż po waszym meetingu^[19]? Może łaskawie zaszczycisz nas swoją obecnością?

Mateusz wstał zza stołu i podszedł do Wiktorii.

– Wiktorio, źle mnie zrozumiałaś! Nie lekceważę twojego spotkania w sprawie procedur. – W kąciakach jego ust igrał niemal niedostrzegalny uśmieszek. – Nie będzie mnie na nim, ale nie ze względu na sprawy prowadzone przez panią mecenas. Po prostu za chwilę mam spotkania z agencjami reklamowymi. Jedno po drugim, aż do wieczora. Gotowe animatiki kampanii reklamowych nowych pakietów telefonii cyfrowej. Wyboru agencji trzeba dokonać już dziś, nie ma chwili do stracenia. I zaczynam – tu dyskretnie wysunął zza mankietu nieskazitelnie czystej koszuli lśniąca tarczę luksusowego, platynowego pateka – o! Już za chwilę!

– Aha! Więc spotykasz się z agencjami. – Wiktorina patrzyła na Mateusza z uśmiechem, który nie wróżył niczego dobrego.

– Tak. – Mateusz zbliżył się do niej jeszcze bardziej i niemal położył rękę na klawce.

– Zrobię wszystko, żeby poprzesuwać spotkania i wpaść do was – wycodziła. – Co dwie głowy, to nie jedna, nie sądzisz?

– O tak! – odparł Mateusz z przekonaniem. – Twoja obecność byłaby nieoceniona!

Jednak jeśli miałoby ci to jakoś pokrzyżować plany, to... trudno! Będziemy zdani na siebie! – Zawiesił głos i rozłożył ręce w błazeńskim geście mówiącym: „Cóż począć?”

Wiktorina zamknęła za sobą drzwi z cichym trzaskiem.

Mati i Antonina spojrzeli na siebie. On parsknął głośnym śmiechem, a ona – znacznie bardziej wyważona w reakcjach – uśmiechnęła się pod nosem.

– Romantyk z ciebie – odezwała się, chowając dokumenty. Trudno było powiedzieć, jaka nuta przeważała w tej wypowiedzi: podziw czy pogarda?

– Romantyk? – Usiadł obok, ujął dłonią jej twarz i obrócił ją do siebie.

– Żeby mi zaimponować, szarżujesz przeciwko heterze, która jest niemal wszechmocna! – Uparcie odwracała od niego wzrok.

– Hej! Czemu jesteś taka nadąsana? – Próbował zajrzeć jej w oczy.

– A może wcale nie jesteś takim romantykiem?

– Jak to? – Patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem, a jego palce zaczęły wędrować po jej opalonej szyi. Sam fakt, że nie mógł jej teraz mieć, działał na niego tak... Nagle za drzwiami rozległy się podniesione głosy, więc znów oderwali się od siebie. Mati przezornie wstał i stanął między nią a drzwiami.

– Może po prostu faktycznie chcesz ją trzymać z dala od pitchów^[20]? – Teraz patrzyła mu prosto w oczy.

– O co ci chodzi, Nineczko? – Mati poczuł narastające zniecierpliwienie.

– O to, że ona rzeczywiście powinna być obecna przy takich przetargach! Czemu jej tam nie chcesz? I jeżeli naprawdę masz coś do ukrycia, dlaczego o niczym nigdy nie mówisz mnie? Kim ja W OGÓLE dla ciebie jestem?

– Aha! O to chodzi! Tu cię boli! Dziewczyno, zastanów się! Po co mi ona na spotkaniu? Wszystko jest już ustalone. A w ogóle, po jakie lichy się w to wtrącasz? Nie chcę cię mieszać do takich spraw. Po co miałbym cię martwić? I po co zaczynasz takie gadki w tak niewygodnym momencie, do stu diabłów? Powiedz lepiej, jak się jutro zobaczymy, bo...

– Bo co? – Antonina założyła nogę na nogę i patrzyła na niego wyzywająco.

– Bo dziś nie mogę się wyrwać z domu! Cholera jasna, chodź mi tu szybko, muszę cię trochę podotykać, bo zwariuję!

– Zostaw mnie, Mateusz, zaraz znów ktoś wejdzie! Wywalą nas oboje! Puszczaj!

Próbowała wyrwać się jego objęć, lecz nie dawał za wygraną. W końcu poddała się pieszczotom, z początku krztusząc się ze śmiechu, po czym, im bardziej namiętny się stawał, tym bardziej zapadała w jego objęcia. Przerazenie przed ewentualnymi konsekwencjami „bycia przyłapanym na gorącym uczynku” tylko przydawało pikanterii ich ognistym pocałunkom.

Znów ktoś zapukał do drzwi.

– Jedną sekundę! – odrzyknął Mati i w okamgnieniu poprawił krawat. Niewiele więcej niż dwie sekundy zajęło mu wciągnięcie koszuli do spodni. Zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi, po drodze szczelnie zapinając marynarkę. Antonina miałaby nieco więcej ambarasu ze swoją garderobą, więc przytomnie złapała żakiet i błyskawicznie narzuciła go na rozchełstana, pomiętą bluzkę. Mati rzucił na nią okiem i widząc, że jest względnie doprowadzona do ładu, stoi przy oknie i wertuje dokumenty, gwałtownie otworzył drzwi na oścież.

– Co jest, pani Sylwio? – gromko krzyknął na stojącą w progu zalęknioną sekretarkę. – Mam tak mało czasu, wszystko się wali i pali, a pani z czym?

Widząc za jej plecami dwójkę swoich podwładnych, stojących koło automatu do kawy, odwrócił się na pięcie i zawołał głośno do Antoniny:

– Pani mecenas, dość już zastanawiania się nad tą sprawą! Niech oni nam więcej nie zawracają głowy. Trzydzieści tysięcy odszkodowania to nasze ostatnie słowo. Nie marnujmy więcej czasu i pieniędzy. Jeśli nie będą chcieli ugody, złożymy pozew.

– A więc jest pan pewien, panie dyrektorze? To dobrze, wiemy już, czego się trzymać. – Z teczką minęła go w drzwiach. Uwielbiał tę jej „aktorską grę”, była wtedy tak cudownie chłodna. Idealnie panowała nad mimiką, a jednak potrafiła najdelikatniejszym wygięciem ust czy intensywnością spojrzenia dać mu do zrozumienia coś... co w każdym razie mógł odczytać tylko on. Jakież to było ekscytujące!

– Poinformuję pana telefonicznie o finalnym rezultacie naszej oferty.

Wymienili spojrzenia, uścisnęli sobie dłonie. Czując na sobie badawczy wzrok tamtej trójki i mając na uwadze absolutną ciszę, która zapadła po otwarciu drzwi do jego gabinetu, Mati nie pozwolił sobie nawet na cień uśmiechu. A niechby ich wszystkich diabli! Z gniewnie zmarszczonymi brwiami, wściekły na cały świat, a najbardziej na to, że nie ustalili daty spotkania, rzucił za nią głośno:

– I trzymajcie państwo te godziny w ryzach. Będę bardzo skrupulatny przy rozliczaniu!

– Jak zawsze, panie dyrektorze.

Rzuciła mu przeciągłe, wabiące spojrzenie i odwróciła się na pięcie. I Bóg mu świadkiem, miała najpiękniejszą pupę, jaką widział! Kiedykolwiek. Gdziekolwiek.

Czując, jak ogarnia go straszliwy, dławiący gniew na bezwład kierujący jego życiem, zarzucił beczynn timercejących i gapiących się na niego podwładnych masą ciężkiej i tak naprawdę nikomu niepotrzebnej pracy. Potem wziął butelkę wody, minął przeszkloną salę konferencyjną, gdzie „nowa” katowała jego podwładnych swoimi koncepcjami i ruszył na czwarte piętro do ustronnej sali, do której zaprosił agencje reklamowe.

A ponieważ do pierwszego spotkania miał jeszcze pół godziny, rozparł się wygodnie w fotelu i rozłożył zakupioną wcześniej „Gazetę Wyborczą”. Zanurzony w złowieszczych tytułach, powoli się uspokajał. Powabna, długonoga postać rozplýwała się jak we mgle wobec wizji kryzysu, biedy, upadku wszelkiej normalności, wraz z informacjami o kolejnych pokazówkach nowo powołanego ciała do walki z korupcją, NOP-u – Naczelnego Organu Prewencyjnego. I na taki świat ma przyjść jego... potomek! Pierwszy raz poczuł prawdziwą więź z tym pozbawionym jeszcze realności kształtem, ledwie mającącym na zdjęciu ultrasonograficznym. Nowe, niepokojące uczucie. Głównie, przynajmniej na razie, oparte na strachu o jego lub jej przyszłość? Wszędzie kryzys, będą zwalniać, idą trudne czasy. W dodatku

Porozumienie Narodowe kontynuuje swoje dzieło zniszczenia, aresztując drobnych łapówkarzy i rujnując resztki wzajemnego zaufania. Tak się buduje system totalitarny. Strachem. Jakim cudem udało im się wygrać wybory? Jak naród mógł drugi raz nabrać się na to samo?

W każdym razie on, jak marionetka na sznurkach, musi więc się w tych więzach, które go krępują, musi tańczyć, jak mu zagra przeklęta korporacja. Nie może stracić tej roboty. Ma teraz na karku nowe więzy. Dziecko...

Z fascynacją myślał o własnym uwikłaniu. Wolność wyboru? To największa brednia, jaką słyszał! Człowiek jest uwiązany na sznurku własności i jej utrzymania. Pod każdą jej postacią: pieniędzy, zdrowia, związków... Musi się więc bogacić. Musi! A jakież ma inny wybór? Miałby chcieć mniej? Paradować po pchlim targu boso jak Sokrates? Pełno takich walniętych świrów kręci się po Centralnym. Czyżby tylko oni mieli zostać zbawieni? Bo przecież tylko oni wyzbyli się chęci posiadania *in toto*^[21].

Tym bardziej istotne było teraz, aby kampania nowych produktów Telecommerce (za chwilę Unitel Commerce, niech to diabli – realia mogą się zmienić!) okazała się droga, jak najdroższa! Mati miał bowiem mały *kick back*^[22] od agencji reklamowej, której zlecał robotę. Zawarł osobisty układ z jej prezesem, Piotrem Maruszewiczem – cholerne piętnaście procent. Dawało to, przy ich ofercie dwustu tysięcy za kampanię, marne trzydzieści tysięcy. Ale kampanii w ciągu roku powinno być co najmniej cztery.

Przy dobrej konfiguracji powinien uciągnąć w dwa tysiące ósmym dodatkowe sto, może sto pięćdziesiąt. Czy to dużo?

Mateusz zagapił się w okno, wzruszając ramionami. Czymże to było wobec rosnących potrzeb żony i przy okazji własnych kapryśków (jeśli już nie mógł być na stałe z kobietą, którą kochał, chciał przynajmniej mieć coś od życia). Zaczynał dostrzegać konieczność podniesienia wziętki z piętnastu do dwudziestu procent.

Oj, tak. Teraz klepnie projekt agencji Maruszewicza, jakkolwiek by był beznadziejny. A w przyszłym tygodniu odwiedzi go w Krakowie i powie, że usługi zdrożały. Przy okazji weźmie ze sobą Antoškę. Upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu. Oczywiście niczego jej nie mówiąc o swoich sprawach. Nie to, żeby nie miał do niej zaufania! Ale...

Uśmiechnął się i zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Zaraz powinni nadejść pierwsi goście. Agencja „Dragonfly”. Zdolni faceci. Tym gorzej dla nich.

Zaterkotał telefon. To recepcjonistka anonsowała ich przybycie. Mateusz wstał, poprawił doskonałej jakości garnitur, przecesał gęste, lśniące włosy i energicznym krokiem ruszył na powitanie. Po wymianie należnych grzeczności zasiedli wokół owalnego, szklanego stołu.

Prezentacji dokonał *account*^[23] agencji „Dragonfly” – rosły, przystojny i dobrze ubrany facet, którego Mati nie był w stanie znieść, gdyż w jakiś dziwny sposób przypominał mu siebie samego, tylko w wersji nieco bardziej awangardowej. Kiedy skończył, Mati milczał chwilę. Prezentacja zrobiła na nim wrażenie. Cele strategiczne trafiono idealnie. *Brief*, który on sam napisał, rzeczywiście ktoś przeczytał. Co więcej, ktoś go przeanalizował i wyciągnął właściwe wnioski. Klarowny przekaz, sama esencja. No i właściwa grupa docelowa. Ciekaw był teraz, jak poradzą sobie z kreacją.

– Ok, ok – odezwał się, nie patrząc accountowi w oczy. Ton jego głosu, intencjonalnie szyderczy, nie pozostawiał złudzeń. Brzmiał, jakby nie zobaczył nic godnego uwagi. – Przekonajmy się wreszcie, z czym panowie przyjechali.

Teraz wstał *art director* „Dragonfly”. Zagryzając wargi, podszedł z przenośnym komputerem bliżej podwyższenia, na którym stał stół z kablami do podpięcia. *Account*, nadrabiając miną, pomagał mu podłączyć się do właściwego kabla, wymienili się jakimiś uwagami, a potem kreatywny zaśmiał się cicho. Mati bawił się ołówkiem, potem dyskretnie

zerknął na zegarek. Nie zadawał sobie trudu, żeby teraz wymyślić powód odrzucenia ich koncepcji, gdyż zwyczajowo robiło się to po obejrzeniu wszystkich prezentacji. Myśli jego popłynęły ku Antosi. Ostatnie zdanie wypowiedziała niemal surowo, a tymczasem w jej oczach czaił się figlarny chochlik...

Nagle, już enty raz tego dnia, usłyszał ciche, lecz natarczywe pukanie. Zanim drzwi się otworzyły, już wiedział, kogo zobaczy. A niech ją wszyscy diabli! Skróciła zebranie do godziny, byle tylko pojawić się na przetargu. Przekłęta, wścibska suka! Uwzięła się na niego. Uczepiła jak rzep psiego ogona. Cholera, teraz będzie musiał wdawać się w niepotrzebne dyskusje, żeby udupić ten całkiem niezły projekt!

Tymczasem Wiktoria Dziedzic już wkraczała do sali, w dodatku – niech ją szlag – nie sama! Ciągnęła ze sobą Paulinkę (zwięszył swój swego), Justynę oraz oszołomionego dyrektora *public relations*! Po kiego grzyba? Mati zacisnęła zęby. Z trudem hamując się przed wypowiedzeniem czegoś nieodwracalnego, zagryzł wargi i wstał przywitać nowo przybyłych i zrobić im miejsce, by wszyscy się zmieścili. Dziedzic wygłosiła krótką mowę powitalną, z której wynikało, że procedury Unitelu wymagają obecności szerszego gremium przy dokonywaniu wyboru spotów kampanii reklamowych. Wszystko to powiedziane zostało jak najprzejmiej i niezwykle poprawnie politycznie, a aluzja co do stronniczości ewentualnego wyboru nawet nie padła. Wisiała jednak w powietrzu, rzucając na Matiego dziwny, złowieszczy cień.

Przepraszające spojrzenie dyrektora Borkowskiego, faceta, który Matiego lubił i nigdy nie wchodził mu w paradę, podziałało na młodszego Wencła jak płachta na byka. A więc ściągnęła tu innych, żeby go napiętnować, żeby patrzeć mu na ręce! Jakim, kurwa, prawem? To on był dyrektorem marketingu, on odpowiadał za strategie reklamowe. Robili gigantyczne obroty, a reklamy odnosiły regularny sukces rynkowy. Miał na to pierdolone dowody zarówno w badaniach ilościowych, jak i jakościowych, nie licząc obrotów firmy. Nie licząc gigantycznego wzrostu ani migracji setek tysięcy abonentów do ich firmy! A jakie miał układy z agencjami, to już, kurwa, jego sprawa. Od lat pracował z najlepszymi, nie zrobił nic przeciwko własnej firmie. Przekłęta, niewyżyta modliszka! Gdyby nie Nineczka, której zamierzał pozostać wierny, już by wiedział, jak okiełznać tę twardą, pancerną sucz. Gdzieś tam pod powierzchnią aż się o to prosiła. Już on potrafił takie rzeczy wyczuć.

Nie takie kręgosłupy łamał. Chodziłaby potem za nim, skamląc o jeden uśmiech. Łasząc się jak pies. Merdając ogonem. Ale nie będzie jej dane! Nie dla psa kielbasa, jeśli już poruszał się myślowo w strefie kynologicznej.

Z lodowatym uśmiechem, fachowo i zwięźle streścił przedstawioną przed chwilą strategię, po czym rozejrzał się po kolegach i rzucił:

– No i co myślicie na ten temat? – Jego spojrzenie spoczęło na Borkowskim, który poruszył się niespokojnie, jakby na karku usiadł mu giez. Nie miał zielonego pojęcia, co ma o tym myśleć, gdyż szczęśliwie nie znał się na marketingu w ogóle, co jak do tej pory kompletnie nie przeszkadzało mu zajmować stanowisko poniekąd z tą tematyką związane.

– Brzmi nieźle, kurczę blade. – I podrapał się po głowie. Justyna podniosła wzrok na Matiego, oboje ledwo powstrzymali parsknięcie śmiechem. Wiktoria, wściekła na okazaną za jej plecami oznakę tajemnego porozumienia i zażyłości, odezwała się spokojnie, perfekcyjnie niemal panując nad ogarniającą ją złością:

– Podzielam twoje zdanie, Romku, choć nie wiem, czy twoja zgoda wynika z otwartości na zmianę kursu strategicznego, czy też może, ekhem... Nie wiem, gdyż zatrzymałeś to dla siebie, ale ufam, że dziś podzielisz się z nami swoimi przemyśleniami z nieco większą otwartością, gdy dyskusja się rozwinie! – Zwróciła się w stronę niespokojnie spoglądającego Borkowskiego, jakby

dając mu jeszcze szansę, by naprawił swój błąd, lecz tamten siedział cicho. – Ok, dobrze! – westchnęła porozumiewawczo w stronę pozostałych.

Mati patrzył na swoje dłonie.

Divide et impera! „Dziel i rządź”, kurwa mać, stara rzymska zasada. Oto jej strategia. Zawsze skuteczna, o ile znał się na naturze ludzkiej. Niewystarczająca pewnie, by zawładnąć firmą na dłużej, ale na pewno na tyle, by wyruchać Matiego z tej lepkiej, bo lepkiej, ale dobrze płatnej roboty!

Przymknął oczy i pierwszy raz od dawien dawna poczuł lekki niepokój. Czyżby starała się zmać spokój w szeregach Telecommerce, nad którymi on, Mat, panował niemal niepodzielnie? Zabłysnąć tu, nie robiąc nic i nic nie umiejąc, a siejąc tylko niepotrzebny zamęt? Już widać, że stosuje swoją taktykę na wszystkich dookoła, roztaczając aurę niepewności, wbijając pazury tam, gdzie wyczuje pęknięcie (*vide* Paulinka) i rodząc w każdym po kolei wątpliwości, czy aby nie nadaje się on tylko na złom.

Bo cokolwiek by powiedzieć, Borkowski miał doskonałe układy w środowisku prasowym i umiał wcisnąć ich do każdego medium. Telecommerce miało doskonało opinię u konsumentów! Na chuja była mu wiedza z podręcznika Kotlera? Był dobry w tym, co robił, ale teraz siedzi, zagryzając usta i wbijając paznokcie w opuszki palców.

Paskudna, niewyżyta bladź! I Mati siedział jak ogłuszony, z niechęcią słuchając wydumanej dyskusji obecnych na sali osób. Po tym, jak zbesztala Borkowskiego za brak aktywności, wszyscy udzielali się, ile wlezie. Gadali dużo, najczęściej bez ładu i składu, byle tylko wykazać „żywe zainteresowanie”.

– A ty co myślisz, Mateusz? – nie wytrzymała. Nie mogła ścierpieć jego pobłażliwego uśmieszku.

– Zobaczmy może kreację i zaraz wam powiem, co myślę. Panie Patryku? – Kiwnął głową art directorowi, który z nie skrywanym zdumieniem przysłuchiwał się tej trwającej już dobre kilkanaście minut akademickiej dyskusji.

– No więc koncepcja jest mniej więcej taka, żeby nieco spuścić z tonu i pójść trochę inną drogą, żeby skusić młodszych użytkowników... A więc proszę, już włączam. – Pochylony nad laptopem, gmerał przy klawiszach. – Zaraz, zaraz, no co jest... Aaa, tutaj! Okej.

Oczom obecnych ukazał się krótki, „jajcarski”, jak to wcześniej określił *account*, filmik z udziałem animowanych ludzików. Zabawnie narysowane, ze świetnym twistem^[24] i odjazdowym pay offem^[25]! Wszyscy, łącznie z Matim, ryknęli śmiechem.

– Boskie! – Wiktoria śmiała się perliście, patrząc na chłopaków z agencji z nieskrywanym uwielbieniem. – Nareszcie coś z jajem!

– Dokładnie! – *Art director* stracił nieco ze swej chłodnej flegmy, widząc zrozumienie własnej twórczości tam, gdzie zupełnie nie spodziewał się jej znaleźć, albowiem dupki z firm FMCG były dla niego czymś jeszcze podlejszym niż drobni przedsiębiorcy. Zero uznania dla jego wyrazu artystycznego! „Chodziła” tylko sztampa, ograne triki, klisze. Przez to, że robił w „Dragonfly”, agencji niezwykle koniunkturalnej i pozbawionej wyrazu artystycznego, wszystkie jego koncepcje – o zgrozo! – podobały się LUDZIOM! Jego praca, zamiast być opluwana i krytykowana – zyskiwała uznanie tłuszczy. Nie mogło być większej obelgi dla artysty, który ukończył studia z zamiarem obrażania wszystkiego i wszystkich.

Teraz, po latach upokorzeń, zdeterminowany, by przełamać schemat, w który popadł, dla Telecommerce przygotował coś innego, specjalnego – coś *cool*, więc spodziewał się krytyki, zwłaszcza od tej groźnej kobiety w niemal męskim garniturze. Jakże się zdumiał, kiedy to właśnie ona wyraziła uznanie dla – może nie do końca „prawdziwej sztuki” – ale na pewno czegoś nietuzinkowego, niekomercyjnego.

– Hej, co myślicie? – spoufalała się Wiktoria, zachwycona pomysłem. – Wraz ze zmianą nazwy na Unitel Commerce concern wprowadza nowy wizerunek! Dla młodych! Precz z zatęchłą pompą! Setki nowych abonentów przechodzą do nas! Taki był cel, czyż nie, Mati?

– Tak. – Mati rozparł się w fotelu. – Bardzo zabawny, mały filmik!

W jego głosie zawibrowała ledwo wyczuwalna drwina. Wszyscy spojrzeli z niepokojem.

– Bardzo zabawny, gdybyśmy wchodzili z naszymi usługami na rynek jako nowicjusze. Bardzo zabawny, gdybyśmy budowali nasz wizerunek od zera. Cholernie zabawny, gdybyśmy nie mieli nic do stracenia i chcieli przechwycić niezagospodarowany kawał tortu w postaci szesnastoletnich dzieciaków. Ale, cholera, mało zabawne będzie pozyskać nawet setkę tysięcy dzieciaków, a stracić kontrakty z naszymi klientami korporacyjnymi! Obroty z obsługi tamtych stanowią osiemdziesiąt procent naszego dochodu. Nasz fundament! W grupie średnich i dużych firm mamy udziały dochodzące do osiemdziesięciu procent, co przekłada się na dwa miliardy euro rocznie. Natomiast nawet przejście CAŁEGO rynku młodych klientów indywidualnych, co i tak jest niemożliwe, dałoby nam dochód rzędu pięciuset milionów euro. Skórka za wyprawkę, co?!

Wszyscy słuchali w absolutnym milczeniu.

– Po drugie, mamy stałą kampanię wizerunkową, która, przynajmniej na moje oko, klóci się z każdym fragmentem przedstawionego przez panów spotu reklamowego. Owszem, mieliście uderzyć do młodych, ale zachowując naszą linię. Przecież te kampanie będą szły równolegle. Chcecie, żeby nasz wizerunek rozkraczył się jak pijany na łyżwach?

– Ale dopiero co mówiliśmy, że strategia „do młodych” jest słuszna!

– Do młodych firm! Do młodych biznesmenów! Dotarcie do, za przeproszeniem, gnojków żujących gumę przed MTV nie może być robione pod umbrella^[26] Telecommerce! Czy też Unitelu! Na dotarcie do tamtych potrzebujemy subbrandu^[27]. Nie w tym roku, nie w tym życiu, koniec tematu. Chyba że chcesz, Wiktorio, zamordować wizerunek, na który pracowałem dziesięć lat. Ale dopóki jestem tu za coś odpowiedzialny, sorry, panowie, ale nie tędy droga!

– Ale, panie dyrektorze, to jest zgodne z briefem! – oburzył się *account*, najwyraźniej czując rozłam w szeregach. – Sam pan napisał, żeby zmienić charakter...

– A doczytał pan tu: „Zachowując jednocześnie ten sam *tone of voice*^[28]”? Nie reklamujemy gumy do żucia w magazynie dla nastolatków! To nie eksperyment, na którym pan zabłyśnie podczas „Nocy reklamożerców”, ale kontrakt wart kilkaset tysięcy złotych! Mający nam przynieść cztery razy taki dochód! Ale jest światelko w tunelu. – Mati uśmiechnął się złowieszczo. – Znam kogoś, kto kupi pana pomysł z ludzikiem! Koło mojego apartamentowca jest doskonała knajpa i szefowa mówiła, że chcą zmienić wizerunek, bo żarcie mają fajne, ale grafik spartaczył identyfikację wizualną! Wiedziała, że robię w reklamie i pytała, czy nie znam kogoś, kto by im tanio coś zaprojektował. Może oni wzięliby ludzika? Albo może chociaż zatrudniliby go jako kelnera? Nie, mam jeszcze lepszy pomysł! Niech zgrillują pana ludzika na ruszcie!

Gwałtownie poderwał się z miejsca i ruszył w stronę wkurzonych rosłych facetów.

– Żegnam panów, wybaczenie pośpiech, ale mamy jeszcze kilka agencji do przesłuchania! Do usłyszenia.

Wyciągnął w ich stronę dłoń, a oni, wciąż w szoku, machinalnie ją uścisnęli, jeden po drugim. Wyszedł z sali i kątem oka zobaczył Wiktorię, która ruszyła do pracowników agencji, pełna zrozumienia dla ich gniewu.

Tuż przed dwudziestą wsiadł do swojego auta i wykończony opadł na fotel kierowcy. Przymknął oczy i po omacku wsunął kluczyk do stacyjki. Rzadko bywał aż tak zestresowany, bo mało kiedy brał cokolwiek, co działo się w firmie, na poważnie. W korporacji czuł się jak ryba

w wodzie i to nie dlatego, że lubił te koterie, spiski i kopanie pod innymi dołków. Nigdy zresztą nie posługiwał się atakiem, co najwyżej obroną konieczną, a tego, co się tam działo, nie traktował jako prawdziwego życia. Zabawne było czasem obserwować, jak inni się mu podlizują albo piłują pod nim gałąź. Tych ostatnich wykańczał na różne sposoby, jednak trzeba było mu przyznać, że zazwyczaj z otwartą przyłbicą. Mati nie był raczej z tych, którzy strzelali komuś w plecy.

Swoją karierę w Telecommerce traktował jako zło konieczne do osiągnięcia celu w postaci dostatniego życia. A że przy okazji był dobry w tym co robił i nierzadko miał z tego *fun*^[29]? Posiadał cechy przywódcy i nie zamierzał nikogo za to przepraszać. Natura dała mu nie tylko inteligencję, ale i spryt oraz pozory człowieka, który gwizdże na wszystko. Jak do tej pory te cechy wystarczały, by owinąć sobie wokół palca wszystkich szefów oraz większość podwładnych. Skąd się więc wzięła ta – jak najczęściej nazywał ją w myślach – pancerna bladź? Kto ją na niego nasłał? Czyżby miała być skałą, o którą rozbije się jego mały, zwrotny okręciak, od tak dawna zwycięsko lawirujący po niespokojnych wodach? Statek Odyseusza, szukającego drogi do domu... Cha, cha, cha!

On był Odysem, Karolcia wierną, czekającą Penelopą. Ale kim była Antosia? A może to jej miała przypaść w udziale rola Penelopy? Czekającej, cholera wie, ile lat, zanim on upora się... Zaraz, zaraz... A kto w takim razie będzie złą czarodziejką Kirke? Albo – jeszcze gorzej – nimfą Kalipso? Albo – o, to już naprawdę groźne – Scyllą i Charybdą?

Cholerna skłonność do dramatyzowania. Cholerna wybujała wyobraźnia. Z jednej strony pomagała mu, gdyż przewidywał rzeczy, zanim się wydarzyły, lecz z drugiej... Coraz gorzej spał. Czyżby nie panował już nad tym wszystkim?

Nagle z kieszeni wysunął mu się telefon i wpadł między siedzenia. Wyciągnął go stamtąd i zerknął na wyświetlacz.

Cholera, Karolcia wydzwaniała do niego setki razy! Czego mogła chcieć? Zaraz, zaraz? Który to dzisiaj? O Matko Najświętsza!!!

Oblał go zimny pot. Piętnasty listopada, termin połówkowego. Odruchowo zapalił auto i ruszył z kopyta. Wyjeżdżając z garażu podziemnego, jeszcze raz sprawdził komórkę. Dwanaście nieodebranych połączeń od Karoliny, sześć od matki, dwa od ojca!

Nawalił na całej linii. Jechał teraz z taką prędkością, że mało nie uderzył gmerającego przy szlabanie ciecica. Machnął przeprasząco, po czym skręcił w Marynarską. Szczęście, że nie było już korka, oznaczało to jednak, że było potwornie późno. Gnał do domu jak opętany, wjeżdżając na skrzyżowania na żółtym, a nawet na czerwonym, choć wiedział, że badanie USG już dawno się odbyło. Jak mógł zapomnieć o terminie wizyty? Karolina tyle razy mu przypominała, a nawet wpisała do kalendarza. On to potem zamazał, bojąc się, że Antosia zobaczy. Miała w zwyczaju wertować jego kalendarz, bo właśnie ona przypominała mu o różnych spotkaniach biznesowych, dbając o jego interesy biurowe lepiej niż dziesięć sekretarek. Pozwolił jej na to, bo jako prawniczka wiedziała o wszystkim, co dzieje się w firmie – i donosiła o tym Matiemu. Dopuszczał ją więc do wszelkich swoich planów i działań, przynajmniej tych legalnych. Działania zakulisowych nie umieszczał w żadnym kalendarzu, a terminy spotkań z Maruszewiczem miał wyryte niemal w podświadomości. O takich sprawach zapominać mu się nie zdarzało.

Jak więc mógł zapomnieć o tym, tak ważnym dla Karoli (i niego samego!), spotkaniu? Co pomyślał sobie ten cholerny ginekolog?

Z pustką w głowie brał zakręty z niebezpieczną prędkością. Był niemal pod domem, gdy już na Wilanowskiej, ujrzał za sobą migającego koguta. Zaklął ohydnie, zjechał na pobocze, po czym walnął głową w kierownicę i tkwił tak, dopóki nie usłyszał policjanta pukającego do okna.

Wtedy zebrał się w sobie, otworzył okno i odruchowo wymacał portfel.

Pertraktacje trwały dłużej niż zwykle, a do załatwienia polubownego potrzebna była bająńska suma, lecz nie chcąc dłużej się chandryczyć, uścił „mandat” bez mrugnięcia okiem.

Chwilę po dwudziestej, uboższy o paręset złotych, przekroczył próg własnego domu.

– Karolcia? – krzyknął ostro.

Gdzie ona, u licha? Szybko przeszukiwał mieszkanie, zapalając wszystkie światła, biegnąc od pokoju do pokoju.

W końcu dostrzegł smugę światła pod drzwiami gościnnej łazienki. Szarpnął za klamkę. Zamknięte.

– Karolcia! – Energicznie zapukał. – Karolcia, otwieraj!

Nie odpowiedziała.

Poważny, skupiony, przystawił ucho do drzwi i zamarł w oczekiwaniu.

– Karol, wiem, że jesteś wściekła, ale błagam, daj sobie wytłumaczyć. – Bezwiednie głaskał zimne, szare drzwi. Znów przyłożył ucho i nadśluchiwał z niepokojem. – Karolina, ja się martwię! – wrzasnął, zdenerwowany nie na żarty. – Karolina, jak nie otworzysz, wyważę te pieprzone drzwi! Karolina!

„Mamusia”

W konstancińskiej rezydencji państwa Wencłów wrzało niczym w poruszonym gnieździe os. Po bezsennej nocy Ryszard, Elżbieta i goszcząca u nich babcia Wencłowa zgromadzili się w kuchni wcześniej rano, wszyscy troje poderwani z łóżek tym samym niepokojem. Trzeba było na nowo podjąć palącą kwestię. Sytuację Mateusza.

Z początku, poirytowani i niewyspani, nie odzywali się do siebie ani słowem. Każde z nich zajęte było skrzętnym odmierzaniem swoich lekarstw. Potem popijali je napojami – ciepłymi lub zimnymi, na czczo lub po przegryzieniu czegoś – w zależności od zaleceń lekarzy.

Każde też, w złowroziej ciszy, przetrawiało mrozzące krew w żyłach rewelacje z poprzedniego wieczoru, kiedy to ich średni, blady jak trup, wpadł bez zapowiedzi, tuż przed dwunastą, krzycząc na cały głos, żeby mu pomogli, bo on już tego nie zniesie. Nie wytrzyma. Po chwili bezładnego bełkotu uspokoił się na tyle, by w miarę logicznie opowiedzieć, co się właściwie stało. Otóż, jak sam twierdził, musiał ze względów zawodowych zostać nieco dłużej w pracy, gdyż miał tam wiele problemów. Do tego stopnia zajęły mu głowę, że kompletnie zapomniał o „połówkowym”, które miało odbyć się właśnie tego wieczoru. Niestety, o tym Wencłowie zostali poinformowani już wcześniej przez samą Karolinę, która wydzwaniała do nich kilkanaście razy, najpierw pytając, czy wiedzą, gdzie „podziewa się” ich syn, a następnie płacząc i złorzecząc mu.

Potem było już tylko gorzej. Mateusz nie umiał udzielić odpowiedzi, czy badanie w ogóle zostało przeprowadzone, bo Karolina nie chciała z nim rozmawiać. Na jego tłumaczenia, że był w pracy, dokonywane zresztą zza drzwi łazienki, w której się zamknęła, odpowiedziała tylko, że zamierza siedzieć w gorącej wodzie tak długo, aż straci przytomność i pozbędzie się raz na zawsze tego dziecka, którego Mati tak naprawdę wcale nie chce. Podobno przez szczelinę pod drzwiami rzeczywiście wydobywały się kłęby pary. Przerażony Mateusz tłukł i rąbał w drzwi tak długo, aż w końcu je wyważył. Gdy wtargnął do środka „pół żywy z niepokoju”, na szczęście okazało się, że z kranu owszem, leciała gorąca woda, ale Karolina siedziała na stołku. Obok wanny.

Wtedy dopiero awantura rozkręciła się na dobre. Po straszliwej szarpaninie, w której trakcie w drobny mak rozbita została chluba Matiego, a mianowicie jego kolekcja pucharów regatowych, nieszczęśnik, tak fałszywie posądzony i niemal doprowadzony do ostateczności po utracie cennych trofeów, wybiegł z domu i nie wiedząc, co robi ani gdzie idzie, instynktownie udał się, by szukać pomocy u własnych rodziców.

Gdy spotkał się z kompletnym brakiem zrozumienia, a następnie jego uczciwość małżeńska została brutalnie zakwestionowana przez ojca, złamał się. Wyśpiewał im całą prawdę.

Rzekomo został „wrobiony” w dziecko, bo Karolina, niczego mu nie mówiąc, przestała brać tabletki. Rzekomo cierpiał męki, gdyż stało się to akurat wtedy, gdy nabrał pewności, że chce się z Karoliną rozwieść, bo oto poznał kobietę swojego życia. Twierdził, że jest nieszczęśliwy i widział przyszłość w czarnych barwach. Uważał, że nie podoła temu wszystkiemu. Po tych wyznaniach w domu rozpętała się istna burza, która trwała do późnych godzin nocnych i doprowadziła nieszczęśnika do jeszcze gorszej frustracji.

Jedyną osobą, która w pełni go popierała, była jego własna babka.

To właśnie ona tego ponurego, listopadowego poranka przerwała milczenie, ciężkie i zawiesziste niczym zasmażka do sosu jej własnej roboty.

– Górale to jednak zawzięte bestie! Swego nie popuszczą...

Wygłosiwszy tę dość enigmatyczną uwagę, babcia Wencłowa z furią podjęła siekanie główki kapusty. Białe farfocle fruwały dookoła, rozsypując się ze stolnicy na marmurowy blat,

a stamtąd na prowansalski gres w kolorze ecru. Kuchnię wypełniał energiczny stukot tasaka o deskę. Na twarzy Elżbiety pojawił się wyraz udręki, jakby biła się z myślami. Chęć rzucenia się po miotłę, by nie dopuścić do zbytniego bałaganu, walczyła z dobrym wychowaniem, przytwardzającym ją do krzesła. Elżbieta najpierw nerwowo kręciła się na krześle, potem wstała z wolna, jakby z zamiarem zrobienia sobie kawy. Jej przenikliwy wzrok omiótł z bliska walające się po posadzce kapuściane strzępy. Z głębokim westchnieniem zagłębiła się pod zlew, by wyciągnąć zmiotkę i już miała szybko uprzątnąć, ile się da, spod nóg energicznej teściowej, gdy tamta zrobiła błyskawiczny krok do tyłu i doszło do gwałtownej kolizji obu zaaferowanych pań.

– Oj, przepraszam!

– Nie, to ja przepraszam!

Ryszard z tajonym niepokojem uniósł oczy znad jajka na miękko, po czym znów je opuścił i podjął powolny, metodyczny posiłek. Gdy spożył jajko, otarł usta serwetą i rzekł, odnosząc się do zdania, które jego matka rzuciła parę minut wcześniej:

– Tak to mamę dziwi, że dziewczyna, ekhem, w ciąży traci nad sobą panowanie?

Wyczuwa przecież, że tamten buja w obłokach! Myślami jest hen, hen... Góralka czy nie góralka, walczy o swoje... W takim wypadku cóż mama powie o tej drugiej, co się prowadzi z żonatym, który ma w dodatku żonę w piątym miesiącu ciąży... He?

– Może tamta druga też o niczym nie wie? – dobiegł ich głos Elżbiety, kucającej i wymiatającej kapustę spod szafek. Znała Mateuszka z różnych wyskoków. Tak, wcale by się nie zdziwiła, gdyby żadnej z nich nie powiedział prawdy.

Przez chwilę cała trójka milczała pośepnie. Sytuacja stawiała ich „pociechę” w dość niekorzystnym świetle. Trudno było znaleźć dla chłopaka jakiegokolwiek wytłumaczenie.

Zachowywał się jak gówniarz! Ale jeszcze większe przerażenie budził jego oplakany stan. Szcuplejszy, bardzo blady, z szeroko otwartymi oczami przypominał lisa złapanego we wnyki. Miotającego się bezładnie i na próżno szukającego wyjścia z pułapki, z której wyjścia nie było.

Ten, który zawsze umiał wykaraskać się z każdej opresji i siódmym zmysłem wyczuwał niebezpieczeństwo, wpadł teraz po uszy. No cóż, woził wilk razy kilka, powieźli i wilka – myślał Ryszard, obficie słodząc herbatę i dusząc do niej połówkę cytryny.

A jednak szkoda patrzeć, jak chłopak się katuje. Czegóż on taki chwiejny? W biznesie zawsze twardy, w życiu zaradny, a tu proszę... Okazuje się, że mięczak z niego. Jak może mu brakować instynktu samozachowawczego właśnie w tej kwestii? Kwestii, która determinuje całe jego dalsze życie? Ma normalny dom, żonę, a gotów wszystko to spieprzyć! I to dla jakiejś, cholera jasna, ułudy! Rysiek był tego pewien. A wszystko to wina matki i babki, które od maleńkiego wmawiały Mateuszkowi, że jest najpiękniejszy. A zwłaszcza matka Ryśka świata poza wnuczkim nie widziała. Mały nabrał takiego przekonania o własnej niezwykłości, że do dziś żadnej kobiety nie uznaje za godną siebie! A w ten sposób daleko nie zajędzie. Całe życie będzie szukał baby, która w jego mniemaniu będzie jego warta, lecz, naturalnie, nigdy takiej nie znajdzie.

– Kurwa mać, jak żeście go chowały! – wrzasnął nagle w stronę zdumionych kobiet, grzmocąc pięścią w stół.

– O co ci chodzi? – Elżbieta patrzyła zdumiona, a tymczasem matka groźnie podparła się pod boki, w jednej ręce wciąż trzymając tasak.

– Ciągle mu wmawialiście, że jest najpiękniejszy! Najzdolniejszy! A zwłaszcza mamusia – dodał nieco ciszej, patrząc na matkę z odrobiną niepokoju.

– Ty winisz Mateuszka za tę sytuację? – Babcia Wenclowa postąpiła parę kroków naprzód, zaciskając na tasaku mocną, krzepką dłoń.

– A kogo? – Ryszard krzyknął głośno, ale jakby tonem obronnym. W obecności swojej

krępej, przysadzistej matki nie czuł się zbyt pewnie. Kobieta miała żelazną wolę, niewyparzoną gębę i krewki temperament. A teraz jeszcze tasak.

– Wrobić chłopca w dziecko to numer stary jak świat! – ryknęła babka głosem jak dzwon, zaskakująco silnym jak na panią w podeszłym wieku. – W mojej rodzinie tak się zdarzyło! Wieśka, twojego ojca, brat cioteczny tak miał! Oboje byli potem nieszczęśliwi! Za łby się brali po parę razy dziennie! Mało się nie pozabijali!

– Mamusiu, niech mamusia nie przesadza. – Głos Elżbiety zgrzytnął odrobinę. – Karolina jest Mateusza żoną! Trudno to porównywać! Nie wrobiła go w dziecko, a przynajmniej... Ekhem. Ja też mam pewne wątpliwości co do jej zachowania, ale...

Kobiety! Będą bronić marnotrawnego synalka, choćby pół wsi wymordował i spalił!

– Co wy obie wygadujecie? Uszom nie wierzę! – Rysiek złapał się za serce i dyszał ciężko. – Czyście obie z rozumu obrane? Wy uważacie, że to ON jest pokrzywdzony? Chłopisko dupczy na prawo i lewo, żonę zdradza, gdy tamta tylko wzrok odwróci, a wy jeszcze przeciwko niej? Karolina święta jest, że z nim w ogóle wytrzymuje!

– Święta?! Znam ja takie święte! Jeszcze tak go załatwi, że się chłopak nie pozbiera, wspomnisz moje słowa! Ja znam baby! – Babcia Wencłowa krążyła po kuchni, ciskając gromy i samym swoim jestestwem podgrzewając temperaturę rozmowy do czerwoności.

– Jak się chłopak nie opamięta, gotowa się na nim mścić! – wykrzykiwała, machając tasakiem w stronę syna i synowej.

– Już niech mamusia nie straszy Karoliną. – Elżbieta gniewnie zmarszczyła brwi. Karolina zawsze była jej ulubioną synową. Zresztą trudno się dziwić. Któż lubiłby Hannę – tę zimną rybę. Co do Zosi, jeszcze nie ma się co martwić, bo to nic pewnego. I chwala Bogu. Swoją drogą, to dziwne, że Piotrunio – taki przystojny, taki postawny – prowadzi się z takim małym karakanem... Ani prezencji, ani urody... Choć charakter panna ma. To da się wyczuć. No cóż... Widocznie potrzebna mu była taka twarda sztuka. Oby tylko Pawłowi udało się wywalczyć dla Piotrusia to siedlisko! Już ponoć dogadywał się z tym, co niby uprzedził zakup siedliska... W myśli Elżbiety, skupione na najmłodszym dziecku, znów wdarł się poirytowany, podniesiony głos Ryśka:

– Zesrał, nie zakochał.

– Zapomniał wół, jak cielęciami był. – Babcia Wencłowa niebezpiecznie zbliżała się do poczerwieniałego ze wściekłości Ryśka, który szybko podniósł się od stołu, chcąc zachować bezpieczną odległość.

– Niech mnie mamusia zostawi w świętym spokoju! – wrzeszczał, uciekając przed natarczywością matki do „livingu” i kierując się bezwiednie do barku na kółkach, a tam niepewnie pocierając dłonie. Najwyraźniej bliskość groźnej rodzicielki uniemożliwiała mu oddanie się ulubionemu porannemu zajęciu – strzeleniu przedpołudniowej łufki.

– Muszę walnąć kielicha, inaczej zejdem – wystękał, masując się po torsie, w okolicy mostka. – Tak mnie tu dusi, że nie wytrzymam.

Elżbieta wsunęła głowę do salonu, spodziewając się, że rozsierdzona teściowa zrobi Ryśkowi awanturę o przedpołudniowe popijanie, jednak ze zdumieniem zobaczyła, jak oboje wychylają napełnione niemal po brzegi szklaneczki. Stary Wencel pił skrzywiony, jakby kto podał mu piółun, po czym syknął jak miech kowalski, tymczasem „mamusia” gołnęła szybko, duszkiem, jakby łyknęła wody.

– Aaach – sapnęli równo i lekko otarli usta.

– Od razu lepiej się myśli. – Rysiek przeczesał wciąż gęste, przetykane siwizną włosy. Potem podszedł do wykuszu okiennego i długo wyglądał na ponury jesienny ogród. Wiele drzew było już całkowicie огоłoconych z liści. Dużo jeszcze wody upłynie, nim znów się zazielenią. Po

sosnach przy podjeździe piął się zimnozielony powój. Trawa, pokryta porannym szronem, wydawała się niebieskawa. Dobrze, że niedawno ją ściął, za chwilę nadejdą mrozy. Cała przyroda, choć dostojna i odwieczna, dziś zdawała mu się wroga, jakby obrazowała nieuchronność ostatecznego. Ja przeminę, a te drzewa będą rosły nadal, obojętne – Ryszardem wstrząsnął dreszcz i wrócił z powrotem w głąb salonu, a stamtąd do kuchni.

Matka zrzucała poszatkowaną kapustę do ogromnego gara, a Elżbieta szorowała patelnię nad zlewem. Te uwijające się postaci, nieświadome, że były przez Ryszarda obserwowane, wydawały mu się niemal nierealne, jak kukielki na scenie.

Wczoraj wieczorem wszyscy troje uradzili, że najlepiej zrobią, zapraszając zwaśnione małżeństwo na wystawną kolację, więc obie panie ostro wzięły się do pracy. Oczywiście pomysłodawczynią była jego matka. Uznała, że największym niebezpieczeństwem jest rozgniewana Karolina i że należy ją ufetować i ugłaskać. Elżbieta sądziła, że „mamusia” przesadza z obawami, ale ogólnie pomysł uważała za niezły. Była to doskonała okazja nie tylko do obłaskawienia Karoliny (choć, według jego żony, wcale nie było takiej konieczności: „Mała świata poza Mateuszkiem nie widzi i nie byłaby zdolna do żadnej podłości!”), ale i do przyjrzenia się na własne oczy, jak sprawy się mają.

Jeśli chodzi o Ryszarda, w sprawie Karoliny całkowicie zgadzał się z matką, choć w życiu nie przyznałby tego na głos. Owszem, uważał Matiego za winnego, ale i on miał jego żonę za daleko sprytniejszą, niż sama się przedstawiała. Widział też ogromne zagrożenie w tym uwikłaniu syna. Nie do końca jeszcze przekonany, z której strony niebezpieczeństwo mogło nadejść, jako niewątpliwie kochający ojciec pragnął ustrzec swą młodszą latorośl przed niechybnymi konsekwencjami bytowania w tym dziwnym układzie.

Musieli położyć temu kres! Musieli uświadomić mu, że nie czas na romantyczne porywy. Chłopak powinien wreszcie zrozumieć, że życie to nie zabawa. Odrzucić precz swoje, ekhem, jak by to nazwać... Swoje fanaberie. I zająć się żoną i dzieckiem.

Podszedł do wysepki ze zlewem, przy którym stała jego żona.

– Hm, Elżuniu, to na kiedy planujecie ten obiad dla młodych?

– Na piątek?

– Doskonale. Ja zadzwonię! Mnie nie odmówi!

Łyknął jeszcze trochę wódeczki i zdecydowanym krokiem zbliżył się do aparatu.

Paweł leci na Cypr

Paweł Wencel siedział przy stoliku i ćmiąc papierosa, z obojętną miną przyglądał się przechodzącym podróżnym. Znajdował się na warszawskim Okęciu w barze naprzeciwko sklepu wolnocłowego, w którym przed chwilą kupił porządnego whiskacza.

Prezent przeznaczony był dla niejakiego mecenasa Quadropoulosa, z którym Paweł miał umówione spotkanie w restauracji w centrum Nikozji. Cała sprawa nagrana została dwa dni temu, przez zaufanego kumpla Pawła, dawnego kolegę ze studiów, mecenasa Piotra Drozda. Piotr Drozd, znany i ceniony radca prawny, zajmował się między innymi zakładaniem spółek offshore'owych. Współpracował z różnymi kancelariami w rajach podatkowych, znał też wielu podejrzanych typków i, ogólnie rzecz biorąc, nie było dla niego rzeczy niemożliwych.

Tak się w dodatku szczęśliwie złożyło, że miał u Pawła dług wdzięczności. Parę lat temu Paweł uratował mu tyłek, charge'ując^[30] go przy tym prawie „po kosztach”. Przysługa zrobiona niegdyś kumplowi dziś zwracała się podwójnie. Gdy Paweł udał się do niego i wyluszczył sprawę, mówiąc jedynie to, co było absolutnie konieczne i ani pół słowa więcej, mecenas Drozd spojrział na Pawła przenikliwie i rzekł swym cichym, ale dobitnym głosem:

– W ciągu dwóch dni postaram się skontaktować cię z facetem, który za jakieś pięć patoli poda ci wszystkie namiary beneficial ownera^[31]. Nawet jego pieprzony numer buta.

Jak obiecał, tak zrobił. Następnego dnia wieczorem zadzwonił z krótką informacją, że „coś ma” i że muszą się spotkać na mieście. Spotkali się więc nazajutrz w porze lunchu „Pod Samsonem”, a rozmowa, prowadzona półgłosem, miała następujący przebieg:

– Stary, załatwione. Mój grecki kolega, niejaki Georgios Papadakis, nawiasem mówiąc wyglądający bardziej na południowego zigolo niż na prawnika, tak że złamanego grosza byś za niego nie dał, ale kuty na cztery kopyta i cwany tak, że ho, ho, znalazł namiary na faceta, którego szukasz...

– No?... – warknął Paweł niecierpliwie, prawie natychmiast zapalając papierosa.

– Polecisz do Nikozji i spotkasz się z gościem pracującym w kancelarii, która tę spółkę zakładała...

– Spółkę Global Project Development Ltd.?

– Tak, na pewno tę, dwa razy mu przeliterowałem. Nie bój się, Papadakis nie takie rzeczy dla mnie wyszukiwał... No więc, jak mówiłem, spotkasz się z takim jednym, zatrudnionym w tej właśnie kancelarii. To ponoć ichniejszy adwokat, choć Papadakis mówi, że wygląda raczej na obwoźnego sprzedawcę odkurzaczy. Podobno panicznie się boi, że ktoś się dowie, iż wynosi z kancelarii informacje. Jesteś z nim umówiony trzynastego listopada, o godzinie piętnastej w restauracji „Kalispera”, gdzieś w centrum. To jakaś speluna, więc się nie przestrasz. Specjalnie wybrał takie miejsce, bo sra po gaciach, żeby go ktoś nie przyfilował!

– O kurwa.

– No.

I po chwili milczenia Drozd dodał:

– Ten cykor nazywa się Quadropoulos i poznasz go po tym, że będzie miał ze sobą przewodnik Baedekera. Ty masz mieć czerwony kwiat w butonierce, dobrze widoczny.

– O w mordę! Czemu kwiat?

– No, żeby cię rozpoznał!

– Cholera. To brzmi podejrzanie!

– Stary, to nic takiego, sam tak to kiedyś załatwiałem. Normalna usługa handlowa!

Wszystko w granicach prawa!

– Ile mam mieć?

- Pięć patoli w gotowiznie. I nie zapomnij o kwiatku. Jak go nie będziesz miał, tamten będzie się cykał, że go wrabiają.
- Pięć patoli eurosów?
- Takie są stawki. Dorzuć mu jeszcze markowy alkohol, a będzie dobrze.
- W porządku. A ten drugi gość, Papadakis? Ten, który znalazł Quadropoulosa? Jemu nic się nie należy?
- Papadakisa zostaw mnie. Mam z nim prywatne rozliczenia. *This part of the deal is on me!*^[32]
- Ale to przecież ta grubsza część dealu... Mecenasiu, jestem ci dozgonnie...
- Stary, i ja miałem u ciebie dług wdzięczności, więc...
- Wiem, stary, tak tylko gadam. Czysta kurtuazja.
- Cha, cha.

Podano im zupę i śledzie, które to dania spożyli w zgodnym milczeniu. Rachunek uregulował Paweł i rozstali się bez zbędnych słów.

Tak więc za czterdzieści minut Paweł miał samolot. Postanowił napić się kawy i zapalić jeszcze jednego papierosa. Nim ruszył do baru, obrzucił podejrzliwym spojrzeniem siedzących w pobliżu podróżnych. Zamierzał zostawić przy stoliku neseser, tak by nie zajęto mu wygodnego miejsca, ale bał się, żeby jakiś złodziej mu go nie zwinął. Nie miał w nim wprawdzie niczego wartościowego, albowiem portfel, uzupełniony dodatkowo grubym plikiem banknotów dla Greka, nieelegancko wypychał mu wewnętrzną kieszeń marynarki.

Niespokojny, z natury nienawidzący podróżować, ruszył ostrożnie w stronę baru, gdy nagle usłyszał swoje imię wykrzykiwane kobiecym głosem.

Psiakrew. Żona Kuleszy. Przyjaciółka Zagajewiczowej i całej tej reszty wypindrzonych, wybotksoowanych koczokodanów. Już zmierzała w jego stronę, ciągnąc za sobą kremową, skórzaną walizczkę.

- Paweł! Co ty tutaj robisz? – wołała zachwycona spotkaniem.

Naturalnie. Przez okrągły tydzień będzie miała o czym opowiadać. Nawet gdyby nie pisnęła ani słowa, sama dorobi historię. Widać było, że aż dyszała żądzą wypytania go o wszystkie szczegóły tego, co zaszło! Karykaturalnie napompowany „małpi” pyszczek rozwierał się lekko, jakby w radosnym niedowierzaniu. Puste, ptasie oczy biegały ciekawie od Pawłowej walizki do twarzy i od twarzy do walizki. Usiłowała zapamiętać wszystkie szczegóły. Już pragnęła zasypać go lawiną pytań, nie wiedziała jednak, jak zacząć, od czego zacząć? Od Hanny czy od sprawy z Zagajewiczem? I pewnie, sądząc po tym, co Zagajewicz naopowiadał, wiąże te sprawy w jedną. Ale on nie zamierzał wyprowadzać jej z błędu. Niech mówią, co chcą!

- Bierzesz kawę? Weź i dla mnie, pogadamy chwilę! – szczebiotała, zajmując miejsce przy stole i taksując wzrokiem jego neseser, jakby chciała wyczytać z niego, dokąd Paweł leci.

– Nie mam zbyt wiele czasu – bąknął niezbyt uprzejmie, ale oto nadeszła jego kolej i zmuszony był zamówić dla siebie i dla niej.

Po chwili siedzieli naprzeciwko siebie i popijali podłą lotniskową lurę. Hanna nie wzięłaby jej do ust. Paweł czym prędzej odgonił tę myśl, palącą jak siarczysty policzek. Lecz i Izabela musiała pomyśleć w tym samym momencie o jego żonie, bo niemal natychmiast wypaliła z grubej rury:

- No i jak tam wasze sprawy?
- Nie rozumiem? – Paweł uniósł brew, odstawiając filiżankę.
- Pytam, bo widziałam ostatnio Hannę z tym facetem. Muszę ci, niestety, donieść, że wyglądała zjawiskowo! Taka roześmiana! Ponoć mieszkają razem. To musiało trwać od jakiegoś czasu, nie sądzisz?

Chcąc nie chcąc, Paweł poczerwieniał. Siedział jak ogluszony, nie słysząc już dalszej paplaniny, a przed oczami latały mu kolorowe płaty. Teraz uświadomił sobie, że przeświadczenie, jakoby ostatnio miewał się lepiej, było złudne. Od wyprowadzenia się Hanny minął miesiąc, a on nie postąpił ani o krok naprzód! Uczucie to przypominało pozostawienie w mieszkaniu zwłok i zatrzaśnięcie ich w szafie. Drzwi były szczelne, ale do tej szafy prędzej czy później i tak trzeba będzie zajrzeć. Nie da się żyć w mieszkaniu z gnijącym trupem. I będąc estetą, wzdrygnął się cały na takie porównanie.

– Paweł! Słyszysz, co mówię? – Izabela patrzyła na niego z troskliwym zaniepokojeniem.

– Tak, słyszę... – mruknął, zerkając na zegarek. Miał dziesięć minut. Na szczęście pora się zbierać.

– Tak więc, jak mówiłam, przy sprawie rozwodowej służymy ci pomocą. I ja, i Artur gotowi jesteśmy świadczyć przeciwko niej. Naturalnie chodzi nam o podział majątku. Mój mąż, Artur, jest oburzony. Uważa, że nic się jej nie należy! No, bo żeby w taki sposób... Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłeś...

– Wybacz, ale muszę lecieć. Samolot. – Paweł podniósł się gwałtownie, wprawiając towarzyszkę w zdumienie. Okazała mu tyle serca, a on był tak dziwnie roztargniony i niewzruszony! Nie wyraził ani krzty wdzięczności za jej chęć pomocy. No bo któż lubi świadczyć w sądzie. Mieszać się w cudze sprawy, zwłaszcza kiedy znało się oboje małżonków! Opowiadać się po jednej ze stron?

Zaferowała się pierwsza, chcąc zaoszczędzić mu niewygodnych prośb, a on, jak to on, pozostawił to bez komentarza. Teraz pożałowała swojej wrywności. Może i Hanna miała rację, odchodząc? Któż wytrzymałby z takim dziwadłem?

Urażona, dopijała kawę, szybko, nerwowo, patrząc ze źle skrywanym gniewem na sprawdzającego portfel i kartę pokładową Pawła.

Interesujące, że mimo nieszczęść, które spadły mu na głowę, fizycznie wyglądał o niebo lepiej niż wcześniej! Czy była to kwestia kilku kilogramów, które ewidentnie zrzucił? Czy może z jego twarzy zniknął wreszcie wyraz napiętej czujności, który zawsze na niej gościł, gdy w pobliżu znajdowała się jego żoneczka?

Tak czy inaczej, jako desperat огоłocony z dóbr materialnych i wyrzucony z lokalu przez Zagajewicza (tak przynajmniej Izabela słyszała od swojej przyjaciółki, Marzeny Zagajewiczowej), paradoksalnie prezentował się bardziej męsko, jakby nabrał nowego wigoru.

No cóż, zubożały i upokorzony zobaczy teraz, jak się walczy o przetrwanie. Musi zaczynać od zera – i w małżeństwie, i w pracy! Nie dziwne, że odmłodził. Będzie musiał na nowo walczyć o to, co jej mąż i Zagajewicz, i wielu innych miało oraz tak pieczołowicie, tak mądrze strzegło.

W duchu dziwiła się Pawłowi i Hannie. Mieli wszystko. I pieniądze, i siebie nawzajem, a teraz? On lata jak kot z pęcherzem, pewnie goniąc za klientami jak młodzik, zamiast zająć się spijaniem śmietanki po latach harówki. A ona, zamiast urodzić mu dziecko, zamiast wreszcie się ustatkować, snuje się po wernisażach i podejrzanym dziurach z młodocianym artystą bez grosza przy duszy!

Przez chwilę przebiegło jej przez myśl, jakie to uciechy z na wpół dzikim, przystojnym malarzem mogły rekompensować tłuste, dostatnie życie u boku dobrze sytuowanego męża. I choć nie była całkowicie pozbawiona wyobraźni, wstrząsnął ją dreszcz przerażenia. Ona by tak nie umiała, nie chciała. I czym prędzej, odymając wargi, sięgnęła do torebki po komórkę. Czuliła potrzebę porozmawiania z mężem. Zamierzała powiedzieć mu, jak bardzo się za nim stęskniła. Niestety, jego telefon był zajęty, więc zaraz wykrciła numer Zagajewiczowej. Trzeba było zdać relację „na gorąco”.

Tymczasem Paweł szedł szybko, jakby goniło go stado upiorów. W uszach odbijały mu się echem słowa tej kobiety: „Hanna wyglądała zjawiskowo”.

A więc ona wciąż z nim mieszka. Gdzieś w głębi duszy, nawet sobie tego nie uświadamiając, sądził, że cała ta „historia” nie potrwa dłużej niż miesiąc. Zdawało mu się, że jeśli ona naprawdę odejdzie, na własne oczy przekona się, czym pachnie takie życie. Nie rozważał tego racjonalnie, po prostu miał takie przeświadczenie. Znał Hannę i jej brak umiejętności radzenia sobie z życiowymi perturbacjami. Wiedział po prostu, że bez jego gotówki nie da sobie rady. Jakim więc prawem chodziła po mieście rozradowana u boku tamtego obdartusa? Kto im finansował tę idyllę?!

Ktoś go mocno potrącił i poszedł dalej. Paweł zaklął pod nosem i odruchowo pomacał miejsce, w którym znajdował się portfel. Musiał się skupić, musiał opanować galopujące myśli. Wiedział, że zadreczanie się tym, gdzie była i co robiła, działało destrukcyjnie. Wiedział, że musiał się tego wystrzegać, bo była to równia pochyła. A jednak wizja jej, tak odległej, tak niezależnej od niego psychicznie, śmiejącej się u boku tego gołodupca... Nigdy w życiu by nie przypuszczał, że po nim, Pawle, mogłaby zainteresować się kimś takim. Pierdolony artysta! Nadęty pozer! A ten jego idealistyczny, relatywistyczny światopogląd i otwartość na inne kultury! Hipokryta zajebany! Nonszalancki, otoczony kłębamii dymu, niespokojny jak kocur, bez grosza przy duszy! Idealista zajęty kwestiami „wyższymi”. Zbyt błahe dla niego kłótnie o niezapłacony czynsz, kredyt. On, stworzony do spraw wielkich, nie zadawał sobie trudu, by harować jak mrówka! On, zajęty mikrotkankami świata, formami powtarzalnymi, jednorodną teorią pola i absolutem, nie miał po prostu głowy do tego, by kupić chleb i herbatę.

Do niedawna do ich miłosnego gniazdka wszystko to „znosiła” Hanna, płacąc jego – Pawła – pieniędzmi! Teraz, kiedy odciął jej dostęp do konta, ciekawe skąd brali?

I dręcząc się podobnymi myślami, szedł przez halę odlotów, błędząc wzrokiem po tablicach i szukając bramki numer 68, gdy nagle zadzwoniła jego komórka. Pani Agnieszka.

– Tak, pani Agnieszko? – spytał zduszonym, nieswoim głosem, nie chcąc jej wystraszyć ani dać po sobie poznać tłumionego gniewu, który zalewał go coraz to nowymi falami, chwilowo odbierając zdolność logicznego myślenia.

– Coś się stało? – odgadła. Czytała go bezbłędnie.

– Nic się nie stało. Wszystko dobrze. A tam? – Miał na myśli kancelarię. Szczęśliwie doskonale się rozumieli, nie trzeba było bez potrzeby kłapać ozorem.

– Jeszcze nie dostaliśmy zabezpieczenia roszczenia.

– Co za opieszwały bęcwał z tego sędziego!

– Spokojnie, panie mecenasie. Postanowienie będzie jutro. Rano.

– Dzwoniła pani do sekretariatu sądu? – Paweł przytrzymał telefon brodą i podał stewardesie kartę pokładową.

– Osobiście byłam u przewodniczącego wydziału, dziś o ósmej rano, panie mecenasie! – Usłyszał w jej głosie nutkę triumfu, jakby chciała mu powiedzieć, że sama doskonale wiedziała, co robić. Faktycznie, pojętna z niej uczennica. Pomału odzyskiwał humor, kleszczowy zacisk wokół mostka zelżał. Odebrał kartę pokładową i ruszył rękawem do samolotu.

– Oby tylko sukinkot nie zdążył wyprowadzić tych pieniędzy, nim siądzie mu na nich komornik... – sapnął, dając tym samym upust nagromadzonym emocjom.

– Spokojna głowa, nic podobnego nie zrobi! To bezmyślny kretyn – spoufalala się pani Agnieszka.

– Pani Agnieszko, co wolno wojewodzie... – zaczął groźnie Paweł. Rozbrajająca była z tą swoją dziewczęcą spontanicznością i zapalem do dzielenia jego sympatii i antypatii. Mała lizuska.

– Wiem, panie mecenasie.
– Uzupełniła pani pozew o nowy materiał dowodowy? Najważniejsza jest prekluzja...
– Tak, pamiętam o tym. Dlatego chciałam zapytać, czy dodajemy informację, że wiemy, kto był zakulisowym motorem działań?
– A wiemy?
– No, chyba pan żartuje, panie mecenasie?
– Dopóki nie mamy dowodu, nic nie wiemy. Ale może dziś wieczorem będę wiedział coś więcej!
– Jak to?
– Nieważne! Niech pani siada do roboty. Niech pani, póki co, odpuści sobie Kwaśniaka jako *spiritus movens*^[33]. Na razie wytaczamy powództwo przeciwko Zagajewiczowi, reprezentując Budexprim. Prezesa Baranowskiego mało interesują nasze prywatne przypuszczenia, a to on płaci za nasz czas – zagrzmiał Paweł, lekko wyprowadzony z równowagi.
– To, co mamy na dziś, to informacja, że Zagajewicz nie tylko nie dopełnił należytej staranności w swoich działaniach, ale i działał na szkodę klienta. Jako dowód poszlakowy załączy pani wyciąg z jego konta z tą domniemaną łapówką...
– Wiem, wiem – zachnęła się niecierpliwie i po chwili wahania dodała: – ale może jednak zadzwonię do tego mojego kolegi, który zna gościa, który umie ponoć wszędzie się włamać i...
– Pani Agnieszko, nie chcę więcej słyszeć słowa „haker”. Nawet w zawołowanej formie.
– Paweł skrzętnie umieścił neseser w luku bagażowym i ciężko usiadł na fotelu przy oknie.
– Więc w pozwie pomijamy Kwaśniaka?!
– Tak, chyba że zdobędę DOWODY na to, że za Global Project Development stoi nie kto inny jak Kwaśniak!
– Ale jak je pan zdobędzie, jeśli nie chce pan mojego hakera! No jak?!
– Już niech panią o to główka nie boli... – Paweł uśmiechnął się władczo i nie omieszkał dokładnie zapiąć pasa.
– Co pan kombinuje?
– Pogadamy, jak wrócę. Naturalnie dziś i tak pani nie skończy, więc jeszcze to przegadamy. I tak pozew złożymy najwcześniej jutro, o ile ustanowią zabezpieczenie! I kto wie, może wieczorem będziemy wiedzieli coś więcej!
– A gdzie pan jest? To dziś pana nie będzie? – Niesamowita była. Tak się paliła do tego, by sprawdził, co dopisała do pozwu czy co?
On, będąc na studiach, nie był nawet w połowie tak zapalony do pracy jak ona. To nowe pokolenie to albo kompletne tumany, albo ścigające się szczury. Choć... Akurat nią chyba nie kierowały takie pobudki... Jakie więc?
– Będę jutro rano. I niech pani nie siedzi zbyt długo. Niech pani idzie z chłopakiem do kina, do cholery! Muszę kończyć. Do usłyszenia.
Nie powinien tak rozmawiać z sekretarką, ale było mu już wszystko jedno. Zresztą była jego jedynym sprzymierzeńcem. Ale nawet jej nie powiedział o locie na Cypr. Tym bardziej rodzinie. Mateusz był tak pochłonięty swoimi sprawami, jakby wessał go jakiś wir, no a ojciec...
Ojciec był przeciwny drażnieniu tej sprawy.
Uważał, że należało wyrwać gotówkę od Zagajewicza, skubnąć swoje, a resztę spuścić z wodą. No bo po co drążyć tę kwestię?
Otóż właśnie. Po co?
Samolot wystartował i Paweł z góry obserwował swoje rodzinne miasto. Gdzieś tam, w biurach „city” panoszy się i rozpycha ta podła kanalia, która w białych rękawiczkach doprowadziła jego kancelarię do upadku. Owa kanalia jest na razie bezkarna, bo sprytnie zaciera

za sobą ślady. Jest oślizgła, chciwa i kompletnie pozbawiona skrupułów. Jest zdolna do wszystkiego i po trupach zmierza do celu. Dlatego on, Paweł, musi tę przebrzydłą glistę zniszczyć, bo uosabia całe zło, podłość i koniunkturalizm, podszyte w dodatku tchórzostwem i wazeliniarstwem!

Głęboko nienawidził tego robaka, czuł też, że robak nienawidzi również jego. Teraz, lecąc w miejsce przeznaczenia, czuł się znacznie spokojniejszy. Za oknem, nad chmurami, na kobaltowym niebie rozbłysło zimne słońce, a on sam z minuty na minutę oddychał coraz głębiej. Twarz Izabeli Kuleszy i jej sprytny, pazerny wzrok, jakby pradawnego gada, oddalały się z ogromną prędkością. Jej insynuacje, opinie ich wszystkich o rozpadzie jego małżeństwa i kancelarii znaczyły teraz tyle, co nic – wobec jego misji. Nie będzie rozpamiętywał przeszłości. Nie pozwoli sobie na bolesne wspomnienia, gdy wreszcie odzyskał władzę nad własnymi myślami!

Z hukiem zamknął drzwi tej upiornej szafy, docisnął ją kolaniem i przysunął krzesło. Potem zerkając jeszcze, czy nie wysuwa się ręka lub noga, skierował wzrok w okno i popijając gin z tonikiem, zagłębił się w meandrach procesowych.

A więc jutro zapadnie postanowienie w sprawie zabezpieczenia roszczenia. Oj, zdziwi się skurwysyn, jeżeli komornik wejdzie mu na konto. Zdziwi się, zajmie mu jego terenowe auto i wpisze hipotekę do księgi wieczystej. A potem do sądu trafi pozew o odszkodowanie na osiem milionów złotych. Znajomości starego Zagajewicza mogą tym razem nie wystarczyć.

Paweł łyknął drinka i przymknął oczy. Teraz musi tylko przetrwać ten lot i opanować nerwy. Och, jakże nie lubił nieznanych, nowych sytuacji. Lubił mieć wszystko zaplanowane od A do Z. A więc zaplanuje tyle, ile można. Musi z zimną krwią wręczyć temu skubanemu Grekowi banknoty. Kupi grubą mapę i wsunie je do środka, w kopercie, tak to sobie umyślił. Miał tylko nadzieję, że Grek nie wytnie mu jakiegoś numeru. Grecy to dziwny naród. Jakoś im nie ufał i nie pomagały zapewnienia Drozda, że sprawa jest taka banalna i że on, Paweł, nie popełniał tu żadnego przestępstwa. Teoretycznie nie popełniał, ale kto wie, jakie dzikie zwyczaje tam panowały!

Odziedziczywszy po ojcu skłonność do czarnowidztwa, przewidywał różne scenariusze, ale znając prawo, natychmiast je obalał i sam się uspokajał. Zamówił jeszcze herbatę, w samą porę, bo zaraz potem włączono napisy „zapiąć pasy”. Samolot schodził do lądowania.

Dość sprawnie wydostał się z lotniska i po chwili był już na gwarnej ulicy. Ciepły wiatr wiał mu prosto w twarz. Paweł, poirytowany i zdenerwowany, rozglądał się za taksówką. Gdy dotarł na postój, był już mocno zgrzany, lecz nie zamierzał zdejmować marynarki. Głosem nieznośnym sprzeciwu wskazał kierowcy adres.

Tamten ukazał w uśmiechu olśniewająco białe zęby i ruszył ostro, zagadując wcale niezłą angielszczyzną, lecz Paweł odpowiadał monosylabami. Znał tych przeklętych południowców – najpierw udają przyjaciół, a potem gotowi orznać z kretelem – tak więc, zachowując się uprzejmie, lecz powściągliwie, czujnie przyglądał się mijanym z daleka osadom i suchemu poboczu autostrady, a od czasu do czasu rzucał podejrzliwe spojrzenie na bijący szybko licznik. Że też nie sprawdził wcześniej, ile powinien zapłacić. Doprawdy ostatnio nie był sobą!

Niepostrzeżenie obrzeża miasta zamieniły się w jego ścisłe centrum. Paweł z dobrze maskowanym zachwytem wodził wzrokiem po kamiennych murach. Niebrzydło tu mieli.

– *Look, mister. Agios Ioannis tou Theologou! Famous church!*^[341] – Taksówkarz wskazywał owłosioną dłonią kamienne mury, zza których widoczna była prosta, surowa katedra. – *Very beautiful inside!*^[351] – zapewniał, patrząc na Pawła z zagadkowym uśmiechem.

– *I am here for bussiness. Not tourism!*^[361] – uciał Paweł, wlepiając wzrok w przednią szybę. Bliskość celu spowodowała u niego szybsze bicie serca. Otarł czoło chustką. I znów

w lusterku napotkał irytujące, roześmiane spojrzenie wścibskiego kierowcy.

– *Nervous, eh? A ha, ha!*^[37] – śmiał się, jakby dobrodusznie, kierowca.

– *Pardon me?*^[38] – Paweł rzucił mu wyniosłe spojrzenie. Miał najwyraźniej pecha do wariatów! Czemu inni ludzie nie mogą pilnować własnego nosa?

– *You are going to „Kalispera Klub”, no? For bussiness? A ha, ha!*^[39] – taksówkarz ciągle powtarzał nazwę knajpy i śmiał się, kręcąc głową raz po raz. Paweł, wbrew racjonalnemu rozumowaniu, nabierał złych przeczuc. Wprawdzie to Grek... No, ale...

Nagle przypomniało mu się, że miał mieć ze sobą czerwony kwiat. Potrzebował też mapy.

– *Wait, mister!* – krzyknął gwałtownie, przejmując od tamtego sposób tytułowania oraz dziwny akcent. – *I have to buy flowers. Flowers, do you understand?*^[40]

– *Flowers, ayayay!* – Taksiarz filuternie pogroził Pawłowi owłosionym palcem, spotykając się z nim spojrzeniem w lusterku. – *Yes, sir. We stop here. You buy flowers!*^[41]

Faktycznie stanęli koło kramu z kwiatami. Paweł wyskoczył i kupił czerwoną różę. W pobliskim kiosku nabył też mapę i szybkim krokiem przeciął jezdnię i wrócił do taksówki, bacząc, by nie zostać przejechanym przez pędzące ze wszystkich stron vespy. Wsiadł i kiwnięciem głowy dał przekłętemu kpiarzowi znak, by tamten ruszał, lecz znów prześladował go jego rozbawiony wzrok.

– *Hey! I'm meeting a woman, ok?*^[42] – krzyknął poirytowany, czując jakimś szóstym zmysłem, do czego tamten pije.

– *In „Kalispera Klub” no women! No women! Only men! A ha, ha!*^[43] – teraz Grek śmiał się już serdecznie, jakby odkrył Pawłowy sekret.

Ten z kolei zmartwił. A więc stąd ta wesołość. „Kalispera” to pewnie pedalska nora. Bo raczej wątpił, by był to klub tylko dla mężczyzn... A może? Może mężczyźni mają tu swoje kluby, jak w Londynie?

Aż do ostatniej chwili ludził się nadzieją na zobaczenie eleganckiego klubu, lecz gdy zaczęli zwalniać, zrobiło mu się ciepło. Czymkolwiek było to miejsce, na pewno nie było klubem dla dżentelmanów. Skamieniały z przerażenia, uiścił opłatę i ścigany ironicznym spojrzeniem taksiarza, ciągnąc za sobą neseser, zbliżył się do odrapanego, białego budynku, przed którym, pod otwartą, brudną markizą, ustawione były cztery stoliki. Różę wetknął do butonierki niedbale, jakby próbując się zdystansować, lecz chyba nie osiągnął celu. Dwie cioty siedzące naprzeciwko siebie i popijające białe wino obrzuciły go ciekawskimi spojrzeniami. Zgromił je wzrokiem, lecz po chwili opanował się. Nie może zwracać na siebie uwagi. Mrużąc oczy, wszedł do środka. Przez chwilę kompletnie nic nie widział, nadal oślepiony ostrym słońcem.

Zdawało mu się, że gwar panujący w środku na chwilę przycichł. No jasne! Musiał strasznie rzucać się w oczy! Teraz, gdy jego oczy przywykły do ciemności, zobaczył, że absolutnie wszyscy mu się przyglądali.

I nic dziwnego. Ze swoim metrem osiemdziesiąt osiem i blond włosami, w jasnym garniturze i – o zgrozo – z różą w butonierce... Niepomny na gapiących się pedałów, turkocząc walizką, podszedł do baru i szorstko, niemal brutalnie, zamówił piwo. Prawie natychmiast mu je podano. Z ulgą umoczył w nim usta, zapalił papierosa i zaczął nerwowo rozglądać się wokoło, lekko rozjuszony, jakby spodziewając się zmasowanego ataku. I gotów odeprzeć go gołymi rękami.

Jednak nic takiego nie nastąpiło. Mężczyźni odwracali od niego głowy. Tu i ówdzie rozległy się śmiechy, po czym zadymiony, daleki od elegancji lokal znów wypełnił się gwarem. Bywalcy kawiarenki nie takie zestrachane dziwadła widywali, tak więc po pierwszym zdumieniu nikt nie zwracał większej uwagi na podenerwowanego, zwalistego blondyna.

Pawłowi jednak nie udzieliła się atmosfera ogólnej bez troski. Stał spięty, podświadomie

zaciskając pośladki, czekając tylko, kiedy ktoś go zaczepi. Chciał odszukać w tłumie tego idiotę, Quadropoulosa – jakże pragnął dać mu popalić za to, że przywiódł go w takie miejsce! Bał się jednak rozglądać, by nie sprawić wrażenia „szukającego okazji”. Po chwili, która Pawłowi zdawała się wiecznością, podszedł do niego gruby, spocony okularnik około pięćdziesiątki w jasnej, wymiętej marynarce.

– *Mister Wentzel?* – spytał, stając tuż obok.

– *Yes.* – Paweł z zaciśniętymi szczękami zwrócił się ku tamtemu, a potem nerwowo rozejrzał na boki. – *You are mister Quadropoulos, I suppose?*^[44]

– *Follow me, please.*^[45] – Grek ruszył w głąb lokalu. Paweł szedł w ślad za nim, sztywny niczym robot i pilnując tylko, by nikogo nie sprowokować wzrokiem.

Zasiedli przy stole, którego jedyną zaletą była znaczna odległość od innych. Do granic możliwości zdenerwowany Paweł, niepewny, co to wszystko ma znaczyć i czy aby nie jest robiony w balona, nie odzywał się ani słowem. Zamierzał poczekać, aż zacznie tamten.

– *Do you have the cash?*^[46] – Dopiero teraz Paweł zrozumiał, co miał na myśli Papadakis, nazywając tego prawniczyńę sprzedawcą dywanów. Rzeczywiście, to godne pożałowania indywiduum w wymiętej koszuli wyglądało, jakby bało się własnego cienia.

– *I have the cash.*^[47] – Paweł położył na stole mapę Nikozji, a następnie uchylił jej rąbek. Ukazała się szara koperta, otwarta tak, że widać było wystający z niej gruby zwitek banknotów. Specjalnie tak to przygotował, już w taksówce.

Grubasowi załśniły oczy, oblizał wargi i szybko wyciągnął w stronę koperty flakowatą, wilgotną dłoń.

– *Not so fast, my friend.* – Paweł z kamienną twarzą zamknął mapę, przytrzymując grubasowi palec. – *First give me the NAME!*^[48]

– *Relax, my friend!* – syknął tamten, dosłownie oblewając się potem i wycierając czoło rękawem marynarki. – *People are watching!*^[49]

I ostrzegawczo rozejrzał się na boki. Paweł, popijając piwo, dyskretnie poszedł za jego przykładem. Faktycznie, gapilo się na nich dwóch dość eleganckich gostków, ale wydawali się nieszkodliwi. Klasyczni geje z artystycznych sfer klasy średniej. A gapili się, bo on i Quadropoulos musieli stanowić nie lada pożywkę dla wyobraźni.

Ze zmarszczonymi brwiami zwrócił się w stronę grubasa. Już chciał go przepytać, dlaczego, u licha, umówili się tutaj, ale zaniechał tego. Może tamten był stałym bywalcem miejsca? A może miał nadzieję, że nikt z kolegów biurowych go tu nie przydybie. Teraz i Paweł otarł pot z czoła, ale używając do tego chustki. Potem, próbując okiełznać nerwy, zaczął najspokojniej, jak potrafił:

– *Nobody's watching. I've got the cash as we settled. Now you give me the fucking name.*^[50]

To powiedziawszy, wypił pół szklanki piwa na raz. Nie spuszczał grubasa z oka. Wtedy tamten wyciągnął z kieszeni wymięty wydruk. Przesunął go drżącą, białą ręką po stole w stronę Pawła. Ten, spięty, wlepił w kartkę pałający wzrok.

Tak, była to umowa *call option*^[51] między cypryjską kancelarią Demetriou, Papadopoulos and Partners oraz mogącym w każdej chwili wykupić udziały Global Project Development Limited osobnikiem o nazwisku, o nazwisku... Paweł gorączkowo przebiegał wzrokiem wyszmelcowane ksero oryginału. Jest! Facet, określany w dokumencie jako *beneficial owner*, nazywał się Bogdan Wędzicha, dalej numer jego dowodu osobistego, zameldowany w Łodzi!

A to dopiero numer. A więc nie Kwaśniak, przynajmniej nie osobiście. Marszcząc brwi, Paweł podsunął mapę Grekowi. Tamten chwycił ją drapieżnym, niezdarnym ruchem. Wyłuskał kopertę i zaczął pod stołem liczyć banknoty. Jego twarz odprężyła się nieco, lecz ręce nadal

drżały. Paweł jeszcze raz przebiegł wzrokiem dokument, upewniając się co do jego prawdziwości, a potem popatrzył na Quadropoulosa niewidzącym wzrokiem.

Wędzicha, Wędzicha... Kim, do cholery jasnej, był Wędzicha?

Zmowa milczenia

Paweł wracał z lotniska taksówką. Siedział z tyłu, nieruchomy. Wpatrywał się w oświetlone ulice, ale tak naprawdę niczego nie dostrzegał. Był bez reszty pochłonięty analizą tego, co się dziś wydarzyło, a w myślach wciąż kołatało mu nazwisko tego człowieka. Wędzichy. Nie mógł się już doczekać, aby wrócić do domu, usiąść przed komputerem i wygooglować go. I nagle przyszło mu do głowy, że było jeszcze stosunkowo wcześnie. Nie miał ochoty ślęczeć nad tym sam. Może pani Agnieszka, ta gorliwa mała pensjonarka, nie wyszła jeszcze z kancelarii? Pewnie chciałyby usłyszeć o wyprawie do Nikozji. Swoją drogą będzie mocno zaskoczona.

A i on nie miałby nic przeciwko, żeby opowiedzieć jej o wszystkim. Chociażby o Quadropoulosie...

Że też takie kreatury, jak tamto przepecone indywiduum, święta ziemia nosiła! Wyciągać informacje z własnej kancelarii i sprzedawać za pieniądze?

Takie właśnie były cioty. Zero honoru, zero lojalności do chlebobdawcy.

Za grosz nie można było im ufać.

Nigdy, przenigdy nie zatrudni pedała!

I niech tylko kto próbuje mu wmówić, że jest uprzedzony.

Pytanie tylko, czy pani Agnieszka była jeszcze w kancelarii? Dzisiaj przed południem sam namawiał ją na wczesne wyjście do domu. Szybko wyciągnął telefon i wybrał numer „biura”. Zabawne, jak biło mu serce, gdy czekał, czy podniesie słuchawkę.

Oboje mocno zaangażowali się w tę sprawę, bez dwóch zdań! Nie mógł nie poinformować jej o tym, co działo się. Odebrała po kilku sygnałach. Poczł niewysłowioną ulgę i by ją zakamuflować, odezwał się surowo:

– Pani Agnieszko, to ja. Mam nowiny, ale nie przez telefon. Jeśli ma pani ochotę poczekać na mnie jeszcze dziesięć minut, mogę podjechać do kancelarii. Chyba że...

– Jasne, że poczekam – natychmiast padła radosna odpowiedź, po której Paweł przykazał kierowcy szybko zjechać na prawy pas i przy „Riwierze” skrócić w prawo.

– Na Parkową – zakomenderował. Jadąc w dół Goworka, pomyślał sobie, że mógłby kupić wino. Wprawdzie nie było jeszcze czego świętować, albowiem nazwisko „Wędzicha” wiele mu nie mówiło, ale zawsze był to jakiś trop. Pierwszy ślad.

Nie był wcale przekonany, czy wypada pić wino z młodocianą sekretarką. Ale po tej osobliwej misji (zupełnie nie w jego stylu, zupełnie do niego niepodobnej!) czuł się jak gówniarz, który splątał figiel i uszło mu to na sucho. Miał ochotę się odprężyć i nie zamierzał dzisiaj niczego sobie odmawiać. I znów wiedziony dziwnym instynktem, nieznoszącym sprzeciwu tonem zawołał do taksówkarza:

– Proszę podjechać jeszcze do tej winiarni na Dolnej.

Wpadł tam ze zdwojoną energią i prędko wybrał porządne czerwone i na wszelki wypadek niezgorsze białe. Przecież wcale nie znał jej gustu. Potem wrócił do samochodu i zaczął popędzać opieszalego sałaciarza. Ten z kolei, jak na złość, jechał niczym dyliżansem. Silnik wył, jakby miał się zatrzcć, a taksjarsz dopiero zmieniał na dwójkę. Oczywiście nie zdążył na zielone, a czerwone przy Belwederskiej zdawało się ciągnąć bez końca.

Gdy wreszcie Paweł stanął w progu kancelarii, pani Agnieszka poderwała się na równe nogi, jakby zobaczyła diabła.

– Pani Agnieszko, to tylko ja – rzekł ze stoickim spokojem, dysząc lekko po pokonaniu dwóch pięt. – Byłem dzisiaj w Nikozji – zaczął obojętnie, jakby mówił, że wyskoczył na chwilę do kiosku „Ruchu”.

– Co takiego?!

– Tak – ciągnął dalej, dyskretnie odnotowując zachwyty malujący się na jej twarzy i nie dając po sobie poznać, że sprawia mu to przyjemność. – I MAM to nazwisko. Mam nazwisko beneficjalnego owenera Global Project Development Ltd. Mamy gościa, który przelał Zagajewiczowi pieniądze.

Z rozmachem postawił na biurku kartonowe pudełko z winami, udając, że nie widzi jej przejęcia.

– Woli pani białe czy czerwone? – zapytał, wkładając do ust cygaretkę i natychmiast ją sobie przypalając, jakby czynność tropienia utajonych właścicieli firm offshore'owych była jego chlebem powszednim.

– Czerwone. Rozumiem, że to NIE Kwaśniak?!

– Facet nazywa się Wędzicha. Bogdan Wędzicha. Tyle na razie o nim wiem.

– Może to kumpel Kwaśniaka?

– Może tak, może nie...

– Trzeba przeszukać net.

– Dokładnie tak. – Sprawnie rozlał wino do kieliszków, które przyniosła z kuchni. Łyknął niemal do dna – „jak cham”, jak to kiedyś określiła jego żona – a potem ciężko opadł na fotel i włączył płaski komputer przenośny.

Dziadostwo uruchamiało się irytująco powoli, a na koniec wyświetliło komunikat, że będzie ściągало nowoczesną wersję czegoś tam. Paweł chciał to skasować i nagle wszystko się zawiesiło. Kurwa mać, to właśnie miał na myśli, kiedy ostatnio wspominał swojego informatyka. Oto owoce jego dyletanctwa. A dopiero co zapłacił mu kilkaset złotych za „serwis”! Kilka razy nerwowo stuknął myszką o blat, lecz niczego to nie zmieniło.

Potem na ekranie wyświetliło się pytanie na tyle abstrakcyjne, że niemal uzasadnione byłoby grzmotnięcie komputerem o ścianę.

Agnieszka stała obok i w wyrozumiałym milczeniu obserwowała jego poczynania, lecz widząc rozdrażnienie szefa, poszła do sąsiedniego pokoju po swój notebook.

Energicznie postawiła go na stoliku do kawy, usiadła w fotelu i otwierając go, rzuciła:

– I ja trochę poszperam.

Świetnie. Szczerze mówiąc, właśnie o tym marzył, przecież od piątej rano był na nogach. Potem dzień spędził w skrajnym napięciu nerwowym. Nic dziwnego, że po łyku alkoholu świat aż wirował mu przed oczami.

A swoją drogą dobrze zrobił, że po rozstaniu z tymi wszarzami nie żałował dla niej pieniędzy na nowiutkiego notebooka z superszybkim procesorem. Zasuwała na tym sprzęcie aż miło.

Naprawdę w tę dziewczynę warto było inwestować. Solidna z niej babeczka, nie ma co.

Upił jeszcze łyk wina, tymczasem i jego stary grat w końcu się odwiesił. Otępiały ze zmęczenia i oszołomiony winem Paweł przesuwał dziesiątki stron z Wędzichami w tytułach. Boże, kto miałby siłę to wszystko przekopać. Ospale wpisał w Google „Wędzicha” plus „spółki budowlane”.

Ni chuja.

Znów wyskoczyli ci sami, choć zawęził zakres wyszukiwania. Wędzicha parkieciarz, Wędzicha nauczyciel pływania. Zresztą z Kutna.

Tych Wędzichów jak psów!

O, następny. Wędzicha – chłystek z kontem na Naszej Klasie. Też raczej nie on. Za młody.

Może wpisać z cudzysłowem? Pani Agnieszka zapewne wie, jak to zrobić, ale nie będzie jej pytał, nie chciał wyjść na starego, niezorientowanego pryka.

Jak, do diabła, miałby się do tego zabrać? Czytać wszystko po kolei?

Dobrze więc. Poleci po kolei.

Leciał więc. I nie wiedząc nawet jak i kiedy, zasnął.

Obudził się rano, wyciągnięty na dwóch fotelach i przykryty kocem. Zerknął na zegarek i włos mu się zjeżył. Dochodziła dziewiąta! Dawno tak długo nie spał! Jakim cudem tak się tu wygodnie ułożył? Powoli się podniósł i uładzając zwichrzone włosy, poszedł sprawdzić, czy ona jest u siebie. Nie było jej. Więc pojechała do domu. Ciekawe, czy coś znalazła. Szkoda, że go nie obudziła i nie powiedziała... Zresztą zaraz do niej zadzwoni. Poszedł do łazienki i umył się w umywalce najstaranniej jak mógł, mając przy tym do dyspozycji zabraną w podróż kosmetyczkę. Potem wszedł do kuchni i zrobił kawę, do której ostatnio, jakby na przekór, nabrał nowego upodobania. I już chwycił za telefon, gdy w zamku zazgrzytał klucz, a jego oczom ukazała się półprzytomna z niewyspania, lecz ewidentnie rozemocjonowana pani Agnieszka.

– Panie mecenasie, nie uwierzy pan, co wyczytałam!

A jednak. I choć serce niespokojnie drgnęło mu w piersi, nie dał nic po sobie poznać. Tymczasem ona nerwowo wyszarpywała ramię z ciemnego ortalionowego płaszcza. Mimochodem zauważył, że choć ubrana skromnie, wszystko, co nosiła, było nieskazitelnie wyprasowane. Ciemne włosy lśniły czystością, a kołnierzyk był nienagannie biały. Starła się być elegancka tanim sumptem. Dziwnie poruszony, szybko odwrócił wzrok od jej jakże ładnych nóg w ciężkich, na glanc wypastowanych półbutach.

– No, co tam pani wyczytała? Kim jest ten Wędzicha? – ponaglał ją niecierpliwie, pomagając wyswobodzić się z płaszcza.

– Bogdan Wędzicha to stary komunistyczny prezes łódzkiej spółdzielni mieszkaniowej „Zacisze”. Podejrzany o masę przekrętów. Nigdy niczego mu nie udowodnili, zawsze udaje mu się wywinąć. Ale nie zgadnie pan, kto jest jego pomagierem i kumplem!

– No, kto? – głucho spytał, przysiadając na poręczu fotela.

– Jego kumplem w przekrętach, również oskarżonym i to w jednej z głośniejszych spraw, tej z dwa tysiące trzeciego roku, jest radny z pobliskich Pabianic o nazwisku Kwaśniak! Ireneusz Kwaśniak! Ojciec naszego mecenaska. Ojciec Kwaśniaka.

– O!

Paweł przysiadł na krawędzi pobliskiego biurka, tymczasem ona, krążąc po gabinecie jak niespokojna, mała pantera, ciągnęła z ogniem w oczach:

– Pan Ireneusz Kwaśniak był w Pabianicach radnym od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego do dwa tysiące drugiego. W dwa tysiące trzecim postawiono mu zarzuty o przyjmowanie korzyści majątkowych w zamian za ustawianie przetargów na sprzedaż ziemi. Jednak postępowanie umorzono. Sprawie ukrecono łeb w tajemniczych okolicznościach.

Paweł stał, wpatrując się w panią Agnieszkę niewidzącym wzrokiem. A więc, tak jak przewidywał, królicza norka była głęboka!

– Panie mecenasie, powinniśmy tam natychmiast pojechać! – zakrzyknęła, widząc jego bezruch.

– Dokąd mnie pani znów pędzi? Dopiero co wróciłem z Cypru!

– Do Pabianic! Panie mecenasie, musimy tam pojechać! Zasięgnąć języka. Przejrzeć lokalne gazety z miejskiego archiwum.

W pierwszej chwili coś, co brzmiało jak niepotrzebne szaleństwo, zaczęło wydawać się Pawłowi racjonalne, nawet konieczne. Dla przekory jednak nie omieszkał zagderać:

– Pani Agnieszko, to nie thriller prawniczy! Czego się tam będziemy dowiadywali? Jeszcze ktoś nam da po łbie! To pewnie jakaś obskurna dziura. Nie mam zamiaru oberwać tylko dlatego, że pani zachciało się bawić w Sherlocka Holmesa! Zresztą mamy masę pilniejszych

spraw: musimy jak najszybciej sprawdzić, czy postanowienie w sprawie zabezpieczenia roszczenia jest dla nas korzystne. Przypominam, że to realne pieniądze, które sami musimy wyrwać, droga pani Agnieszko.

– Podjedziemy do Sądu Okręgowego po drodze! – przekonywała go, a tymczasem stosując politykę faktów dokonanych, zbierała już ze stołu dokumenty oraz zamykała laptop.

– O jedenastej mam spotkanie z klientem u notariusza – zrzędził Paweł, wkładając jednak płaszcz i rozglądając się za kluczami.

– I dobrze. Więc pojedziemy prosto stamtąd! – wołała, zbiegając już po schodach.

Kilka godzin później sunęli eleganckim Pawłowym bmw w stronę Strykowa. Nadmiar wrażeń, zazwyczaj skłaniający ludzi do rozmowy, tym dwojgu zamknął dziś usta. I choć mieli milion spraw do obgadania, siedzieli w milczeniu, podświadomie zostawiając wszystko na później. I tylko od czasu do czasu Paweł spoglądał na panią Agnieszkę porozumiewawczym wzrokiem, a ona odwzajemniała się uśmiechem.

Powodem ich wspólnego zadowolenia była decyzja sędziego referenta – ich pierwszy sukces od czasów przeprowadzki z Ordynackiej na Parkową. Przed godziną podjechali do Sądu Okręgowego i choć Paweł był pełen złych przeczuć, okazały się one niesłuszne. Sąd WYDAŁ postanowienie o zabezpieczeniu roszczenia. Oznaczało to, że jutro z samego rana zaufany komornik zapuka do drzwi Zagajewiczów, zajmie ich konta, samochody i księgi wieczyste. Jeśli Paweł wygra proces o odszkodowanie (a co do tego nie miał wątpliwości), pieniądze Baranowskiego będą zabezpieczone. I zostaną mu niebawem wypłacone. A czego nie pokryje prywatne odszkodowanie Zagajewicza, zabrane zostanie z jego własności.

To właśnie na myśl o tym na ustach Pawła co chwilę pojawiał się kwaśny uśmiech.

Droga była pusta, a ostre, zimne słońce chyliło się już ku zachodowi.

– Chyba wiele już dzisiaj nie wskóramy. Biblioteka będzie zamknięta – odezwał się do milczącej pani Agnieszki. – Trzeba będzie tam zostać na noc i zacząć od jutra rana...

Nie odpowiedziała.

– Może to nawet lepiej, nie sądzi pani? Jestem piekielnie zmęczony po wczorajszej wyprawie. A i dziś miałem urwanie głowy z tym przeklętym Szorochowem. Nie ma jednak jak swój notariusz! W życiu już nie zgodzę się pójść do obcego imbecyla. W dodatku z takim nazwiskiem!

Skinęła głową.

– I pani chyba też potrzebuje wypocząć. Po całej nocy spędzonej przy komputerze? – Znów zerknął w jej kierunku, lecz tylko grzecznie potaknęła i nie odwzajemniła spojrzenia. Wpatrywała się w przednią szybę z uwagą godną lepszej sprawy.

W Pawle obudził się sybaryta. Auto cicho szumiąco, grała przyjemna muzyczka. Pragnął coś zjeść, odprężyć się, wreszcie wziąć kąpiel...

Wprawdzie nie było z nim pięknej kobiety, ale... Miał za to u boku swego wiernego giermka, nieustraszoną panią Agnieszkę. Jako towarzystwo do kolacji na dziś była całkiem, całkiem. Poza tym będzie mógł rozmawiać na tematy, które go interesują, bez obawy, że ją to znudzi tak, jak by znudziło każdą inną. Wykazywała niezwykle wprost zainteresowanie sprawą, która i jego pochłaniała bez reszty.

Z jakiego powodu tak się tym pasjonowała? Tego nie mógł pojąć. Może oczekiwała za to dodatkowego wynagrodzenia? Z pewnością. Poruszy z nią tę drażliwą sprawę podczas posiłku. Nie może przecież oczekiwać, że młoda dziewczyna, sekretarka, nawet choćby nie wiem jak zapalona do prawa, będzie z nim pracowała bezinteresownie. Policzy jej za ten wyjazd porządną „dięty”! I uśmiechnął się do niej krzepiąco, ale ona czym prędzej skierowała spojrzenie w inną stronę.

Tymczasem wjechali do Pabianic. Z początku bacznie przyglądali się przechodniom i budynkom, ale że wszystko wyglądało zupełnie zwyczajnie, po chwili zaniechali tych daremnych obserwacji.

– Od czego zaczniemy? – spytała nabożnym szeptem pani Agnieszka, gdy zatrzymali się na światłach.

– Zaczniemy od znalezienia hotelu, gdzie zjemy i wypimy się. Rano pójdziemy do biblioteki w Urzędzie Miejskim i ewentualnie do Sądu Rejonowego. Jak znam życie, nic nie znajdziemy, chyba że uda mi się dodzwonić do kumpla z Łodzi, który może zna tu kogoś, kto dopuści nas do akt... A potem, przed południem, wrócimy do Warszawy – zaordynował Paweł beznamytnie i ruszył z kopyta, kierując samochód w stronę domniemanego centrum miasta.

– A jak zabierzemy się do podpytania o Wędzichę przypadkowych ludzi?

– To w ogóle nie jest dobry pomysł. – Paweł lekko poczerwieniał.

– Ale przecież nie powiemy, że jesteśmy szukającymi go prawnikami! Podamy się za kogoś innego. Możemy udawać, że mamy do niego interes. Nie znają przecież naszych nazwisk, nie mają rysopisów.

– Pani Agnieszko, czy pani się zdaje, że to jakiś film sensacyjny czy jak? Życie pani niemiłe? Chce nas pani na siłę wplątać w jakąś awanturę? To mogą być groźne bandziory! Trzeba działać z rozmysłem!

Po dłuższych poszukiwaniach, w których przeszkadzała im zażarta wymiana zdań, trafili do przytulnego, małego hoteliku, w którym mieściła się na dodatek restauracja. Jej przyzwoity wygląd zadowolił nawet Pawła.

Gdy załatwili formalności, stanęli naprzeciwko siebie przy windzie, z dala od czujnych uszu recepcjonisty.

– Panie mecenasie, wiem, że jest pan zmęczony. Ja jednak zrobiłabym rundkę po mieście, ok? Chcę się tylko rozejrzeć.

Miała doprawdy niespożytą energię i niezwykle bujną wyobraźnię. Westchnął cicho.

– Nie no. Samej pani nie puszczę. A wiadomo, jakie bandy grasują tu nocą? Niech mi pani da dwadzieścia minut na zmycie z siebie cypryjskiego brudu. Dwa dni chodzę bez prysznicza.

Nim minęła godzina, przeszli centrum miasta wzdłuż i wszerz. Byli zmarznięci, Paweł umierał z głodu. Zimny wiatr wiał im prosto w twarz, gdy pani Agnieszka zawzięcie lustrowała tabliczki na Urzędzie Miasta. Pod wiatą przystanku autobusowego sterczały dwa typy spod ciemnej gwiazdy, kopiąc pety i popijając piwo. Zrobiło się już zupełnie ciemno, na ulicach, oprócz tych młodocianych obwiesi, nie było żywej duszy.

– Pani Agnieszko, nie kręćmy się tu po próżnicy, bo tylko niepotrzebnie zwracamy na siebie uwagę. Wejźmy na szklankę whisky czy herbatę, nim nabawi się pani zapalenia płuc. Na rogu jest jakaś speluna.

I widząc rozczarowanie w jej oczach, szybko dodał:

– A może właśnie tam się czegoś dowiemy? Wkręci pani barmana, skierujemy rozmowę na Wędzichę, a ten opowie nam interesującą historyjkę o miejscowych układach... Zdradzi mroczną tajemnicę.

W końcu roześmiała się i zawrócili w stronę rynku, jednak spelunę właśnie zamykano i mimo perswazji nie wpuszczono ich do środka. Musieli szukać dobrych kilkanaście minut, nim wypatrzyli inną kawiarnię przy jednej z bocznych uliczek. W środku panowało przyjemne ciepło i nie było tam ani jednego gościa.

– I bardzo dobrze! – stwierdziła pani Agnieszka, zajmując miejsce przy stoliku ustawionym we wnęce okiennej.

To prawda. Będą mogli porozmawiać bez skrępowania. Paweł poszedł do baru i szybko przyniósł dwa drinki.

– Whisky z colą – rzekł, stawiając przed sekretarką szklankę wypełnioną niemal po brzegi.

Upiła łyk, patrząc na niego poważnym wzrokiem. Zdjął płaszcz, usiadł, natychmiast zapalił i dyskretnie rozejrzał się, z trudem maskując odrazę. Miejsce udawało ekskluzywny lokal – na każdym stoliku ćmiły się świece, a ściany były obite czerwoną materią. Wszystko to robiło przygnębiające wrażenie na Pawle, który wprost nie znosił prowizorki.

– Proszę jeszcze raz opowiedzieć, co pani wyczytała w Internecie. O Wędzisz, o Kwaśniaku... – przerwał ciszę. – Chcę usłyszeć wszystko o tych przekrętach, by sobie to na spokojnie przeanalizować.

Oboje odruchowo zerknęli w stronę kelnerki, lecz ujrzeli tylko czubek głowy dziewczyny pochylonej nad jakąś pracą.

– Wiele więcej tam nie było. No więc, tak jak mówiłam, ten Wędzicha jest typkiem megapodejrzany. Miał już kilka procesów, ale na koniec zarzuty zawsze były oddalane.

– W tym artykule nie pisali, jakie to były zarzuty?

– Między innymi o wręczanie korzyści majątkowych przy rozstrzygnięciu przetargów. Ale to nie wszystko. W dwa tysiące piątym Wędzicha miał zarzuty karne o korupcję, której się dopuścił, będąc w zarządzie trzecioligowego klubu piłkarskiego Krośniarz Pabianice. Klubowi wybudował zresztą gigantyczną halę. Dość nieprawdopodobne jak na taką miejscinkę, co?

– Raczej dziwne. No i co z tymi zarzutami o korupcję w piłce? Zapadł jakiś wyrok?

– Ano NIE zapadł. Sąd Rejonowy w Łodzi co rusz przesunął termin rozprawy, a potem nagle oczyszczono Wędzichę z zarzutów. Ale nie wiem, na jakiej podstawie i w jakich okolicznościach. Niestety, w Internecie są zazwyczaj bardzo skrócone wersje artykułów. Dlatego tak mi zależało, żeby znaleźć bibliotekę. Tam powinni archiwizować lokalne gazety.

– Ja i bez gazet mogę pani powiedzieć, dlaczego go uniewinnili, choć to, naturalnie, tylko moje domysły. Ale to schemat dotyczący wielu komunistycznych „preziów” spółdzielni mieszkaniowych. Często takie gnidy mają bardzo długie macki, sięgające aż do prokuratury. Mają tam kumpli, którym za komuny załatwiali mieszkania – wtedy towar deficytowy. Tak więc tacy jak Wędzicha są zazwyczaj nieźle umocowani i chronieni. Jednym słowem, nasz ptaszek ma prokuraturę w kieszeni...

Pani Agnieszka wzięła papierosa, którego Paweł jej przypalił. Zaciągnęła się i długo kiwała głową, jakby wszystko sobie porządkowała, a potem powiedziała:

– Oczywiście, Wędzicha jest tu lokalnym bonzem, a stary Kwaśniak niegdyś wiele mu ułatwiał, będąc radnym. Wiązą ich różne przysługi i zależności. Tylko czemu to Wędzicha finansował łapówkę dla Zagajewicza?

– Bo pewnie był bezpośrednim zainteresowanym.

– Myśli pan, że to on zlecił młodemu Kwaśniakowi wciśnięcie komuś trefnej spółki?

– Nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem, ale z tego, co pani opowiada, jest to bardzo prawdopodobne...

– Ale dlaczego?

– No, niech pani pomyśli. Wędzicha wygląda na lokalnego potentata. Klub piłkarski, konto na Cyprze. Jakoś musiał się dorobić... Jeśli za komuny był prezesem spółdzielni mieszkaniowej, to podczas uwłaszczenia nomenklatury przejął biznes za friko. Zajął się deweloperką, to jasne. Bardzo prawdopodobne, że jest głównym udziałowcem naszej trefnej spółki, Invest Nobiscum, choć z tego, co pamiętam, ta gigantyczna spółka miała i innych właścicieli... Równie szemranych. – Paweł dokładnie przypominał sobie, co niegdyś opowiadał

mu Mati o „zakazanych typach” z Gdańska. – Jeśli zaś to on osobiście zapłacił Zagajewiczowi, pewnie miał w tym prywatny interes. To zresztą ładnie się skleja.

– Dlaczego?

– No, skleja się czasowo! Jak teraz o tym myślę, przypominam sobie, że Kwaśniak robił do mnie podchody już rok temu, kiedy przyjechał do mazurskiego domu mojego ojca. Pewnie wiedział, że obsługujemy Budexprim – dużą firmę deweloperską, która miała zasoby, by wykupić Invest Nobiscum. Chciał mnie w to wrobić, ale zobaczył, że nie pójdzie mu tak łatwo, więc obrał za cel tego kretyna Zagajewicza! Z nim nie miał trudności! Ale chodzi mi o specyficzny czas, atmosferę polowań...

– Czas rządów Porozumienia Narodowego?

– Niby ich poprzedników, ale ma pani rację. W gruncie rzeczy to ci sami ludzie, tylko nazwa nowa. Wędzicha pewnie sam wyprowadził z Invest Nobiscum pieniądze, które wcześniej jego spółka pożyczyła z banku. Z banku, po którym, notabene, pozostali już tylko wierzyciele. Przełał je, dajmy na to, do innej swojej spółki, może Global Project Development, a potem pozbył się obciążonej długiem Invest Nobiscum, żeby być czystym na czasy inkwizycji. Robił swoje machloje bez problemów za rządów byłych komuchów, ale gdy doszli do władzy żądni krwi czerwonych baronów prawicowcy, czym prędzej posprzedawał swoje szemrane spółki, wyprowadził pieniądze i żyje teraz spokojnie, przyczajony. Kto wie, może nawet jest miejscowym dobrodziejem. Filantropem. Nie zdziwiłbym się!

– No to mamy rozwiązanie.

– Mamy hipotezę, pani Agnieszko. A hipotezę trzeba jeszcze udowodnić, co już nie jest takie proste. Musi się pani pogodzić z faktem, że złożymy pozew, pomijając udział Kwaśniaka i Wędzichy. Cokolwiek znajdziemy w archiwach prasowych jutro rano, nie będzie stanowiło wiążącego dowodu na udział Kwaśniaków. Grube ryby pozostaną na wolności. Schwyjemy tylko płótkę. – Paweł uśmiechnął się, widząc, jak pani Agnieszka gniewnie marszczy brwi, rozzłoszczona z powodu niespodziewanych trudności.

– Ale tak nie możemy! Wiemy, że to Wędzicha i Kwaśniak podsunęli Baranowskiemu kukułcze jajo i całą odpowiedzialność poniesie głupi, bo głupi, ale Bogu ducha winny mecenas Zagajewicz!

– Z tym Bogu ducha winnym to bym nie przesadzał. – Paweł zacisnął zęby tak mocno, że coś aż zgrzytnęło mu w żuchwie.

Jednak kobiety niewiele wiedziały o lojalności i przyjaźni.

– Pominiemy więc zleceniodawców? – Patrzyła prawie z niedowierzaniem.

– Chyba że w dwa tygodnie – tyle mamy czasu na złożenie pozwu – znajdę dowód, że Wędzicha miał udziały w Invest Nobiscum. Ale to i tak byłaby tylko poszlaka.

– Może warto próbować. Ale proces poszlakowy w takiej materii byłby skazany na porażkę.

– Właśnie. A udziałowcami w Invest Nobiscum były liczne spółki offshore’owe. I to pewnie potrójnie kryte, więc taki numer jak z Quadropoulosem dwa razy nie przejdzie, pani Agnieszko. Ciężko będzie udowodnić, że Wędzicha miał w Invest Nobiscum udziały. A jeszcze ciężiej, że zapłacił Kwaśniakowi za pośrednictwo.

– Ależ to porażka!

– Pani Ago, w zawodzie prawnika spotka się pani jeszcze z wieloma znacznie gorszymi aktami konformizmu! – Paweł był szczerze ubawiony jej „dziewiczym” podejściem do sprawiedliwości. Ale dobrze, że takie jednostki jeszcze w ogóle istniały, bo był przekonany, że młode dziewczyny w jej wieku mają w głowie tylko ciuchy i kosmetyki.

Ale po chwili milczenia dodał cicho i poważnie:

– Pani Agnieszko, ja też bardzo chciałbym go dorwać. Ale, tak szczerze, w tej chwili nie mam koncepcji jak. Nie mogę teraz opóźnić sprawy Baranowskiego przez naszą prywatę. Koniec kropka.

A ponieważ milczała, rozczarowana, wyjaśnił:

– Tak naprawdę jedynym sposobem, by znaleźć na nich dowody, byłoby dojść do kogoś z wewnątrz ich sitwy. Kogoś, kto będzie chciał przeciwko nim zeznawać.

– Może moglibyśmy przyprzeć do muru prezesa Invest Nobiscum?

– A co on ma do tego?

– No, to chyba on podpisywał z Baranowskim umowę.

– Prezes jest tylko figurantem, tak zwanym słupem. On nic nie podpisywał. Udziały spółki zbyt upoważniony przez Invest Nobiscum adwokat. Możemy mu naskoczyć na kant... Wie pani czego.

– Trzeba więc podpytać ludzi z Pabianic! Jeżeli Wędzicha jest tu taką szycią, na pewno wszyscy go znają. A jak znają, to i wiedzą o nim to i owo!

Nie dawała za wygraną. Okaz iście muzealny. Trochę jak on sam. Paradne!

– Ma pani zacięcie, pani Ago... – Paweł nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Pan ze mnie podkpiwa, panie mecenasie!

– Skądże znowu, gdzież bym śmiał. Naprawdę podziwiam panią!

Spojrzała z niedowierzaniem, lecz widząc jego uśmiech, sama też się uśmiechnęła.

Zapadła chwila ciszy.

– Serio, uważam, że musimy zasięgnąć języka wśród zwykłych ludzi! – podjęła w końcu.

– Pan, panie mecenasie, chyba nie docenia głosu ludu. Lud wie wszystko, a pan go lekceważy.

Paweł znów uśmiechnął się mimowolnie. Przywykł już do jej naiwnych obserwacji, choć zdążył też zauważyć, że nierzadko zawierały ziarnko prawdy.

– Jeśli chodzi o „wszechwiedzący lud”, ja go nie lekceważę, pani Agnieszko, boję się tylko, że lud niewiele nam tu pomoże!

– Ludzie wiedzą wszystko, panie mecenasie! Ludzie zawsze wiedzą, kto kradnie!

– Pani Agnieszko, może i wiedzą, ale pani tego nie powiedzą!

– Ach, jaki pan nieznośnie pesymistyczny, panie mecenasie!

– To dlatego, że jestem od pani dużo starszy i śmiem twierdzić, choć pani zapewne uważa inaczej, że jestem trochę bardziej doświadczony...

– Gdyby pan był rzeczywiście tak zachowawczy, jak sam się przedstawia, nigdy, przenigdy nie poleciałby pan na Cypr szukać tego utajonego właściciela!

– To co innego. Zapłaciłem, by Grek wyniósł mi informacje ze swojej kancelarii. Tutaj jednak nikt nam nie pomoże. Po pierwsze dlatego, że nie będą mieli w tym interesu, a po drugie, pewnie się boją!

– Pan uważa wszystkich ludzi za interesownych? – Pani Agnieszka mocno poczerwieniała.

– Absolutnie, bez dwóch zdań.

– Panie mecenasie, sam pan nie wierzy w to, co pan mówi! Zauważyłam już, że lubi się pan pokazywać światu gorszym, niż pan jest w rzeczywistości.

– Gorszym? Po prostu nie jestem hipokrytą. Zresztą dość już tego dobrego. – Teraz i Paweł poczerwieniał. Nie będzie się uzewnętrzniał przed smarkatą. I jakim prawem prowadzi ona jakieś obserwacje jego charakteru? Stanowczo posuwała się za daleko, choć z pewnością w swoim mniemaniu miała dobre intencje. Opróżnił szklanekę jednym haustem i szybko się podniósł. Spojrzała na niego z niepokojem. Bała się, że się obraził? Czyli mało go jeszcze znała. Bo co jak co, ale na pewno nie był drobiazgowy.

– Zaraz coś pani udowodnię! – uspokoił ją i ruszył do szynkwasu z pustymi szklankami. Barmanka, przystojna kobieta o kruczoczarnych włosach i niebieskich oczach, grubo obrysowanych czarną konturówką, patrzyła na niego zachęcająco.

– Proszę jeszcze raz to samo. – Usiadł na wysokim stołku i zapalił papierosa.

Kobieta pochyliła się tyłem po szklanki, ukazując czarne stringi wystające z opiętych dzinsów. Paweł, paląc, w milczeniu obserwował, jak nalewa whisky, dodaje lodu, a potem uzupełnia colą.

Odwróciła się, postawiła szklanki na barze i znów spojrzała mu wyzywająco w oczy.

– Ładne miasto – zagaił.

– A owszem, ładne. Państwo pierwszy raz?

– Tak. Ale chyba niewiele się tu dzieje?

– Oj, zdziwiłby się pan. Mamy i kluby taneczne, i nawet go-go, jeśli ktoś ma ochotę.

– Dobry show nie jest zły...

Zaśmiała się, po czym, jakby zawstydzona, chwyciła pierwszą lepszą szklankę i zaczęła polerować.

– Ale szukałem czegoś trochę innego. Bo hali sportowej to tu pewnie nie macie?

– A właśnie, że mamy. Halę mamy nową.

– Państwową?

– A bo ja tam wiem? To prezes wybudował.

– Prezes?

– Pan Bogdan Wędzicha, nasz prezes.

– Wędzicha? Może się mylę, ale chyba kojarzę to nazwisko. Czytałem kiedyś w gazecie, że on był zamieszany w jakąś aferę korupcyjną. Dobrze kojarzę? To ten?

Uśmiech kobiety zniknął jak zmieciony podmuchem wiatru, a twarz przybrała podejrzliwy, nieprzyjazny wyraz.

– A gdzie pan coś takiego wyczytał?

– A nie pamiętam, w jakiej gazecie...

– Tyle głupot podli ludzie wypisują, że aż żal bierze. Prezes Wędzicha to nasz dobroczyńca. Klub sportowy tak rozkręcił, że chłopaki, zamiast rozrabiać na ulicach, w piłkę kopią, że aż miło! Plac zabaw dla dzieci ufundował! Ludzie tutaj go kochają! Gdyby nie on, byśmy byli jak na zadupiu! Wszystko nam tu pobudował, zorganizował, ludziom zatrudnienie daje! Teraz jeszcze aquapark miał pobudować!

– I wybudował?

– No, nie wybudował! Problemy zdrowotne miał i na operację musiał wyjechać!

– Wyjechał z miasta?

– A co pan tak o pana prezesa wypytuje? Pan z NOP-u czy co? – Teraz patrzyła, nie skrywając wrogości.

– Gdzież by tam. Jesteśmy z koleżanką ze stacji telewizyjnej, szukamy pleneru... To znaczy hali sportowej w pobliżu Łodzi, na potrzeby nowego szoł. O modelkach. Tak więc taka nowa hala w Pabianicach bardzo by nas interesowała. Tylko z kim tu zagadać, jak prezes nie na miejscu?

– Prezes ma od tego pewnie biuro, ma sekretarki. Sam przecie nie siedzi tam i nie wynajmuje! – Mierzyła go podejrzliwym spojrzeniem.

– Dobrze. A gdzie się to biuro mieści?

– A pewnie w gdzieś w tej hali? A skąd ja mam wiedzieć? Z telewizji jesteście i nie wiecie?

Mimo solidnego napiwku nie dała się już udobruchać.

Paweł już zbierał się do odejścia, gdy nagle znów się odezwała, głośno, jakby chciała, by i siedząca koło okna towarzysząca owego intruza również ją usłyszała:

– Wyjechał z kraju. Na operację specjalistyczną. Na zdrowiu ostatnio podupadł. I nie dziwne! Wciąż go prześladowali źli ludzie. Zarzuty mu stawiali. Ludzie w Polsce to głupi są, proszę pana. Prezes dobrodziej wszystko nam tu ufundował, a oni, zamiast go czcić, jeszcze dołki pod nim kopią. Ale tu, w Pabianicach, wszyscy murem za nim staną! Bo wiedzą, że nie ma lepszego człowieka niż pan Bogdan!

Dwie godziny później Paweł Wencel siedział z sekretarką w hotelowej restauracji.

– Żarcie ohydne – odezwał się, przerywając w końcu ciszę.

Milczała, bawiąc się widelcem.

– Jeszcze wina, pani Agnieszko? Kelner! – zawołał na chłopaka, który ukradkiem dłuwał w nosie. – Prosimy jeszcze jedną butelkę tego sauterna.

– Czego?

– Tego wina!

– No, niech się pani tak nie martwi. Mówiłem, że tak będzie... – Paweł odezwał się, gdy nalano im pełne kieliszki i zostawiono samych. Byli jedynymi gośćmi na sali. Z głośników sączyła się spokojna muzyka, a w kominku płonął ogień. Siedzieli tuż przy oknie, obserwując targane wiatrem drzewa.

– Jednak nie wierzę, żeby wszyscy byli takimi bezwolnymi owcami! – oburzała się po młodzieńczemu, zaróżowiona. – Zawsze jest ktoś, kto odważy się mówić... Ktoś, komu Wędzicha zalazł za skórę!

– To jednak trochę jak szukanie igły w stogu siana, nieprawdaż? – Paweł wyjął z kieszeni cygaretki i poszukał wzrokiem kelnera. Oczami dał mu znać, że potrzebuje popielniczki. Tamten natychmiast zniknął za drzwiami kuchennymi.

– Na razie pytaliśmy tylko dwie osoby – rzekła żarliwie.

– I myślę, że o dwie za dużo. Zresztą słaby jest ten nasz pomysł udawania ekipy telewizyjnej szukającej miejsca na plan. Znadto zwracamy na siebie uwagę, rozpytując o Wędzichę niby mimochodem. Facet ze stacji benzynowej też mi się dziwnie przyglądał.

– Panie mecenasie, to niemal paranoja. Oni nie mają pojęcia o naszym istnieniu.

– Pewnie nie... – ostrożnie odparł Paweł.

Znów milczeli jakiś czas. Pierwsza odezwała się Agnieszka.

– Wędzicha jest najwyraźniej hojnym fundatorem. Prawie go tu czczą. Może i faktycznie nie jest taki zły.

– Ciii. – Paweł uniósł ostrzegawczo palec do ust, bo kelner znów pojawił się przy ich stoliku, zachodząc niespodziewanie z drugiej strony. Ustawił popielniczkę centralnie na środku stołu i sterczał nad nimi jeszcze chwilę, dopóki Paweł nie odprawił go wymownym gestem.

– Po prostu się go boją – dokończył przyciszonym głosem, gdy tamten zniknął z pola widzenia. – Zresztą to jest dla nas zupełnie bez znaczenia, pani Agnieszko.

– Mówi pan jak prawnik.

– Jestem prawnikiem. Przypominam, że i pani niedługo nim zostanie i musi pani myśleć trzeźwo.

– Trudno myśleć trzeźwo po takiej ilości alkoholu, panie mecenasie.

– Pani Agnieszko, chciałem o czym innym...

Zaczął, wpatrując się w nią przenikliwie, na co zamarła w bezruchu. On tymczasem, głęboko zatopiony w myślach, patrzył na nią niewidzącym wzrokiem, nie zdając sobie sprawy, w jakie zakłopotanie ją wprawia. Gdy rozmowa zeszała na prawników, przypomniało mu się, że miał ją wypytać o jej sytuację finansową. Pracowała tak dużo, że chyba bardzo potrzebowała

pieniędzy.

– Ilość czasu, który spędza pani ze mną, to znaczy w kancelarii, każe mi przypuszczać... – zaczął ostrożnie, nie chcąc jej urazić, albowiem głośne mówienie o braku środków do życia zdawało mu się równie obrzydliwe, jak posądzenie kogoś o chorobę weneryczną – ...każe mi przypuszczać... Pani Agnieszko, czemu pani tak pobladła?

Pokręciła przecząco głową i uniosła ją wysoko, jakby gotowa odeprzeć nadchodzący cios.

– Każe mi przypuszczać, że... potrzebuje pani gotówki. Tak więc, mimo że kancelaria działa jeszcze na zwolnionych obrotach, bo nie stanęliśmy w pełni na nogi, mam zamiar zaproponować pani małą podwyżkę.

Wyglądała, jakby kamień spadł jej z serca. Jednym haustem opróżniła kieliszek.

– Jeśli o to chodzi, doskonale wiem, że nie stanęliśmy jeszcze na nogi, więc ani myślę przyjmować podwyżki, dopóki nie dorobimy się paru nowych klientów. Płaci mi pan i tak bardzo dużo, więc nie zamierzam wykorzystywać pana dobroci!

– Dobroci? – parsknął pogardliwie, jakby zarzucono mu coś poniżającego. – Nie przywykłem wyklócać się z pracownikami o pieniądze. Podnoszę pani pensję i nie chce słyszeć o odmowie!

– Nie ma takiej opcji. Obiecał mi pan *success fee*^[52], kiedy wygramy sprawę Baranowskiego. To mnóstwo pieniędzy. Nawet nie wiem, czy nie za wiele.

– Chyba pani żartuje! Dzięki temu, że ma pani główkę nie od parady, zdobyła pani obciążające Zagajewicza dowody winy. Dzięki nazwie tej spółki mamy też potencjalną możliwość zdobycia dowodów na Kwaśniaka. A *success fee* będzie, ale nie wiadomo kiedy – może minąć mnóstwo czasu! A przecież z czegoś trzeba żyć. No i co pomyślą o mnie pani rodzice? Ciągam panią po jakichś dziurach, trzymam panią po nocach i jeszcze nic nie płacę? No i co na to pani chłopak?

Pani Agnieszka milczała.

– Nie denerwuje się, że pani wciąż nie ma dla niego czasu?

– Nie mam chłopaka.

Paweł umilkł, zaskoczony. Studentki zawsze miały chłopaków – jak nie jednego, to po kilku naraz. A ta? Taka ładna...

Tak, wcześniej tego nie dostrzegał, ale teraz wydawała mu się naprawdę niebrzydka z tym zabawnym, perkatym noskiem, migdałowymi, słodkimi oczami, dołkiem w policzku, ciemną, cygańską cerą i krótkimi, wijącymi się na końcach kasztanowymi włosami.

Nie była to uroda nachalna, która od razu rzucała się w oczy. Twarz jej miała w sobie delikatność, szlachetność – jak dobrze zaprojektowane logo. Dyskretne, lecz im więcej razy się je widzi, tym bardziej zapada w pamięć, by w końcu...

– A czemuż to taka ładna młoda dziewczyna nie ma chłopaka? – zagaił przyjaźnie jak staruszek, którego podeszły wiek uprawnia do wypowiedziania rzeczy ekscentrycznych, jego już osobiście niedotyczących.

– U mnie na roku są same dupki – wyznała w końcu, sięgając po butelkę, ale Paweł szybko wyjął ją z jej ręki. Przy okazji niechcący dotknął dłoni dziewczyny. Dolał jej wina i patrzył na nią spod oka.

– Same dupki, powiada pani?

– Tak, po prostu debile! Albo bardzo bogaci chłoptasie, którym tatusiowie płacą za studia – takie puste bufony bez pokory, co sobie myślą, że zaraz po studiach będą trzepać kasę. Albo gryziopiórki w okularach, bez polotu, bez jaj, za przeproszeniem. – Głos pani Agnieszki nabrał ekspresji. Widocznie ten temat poruszał ją w sposób szczególny, bo prawie natychmiast wzięła do ust papierosa, którego Paweł niezwłocznie jej przypalił. – Bufony denerwują mnie najbardziej,

bo traktują ten zawód tak... tak cholernie powierzchownie...

Paweł był zdumiony. Wydawało mu się, że pokolenie Agnieszki to same „bufony”, jak to zgrabnie określiła. Tymczasem, co było widać na załączonym obrazku, istniały jednostki dopatrujące się w zawodzie prawnika wyższych wartości. Doprawdy, budujące.

– No, no? – zachęcał ją, przy okazji dolewając sobie wina.

– Po prostu nie znoszę takich koleś! – emocjonowała się pani Agnieszka, wypuszczając kłęby dymu. – Wszystko kupują im starsi, a oni, zblazowani, sami nie potrafią niczego osiągnąć! Kiedyś pracowałam z jednym takim w poprzedniej kancelarii. Był synem znanego warszawskiego adwokata. Żeby pan wiedział, jakie on głupoty wygadywał. Mecenasz Szpakowski, u którego pracowaliśmy, próbował go czegoś nauczyć, ale ten był przekonany, że pozjadał już wszystkie rozumy... Zna pan takich typków?

– Oj, tak! – Paweł twierdząco pokiwał głową. Przed oczami stanął mu Zagajewicz ze swoimi sygnetami i fularem, dodający dwucyfrowe liczby na srebrnym kalkulatorze.

Chwilę milczeli, paląc. Dopiero teraz do niego dotarło, że zupełnie niczego o niej nie wie.

– No, a przyjaciółki? A rodzice? Nie pytają, czemu pani tak wciąż znika?

Opuściła oczy i zaczęła zwijać serwetkę w fantazyjny kształt.

– Nie no, przepraszam, pani Agnieszko. Nie chciałem być wścibski, po prostu... Po prostu nie chcę, żeby pani przez tę sprawę Kwaśniaka zawałała studia czy jakieś inne obowiązki... Czy przyjemności. Już zwłaszcza przyjemności! W tym wieku przecież trzeba się bawić. No i poza tym pani rodzice... Na przykład dzisiaj... Nie będą się niepokoić, gdzie pani się podziewa?

Uśmiechnęła się z goryczą, o którą by jej nie podejrzewał.

– Nie mieszkam z rodzicami. I wołałabym o tym nie gadać.

Aha. Pewnie kolejna zbuntowana panna, której rodzice się rozwiedli. Lepiej było nie ciągnąć tematu.

– A na roku? Na roku z nikim się pani nie koleguje?

– Nie.

Znów zjawił się kelner, usłużnie pytając, czy czegoś im nie trzeba, lecz Paweł odprawił go zniecierpliwionym ruchem dłoni.

– Na roku nie ma pani żadnej koleżanki? – drażył, odchyłając się na oparcie i obserwując ją bacznie.

Czyżby była takim odludkiem jak on sam? Zabawne.

– Nie.

– Młoda, ładna dziewczyna ślęcząca całymi dniami nad aktami sprawy o korupcję. To naprawdę niecodzienne.

– Panie mecenasie, za pozwoleniem, czemu pan ciągle nazywa mnie młodą? – zapytała, nagle zagniewana. – Jakby pan był wiekowym starcem!

– Bo tak się czuję – odrzekł Paweł bez ogródek, patrząc na nią, lecz nie widząc jej wcale. Już nawet przestał się dziwić swojej nadmiernej szczerości. Najwyraźniej mieli z panią Agnieszką jakieś kumpelskie porozumienie. Mogli mówić sobie rzeczy wprost.

– Ale pan nie jest ode mnie wiele starszy! – zawołała z mocą. – Z którego pan jest rocznika?

– Z sześćdziesiątego dziewiątego. Dla pani to prehistoria.

– Ja jestem z osiemdziesiątego pierwszego!

– Tak?... No i co? – odparł nieuważnie, szukając po kieszeniach nowej paczki papierosów.

– Czyli jestem od pana tylko dwanaście lat młodsza.

– Tak? A wygląda pani jeszcze młodziej.

Znów zamilkli. Cisza zaczęła się przedłużać, więc on znowu zagaił:

– No więc mówi pani, że same idiotki na tym prawie...

– Nie, nie żeby same idiotki. Po prostu ja tam nie pasuję.

– Pani nie pasuje do wydziału prawa? Pani rozkłada ich wszystkich na łopatki. Serio, Agnieszko! To znaczy: pani Agnieszko! Jak dziś przeczytałem *draft*^[53] pozwu o odszkodowanie, który pani napisała, to...

Zamilkł, bo uświadomił sobie, jak bardzo wkurzyły go jej słowa. Jej niska samoocena. A więc jakieś pindy, zapewne podobne do pań Malinowskiej i Mazur, śmiały ją szykanować. Jakim prawem dawała się tak zapędzać w kozły róg?

– Pani Agnieszko, ja dotychczas nigdy nikomu nie powierzyłem napisania czegoś takiego. Oczywiście, że mocno to jeszcze podszlifuję, ale... I tak... Ma pani smykałkę, serio. Jest pani z rodziny prawniczej?

– Nie.

– Aha. Więc to samorodny talent. No, ale dlaczego uważa pani, że tam nie pasuje? Ja też nie jestem z rodziny prawniczej, a jakoś sobie radzę! Wprawdzie aktualnie nie najlepiej...

– Panie mecenasie, nie wie pan, o czym mówi! – zawołała wzburzona, dopijając wino. – I, niestety, nigdy nie będę mogła o tym opowiedzieć komuś takiemu jak pan!

– Komuś takiemu jak ja? – zainteresował się Paweł, otaczając się dymem. – Hm. Teraz mnie pani zaintrygowała. Musi mi pani powiedzieć, co znaczy „ktoś taki jak ja”? W przeciwnym razie nie wypuszczę pani z tej sali.

– Źle się wyraziłam – broniła się, lecz był nieubłagany.

– Musi mi pani powiedzieć. Musi pani, bo inaczej wymiksuję się z naszej spółki.

Uśmiechnęła się mimo woli. Dopiero teraz zauważył, że miała bardzo ładne zęby.

– Wspólnicy nie mogą mieć przed sobą tajemnic – ciągnął pół żartem, pół serio. – No dalej, pani Ago! Czemu MNIE nie można tego powiedzieć?

– No... Pan jest taki elegancki. Z innego świata! – tłumaczyła zakłopotana. – I... hm... jak by to powiedzieć, może przez to, że jest pan bogaty...

– Ja, bogaty? – zdziwił się Paweł. Nigdy sam by o sobie tak nie pomyślał. Znał bogatszych!

– No tak, więc może dlatego właśnie jest pan trochę nieprzystępny...

– Nieprzystępny? – Poczul się nieco dotknięty, lecz starał się nie dać tego po sobie poznać. – Myślałem, że jako szef, jako pani patron, jestem całkiem równym gościem, że się tak wyrażę po młodzieżowemu. Pijemy tu i palimy jak para kumpli, a pani mi zarzuca, że jestem nieprzystępny. Cóż jeszcze miałbym zrobić?

– Ale i tak nie mogę panu opowiedzieć tej historii. Nie, to właściwie nieuczciwe, co powiedziałam. To nie pan jest z innej bajki. Tylko ja.

– Nie no, pani Agnieszko, teraz mnie pani sprowokowała! Proszę natychmiast opowiedzieć mi swoją historię! Rozkazuję pani jako szef.

Zaśmiała się. Potem dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Po prostu była taka jedna sytuacja, po której przestałam się kumpłować z ludźmi z roku i koniec. – Spuściła wzrok i bawiła się serwetką.

Zbываła go. Nie chciała o tym mówić. Nie będzie jej więcej nagabywał, choć Bóg mu świadkiem, że nie robił tego z ciekawości, po prostu przez moment zdawało mu się, że sama chciała mu coś powiedzieć.

Znów zapaliła, jakby chcąc ukryć zażenowanie.

– Dobra! Więcej o tym nie mówmy. – Wencel uniósł obie ręce jakby w geście kapitulacji.

– Nie mówmy o mnie, jak i nie mówimy nigdy o panu – rzuciła zagadkowo i długo

patrzyli sobie w oczy. Wypity w dużych ilościach alkohol nadawał rzeczom inny wymiar i niepostrzeżenie zmieniał relacje. Zdejmował im obojgu maski i wywlekał na światło dzienne jakąś tajemną prawdę, którą do tej pory trzymali w ukryciu, sami nie zdając sobie z tego sprawy. W końcu pani Agnieszka opuściła wzrok i przysuwając do siebie kieliszek, rzekła:

– Zapomnijmy w ogóle, że o tym wspominaliśmy. To naprawdę nic wielkiego. Wróćmy lepiej do pajęczej sieci Kwaśniaka. Jak go przyskrzynić? Jak zdobyć dowód wiążący go ze sprawą?

– Kochana pani Agnieszko, dziś już nic nie wymyślimy! Chodźmy lepiej spać!

Oboje podnieśli się z krzesel.

Potem szli w stronę windy, bardzo powoli, nic nie mówiąc. On, wysoki i elegancki w swojej granatowej, podróżnej marynarce, przeczesujący niespokojnie włosy. I ona – niska i szczupła w niemodnych, ciężkich butach, ściskająca plastikową, czarną torebkę. Zatrzymali się naprzeciwko windy. Paweł wcisnął guzik. Drzwi natychmiast się otworzyły. Wsiedli.

– Pani też na drugie, prawda?

– Tak.

Kiedy wyszli, znów stanęli naprzeciwko siebie. Spojrzała na niego niespokojnie.

– Ok, pani Agnieszko. Trafi pani do pokoju? – rzekł szybko.

– Jasne. To dobranoc – odpowiedziała z wahaniem, obracając w palcach klucze.

– Dobranoc. – Odwrócił się na pięcie i szybko odszedł w stronę swojego pokoju.

Człowiek wspina się na gładki mur

Mirosław Kwaśniak golił się właśnie, podśpiewując, gdy rozległo się głośnie pukanie do drzwi łazienki.

– Co jest, ptysiu? – zawołał gromko, przekrzykując lejącą się do umywalki wodę.

– Telefon do ciebie.

– Kto?

– Chyba twój ojciec.

W samym ręczniku owiniętym wokół bioder uchylił drzwi. Joasiénka podała mu słuchawkę, a on z uwodzicielską miną posłał jej całusa.

– Halo? – rzucił nonszalancko, odprowadzając wzrokiem narzeczoną odzianą w kusy różowy szlafroczek.

– No, to ja – dobiegł go przyciszony, niewróżący niczego dobrego głos ojca.

– Uhm – odparł Kwaśniak niechętnie, przylizując na bok wilgotne jeszcze włosy. – A co ojciec tak z rana wydzwania? Stało się coś czy jak?

– Ano stało się! – Słysząc było, jak ojciec zaciągnął się papierosem. – Spartoliłeś robotę, Mirek.

– Co ty chrzaniasz?... Co się stało? – Kwaśniak zamarł z grzebieniem przy głowie i szeroko rozwartymi oczami wpatrywał się w swoje odbicie.

– A to się stało, że mówiłeś, że jest czysto, a tymczasem dobierają się nam do dupy!

– Co? – Kwaśniakowi włosy zjeżyły się na głowie. – No mówże do rzeczy, bo nic nie rozumiem, cholera jasna!

– To zaraz zrozumiesz! – ojciec cedził słowa wolno, jakby był pod wpływem jakiejś substancji odurzającej. Leków? Alkoholu? Kwaśniakowi zaczęło szumieć w uszach, a tymczasem ojciec ciągnął dalej mozolnie, jakby był po jakimś cholernym wylewie: – Dwa dni temu kobieta i mężczyzna przyjechali tu, do Pabianic. Zatrzymali się na noc w hotelu – wiesz którym – i zgadnij co?! PÓŁ WIECZORU o niczym innym, tylko o panu Bogdanie rozmawiali!

– To, że sobie rozmawiali, to przecież jeszcze nie...

– Czekaj! Daj dokończyć. Młody Podsiadło, który tam jest za kelnera, najpierw przez przypadek ich podsłuchał. Wyłowił TO nazwisko raz, wyłowił drugi... W końcu się zainteresował, wiadomo. Zachodził ich więc cichcem, wytężał słuch. No i wysłuchał! Rozprawiali, jak tu pana Bogdana, proszę ja ciebie, dopaść! Wyobrażasz sobie? Jezu!

– Nie pojmuję, skąd ci w ogóle przyszedł do głowy pomysł, że chodzi im właśnie o TAMTO? Może byli to dziennikarze i węszyli wokół przedawnionych spraw o działki? Jak wtedy! – Kwaśniak zamknął drzwi do łazienki na klucz i oparł się o nie plecami, czując, jak oblewa go zimny pot.

– To nie byli dziennikarze. Znam ich nazwiska. Mężczyzna nazywa się Wencel.

Wystarczy ci?

Mirek czuł, jakby ziemia osuwała mu się spod nóg.

– To ten drugi, dobrze pamiętam? Ten drugi prawnik? – spytał ojciec i znów słysząc było, jak mocno zaciąga się papierosem.

– A skąd w ogóle pewność, że nazywa się Wencel? – glucho odezwał się Kwaśniak, pochylając się nad trawertynowym blatem i machinalnie przesuwając drżącymi palcami muszelki leżące dla ozdoby przy świecach zapachowych. – Przedstawiał się komu czy jak?

– Jak tylko młody Podsiadło usłyszał, że rozprawiali o panu, ekhem, przez pół wieczoru, w dyrdy przyleciał z tym do mnie. Jak mi opowiedział dokładnie, co tam gadali, to pogałem z nim do hotelu i sprawdziliśmy nazwiska gości w hotelowym rejestrze. No i jak byk

zobaczyłem, czarno na białym. Wencel. Paweł Wencel. Po co bym cię straszyl?

– Nie wierzę! Normalnie nie wierzę! – wysyczał Mirosław, łapiąc się za głowę.

Ojciec milczał. W słuchawce słychać było tylko, że palił zajadle.

– Jakim, cholera, cudem? – pytał Mirosław, bez większych nadziei na odpowiedź.

– Może ten drugi wygadał? – zasugerował ojciec bezbarwnym, irytująco bełkotliwym głosem.

– Zagajewicz? Wykluczone! Właśnie na tym cały bajer polega, że on musi trzymać mordę zamkniętą, inaczej go przymkną! A nawet gdyby chciał gadać, to sam gówno wie! – uniósł się Mirosław. – Tak to mistrzowsko obmyśliłem! Smał poszedł z offshore'a, a zlecenie do tamtejszej kancelarii puścił z Polski, i to telefonicznie, prawie na gębę, sam wiesz kto... Człowiek, który raczej mordą kłapać nie będzie...

– Nie przez te druty, chłopie! – zachnął się ojciec, poirytowany. – Nie wiadomo, kto słucha. Powiedz lepiej, jeśli jest tak różowo, to gdzie żeś się pieprznął? Zastanów się! Coś musiałeś spierdolić w którymś momencie! – Pierwszy raz znać było po ojcu takie przerażenie.

– Nie mam pojęcia. Kurwa, nic mi nie przychodzi do głowy. Robiłem punkt po punkcie, jak ustaliliśmy we trzech!

– Jak się pan Bogdan dowie, żeś to spartolił, to koniec! Mogiła! – straszyl ojciec.

– Nie dowie się – z determinacją rzucił Kwaśniak.

– Jak się dowie, będziemy musieli... – Ojciec znacząco zawiesił głos.

– Oszalałeś? Karierę mi chcecie rujnować? – Kwaśniak tracił już nad sobą panowanie.

– A masz inne wyjście?

– Znajdę inne wyjście – rzucił wściekłym głosem i gwałtownie się rozłączył.

Dłużej nie zamierzał tego wysłuchiwać. Nie mógł. Sam doskonale znał konsekwencje, gdyby sprawy doszły do pana Wędzichy. Nie będzie mu stary pierdzielił farmazonów. Z sercem walącym jak młot usiadł na muszli klozetowej i ukrył twarz w dłoniach. Siedział tak dłuższą chwilę, usiłując zapanować nad strachem oblażącym go niczym roje pluskiew. Bezskutecznie próbował wziąć się w garść.

Zabawne, jak organizm płata człowiekowi figle. Niby mózg tłumaczy racjonalnie, że wszystko będzie dobrze, że coś się wymyśli, a tymczasem nogi robią się miękkie, jakby zamieniały się w jakąś cholerną ciecz, która lada chwila rozplynie się po łazienkowych kaflach, a Kwaśniak osunie się na podłogę, by nigdy już się nie dźwignąć. Spłynie wraz z nieczystościami przez kratkę w podłodze.

Strach miał działanie paralizujące. To dziwne odkrycie powoli materializowało się w racjonalnym, zorganizowanym jak pecet mózgu Mirosława Kwaśniaka. Zdecydowanie strach nie działał na korzyść istot zamieszkujących ziemski padół. Od mrówki do lwa, strach działał zawsze na niekorzyść ofiary. Teraz on sam był ofiarą! Drapieżnik, w postaci Wencła, próbował go osaczyć, deptał mu po piętach. Jego intencją było wzbudzić w nim pierwotne, atawistyczne uczucie lęku i niemocy, ale jeszcze go, cholera, nie znał. Nie z takiej gliny Mirosław był lepiony. Nie podda się temu uczuciu! Nie od parady miał sprawnie działający mózg.

Z wolna odzyskiwał kontrolę nad ciałem. Fuga między kafelkami nabrała ostrości, widział w niej każdy por, a nawet zdawało mu się, że dostrzegał zamieszkujące w niej obrzydliwe, zżerające się nawzajem mikroby! W zakamarkach jego świadomości zaczął snuć się plan, na razie mglisty jak odległe światło na morzu. Z początku światło majaczyło od czasu do czasu, znikając za wzburzonymi falami, by po chwili, gdy uchwycił właściwy kurs, pokazywać się coraz częściej, by nabrać konkretnych kształtów. Stawało się latarnią morską, do której chciał płynąć. Do której MUSIAŁ płynąć.

Plan może i był śmiały, lecz nie takie numery wykręcano w przeszłości. Gdy spojrzeć

wstecz na historię, było wiele takich przypadków. Nie on pierwszy i nie ostatni wykorzysta to, co samo lezie mu w ręce.

Nikogo tu przecież nie zrani, bo i zachowa się w miarę możliwości przyzwoicie. Zresztą nie ma specjalnie wyjścia! Wielcy tego świata nigdy się nad takimi pierdami nie zastanawiali. Dlatego właśnie byli wielcy!

Nie ma odwrotu, musi zaryglować gębę temu zadufanemu w sobie skurwielowi, który dybie teraz nie tylko na niego, ale i na jego bliskich. Musi go zniszczyć, jak niszczy się pchłę, która człowieka kąsa. Gdyby mógł poprosić pana Wędzichę o tak zwaną interwencję, zrobiłby to bez wahania, ale w tej sytuacji Wędzicha gotów jeszcze pogniewać się na niego. I ukarać! Nie, zdecydowanie musi działać w pojedynkę, to jest jego jedyne wyjście.

Tyle że nie ma zbyt wiele czasu. I dlatego musiał się spieszyć. Spieszyć jak wariat.

Gwałtownie wyskoczył z łazienki. Dygocząc z zimna, wbił nogi w nogawki cienkich kalesonów, narzucił koszulę, wcisnął mokre stopy w skarpety. Mechanicznie, jak automat, wyszukał w szafie najlepszy garnitur. Włożył go, a potem szybko, lecz precyzyjnie dobrał sprawdzony krawat i wsunął w niego okazałą szpilkę, którą uważał niemal za swój znak rozpoznawczy. Spryskał się szczerze najlepszą wodą kolońską (zakupił ją za wyjątkowo rozsądną cenę. Nie znosił przepłacać za markę. Nie był takim frajerem!) i rzucił do drzwi, po drodze chwytając teczkę i telefon. Joanna ze zdumieniem wołała coś za nim o stygnącym śniadaniu, lecz on, niczym ścigane zwierzę, nie miał ani czasu, ani głowy, by zachować choćby pozory kurtuazji.

Burknął, że ma sprawy niecierpiące zwłoki i wybiegł z domu. Potem, z pustką w głowie, jechał autem przez zakorkowane ulice stolicy. Plan jednak krystalizował się z minuty na minutę. Kwaśniak myślał z jasnością, o jaką nigdy by sam siebie nie podejrzewał. Tok zamierzeń przerywany był tylko od czasu do czasu zabawnymi dygresjami, wycieczkami, pozornie niezwiązanymi ze sprawą, które mózg odbywał samoistnie. Przypomniało mu się między innymi, jak będąc jeszcze małym chłopakiem, łąził za gromadą starszych, którzy wciąż go przepędzali i nie chcieli się z nim bawić. Otóż najstarszy chłopak, niejaki Wiktor, bardzo silny i postawny, ewidentny – jak to by dziś powiedziano – „lider”, opowiadał im, że w czasie wielkiego stresu człowiek zdolny jest do nadludzkich niemal wyczynów. Mówił, że człowiek goniony przez dzikie zwierzę jest w stanie wspiąć się na gładki mur, na który normalnie nigdy by się nie wspiął, gdyby nie pierwotny strach. Dziś pewnie nazwano by to adrenaliną. I do tej, wyblakłej przez upływ czasu, historii myśli Kwaśniaka powracały jak bumerang.

Właśnie skok adrenaliny podsunął Mirosławowi ten zbawienny pomysł. Tak genialny w swojej prostocie. Prowadzący na skróty, wprost do celu, czyli tam, gdzie Kwaśniak już dawno powinien był się znaleźć!

Zafascynowany, aż zjechał na pobocze. Wjechał na krawężnik i nie gasząc silnika, popadł w głębokie zamyślenie. Skulony, gapił się zamglonym wzrokiem na przechodzących pieszych. Potem zdjął z głowy ciepłą czapkę, położył ją na siedzeniu obok i bezwiednie wodził palcem po obitej skórą kierownicy, jakby czymś się trapiąc. W końcu otrząsnął się, usiadł prosto jak na egzaminie i wybrał w komórce numer.

– Halo – odezwał się melodyjny kobiecy głos.

– Halo, pani Beato? – Włożył ogromny wysiłek, by odezwać się tubalnym, pewnym siebie basem amanta filmowego. – Mirosław Kwaśniak przy telefonie. Nie wiem, czy mnie pani pamięta? Poznaliśmy się na forum ekonomicznym w Krynicy!

W słuchawce zapadła cisza. W tle słychać było szum rozmów, które nagle ustały, jakby wyszła do innego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– Pamiętam pana! Prawnik-idealista! – podsumowała go ze śmiechem. Nawet jeśli była

zmieszana, dobrze to maskowała. Lecz ton, jaki przybrała, i powrót do rozmowy, którą wtedy prowadzili, dawały mu niemałe nadzieję, że zapadł jej w pamięć!

– I jeszcze mól książkowy, żeby dopełnić pani, komiczne najwyraźniej, wyobrażenie o mnie – dodał chytrze.

– Ależ, jak tak można, panie Mirosławie! Ja mam o panu jak najlepsze mniemanie – dodała nieco bardziej powściągliwie.

– Och, tak tylko pani mówi – krygował się Kwaśniak bezwstydnie. Ktoś nagle zastukał mu parasolem w szybę, bo jego auto stało na środku chodnika, tarasując drogę pieszym, lecz Kwaśniak wyszczerzył tylko ostrzegawczo zęby i ciągnął rozmowę, pochylając się niżej nad słuchawką. – Tymczasem ja naprawdę wiele razy o pani myślałem!

– Czemuż więc nie zadzwonił pan wcześniej? – spytała zdziwiona. Albo taka prostolinijna, albo całkiem cwana, trudno było wyczuć.

– Bałem się, że zabiegana pani poseł nie ma czasu na kawę z takim zwykłym obywatelem jak ja, w dodatku sceptycznie nastawionym do jej klubu – wyszeptał chrapliwie. A co mu tam, raz kozie śmierć! Nie miał czasu do stracenia. Poza tym, czego nie lubiły dwudziestki, czterdziestolatki łykały gładko. Miał w tej kwestii pewne doświadczenia i obserwacje.

Jakby na potwierdzenie trafności jego myśli po drugiej stronie zapadła cisza.

– A więc zaprasza mnie pan na kawę? – upewniła się nieśmiało. O proszę! Już ją miał! Kobieta po czterdziestce, nawet piękna, zwykle obawiała się śmieszności, gdy randkę proponował młodszy mężczyzna. Jakby nie mogła uwierzyć, że może się podobać. A co dopiero przeciętna, mocno przeciętna, tak jak ona! Ha!

– Jeżeli uda się pani wyrwać, ja mogę pojawić się o dowolnej porze – zapewnił z mocą. – Wiem, że jest pani zajęta, więc możemy się spotkać gdzieś nieopodal sejmu! Jest pani dziś na Wiejskiej?

– Jestem, naturalnie – mówiła wolno, jakby głęboko się nad czymś zastanawiała. Czy myślałaby tak intensywnie, jeśli byłaby pewna, że skończy się tylko na kawie?

– To czemu nie dzisiaj? – spytał niskim, namiętym szeptem.

– Mamy najpierw dyskusję klubową, a potem ważne głosowanie – przybrała urzędowy ton, zapewne po to, by zamaskować targające nią wątpliwości. I dobrze. Musiała mieć kosmate myśli, inaczej szybciej by się zdecydowała.

– Niechże pani opuści już ten teatr farsy i wyrwie się do mnie, choć na chwilkę! Wynik głosowania i tak niczego w naszym kraju nie zmieni! – rzucił seksownym, podszytym goryczą głosem.

Powinien był, cholera jasna, na aktorstwo, a nie na prawo zdawać!

– Cóż pana musiało spotkać, że jest pan tak sceptycznie nastawiony do świata – pani Beata ochoczo chwyciła się bezpiecznego tematu. Fakt, że ten typ rozmowy wychodził jej znacznie lepiej niż flirt. Lecz zdeterminowany Mirosław nie zamierzał zbaczać z nadto z obranego kursu. Miał też pełną świadomość, że mówiąc to, co mówi, piecze dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Już pani mówiłem, że wolę nie rozmawiać o polityce, bo nie chcę się z panią o nic spierać! Jest tyle innych tematów, które moglibyśmy poruszyć... – Znacząco zawiesił głos.

– Oj, nie wiem – zastanawiała się niepewnie. Widać chciała być namawiana.

– Pani Beato, to tylko kawa. – Roześmiał się. – Nie będziemy decydować o przyszłości naszej ojczyzny! – Choć kto wie, kto wie? – odezwał się jego wewnętrzny głos, więc by go zagłuszyć, może nawet przed nią, szybko dorzucił: – Niechże się pani wyrwie, bo... bo ja nie mogę przestać o pani myśleć...

I ponieważ dosłownie umilkła z wrażenia, dodał szybko:

– Tak nam się wspaniale gawędziło, pani Beatko! No niechże się pani urwie, choć na kwadrans! Ustawy poczekają! Oni wszyscy są siebie warci, a tymczasem ja i pani... Powinniśmy, naprawdę powinniśmy pogawędzić – dokończył niezgrabnie, pozorując onieśmienie.

– Nie do końca się zgadzam, że wszyscy są siebie warci, więc stawiam sobie za punkt honoru przekonać o tym pana, mimo że wiem, że nie znosi pan polityki!

– Och! – jęknął z rezygnacją Mirosław Kwaśniak, jakby gotowy i na takie męczarnie, byle tylko wreszcie się z nią zobaczyć.

– Choć obiecuję: do niczego nie będę pana przymuszać! Ale ostrzegam, że potrafię być przekonująca! – przekomarzała się ze śmiechem.

– Wyśmienicie! I ja lubię dyskusje, choć nie do końca to właśnie miałem na myśli, dzwoniąc do pani – szepnął namiętnie, świadomie brnąc głębiej w las, by potem, gdy będzie ją miał przed oczyma, nie mieć już odwrotu. By przetrzeć szlak. I nie czekając na odpowiedź, szybko dodał głosem rasowego salonowca: – No to *ad rem*, pani Beato! Będę czekał w „Lobby Barze”, w „Sheratonie”. O której pani przyjdzie?

Zamilkła na moment, a potem poważniejszym głosem odparła:

– Parę minut po jedenastej! Może być?

– Wyśmienicie! Zamówię najlepszą kawę i będę czekał z niecierpliwością.

Rozłączyła się. Spięty, jechał w umówione miejsce, co i raz zerkając na GPS. Nie lubił stolicy, nie lubił jeździć po stolicy. Skręcił z Żurawiej na plac Trzech Krzyży, starannie wyszukał dogodną miejscówkę na parkingu, wysiadł, uiścił opłatę. Powietrze było ostre, wiał wiatr. Lada dzień miał spaść śnieg. Słońce oświetlało dostojne kamienice, lecz Kwaśniak otulił się wełnianym szalikiem, głęboko naciągnął na oczy futrzaną czapę i patrząc pod nogi, chyłkiem skierował kroki do gwarnej kawiarni.

Rozebrał się, starannie powiesił płaszcz na wieszaku i zajął miejsce przy stoliku we wnęce okiennej. Było tam ciepło, przytulnie i roztaczał się stamtąd piękny widok, ale Kwaśniak miał na głowie pilniejsze sprawy aniżeli estetyczne doznania. Niecierpliwym gestem zamówił herbatę i wyciągnął komórkę, by załatwić najpilniejsze sprawy, zanim ona się pojawi.

Długo rozmawiał z klientem, potem zadzwonił do szefa i kwiecicie wytłumaczył swoją nieobecność. Gdy zbliżała się umówiona godzina, prędko pobiegł do toalety, by sprawdzić, jak wygląda. Poprawił włosy, skontrolował, czy aby nie utkwilo mu coś między zębami, po czym trzema susami pokonał schodki i, usatysfakcjonowany, opadł na swoje miejsce przy oknie. Ledwo mógł opanować nerwowe podniecenie. Jeśli tak udałoby mu się... Ha! Wolał nawet o tym nie myśleć! Niecierpliwie zaszurał nogami.

Kiedy weszła lekko zziębiona, minęło dostatecznie dużo czasu, by zdążył nad sobą zapanować. Tak więc, gdy dostrzegła go, siedzącego samotnie koło okna, na twarzy miał już wymalowany tajemniczy, melancholijny uśmiech.

Eros versus Thanatos

Mateusz Wencel i Piotr Maruszewicz wyszli z restauracji, żeby zapalić. Stali teraz w płaszczach przed knajpą położoną nieopodal krakowskiego rynku, trzęsąc się z zimna. Choć był dopiero koniec listopada, temperatura spadła kilka stopni poniżej zera. Chcieli zamienić dwa słowa bez świadków, ale mróz był nie do wytrzymania.

– Może lepiej pogadajmy w środku! – Piotr postawił kołnierz i zaciągnął się papierosem.

– Daj spokój, stary! To zajmie pięć minut. – Mati zawsze był zdania, że należy dmuchać na zimne. – W środku ktoś może nas usłyszeć!

– Siądziemy w tej sionce! Tam nikogo nie ma – przekonywał Maruszewicz, podskakując raz na jednej, raz na drugiej nodze.

– W czasie, kiedy to wszystko gadasz, już doszlibyśmy do porozumienia! – syknął Mati i nerwowo obejrzał się za siebie.

– Dobra, mów, co masz do powiedzenia!

Ulicą szła grupka pijanych angielskich kiboli, śpiewających na całe gardło. Mati i Piotr przez chwilę przyglądali im się w milczeniu, przezornie wchodząc nieco wyżej na kamienne schody prowadzące do restauracji, w której w licznym gronie jedli właśnie kolację.

– No więc dobra, chłopie! Nie będę owijał w bawełnę! Stawki skoczyły! – Mati zerknął na kolegę spod oka, jednocześnie przypalając papierosa.

– A to niby, kurwa, z jakiej racji? – zapienił się tamten, zaciągając się papierosem.

– A to, kurwa, z takiej, że ryzyko się zwiększyło!

– Chrzanisz! Nadal o wszystkim decydujesz ty! – Maruszewicz patrzył na Mateusza podejrzliwie.

– Chcesz może poczytać, jakie procedury mnie obowiązują? – Mati zbliżył twarz do tamtego i patrzył mu prosto w oczy z odległości paru centymetrów. – Dwadzieścia procent i ani grosza mniej, *take it or leave it*^[54]! Jeśli w ciągu dwóch tygodni od zapłacenia wam faktury nie dostanę przelewu, który mnie usatysfakcjonuje, to przestanie mi się podobać wasz kiczowaty pomysł ze staruszką! I nie będę wcale musiał się namęczyć, by zniechęcić resztę. Powiem ci, że miałem duże problemy namówić do tego kogokolwiek. Stary, zmień kadre, bo naprawdę, jak następna kampania będzie tak oklepana, nijak was nie wybronię. To i tak była drwina w żywe oczy, a ja mam teraz groźniejszego przeciwnika niż wasz jebany smok wawelski!

– Wykorzystujesz *merge*^[55] firmowy, żeby przyciąć z naszych zarobków! Ty wiesz, ile z tego kontraktu dostanę na rękę?

– Gównu mnie to interesuje! Znając wasze centusiowskie stawki, płacisz ludziom grosze. Zresztą jaka płaca, taka praca. Stąd robicie właśnie taką chujnię! – Mati wypastowanym butem zgasił papierosa i ruszył z powrotem do środka.

– Stary, co jest? Jeszcze nie powiedziałem, że się zgadzam! – Maruszewicz podążył za nim rozjuszony.

– Mało mnie to interesuje! – burknął Mati pod nosem, po czym ostatni raz odwrócił się w stronę Maruszewicza i rzekł pozornie wesoło: – Jak nie dostanę tyle, ile powiedziałem, przykro mi, ale wylatujecie z gry.

– Nie bądź tego taki pewny! – Maruszewicz ciskał z oczu błyskawice.

– Próbujesz mnie straszyć? – Mati stanął w drzwiach i uśmiechnął się szeroko, zwilżając językiem wargi. Chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Maruszewicz opuścił głowę, a Mateusz pobłażliwie poklepał go po policzku.

– Stary, nie musisz przepraszać. Każdy miewa słabsze momenty.

– Chrzań się, Mateusz! Tym razem dostaniesz swoje dwadzieścia procent, ale to nie

będzie reguła na przyszłość. Nie wiem, czy nam się to w ogóle będzie opłacać.

– To wolny kraj. – Mati uśmiechnął się rozbrajająco. – Choć ja na twoim miejscu wolałbym zarobić mniej niż nic! I nie myśl, że czuję się wygrany. To ja nadal mam wobec ciebie roszczenie: popraw to gówno, które dla nas przygotowaliście, bo inaczej ci je uwalę. Koniec, kropka!

I nie zwracając już uwagi na rozwścieczonego Maruszewicza, wszedł do gwarnej salki urządzonej „po staropolsku”. Od razu złapał spojrzenie siedzącej pod oknem Antoniny i mrugnął do niej niemal niezauważalnie.

W dużym towarzystwie, które zjechało do Krakowa, znajdowało się kilka osób z działu marketingu Telecommerce, dom mediowy, który pracował przy kampanii reklamowej, oraz ludzie z agencji Maruszewicza. Mateusz postanowił zabrać też prawników – dwóch dla niepoznaki. Któż mógł wiedzieć, jakie pułapki prawne mogły czyhać na ich firmę w chwili, gdy zmieniała logo, nazwę...

Pomoc prawników mogła być nieodzowna. Zresztą tego typu kosztów, przynajmniej jak na razie, nikt nie sprawdzał, ale choć stawki Guy & Chardon były słone, to te dwa dni dwójki radców prawnych mieściły się jeszcze w miesięcznym ryczałcie.

Mati i Antosia mieli to wszystko obcykane. Jedynym problemem było, jak w tak dużym gronie przedostać się niepostrzeżenie do jej pokoju. Dostała jedynekę, bo Mateusz wystarał się, by drugim radcą był Woźniak. Specjalnie wybrał mężczyznę, inaczej sekretarka umieściłaby Antosię z koleżanką prawniczką.

Tak więc Antosia była sama w pokoju i nadarzała się cudowna okazja do spędzenia razem całej nocy, a nieczęsto im się to ostatnio zdarzało. Przebiegła Karolina kontrolowała go teraz lepiej niż FBI. Był na króciusieńkiej smyczy!

Ale nie czas się tym trapić. Noc była młoda, wszyscy mocno wstawieni, tylko Mati i Antonina cały czas popijali wodę. Pozostawali czujni, bo chwila nieuwagi mogła pociągać za sobą grubsze konsekwencje zawodowe. Zarówno dla niego, jak i dla niej.

– W takim składzie, z Full Access za sterami, wymieciemy konkurencję z rynku! – Mati wstrzelił się w rozmowę, przysiadając obok szefowej domu mediowego. Ta ostra, króciutko obcięta babka w męskim garniturku tylko sprawiała wrażenie zagorzałej feministki. Tak naprawdę była znaną flirciarą. Mati doskonale wiedział, że lubiła być dopieszczana, więc mimo że Antośka dawała mu oczami znaki, by siadł obok niej, zajął miejsce obok groźnej blondyny.

– Kaja, za to, co ci płacę, chcę być wszędzie! Przejeżdżam mostem – muszę zobaczyć billboard na optymalnej wysokości. Odpalam telewizor – ma mnie atakować nasza staruszka. Włączam radio – chcę słyszeć staruszkę. Wchodzę do baru i cały *ambient*^[56] obradowany jest staruszką. Otwieram lodówkę, a na side panelach soczków jest nasza staruszka. Gotuję jajko na miękko, zdejmuję skorupkę, a na żółtku widzę logo Telecommerce łączone z Unitelem. Robią mi szczepionkę na gripę, a w strzykawce pływa zarys nowego logo. Zmasowany atak ze wszystkich stron! Wyraziłem się jasno?

Objął ją ciasno i śmiejąc się, dolewał wina.

– Uciałeś nam kilkaset tysięcy złotych! Mam sama latać po klubach i odciskać graffiti na ścianach czy co? O ambience nie ma mowy! Nie wiem nawet, czy starczy na BTL^[57]!

– Sami roznośćcie! Gucio mnie to interesuje! – Śmiał się, dotykając jej ramienia.

– Czy ty wiesz, ile ja policzę wam za nadgodziny? – Rzuciła mu kuszące spojrzenie.

– Nie od dziś wiadomo, że i tak całe noce balujesz w klubach! Myśl szerzej! Wykorzystaj swoich ludzi. Z robotą się nie przelewa. – Mrugnął do siedzących obok wyrobników Full Access, którzy uśmiechnęli się z przymusem. – Niech będą kreatywniejsi, niech zrobią więcej. Sami z siebie! Trzeba umieć motywować personel! – I dodał ciszej, prosto w jej ucho: – Wiesz

przecież, że to musi być petarda! Jak mi to nie wyjdzie, to mnie utracą i wątpię, by następny dyrektor podpisał kontrakt właśnie z wami! Macie kurewskie stawki!

– Mamy najszersze dotarcie do klienta, kochanie. To prosta matematyka. I to akurat jest mierzalne. – Stuknęła się z nim kieliszkiem i patrzyła prowokacyjnie, z bardzo bliska.

– Mamy ze sobą dobry układ i nawet ci nie mówiłem, bo nie chciałem dręczyć twojej pięknej główki, która ma tyle problemów, jaką ofertę pokazała konkurencja! Walczyłem jak lew, by usługi mediowe dostarczali dawni dostawcy, *namely you, baby*^[58]. W czasach dzisiejszego kryzysu ludzie stają na rżęsach, żeby zrobić więcej.

Znów objął Kaję ciasniej i nie zważając na groźne błyski w oczach Antośki, mówił prosto do jej ucha, niemal muskając je ustami.

– Nie każę ci przecież samej rozrzucić ulotek. Ale spróbuj ponegocjować z podwykonawcami, wabiąc ich przyszlými prospektami^[59]. Jeśli wyjdzie nam ta akcja, masz u mnie jeszcze co najmniej trzy takie zlecenia do końca roku.

– Nie czarujmy się, lalusi. – Popatrzyła na niego przekornie. – Tobie też zależy, by z nami pracować!

Chwilę milczeli, mierząc się spojrzeniem, po czym wybuchnęli śmiechem. W tym momencie kątem oka Mati zauważył, jak Antonina wstaje od stołu i bierze torebkę.

– Ot, zwykła wymiana handlowa. – Chuchnęła prosto w szyję Kai. – Przepraszam na sekundkę.

– Wróc zaraz, jeszcze nie doszliśmy do sedna! – Uśmiechała się znad okularów.

Tymczasem Mati wstał od gwarne go stołu i pokrzykując na kelnera, by nie żałował szanownym gościom wina, ruszył szybko w kierunku szatni. Antosia stała przed lustrem, już w płaszczu, szybko owijając się szalem. Podeszedł do niej zdecydowanym krokiem.

– Co ty wyprawiasz?

Spojrzała na niego lodowato, nie przestając się ubierać. Rozejrzał się nerwowo. Zdaje się, że całe towarzystwo nadal było na sali. W szatni stał tylko szatniarz i znudzonym wzrokiem patrzył w jakiś zeszyt.

Mati złapał ją za łokieć dyskretnie, ale mocno.

– Przestań świrować! Jesteśmy w pracy! Tak załatwiam interesy, zawsze je tak załatwiałem! Co w ciebie wstąpiło! Zaczynasz się zachowywać...

– Jak Karolina, tak? – wycedziła dwa centymetry od jego twarzy.

– A tak! – Wsunął rękę pod jej płaszcz i złapał ją za pupę. – Jesteś małą zazdrośniczką i podoba mi się to... – Mocno przyciągnął ją do siebie i dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Zbliżył usta do jej ust tak, jakby chciał ją pocałować, na co ona nieznacznie przymknęła powieki. Groza sytuacji, gdy w każdej chwili ktoś mógł wejść zarówno od strony sali restauracyjnej, jak i toalet, spowodowała u nich skok adrenaliny.

– Zostań – wyszeptał prosto w jej rozchylone usta. – Zostań, bo coś sobie pomyślą...

– Nie mogę! Nie wytrzymam tego! Nie mogę patrzeć, jak tak rozmawiasz z inną kobietą – szeptała cicho z zamkniętymi oczami.

– Idź więc, a ja za godzinę u ciebie będę! Pokój numer trzysta trzynaście, tak?

– Tak!

Odwróciła się na pięcie i zniknęła za grubą kotarą. Mati rozejrzał się niespokojnie, ale w holu nie było nikogo oprócz ziewającego szatniarza. Ten wąsaty osobnik pochłonięty był teraz rozwiązywaniem wyszmelcowanej krzyżówki.

Wchodząc do sali restauracyjnej, zerknął na zegarek. Wpół do jedenastej. A więc za godzinę będą już razem. Tymczasem może to i lepiej, że wyszła... Jednak wszystkie baby są takie same. Jedna drugiej wydrapałaby oczy. I z wesołym uśmiechem zajął miejsce przy rzucającej

powłóczyście spojrzenia Kai.

– W końcu może i ty napijesz się wina? – zagadnęła kokieteryjnie.

– Przecież ja piję cały czas! – zakrzyknął Mat, ostentacyjnie wypijając połowę zawartości kieliszka.

– Nie ty jeden jesteś dobrym obserwatorem! – Uśmiechnęła się pod nosem, lecz Mat, w którego naturze nie leżało stawiać czoło przeciwnościom losu, nie poprosił o wytłumaczenie tej dziwnej wypowiedzi.

– Widzę, że coś wam humory siadły, jak wyszedłem na sekundę zapalić papieroska! No, to czego wam, kochani, domówić? Korzystajcie, ile wlezie, bo jak połączymy się z Unitem, to będę was zapraszał na krakowskie obwarzanki zapijane krakowską lemoniadą w towarzystwie krakowskich gołębi!

– Odpieprz się wreszcie od Krakowa! – burknął Maruszewicz, uśmiechając się krzywo. – Zazdrościsz nam pięknych kamienic i długich korzeni, ty warszawski buraku!

– Jesteś piekielnie sentymentalny. – Mati osobiście dołał wina licznym paniom znajdującym się przy stole. – Owszem, w Krakowie zwracam uwagę na piękno, ale na pewno nie patrzę na kamienie i korzenie, a raczej... – Zerknął znacząco na dwie urocze graficzki, które może były rodowitymi krakowiankami, a może i nie, nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

– Miałem na myśli korzenie rodzinne! W Warszawie nie ma rodowitych warszawiaków i tego nam właśnie zazdrościcie!

Mateusz był z gatunku takich, co nie raczą nawet ustosunkowywać się do podobnych obelg. Zamiast tego wznosił toast:

– Za krakowianki! Niech Bóg ma was w opiece, jeśli mieszka tu więcej takich artystów z bożej łaski, którzy zamiast patrzeć na kobiety, dywagują na temat długich korzeni!

– Kompleksy z ciebie wychodzą, staruszkule! – wrzeszczał dotknięty do żywego Maruszewicz.

Było grubo po drugiej, gdy rozspiewane towarzystwo wyległo z knajpy na zaśnieżoną ulicę.

– Jak tu pięknie! – szepnęła Kaja do podtrzymującego ją Mateusza. – Niebrzydki mają ten rynek!

– Uhm. – Mati z niepokojem zerknął na zegarek.

Krzyczący koledzy robili tak dużo hałasu, że musieli obudzić połowę ulicy.

– To co? Idziemy gdzieś jeszcze? – zawołał niezmordowany Miś, odwieczny pracownik działu marketingu, holując mocniej wstawioną Justynę, która zanosila się opętańczym śmiechem.

– Ja już będę leciał. W przeciwieństwie do was muszę jutro wracać do Warszawy! Po piętnastej mamy *management meeting*! – Mati przytulił poczerwieniałą od alkoholu Kaję, popatrując na nią jakoby z tajonym żalem. – Ale ty idź, dziewczyno! Bawcie się, ludzie, dam wam moją kartę. Misiek! Trzymaj!

Podał kumplowi swoją firmową kartę debetową.

– Tylko trzymaj kontrolę, staruszkule! Bez jaj! Bo mi Jean Paul z pensji obetnie!

Poprawił Kai szalik i mimo chóralnych protestów towarzystwa już się zbierał w przeciwnym kierunku, gdy usłyszał za sobą jej głos:

– Mat, zaczekaj! Też jestem zmęczona. Wracam z tobą do hotelu.

Ładne kwiatki! Niechętnie przystanął i czekał, aż do niego dojdzie.

– Mogę wziąć cię pod rękę? Mam wysokie obcasy i jest strasznie ślisko! – spytała i już wsunęła mu rękę pod ramię.

Cholera, jak Antośka zobaczy ich z okna hotelowego, to już po miłym wieczorze! Będzie miał przechlapane. Kaja była piękna i zdecydowanie chętna, ale, o dziwo, Mati nie miał

najmniejszej ochoty... Nawet gdyby Antolki nie było z nimi w Krakowie...

I aż zaparło mu dech na myśl o niezwykle stałości jego uczuć! Automatycznie się wyprostował, a jego ruchy nabrały nowej energii. Zaiste, był odmienionym człowiekiem. Silniejszym, cokolwiek by mówić! I zaczął iść coraz szybciej, zmartwiony już tylko późną porą.

– Czemu tak lecisz? – Kaja zaśmiała się, ślizgając na oblodzonym bruku.

– Spieszno mi do hotelu! – Rzucił jej łobuzerskie spojrzenie.

– A-ha! – przeciągała głoski niemal karykaturalnie. Najwyraźniej była bardzo pewna swego. W Matim znów obudził się prowokator.

Tymczasem z powodu gustownego, ale bardzo niewygodnego obuwia posuwała się naprzód bardzo powoli. Było coraz później, a Kaja ślizgała się niebezpiecznie, wciąż łapiąc go za rękę albo wręcz wieszając się na jego ramieniu. Posłusznie śmiał się, kiedy żartowała i przekomarzał z nią, by nie wzbudzić jej czujności, lecz jego niepokój narastał. Było dobrze po drugiej, gdy dotarli pod mieszczący się w zabytkowej kamienicy hotelik.

Stanęła przed wejściem w rozkroku, jakby blokując mu wejście.

– Masz papierosa? – spytała. Najwyraźniej była z tych, co łatwo się nie poddają. Nic dziwnego, że zrobiła karierę w reklamie. O proszę, jak teraz na niego popatrywała! Lada chwila gotowa złapać go za kołnierz i na siłę wciągnąć do swojego pokoju.

– Zaziębisz się – zauważył.

Czy to jakiś fenomen współczesnych czasów, że kobiety bywały tak drapieżne i nachalne? Z opowieści ojca i dziadka wynikało, że musieli nieźle się nabiedzić, by poderwać dziewczynę. Co się z tymi babami porobiło?

– Nad czym tak medytujesz? – Zaśmiała się, gmerając w jego kieszeni dłużej, niż było to potrzebne, papierosy bowiem były jedyną rzeczą, jaką miał w płaszczu. W końcu wydobyła je i zapaliła, wyszczerzając się jak rekin z kreskówki.

– Och, wolałabyś nie wiedzieć. – I on uśmiechnął się szeroko.

– No dawaj! – prowokowała. – Śmiało! Mnie nie zaskoczysz!

– Wiem! Widać to po tobie z daleka! – Mateusz zaśmiał się głośno, po czym w dwóch susach wbiegł na kamienne schodki.

– Hej! – usłyszał za sobą zdumiony okrzyk. – A ty dokąd?! Poczekaj, aż wypalę!

Mati stał już w drzwiach do hoteliku – ona, dwa stopnie niżej, na ulicy.

– Dobranoc pani! – Ukłonił się z uśmiechem, który wyprowadziłby z równowagi najspokojniejszą z kobiet, a do takich właścicielka domu mediowego Full Access z pewnością nie należała.

– W co ty pogrywasz, Mati? – Oстрым czubem buta zgasiła papierosa i już podążała za nim po śliskich schodkach. Mati, niepozbawiony poczucia humoru, szedł szybko, jakby przed nią uciekał, w stronę recepcji. Zaspany portier poderwał się na równe nogi.

– Pokój dwieście pięć! – Mat wołał już od drzwi głosem nieznoszącym sprzeciwu, nawet nie oglądając się za siebie.

Zrównała się z nim przy windzie. Drzwi się otworzyły, ale ona ręką zatarasowała przejście.

– Ty palancie! – Jej twarz wykrzywiła się w grymasie nienawiści. – Pożałujesz tego...

Mati, kompletnie już trzeźwy, syknął cicho:

– Wejdz do windy! – Stanowczo ujął ją za ramię i lekko popchnął, a następnie stojąc w progu i blokując fotokomórkę, szepnął, mrugnawszy niemal niezauważalnie:

– Który masz numer pokoju?

Patrzyła z gniewem, zdezorientowana. Ociągała się z odpowiedzią, pasując się z samą sobą. W końcu, naburmuszona, odpowiedziała:

– Trzysta siedem.

Wtedy wcisnął trójkę i gwałtownie się wycofał, przyciskając guzik zamykający. Przez szparę dojrzał jeszcze jej wściekłą twarz i usłyszał:

– Nie daruję ci tego!

– Słodkich snów, koteczku! – mruknął i ruszył w stronę hotelowego baru. Chciał walnąć sobie jednego. Po pierwsze, musiał się uspokoić, po drugie, niechże ta ostra panienska chociaż uśnie. Była z Antoską na jednym piętrze. Mogła teraz pójść pod jego drzwi, mogła czekać na progu swoich, by sprawdzić, czy Mat nie idzie do Antosi! Bo skoro, jak twierdziła, była taką bystrą obserwatorką...

Nie dziwiłby się, gdyby zeszła jeszcze tu, do hotelowego baru, żeby go odszukać. A niech to wszyscy diabli!

– Bar już zamknięty, proszę pana! – odezwał się portier, nie bez satysfakcji. Skubany, pewnie słyszał każde słowo. Mati, dziwnie zmęczony, opadł tak jak stał na stojącą w holu pomarańczową kanapę i ukrył twarz w dłoniach. Siedział dłuższą chwilę i narastało w nim poczucie kompletnego zniechęcenia.

Przecież zorganizował wszystko tak, by mogli spędzić spokojną noc. Spokojną! Niemal zaśmiał się na głos, kręcąc potępieńczo głową. Zerknął na zegarek. Minęło ledwie parę minut. Ostatecznie, jeżeli „ostra” coś podejrzewała, i tak wie już o wszystkim. Wyciągnął komórkę i wykręcił numer Antosi. Gdy odebrała, rzekł cicho:

– Zejdź ty do mnie, dobrze?... Nieważne, potem ci powiem. Dwieście pięć!

Nim weszła do jego pokoju, zdążył już wyswobodzić się z płaszcza i nawet naszykować upragnionego drinka. Siedząc przy niewielkim stoliku, obserwował, jak wchodzi, zamyka drzwi na klucz i zbliża się do niego, ubrana w biały podkoszulek i wąskie džinsy. Usiadła na brzegu łóżka i milczała.

– Mam nadzieję, że dobrze zamknęłaś drzwi?

– A co, spodziewasz się wizyty? – Uniosła jedną brew i uśmiechnęła się po swojemu, zsuwając ze stóp mokasyny.

– W tym przypadku zwykła zasuwka może nie wystarczyć. Obawiam się, że musimy się zabarykadować! O, tamta komoda będzie chyba w sam raz! – W kącikach warg zadrgał mu uśmiešek.

– Ależ ty działasz na te biedne kobiety... – Kiwała głową i przyglądała się swoim bosym stopom, zanurzonym w miękkiej wykładzinie.

– Chodź tutaj! – rzekł namiętnie, odstawiając szklankę.

Przecząco pokręciła głową.

– Co znowu?

Patrzył nierozumiejącym wzrokiem.

– Będziesz się gniewała, bo bajerowałem idiotkę, z której kontraktu... – Ugryzł się w język. Wierzył Antolce bezgranicznie, ale spowiadanie się ze szczegółów „handlowych” byłoby wielce nieroztropne. Albo raczej niepotrzebne. – No, dajże spokój! Wiesz przecież, że tak gadałem, żeby poprawić relacje...

– Nie o nią mi idzie! – Ze znużeniem przymknęła oczy.

– Dajże sobie siana, Antosiu! Ja tu organizuję wyjazd, kręcę i kombinuję, bylebyśmy mogli pobycć sami, a ty mi zaczynasz filozoficzną dyskusję o trzeciej nad ranem?

– Doskonale wiesz, że ja nigdy nie zaczynam żadnych dyskusji. Pomyliłeś adres.

Oho. Była w bojowym nastroju. Zacięła się. Teraz będzie milczeć. Matowi buczało w uszach po harmidrze, który panował w knajpie. Czuł złość, jednak musiał coś powiedzieć, inaczej chwila minie bezpowrotnie. Po wyrazie jej twarzy widział, że sytuacja wymagała broni

największego kalibru.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego jeszcze nie odszedłem od żony, mimo że to ciebie kocham i z tobą mam zamiar spędzić resztę życia? – odezwał się zniecierpliwiony, zdejmując marynarkę i rzucając ją na pobliskie krzesło.

Spojrzała na niego z ironicznym niedowierzaniem. Wyglądała, jakby miała się roześmiać. Usiadła na łóżku po turecku, oparła brodę na dłoniach i rzekła:

– Tak, Mateo! Skoro sam o tym wspomniałeś, właśnie to chciałabym wiedzieć! Powiedz więc! Czemu?

Zgasił lampę. Pokój pogrążył się w mroku, a wtedy usiadł koło niej i wziął ją za rękę, ale się mu wyrwała.

– Słuchaj więc! – zaczął z mocą, na siłę zwalczając znużenie. – Karolina jest osobą, no, jak by to powiedzieć... Nie taką jak ty.

Znów usiłował złapać ją za rękę, a ona znów się wyrwała. Kontynuował więc, niemal chuchając na plecy Antosi i opierając się o nie czołem.

– Ty jesteś dobra, wyrozumiała, łagodna... Ona – twarda i zacięta. I gotowa osiągnąć cel za wszelką cenę! – Gdy to mówił, czuł się nieco groteskowo, trochę jak aktor telenoweli. A jednak święcie wierzył w prawdziwość tych słów.

Karolina taka właśnie była. Nie przebierała w środkach. Zrobiła go w balona i nie miał wątpliwości, że posunęłaby się i do tego, o czym właśnie zamierzał opowiedzieć, a co tak naprawdę wymyślił już wcześniej jako kolejne koło ratunkowe na taką, od dawna zresztą oczekiwaną, chwilę...

– Zagroziła, że jeśli od niej odejdę, pójdzie do firmy i powie o mnie pewne rzeczy! Coś, o czym wie i co mogłoby mnie pogrążyć! – wypalił, siadając koło niej, na łóżku. – Zresztą taka tam główniana sprawa z przeszłości. Ale mogłaby mi mocno zaszkodzić. Miałbym masę kłopotów. Może nawet sprawa znalazłaby się w prokuraturze, choć to naprawdę drobiazg. Przeształa go gównem. Ale ona trzyma mnie tym w szachu! I sama dobrze wiesz, że jest niepoczytalna!

Zapadła cisza.

Antosia wstała i podeszła do okna. Poprawiła zasłonkę, a potem zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem, na przemian to rozpuszczając, to wiążąc włosy w ciasny ogon. Wreszcie stanęła w oknie, plecami do niego, i na dłuższą chwilę znieruchomiała, jakby biła się z myślami.

– Szantażuje cię? – spytała w końcu, tyłem do niego, patrząc przez szybę.

– Wiem, że coś takiego wprost nie mieści ci się w głowie, ale, niestety, taka właśnie jest moja żona! Przypomnij sobie prochy, które łyknęła. Chciała się zabić, rozumiesz? Jest zdolna do wszystkiego! I ja mam się nie bać? Nie traktować poważnie jej gróźb?

Znów zbliżył się do niej, stojąc tuż za nią i obserwując tył jej głowy. Skrzyżowała ramiona. Stała bez ruchu. Chciała mu uwierzyć.

Postąpił o krok, dotykając brodą i ustami jej włosów. Delikatnie, nie chcąc jej spłoszyć. Westchnęła głęboko, jakby pod jego dotykiem tajała. Odwróciła się, a on w ciemności odnalazł jej usta.

Dziwne – wprost niesamowite – po prostu czary. Cały niepokój, całe zło odegnane jak za dotknięciem magicznej różdżki. Poddawali się temu uczuciu, zapominając o wszystkich rozterkach.

Brak komunikacji w zespole

Następnego dnia wyjechali z Krakowa wcześniej rano, nawet jakoś bardzo się nie starając, by nie zostać zauważeni. I tak cała reszta najprawdopodobniej spała po całonocnej balandze. Na nogach mogła być jedynie Kaja, więc śniadanie postanowili zjeść gdzieś po drodze, by uniknąć ewentualnego spotkania w restauracji hotelowej.

W samochodzie nie byli rozmowni, powrót do Warszawy zdawał im się smutnym powrotem do szarej rzeczywistości. Karolina zadzwoniła dwa razy i dwa razy Mati musiał zatrzymywać się na stacji benzynowej. W zaciszu pustej toalety, szczelnie zamknięty w kabinie, wyrażał opinie na temat koloru wezglowia łóżeczka dziecięcego, a potem koloru zestawu śpioszków i pajacyków. Karolina wahała się pomiędzy białym a niebieskim.

Najgorsze było, że o czternastej miał zebranie członków zarządu, na którym Wiktoria zamierzała przedstawić jakieś wnioski dotyczące jego własnego zespołu. Istny koszmar! Na wspomnienie Wiktorii automatycznie zdjął nogę z gazu.

Odstawił Antosię pod centrum handlowe w Jankach, skąd zamówiła sobie taksówkę.

Pojechał dalej sam, pogrążony w posępnej zadumie, nie wiedząc już kompletnie, do czego to wszystko zmierzało i nie potrafiąc wytyczyć sobie nawet krótkoterminowego planu działań.

Istny chaos! W sumie nawet nieźle się składało, że za chwilę miał spotkanie z zarządem. To z pewnością odciągnie jego myśli od kłopotów z kobietami. Zapewne drapieżna jak jastrząb Wiktoria już szykuje na niego nowe pułapki, mimo że wyniki windują w górę mocniej, niż przewidywali.

Zdeterminowany, by odeprzeć jej pokrętne ataki, szedł korytarzem szybko, po drodze zdejmując płaszcz i odkładając neseser na biurko swojej sekretarki. Wstąpi jeszcze po kawę, ma parę minut... W lusterku zawieszonym obok automatu zobaczył własne odbicie. Jak na człowieka po niemal nieprzespanej nocy prezentował się zadziwiająco dobrze. Ot, zbawienne działanie chemicznego zjawiska, które popaprańcy losowi, tacy jak pisarze i artyści, zwą miłością.

Nalał sobie obrzydliwej kawy i, skoncentrowany, wszedł do największej sali konferencyjnej jeszcze przed czasem. Tym razem był pierwszy. Zajął centralne miejsce, odpalił laptop i czekał, aż się włączy, popijając gorzkie, czarne świństwo. W komputerze miał zapisaną prezentację na temat działań marketingowych w mijającym kwartale, zestawioną zresztą z rosnącymi danymi sprzedażowymi. Już on jej, kurwa, utrże tego małego, wścibskiego noska!

Drugi wszedł, jak zwykle lekko spocony i zaaferowany, Jean Paul. Machinalnie kiwnął Matiemu głową, zajęty zaczytywaniem pliku dokumentów.

Symptomatyczne?

Mati odskłonił się, pocierając dłońmi twarz i tym samym zmazując z kącików ust gorzki uśmiezek. A więc tak się sprawy miały! Stary żabojadzki skurwysyn już ulegał wpływom tej osaczającej wszystkich żmijki. Przecież zazwyczaj podchodził do Mata i przynajmniej serdecznie się witał! Często wymieniali nawet niecenzuralne żarty. Nagłe ochłodzenie w jego zachowaniu należało wiązać tylko i wyłącznie z knowaniami przekłetej Wiktorii.

Tymczasemapełniały się wszystkie miejsca. Jedną z ostatnich przybyłych była właśnie Wiktoria – przekłeta wtyka headquartersów Unitelu. Jej przemówienie widniało na grafiku podesłanym wszystkim przez Jean Paula jako ostatnie – czyli podsumowujące.

Gdy wszyscy zajęli miejsca wokół ustawionych w kwadrat czterech szerokich stołów, podniósł się elegancki jak spod igły Patrick Duchamps – nowo wybrany GM^[60]. Wyróżniał się nie tylko nieskazitelnym wyglądem, ale i imponującym wzrostem. Mimo że nosił żabojadzkie nazwisko, nie powstydziliby się go sam Houston Stewart Chamberlain, gdyż Patrick Duchamps zdawał się reprezentować typ antropomorficzny wąskoczaskowy bez żadnych niewłaściwych

domieszek. Ucieleśniał Nietzscheańskiego „nadczołowieka”.

Patrick został wybrany już przez zunifikowany zarząd Unitelu i Telecommerce. Naturalnie był zakorzeniony i wyhodowany w Unitelu, co było oczywiste, bo Unitel posiadał osiemdziesiąt procent udziałów w nowej spółce. Po prostu pożerał Telecommerce, zatem nikt z naczelnych dyrektorów nie mógł czuć się bezpieczny. Nie należało się więc dziwić, że oblicze Jean Paula co rusz pokrywało się bladością i kropelkami potu oraz że od pewnego czasu tak bardzo ulegał Wiktorii. Jedno tylko było zastanawiające. Jak ona, Polka, tak gładko wkręciła się w strukturę firmy Unitel, której dotychczas na polskim rynku nie było?

Mati nie wierzył w przypadki. Tymczasem z przykrych myśli wyrwały go sztucznie optymistyczne deklaracje Duchamps’a: „Mimo że gospodarka światowa wali się na łeb, na szyję, nasze obroty w Polsce nadal zwiększają!”. Mateusz słuchał tych przechwałek z kamienną twarzą.

Tegoroczne obroty Telecommerce w Polsce w dużej mierze wynikały z przeprowadzonych w zeszłym roku kampanii wizerunkowych, których autorem był nie kto inny jak on sam. Drugim ojcem sukcesu był siedzący cicho i spokojnie Yoni Elias, dyrektor działu sprzedaży, który w odpowiednim momencie namówił zarząd na wejście firmy w telefonię komórkową nowej generacji.

A że zgodnie z sugestią Eliasa zrobili to dopiero w zeszłym roku, bazowali na gotowcach – zbudowanych już antenach naziemnych podupadającej konkurencji. Dzięki genialnemu „wywiadowi” Yoniego sami nie musieli się pakować w kosztowną i niepewną budowę infrastruktury naziemnej.

Postawili firmę na nogi, a w chwili gdy zaczęła przynosić wielkie przychody, niemiecko-francuski zarząd natychmiast zdecydował połączyć się z potężnym Unitelem. Pewnie odsprzedali udziały za grube miliony.

– Ze względu na wysoką rentowność firmy zarząd w Zurychu postanowił połączyć dwa przedsiębiorstwa wcześniej, niż przewidywaliśmy – perfekcyjną angielszczyzną odezwał się „nadczołowiek”.

– Kiedy dokładnie? – rzucił Jean Paul, gmerając koło swojego kołnierzyka. Mówił po angielsku z silnym akcentem. Absolutnie wszyscy na sali musieli zauważyć, jak słabo wypadł wobec perfekcyjnie znającego ten język nowego, potężnego szefa.

– Początek czerwca tego roku! – Duchamps uśmiechał się pełnym garniturem białych jak śnieg zębów.

Wszyscy unieśli głowy z zaciekawieniem. Jedyne Mati pozostał nieruchomy, wbijając wzrok w ekran komputera. Elegancki skurwysynek postanowił przyspieszyć realny *merge* obu przedsiębiorstw, by to na niego spłynęła chwała osiągnięcia wyniku powyżej zamierzonego budżetu!

W ich biurokratycznych łapach obroty i tak zaczęłyby spadać, nawet gdyby nie było kryzysu! Tak więc sprytny Duchamps chciał, by gloria i chwała za udany poprzedni rok skapnęła także na niego. Potem w Zurychu będzie się chwalił, że objął stery w 2008 i pod koniec tego samego roku osiągnęli genialny wynik. Wynik, który został przecież wypracowany działaniami mającymi miejsce rok, a nawet dwa lata temu! Mati zauważył, że Yoni uśmiechał się do siebie...

Jasne, tamtego to zupełnie nie obchodziło! Zawsze może wrócić do Izraela i pracować w firmie ojca. Z tego, co Mati pamiętał, ojciec Yoniego miał małą firmę zajmującą się utylizacją odpadów. Właśnie do takich przedsiębiorstw miała należeć przyszłość.

A więc, kurwa, postanowione. Przyspieszali połączenie. Ciekawe, jak się to miało do planów kampanii produktowych i wizerunkowych zrobionych jeszcze pod starym logo? Wykupionych, zapłaconych, nakręconych. Ich emisja była przewidziana na maj! Jakoś Duchamps o tym nie pomyślał, nawet nie raczył zapytać Mateusza, czy będzie to ze sobą

korelowało. No cóż, Mateusz będzie musiał delikatnie zwrócić mu na to uwagę.

Jeśli chodzi o media, może i udałoby mu się cofnąć podjęte działania – gdyby miał dobre relacje z Kają. Na wspomnienie tej ostatniej niemal głośno się roześmiał.

Szybko ukrył twarz w dłoniach i wtedy usłyszał, że Duchamps skończył właśnie swój korporacyjny bełkot. Zagrzmiały huczące brawa. Duchamps, ten niezwykle okaz nadczłowieka, a zarazem „ludzkiego pana”, jeszcze nie zszedł z katedry. Stał ramie w ramie z mającym teraz mówić szwajcarskim dyrektorem technicznym i pomagał mu odnaleźć zaginioną na serwerze prezentację.

Wszyscy patrzyli na szefa z ukontentowaniem i aprobatą. To jego „pochylenie się” nad rozkojarzonym inżynierem i okazana mu pomoc w szukaniu pliku były niewątpliwie dobrymi znakami dla innych pracowników! Może nie taki diabeł straszny... Może jednak nie powywała ich wszystkich na bruk... A przynajmniej nie od razu...

Frederick Gleiss zaczął opowiadać w najdrobniejszych szczegółach, jakie przełożenie będzie miała konsolidacja przedsiębiorstw na organizację pracy w dziale technicznym. Na poszczególnych siedmiuset slajdach rozrysował im krok po kroku, jak zamierza przeorganizować pracę. Był to temat, który nie mógł zainteresować absolutnie nikogo, trudno więc się dziwić, że żywy umysł Matiego rozpoczął przeróżne abstrakcyjne wycieczki.

Gdy w końcu nadeszła jego kolej, miękkiem krokiem wszedł na podwyższenie i dwoma kliknięciami myszki uruchomił swoją prezentację. W odróżnieniu od prezentacji Fredericka składało się na nią dziesięć slajdów, w tym cztery przedstawiały efektowne spoty reklamowe, cztery – zabawne obrazki, a pozostałe dwa – proste wykresy.

Tekst znał na pamięć, nie stał więc, jak Frederick, tyłem do publiczności i nie wgąbiał się w obrazy puszczane na ścianie, by potem dygoczącym jak osika głosem odczytywać ich opisy. Zamiast tego bystrym wzrokiem mierzył słuchaczy i mówił wprost do nich, od czasu do czasu zabawnym żartem wciągając do dialogu.

Bez zadęcia i puszenia się, krótko i prosto przedstawił kampanie, które się odbyły, oraz ich wpływ na wzrost sprzedaży poszczególnych produktów, które oferowało Telecommerce. Slajdy zmieniał pilotem i ani razu nie odrywał oczu od audytorium. Język ciała miał tak doskonale opanowany, że nie wykonał ani jednego zbędnego ruchu. A niech wiedzą, z jakiej gliny jest ulepiony. Specjalnie włożył w ten *speech* całe serce, specjalnie przygotowywał się do niego parę dni. Nawet jeśli Wiktoria szykuje swoje nędzne pułapki, nie polegnie bez walki!

Gdy skończył, rozległy się niewymuszone brawa. Mati, uśmiechając się pod nosem, pochylił się nad komputerem i zamknął plik, a potem zgrabnie przedostał na swoje miejsce. Nowi popatrywali na niego z uznaniem, nawet sam Duchamps mierzył go poważnym spojrzeniem przez ładne parę sekund.

Mati miał świadomość, że doskonale wypadł w przemówieniach. Jego atutem były nie tylko, mówiąc nieco nieskromnie, atrakcyjny wygląd, elegancja i doskonała mowa ciała. Miał jeszcze to „coś”, dar zjednywania sobie ludzi, którym to posługiwał się pozornie bez najmniejszego wysiłku, lecz wewnętrznie kosztował go mnóstwo nerwów.

Nawet gdyby wygadywał dzisiaj bzdury, zrobiłby doskonale wrażenie. Ale bzdur nie wygadywał, bo dobrze przygotował się do przemowy. Był człowiekiem, który nie tylko doskonale potrafił się sprzedać, ale również takim, któremu inni chcieli ufać!

Z trudem hamując uśmiech zadowolenia, podniósł wzrok na Wiktorię. Jako jedyna nie patrzyła w tej chwili na niego. Zamiast tego w skupieniu, ze zmarszczonymi brwiami, wpatrywała się w monitor swojego komputera.

Spróbuj teraz, pchełko! – pomyślał, siadając na krześle. Chwilę później zwrócił nieprzeniknione spojrzenie na wkraczającą na podwyższenie Dziedzic. Była podminowana, więc

wziął to za dobry omen. Wygodnie rozparł się w fotelu i z dyskretnym cieniem uśmiechu, igrającym w kącikach ust, wsłuchiwał się w jej, jak to Amerykanie mówili, *hogwash*¹⁶¹.

Chwaliła się! Chwaliła się dobre pięć minut, opowiadając o swoich dokonaniach, o których nikt oprócz niej nie wiedział i nie słyszał. Drobnej rangi sprawy organizacyjne rozdmuchiwała do niepojętych wprost proporcji. Zaczepiała o wszystkie działy, po kolei, przypisując sobie zasługi innych. Mówiła o sobie „my”, jakby chciała unaocznic wszystkim swoją więź z korporacją. Mati zauważył, że nawet najchytrzejsze korporacyjne szczurki, z Duchamps'em na czele, zerkwały na nią z niepokojem. Była najgorliwsza z gorliwych, najaktywniejsza z aktywnych! Mati ledwo nad sobą panował, by nie rzucić jakiegoś „grubszego” dowcipu, hamował się jednak i miał o to do siebie ogromne pretensje.

Lecz uśmiech jego stężał, gdy usłyszał, jak napomknęła o „problemach w dziale marketingu”. Nadstawił uszu. Najwyraźniej w tylko sobie znanym celu przeprowadziła jakiś test, we wszystkich zresztą, działach firmy. Mati, zajęty złośliwymi obserwacjami, nie dosłyszał ani kto jej to zlecił, ani co test miał na celu. Zrozumiał jedynie, że badanie to dowiodło, iż w jego dziale istnieje „duży problem”.

Ze zdumieniem rozejrzał się dookoła, jakby szukając kogoś, kto mógłby mu wyjaśnić, o co chodziło, lecz właśnie wtedy usłyszał, że ona kieruje do niego pytanie:

– Mati, wyglądasz, jakbyś czegoś nie załapał! – Uśmiechała się złowieszczo.

– Tak, Wiktorio, nie łapię. O czym mówisz, na Boga? – zapytał z dużą dawką komicznej ekspresji i nieco bezczelnym uśmieszkiem, odchylając się na oparcie i zakładając nogę na nogę. Rozmowa nadal toczyła się po angielsku, oficjalnym języku ich korporacji.

W sali rozległ się szybko stłumiony chichot, pochodzący przynajmniej z kilku męskich gardeł. Miał naprawdę niezły pomysł, by zacząć od ośmieszenia jej poczynań.

– Widzę, że znów jesteś zajęty sprawami wyższej wagi – i dodała, zwracając się jadowitym głosem do milczącej reszty: – *I rest my case!*¹⁶²

– Bądź tak uprzejma i objaśnij Mateuszowi cel testu – znienacka rzucił Duchamps. Z jego twarzy nie można było niczego wyczytać.

Wiktoria, zagniewana, wolno i wyraźnie powtórzyła, że zgodnie z procedurami Unitelu przeprowadzony został test „jakości komunikacji” w firmie. Najwyraźniej test ten wypadł bardzo dobrze we wszystkich zespołach oprócz działu Mateusza.

Dywagowała dłuższą chwilę na temat ważności komunikacji jako takiej, po czym określiła to, co panuje w dziale marketingu, jako zatrwajające.

– Wiktorio, użyłaś określenia „zatrwajające”. Czy rezultaty testu są naprawdę tak odbiegające od tego, co zazwyczaj wychodzi w innych działach marketingu? – zaczął Duchamps z wahaniem w głosie.

Dopiero co znalazł się w nowej firmie, a tu taki klops! Jak miał zareagować? Nie wiedział jeszcze przecież, „skąd wieje wiatr”. Cholerne, podgryzające się jak szczurki Polaczki już dawały się we znaki.

– Spójrzcie na ten wykres! – delektowała się własnymi słowami Wiktoria. – To porównanie średniej z innych działów zestawione z polskim działem marketingu!

Wyświetliła slajd, na którym biegły dwie linie, czerwona dużo niżej od zielonej. Wściekły Mati posłał piorunujące spojrzenie Jean Paulowi, by zmusić go do zajęcia stanowiska. Ponieważ jednak tamten jakoś się do tego nie kwapił, w końcu przemówił sam, nie gorszym od Duchamps'a angielskim:

– W ciężkich czasach kryzysu, kiedy jak lwy walczymy o każdego klienta... Kiedy, wybaczenie wyrażenie, *we work our butts off*¹⁶³, by utrafić w grupę docelową, Wiktoria szasta korporacyjnymi pieniędzmi, by eksperymentować sobie z jakimiś o kant dupy potłuc testami? Po

co?

– To dowodzi, że traktujesz nową politykę Unitelu bardzo powierzchownie, nonszalancko. – Nerwowym ruchem odrzuciła do tyłu włosy opadające jej na czoło. Mati miał minę, jakby usłyszał dobry żart, a animuszu dodawały mu spojrzenia solidaryzujących się z nim mężczyzn. Albo przynajmniej tak mu się zdawało.

– Wiktorio, skończmy tę dyskusję w zaciszu twojego gabinetu – trywializował sprawę Mati.

– Mat, może i masz rację, że nie ma co zabierać innym cennego czasu na forum ogólnym, ale musisz wyjaśnić tę sprawę! – surowo zagrział Duchamps, poirytowany zajściem. – Jeśli problem pozostanie, dajcie mi znać. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by to wyprostować!

Mat z powagą kiwnął mu głową, jednak oczy zaślniły mu złośliwie. Jak na razie, punkt dla niego. Wiktorio wyszła na idiotkę, wylatując z tym testem przed orkiestrę, i to zaraz po tym, jak Mat wykazał, że jego dział w decydujący sposób przyczynił się do ogromnych zysków firmy! Samemu Duchamps'owinie w smak było przyznawać, że w dziale, który generował ogromne dochody, coś nie grało. Dla wszystkich jasne się stało, jak kiepskim psychologiem była panna Dziedzic!

Co zresztą wcale nie znaczyło, że nowy szef nie wykorzysta w przyszłości wyników jej badań przeciwko niemu, Matowi. Cholera jasna, zaraz musi sprawdzić, czego dotyczył ten test! Ledwo śledził dyskusję, która wywiązała się po ostatniej prezentacji. Miał jednak jeszcze na tyle przytomności umysłu, by zadać kilka pytań odnośnie strategii komunikacyjnej dotyczącej nowego logo i nowego wizerunku. Tak jak przypuszczał, miało być to robione przez zachodnią agencję reklamową, zresztą spot był już gotowy – ten sam, który zastosowano wcześniej w Czechach i na Węgrzech.

Jedyną nowością dla niego była informacja, że na spoty już wyprodukowane pod starym logo i mające być wyemitowane na wiosnę zostanie stworzony nowy budżet. Z niego dokręci się zmienione części spotów, by zawierały nowe logo.

Jak dla niego była to rewelacyjna wiadomość! Mało roboty, a policzy koszty, jakby wszystko robiono od nowa! I przytnie sobie z tego jeszcze dwadzieścia procent przy zerowym wysiłku. No i trzeba będzie się niedługo kopsnąć do Krakowa, by powiedzieć o tym Maruszewiczowi *face to face*^[64].

Konieczność wyjazdu służbowego była pierwszą i jedyną dobrą wiadomością, którą usłyszał tego dnia...

Tymczasem zorientował się, że wszyscy wstawali. Od tyłu zaszedł go Jean Paul. Pochylił się nad nim, położył mu na ramieniu swą ciężką łapę i syknął po francusku:

– Chcę widzieć was oboje u mnie za pięć minut!

Wkrótce siedzieli w jego przestronnym gabinecie z imponującym widokiem na nowo wybudowane estakady naprzeciwko Galerii Mokotów. Jean Paul wskazał im miejsca przy czteroosobowym stoliku dla gości. Sekretarka wniosła świeżą kawę i ciasteczka. Jean Paul stał tyłem do nich i grzebał w dolnych szufladach komody. W końcu znalazł to, czego szukał. Z małej fiolki wyjął pastylkę i łyknął chciwie. Potem podszedł i ciężko opadł na fotel obok nich.

– No, kochani – rzekł, mocno akcentując ostatnie sylaby. – Bardzo, ale to bardzo mnie zawiedliście! Oboje!

Wiktorio siedziała z niewzruszoną miną. Widać było, że miała w głębokim poważaniu zawód, który sprawiła Jean Paulowi. Albo była dobrą pokerzystką, albo miała w Unitelu mocne plecy. Raczej to drugie, sądząc po jej naturze i lizusostwie względem silniejszych od siebie. Tymczasem Jean Paul kontynuował, kalecząc polszczyznę obrzydliwym akcentem i komicznym

grasejowaniem:

– Widzicie, takich rzeczy Francuz nigdy nie robi na forum publicznym!

No właśnie. Mati pokiwał aprobująco głową. Taki wyskok Dziedzic nikomu nie służył.

– Wybacz, Jean Paul, ale ja nie reprezentuję żadnego z działów. Jestem tutaj, by zrobić porządek w strukturach i zrobię go, zgodnie z moim kontraktem. Działam otwarcie! Nie jestem Talleyrandem! – Wiktoria patrzyła raz na jednego, raz na drugiego lodowatym wzrokiem, uśmiechając się uprzejmie. Podła sucz!

– Dobra – wtrącił się rozwścieczony Mateusz. – Powiedz mi wreszcie, co to za cholerny test i co z niego wynika? No i kto ci kazał go robić? – Odchylił się na oparcie, zakładając ręce w nieco obronnym geście.

Dziedzic zerknęła na Jean Paula wymownie, jakby dając mu do zrozumienia, że nie podobała jej się forma wypowiedzi kolegi. Nim jednak Jean Paul zdążył odpowiedzieć, Mati szybko się wmieszał:

– Szanowna Wiktorio, byłabyś tak uprzejma i przedstawiła mi w kilku słowach zakres pytań, formę oraz cel testu, o którym byłaś łaskawa wspomnieć w czasie swojej prezentacji, jako że wzięłaś mnie – *common on dit*^[65] – troszkę przez zaskoczenie, więc nie potrafiłem się do tego ustosunkować! Może teraz, kiedy poznam przyczynę i rezultaty, będę mógł się jakoś do tego odnieść w zaciszu tego gabinetu, bez niepotrzebnych świadków.

Poprawiła okulary i obdarzyła Mateusza uśmiechem niekłamanego triumfu.

– Drogi Mateuszu! O teście byliście informowani kilkakrotnie, albowiem wpisałam go w wasze kalendarze! Nie moja wina, że nigdy tam nie zaglądasz!

– Ok. – Potarł twarz rękami. – *Ad rem*^[66], Wiktorio! Co było w teście, którego wynikami zaatakowałaś mnie przy wszystkich, podkopując moje dobre imię i przy okazji reputację Jean Paula jako zwierzchnika działu handlowego?! He?

– Mati, Mati, nie draż tego! Ona ma rację! – wtrącił Jean Paul łagodząco. – O tym była mowa od miesięcy! Wszyscy biorą ten test!

– Co to za test? – wycedził rozjuszony Mati, opierając się o blat i przybliżając do zimnej jak ryba w galarecie Dziedzic.

– Ogólnofirmowy test na jakość komunikacji w poszczególnych zespołach. Opiera się na czterdziestu pytaniach. Jest anonimowy! Ma za zadanie wykazać jakość współpracy między osobami w poszczególnych działach. Bo, jak zapewne wiesz, gdyż czytałeś kod postępowania Unitelu, dobra komunikacja jest filarem naszej firmy. Polityka otwartości, przejrzystości to fundament, na którym mocno stoi Unitel! A za niedługo Unitel Commerce!

Czy ta modliszka istniała naprawdę, czy była tylko koszmarem, który właśnie mu się śnił? Mati spojrzał pytająco na Jean Paula, ale szczywany lis uciekł spojrzeniem, wlepiając wyblakłe, orzechowe oczy w swoje notatki.

– Czterdzieści pytań, Mateusz. Zadane piętnastu osobom z twojego działu. Anonimowo, więc nie bali się mówić! Spójrz na to. „Czy czujesz się odpowiedzialny za to, co dzieje się w twoim zespole?” – osiemdziesiąt procent odpowiada, że „zdecydowanie nie”. Dwadzieścia, że „raczej nie”. Tylko dwie osoby odpowiedziały neutralnie! Dalej! Następne pytanie: „Czy informacje o planach działowych i firmowych są przejrzyste?”. Znowu to samo! Większość uważa, że nie! Później to! „Czy uważasz, że strategiczne decyzje firmowe są podejmowane za twoimi plecami?”. Większość odpowiedziała, że zdecydowanie tak! I co mi na to powiesz jako szef? Działasz zgodnie z filozofią firmy? Działasz zgodnie z jej standardami?

– Kiedy robiłaś ten test? – Mateusz podejrzliwie chwycił w dłoń spięty plik papierów.

– Termin testu był podawany kilkakrotnie! – odparła triumfująco, jak gorliwa uczennica denuncjująca brak pracy domowej u kolegi z ławki. – Dwudziestego grudnia!

– Ale miałem wtedy wyjazd służbowy! Byłem na shootingu^[67] – zirytował się Mati.
– Co z tego? – Wiktoria uśmiechnęła się uprzejmie.
– *Qui, je ne comprends pas qu'est-ce que tu veux?*^[68] – zdenerwował się Jean Paul. –
Pisała o tym kilka maili!
– Manipuluje nami! Urabia moich pracowników pod moją nieobecność! – wściekł się Mati.
– Co ty wygadujesz?! – Francuz zerwał okulary z twarzy. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Kurwa, albo ta modliszka miała wysoko postawionych kumpli, albo tak mocną osobowość, że stary wyjadacz Jean Paul po prostu się jej bał! No tak, miał chłopina jeszcze parę lat do emerytury i czworo dzieci w prywatnych szkołach. Mati zacisnął rękę na długopisie jak na sztylcie i przymknął na chwilę powieki.
– Ok, ok! Nie denerwuj się, Jean Paul! – spuścił z tonu, widząc, jak szef okrywa się szkarłatną czerwienią. Umyślnie pomijał teraz Dziedzic, w ogóle się do niej nie zwracając. – No i co teraz zrobimy? Dział przynosi największe dochody, zgarnąłem prawie cały rynek, wydymałem konkurencję, a firma będzie mi robić problemy za złe zarządzanie działem? Dobrze zarządzam działem, bo dużo zarabiam! To ja generuję przychód, z którego, kurwa, wypłacane są nasze pensje! To dzięki zarobionym przeze mnie pieniądzom ta panienska ma za co bawić się w psychologiczne testy! Kto, kurwa, zgadza się na takie zarządzanie firmą?! Pogadam o tym z headquartersami! Nie zostawię tego tak! Nie dam się wrabiać!
– Nic podobnego nie zrobisz, *putain de merde*^[69]! – Jean Paul wstał gwałtownie. – Posłuchaj, co Wiktoria ma do powiedzenia i *ferme-la!* *Zut!*^[70]
– Mateusz, uprzejmie cię proszę, byś zachował choć pozory *savoir-vivre*'u! Inaczej będę zmuszona poinformować o tym przełożonych w Zurychu.
Jean Paul machnął Matiemu ręką, jakby dawał znak, by tamten sobie odpuścił. Rozjuszony Wencel poderwał się i zaczął chodzić po gabinecie jak lew w ciasnej klatce. Wreszcie uspokoił się na tyle, że stojąc do nich tyłem, rzucił:
– Ok. Mów dalej.
– Mmm, dziękuję za tę łaskę! – ironizowała, napawając się zwycięstwem. – A teraz posłuchaj! W sytuacji, hm, problematycznej, Unitel przewiduje procedury działania. Dalecy jesteśmy od oskarżania kogokolwiek, na przykład ciebie, Mati! Jeżeli w zespole coś, że tak powiem kolokwialnie, „nie gra”, musimy to zbadać!
– Co takiego? – Odwrócił się na pięcie i spojrzał na nią, szczerze ubawiony.
– Słyszałeś mnie. Musimy to zbadać!
– Zbadać? Jak?
– Poczyliłam już pewne kroki. Wynajęłam firmę coachingową, której celem będzie zidentyfikowanie problemu.
– Niby jak? – Znow zasiadł przy stoliku, wpatrując się w Wiktorię z ironiczną ciekawością. Podobnej osobowości nie zdarzyło mu się spotkać! Była jak zaprogramowany przez Unitel robot w pięknym ciele. Niebywałe!
– Począwszy od nowego roku poprzez cotygodniowe spotkania, analizy, rozmowy...
– Coś jak gestapo?
– Mat! – warknął Jean Paul znad swoich notatek.
– Otwarte rozmowy z udziałem wszystkich członków zespołu. I obecność na tych spotkaniach będzie obowiązkowa, podobnie jak stopień zaangażowania. Cynizm, szyderstwo, abnegacja – wszystko to będzie traktowane jako działanie przeciw grupie. Nawet milczenie! Zwłaszcza milczenie! Milczenie będzie dowodziło winy. Tylko żywe zaangażowanie, tylko postawa otwarta na grupę będzie nas satysfakcjonować. Wszystko inne jest niedopuszczalne.

Naturalnie oczekiwanie to dotyczy tak ciebie, jak i mnie. Nas wszystkich! Wszystkich członków zespołu! Musimy rozwiązać ten problem do końca pierwszego kwartału nowego roku. Jeśli się nie uda, będę zobowiązana podjąć inne kroki!

Po tym zdaniu zapadła długa cisza.

Wigilia u Wenclów

A może ten bordo lepiej jej przypasuje, Ryszardzie? Ona taka ogorzała, jakby ją kto dziegiem pociągnął... – Elżbieta zbliżyła się do męża, rozciągając przed nim jedwabny szal.

Boże wszechmogący, widzisz, a nie grzmisz! Jemu ręce się urywają od taszczenia ciężkich siat, a ona w ostatniej chwili prezenty wybiera!

– Ile kosztuje? – warknął, umyślnie nie patrząc na to, co pokazywała.

– Osiemdziesiąt złotych.

– Ooo! – Podniósł oczy i nieufnie przyjrzał się mięsistemu kawałkowi jedwabiu. – No, no! Wygląda na wart co najmniej trzy razy tyle. Bierz! I idziemy – zdecydował i zaczął przeciskać się w stronę kasy, trącąc kłębiących się ludzi kanciastymi torbami, jak Messala przeciwników na torze swym zbrojnym rydwanem.

– Tędy! – warknął, widząc, że żona podąża w niewłaściwym kierunku i zmierza do kasy, do której wił się najdłuższy ogon. Praktycznym okiem dostrzegł, że otwierano właśnie dodatkowe stanowisko. Wprawdzie zmierzała tam już spora grupka, lecz Ryszard był szybszy. Ostro natarł ciężkimi pakunkami na tłoczącą się gawieź, wwiercając się w najbardziej zbite epicentrum i pierwszy dobił do kasy, rzucając zdobycze na ladę. Biada temu, kto ważyłby się zwrócić mu uwagę, albowiem w to wigilijne przedpołudnie Ryszard był tak daleki od ducha świątecznego pojednania jak Bałtyk od Tatr.

Jednak trudno było biedaka o to winić. Atmosfera świątecznych przygotowań dała się mu we znaki. Razem z żoną musiał zrobić ogromne zakupy i wszystko przyszykować, jak należy, bo co jak co, ale katolikami Wenclowie byli oddanymi. Na świątecznym stole nie mogło niczego zabraknąć.

Tradycją stało się, że zarówno Wigilię, jak i pierwszy dzień Świąt cała rodzina obchodziła z wielką pompą w ich konstancińskiej rezydencji. Synowie zjeżdżali z żonami, ewentualnie narzeczonymi, i zostawali na całe święta. Po pańsku. A bo co!

Wszyscy też mieli pięknie naszykowane sypialnie. Pracy było huk, potem przez tydzień trzeba było odpoczywać, jak po robocie w kamieniołomach, ale czego się nie robi, aby pobyć w rodzinnym gronie. Właściwie już od pierwszego grudnia krew szybciej płynęła w żyłach na myśl o zbliżających się Świątach w towarzystwie najbliższych.

W tym roku rzeczywistość okazała się jeszcze pyszniejsza, albowiem do ich ścisłego grona dołączyły nowe osoby.

Postacią, która budziła największe emocje, była teściowa Mateusza, pani Halina Trzebunia. Jej najazd był nagły i niespodziewany, a ponieważ dostojna matrona bardzo rzadko opuszczała domowe pielesze, nasuwało to jednoznaczne skojarzenie. Pani Halina przyjechała do Warszawy, zaalarmowana niepokojącymi wieściami dotyczącymi małżeństwa jej najmłodszej córki.

Starszą kobietę, o której mówiono, że miała żelazne zasady, Wenclowie widzieli tylko raz. Na weselu Matiego i Karoliny. Wtedy dowiedzieli się, że w pojedynkę wychowała, wykształciła i świetnie wydała za mąż swoje wszystkie trzy córki, spośród których tylko najmłodsza – Karolina – była obiektywnie uznaną piękną!

Trudno więc się dziwić, że obawiano się jej wizyty w konstancińskim domu! Pani Halina Pęksowa, zamieszkała w Nowym Targu, a pochodząca z Zakopanego, z domu Trzebunia, znana była z tego, że nic nie uchodziło jej uwagi i – rzecz zgoła straszna w zaistniałych okolicznościach – była bardzo zasadnicza.

Trudno więc było zamydlić jej oczy byle czym. W każdym razie na pewno nie mógł tego dokonać ani jedwabny szal, ani nawet ortodoksyjne menu, złożone z dwunastu tradycyjnych dań,

które Elżbieta przygotowała do spółki z oddaną sprawie babcią Wencłową.

Innym powodem do niepokoju była obecność tej ostatniej. Choć sama w sobie była raczej nieszkodliwa, Bóg raczył wiedzieć, jak mogła zachować się w obecności góralki – i to w chwili, gdy na cenzurowanym znajdzie się jej ulubieniec, Mateuszek.

Dobrze, że chociaż przyznała im rację, iż starą Trzebuniową trzeba będzie obłaskawić. Bo choć babcia Wencłowa była popędliwa, była też osobą rozsądną i bardzo pragmatyczną. Tak więc dobrze rozumiała, jak działać na korzyść Mateuszka. Wy tłumaczyli jej razem z Elżunią, że obojętnie, jak do tej ciąży doszło, Karolinka nosiła teraz Mateuszkowe dziecko! Najmłodszy Wencel został powołany do życia i należało zrobić wszystko, by małżeństwo jego ojca utrzymać – i to w jak najlepszej kondycji!

A i sam Mateusz zachowywał się na ostatnim spotkaniu u nich w domu zupełnie bez zarzutu. Tulił Karolinę... Chyba nie byłby aż tak dwulico... Hmm. W tym momencie Ryszard wdusił gaz i z dużą prędkością wyjechał z podziemnego garażu, aż Elżbieta zakrzyknęła z przerażenia. Lecz czas nagli! Cholera jasna, gotowi się z tym wszystkim nie wyrobić. Aż do Wilanowskiej zgodnie milczeli, zatopieni w niewesołych myślach. Elżbieta zastanawiała się, w której roboty wir rzucić się najpierw, a Ryszard z troską zliczał wydane pieniądze.

Zaczął sypać drobny śnieg, dodając im otuchy. Jak do tej pory temperatura była na minusie, ale śniegu za wiele nie napadało. A przecież tak pięknie wyglądał ich ogród przyprószoney śniegiem!

– Przypomnij mi, bym schłodził wino – odezwał się Ryszard, skręcając w stronę Powsina, a po dłuższej chwili dodał, wyrażając myśl, która nie dawała mu spokoju od czterdziestu ośmiu godzin:

– I powiedz ty mi, co ten nasz Paweł kombinuje?

– Ja już nie wiem! Nie mam do nich wszystkich siły! – zakrzyknęła Elżbieta, ochoczo podejmując temat. Ich wzburzenie wynikało z faktu, że dwa dni temu najstarszy syn praktycznie na ostatnią chwilę poinformował, że przyjdzie na Wigilię ze swoją sekretarką. Gdyby nie amok przedświąteczny, który nie pozostawiał im zbyt wiele czasu do rozmowy, oraz daleko ważniejsza – bo budząca grozę – wizyta teściowej Mateusza, zapewne przedyskutowaliby tę kwestię dużo dokładniej. Najgorsze było to, że sam Paweł nie podał im żadnych informacji, na których mogliby się oprzeć. Na pełne nadziei zapytanie ojca, czy z sekretarką to może coś poważniejszego, syn powściągliwie i chłodno zapewnił, że ich relacje są czysto służbowe i że zaprosił dziewczynę tylko dlatego, że ona nie ma gdzie spędzić świąt. Na dalsze indagacje Ryszarda uciał dyskusję, mówiąc, że dziewczyna po prostu nie ma w Warszawie rodziny i surowo zakazał wypytywania jej w tej kwestii.

Tak więc nie wiedzieli nic.

– A wiesz chociaż, jak ma na imię? – spytała Elżbieta, patrząc przed siebie.

– Agnieszka.

– Ładnie!

I po chwili dodała:

– Tylko jak to wszystko wytłumaczymy przed starą Pęksową? Zamiast żony na Wigilię – sekretarka!

Ryszard rzucił żonie poirytowane spojrzenie.

– Jak to „jak”? Przecież nie zaczniesz go tłumaczyć, chyba że stara zacznie wypytywać. Wtedy powie się prawdę, i tyle. Paweł przecież nic złego nie zrobił!

Znów milczeli dłuższy czas, nachmurzeni.

– Jeden syn się rozwodzi, drugi zdradza żonę w ciąży – znów zaczęła biadolić. – Co oni muszą o nas myśleć! Góralki są tacy pobożni, tacy rodziński!

– Nie pleć bzdur!

I na tym rozmowa o Pawle się zakończyła, bo myśli Elżbiety odpłynęły w kierunku najmłodszego, najbardziej „poszkodowanego” w jej pojęciu syna.

– Przypomnij Pawłowi, żeby popchnął naprzód sprawę siedliska – mruknęła, rozpinając pasy, gdy przez ogrodzenie obsadzone żywopłotem dojrzała jasną bryłę ich domu. – Zawsze zajęty swoimi sprawami. Trzeba miliony razy mu o tym przypominać. Niech raz i on zrobi coś dla młodszego brata!

– Już wysłał w tej sprawie pismo. Nie będę go ciągle o to nagabywał. Wsiadaj wreszcie!
– warknął Ryszard, albowiem znaleźli się właśnie w przylegającym do willi garażu. Z drzwi prowadzących do części mieszkalnej wyskoczyła babcia Wencłowa, mimo mrozu w podkoszulku i spodniach od dresu, na dodatek cała uwalana mąką.

– Rodzynki kupiłaś?

– Nie! – jęknęła Elżbieta, łapiąc się za głowę.

– Kurwa mać! – Babka prasnęła się po udach i ze zwinnością, o którą nikt by jej nie podejrzewał, wbiegła z powrotem do domu. Gdy Ryszard, stękając i międląc w ustach ohydne przekleństwa, wyładowywał z bagażnika ciężkie siaty, zobaczył, jak „mamusia” leci na przełaj w stronę furtki. Trzymała w dłoni małą portmonetkę, a ubrana była jedynie w ciekawą wiatrówkę, narzuconą na umączony podkoszulek. Zmierzała do małego sklepiku spożywczego, znajdującego się w sąsiedniej alei.

Chciał już ryknąć za nią, że się zaziębi i umrze, ale wiedząc doskonale, że nie przyniesie to żadnego rezultatu, objuczony jak wielbłąd otworzył drzwi, wpadł do spiżarki, cisnął ciężary na podłogę, po czym rzucił się do barku i, rozejrzawszy się chyłkiem, czy aby w pobliżu nie było żony, gołnął porządną porcję dobrego whiskacza.

Sapnął z lubością i zerknął na stojący na kominku ozdobny zegar. Dwunasta, do przyjścia gości zostało tylko sześć godzin! Od czego by tu zacząć? Prezenty, prezenty! Trzeba pakować prezenty, a potem? Dekoracja stołu, rozładowywanie napięcia między „mamusią” a Elżunią. Z pomocą butelczyny jakoś dobije do wieczoru! O czwartej umknie pod prysznic i odświeżony powita gości z uśmiechem na ustach. Jakoś muszą przeżyć te dwa dni.

Zatarł ręce i, zaopatrzony w szklaneczkę z odrobiną whisky na dzień, ruszył do gabinetu, gdzie czekały już przygotowane kolorowe papiery, ostre nożyczki oraz stos prezentów.

Kilka godzin później dziesięć odświętnie ubranych osób siedziało już przy wykwintnie ozdobionym stole. Śnieżną biel obrusu z surowego jedwabiu przełamywały, gustownie złożone, srebrno-złote, lniane serwety o brzegach zakończonych ręcznie wykonaną mereżką. Zastawa była kremowa, o złotych, fikuśnych akcentach, sztucze posrebrzane, a świeczniki kryształowe, w kolorze ciemnego burgunda – wszystko to było pozostałością po dawnej świetności rodziny w złotych latach dziewięćdziesiątych. Rozpalony na kominku ogień odbijał się w kryształach szklanek i kieliszków do wina, a całości dopełniała delikatnie migocząca, czerwono-złota choinka, ustawiona w wykuszu okiennym i odbijająca się we wszystkich pięciu taflach szprosowanych, wysokich po sam sufit okien.

Przepych skrzącego się bogactwem stołu nie sprzyjał jednak swobodzie konwersacji, a wręcz zamykał wszystkim usta. Ryszard dwoił się i troił, by podtrzymać rwącą się co chwila ciekawą nić rozmowy. Wciąż instynktownie zwracał się w stronę usadzonej honorowo po jego prawicy teściowej Mateusza. Groźna matrona jednak, nieczuła na te zabiegi, odpowiadała oszczędnie, jadła niewiele i, ku rozpaczy gospodarza, nie tykała nawet nalanych dla niej kieliszków pełnych doskonałego wina.

Wobec tego gospodarz sam cichcem popijał i z minuty na minutę jego nastrój ulegał pewnej poprawie. Minął mu już nawet gniew na Elżbietę, która szturchała go pod stołem, gdy

w desperackiej próbie znalezienia wspólnego języka z powinowatą, zwracał się do niej gwarą góralską. A przecież miał najlepsze intencje, bo próbował zrekompensować jej jakże dziwne, jakże niestosowne zachowanie swojego młodszego syna, Mateusza!

Ten zawsze wygadany, dyżurny wesołek i dusza towarzystwa, siedział milczący, a nawet melancholijny – psia jego mać! Jadł niewiele, a niepytany, nie odzywał się wcale. Sytuację ratował – o dziwo – najstarszy z braci. On to, który zazwyczaj nienawidził wspólnych spotkań na łonie rodziny i odzywał się z rzadka albo wcale, teraz opowiadał coś z charakterystycznym dla siebie czarnym poczuciem humorem. Czy się Ryśkowi zdawało, czy syn był mniej spięty niż zwykle? Może miało to coś wspólnego z tą siedzącą obok dziewczyną? Tą jego sekretarką. I Ryszard, krojąc śledzia i okraszając go szczodrze cebulą, rzucił na nią krótkie, baczne spojrzenie, po czym natychmiast opuścił wzrok na talerz.

O ile znał się na ludziach, wydawała się... hm... całkiem przyzwoita! Może nie taka rasowa piękność jak Hanna... Tfu, a bodaj by tę... Tu przypomniał sobie o wielkim święcie i straszliwe przekleństwo zamarło nawet w jego myślach. Dziewczyna siedząca obok Pawła może i nie była tak ładna jak znienawidzona synowa... i na pewno, niestety, znacznie chudsza. Ale patrzyła na jego syna ze skrywanym podziwem. Otóż to! Była przy tym bardzo dyskretna, najwyraźniej nie chciała, by inni dostrzegli jej zachowanie. Dobrze to o niej świadczyło!

Podbudowany, napił się wykwintnego, schłodzonego chardonnay. Nałożywszy srebrnym widelczykiem na talerz nową porcję śledzia, tym razem w śmietanie, znów skierował wzrok na przeciwległą część stołu. Nie chciał łudzić się pochopnymi nadziejami, ale tak wiele by dał... Wiele by dał, gdyby wreszcie jego pierworodny, tak hołubiony, tak zaradny, wyplątał się z tamtej starej historii... Jakże potrzebna mu była dziewczyna, która mogłaby go wspierać i dzielić jego zainteresowania. Która pomnażałaby majątek, zamiast tylko bezrozumnie go trwonić jak tamta... tamta... latawica! Nie dość, że wiecznie niezadowolona, nie dość, że nigdy nie trzymała się domu, to jeszcze ciągnęła z syna tyle gotówki, ile mogła...

Tu Ryszard lekko zadławił się ością i na gwałt szukał czegoś do zagryzienia. Żona machinalnie podsunęła mu chleb, lecz nie przerywała prowadzonej rozmowy. Spojrzał na nią z urazą, lecz ona nie zwróciła na to najmniejszej uwagi! Mógłby się udusić, a ona nadal utrzymywałaby, że nic mu nie jest! Żadnej wdzięczności za to, ile nakupował, by świąteczny stół wyglądał należycie! Ciekawe, czy siedzący tutaj goście widzieli kiedykolwiek równie obficie zastawiony stół, w równie wykwintnym wnętrzu!

I Ryszard ze źle skrywaną dumą potoczył wzrokiem po widocznym z jadalni przepastnym salonie. Położony niżej o dwa licowane marmurem stopnie i wyłożony lakierowanym parkietem, świecącym się jak lustro, w którym odbijał się teraz płonący na kominku ogień – mógł być równie dobrze salonem samego króla! Wielki na siedemdziesiąt pięć metrów kwadratowych, urządzony był ze smakiem. Meble z litego drewna zakupione zostały hurtowo – w sławetnym dziewięćdziesiątym drugim roku, kiedy to Ryszard wreszcie zarobił nieco gotówki – w dopiero co otwartym włoskim salonie. Do dziś pamiętał minę tego zadufanego w sobie, wymuskanego makaroniarza, któremu aż oczy wyszły z orbit, gdy Wencel zakomunikował mu, że bierze wszystko w komplecie. Italianiec najpierw oniemiał, a potem latał jak kot z pęcherzem w poszukiwaniu polskich pomocników, by się upewnić, że dobrze zrozumiał wartość złożonego zamówienia, a potem już tylko kłaniał się Ryszardowi w pas, aż ten, dumny jak paw, opuścił lokal. Meble były tak dobrej jakości, że do dziś nie było po nich znać upływu czasu.

Piękne, sute draperie zdobiły okna wychodzące na zadbane, jakże szczodrze dziś iluminowany ogród. Cały salon i jego wyposażenie zdawało się dwa razy większe, a to za sprawą porozwieszanych nad komodami pozłacanych luster.

I Ryszard, ze stosownym temu przepychowi dostojeństwem, zaoferował siedzącym

w pobliżu paniom doskonałego alzackiego gewurztraminera, który chłodził się w srebrnym wiaderku na małym, przeznaczonym do tego celu stoliczku – pomocniku. Elżbieta aprobująco skinęła głową, sięgnął więc dystyngowanym ruchem po skąpaną w lodzie szyjkę i owijając butelkę białą serwetą, nalał matce, a potem żonie, Karolinie i Mateuszowi. W końcu skinął głową Pawłowi, by ten uczynił to samo po drugiej stronie stołu.

Gdy Paweł sprawnie i dyskretnie uzupełnił kieliszki, gospodarz, błyskając szczerozłotymi spinkami przy śnieżnobiałych francuskich mankietach, wznosił toast:

– Wesołych Świąt! – Potem ujął swój kieliszek i chciał się stuknąć z panią Pęksową, lecz ta z jawną dezaprobatą uniosła kielich z wodą i, nie patrząc na Ryszarda, rzekła głośno i dobitnie:

– W naszej parafii ksiądz proboszcz wielokrotnie podkreślał, by CHOĆ w Wigilię od alkoholu się powstrzymać.

Wszyscy zamarli z kieliszkami w pół drogi. Ani gospodarz, ani tym bardziej żaden z synów nie ośmielili się podjąć polemiki z zagniewaną matroną. Mateusz, rodzinny kpiarz, zastygł z komicznym wyrazem twarzy i spojrzał na ojca niepewnie. Paweł znieruchomiał na moment, jakby wahał się, co robić, po czym upił ze swej lampki spory łyk. Elżbieta, zazwyczaj przychylna surowości obyczajów, najwyraźniej nie była skłonna posunąć się w swym chwilowym, wymuszonym zaistniałą sytuacją konformizmie aż tak daleko, by przyznać rację teściowej Mateuszka. Stanowisko pani Haliny, choć samo w sobie raczej niewinne, wygłoszone zostało tonem przywodzącym na myśl wypowiedzenie wojny. Z ciszy skwapliwie skorzystała babcia Wencłowa i odezwała się bojowo:

– A czy my kogoś obrażamy, winko sobie popijając? I sam pan Jezus by takim nie pogardził. A i pani ksiądz proboszcz pewno za kołnierz nie wylewa. Wikł by im tak drogo nie wychodził, gdyby najlepszych win nie zamawiali na parafię.

Wszyscy Wencłowie lekko się napięli. Niechęć babci Wencłowej do „przebrzydłych, chciwych klechów” była w rodzinie powszechnie znana. Trzeba przyznać, że dziś wieczorem i tak dość powściągliwie wyraziła się na ten temat.

– Szanowna pani Wencłowa, niechże pani nie krytykuje naszego proboszcza, boć go przecie pani nie znasz! – Pani Halina spąsowiała.

– Nie znam tego konkretnego. Być może jest to i dobry, i zacny człowiek, kto wie. I takie cuda się zdarzają! Ale mam przecie prawo, choćby z racji wieku, mówić, co myślę o czarnych sutannach! Za często wtrącają się w sprawy, o których nie mają pojęcia, tyle pani powiem!

Babcia dosiadła swego konika i najwyraźniej nie zamierzała odpuszczać. Niestety, i pani Halina nie należała do uległych, bo gniewnie ruszając czarnymi brwiami, odparowała:

– Gdyby młodzi chcieli słuchać rad Kościoła, o wiele szczęśliwiej by ze sobą żyli, droga pani! Bo, o ile wiem, Kościół nic złego młodym nie próbuje wpajać! A że potępia i kradzież, i cudzołożenie – znacząco zerknęła w stronę zięcia, który z pozornie niezależną miną obracał w palcach kieliszek – to jego zdanie może niektórym doskwierać! Niemodnie dziś domu się trzymać! – rzekła, kręcąc potępiająco głową.

– Trudno młodych do Kościoła zapędzić, jak księża takie głupoty z ambony plotą – zaperzyła się babcia, zwracając swą korpulentną postać w stronę wzburzonej pani Haliny.

Przy stole zamarły inne rozmowy, wszyscy patrzyli zaniepokojeni.

– A jakie to głupoty droga pani ma na myśli? – jadowicie zapytała pani Halina.

– A mam na myśli, że Kościół nie powinien się w politykę mieszać, droga pani! – Babcia Wencłowa zacisnęła pięść w kułak, jakby chciała wyrzucić ją w stół. Ryszard bezwiednie rozcapierzył dłonie, jakby w pogotowiu, by chwycić jakiś rzucony przedmiot.

– Kościół ma prawo i moralny obowiązek kierować uwagę ludzi na partię, która propaguje wartości katolickie!

– Jak ta partia propaguje wartości katolickie, to ja jestem chińska księżniczka. – Babcia Wencłowa poczerwieniała na twarzy. – Cholerne biskupy układ z prezesem PN-u mają! Kto wie, jakie przekrety razem robią. Lewe pieniądze ciągną na Kościół, a w zamian ludzi werbuja, by na tamtych głosowali. Zamiast nieść słowo boże!

– Pani Wencłowa, jak można w tym wieku takie bezeceństwa gadać?! Nie boi się pani o własne zba... – Tu pani Halina, zagalopowawszy się nieco, zagryzła wargi. Babcia natychmiast skorzystała z okazji, by wpaść jej w słowo:

– Moja droga pani, ja tam o swoje zbawienie się nie boję! I po bożemu żyłam, i swoich synów na dobrych, przyzwoitych ludzi wychowałam! Mój syn Ryszard całej rodzinie pomaga! Ze świecą szukać takiego człowieka! I zawsze taki był! – Babcia najwyraźniej poczuła się mocno dotknięta, bo pani Halina ze zwężonymi oczami uśmiechała się złośliwie. – A do zbawienia czarne sutanny nie są mi potrzebne. I niech oni lepiej pilnują własnego nosa, bo przynoszą państwu polskiemu hańbę! W sejmie aż czarno od nich! A paszli won z sejmu, biednym pomagać! Brać się do tego, do czego zostali powołani, a nie w politykę nochale wtykać!

– Próbuja podnieść moralność! Mają prawo to robić w tym skorumpowanym kraju!

– Niech się martwią o własną moralność. Oni pod płaszczykiem moralności chcą tylko władzy.

– Co też pani plecie, pani Wencłowa. – Pani Halina uśmiechała się z wyższością.

– Ależ to prawda, co mówi pani Wencel – za roztrzęsioną babką ujęła się zarumieniona Agnieszka. Widziała, że Paweł aż zaciskał ręce na sztuccach, lecz nie chciał wystąpić otwarcie przeciwko kobiecie, która była nie tylko gościem w domu jego ojca, ale jeszcze matką Karoliny i teściową nieszczęsnego, szarpiącego włosy Matiego. Postanowiła więc zrobić to za niego i natychmiast pożałowała, wszyscy bowiem spojrzeli na nią zaskoczeni.

Zapadła cisza, więc, chcąc nie chcąc, Agnieszka brnęła dalej:

– Księża w zamian za agitację wyborczą, która wyniosła do władzy prawicę, zyskali mnóstwo przywilejów. Na przykład niezwykle szybko uzyskują odszkodowania za utracone przez Kościół w czterdziestym piątym nieruchomości, podczas gdy osoby fizyczne, którym sprawy prowadzi na przykład nasza kancelaria, mają znikome szanse na reprivatyzację i muszą na to czekać latami! A że są już ludźmi w podeszłym wieku, więc...

– Nie widzę nic złego w tym, że Kościół odzyskuje zabrane przez komunistów dobra! – wtrąciła góralka.

– Samo w sobie nie jest to złem! – rzucił Paweł półgębkiem. – Ale są na specjalnych prawach, innych niż przeciętny Kowalski. Kościół funkcjonuje, jakby był prężną organizacją polityczną i ciągnie dla siebie korzyści jak prawdziwe partie. Zatem powinny go obowiązywać takie same prawa, czyż nie? Tyle że stoi ponad prawem i w dodatku pod płaszczykiem walki z korupcją robi państwu polskiemu złą robotę!

– Złą robotę? Jakże mogą robić gorszą niż czerwone pająki, które nakradły, ile się dało? – Czarne oczy krzepkiej góralki błysnęły złowieszczo.

– Ano mogą! Popierają wprowadzony przez Porozumienie Narodowe zamordyzm polityczny!

– Zamordyzm? Peenowcy porządek wreszcie zrobią.

– Pani nazywa to porządkiem? – Paweł aż ściszył głos, ledwo hamując oburzenie. – Organizując pokazowe polowania na drobnych łapówkarzy, wzbudzają w państwie atmosferę strachu! Podważają wszelkie możliwe autorytety, które tylko nie sprzyjają im politycznie! Robią zakusy na demokrację, wywierając nacisk na organy sprawiedliwości. To jest gorsze od łapówkarstwa, bo zakrawa na zamach stanu.

– Jak kto ma czyste ręce, nie ma się chyba czego obawiać? – Pani Halina uśmiechnęła się

triumfująco.

– Och, tu się pani myli! – nie wytrzymała Agnieszka. – Takie metody działania są typowe dla systemu totalitarnego. I zapewniam panią, że na każdego można „coś” znaleźć. Jeżeli partia zaczyna posługiwać się takimi metodami, jak manipulacja prokuraturą, czyli organami z definicji niezawisłymi – nikt już nie jest bezpieczny! Nawet stronnicy tego obozu!

Wszyscy oprócz pani Haliny spojrzeli z uznaniem na drobną, zapalczywą czarnulkę. Stary Wencel uchwycił wzrok swego najstarszego syna i popatrzył na niego znacząco, lecz Paweł, jak to Paweł, minę miał nieprzeniknioną.

– Nie sędzę, by długo się utrzymali. I ta ich koalicja niebawem się rozleci. Czego jak czego, ale zastraszenia to Polacy nie lubią – mruknął Mati łagodząco, na co jego teściowa pokręciła głową. Osamotniona na polu bitwy, postanowiła wysłać ostatnią zatrutą strzałę w stronę tego, który w końcu ośmielił się zabrać głos.

– Nie bójcie się, zdążą wyłapać jak karaluchów, wszystkich, co nakradli. Zdążą napiętnować tych, co mają za uszami! – I pierwszy raz tego wieczoru spojrziała w oczy swojemu zięciowi.

– Ech, co będziemy o polityce rozprawiać przy Wigilii – natychmiast wmieszał się Ryszard, chwytając kieliszek pełen wina. – Spotkaliśmy się w rodzinnym gronie, wszyscyśmy zdrowi. Niektórych zabrakło dziś z nami... i bardzo dobrze! – Kiwnął znacząco głową w stronę najstarszego syna. – Przybyły nam za to osoby nowe – tu rzucił Agnieszce swój szczególny uśmiech spod krzaczastych brwi – z czego wszyscy jesteście bardzo szczęśliwi... Yyy. I tego. I chciałbym jeszcze dodać, że najbardziej cieszymy się wszyscy z powodu naszej kochanej Karolci. – Stary Wencel obrzucił synową dumnym spojrzeniem. – I nie mąjemy już tego wielkiego święta swarami politycznymi, bo mam zamiar wznieść toast za długo wyczekiwanego i upragnionego wnuka! Brunona, tak? – Spojrzał pytająco na bladą Karolinę, która odpowiedziała słabym uśmiechem.

– A więc zdrowie Brunona i jego dumnych rodziców, którzy nie posiadają się ze szczęścia, bo już za parę miesięcy...

W tym momencie przemówienie Ryszarda przerwał ostry dzwonek telefonu komórkowego. Mateusz gwałtownie drgnął i poderwał się na równe nogi, trącając stół. Kryształki zadygotały i brzęknęły głośno. Młody Wencel wymamrotał niezrozumiałe przeprosiny i nie wyciągając telefonu z kieszeni, pomału oddalił się w stronę marmurowego holu. Szedł przyczołajonym krokiem, jakby ledwo się hamował, by nie puścić się biegiem. Gdy zniknął z ich pola widzenia, usłyszeli jego łomoczące susy na schodach i szuranie, jakby ślizgał się na zakrętach kamiennych schodów. Wszystkiemu temu przygrywał coraz cichszy sygnał nieodbieranego telefonu. Kres tym dźwiękom, tak doskonale słyszany w salonie, gdzie zapadła niesamowita wręcz cisza, położyło lekkie trzaśnięcie drzwi gdzieś na górze.

Wszyscy zamarli i pytająco spojrzeli na starego Wencła, który, zamiast dokończyć toast, kiwnął twierdząco głową, jakby dodając sobie animuszu i wychylił potężny kielich do dna. Poszli jego śladem i po chwili ciszy rozbrzmiewał szmer rozmów.

Ryszard wbił oczy w karpia w galarecie i jadł go w zwolnionym tempie, krojąc na malusieńkie kawałeczki. Nie śmiał podnieść oczu na Karolinę, a tym bardziej na jej matkę. Słyszał, jak najstarszy syn mówi coś do Piotrusia i jego narzeczonej o siedlisku, lecz nie mógł zrozumieć sensu wypowiedzi, albowiem w uszach huczało mu ciśnienie. Dopiero gdy odezwało się więcej głosów i na powrót zaczęły brzdękać sztucce, dyskretnie podniósł oczy na siedzącą obok potężną, wąsatą górkę. Pani Halina Pęksowa z domu Trzebunia, czerwona jak piwonia, niechętnie słuchała wywodów babci Wenclowej na temat nieubłaganych pracodawców niedających ludziom żyć nawet w największe święto.

– Ale jakoś muszą sobie radzić, droga pani! Mateuszek flaki sobie wypruje, ale rodzinę na poziomie utrzyma! – Babcia kiwnęła wyondulowaną głową i jakby hołdując takiej postawie, wychyliła kieliszek czegoś, co teoretycznie wyglądało jak woda. Ryszard obrzucił „mamusię” podejrzliwym wzrokiem.

– Są na świecie inne sposoby zarobkowania niż harówka w korporacji – przekonywał Piotrunio z końca stołu głosem dalajlami. Ryszard miał wrażenie, że kołnierzyk koszuli robi się za ciasny i uwiera go w nabrzmiewające tętnice. Poczłł jednak, jak Elżunia klepie go uspokajająco po dłoni, więc posłusznie zmilczał, wgrzając się w pszenną bułkę.

– „Cicha noc, święta noc!” – rozległo się nagle na cały regulator, tak niespodziewanie, że Ryszard oblał się niesionym do ust winem. To babcia, nie radząc sobie do końca z wynalazkami technologii, gmerała przy pilocie do wieży hi-fi. Dopiero przytomny jak zawsze Paweł wyciszył grzmiące dźwięki.

Stary Wencel niechętnie podniósł oczy, by sięgnąć po serwetkę i wtedy ujrzał, że Mateusz wreszcie zszedł. Stał teraz w towarzystwie Pawła na schodkach prowadzących z holu. Rozmawiali o czymś przyciszonymi głosami. Średni syn zajadle przekonywał o czymś brata, a ten, z rękami założonymi do tyłu, uparcie odwracał wzrok, jakby nie dawał wiary słyszonym słowom.

Tymczasem Elżbieta podała barszcz. Przez dłuższy czas słychać było tylko szcęk porcelany i brzęk sztućców. Gdy Ryszard wyłowil ostatnie pływające w swoim talerzu uszko, na tyle odzyskał równowagę, by mrukiwie zagaic swego średniego:

– W robocie w porządku?

– W porządku – odparł syn, nie ważąc się jednak spojrzeć na ojca.

– No więc, ciekaw jestem, ile te łachudry, te łapiduchy zasrane, biorą za poród? – wrócił do tematu, chcąc tym samym podkreślić swe żywe zainteresowanie sprawą, która winna najbardziej interesować przede wszystkim jego syna.

– Od dwóch tysięcy w górę za samego lekarza! Plus położna, plus salka, plus znieczulenie, plus prywatny pokój, jak już będzie po... Ja, oczywiście, opłacę kompleksowo.

Mati uśmiechnął się krzepiąco, kładąc Karolinie dłoń na wyraźnie widocznym już brzuszku. Chyba problem, który omawiał przez telefon, został zażegnany, bo chłopak wyglądał na spokojniejszego. Jednak żona nie odwzajemniła jego uśmiechu, a pani Halina, pochylona nad talerzem, nie odezwała się ani słowem.

Niezrażony Mati ciągnął wywód na tematy szpitalno-polożnicze:

– Trzeba posmarować i położnej, i lekarzowi! Najgorsze jednak, że nawet jak słono płacisz za wizyty kontrolne, tak jak to my robimy u jednego z najbardziej znanych ordynatorów w stolicy, to i tak lekarza prowadzącego może nie być przy porodzie! Ale jeśli GRUBO smarujesz, jak my temu skubańcowi, po trzy, cztery paczki za wizytę, to teoretycznie, jeśli Karola zacznie rodzić, a on będzie akurat niedyspozycyjny, da cynk swojemu kumplowi z oddziału i tamten nas przyjmie i dopilnuje. No, ale trzeba będzie zachować czujność i działać na bieżąco. Ponoć koperty jadą przy takich okazjach na prawo i lewo! Już ja się wszystkim zajmę!

– Pilnuj ino, kiejbyś ty był dyspozycyjny! Byś telefon od żony odebro! – odezwała się cicho, w dodatku gwarą, stara Pęksowa, nie odrywając oczu od talerza. – Bo jak bedzies zajęty w firmie „biznesem”, dyć niewiele wskóros!

– Niech się mama nie martwi, wszystko będzie dopięte na ostatni guzik – odparł Mat nieco nieuważnie, bo z jego kieszeni dał się słyszeć dźwięk nadchodzącego SMS-a.

– Pierzki wyśmienite! – zakrzyknęła babka Wencłowa znienna. – Udały ci się, Elżuniu!

Elżbieta usiłowała pociągnąć temat kulinarny, dopytując się, czy pani Halina ma jakiś specjalny sposób na farsz, ale ta odpowiadała monosylabami. Usilna próba podtrzymania błahej konwersacji nie powiodła się. W końcu między trzema paniami zapadła cisza. Mogły już tylko przysłuchiwać się dobiegającym z drugiej strony stołu dywagacjom Piotrusia na temat jakości współczesnego życia.

I gdy w ponurej ciszy raczono się karpim z ziemniakami, znów rozległ się ostry, nieubłagany dźwięk SMS-a.

– Wybaczcie! Przygotowujemy się do emisji wielkiej kampanii tuż po Nowym Roku. Ci ludzie nie respektują żadnych świąt. – Mateusz znów podniósł się z fotela. Wyglądał na zmartwionego i niezdecydowanego. Ręka Ryszarda mocniej zacisnęła się na widelcu.

– Po prostu nie odbieraj. – Stary Wencel, wpatrzony w zasmażoną cebulkę na pierogach, usłyszał oschły bas Pawła.

– Nie, tak nie mogę! Ta harpia, moja szefowa, tylko czyha na moje potknięcie. Rozmówię się z nimi w gabinecie, bo i tak mam ochotę zapalić – powiedział Mati, masując ramiona żony. – Za sekundę do was wrócę. I tak nie zjem teraz deseru. Zaczniecie beze mnie!

Ponieważ nikt mu nie odpowiedział, ruszył w stronę gabinetu, pomrukując jakby z niezadowolenia i obracając w dłoniach telefon.

Gabinet położony był w przeciwnym skrzydle domu. Wszedł tam, dokładnie zamknął drzwi i niecierpliwie wybrał numer. Gdy aparat się łączył, Mati, który palił niezmiernie rzadko, wyciągnął z biurka cygaretki. Słysząc sygnał, ale nikt nie odpowiadał. Przypalił sobie cygaretkę i próbował jeszcze raz. Znów to samo. Odebrała dopiero za trzecim razem.

– No, co jest? – spytał maksymalnie poirytowany, zerkając na drzwi. Zdawało mu się, że słyszał za nimi jakiś ruch. – Czemu nie odbierasz?

– Ładnie to sobie wymyśliłeś, Mateusz – rzekła Antośka zimno. – Ja nie mogę do ciebie normalnie zadzwonić, ale mam odbierać natychmiast, kiedy tobie przyjdzie ochota, tak? A może ja też coś robię? Nie pomyślałeś?

– Kochanie, nie denerwuj się. – Mocno się zaciągnął, próbując jednocześnie wyłowić z dobiegających z salonu głosów ogólny sens rozmowy. Zdawało mu się, że ktoś wykrzykiwał jego imię, ale potem uzmysłowił sobie, że włączono telewizor.

– Kiedy więc będziesz? Wiesz już? – zapytała chłodno, lecz w jej głosie pobrzmiwała rozpacz.

– Cholernie za tobą tęsknię i kocham tylko ciebie! Kocham cię! – wyszeptał, stojąc tyłem do drzwi.

– Wiesz, że ja ciebie też. – Jej głos zmiękł odrobinę. – Więc, co cię, do cholery, powstrzymuje przed przyjazdem?! Ta obłąkana kobieta? Pozwolisz jej się szantażować? Nie zobaczymy się w święta? Przecież ona właśnie osiąga swój cel!

Zgarbił się jeszcze bardziej, jakby chciał osłonić ciałem słuchawkę. Znów zaciągnął się mocno, strzepnął popiół, sypiąc połowę na ojcowe papiery, wrzucił cygaretkę do popielniczki i nerwowo przeczesał włosy ręką.

– Nie wiesz nawet, co za horror przeżywam! Bóg mi świadkiem, że ledwo nad sobą panuję! Cieszę się tylko, że ty nie musisz tego samego przechodzić!

W słuchawce zaległa cisza.

– Antosia! Ta kobieta w szale zazdrości wytlukła przed chwilą połowę szklanek w naszym domu. Przy tym pokaleczyła sobie ręce... Oszczędzę ci zresztą szczegółów. Ale nie mogę dzisiaj jej zostawić. Ma ręce w bandażach, sama nie może jeść. Karmiłem ją barszczem... Tylko jedna myśl trzyma mnie przy życiu! Że już niebawem będziemy na zawsze razem!

W słuchawce słysząc było ciurkanie, jakby Antonina czegoś sobie nalewała.

– Ale jestem naiwna! Specjalnie zostałam w Warszawie. Myślałam, że ten dzień spędzimy razem. Przygotowałam nawet kolację wigilijną dla dwojga. A teraz zostałam sama! Ty jesteś z rodziną, a ja spędzam święta przed telewizorem! Nigdy nie sądziłam, że dam się tak przerobić!

– Przynajmniej jesteś sama i masz święty spokój, a ja muszę uspokajać tę wariatkę. Co chwila wybucha dzika awantura! Daleko tu od sielanki, jeśli tak to sobie wyobrazasz!

– Wierzyłam ci, jak mówiłeś, że się wyrwiesz!

– Jeszcze nie wiedziałem, jaki numer wytnie!

– Przez całe życie będzie cię tak trzymać na pasku swojego szaleństwa?

– Nie przez całe życie, wiesz doskonale! – Mati oderwał słuchawkę od ucha i zasłaniając szczelnie mikrofon, w trzech susach znalazł się przy drzwiach. Położył rękę na klamce, bezgłośnie ją nacisnął i szybko jak kobra wychynął na korytarz. Nikogo! Coś mu się zdawało. Cichuteńko zamknął drzwi i bezszelestnie wrócił do biurka i wsparł się na nim jedną ręką.

– Tak jak mówiłem – kontynuował lekko rozkojarzony, znów oglądając się za siebie, by sprawdzić, czy domknął drzwi. – Jej faszystowskie metody niedługo wybrzmieją. Sama będzie miała dość czepiania się mojej nogawki! Czy ty wiesz, jak jej z tym ciężko? Ona przecież wie, że wolałbym być z tobą. Myślę, że gdyby miało to trwać nawet rok, przecież w końcu sobie odpuści!

– Rok?!

– Mówię przykładowo. Jako najdłuższy potencjalnie okres upokorzeń, który istota ludzka może znieść!

– Mówiłeś o tygodniach, a teraz o roku?!

– Dałem przykład, gdyby, teoretycznie rzecz ujmując, okazała się bardzo zatwardziała i odporna na upokorzenie! Ale nikt, nawet ona, nie zniesie bycia z kimś, kto jej nie kocha, kto myśli o innej. A zresztą pomyśl – czym jest nawet taki rok – w perspektywie tego, że się kochamy! Że chcemy być ze sobą. Że wkrótce będziemy ze sobą całe życie. I nikt ani nic nie jest w stanie tego zmienić! Że pragnę ciebie, a nie jej. – Nadał swemu głosowi bardziej intymne brzmienie, kuląc się i głaszcząc aparat dwoma palcami.

– Mateusz! – ktoś syknął tuż za jego plecami. Okręcił się na pięcie, równocześnie łapiąc się za serce, które na moment ustało. Błady niczym trup, zobaczył ojca stojącego dwa metry od niego, całego purpurowego z wściekłości. Starszy zakradł się cicho jak kocur!

– Jezu, tato! – Mati nie mógł złapać oddechu, ale miał jednak na tyle instynktu samozachowawczego, by błyskawicznie się rozłączyć. – Cholera! Ale mnie przestraszyłeś!

– Koniec tej komedii – ojciec mówił w bardzo specyficzny sposób, jakby bezgłośnie krzyczał. Cichy głos rekompensował upiornym wykrzywieniem twarzy. – Szoruj do salonu, zanim naprawdę się doigrasz.

– Jezus Maria, tato! Musiałem coś załatwić!

– Jazda do salonu, do żony. Ale już! – Stary wyglądał, jakby chciał złapać syna – wielkiego trzydziestopięciolatka – i doprowadzić go do żony za ucho.

Minutę później weszli do salonu. Stary Wencel dreptał dwa kroki za synem, jakby gotów popchnąć go we właściwym kierunku. Reszta towarzystwa, raczej milcząca, siedziała w głębokich kanapach w pobliżu kominka. Jedni popijali kawę, inni herbatę. Mateusz w dwóch susach znalazł się przy ciężarnej żonie, opadł koło niej na kanapę, otoczył ją ramieniem i rzekł głośnie, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu:

– No nareszcie! Co za banda imbecyli. Zostawiłem im wytyczne, ale oni są jak dzieci we mgle. Sami nie podejmą żadnej decyzji!

– Pracują w Wigilię? – zabrzmiał zdumiony głos siedzącej nieopodal Zosi, ale nie zwrócił

na to uwagi, jakby sprawa była oczywista. Ciągnął, pstrykając palcami i zacierając ręce:

– Są zależni ode mnie jak zboże od gleby. I dobrze, prawda, maleńka? Być niezastąpionym w korporacji w ciężkich czasach to prawdziwy luksus! I gwarancja dobrobytu dla małego Brunonka. Co, mała? – Żona nie odwzajemniła uśmiechu, lecz ciągnął niezrażony: – Ale już wszystko załatwiłem i mam ich z głowy. Czy moja żoneczka nie wygląda wprost kwitnąco? – wykrzyknął, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich. – Kobieta w ciąży to istota niemal boska. To cud, że człowiek potrafi stworzyć drugiego człowieka, nie sądzicie? To już sam w sobie dowód na istnienie Boga!

– Mati, nie bluźnij w Boże Narodzenie! Na istnienie Boga nie potrzebujemy dowodów. – Karolina niespokojnie zerknęła w stronę siedzącej obok matki. Pęksowa uparcie odwracała od córki wzrok, jakby była na nią obrażona. – Prosiłam cię, Mateusz, żebyś nie zaczynał dyskusji na temat wiary przy mojej matce!

W pokoju zapadła cisza. Pęksowa siedziała milcząca, z oczami spuszczonej i rękami złożonymi na podolku. Karolina, cała czerwona, uparcie odpychała dłoń usiłującego ją pogłaskać męża i zwracała przepraszący wzrok w stronę zagniewanej matki. Mateusz, nadal uśmiechnięty, bezskutecznie próbował rozładować atmosferę.

Chciał rozśmieszyć żonę i teściową, lecz ta druga zdawała się nieprzejednana. Po jakimś czasie wstał więc i dołożył drewna do kominka, a potem, doskonale maskując niechęć, zawrócił ku Karolinie. I gdy tak szedł przez pokój, nagle uświadomił sobie coś, z czego dotychczas zupełnie nie zdawał sobie sprawy.

Jego żona, choć piękna, była bardzo podobna do matki. Fizycznie! Mimo że Karolina była ładną blondynką, a jej matka korpulentną, niezadbaną kobietą z ciemnym meszkiem pod nosem i czarnym warkoczem wokół głowy, obie kobiety były do siebie uderzająco podobne. Karolina była po prostu młodszą kopią matki. Było coś charakterystycznego w zadartych nosach, w wysuniętych podbródkach – w obu twarzach przewijał się ten sam rys, rzekłbyś, jakiegoś tępego uporu i nieugiętego charakteru, niezdolności do przyjęcia innego punktu widzenia. Że też wcześniej tego nie zauważył! Zdawało mu się zawsze, że Karolina jest piękna. Teraz widział wyraźnie, że z wiekiem upodobni się do matki. Będzie identyczna! Może nawet wyrośnie jej ten ciemny wąsik!

Przysiadł obok żony i, niezdolny już do żadnego gestu pojednania, podciągnął nogawki, by nie wypychać spodni.

Najgorsze było to, że Karolina była podobna do starej Pęksowej nie tylko fizycznie. Z tego, o czym właśnie rozmawiały, wynikało jasno, że obie mają identycznie ukształtowany światopogląd. Był to światopogląd, który wszystko brał za pewnik i niczego nigdy nie podawał w wątpliwość. Jeżeli ktoś dyskutował o czymś, co nie przynosiło dochodu, był w ich oczach domorosłym filozofem. Kobiety te były proste jak konstrukcja cepa. Nie było w nich za grosz tej neurotycznej nutki szaleństwa, chwiejności, skrajności czy romantyzmu... – jak zwał, tak zwał!

Co więcej – obie traktowały go jak duże dziecko. Takie, którym należało pokierować. To, że zarabiał, że dostarczał środków do dostatniego życia, było dla nich dowodem na jego spryt, ale nie na dojrzałość charakteru. Jego egzystencjalne niepokoje brały za infantylność, a jego nastawienie do świata – sceptyczne, niedowierzające – za kaprys i histerię!

Zwłaszcza jego pragmatyczna żoneczka, która zawsze robiła wrażenie naiwnej sierotki Marysi. Nagle z przerażeniem uświadomił sobie, że kruchość jej charakteru była tylko pozorna. Tak naprawdę była silna jak dąb! Twarda i uparta, jakby skumulowała w sobie cechy typowe dla całego góralskiego plemienia.

Gdy siedział tak, znieruchomiały niczym podsądny, który właśnie usłyszał surowy wyrok, poczuł rękę Karoliny na swojej. Podniósł głowę i zobaczył, że budząca grozę pani Halina gdzieś

sobie poszła – najpewniej do łazienki. Wreszcie! Żona uśmiechała się do niego i – jak na razie – nie miała ani śladu wąsów!

W tle zabrzmiały słowa kolędy *Bóg się rodzi*, Mateusz zobaczył, jak ojciec mówił coś do matki, która spozjrzała na niego na wpół surowo, na wpół żartobliwie. Paweł i ta jego sekretareczka szli właśnie do gabinetu, pewnie zapalić... Piotrunio gładził po ramieniu Zosię, która opowiadała coś babce. Stara Wencłowa kiwała potakująco głową, ale Mati, który doskonale ją znał, widział dobrze maskowaną niechęć. A więc Zosia nie zdołała wzbudzić sympatii babci... Matki chyba też nie, o ile się orientował.

Tak czy siak, nie był to jego problem. Odwzajemnił Karolinie uścisk ręki. Poczul, że kamień spadł mu z serca. To niesamowite, że kiedy tylko dostojna matrona opuściła pokój, atmosfera zelżała o parę tonów. I chyba nie on jeden odniósł takie wrażenie. Zewsząd słychać było jakby żywsze odgłosy rozmów, a nawet śmiech.

Niewiele myśląc, a chcąc zdążyć przed powrotem surowej teściowej, pociągnął Karolinę do holu. Rozejrzeli się, a ponieważ nikt nie zwrócił na nich uwagi, poszli na górę, trzymając się za ręce. Kolację wigilijną opuścili przed końcem. Po angielsku.

Następnego dnia świąt, po późnym śniadaniu goście wreszcie wyjechali, pozostawiając po sobie istne pobożowisko. W kuchni stały sterty brudnych naczyń, w sypialniach – tony pościeli do prania. W samo południe Elżbieta, babcia Wencłowa i Ryszard siedzieli przy kuchennym stole, niezdolni do rozmowy. Byli tak wyczerpani, że przez pierwsze pół godziny tkwili niemal bez ruchu. Kobiety popijały kawę, a Ryszard dostał specjalną dyspensę na whisky, bo po obfitym posiłku, na który złożyły się bigos, zimna pieczona gęś, sałatka jarzynowa, grzybki w occie i szynka, zaczęła dokuczać mu wątroba. Nie mógł więc obyć się bez kilku szklaneczek czegoś mocniejszego, lecz nikt już nie zwracał na to uwagi. Po stresie związanym przede wszystkim z obecnością pani Haliny Ryszard miał święte prawo sobie chlapać. Po pierwsze, to on brał na siebie odium jej niezadowolonia, a po drugie, w obawie, by nie być posądzonym o popijanie alkoholu w najważniejsze katolickie święto, musiał ograniczyć się jedynie do wina. Skwapliwie korzystał więc z tej furtki do tego stopnia, że męczyła go teraz okrutna zgaga.

Jednak żadne dolegliwości fizyczne nie mogły zmącić radości z faktu, że już było po wszystkim. Wyjechali i prędko nie wrócą!

Ryszard zmrużył oczy i wygodnie rozsiadł się w fotelu. Za oknem sypał gęsty śnieg, zrobiło się już całkiem białe. Kiedy trochę uprzątną, zrobi sobie z Elżunią miły spacer. I znów pociągnął przedniej jakości whisky. Najważniejsze, że zjazd rodzinny miał już za sobą. Młodzi jak to młodzi. Hałaśliwi, nieokiełznani i skupieni na swoich problemach, nic nowego. Ale ta baba, stara Trzebuniowa! Wykończyła nerwowo ich wszystkich. Szczęście, że to już za nimi. Święta, święta i po świętach, jak to mówi przysłowie polskie, taaa jest...

Tymczasem, ku swej zgrozie usłyszał, jak matka i żona wałkują temat teściowej Mateusza. Kobiety! Nigdy nie mają dosyć. Będą mleć ozorami i wracać do tematu tysięczny już chyba raz.

– ...w stanie zmrozić całą atmosferę! – ciągnęła babcia Wencłowa podniesionym głosem.
– Mówię ci, że w razie jakiego nieszczęścia tak córcię nastawi przeciw Mateuszkowi, że on już nigdy dzieciaka nie zobaczy!

– Mateusz nie jest głupi, żeby do czegoś takiego dopuścić. – Elżbieta utkwiała w mężu pytający wzrok, jakby czekając na potwierdzenie swoich słów.

– Pewnie, że nie! – mruknął Rysiek i wychylił, co miał w szklance.

– Udały się w tym roku makowce!

– Ano.

Babcia, mimo że ledwo się ruszała z objedzenia, ukroiła sobie jeszcze mały kawałeczek i zjadła, krusząc obficie.

– Dam mamusi talerz!

– A, słuchaj, Eluniu – ciągnęła babcia. – Czyś ty widziała, jaki bałagan w pokoju zostawiła ta, co niby pensjonat chce prowadzić?

– Zosia? – Elżbieta nastawiła nową wodę na kawę. – Nie... Jeszcze tam nie byłam...

– To lepiej idź i zobacz, nim Rysiek im te pieniądze wyłoży. – Babcia umiała zaatakować celnie, lecz widząc, że synowa aż pąsowieje, szybko zmieniła temat: – Ale za to powiem ci, że ta Agnieszka...

– No?

Ryszard oderwał wzrok od okna i zastygł, wpatrzony w matkę. Porywcza, bo porywcza, ale miała momentami jakby nadprzyrodzoną zdolność czytania ludzkich charakterów.

– Złoto, nie dziewczyna!

– Czemu tak mamusia uważa? – spytał tonem pozornie obojętnym. – Przecież wcale z nią mamusia nie rozmawiała?

Również Elżbieta znieruchomiała, opierając się biodrem o szafkę.

– Ja widzę więcej, niż tobie się zdaje! – odparła babcia, zakładając okulary i patrząc na syna wyzywająco. – Tobie się zdaje, że tylko tyś taki mądry. Ja tymczasem kilka razy z nią sobie pogadałam. Spokojnie, na boczkach, żeby nikt nie widział...

– No to niechże mamusia mówi!

– Nie chciałam dziewczyny brać na spytki, ale z drugiej strony postanowiłam dać jej do zrozumienia – w razie gdyby ten wasz dziwoląg nic jej nie okazał, co bardzo do niego podobne – że jemu bardzo trzeba dobrej kobiety.

– Nie no! Po co mamusia aż tak się wtrąca?! – przeraziła się Elżbieta, podchodząc do stołu, sięgając po szklankę i nalewając sobie trochę whisky. – Wie mamusia, że kto jak kto, ale Pawełek nie znosi, jak mu się kto miesza w jego sprawy!

Zapadła pełna przerażenia cisza. Rzeczywiście, Paweł chodził własnymi drogami i ze swojego życia osobistego nie zwierzał się nigdy! Jeden jedyny raz... Wtedy, gdy Hanna go opuściła. Od tego czasu nie powiedział o tym ani słowa i nie pozwalał poruszać tego tematu innym.

– A skąd w ogóle mamusia wie, że on by sobie tego życzył? – zakrzyknęła Elżbieta. – Przecież tobie mówił – popatrzyła na męża – że to relacja służbowa, nie tak?!

– Elżbieto, Elżbieto, Elżbieto! – Babcia kiwała głową, uśmiechając się wszechwiedząco.

– Nie no, niech mamusia nie będzie taka pewna swego! – rozgniewał się Ryszard. – Ja też ich obserwowałem i Bóg mi świadkiem, że dużo bym dał, byle tylko zapomniał wreszcie o tamtej czarownicy! Ale ja nie dopatrzyłem się między nimi niczego takiego, o czym mamusia mówi nam z takim przekonaniem...

– Widocznie źle patrzyłeś. – Babcia Wencłowa uśmiechnęła się triumfująco. Małżonkowie spojrzeli po sobie z niepokojem. Babka ostatnio posunęła się w latach! Czyżby miała zaczątki, nie daj Bóg, czegoś takiego jak... Nie, lepiej nawet o tym nie myśleć!

– No, ale po czym mamusia poznała, że ona nie jest mu obojętna?

– Może nie pała do niej szaloną miłością, ale raczej ją lubi! – zaczęła babka.

– Phi! – prychnął Ryszard z irytacją. – Lubi! Mamusia nie zna Pawła! Jemu lubienie nie wystarczy, by... Paweł to w głębi duszy prawdziwy romantyk.

– I w dodatku stały w uczuciach! – dorzuciła Elżbieta takim tonem, jakby mówiła, że Paweł zaraził się kiłą.

– Oboje jesteście ślepi! Zobaczycie, że wyjdzie na moje. Przy niej Paweł jest innym

chłopakiem. Uśmiecha się, dowcipkuje. Może nie zwraca na nią przesadnej uwagi, ale...

Babcia zamarła, rozdympując nozdrza i wpatrując się w swoje własne ręce.

– No co? Co?

– Ano nic! Właśnie mi się przypomniało, jak ona go popierała, jak tłumaczył Piotrusiowi, że wykupienie siedliska może jeszcze potrwać. A i on był na nią uważny! Dbał, by niczego jej nie brakło.

– A spali... jak?

– Osobno! – wykrzyknęły Elżbieta i babcia jednogłośnie. Jakże Ryszard mógł tego nie zauważyć!

Znów zamilkli. Słysząc było tylko, jak Rysiek miesza herbatę.

– I powiem wam jeszcze – dodała nagle babka – że tak porządnej dziewczyny jak żyję nie widziałam! Po Wigilii pomogła mi uprzątnąć dosłownie wszystko ze stołu. Gary pozmywała w pół godziny, nim zdążyłam się odwrócić. A jaka przy tym serdeczna, jaka niezwracająca na siebie uwagi!

Wszyscy troje westchnęli. Dziewczyna cicha, pracowita, zapatrzona w syna i niezwracająca na siebie uwagi. Czegoż więcej mogli chcieć kochający rodzice?

Kopciuszek

Wreszcie wyznaczono termin rozprawy.

Mimo właściwych sobie czarnych przewidywań co do jej przebiegu Paweł Wencel nieco się odprężył.

Od świąt nawet lepiej sypiał.

Czyżby pościg za byłym współnikiem i tamtą gniądą stał się swoistym antidotum na to, co go spotkało za sprawą ukochanej żoneczki?

Tak czy inaczej z łóżka wstawał ostatnio z nową energią. Tylko dwa dni zostały do końca roku, a on i Aga mieli jeszcze masę pracy. Musieli uzgodnić terminarz stycznia, mieli też przygotować pytania dla świadków i dla samego pozwanego, Zagajewicza. Ha!

Decydująca chwila zbliżała się wielkimi krokami. Siłą rzeczy kwestia Kwaśniaka musiała zejść na boczny tor. Teraz nic nie było ważniejsze od sprawy Zagajewicza.

Przez sylwester i Nowy Rok wypadało kilka dni roboczych, trzeba więc było mocno się sprężyć, by wszystko zawczasu przygotować. Po Nowym Roku do rozprawy zostawało tylko kilka dni, by przeciwzyć pytania i odpowiedzi ze świadkami: prezesem Baranowskim i dyrektorem finansowym Budexprimu – panem Kostrzycem. Zatem przed sylwestrem należało opracować owe pytania i odpowiedzi, a także umówić się z oboma panami na termin tuż po Nowym Roku.

Pytania i odpowiedzi trzeba mieć wykute na blachę.

By umilić sobie i Adze ten nawał roboty, Paweł zaproponował, by zamiast kisić się w „szczurzej norze” – jak zwykł nazywać ich aktualną siedzibę – zabrali laptopy i spotkali się w restauracji. Tam, przy jedzeniu i kawie, mogli posiedzieć nad robotą.

Zerknął na zegarek. Kwadrans po ósmej! Ale sobie pospał. Miał tylko czterdzieści minut na dotarcie na miejsce. Szybko ruszył do łazienki.

Wykąpany i odświeżony, z przyzwyczajenia chciał włożyć garnitur, lecz w następnej chwili przypomniał sobie, że umówili się przecież w „Szparce”! Z wahaniem obejrzał wiszące w szafie koszule. Z pewnością w tym lokaliku pełno będzie różnych warszawskich gnojzków odstawionych jak stróże w Boże Ciało. Hipstersów, emo czy innych dupków... Tych, co myślą, że świat na nowo odkrywają. Pajace!

Po krótkim namyśle włożył koszulę i sportową marynarkę. Nie zamierzał się wysilać ani próbować dopasować, ale też nie zamierzał rzucać się w oczy. Nie znosił tej knajpy, ale mieli tam dobrze działający Internet, no i nikt tam się nie zdziwi na widok dwójki ludzi bębniących pół dnia w laptopy. A i jedzenie mieli znośne. Pał więc łąco całą przesiadującą tam hałastrę!

Zerknął w lustro, rzucając sam sobie mordercze spojrzenie. Zgarnął aktówkę i klucze od auta, po czym wyszedł z mieszkania, lekko trzaskając drzwiami.

Jadąc w stronę placu Trzech Krzyży, przypomniał sobie, że pytał Agnieszkę, czy nie chciałaby jutro skończyć wcześniej z racji sylwestrowej zabawy, lecz rzuciła mu wymowne spojrzenie i mruknęła, że i tak nie ma z kim iść.

Nie sądziła chyba, że, jak ten rycerz na białym koniu, przybędzie po nią i uratuje od samotności? Jeszcze tego by brakowało!

Wiele by dla niej zrobił, ale są pewne granice. Niechże wreszcie sierotka znajdzie sobie jakiegoś chłopaka. Kogoś w swoim wieku. Dałby Bóg, by wreszcie wygrali tę sprawę dla Baranowskiego! Nie musiałyby tyle harować i może wreszcie ułożyłyby sobie życie. Cholera, kiedyś miał siana jak lodu – wtedy bez kłopotu dałby jej te parę tysiączków ekstra, choćby po to, by się trochę pozbierała. Dziś, jak na złość, musiał pilnować każdego grosza, a kasa z jego oszczędności płynęła po prostu strumieniem.

Pomoc Agnieszki była nieoceniona, ale nie mogła robić tyle kosztem własnego zdrowia. Na Boga, młoda dziewczyna powinna spędzać trochę czasu z rówieśnikami.

Wszedł do „Szparki” i od razu zobaczył Agę. Siedziała przy stoliku, była przed czasem. Dziwne, Hanna zawsze się spóźniała. Przemknęła mu myśl, że jest coś seksownego w spóźniających się kobietach... Jednak gonić za króliczkiem... Hmm.

Uśmiechnięty, zdjął płaszcz i usiadł przy niej, nie dając po sobie poznać, że zauważył, jak się zarumieniła. Piła latte i miała wyciągnięte notatki, niczym gorliwa studentka przed profesorem.

– Pani Agnieszko, widzę, że jest już pani w blokach startowych do pracy. A ja właśnie myślałem, żeby wysłać panią na przymusowy urlop.

– Nie mogę, panie mecenasie! Nie dałby pan sobie beze mnie rady.

Niestety, smarkata miała rację.

– Dobrze, zaraz rozpiszemy, kto czym się zajmie, tylko złożmy zamówienie! Co jemy?

Wzięli do rąk karty dań, gdy nagle usłyszeli za sobą gwar. Paweł zerknął spod oka i zobaczył gromadkę tak zwanej złotej młodzieży. Eleganckie dziewczyny i wystrzałowo odpicowane chłopaki robili tyle zamieszania, ile się dało.

– Na co ma pani ochotę? – zagadnął, przeglądając menu. Ponieważ nie odpowiadała, podniósł na nią wzrok. Zdziwiony, zobaczył, że była dziwnie spięta. Wyglądała, jakby zobaczyła diabła.

– Co jest? – spytał poirytowany, znów oglądając się za siebie. Czyżby ta banda wesołków to owa sławetna „przyszłość warszawskiej palestry”, znienawidzeni koledzy i koleżanki z Wydziału Prawa? Zmierzył rechocących, hałaśliwych młodych ludzi chłodnym spojrzeniem. Rzeczywiście, intuicja go nie zawiodła.

Dwie roześmiane dziewczyny, wystrojone w ciuchy najdroższych marek (Paweł miał oko do takich rzeczy, bo kiedyś często sam kupował je Hannie), zbliżyły się do ich stolika z lekkim wahaniem.

– Agnieszka? – zawołała jedna z nich, ogniście ruda, bardzo atrakcyjna i absolutnie tego świadoma. – Ty tutaj?

Paweł nie śmiał spojrzeć na panią Agnieszkę, szóstym zmysłem wyczuwając jej wielkie wzburzenie. Również i jego wkurzył podszyty szyderstwem ton wypowiedzi dziewczyny. Po pierwsze, co dziwnego było w tym, że jego pani Agnieszka znajdowała się w tym podrzędnym lokaliku? Toż to, kurwa, nie był żaden „Ritz”!

Choć może nie to miały na myśli, cholera wiedziała. Zawsze wszystko brał od strony finansowej, miał to po prostu we krwi. Może dziwiły się, że Agnieszka w ogóle „bywa” na mieście? Może raczej spotykano ją zawsze w bibliotece czy jak?

Usłyszał, jak niepewnym tonem odpowiedziała, że owszem, przyszła na kawę.

Dziewczyny spojrzały po sobie, jakoś porozumiewawczo. Obie, a zwłaszcza ruda, działały Pawłowi na nerwy. Grupka pozostałych zaczęła je nawoływać, ale ta ruda, widocznie czymś zafrapowana, uparcie stała przy ich stoliku.

– Nie przedstawisz nas? – spytała z naciskiem, zerkając na Pawła.

– To jest mój...

– Paweł Wencel – Paweł szybko się wmieszał, wstając z krzesła i prostując do swego metra dziewięćdziesięciu. Nie chciał, by wredne dziewczuszyska usłyszały, że jest jej szefem, a zapewne to zamierzała im powiedzieć.

Zdumienie, jakie odmalowało się na ich obliczach, kazało mu przypuszczać, że dotychczas Agnieszki nie widywano z mężczyznami. Ta ładniejsza, ruda, szybko się przedstawiła i podała mu wypielęgowaną rączkę.

– Magdalena Szulc.

No proszę. Córeczka profesora Szulca. Nieodrodny pomiot bezczelnego specjalisty od prawa międzynarodowego, pewnie z jego drugiego małżeństwa. Starszy syn był z Pawłem na roku. Zresztą taki sam buc. I też ryży.

– Zapraszamy do naszego stolika – wycedził Paweł, owładnięty chęcią zemsty, choć Agnieszka posyłała mu ostrzegawcze spojrzenia.

Druga dziewczyna ewidentnie się wahała, lecz ruda była najwyraźniej zdecydowana zbadać sprawę pani Agnieszki od podszewki. Pociągnęła koleżankę i zajęły pozostałe przy ich stoliku wolne miejsca.

– Zdziwiłam się, widząc cię tu, Agnieszko, bo o tej godzinie zawsze pracujesz w „McDonaldzie”? – rzuciła słodkim głosem, wieszając na krześle wielką torbę Louisa Vuittona i opierając na stole wypielęgnowane dłonie, strojne we wszelkiej maści błyskotki, rzemyczki i lśniącą omegę. – Zawsze cię tam widuję, kiedy jadę na uczelnię, więc jak cię dziś nie było w twoim okienku, to słusznie pomyślałam, że u ciebie zmiany? Dostałaś wieczorną szychkę? – Uśmiechnęła się najpierw do skurczonej na krześle Agnieszki, a potem do Pawła.

Paweł oniemiał. Aga w „McDonaldzie”?! Aż tak potrzebowała dodatkowej gotówki? Przecież płacił jej dwa razy tyle, co inni sekretarkom. To kiedy ona spała? I uczyła się?

– Nie pracuję tam od miesięcy! – odparła Agnieszka, uśmiechając się chłodno.

– Wspaniale! Awansowałaś? – bezczelnie brnęła pannica, szczerząc w uśmiechu perłowobiałe, ostre ząbki.

– To był epizod – Agnieszka odparowała lodowatym głosem. – Chwilowo byłam zmuszona. Teraz pracuję już tylko w kancelarii mecenasa.

Pannica ostrożnie przyjrzała się Pawłowi. Musiało zacząć jej świtać, ostatecznie Wencel, Zagajewicz i Zybert mieli swoją renomę. Z pewnością nazwa ich spółki przynajmniej obila się jej o uszy.

– Ach, więc pracujecie razem. I pewnie przyszlście tu biznesowo? – z lekka się uspokoiła.

– Nie – z krzywym uśmiechem zaoponował mocno podminowany Paweł, opierając na stole swoje potężne dłonie. – Przyszlśmy tu, bo Agnieszka uwielbia deser, który tylko tu podają! Na jakie wino masz ochotę, Aga?

Specjalnie powiedział jej po imieniu. Niech nie myślą, że jego Agnieszka jest tylko do robót!

– Wino z rana? A praca? Jeśli się napijemy, nie zdążę napisać tego, co miałam...

Ta Agnieszka! Potrafiła z zimną krwią wynieść tajne dokumenty Zybertowi sprzed nochała, a traciła cały rezon przy tej sprytnej zmijsce. Och, doprawdy spartoliła wszystko. Kobiety. Zdolne do największej odwagi, ale zawsze paraliżuje je „ładniejsza”!

– Nie ma dziś mowy o pracy, Agnieszko! – rzekł z naciskiem, delikatnie trącąc ją kolanem, co wprawiło biedną Agnieszkę w kompletne osłupienie.

– Widzę, że musicie dojść ze sobą do ładu, bo Aga znów ma kłopoty z komunikacją. – Pannica roześmiała się, grzechocząc bransoletami i rozsiewając zapach drogich perfum. – To my was zostawiamy! Aga, życzę ci szczęśliwego Nowego Roku, bo zdaje się, że nie będzie cię jutro u Daniela?

Paweł zacisnął pięści w kułak i prędzej niż pomyślał, zawołał:

– Agnieszko, tak być nie może! Znowu odmawiasz pójścia na przyjęcie, żeby pracować? Wiem, że jesteś ambitna, ale z niczym nie należy przesadzać. Znając jej umiejętności, drogie panie, Agnieszka zajdzie daleko! – rzucił do wpatrzonych w niego badawczo „koleżanek” Agnieszki i szybko dodał: – Gdzie odbędzie się ta impreza?

Zdumione dziewczyny spojrzały po sobie.

– W Konstancynie. W rezydencji mecenasostwa Sienickich. Agnieszka, ty wiesz gdzie, ale mówiłaś, że nie masz jak potem wrócić!

– Już ja ją tam dowiozę i odwiozę, drogie panie! Chyba nie będzie problemu, jak wpadnę tam z Agą? Znam mecenas Sienicką z sal sądowych.

– Nie no, Daniel na pewno nie będzie miał nic przeciwko, będzie zaszczycony. A w ogóle to będzie czadowo! Będzie full ludzi! Masa prawników, nie będzie się pan nudził. Daniel ucieszy się, jak się dowie, że przyjdzie sam mecenas Wencel. Łał, Aga, cieszę się, że jakoś dasz radę dotrzeć! – szczebiotała „luksusowa” z uśmiechem faryzeusza.

– Na pewno nie będę się nudził, jeśli będzie tam Agnieszka – oschle zapewnił Paweł, odwracając się w stronę Agnieszki i dając tym samym znak, że uznaje rozmowę za skończoną.

– To do zobaczenia! – Ruda rzuciła mu ostatnie, intensywne spojrzenie.

Gdy tamte dwie nareszcie się oddaliły, Agnieszka zwróciła się w jego stronę i patrzyła, jakby chciała go zamordować. On za to posłał jej wyzywające spojrzenie. Trwało to tak długo, że nie wytrzymali i parsknęli śmiechem. W końcu wyciągnął papierosa i rzekł, patrząc w okno:

– Nie rozumiem tylko, dlaczego pani, taka bystrzacha i wygadana, traci rezon przy próżnej, pustogłowej lafiryndzie. Przecież pani kasuje ją w przedbiegach!

– Niby jak?

– Intelktualnie! – zakrzyknął i przez chwilę miał pustkę w głowie, lecz po sekundzie dodał: – I wizualnie!

– Ależ z pana kłamca, panie mecenasie! Zapewniam, że nigdzie nie pójde, bo choć odegrał pan rolę super, to niestety i tak nie mogę tam iść!

– A to dlaczego? – Był naprawdę zdumiony.

– Nie powiem.

Chwilę milczeli, a potem wykrzyknęła:

– A choćby dlatego, że nie mam w czym!

– Jak to? Nic pani nie ma? To co, do diaska, robi pani z tymi pieniędzmi, co pani płacę? – zapytał wzburzony i momentalnie przypomniał sobie sceny z Hanną.

Nie no! Grubo przesadził. Aż poczerwieniała.

– Pani Agnieszko, przepraszam! Nie mój biznes, nie moja sprawa. Ale jak usłyszałem, że dorabiała pani w „McDonaldzie”, to mnie krew zalała! No, bo... Po diabła pani dodatkowe pieniądze? I to tak marne grosze?... Ile, na miłość boską, potrzeba studentce, by się utrzymać?... Dwie prace i studia? Zadręczy się pani!

– Wiem, że płaci mi pan od cholery! – nie wytrzymała. – I, jak na moje potrzeby, to by spokojnie wystarczyło! Ale... jest coś, o czym pan nie wie i basta!

– Dobra, koniec tematu. Jemy i rozdzielamy robotę.

Zjedli i pałac, omówili punkt po punkcie umowę, którą Aga miała jeszcze poprawić dla Budexprimu – szczęśliwie, mimo sytuacji kryzysowej związanej z długiem prezes nie zrezygnował z dalszych inwestycji. Wiedział, że Paweł w końcu wyrwie dla niego tę kasę – przebiegły, stary cwaniura!

W końcu pani Agnieszka spytała:

– Może pojedę do kancelarii i do tego się zabiorę? Bo trochę mi to zajmie.

– Mhm – mruknął Paweł nieuważnie, wciąż pałac.

– A pan? Wróci ze mną?

– Ja mam jedną pilną sprawę do załatwienia. Przyjadę za jakieś dwie, trzy godzinki.

Rzuciła mu krótkie, pytające spojrzenie. Potem ubrała się w swoje dziwaczne ortalionowe palto z grubym, futrzanym kapturem, które zabierało jej gibkiej sylwetce cały wdzięk. I ruszyła

wprost w zamieć, brnąc po śniegu w swoich topornych kozakach. Stojąc już na ulicy, rzuciła mu jeszcze jeden smutny uśmiech i zniknęła w wirującej bieli.

Wstał niemal natychmiast. Miał tylko trzy godziny na wypełnienie misji, która innym, mniej wprawionym, mogłaby zająć tygodnie.

Dokładnie trzy godziny później wpadł, cały ośnieżony, do ich biura na Parkowej. Był objuczony wielkimi paczkami i plastikowymi torbami.

Agnieszka podniosła znad komputera zmęczone, zaczerwienione oczy, a widząc paki z markowymi logo, obrzuciła szefa nierozumiejącym wzrokiem.

– Co to? – wyjąkała.

– Niech pani zajrzy. – Zdjął płaszcz i rzucił go na wieszak. Na biurku położył reklamówki z nazwami znanych firm ubraniowych i kosmetycznych, a potem bez sił opadł na najbliższy fotel.

Agnieszka wytrzeszczyła oczy, jakby nie rozumiejąc.

– Szkoda tylko, że w Warszawie nie ma topowych salonów – zżymał się, zapalając papierosa. – Pokazałbym tej wypindrzonej małpie, gdzie jej miejsce!

Agnieszka, zielona z emocji, stała jak skamieniała. Do pakunków nie zbliżyła się ani o centymetr, wpatrzona w Pawła jak w obrazek.

– Panie mecenasie. – Zamknęła oczy i tkwiła tak dłuższy czas.

– No, dalejże, pani Agnieszko – zawołał oschłym tonem. – Trzeba poprzymierzać, bo w razie czego wymienimy! Wiem, że w głębi duszyczki chce pani zakasować tę dzianą modliszkę. Zresztą, jeśli kiecka, która kupiłem, okaże się dobra, tamta miotła obwieszona wielkimi jak znaki drogowe logami znanych firm będzie przy pani wyglądać jak królowa tandety i kiczu, niech mi pani wierzy!

I widząc, że ona nie wykonuje ani kroku, sam podszedł do papierowej torby i wydobył koronkową czarną sukienkę na szlachetnej pudrowej halce.

Koronka była obezwładniająco piękna, a podszewka z czystego jedwabiu. Paweł wcisnął to w ręce Agnieszki i zagłębił się w torbach, szukając pantofelków.

– No, są! Tych to szukałem długo i nie powiem, by były tanie. – Spojrzał na nią triumfująco niczym zdobywca, lecz ona nadal nie mogła wymówić słowa.

Postawił na stole małe pantofelki z cielistego zamszu, obszyte koronką delikatną jak sieć pajęcza.

– Dwa dwieście! Lepiej niech będą dobre, bo nie mieli innego rozmiaru!

– Jaki to numer? – wyszeptwała nabożnie.

– Trzydzieści osiem. Pani rozmiar.

– Skąd pan wiedział?

– Osiem lat byłem żonaty, pani Agnieszko. Mam oko do tych rzeczy – rzekł, nieświadomie patrząc na nią w taki sposób, że mocno poróżowiła. – No to migiem do łazienki! – rozkazał z cygaretką w ustach. – Musi pani jutro przerobić rudzielca na szaro! Wiem, że właśnie tego pani chce!

Zniknęła w łazience, niosąc buty, sukienkę i małą torebkę. Paweł palił, zerkając na umowę, którą napisała. Ponieważ nie wychodziła, zapalił następną. W końcu przestał pobieżnie zerkać i zabrał się do solidnego czytania. Musiało minąć ze dwadzieścia minut, lecz ona nadal nie wychodziła. Skończył czytać i zaniepokojony zerknął w stronę drzwi. Czy mu się zdawało, czy usłyszał jakiejś podejrzaną dźwięki?

– Pani Agnieszko? – spytał cicho, podchodząc bliżej. – Wszystko ok?

– Ok, ok – odpowiedział mu cichutki głos. Co, do diabła? Naprawdę nigdy nie pojmie kobiet. Dłuższą chwilę czekał, w końcu wstał, zbliżył się do drzwi łazienki, niepewnie podrapał się po głowie, a na koniec wrócił na swoje miejsce. Gdy miał znów zawołać jej imię, w końcu

wyszła. Sukienkę miała przewieszoną przez ramię, a szpileczki trzymała w dłoni.

– Co jest? Nie leży? – spytał zaniepokojony jej wyglądem.

– Leży, panie mecenasie. Jest boska! Ale chcę, żeby mnie pan zobaczył dopiero jutro.

W pełnym makijażu, ze wszystkim.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. A potem dodał mimochodem:

– O! Byłbym zapomniał! Tu mam jeszcze do tego taki futrzany płaszczyk. Właściwie kurteczkę. Fajne, małe cacuszko. Prawdziwe norki, więc niech ci pieprzeni ekolodzy nie obrzucają pani farbami, bo będą mieli ze mną do czynienia!

– Nie ma obawy! Tam, gdzie mieszkam, ekologiczne są tylko zsypy. Ludzie wrzucają oberki wprost do dziury. Zużywamy mniej plastikowych toreb, a karaluchy w naturalny sposób zjadają resztki.

– No i się chwali!

– Ale te norki... Chyba są pożyczone?

Norki były Hanny, ale były jak nowe, bo nigdy ich nie nosiła. Nie podobały jej się. Ale o tym nie miał zamiaru informować Agi. Bo i po co?

– Norki są dla pani i stanowczo zabraniam noszenia tego ohydneho płaszcza! Mają taki krój, że pasują też na co dzień. Nawet na uczelnię, do dzinsów.

– Dobry Boże! Ile to musiało kosztować?

Oniemiała, głaszcząc lśniące, brązowoczarne futerko.

Stanowczo musiał wyrobić jej gust. Dobrze, że w dziedzinie mody była *tabula rasa*^[71], w takiej łatwiej wyrobić dobre nawyki. Ciekawe swoją drogą, kim byli jej starsi? Gdzie chodziła do liceum? Musieli być bardzo inteligentnymi, czytаныmi ludźmi bez zadęcia modowego, to na pewno. Dziwne, że nigdy o nich nie mówiła!

Następnego dnia, w sylwestrowy wieczór, Paweł Wencel, wyelegantowany jak na wielką galę, jechał swym wyglansowanym i nawoskowanym czarnym bmw na Targówek. Czuł się jak bohater nie z tego filmu. Cóż on, na Boga, wyprawiał?!

W dodatku wcale nie znał Pragi, więc bacznie rozglądał się na boki, jakby gotów na ostrzał z ostrej broni. Rzadko zapuszczał się w te rejony. Musiał dostać się na Smoleńską, gdzie w jednym z bloków jego nietuzinkowa sekretarka wynajmowała kawalerkę. Na miłość boską, czy nie mogła wybrać innej dzielnicy?

Inna sprawa, że chyba sama wstydziła się tego mieszkania, bo kiedy powiedział, że po nią przyjedzie, broniła się rękami i nogami! Ale był nieustępliwy. Przy okazji chciał zobaczyć, jak ona mieszka. I dlaczego tam?

Gdy wreszcie trafił pod szary, odrapany blok, natychmiast zaniepokoiły go ponure wyrostki siedzące na trzepaku i puszczające petardy wcale nie tak daleko od jego lśniacej limuzyny. Rzucił im groźne spojrzenie i szybko zadzwonił do Agnieszki.

– Wejdę na górę! – rzucił niepewnie, ale ostro zaprotestowała.

– Wolę zejść. Błagam pana!

– No dobra, już dobra! – Prawdę powiedziawszy, było mu to na rękę. Zakapturzone typki łypały w stronę jego auta, nawet nie kryjąc się z tym. Siedział więc cierpliwie i czekał. Ściszył swoją ulubioną muzykę i co chwila popatrywał na obskurne wejście oświetlone mdłą, dyndającą na kablu żarówką.

Wreszcie w drzwiach ukazała się zgrabna kobieca postać. Paweł aż kilka razy zamrugał oczami, nie będąc pewnym, czy ta laska, która zmierzała w jego stronę, to aby na pewno ona. Smukła, gibka, w króciusieńkiej koronkowej sukience i cielistych szpilkach miała nogi „do nieba”. I mimo że zawsze wydawały mu się za szczupłe, w tych butach były idealne. Trafił więc w sedno! Rozpięte futerko przydawało jej seksapilu, a gdy wsiadła do wozu, zobaczył, że jej

mocno umalowane usta były niespodziewanie pełne!

Patrzyła roziskrzonym wzrokiem, a on nie miał pojęcia, co powiedzieć. Ewidentnie oczekiwała komplementów. W końcu odchrząknęła i wyksztusił:

– Hm, powiedziałbym pani coś, ale nie wiem, czy wypada!

Ponieważ natychmiast pobladła, najwyraźniej przejęta, postanowił szybko osłabić wrażenie, które wywołały jego słowa:

– Wygląda pani pięknie i seksi. Kobieco i z klasą. Oto moje zdanie. Pani wredne koleżanki pękają z zazdrości i jeszcze bardziej będą wypominać pani makdonaldową przeszłość. Ale my już im pokażemy, gdzie raki zimuja!

Zaśmiała się. Paweł ruszył w stronę Konstancina. Nie mówili za wiele, za to od czasu do czasu patrzyli na siebie i napotkawszy swoje spojrzenia, uśmiechali się. Cała sytuacja wydawała im się trochę nierealna, a trochę komiczna. I chyba tylko jeden Bóg wiedział, co tych dwoje połączyło aż do tego stopnia, że jechali razem na tego typu imprezę – imprezę z gatunku takich, których oboje nie cierpieli!

Minęli Wilanów i jechali dalej prostą, szeroką drogą. W samochodzie było przytulnie, a Paweł nastawił głośniejszą muzykę. W światłach mijanych latarni ujrzeli wyjątkowo regularny profil Agnieszki i interesująco długie, ciemne rzęsy. Kiedy siedziała taka milcząca, mniej trzpiotowata i nie nadawała tyle, ile zwykle, wydawała mu się o wiele bardziej kobieca.

Niestety, zaraz odezwała się ze swym młodzieńczym entuzjazmem:

– Boże, jak oni zobaczą, z jakiej bryki wysiadam i w jakiej kiece...

– Niby nie szata zdobi kobietę, a jej wnętrze. Pani ma i jedno, i drugie. Potrzebny tylko książkę! Może któryś z tych nastroszonych kogucików w modnym szaliczku i marynareczce od Armaniego będzie miał choć odrobinę oleju w głowie, zagada coś mądrego i jakoś pani przypasuje?

– Wątpię. – Patrzyła przed siebie.

– Taka z pani twarda sztuka? – Zerknął na nią, jednocześnie zwalniając przed przejazdem kolejowym.

Zamiast odpowiedzi posłała mu wymowne, w dodatku śmiertelnie poważne spojrzenie. Zdziwiony udał, że niczego nie dostrzega i prędko zmienił temat na zawodowy.

– Kiedy złupię skórę z tej łączącej bestii i wydobędziemy osiem baniek, dostanie pani swoją działkę i pomogę pani znaleźć mieszkanie w lepszej dzielnicy. Te osiemdziesiąt czy sto tysięcy pozwoli pani wziąć kredyt, który będzie pani spokojnie spłacać, zarabiając u mnie pięć tysięcy na rękę. Taka ładna dziewczyna nie może mieszkać w bloku pełnym lumpów!

– Mierzy pan wszystkich miarą pieniądza, mecenasie! Tam mieszka mnóstwo porządnych ludzi. Ci, do których dziś jedziemy, to sto razy gorsze ścierwa, proszę mi wierzyć!

– A ci, którzy wisieli na trzepaku z petami w gębach, są zapewne dobrymi, szlachetnymi, zagubionymi chłopcami, którzy robią zakupy staruszkom?

– Oni nie tykają swojaków.

– Wolałbym, żeby się pani nie przekonała o tym na własnej skórze! Musimy zmienić pani lokum. Z taką pensją bez problemu dostanie pani kredyt...

– Za dużo mi pan płaci! Z litości. Jestem na razie sekretarką. W innych kancelariach sekretarki dostają góra dwa, trzy tysiące. A zwłaszcza studentki.

Polemizował z nią, ale w głowie miał ciągle to prośące spojrzenie jej łagodnych i słodkich migdałowych oczu. Zdenerwowany otarł czoło chusteczką i podsumował:

– Pani nie jest u mnie sekretarką. Wydobyła pani dokumenty warte grube miliony. Bez tego nie miałbym żadnego punktu zaczepienia. Robi pani pracę dwóch radców prawnych. Jest pani po prostu dobrym prawnikiem – i teraz wiozę tam panią, by się odwdziżyć!

Czy zrozumiała aluzję? Nie wiedział, bo nie dostrzegał jej twarzy. W aucie było teraz zbyt ciemno, na ulicy nie paliły się latarnie. Zresztą delikatnie odwróciła głowę w stronę szyby.

– To chyba tutaj. – Paweł rozglądał się czujnie. – No, niczego sobie pałacyk ma młody pan dziedzic! Ewidentnie dobra partia. Ma, niebożę, dziewczynę czy używa życia i skacze z kwiatka na kwiatek, odcinając kupony od sytuacji, w której postawiła go szczodra fortuna?

Pani Agnieszka wreszcie zwróciła swą kształtną główkę w jego kierunku i rzekła z wysiłkiem:

– Sienicki nie jest raczej typkiem notorycznego podrywacza. Raz zaprosił mnie nawet do kina, ale potem nic z tego nie wyszło. Ani on nie jest w moim typie, ani ja w jego.

– O! A więc była pani z nim w kinie? – Paweł sprawnie manewrował samochodem, by stanąć jak najbliżej wejścia. Ogromny dom zbudowano chyba na wzór Pałacu na Wodzie – miał podjazd w kształcie elipsy, pośrodku której centralnie osadzona została gigantyczna, nieczynna w tej chwili i przysypana śniegiem fontanna.

Nie odpowiedziała, głęboko zamyślona. Smutna?

Dobry Boże, w co on się wkopał? W jakiej roli ma teraz występować? Adoratora Agnieszki? Sponsora? Patrona, który jej tu towarzyszy i strzeże? Kumpla, który tak ją lubi, że zamiast spędzać czas z ludźmi ze swojej grupy wiekowej – ot, chociażby z własną żoną – pajacuje na imprezie dla dwudziestolatków?

Cholera by wzięła przekłete miejsca, w które popycha go chichocząca opatrność! On, domator i sybaryta, został tego wszystkiego pozbawiony przez groszem niecuchnącego pozera, który zabrał mu jego śliczną żonę!

I teraz, dziwnym zbiegiem okoliczności, sam musi spędzać czas z podobnymi tamtemu – przynajmniej wiekowo – młodzieńcami! Być może nawet jeszcze gorszymi. Działy bachorami jego starszych kolegów po fachu. Czuł, jak oblewa go zimny pot. Zobaczył, że białe dwuskrzydłowe drzwi otwierają się i wypada przez nie dwóch wyżełowanych chłystków – jeden w wąskim jak guma do zjazdów narciarskich garniturku i małym meloniku, a drugi w obszarpanych dżinsach i T-shircie. Aha! Więc impreza była typu *casual*. Czyli tak się teraz noszą młodzi bogacze.

Trzecią osobą tkwiącą w progu była ruda kocica w długiej, czarnej sukni z pęknięciem prawie do majtek.

Stała pod światło w lekkim rozkroku, eksponując ów imponujący „rozporek”, tak duży, że jedna noga była całkiem goła. W dłoni dziewczyna trzymała małą fifkę, a w niej cienkiego papieroska. Była tu zapewne królową balu.

Patrzyła czujnym wzrokiem, jak Paweł wysiada z auta, okrąża samochód i otwiera Adze drzwi. Ta już chciała wyskoczyć sama, ale przytrzymał ją mocno i syknął do ucha: „Siedź, ja otworzę”.

Grupka w drzwiach była zapewne komitetem powitalnym, mającym „uhonorować” ich przybycie. Paweł puścił Agnieszkę przodem, a sam szedł tuż za nią. Nie chciał trzymać jej pod rękę, żeby nie wyjść na starego pierdziela, ale też nie mógł wziąć jej za rękę. Cóż miałby robić? Udawać jej chłopaka czy co?

Najpierw przywitały się dziewczyny. Nawet ślepiec by zauważył, że nie grała między nimi chemia. Kocica ze źle skrywanym niepokojem obrzuciła nowo przybyłą zimnym, ostrym wzrokiem, zamaskowanym przylepionym do twarzy uśmiechem. Agnieszka z kolei nawet nie próbowała udawać. Popatrzyła nieufnie, przywitała się chłodno i powściągliwie.

Wtedy ruda przypuściła atak na Pawła. Zdumiony, spostrzegł w jej skośnych, intrygująco zielonych oczach żywe zainteresowanie. Cóż ją mogło do niego przyciągać prócz jego pieniędzy? Zwłaszcza że teraz miał ich coraz mniej i narastało w nim przekonanie, że plotka o tym już

rozniosła się w środowisku.

Z kamienną uprzejmością przywitał się z „chłystkami”. Temu, który przedstawił się jako Daniel, z salonową uprzejmością wręczył butelkę Piper Heidsieck. Chłopak, mimo że niezdrowo bogaty, wydawał się sympatyczniejszy od reszty. Przyjaźnie uścisnął Pawłową dłoń i swojsko, bezpretensjonalnie zaprosił do środka.

Ufff. Chyba ich *entrée* wypadło nienajgorzej!

Dyskretnie się rozejrzał i ze zdumieniem stwierdził, że obszerny hol przepychem dorównywał Wersalowi. Z wykończonego złotawym jedwabiem westybulu zwisał ogromny kryształowy żyrandol, oświetlający gigantyczny hol i ułożoną centralnie rozetę z żyłkowatego trawertynu. Mahoniowe ściany, wykonane na wysoki połysk, świeciły jak lustro. Kurwa mać, to pani mecenas Sienicka kosiła takie stawki? Dobrze sobie. Z tego, co pamiętał, około pięćdziesięcioletnia, ładna, elegancka kobitka zajmowała się głównie rozwodami! Ale zaraz... Zaraz, zaraz.

To jej mąż. To na pewno jej mąż. Był chyba szyszką w Orlenie. Miał tam nawet jakieś kłopoty prawne, ale wybronił go niezawodny Karpiuk, ten sam, który niedawno skutecznie poratował jego starszego.

W czasie, gdy Paweł ścisnął ręce różnorodnych typków, Daniel wykazał się refleksem, właśnie bowiem pomagał Agnieszce zdjąć futro, prawiać jej przy tym komplementy. Teraz dopiero ukazała się oczom wszystkich w cienkiej jak mgiełka koronkowej sukience. Wspaniałe oświetlenie holu ukazało egzotyczną śniadość jej skóry, pięknie współgrającą z czernią sukni, brwi i włosów.

Jak na swój antytalent do mody nawet nieźle się umalowała. Czarne oczy zostawiła prawie nietknięte, pociągając tuszem jedynie piękne rzęsy. Całą jednak uwagę przyciągały jej usta. Mocno uszminekowane na jakiś interesujący kolor – coś między cyklamem a burgundem, tyle że bardziej w stronę wina aniżeli fioleto. Doskonale jej było w tym odcieniu!

I nagle, jakby czymś poirytowany, szybko zbliżył się do niej, odciągając od osaczających ją ze wszystkich stron koleżanek.

– Chodźmy po drinka! – szepnął jej do ucha, pochylając się i lekko obejmując kibić. Nie zamierzał pozwolić, by od razu zagarnął ją ten majętny luzaczek, wodzący za nią lekko niespokojnym wzrokiem.

Oto i on znowu! Już szedł przy drugim boku Agnieszki. Koniecznie musiał zaprowadzić ich do barku.

– ...i byłem w szoku, jak usłyszałem, że jednak wpadniesz... – Pawła dobiegły słowa przejętego chłopca.

Agnieszka uśmiechnęła się uprzejmie, coś mu odpowiedziała, lecz jej oczy szukały oczu Pawła.

– Panie mecenasie, chciał pan winka? – odezwała się, patrząc na niego z oddaniem.

– Tak – rzekł z ociąganiem i dodał, zerkając na natręta: – Proszę się już nami nie kłopotać, znajdziemy wino! Zdaje się, że przyszli następni goście?

– Eee, to nie przyjęcie na królewskim dworze – drwiąco odparł gospodarz, nie odrywając oczu od Agnieszki. – Trafia do lodówki, zapewniam pana!

I uśmiechnął się do Pawła z wyrozumiałością pielęgniarki opiekującej się pacjentem oddziału geriatrycznego. Albo tylko tak się zdawało nieszczęsnemu mecenasowi.

– Aga, nasz kawalek! Idziemy zatańczyć? Przepraszam, ma pan coś przeciwko temu? – zapytał Pawła nieuważnie, już ciągnąc dziewczynę na parkiet.

– Absolutnie nie – odparł Paweł z chłodnym uśmiechem. „Ich” kawalek. No, no.

Agnieszka, niezdecydowana, stała chwilę, lecz obrotny młodzieniec, śmiejąc się,

pociągnął ją w stronę salonu. Grzmiała tam ogłuszająca muzyka, w której takt wyginali się dziwnie poubierani młodzi ludzie.

Lekko skonsternowany Paweł przeciskał się przez tłum prężącej się w opętańczych konwulsjach młodzieży. Skąpo poubierane, połyskujące brokatem dziewczyny wiły się w takt łomoczącej muzyki. Tańczono parami lub solo. Młodzi ludzie trzymali drinki, nierzadko oblewając się podczas dziwacznego podrygów. Paweł, bacząc, by nikt nie oparzył go papierosem, brnął przez rozgrzane ciała w stronę widocznej z daleka kuchni.

Było tam znacznie luźniej, a na barze stały dziesiątki butelek z całkiem niezłymi trunkami. Szybko zdjął marynarkę i sprawnie przyrządził sobie martini z lodem. Wokół stały grupki zaśmiewających się ludzi, lecz, naturalnie, ani nie miał ochoty, ani nie czuł się uprawniony dołączyć do któregoś z hermetycznych kółek.

Stał spokojnie koło okna, popijając martini, i z gorzkim uśmieszkiem obserwował wirujących na parkiecie młodziaków. A więc Agnieszka miała swego adoratora! Ciekawe, czemu tak się wzbraniała przed jego zakusami. Chłopak był przecież i sympatyczny, i przystojny, nie mówiąc już o tym, że zdecydowanie należał do jej pokolenia.

Pokolenia, którego Paweł Wencel nie rozumiał i niespecjalnie miał chęć poznawać. Po dłuższym czasie zobaczył zmierzającą ku sobie Agnieszkę. Miała niewyraźną minę. Stała koło niego, oparła się o parapet. I ona skierowała wzrok na tańczących.

– Zrobić pani drinka, Agnieszko? – spytał z uśmiechem. Cokolwiek by mówić, lepiej było mieć ją obok, niż sterczeć tu samotnie. Nie to, że chciał psuć jej kielkujący najwyraźniej romans, no ale skoro sama wróciła?

Kiwnęła potakująco głową.

– Czego się pani napije?

– Może być to samo co pan!

Wszedł w krąg światła, przepaszając rechoczących, luzacko poubieranych młodzieniaszków. Szybko i sprawnie przygotował martini i natychmiast wycofał się na swój posterunek obok niej. Wzięła drinka, upiła łyk.

– Zapalimy?

– A można w tym pałacu palić?

– Wszyscy inni palą!

Faktycznie, w wielkim salonie połączonym z kuchnią ogromnym barem było nadymione, jakby ktoś wpuścił gaz łzawiący.

– Mecenasostwo będzie chyba musiało zrobić mały remont po tej zabawie – mruknął Paweł wprost do ucha Agnieszki. Musieli stać blisko, inaczej nie słyszeliby ani słowa.

Ponieważ znów nie odpowiedziała, zagadnął:

– Już nie tańczy pani z gospodarzem? Wydaje się miłym chłopcem!

Znów spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

– Pani Agnieszko, jeśli mam być tu niejako, bo ja wiem... pani „parą”, to może lepiej mówmy sobie po imieniu – zagadnął przyjacielsko. Trochę nie w smak mu było, kiedy zwracała się do niego „pan” przy całej tej czeredzie. Czuł się jeszcze starzej!

– Tak tylko tutaj czy już zawsze?

– Zawsze! – Uśmiechnął się. – Z tego nie można się wycofać jak z podpisanego weksla!

A poza tym, jak mówi pani do mnie „per pan”, to pani koleżanki patrzą na mnie jak na dziecienniałego staruszka!

– Chyba nie myśli pan o rudej? – zapytała, patrząc na niego przenikliwie. Bystra, mała pchełka.

Czasem zdawało się, że czyta w jego myślach. Cholernie nieprzyjemne uczucie.

– Jeśli wpadła panu w oko, to mogę zaręczyć, że z wzajemnością!
– Jeśli chce pani wymusić na mnie dalsze komplementy, to ona wypada przy pani bladzie. Jakby urwała się z Pigalaka! W dodatku cała ometkowana. I wyuzdana. Nie podobają mi się takie. – Upił spory łyk martini i zaciągnął się cygaretką. Ruda właśnie pojawiła się w polu widzenia i natychmiast złapała wzrok Pawła.

– No to jakie się panu podobają? – spytała Agnieszka prosto w jego ucho.

– Błąd! Powinnaś powiedzieć, jakie się „tobie” podobają – szepnęła.

– Jakie ci się podobają, Pawle?

Miała naprawdę piękny uśmiech, a gdy się śmiała, robił się jej czarujący dołek w policzku.

– Podobają mi się tajemnicze. Ciemnowłose – rzekł cicho, po czym jednym haustem dopił martini. A co tam. Jeśli miał robić z siebie durnia, mógł się przecież przy okazji zabawić. Znów zrobił im po drinku. Stali obok siebie, milcząc i paląc, oboje mocno zamyśleni. Nagle Paweł dostrzegł krążącego po sali Daniela, który niby podrygiwał, lecz tak naprawdę wypatrywał oczy, jakby gorączkowo kogoś szukał. I wtedy jego wzrok odnalazł to, czego szukał. Zmierzał już w ich kierunku.

Paweł, niewiele myśląc, chwycił Agnieszkę za rękę.

– Chodź! Zatańczymy! – I minawszy barek z drugiej strony, tak by nie napotkać prześladowcy, pociągnął ją na parkiet, wepchnął w pulsujący tłum i mocno przycisnął do siebie.

To był rockowy kawałek, a Paweł kiedyś bardzo lubił tańczyć. Zaczęli więc wywijać, ile wlezie. Agnieszka, lekka i zwinna, okazała się świetną partnerką. Idealnie poddawała się rytmowi i doskonale się ze sobą zgrywali. Szło im tak dobrze, że ludzie rozstępowali się na boki i klaskali z aprobatą. Agnieszka miała wprawdzie bardzo śliskie i niewygodne szpilki, ale ilekroć traciła równowagę, z łatwością ją podtrzymywał i stawiał do pionu – była lekka jak piórko!

Przetańczyli bez mała dziesięć kawałków, gdy nagle ktoś zapuścił „pościelówę”.

Spojrzała na niego pytająco, już kierując się w bok, jakby bojąc się go krępować. Nie chciała, by to on był zmuszony zrezygnować! Chciała mu ułatwić? Nie wiedział!

Śmiało patrząc jej w oczy, przyciągnął ją do siebie i kręcili się na lekko opustoszałym, zdeptanym parkiecie w takt rozdzierającego serce klasyka ze szczenięcych lat Pawła.

– Frankie Goes to Hollywood! – szepnęła jej ze śmiechem. – Puścili to specjalnie dla stetryczalego dziada, czyli mnie.

Żartował, ale jej nie było do śmiechu. Chciał spojrzeć jej w twarz, lecz przywarła do niego mocniej i tak już pozostali, ciasno przytuleni. Obejmowała go za szyję, a on z wolna zapadał w nią, nie myśląc już o szydercach ani o własnym upadku. Właściwie nie myślał o niczym. Jego dłoń bezwiednie przesunęła się po jej odkrytych plecach. Czuł, jak przeszył ją dreszcz, a wtedy i on...

Oj, to zmierzało doprawdy w niebezpiecznym kierunku!

A właściwie było wręcz wykluczone! Z tego, co dziś zaobserwował, mogła żywić pewne... Hm. Mogła lubić go mocniej, niż było to wskazane. Nigdy w życiu nie wykorzystała tej sytuacji, nie z nią!

Odsunął ją nieco i znów zaczął ironizować, lecz odpowiadała monosylabami. Tymczasem kawałek dobiegał końca i trzeba było spojrzeć sobie w oczy. Gdy podniosła głowę, uśmiechnął się jakby krzepiąco, po czym lekko z siebie niezadowolony pociągnął ją za rękę w stronę barku z alkoholami.

Choć akurat właśnie tego nie powinni byli robić.

Spotkali roześmiane grono, w którym prym wodziła drapieżna kocica.

– Tak słodko wyglądaliście na parkiecie, naprawdę! – zaszcebiotała, gdy tylko się

zbliżyli. – Koniecznie musicie się z nami napić!

Paweł skwapliwie skorzystał z tej propozycji i pociągnął lekko opierającą się Agnieszkę w ich kierunku. „Młodzież” piła tequilę z czymś pienistym. Paweł aż się wzdrygnął, ale gdy usłyszał pogardliwe „panu mecenasowi nalej lepiej jakiegoś whiskacza!”, czym prędzej chwycił spory kieliszek, uzupełnił sprite’em i, naśladując pozostałych, walnął dnem kieliszka o blat. Napój zapienił się obficie, a Paweł wypił go duszkiem, drugą ręką nie puszczając stojącej za nim Agnieszki.

– Ty, Paweł, masz spółkę z mecenasem Zagajewiczem... Dobrze kojarzę? – Ruda wydmuchnęła dym prosto w jego twarz. Jakoś nie miała problemu z przejściem na „ty”, choć on wcześniej mówił jej na „pani”.

– Nie, już nie! – Przyciągnął Agnieszkę bliżej, by stała na równi z innymi, a nie chowała się za jego plecami. – Prowadzę samodzielną działalność. A właściwie ta pani jest moim najbliższym partnerem. – Objął Agnieszkę, która zerknęła niespokojnym wzrokiem na wydekoltowaną ryżę.

– Agniecha zawsze wybijała się na roku! – zniecierpliwiony odezwał się gospodarz.

– Oj, tak! – Ruda głośno się roześmiała. – Nie zaprzeczę!

Paweł miał już spytać, o co chodzi, lecz jej beczelność była tak miernego rodzaju, że szkoda mu było siły i czasu na klótnię, zwłaszcza że poczuł, jak ręka Agi zwilgotniała. Chciał Agę rozruszać, chciał, by zachowywała się przy tych przygłupach tak, jak potrafiła przy nim, ale najwyraźniej ich obecność ją paraliżowała. Nie mógł więc nic więcej zrobić, jak nadrabiać miną także za nią. Szybko rozlał następną kolejkę. Zaraz się zobaczy, ile te cwane żółtodzioby potrafią wypić. Niech sobie nie myślą, że są takimi chojrakami, a on nadaje się na złom!

– Panowie! – zawołał, unosząc kolejny kieliszek pełen pienistego, zabójczego płynu. Podgazowane kurestwo szło prosto do głowy, lecz wiedział, że ma dużą odporność na alkohol.

Wypili kilka kolejek, a Paweł, nie bez złośliwej satysfakcji, widział, jak młokosom już zdrowo dymiło z uszu! Nagle ich rozmowę przerwał kolejny pajac, który, potrącając Pawła, wpadł do ich koła, wykrzykując entuzjastycznie, że ma „zajebiste zioło”!

– Taki czachojeb, że zobaczycie poprzednie wcielenia! – oznajmił, kierując swoje słowa do Pawła, najwyraźniej chcąc wzbudzić jego entuzjazm. Ten uśmiechnął się lodowato, lecz pajac nawet tego nie zauważył. Z przymrużonymi oczami przypalał już grubego skręta i puścił go w obieg, niestety, wprost w ręce stojącego obok mecenasa. Wencel, który zawsze bał się narkotyków jak ognia, uważał bowiem, że od jednego sztacha marihuany już o krok od Monaru, zawahał się na moment, lecz widząc drwiące spojrzenia, mocno ujął świństwo i zaciągnął się nonszalancko. Ostatecznie Piotrunio często popalał i jakoś żył! Choć ewidentnie był już kompletnie wyprany z rozumu.

Nawet jeżeli zamorduje mu to kilka szarych komórek, to i tak... Sporo ich jeszcze... Kurka wodna... Ależ to świństwo było mocne! Nienawykły do takich używek, poczuł nagłe tąpnięcie, jakby zanurkował na zły mieszance sto metrów pod wodę. Serce natychmiast zaczęło mu walić jak szalone. Wszystko lekko się oddaliło, jakby widział grupkę złotej młodzieży przez rybnie oko albo odwróconą lunetę...

Mruknął przeprosiny i od razu uzmysłowił sobie, że było to absolutnie zbędne. W ich oczach wyglądało to tak, jakby zaszalował lub wykonał dworski ukłon, albo się przeżegnał, czy zrobił coś równie komicznego, niepasującego do sytuacji. Ich mentalność, ich dowcipy, ich sposób bycia były mu tak odległe, że czuł, że nie wytrzyma tego ani sekundy dłużej.

Nie pasował tam. Był za stary i bez sensu zrobił, że się tu za nią przywłókł. Ruszył w stronę otwartych drzwi na taras i stanął na zewnątrz, oddychając mroźnym powietrzem. Śnieg wirował w zapalonych lampach ogrodowych i niezwykle pięknie osiadał na drzewkach. Nagle aż

dech mu zaparło, kiedy uzmysłowił sobie tę niezwykłą harmonię świata! Śnieg sypał się równiutko, dokładnie tak, jak powinien. Drzewa były pokryte ciężkim białym puchem. Paweł postąpił kilka kroków naprzód i wyciągnął przed siebie rękę. Płatek o niezwykłym kształcie osiadł na jego dłoni. Przyglądał mu się z zadziwieniem, jakby po jego dłoni łąził malutki Marsjanin. Zrobiło mu się trochę lepiej, a już zupełnie dobrze, gdy poczuł, jak Agnieszka staje za nim i dotyka jego ramienia.

– Strasznie długo cię szukałam! Już się martwiłam!

Odwrócił się do niej.

– Tak długo mnie nie było? Wydawało mi się, że stoję tu tylko chwilkę!

– Wiesz, że za chwilę będzie dwunasta?

Nie miał pojęcia! Widocznie to cholerne świństwo tak go odurzyło, że stracił poczucie czasu. Jednak – o zgrozo – teraz czuł się znacznie lepiej niż przed zapaleniem trawy. Jakby ktoś zdjął mu z pleców cały ciężar świata, który taszczył od tak dawna...

I Agnieszka. Po prostu śliczna w tym futerku! Poszła gdzieś, lecz wiedział doskonale, że za sekundę wróci. Tu, do niego. O, proszę! Już szła, ostrożnie stawiając zgrabne nogi na śliskich kamieniach. I niosąc schłodzonego heidsiecka, którego sam kupił. Naturalnie miała też dwa smukłe kieliszki. Mądra dziewczynka!

Zdecydowanym gestem wziął od niej butelkę. Ze środka domu dochodziło chóralne odliczanie. Osiem, siedem, sześć...

Zaskakująco sprawnie, jak na swój stan, odwinął złotko i odkręcił druciki. Niebo rozświetlały kolorowe błyski, różnobarwne feerie świateł. Niebiańska wprost sceneria.

Cztery, trzy...

Twarz Agnieszki, roześmiana przy jego twarzy, płatki śniegu opadające na jej czarne włosy, iskierki w jej oczach.

– Dwa, jeden! – odliczały dziesiątki gardeł, po czym rozległ się zbiorowy wybuch radości.

Korek wyskoczył z butelki z dyskretnym pyknięciem. Paweł szybko nalał szampana do kieliszków i przyciągnął Agnieszkę do siebie.

– Niech żyje dwa tysiące ósmy! – usłyszeli okrzyki przebijające się poprzez łomot wybuchających sztucznych ogni.

Stuknęli się kieliszkami. Chciał coś powiedzieć, ale wspięła się na palce, objęła go za szyję i – sam nie wiedział nawet, jak i kiedy – pocałowała go! A może to on ją?

Gwałtowne wrzaski imprezowiczów, którzy wybiegali na zewnątrz, rechocząc i polewając się szampanem, oderwały ich od siebie.

Wkradali się między nich, obcałowując, składając życzenia. Pili więc szampana, kieliszek za kieliszkiem, odwzajemniając życzenia i nawet całując się z obcymi.

Potem znów zaczęła dudnić muzyka i Paweł znalazł się blisko niej, a może ona znalazła jego? Tańczyli, bawili się, a on, obojętny już na wszystko, czuł się prawie... Młody? Szczęśliwy? Sam nie wiedział. Kilka razy udało im się zostać sam na sam, a wtedy całowali się, całowali się bez pamięci.

Gdy Paweł był już zupełnie wstawiony, jeden z pijanych imprezowiczów zarządził, że ruszają „w miasto”.

Wszyscy jak na hurra zamawiali taksówki, szukali torebek i płaszczy. Celem było „Platinum”, potem śniadanie w jakiejś restauracji.

Przez skołowany umysł Pawła przebiegła myśl, że to jakaś kolejna głupia fanaberia, ale nie chciał być, jak zawsze, tym psującym spontaniczne inicjatywy. Pokornie więc odszukał wszystkie części ich garderoby i już po pół godzinie siedział w taksówce z dwoma innymi

parkami, trzema butelkami szampana i Agnieszką na kolanach.

Gdy jechali w stronę Warszawy, poczuł delikatne dźgnięcie niepokoju, jakby daleki, stłumiony czy może wręcz zintensyfikowany przez używki, cichy głos podświadomości, który podpowiadał mu, by zrezygnować z dalszej eskapady. Lecz po chwili poczuł usta Agnieszki na swoich. Poczuł dotyk jej ud, jej ramion.

Odurzony i podniecony, nie wiedział nawet, jak i kiedy dojechali do „Platinum”. Jakiś pijany „kolega”, siedzący obok w taksówce, również z dziewczyną na kolanach, klepnął go przyjaźnie, że „zrzuta na taryfę”.

Przesunął Agnieszkę, sięgnął do kieszeni, wcisnął dwie stówki w wyciągniętą w jego stronę łapę i mętym wzrokiem spojrzął za okno. Ogarnął wzrokiem kłębiący się przed klubem tłum i na moment znieruchomiał.

Poczuł znajomy ucisk wokół mostka. Tam, w kłębiącym się tłumie, mignęła mu znajoma sylwetka. Ciemnowłosa kobieta stała tyłem, ciasno obejmowana przez... No kurwa, tego kutasa poznałby nawet w podziemiach Hadesu!

Długowłosa, odziany niedbale, w luźnych, drelichowych portkach i czarnej, skórzanej marynarce, z nieśmiertelnym papierosem uwieszonym przy krzywo uśmiechniętych ustach, dyskutował zajadle z grubym, rozjuszonym ochroniarzem o byczym karku i przekrwionych oczach.

– Właściwie ja też wolę wracać – usłyszał szept Agnieszki, lecz siedział jak skamieniały ze wzrokiem wlepionym w jeden punkt.

– To co, jednak wracacie na chawirę? – ze zrozumieniem wykrzyknął siedzący obok towarzysz podróży. Pajac!

– Nie – odpowiedział Paweł nieswoim głosem. – Zmieniłem zdanie.

Agnieszka, jeszcze rozbawiona, ze zdziwieniem spojrzała mu w twarz.

– Mówiłeś, że lepiej, żebyśmy już wrócili do domu... – zaczęła przymilnie i cicho jak kotka, ale on nagle się usztywnił.

– Wejźmy na momencik, skoro już tu przyjechaliśmy. – Uśmiechnął się do niej z przymusem i jego wzrok znów powędrował pod wejście do klubu, gdzie najwyraźniej kroila się grubsza awantura.

Szybko otworzył drzwi taksówki i gwałtownie zszedł ją z kolan, po czym pierwszy wysiadł i podszedł bliżej wejścia. Wpatrywał się w tłoczących się wokół „Platinum” ludzi. Igor, bodaj przekłete byłoby to wstrętne imię, najwyraźniej mocno wstawiony, wyklócał się o coś z bramkarzami. Sekundowali mu jego pobratymcy, długowłosi, w skórzanych marynarkach typu vintage. Hanna stała trochę z boku, jakby niepewna, co będzie dalej. Nadal nie widział jej twarzy, choć zbliżył się już o parę kroków, lecz blokował go ruchliwy tłum. Liczba ludzi, którzy chcieli się tam teraz dostać, była zadziwiająca – było grubo po czwartej nad ranem!

Paweł stał w rozpiętym płaszczu na szczypiącym mrozie jak skamieniały. Agnieszka mówiła coś do niego, lecz nie słyszał ani słowa. Z kieszeni wyjął paczkę cygaretek, włożył jedną do ust i chciwie zapalił. Zobaczyć ją po trzech miesiącach – to był prawdziwy wstrząs.

Igor zaczął się szarpać z jednym z ochroniarzy, inni „artyści wyklęci” poszli jego śladem. Zaczęła się regularna przepychanka. Hanna odsunęła się kilka kroków i wtedy Paweł zobaczył jej twarz. Piękniejsza niż kiedykolwiek, miała luźno puszczone włosy i wyraz twarzy, którego nie widział nigdy przedtem.

Rozpacz? Konsternacja? Jakaś spóźniona refleksja? To wszystko zdawało się odbijać na jej twarzy... czy też wyobraźnia płatała Pawłowi figle?

Chciał podejść do niej, złapać za ramiona i zakrzyknąć: „Masz, czegoś chciała! Wreszcie dostałaś, na co zasłużyłaś! Nudziłaś się przy mnie, to teraz żyj tym swoim pierdolonym

artystycznym życiem! Lada dzień dostanie się i tobie, gdy on znów wpadnie w kolejny z tych jego pojebanych szarów! I należałoby ci się! Należałoby ci się, ty...”.

– Paweł, co tobie? – Agnieszka potrząsnęła nim mocno.

– Poczekaj – mruknął i odsunął ją szorstko.

– Jakaś bijatyka. I co z tego?! Co nas to obchodzi?! – Kurczowo złapała go za rękę, jakby próbowała powstrzymać przed dołączeniem się do kotłowaniny długowłosych z krótko ogolonymi ochroniarzami. Lecz Paweł wyszarpnął się jej i znów postąpił naprzód, nie odrywając wzroku od twarzy samotnie stojącej z boku Hanny.

Odsunęła się od kłębiącego się wiru i z niepokojem wpatrywała w szarpiących się mężczyzn. Paweł, cicho niczym kot, obszedł tłum, by widzieć ją *en face*. Była chyba jeszcze piękniejsza niż zwykle! Czarująca i jak zwykle elegancka tą elegancją egzotyczną, przykuwającą wzrok. Cóż w niej było takiego, że zamiast zaśmiać się jej teraz prosto w tę znękaną twarz i przejść tuż pod jej nosem z Agą uwieszoną na jego ramieniu, wolał wpatrywać się w jej oczy z miną męczennika?

Spojrzenie jego musiało być tak przejmujące, że nagle odwróciła głowę i spojrzała wprost na niego. Mierzyli się wzrokiem przez ładnych parę sekund. Pawłowi cała krew odpłynęła z twarzy. Zdawało mu się, że patrzyła na niego bez niechęci. Czy i jej nie przyszło w tej chwili do głowy to samo, co jemu... Co oni tutaj robili?! W środku tej obłąkanej zabawy, w środku tej młodości, która musiała się wyszumieć! Lecz czy i oni mieli szumieć razem z nią? To... niestosowne! Niestosowne i nie na miejscu. Czy nie czuła tego? Czy nie myślała tak jak on? Tym bardziej miał chęć podejść i potrząsnąć nią, potrząsnąć tak, by wreszcie obudziła się z letargu, w który zapadła, i z boku przyjrzała się spustoszeniu, do którego doprowadziła!

Było to tak silne uczucie, że zdawało mu się, iż opuszcza własne ciało i podchodzi do niej miękkim krokiem, szarpie nią, a szarpnięcie, przywodzi do przytomności. Lecz po chwili zobaczył, jak kiwa mu głową – jakby na pożegnanie czy przeprasza ją, cholera wie. Już na niego nie patrzyła.

Z tłumy wypadł długowłosy obszarpaniec, mocno ją objął i pociągnął za sobą na drugą stronę ulicy. Mało nie wpadli pod przejeżdżającą taksówkę, lecz nonszalancki młodzieniec chyba także śmierć miał w głębokim poważaniu, bo nawet nie spojrzał w stronę, z której dobiegł ostry pisk hamulców. Za to mocno objął jej głowę i coś do niej mówił.

Paweł stał samotnie, paląc papierosa i nie spuszczać ciasno objętych z oka. Zaciągał się głęboko, a w głowie, niczym uwięziona w słoiku pszczoła, kołatała jedna tylko myśl.

Nie była z tamtym szczęśliwa!

Potem, z marszem na czole, złapał następną nadjeżdżającą taksówkę. Szarpnął za drzwi, nim pojazd się zatrzymał, ociężale wsiadł do środka i bezbarwnym głosem zaordynował:

– Na Walecznych.

W otchłań

Czarna dziura, która wessała Pawła Wencła w noworoczny poranek, wypłuła go w okolicach późnego popołudnia tegoż samego dnia. Gdy tylko rzeczywistość zaczęła nabierać realnych kształtów i demony poprzedniej nocy otoczyły go zwartym, obrzydliwym tłumem, natychmiast z powrotem zmusił się do zaśnięcia. Na chwilę opuścił nieszczęsne, zmaltretowane ciało i bujał w niebycie, lecz nie trwało to długo. Okrutny mózg, niczym surowy profesor, najpierw ściągnął go na ziemię, a potem zaczął rozliczać ze wszystkich grzechów, nie poprzestając wcale na wyliczeniu ich.

Wwiercał się bezlitośnie w każdy szczegół, w każde wypowiedziane, a nawet niewypowiedziane – a tylko pomyślane – zdanie. Analizował wszystkie potencjalne konsekwencje minionych wydarzeń i – co najgorsze – zaczął snuć dziwne projekty.

To, co zaszło między nim a Agnieszką, budziłyby najbardziej ambiwalentne uczucia, gdyby nie późniejsze spotkanie z tamtą! Tamta? Czuł się kompletnie wytracony z równowagi, którą, jak ostatnio sądził, zdołał odbudować. Podobnych uczuć mógłby doświadczać ktoś, kto wznosił gigantyczne mury obronne, które w jednej chwili runęły, bo wrogie siły raczyły zagrać na jakimś lichym instrumencie dętym.

Poderwał się i poczuł obrzydliwego kaca. I to nie tylko alkoholowego!

Otóż i one – fatalne skutki palenia marihuany. Nawiązany został kontakt z „trzecim okiem”, a na ten kontakt Paweł nie miał najmniejszej ochoty. On, który rozumował racjonalnie, nie pozwoli, by jego myśli biegły jakimś niepokojącym, oderwanym od rozumowego torem!

Bo cóż to za parszywy wewnętrzny głos podsuwał mu w tej chwili pomysły tak oderwane od rzeczywistości, że z pewnością jego sprawny i logiczny umysł nie mógł być ich autorem?! Cóż to za cholerny wewnętrzny głos podawał w wątpliwość coś, co zdawało się być oczywistym faktem?

Po co zastanawiać się po trzech miesiącach nad czymś, co już dawno uznał za pewnik? Za nieuchronne, za nieodwołalne?

O nie! Czy była z tamtym szczęśliwa, czy też nie, to na pewno nie był już jego, Pawła, biznes. Nic go to nie obchodziło, nie zamierzał rozbierać tego na czynniki pierwsze! Musiał natychmiast...

Poderwał się na równe nogi i dopiero wtedy zorientował się, że był w salonie. A więc nie dotarł nawet do sypialni? Chwiejnym krokiem ruszył do kuchni, gdzie natychmiast zaczął parzyć mocną kawę. Papieros i garść proszków, oto następny racjonalny pomysł.

Skwapliwie wypełniał polecenia wydawane przez skołataną świadomość, a wszystko po to, by nie myśleć, nie zastanawiać się nad tamtym...

W czasie, gdy kawa bulgotała w ekspresie, wypił duszkiem butelkę wody mineralnej i machinalnie zapalił papierosa. Potem nalał sobie kawy i chwiejnym krokiem ruszył z powrotem w stronę kanapy.

Wypił piekielnie mocną kawę i znów się położył, naciągając na siebie koc. Potem leżał na plecach i palił.

Rozwód.

Musi natychmiast wystąpić o rozwód. Dziwne, że jeszcze o tym nie pomyślał, dziwne też, że nie przyszła z tym do niego ona, której teoretycznie winno na tym zależeć najbardziej... Choć znając jej pozbawione uprzedzeń poglądy, to akurat nie było takie znowu dziwne...

I w głowie zaczął kiełkować mu plan. Tak. Pójdzie do niej. Tylko gdzie? Do ich licejnych nory na Pradze? Tam spotkać mógłby jego. Może lepiej zwrócić się do starego Rolicza? Zasięgnąć języka, gdzie miałby jej szukać, choćby po to, by wiedzieć, dokąd wysłać papiery

rozwodowe.

I tu chwilę się zastanowił. Czy wysłać jej papiery od razu, na wskazany przez Rolicza adres, czy najpierw chwilę z nią pomówić? Choćby po to, by uzgodnić szczegóły... w sposób cywilizowany. Ostatecznie oboje byli cywilizowanymi ludźmi, wypadaloby więc chociaż porozmawiać. W sumie byli małżeństwem osiem lat. To kawał życia. Jakkolwiek by się wobec niego zachowała, nie oznaczało to, że i on miałby w ten sam sposób...

Nie zamierzał być tak bezwzględny. Formalności? Tych znowu nie było tak wiele. Ale sprawy majątkowe... Wszystko należało przecież uporządkować. Tylko po co? Ano po to, by mieć to za sobą i...

Szałość.

Podniósł się na łokciu i ogarnął wzrokiem przestronny, z pietyzmem urządzonej salon. Ich salon. Ostatecznie stały tu przedmioty, które kupili razem. Śmieszne, że teraz nie znaczyło to zgoła nic.

Niezaprzeczną prawdą było, że wszystko, co mieli, pochodziło z jego i tylko jego przychodów, ale w imię ogólnoludzkiej przyzwoitości... Przecież i ona w to zainwestowała. Jeśli nawet nie pieniądze, to na pewno czas. Miał on przecież swoją wartość. Paweł nie mógłby jak złodziej ograbić jej ze wszystkiego, do czego razem doszli.

I wtedy wredny, racjonalny mózg podsunął mu myśl, że przecież gdyby nie jego wysiłki, ona nie wniosłaby do tego zimnego domu niczego... To on, zawsze tylko on, był motorem wszelkich ich wspólnych działań.

Niepotrzebne były teraz te rozważania. Dosłownie eksplodowała mu głowa, choć musiało minąć już z pół godziny od zażycia środków przeciwbólowych.

W końcu, skrajnie zmęczony, przysnął. Obudził się dopiero późnym wieczorem, za to w znacznie lepszej kondycji. Niezawodny xanax zrobił swoje. W mieszkaniu było już zupełnie ciemno, słyszał tykanie zegara, a pod oknem, od czasu do czasu, szum przejeżdżających aut. Leżał bez ruchu, znacznie spokojniejszy. Sen nieco uporządkował poranną gmatwaninę myśli, zupełnie jakby śpiący mózg pracował dalej na pełnych obrotach, a tylko świadomość na chwilę sobie uleciała. Teraz sam, bez jego wkładu, a raczej bez wkładu jego świadomości, wypracował logiczne rozwiązanie. Trochę tak, jak z szalonym wkuwaniem do egzaminu na ostatnią chwilę. Wieczorem chaos, a rano wszystko ładnie posegregowane na właściwe półeczki.

Wiedział już, co zrobi. Zadzwoi do redakcji i poda się za kogoś innego, by sprawdzić, czy ona nadal tam pracuje. Jeśli okaże się, że tak (po cóż miałaby zmieniać tę, lichą bo lichą, ale stabilną pracę?), pojedzie tam i zaczai się przy wejściu. Potem pójdzie za nią i zaproponuje rozmowę. Może nawet przy kawie. Porozmawiają bez świadków i bez interwencji przebrzydłego Rolicza.

Upredzi ją, że zamierza wystąpić o rozwód. To chyba jak najbardziej naturalne? Jak mógłby to zrobić, po ośmiu latach małżeństwa, nie zamieniwszy nawet słowa...

Że też w ogóle się nad tym zastanawiał. Była to chyba najbardziej właściwa rzecz pod słońcem. Przecież tu ciągle były jej rzeczy! Wprawdzie w czasie tamtej pamiętnej awantury wykrzyczał jej, że wszystko należało do niego, że wszystko zostało kupione za jego pieniądze i chyba nawet zabronił jej czegokolwiek tykać. Na wspomnienie tamtej sceny oblał się gorącym wstydem.

Jednak w takich jak tamta chwilach ludzie mówią sobie różne rzeczy. Tak czy inaczej, to już przeszłość. Niech Hanna bierze, co jej się podoba. Jeśli będzie chciała, on może ją nawet jakoś wspomóc. Widać przecież, że jest w opłakanej sytuacji. Patrząc na to, jak idą sprawy TAMTEGO, pewnie ledwo starcza im na czynsz. Ze sprzedaży tych bohomazów raczej nie wyżyją, a jeśli nawet on pracuje w agencji reklamowej, to co? Nie od dziś wiadomo, że tam nie

zarabia się kokosów.

Pewnie ciężko im razem! Idylla najwyraźniej minęła, a pozostała brutalna rzeczywistość. Wiedział, że nie powinien, ale po prostu nie mógł oprzeć się pokusie zastanowienia, jak mogło wyglądać codzienne życie z kimś takim? Czy on w ogóle był zdolny do mieszkania z kobietą? Zapewne nie tylko nie zarabiał na chleb, ale był zbyt zajęty, by wyrzucić po sobie pety z popielniczki! Nie miał pewnie normalnych relacji towarzyskich, nie płacił podatków, nie wypełniał PIT-ów, nie opłacał ubezpieczenia, nie głosował – Paweł nawet pamiętał ich ostrą wymianę zdań na ten temat. Taki człowiek był zapewne doskonałym kochankiem – tu Pawłowi krew uderzyła do głowy – lecz jak mogła wyobrażać sobie życie u boku kogoś takiego? No jak?

Co, na przykład, w razie choroby? Różnych sytuacji losowych? Jak oni, na Boga, funkcjonowali?

Szczęśliwie nie był to już jego interes. Spotka się z nią, najlepiej jak najszybciej, i czym prędzej załatwi wszelkie formalności. I zyska status mężczyzny rozwiedzionego, wolnego – w razie... W razie gdyby zaistniała taka potrzeba.

Względnie zadowolony, podniósł się z kanapy i po omacku wyszukał pstryczek od lampki. Łagodne światło zalało salon – od drzwi po najdrobniejsze detale mebli w stylu secesyjnym. Ich wspólne dzieło. Bo wiele złego mógł o niej powiedzieć, ale na sztuce się znała.

Na sztuce, wnętrzach, książkach... Modzie. Ogólnie – lubiła piękno. Poszedł do kuchni i znów nalał sobie wody. Potem poszedł do łazienki, również utrzymanej w klimacie secesji, ale w nowoczesnej formie. Prawdziwym dziełem sztuki były na przykład szklane drzwi do prysznic, ornamentowane w roślinne wzory, łączone z surową prostotą szerokich płyt ceramicznych. Albo nowoczesna wanna na drewnianych, lwich łapach. Wszystko zresztą według jej projektu!

Poirytowany, zrzucił z siebie wczorajszą koszulę i bokserki, a następnie, objając się lekko o szklane drzwi, wszedł pod prysznic. Potem skierował mocny strumień wprost na głowę i stał z zamkniętymi oczami, próbując się uspokoić.

Do dupy te prochy, skoro co chwilę wzbierało w nim wkurwienie. Nie sposób się było zrelaksować. Jakże inaczej czuł się jeszcze wczoraj rano, kiedy pełen sprzecznych uczuć szykował się na tego cudaczego sylwestra.

Och, cholera. Zupełnie zapomniał o Agnieszce. Teraz dopiero uświadomił sobie, że powinien był do niej zadzwonić! Zwłaszcza po tym, co zaszło!

Wyszedł, ociekając wodą. Znów kręciło mu się w głowie. Wytrzeł się, ubrał w czysty podkoszulek i spodnie od dresu, po czym niespokojnie ruszył szukać komórki. Po piętnastu minutach nerwowego krążenia po mieszkaniu zlokalizował ją wreszcie w kieszeni rzuconych w salonie spodni od garnituru. Była kompletnie rozładowana!

Podłączył ją, klnąc pod nosem. Gdy wreszcie uruchomił aparat, zobaczył kilkanaście nieodebranych połączeń od znajomych, rodziców, braci. Cholera, no tak! Ludzie dzwonili do niego wczoraj z życzeniami noworocznymi, a on, wstawiony i ujarany, całował się na tarasie młodocianego bogacza z własną sekretarką. Z pewnością rozejdzie się to po mieście.

Pięknie. Lecz dziwne było, że właśnie owa sekretarka do niego nie dzwoniła. Obraziła się. Nie zdziwił się, a jednak... Jednak spodziewał się znaleźć połączenia też od niej. Była zawsze taka wyrozumiała.

Zniecierpliwiony, wybrał jej numer. Odebrała w końcu, po wielu sygnałach.

– Cześć – jego głos zabrzmiał oficjalnie. Potem przez głowę przeleciało mu, co wczoraj wyprawiali, więc szybko dodał znacznie miększym tonem: – Przepraszam cię, że dopiero teraz dzwonię. Do tej pory spałem! Obudziłem się, jak to wy mówicie, na megakacu. Dopiero znalazłem telefon.

– Uhm – zdawała się nieprzekonana. Cóż to? Teraz miał się przed nią tłumaczyć? Co to, to nie! A jednak czuł się w obowiązku, cholera jasna.

– Zniknąłeś wczoraj bez słowa... – odezwała się w końcu z wahaniem. Nie była pewna, czy ma prawo robić mu wyrzuty...

– Właśnie o tym chciałem mówić! Wiesz, dawno nie paliłem... Nie paliłem marihuany – zaczął z namysłem. – I właśnie teraz dobrze sobie przypomniałem, dlaczego nie znoszę tego robić. Zupełnie tracę po tym głowę.

Zapadła chwila ciszy. W tym momencie Paweł uzmysłowił sobie, że jego słowa można było zinterpretować na dwa sposoby. Stracił głowę i zniknął w tłumie, nie wiedząc, gdzie idzie – czy też stracił głowę i dlatego ją całował?

Mowa jest srebrem, ale milczenie złotem. I Paweł świadomie wybrał złoto.

– Wsiadłem do taksówki bez świadomości... Bardzo cię przepraszam... – dodał niezgrabnie, omijając sedno sprawy. – Długo się jeszcze bawiliście?

– Nie.

– Hm.

Sam nie wiedział, czy ta odpowiedź zmartwiła go, czy wręcz przeciwnie.

– Ja już tam nie weszłam. Wróciłam po prostu do domu.

– Jasne. Słuchaj, jestem piekielnie zmęczony. Może pogadamy o tym jutro w kancelarii, co? Musimy się spotkać wcześniej, by jeszcze raz przejść pytania do rozprawy.

– Nie ma sprawy. Do jutra więc... – Czy mu się zdawało, czy czekała na coś jeszcze? Nie wiedział, nie miał zresztą siły analizować tego w tym momencie. Był zbyt zmęczony. Gdy wreszcie się rozłączyli, westchnął z ulgą.

Położył się przed telewizorem i bezmyślnie przelatywał kanały. Chciał zajrzeć w akta, ale kompletnie nie miał siły. Zresztą zajmą się tym jutro, z Agnieszką. Ciekawe, że jakoś siadł mu entuzjazm do tej sprawy. Od tygodni myślał z niecierpliwością prawie wyłącznie o tym, jak przyspili Zagajewicza w sądzie.

Dziwne, że teraz jakby mniej go to obchodziło. Myśli, nieposłuszne jego woli, uparcie wracały do zeszłego wieczoru i podsuwały obraz kobiety stojącej samotnie przed wejściem do gwarne go klubu. Kobiety, na której twarzy znać było... rozterkę. Chyba tak.

Nie chciał być małostkowy i napawać się tym ani czerpać z tego satysfakcji. Ani myślał ucierać jej nosa. Ma to, czego chciała.

Jutro po pracy pójdzie do niej i przedłoży warunki rozwodu. Najwyższy czas.

Potem długo leżał bezsennie, snując plany w najdrobniejszych szczegółach. Zamierzał być chłodny, lecz uprzejmy. Opanowany, ale stanowczy. W kawiarni pokrótce omówią podział własności. I choć formalnie nic jej się nie należy, albowiem podpisali intercyzę, niech z mieszkania bierze, co chce! Potem szybko wyjdzie z knajpy i zostawi to wszystko za sobą. Wreszcie zamknie ten piekielny rozdział. Będzie wolny!

Następnego dnia obudził się bardzo wcześnie, nie było jeszcze szóstej. O tej godzinie zwykł się budzić, gdy miał ogromne strapienie. Była to pora dnia, kiedy jego myśli układały się niezwykle jasno i precyzyjnie, jakby posiadał zdolność widzenia całej sytuacji z boku.

A przynajmniej tak mu się zdawało.

Postanowił podjechać pod budynek redakcji grubo przed siedemnastą, by znaleźć dobre miejsce do zaparkowania, tuż pod wejściem. Zaskoczy ją. Będzie oschły i konkretny. Powie, że muszą omówić warunki rozwodu. Nieopodal, na rogu, znajdowała się kawiarnia, w której na początku ich znajomości (mój Boże, wcale nie tak dawno temu) umawiali się tuż po jej pracy. Ach, jakże zawsze się spieszył do tego obskurnego lokaliku w podziemiach przy Mokotowskiej!

Pospiesznie wstał, wziął prysznic i dokładnie się ogolił. Wiedziony raczej instynktem, ubrał się starannie niż zwykle, w najlepszy garnitur.

Przygotował byle jakie śniadanie, które zjadł szybko, jakby spieszył się na pociąg. Wyszedł z domu punktualnie o siódmej trzydzieści, na Parkową zajechał przed ósmą, bo na moście Łazienkowskim korek był niewielki.

Gdy stanął w drzwiach kancelarii, nie spodziewał się zastać Agnieszki. Jakże się zdziwił, zobaczywszy ją już na posterunku.

Zawahał się, jakby nie był pewny, co zrobić, jak się przywitać. Także ona, najwyraźniej onieśmielona, patrzyła na niego niespokojnie.

– Wszystkiego dobrego w nowym roku, Agnieszko.

Jakoś nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Ona, najwyraźniej zmieszana, próbowała się uśmiechnąć.

– Ależ z ciebie ranny ptaszek! – rzekł, byle coś powiedzieć. Kręcąc się niespokojnie, powiesił płaszcz i postawił aktówkę na biurku.

– Z ciebie również – rzuciła, znów pochylając się nad dokumentem, który czytywała.

W tym momencie gorzko pożałował, że w ogóle do czegośkolwiek między nimi doszło. Po co im to było? Do tej pory ich stosunki układały się tak dobrze. Mieli tak nieskomplikowane relacje. Jak para kumpli.

– Dokładnie! Jesteśmy do siebie bardzo podobni – rzekł cicho. – Dlatego tak dobrze się dogadujemy. Nie chciałbym... nie chciałbym, by to się kiedykolwiek zmieniło...

Ach, czy można było wyrazić to brutalniej niż on teraz? Nie czekając na odpowiedź, szybko dodał, przezornie znikając jej z pola widzenia w małej kuchence:

– Przygnało nas tu wspólne poczucie obowiązku, Aga! Za trzy dni cholerna rozprawa. Zaraz zrobię dla nas mocnej kawy i zabieramy się do pracy. Oprócz tego, że wreszcie drań zapłaci za swoje, my mamy jeszcze parę innych spraw do załatwienia.

Weszła do kuchni i wyjęła z jego dłoni pusty kubek, z którym stał przed ekspresem, bezradnie wpatrując się w skomplikowane urządzenie.

Z uczuciem ulgi wyszedł stamtąd i zasiadł przy okrągłym stoliku, czekając, aż ona zrobi dla nich kawę.

Z kuchenki dobiegło bulgotanie wody, a potem świst pary. Paweł nadal siedział bez ruchu, pogrążony w dziwnej inercji.

– Oby tylko prezes Baranowski nie stracił nad sobą panowania, widząc Zagajewicza tak blisko siebie – rzuciła Agnieszka, stawiając przed nim latte w wysokiej szklance.

Ufff. A więc i ona nie chciała dłużej międlić tamtego tematu. Za to ją lubił.

– Fakt, że Baranowski ma niewyparzoną gębę, ale jest nie w ciemnię bity i nie pierwszy raz staje przed sądem. Wie, jak ma się zachować. – Odwzajemnił jej uśmiech. – Jemu jeszcze bardziej niż nam zależy na tej forsie.

– A nam zależy na forsie? – Pochyliła się do przodu i oparła brodę na rękach.

– A przyjemnie nosi się to futerko? – odpowiedział, patrząc jej w oczy.

– Bezskutecznie próbujesz udawać gościa, który myśli tylko o kasie.

Jej młodzieńcza naiwność była urocza.

– Masz rację! Nie chodzi mi tylko o kasę. – Teraz i on pochylił się, opierając rękami o biurko i znajdując się z nią twarzą w twarz. – Myślę jeszcze o zemście!

Patrzyli sobie w oczy z niewielkiej odległości, aż w końcu prychnęła śmiechem i zawołała:

– A inaczej mówiąc, walczysz o sprawiedliwość dla Baranowskiego!

– Jak zwał, tak zwał. – Zerwał się z krzesła i szybko dopił resztę kawy. No dobra! Fajnie,

że znów się śmiali, ale zamierzał trzymać ją trochę na dystans. Mieszanie pracy z flirtem działało jak obosieczna broń. Wprawdzie nigdy tego nie doświadczył, ale tak słyszał... I coś w tym musiało być.

– Idę pisać tę zaległą apelację.

– Dla PGNiG-u? W punktach przygotowałam ci wyciąg z najważniejszego orzecznictwa i doktryny do artykułu czterysta siedemdziesiątego pierwszego, pod kątem tej sprawy. Masz to na biurku.

– Dziękuję! Jesteś niezastąpiona! – Stał w drzwiach swojego gabinetu, niezdecydowany. Nic nie odpowiedziała, wpatrzona w monitor komputera. Wycofał się do siebie i cicho zamknął drzwi.

Po kilku godzinach wytężonej pracy wyszedł z gabinetu i z roztargnioną miną położył na jej biurku gruby plik dokumentów.

– Zaraz to wyślę – rzekła z wahaniem, jakby w odpowiedzi na jego spojrzenie. –

A tymczasem pamiętasz, że o szesnastej jesteśmy umówieni z Baranowskim i Kostrzycem na powtórzenie pytań?

– Taaa. – Potarł twarz rękami. – Ale pomyślałem, że dasz sobie radę sama, ok?

I widząc zdziwienie na jej twarzy, poczuł, jak ogarnia go lekkie zniecierpliwienie. Musiał teraz tłumaczyć się jej ze wszystkiego?! Zazwyczaj nie było to uciążliwe, ale teraz...

– Aga, nie rób z tego wielkiej sprawy! Wysłaliśmy im pytania i odpowiedzi przed sylwestrem. Powinni znać je na pamięć, mieli dwa dni! To czysta formalność, dmuchamy na zimne. Tam nic takiego się nie wydarzy, przy czym musiałbym być obecny. Wystarczy, że przeczytasz im pytania i sprawdzisz, czy dobrze odpowiadają, jak nauczycielka uczniów. Ok?

– Ok!

– A jak któryś się pomyli, będziesz wałkować kwestię tak długo, aż wykuje ją na blachę. Ja spotkam się z nimi pojutrze i drugi raz ich przeegzaminuję, dobra? Zrobię im próbę generalną.

– Niby tak, ale...

– Ale co?

– To dziwne, bo do tej pory brałeś czynny udział w każdym etapie tej historii!

Teraz na dobre się zdenerwował. Czy zareagowałby tak, gdyby jej słowa były pozbawione słuszności? Nie wiedział i nie miał zamiaru dzielić włosa na czworo. Już postanowił zrobić dziś porządek ze swoim życiem osobistym. Jeżeli teraz stchórzy, kto wie, czy innego dnia zdobędzie się na odwagę?

Nie, nic go już od tego nie odwiedzie! Ruszył do drzwi, jakby ktoś go poganiał. Nie zważając na najwyraźniej czytającą w jego myślach Agnieszkę, złapał płaszcz i aktówkę.

– Mam pewną sprawę, którą muszę załatwić! – wyburczał, ubierając się pospiesznie. – Wyślij mi SMS, czy dobrze znali odpowiedzi i czy nie dukali. OK?

– Okej. – Rzuciła mu długie, poważne spojrzenie. Cholerna mała pensjonarka.

Skinął jej na pożegnanie i już był w drzwiach, a za chwilę jechał samochodem Alejami Ujazdowskimi w stronę placu Na Rozdrożu. Skręcił w Koszykową i szczęśliwie znalazł wolne miejsce, z którego doskonale widoczne było wejście do budynku, gdzie pracowała.

Zgasił silnik, lecz radio zostawił włączone. Siedział bez ruchu, obserwując co chwilę otwierające się drzwi. Ludzie wchodzili i wychodzili z bramy. Zbliżała się siedemnasta. Paweł wzmógł czujność. Niemal nie odrywał wzroku od wyjścia, lecz na próżno. Siedział w skrajnym napięciu ponad pół godziny i w końcu zaczęły go nachodzić wątpliwości. Mogła wcześniej skończyć pracę!

Kiedy już miał wyjść z samochodu, by zapalić, zobaczył ją, szybko wychodzącą z bramy. Niewiele myśląc, wyskoczył z auta i pobiegł w jej kierunku. Szła w stronę Alej Ujazdowskich,

pewnie do autobusu. Przechodniów było tam niewielu, więc mimo że trzymał się od niej jakieś trzydzieści metrów, nie musiał się obawiać, że straci ją z oczu. W końcu, gdy zbliżała się do znajomej kawiarni, zrównał się z nią i niemal w biegu chwycił jej ramię.

– O! – Odwróciła się i stanęła jak wryta, lekko blednąc.

– Nie denerwuj się, chcę tylko zamienić parę zdań – rzekł szybko, bojąc się, by nie zaczęła uciekać lub nie zrobiła czego równie nieprzewidywalnego. Widać sytuacja, która miała miejsce między nimi tamtej nocy, musiała być nadal żywa w jej pamięci. Mój Boże, może i nie zachował się jak dżentelmen, ale też i ona... To, czego się dopuściła! Jej zdrada na oczach wszystkich! Wszystkie te wspomnienia przewinęły się przed jego oczami niczym zwiastun koszmarnego filmu, emitowany przed głównym seansem. – Przyszedłem tu, bo musimy przecież porozmawiać.

Widział, że była wzburzona, a i on ledwo nad sobą panował, lecz dokonał maksymalnego wysiłku, by wziąć się w garść i przemówić spokojnie, racjonalnie, jak pierwotnie zaplanował.

– Nadszedł najwyższy czas, by coś z tym zrobić! Mam na myśli naszą sytuację!

Sam nie miał pojęcia, dlaczego nie użył w tym momencie innego sformułowania. Czemu nie powiedział jasno, że chodzi mu o rozwód. Patrzyła na niego spokojnie, jakby wyczekująco. Jak zwykle nie zamierzała niczego z siebie dać, niczego mu ułatwić!

– Nie przyszło ci do głowy, że przydałoby się uporządkować nasze życie? Naszą sytuację? – powtórzył, wpatrując się w nią czujnie. Zdawała się piękniejsza niż zwykle.

– Masz na myśli rozwód? – spytała krótko.

– Naturalnie, że tak! – zawołał wzburzony, mierzząc ją surowym spojrzeniem. Jakim prawem stała tu przed nim taka niefrasobliwa, piękna, podczas gdy on zrobił tyle, by do tego spotkania doprowadzić. W dodatku wyglądała tak... Jak zwykle, była gustownie ubrana... W płaszcz, którego przedtem nie widział! Jakby wojskowy szynel. Do tego oficerki typu vintage. A więc przejęła odrobinę wstrętnej nonszalancji tamtego! To było nie do zniesienia!

– Dlaczego po prostu nie przysłałeś mi pozwu rozwodowego? – spytała chłodno. Zimnokrwista żmija! Czuł, jak oblewa go gorąco, lecz starał się zapanować nad sobą.

– Nie chciałem być taki obcesowy. Po ośmiu latach małżeństwa chyba wypadałoby usiąść i zamienić parę słów.

Patrzyła na niego swoim nieprzeniknionym wzrokiem.

– Chociażby po to, by ustalić, jak podzielić majątek! Mienie – brnął z wysiłkiem.

– Nie mamy żadnego majątku do podziału! Ty powinieneś wiedzieć o tym najlepiej. – Rozejrzała się, jakby zbierała się do odejścia. Piła zapewne do zawartej między nimi intercyzy, a może do tego, co jej wykrzyczał w gniewie: że nie posiadała niczego, bo wszystko przecież zawdzięczali jego pracy.

– Jak więc wyobrażasz sobie cywilizowane rozstanie? – warknął gniewnie. – Miałbym po ośmiu latach wspólnego życia wysłać ci po prostu pozew rozwodowy?

Prawie niedostrzegalny błysk rozbawienia odbił się na jej twarzy. Krew uderzyła mu do głowy.

– Bawi cię słowo „cywilizowane”? Wiem, co masz na myśli, ale zapewniam cię, że żaden normalny mąż nie wytrzymałby takiego... – Przez usta nie chciało mu przejść jakże patetyczne słowo „poniżenie”. Nie zamierzał robić z siebie błazna. – Zresztą, nieważne... Nie tak chciałem... Chciałem po prostu spokojnie porozmawiać. Wejdzmy tutaj, do tej kawiarni, napijmy się kawy – dodał proszącym tonem.

Wyglądała, jakby mocno się wahała. Opuściła głowę, a wtedy on chciwie wpatrzył się w jej włosy, w twarz, w całą zgrabną sylwetkę.

– Dobrze. – Westchnęła z rezygnacją.

Weszli do środka. Paweł instynktownie skierował się do ich starej miejscówki we wnęce okiennej, lecz ona, nie zdejmując płaszcza, przysiadła na brzegu najbliższego krzesła. Zatem i on, też w płaszczu, usiadł naprzeciwko. To było wprost niesamowite uczucie – znów znajdować się tak blisko niej. Z trudem przypominał sobie, że miał być surowy i oschły.

– Cóż więc mamy do omówienia? – spytała niecierpliwie, obejmując rękami torebkę, jakby się od niego odgradzała.

– Może najpierw zamówimy coś do picia – rzekł oschle. – Nie możemy zajmować stolika, niczego nie zamawiając.

Widział, jak na chwilę przymknęła oczy.

– Dobrze więc. Wezmę małą kawę.

Paweł wzrokiem przywołał kelnerkę.

– Dwie małe kawy i dwie wody mineralne – zarządził niecierpiącym zwłoki tonem. Zauważył, że Hanna opuściła z zażenowaniem wzrok, jakby powiedział coś niestosownego.

– Dwie rzeczy skłoniły mnie do tego najścia – rozpoczął oficjalnym tonem, używając sformułowań, które uprzednio zaplanował. – Po pierwsze, chęć uporządkowania mojego życia osobistego – specjalnie mówił urzędowym tonem, brzmiącym w tym intymnym wnętrzu wyjątkowo przykro – oraz osobista troska o twój dobrostan! Po tym, co zobaczyłem pod klubem, muszę przyznać, że martwię się o ciebie...

Umysłnie mówił wypranym z wszelkich emocji głosem. Obserwował ją przy tym uważnie i czujnie, gotów dostrzec najdrobniejsze drgnienie mięśni twarzy, by potem poddać je dogłębnej analizie. Zawsze tak samo chciwie rzucał się na okazywane przez nią okrucieństwa emocji. Z początku doszukiwał się w nich czegoś pozytywnego, potem nie miał już złudzeń.

Patrzyła na niego bez wyrazu. Widać było, że pomieszkiwanie z gachem dodało jej pewności siebie. Miała swój kąt, miała do czego wracać.

– Martwię się po prostu o twoje bezpieczeństwo! Wiedziałem, że ten gnojek nie pracuje i nie zarabia, ale nie miałem pojęcia, że jest do tego stopnia obłąkany, by posuwać się do publicznej bijatyki! Gotów wciągnąć cię w poważne kłopoty, Hanno!

– Pozwól, że odniosę się najpierw do kwestii uporządkowania naszego życia, jak to określiłeś! Znasz adres wuja Rolicza i tam możesz w każdej chwili wysłać mi pozew...

– Szczerze mówiąc, po numerze, który im wycięłaś, myślałem, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Pobladała, ale nie odpowiedziała ani słowem.

– Poza tym, sam miałem z Roliczem nieprzyjemną rozmowę. To jest sprawa pomiędzy tobą a mną!

I znów, gdy wypowiedział te pozornie oschłe słowa, poczuł niemal fizyczny ból w klatce piersiowej. Niewiarygodne wprost... Nie było już jego i jej!

– Jeśli chodzi o pozew, wyślij mi go na ten adres. – Wyjęła z torebki kartkę i długopis i zanotowała coś swoim ładnym, zamaszystym pismem. Przyglądał się jej spod przymkniętych powiek, popijając kawę i korzystając z chwili, że ona tego nie widziała.

Burza ciemnych, falujących włosów zasłaniała jej twarz, lecz mimo to widział piękny zarys kości policzkowych, idealnie wykrojone ciemne brwi. Wszystko miała ładne, nawet palce u rąk. I jak zwykle była doskonale ubrana, choć w jej stylu pobrzmiwała jakaś nowa nuta.

– Zmieniłaś nieco styl – zauważył nieco kąśliwie. Na chwilę podniosła ciemne oczy, lecz nie odpowiedziała.

– Tu jest wszystko napisane. – Przesunęła po stole kartkę, ale gdy tylko wyciągnął rękę, by ją odebrać, natychmiast cofnęła dłoń.

– A jak wygląda twoja sytuacja finansowa? – spytał szybko, widząc, że dopiła kawę

i zerkna w stronę wyjścia. – Może mógłbym ci jakoś pomóc. Mimo wszystko... Bądź co bądź, jesteśmy nadal małżeństwem... Znam swoje obowiązki...

– Niczego od ciebie nie chcę. Wystąp wreszcie o rozwód i miejmy to za sobą – rzekła łagodnie, jak do namolnego dziecka. – Sformułuj to, jak ci się podoba, może być z mojej winy, mnie jest wszystko jedno. Do wszystkiego się przyznam, jedyne, czego chcę, to byśmy mieli to już za sobą.

I choć właśnie usłyszał to, czego teoretycznie oczekiwał, poczuł zalewającą go falę gorąca, jakby ktoś właśnie splunął mu w twarz.

– Dobrze, doskonale! – Wstał, patrząc na nią zimnym wzrokiem. – Nie ukrywam, że takie rozwiązanie pasuje mi najbardziej! I ja chciałbym mieć to już za sobą.

– Powiadom mnie, gdzie i kiedy mam się stawić. Najlepiej na tego maila! – Wstała i zaczęła zapinać płaszcz. Też poderwał się na równe nogi. Chciał coś jeszcze dodać, lecz jej oziębłość, jej pośpiech kneblowały mu usta. W niemym oburzeniu pospiesznie zapłacił, zostawiając zdecydowanie zbyt duży napiwek, i dogonił ją na schodkach prowadzących do wyjścia.

Przepuścił ją przodem, po czy stanęli twarzą w twarz.

– Do zobaczenia więc wkrótce! – Wyciągnął w jej stronę zimną, spoconą dłoń, którą pobieżnie otarł o płaszcz. Nie da po sobie niczego poznać! Widział, że zawahała się, jakby nie sądziła, że konieczne będzie jeszcze się widzieć. Bestia! W końcu podała mu dłoń, która dla odmiany była ciepła i sucha, idealna w dotyku, jakby cała Hanna była jakiejś doskonałej marki, wykonana z kosmicznego, niezniszczalnego materiału, który nie pocił się, nie marszczył i nie ulegał pochopnym emocjom.

Uścisnęli sobie ręce. Poszukał jej spojrzenia, lecz tylko uśmiechnęła się zdawkowo, unikając jego wzroku.

– Do widzenia!

Tylko tyle. Okręciła się na pięcie i szybko ruszyła w stronę Alej. Stał przez moment jak oniemiały, po czym ruszył w stronę swojego auta. Przez głowę przebiegały mu tysiące rzeczy, które mógłby jeszcze zrobić, chociażby zaoferować jej podwiezienie do domu. Bądź co bądź, oboje mieszkali po tamtej stronie rzeki. Przez moment jego umysł próbował zapanować nad galopującymi emocjami, lecz właśnie przy niej jednej jakoś tego nie potrafił!

Zapalił papierosa i wsiadł do samochodu, mając jeszcze na tyle przytomności umysłu, by wydmuchiwać dym przez otwarte okno. Z trudem powściągnął chęć gonienia za nią, by zaoferować podwiezienie. Jakkolwiek emocjonalnie tego pragnął, nie był to dobry pomysł w kontekście planowanego rozwodu. Postanowił jednak ruszyć z miejsca w kierunku, w którym odeszła. Jechał wolno, wypatrując jej sylwetki, odwracając się za niemal każdą ciemnowłosą kobietą.

Skręcił w Aleje i włókł się prawym pasem, nie zważając na trąbiące na niego samochody. Przez szeroko otwarte okno napływały fale lodowatego powietrza i smród spalin, lecz nie zamknął szyby. Co i raz wydawało mu się, że gdzieś ją dostrzeże, wtedy zwalniał jeszcze bardziej, a potem z niepokojem zerkał we wsteczne lustro, mamrocząc pod nosem przekleństwa pod adresem złorzeczających mu kierowców.

W końcu dojechał do placu Trzech Krzyży i tam o mało nie wjechał w stojący na światłach samochód. To otrzęziwiło go na tyle, że pstryknął petem przez okno i jechał znacznie ostrożniej, rzucając gorączkowe spojrzenia w stronę zatłoczonych przystanków autobusowych. Nigdzie jej nie wypatrzył.

Potem skręcił w stronę Saskiej Kępy, głęboko niezadowolony z przebiegu wydarzeń. Co chwilę analizował, co mógł powiedzieć lepiej. Albo raczej – czego nie powinien był mówić.

W końcu otworzył drzwi mieszkania i rzuciwszy na wieszak zabraną z kancelarii tokę, a na konsolkę kilka skoroszytów z aktami sprawy Baranowskiego, natychmiast skierował się do barku z alkoholem.

Nalał sobie pełną szklankę bourbona i wypił niemal duszkiem. Potem zdjął marynarkę i z ponownie napełnioną szklanką usiadł na fotelu przed niezapalonym kominkiem. Tok jego ponurych rozmyślań przerwał sygnał przychodzącego SMS-a. Od Agi. „Nie dukali, na pytania odpowiadali płynnie. Wszystko wydaje się w porządku”. Zabezpiecza się sformułowaniem „wydaje się”. Przezorna. Przezorna jak on sam. W dodatku ładna, zgrabna.

Tylko co z tego?

Gapił się w ciemne palenisko i popijał łyk za łykiem.

Wielka improwizacja

Tego samego wieczoru w podwarszawskiej Jachrance, w luksusowym apartamencie typu *suite* Mirosław Kwaśniak, z kieliszkiem margarity ustawionym na płaskiej piersi, leżał wyciągnięty w luksusowej pościeli i z godnym podziwu bohaterstwem przyjmował pieśczoły wpatrzonyj w niego jak w obraz Beaty.

– Dawno nie było mi tak cudownie. Mój mąż przy tobie to istny fajtłapa. Nie wiem, jak go zniosę po tym wszystkim. – Śmiała się radośnie, leżąc na brzuchu i głaszcząc jego skąpo owłosiony tors.

Spojrzał na nią z miną zwycięzcy i znów upił maleńki łyk.

– Gdy dziś rano do ciebie dzwoniłam, w życiu nie myślałam, że to się tak potoczy.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem, po czym przyknął powieki, jakby drzemał. Minę miał błogą, ale nie był już nazbyt rozmowny.

– Serio! – paplała dalej Beata, przeczesując palcami popielate włosy i poprawiając sobie piersi, po czym moszcząc się na nich niczym na dwóch gigantycznych poduszkach. – Nie planowałam tego.

– Oj tam... – mruknął Kwaśniak, siląc się na zdawkową pieśczoły jej krągłych pleców.

– Trochę się niepokoję! I wiesz doskonale, że mam o co... Dwoje dzieci, mąż. Wszędzie prasa! Tylko dybią, żeby coś na mnie znaleźć!

– Nie bój się, nikt się nie dowie! – Znów upił łyk. – Zachowaliśmy pełną ostrożność! Wchodziliśmy osobno i pod innymi nazwiskami... Wyluzuj się wreszcie!

– Ale i tak jestem szczęśliwa, że wreszcie się to stało. A ty?

– O tak!

Uchylił jedno oko i dostrzegł, że czekała na coś więcej, więc czym prędzej przygarnął ją do siebie i rzekł do ucha:

– Wiesz przecież, jak tego pragnęłam...

– Szkoda, że nie możemy zejść do restauracji – rozmarzyła się.

– Dopiero by się gromy posypały na twoją główkę. – Poglaskał ją po rozczochranych włosach i przytulił. Był tak kompletnie wyczerpany, że nie miał nawet siły się odezwać, zwłaszcza że temat jej nieudanego małżeństwa uznał za kompletnie wyeksploatowany. Wałkowali go przez kilka ostatnich spotkań, kiedy przekonywał ją o prawdziwości swoich uczuć. Wykazał tyle zainteresowania, ile starający się mężczyzna powinien, ale teraz chwilowo już dosyć, już basta!

– Wiesz, dzięki tobie zrozumiałam, jak kompletną pomyłką jest moje małżeństwo. Ach, gdybyśmy na zawsze mogli pozostać w tym pokoju. Ty i ja...

Zaczęła znowu, z zachwytem głaskając jego dłoń i splatając ją ze swoją. Miała długie, czerwone paznokcie. Delikatnie odsunął ją i znów złapał lampkę z margaritą, którą tym razem wychylił do dna. Chciała się w niego wtulić, ale rzekł stanowczo:

– Czekajże, daj chwilkę odsapnąć! Wspominałaś, że jesteś głodna? Może zamówimy jedzenie do pokoju?

Uzgodnili, że wezmą czerwone wino i dwa krwiste befsztyki, bo – jak to Beata określiła – miała apetyt jak wilk. Chwilę deliberowali przy doborze wina. Kwaśniak optował za tym nieco tańszym, bo uprzednio ustalili, że za dużym ryzykiem byłaby zapłata z karty poselskiej.

– Mogę wypłacić z bankomatu i potem ci oddam! – zapewniła, owijając się miękkim prześcieradłem kąpielowym.

– Co ty! – zaoponował Kwaśniak z oburzeniem. – Ja płacę!

– Nie chcę, byś traktował mnie jak łatwy łup, za który zapłacisz w typowo męski sposób

– wdzięczyła się przed nim, WRESZCIE owijając w hotelowy szlafrok.

Na szczęście, nim zdążył otworzyć usta, by odpowiedzieć, dało się słyszeć gromkie pukanie do drzwi.

– Schowaj się, schowaj. – Wepchnął ją do kąpiącej złotem łazienki. Potem złapał drugi szlafrok, błyskawicznie go włożył i ruszył otwierać drzwi.

Kelner wszedł, pchając złoty stolik na małych kółkach. Stały na nim dwa dania pod srebrnymi przykrywkami, butelka wina i dwa kieliszki. Dodatkowo pobrzękiwał zestaw przypraw oraz karafka z wodą z cytryną i miętą.

– Tutaj, tutaj – Kwaśniak instruuwał z miną światowca.

– Kto będzie degustował? – Chłopak uniósł butelkę i spojrzał na Kwaśniaka pytająco.

– A widzi pan tu kogoś oprócz mnie? – zirytował się Mirosław, zakładając ręce na piersi i patrząc na kelnera z drwiną.

– Jak pan sobie życzy! – Chłopaczyna pokornie opuścił głowę i sprawnie odkorkował wino, a następnie podał Kwaśniakowi odrobinę różowawego płynu na dnie wielkiego kielicha.

Kwaśniak najpierw zakręcił kieliszkiem, potem powąchał i rzekł głośno, by słyszeć go było i w łazience:

– Zapach owszem, ale cierpkie! No i kolor taki dziwny. Jak na wino za dwieście złotych to chyba coś z nim nie w porządku. – Badał kolor pod światło, mrużąc jedno oko.

Nie będą go tu nabijać w przysłowiową butelkę.

– Bo to, proszę pana, pinot noir. Zawsze takie jasne – pospieszył tamten z wyjaśnieniami. Odbył pewno kurs i mądry się, dureń patentowany!

– Przecież doskonale o tym wiem! – zakrzyknął Kwaśniak z pobłażliwym uśmiechem. – Chodzi o... o tintę! Kolor, który wino zostawia na brzegu. To wzbudza moje podejrzenie.

Chłopak patrzył bez przekonania, ale odparł uprzejmie:

– Jeśli pan sobie życzy, przyniosę inne wino.

– Ależ drogi panie, mam chyba prawo wyrazić opinię, co nie znaczy, że ma pan od razu biegać po nową butelkę! Niech pan leje! – rzucił łaskawie i w milczeniu obserwował uwijającego się kelnera.

– Życzy pan sobie czegoś jeszcze? – spytał młodzieniec, podejrzenie długo stercząc w progu, lecz Kwaśniak pozostał niewzruszony. Nie wypłacił napiwku bałwanowi, który śmiał go pouczać! No, wreszcie sobie poszedł. Gdy Beata wyszła z łazienki, czym prędzej usiedli do wykwintnych smakołyków.

– Wyśmienite! Pinot noir. Charakterystyczne jasne zabarwienie. – Uśmiechnął się do niej uwodzicielsko, dolewając mętnego, różowawego wina.

– Och! Chwilo trwaj! – Śmiała się, uszczęśliwiona, podpierając twarz rękami.

– Tak! To smutne, że nie możemy widywać się na co dzień... – zaczął ostrożnie, biorąc do ust soczysty kawał polędwicy i uważnie obserwując jej twarz.

– Ach, to wprost nieznośne! Ja z moimi licznymi obowiązkami posłanki, potem dom, dzieci – wyliczała posępnie. – Ty wciąż zajęty w kancelarii... Gdybyśmy choć pracowali razem, łatwiej byłoby się widywać...

– A cóż by nam to ułatwiło? Przecież nie pocałuję cię na sejmowym korytarzu... – Upił maleńki łyk wina i znów zajął się jedzeniem. Zdawał się całkowicie pochłonięty tą czynnością.

– Ach, jaki z ciebie rozkoszny chłopiec, Mirek! Taki jesteś jeszcze młody! – Zaśmiała się perliście. – Pojęcia nie masz, jakie numery tam odchodzą... – Urwała, by uszczknąć maleńki listek sałaty polany octem balsamicznym.

– Taaa? To koledzy posłowie i koleżanki posłanki tak się ze sobą kocą? Daj, dolej ci jeszcze kapeńkę...

– Już wypiliśmy? Żebyśmy się znowu nie ululi, bo jutro mam zaproszenie do telewizji!
– Dajże spokój, dziewczynko. Doskonale dajesz sobie radę przed kamerą. Masz języczek jak brzytwa!

– A mówiłaś, że nie oglądasz!

– Nie oglądałem, dopóki nie poznałem ciebie. Teraz oglądam zawsze, jak masz występować. – Złapał ją pod stołem za okrągłe kolano, na co wybuchnęła śmiechem.

– To kto tam kogo dmucha w tym sejmie? Zdradzisz mi nieco ploteczek? – Spojrzał na nią spod oka, aż oblała się rumieńcem.

– Tylko zachowaj to dla siebie. – Pogroziła mu paluszkami, uśmiechając się filuternie.

– Będę milczał jak grób – zapewnił, gładząc jej dłoń. – A w ogóle, jak nie chcesz, to nie mów. Boję się usłyszeć jakiejś strasznej tajemnicy. Jeszcze mnie potem będzie jakiś przesłuchiwał..

– Co ty wygadujesz, Mirek! To tak nie działa! Nikt nie nasyla Naczelnego Organu Prewencyjnego na niewinnych ludzi. – Wypiła wino do końca i podsunęła mu pusty kieliszek. – Nalej do pełna, to opowiem taką historię, że ci buty spadną. Tylko pamiętaj... Ciii. – Z uśmiechem przyłożyła do ust palec, który on uchwycił, przyciągnął do siebie i namiętnie ucałował..

Dwie godziny później relaksowali się w buzującym jacuzzi, znajdującym się w ich pokojowej łazience. Kwaśniak domówił napitków i aktualnie raczyli się pośledniej jakości szampanem.

– Tylko pamiętaj: cicho szaaa! – Leżała w wannie, opierając głowę o specjalnie zagłębienie wyłożone miękkim materiałem. Wypiła pół kieliszka na raz.

– Aż mi się wierzyć nie chce! On z nią? I wszyscy o tym wiedzą? – wykrzykiwał Kwaśniak, masując jej stopę i popijając szampana malutkimi łyżkami.

– No właśnie prawie nikt o tym nie wie! Więc trzymaj to dla siebie, proszę! – Pochyliła się i znowu go pocałowała.

– Już zapomniałem! – obiecał ze śmiechem, podnosząc prawą rękę i sięgając do srebrnego wiaderka po schłodzoną flaszkę. – Daj kieliszek!

– Ale powiem ci, Mirek – rzekła nagle z powagą, choć nieco bełkotliwie – że kto jak kto, ale ty byś mi się do polityki nadał doskonale!

– Co ty wygadujesz! – Nalał jej do pełna, aż sporo szampana chlusnęło wprost do wanny. – Skąd ta obelga? Czym sobie na to zasłużyłem?

Odchyliła do tyłu głowę i wybuchła szalonym, niekończącym się śmiechem. Z początku jej wtórował, lecz potem tylko patrzył z wyrozumiałą pobłażliwością.

– Mam do tego oko! Jesteś erudyta. – Mierzyła go nieco mętnym spojrzeniem. – Inteligentny. Wygadany. Błyskotliwy. Elokwentny. Obyty. A do tego prawnik! Oj, gdzieś ty się taki uchował?!

Kwaśniak przysunął się do niej pod wodą, wycisnął na jej ustach gorący pocałunek i rzekł:

– Ale ja, najdroższe kochanie, nie wierzę politykom! To ludzie bez żadnych zasad moralnych.

Zaczęła ochlapywać go wodą, żartobliwie zagniewana. Z lekkim niepokojem obserwował, jak cała podłoga w łazience pokrywa się wodą z pianą, lecz nie dał po sobie niczego poznać, śmiejąc się najweselej, jak umiał.

– Jak możesz tak wykorzystywać biedną, zadurzoną w tobie kobietę i mówić jej, że nie ma zasad moralnych!

– Wiesz, że nie mówię o tobie... – zaczął poważnie, ujmując ją za rękę. – Mam po prostu

złe doświadczenia! Zrobiono mnie w przysłowiowego, ekhem... – Kiwnął jej głową i dokończył: – I szczerze mówiąc, moi oprawcy nadal są na wolności, chociaż twoja partia deklaruje chęć zrobienia porządku z korupcją. To wszystko gównem prawda, za przeproszeniem! Wszyscy politycy są siebie warci. Wiem, iż to, co mówię, brzmi populistycznie, ale to szczerza prawda, ptysiu. I nawet mimo całej sympatii do ciebie nie zmienię zdania o Porozumieniu Narodowym. Nic nie zrobili, żeby zmienić istniejący stan rzeczy!

– Ależ, Miruś, nie da się wyłapać ich wszystkich od razu! Prezes naprawdę zamierza zrobić z nimi porządek! Nie ma uczciwszego człowieka niż prezes!

Popatrzył na nią powątpiewająco.

– Miruś, uwierz mi! Prezes jest krystalicznie czystym człowiekiem. Nie interesują go władza ani pieniądze! Myśli TYLKO i WYŁĄCZNIE o schwytaniu wszystkich oszustów. Daj mu chwilę. Rządzi dopiero od trzech miesięcy!

Kiwał głową, jakby wierzył, lecz w kącikach jego ust drgał kpiący uśmiezek.

– Miruś, już o tym rozmawialiśmy. Pamiętasz?

– Tak, aleczko! I minęło te parę miesięcy, a ci bandyci nadal są na wolności. Nadal kradną, nadal korumpują. Nadal robią przekręty, grabiąc uczciwych ludzi takich jak ty czy ja!

– Wiesz co... – Zamyśliła się i usunęła swój kieliszek spod butelki. Znów drogocenny płyn polał się do wanny, co wywołało kolejną salwę śmiechu.

– Co takiego? – spytał obojętnym głosem, rozpierając się w wygodnej wannie.

– Mam pewien pomysł, który załatwi wszystkie nasze bolączki! – Patrzyła na niego, jakby doznała olśnienia.

– Już się boję! – Kwaśniak zaśmiał się, znów łapiąc za jej stópkę, zakończoną karminowo umalowanymi paznokietkami.

– Nie, zaczekaj! – Z hukiem odstawiała smukły kieliszek. – To jest naprawdę niezły plan, więc jeśli kochasz mnie tak, jak przed chwilą mówiłeś, to się zgodzisz...

– Jeśli ma to coś wspólnego z polityką, to na pewno nie! – przekomarzał się, masując jej pulchną kostkę, a potem łydkę. Mimochodem zauważył, że miała bardzo grube „przeguby”.

– Choć raz posłuchaj starszej i mądrzejszej! W partii szukają takich ludzi jak ty. Nawet Robert Kazimierczak... Oczywiście wiesz, kto to?...

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł nieuważnie, pozornie pochłonięty masażem pokaźnej stopy.

– Jest prawą ręką prezesa i ministrem spraw wewnętrznych. A przy okazji człowiekiem, który bardzo dobrze zna Serafina Deptułę. O nim musiałeś słyszeć!

– Szef Naczelnego Organu Prewencyjnego, tak? Biura do walki z korupcją?

– Kazimierczak jest z nim w bardzo poufanych stosunkach. Zresztą znają się od lat.

Minister bardzo mu ufa. Wierzy też, że Deptuła uda się to, co nie udało się jego poprzednikom.

– A mianowicie co?

– Dobranie się do układu!

Podciągnęła się wyżej, jakby samo to słowo lekko ją otrzeźwiło.

– Otóż Kazimierczak jest człowiekiem, z którym zapewne znalazłbyś wspólny język. Jest, jak i ty, absolutnie przekonany, że w Polsce istnieje i sprawnie funkcjonuje tak zwany układ! Układ wzajemnych powiązań, koterii, zresztą sam wiesz... Minister organicznie nienawidzi przekrętów i korupcji. Ma na tym punkcie prawdziwego hopla. Poprzysiągł, że położy kres praktykom korupcyjnym w naszym państwie. Bardzo wspiera Deptułę w jego misji. Deptuła uważa, że długie macki układu sięgają niemal wszędzie. Rozdają stanowiska, ustawiają przetargi...

Kwaśniak rozlał resztki szampana do kieliszków i tym razem on pierwszy wychylił swój

do dna.

– No więc Robert Kazimierczak szczególnie nie lubi prawników! Lekarzy zresztą też! W ogóle nie znosi zawodów, w których warunki ustanawiają korporacje. Już samo to jest według niego korupcjogenne. No ale na prawników ma po prostu alergię! – Patrzyła na Mirka lekko niewidzącym wzrokiem. – Uważa środowisko prawnicze za wyjątkowo przeżarte korupcją. Chciałby wprowadzić do tego zawodu nową jakość – ludzi młodych, z czystą kartą, o nieposzlakowanych charakterach, właśnie takich jak ty!

Patrzyła na niego badawczo. Wyglądała, jakby nieco otrzeźwiała. Milczał, udając, że głęboko się nad czymś zastanawia. W końcu rzekł:

– Ale co ja bym tam u was robił?

– No właśnie to, co interesuje cię najbardziej! Mówiłeś, że zamierzasz pisać doktorat o wpływach korporacji na funkcjonowanie zawodu. Byłbyś u nas dyżurnym ekspertem!

– Ja ekspertem?

– Zbyt nisko się cenisz, Mirku. Nie masz pojęcia, jakie tumany figurują u nas jako eksperci. Zresztą to ja decyduję, kogo zatrudniamy. Ja i poseł Bożymski pracujemy nad ustawą o otwarciu zawodów. Świetny chłopak, polubisz go...

Kwaśniak uparcie milczał, jakby nadal nieprzekonany.

– Znasz doskonale moje zdanie w kwestii polityki. Polityka cuchnie, cholera jasna, z polityką nie chcę mieć nic wspólnego...

Beacie zrzęda mina, więc szybko dodał:

– Ale powiedziałaś coś, co mnie zainteresowało! Minister Kazimierczak...

– Tak?

– On zna Deptułę?

– Jak mało kto.

– I mówisz, że najbardziej zależli mu za skórę prawnicy, tak?

– No tak. Uważa, że to krętacze, którzy tworzą gigantyczną szarą strefę...

– I rozumiem, że chciałby wykazać istnienie układu przede wszystkim w kręgach prawniczych, dobrze rozumiem? Że ręka rękę myje i te sprawy, tak?

– No tak! By unaocznic ludziom konieczność zmian. Powiem ci w zaufaniu, że mają ich teraz pod lupą. Nie, żeby ich prowokować!

– Nie, no broń Boże!

– Ale szara strefa w tym sektorze tworzy gigantyczną wyrwę w budżecie państwa! Można by za to wesprzeć niejedną głodującą rodzinę. A zapewniam cię, że takich jest niemało!

– Mój Boże! – Kwaśniak zasępił się. Chwilę milczeli, głęboko zatroskani. W końcu Mirosław podjął temat: – Ma chłop słuszność. Dobrze kombinuje. I mówisz, że trzeba mu młodych do współpracy? – Uczenie pokiwał głową, jakby ważył coś na szali. – Nooo, czyli jesteśmy po tej samej stronie. I ja jestem głęboko przekonany, że prawnicy to najbardziej skorumpowana gałąź społeczeństwa. I tak się składa, że mogę mieć dla twojego ministra bardzo interesujący materiał!

– O, no to mów. Jestem zaintrygowana! – By ostudzić nieco owo gorączkowe zaintrygowanie, szybko łyknęła potężny haust szampana.

– Jest taka szemrana rodzinka, nazywają się Wenclowie! Rodzina Corleone to przy nich wzorowi obywatele, rozumiesz, skarbeczku! W dodatku jeden z nich, Paweł, jest radcą prawnym i właścicielem znanej, szanowanej i prominentnej warszawskiej kancelarii. Oprócz tego tak się składa, że człowiek ten jest głęboko skorumpowany i nieuczciwy. Po prostu bandyta w białych rękawiczkach! Rozumiesz, łapówki, przekręty i zastraszanie to jego chleb powszedni. Wiem o nim mnóstwo rzeczy. Gdybym miał do dyspozycji pomoc, rozumiesz, z łatwością wykazałbym

korupcję na najwyższej półce ramienia sprawiedliwości!

– Skąd tyle o nim wiesz?

– Miałem nieszczęście znaleźć się przez przypadek w domu jego ojca. Żebyś zobaczyła to bogactwo, tę kapiącą złotem dachę! Od kumpla Wencła dowiedziałem się o nich niejednego. Wiem, że stary Pawła, Ryszard, nachapał się przy prywatyzacji browarów. Niedaleko pada jabłko od jabłoni! W ogóle cała ta rodzinka jest mocno ustawiona i całkowicie unurzana. Młodszy brat Pawła teoretycznie pracuje jako dyrektor marketingu w dużej korporacji, ale wyobraź sobie, że jeździ najnowszym modelem porschaka! I chodzą o nim różne słuchy! Wiem o tym, bo kancelaria, w której pracuję, obsługuje firmę młodszego Wencła.

– No to ładne kwiatki! – Beata chciała łyknąć szampana, ale jej kieliszek był pusty.

– Czekaj, schłodzę drugiego. – Kwaśniak wyskoczył w wanny i, ociekając wodą, poleciał do salonu. Wracając z flaszką, zerknął w lustro na swe odbicie. Sam sobie wydał się w tej chwili szczególnie pociągający. Jakim łakomym kąskiem musiał się wydawać temu podstarzałemu, grubemu babsku! Śmiało paradując po zalanych wodą kaflach, rozkoszował się swą nagością i wyrazem oczu kochanki. A niech się leje szampan, a niech nawet zaleje apartament pod nimi! On – król życia – dziś załatwia swoje sprawy i cały świat ma u swych stóp. Z grzechotem wsadził nową flaszkę do wiaderka.

– No więc słuchaj! – Przytłumił bicze wodne i perełki, więc w łazience zrobiło się znacznie ciszej. Teraz jego głos rozniósł się po obszernym pomieszczeniu ze zdwojoną siłą. – Wszystkie ich łajdactwa i oszustwa nie byłyby moją sprawą, gdyby nie jedna nieprzyjemna okoliczność. Paweł Wencel miał za żonę taką jedną puszczałską ładacnicę, która – tak się niefajnie złożyło – zagięła na mnie parol. Rozumiesz, wydzwaniała, skamlała, żebrała o spotkania...

Słuchała w milczeniu. Mirosław, pożądaný przez żony jakichś prominentnych działaczy, wydawał się jej piękny niczym Apollin!

– Naturalnie, nie zrobiłbym tego koledze, więc kategorycznie powiedziałem jej, że nie, że nic z tego. No i ona, jak to urażona, odtracona kobieta, powiedziała chyba mężulkowi, że mieliśmy romans czy co... A on, kierowany chęcią zemsty, uknuł jakąś cholerną intrygę. Chce mnie zrobić. Ja mam po swojej stronie prawo i własną uczciwość, a on kumpli w sądzie. I jest nietykalny!

Kwaśniak pokiwał głową z rozgoryczeniem.

– Czemu nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– A co ty na to poradzisz? – krzyknął z goryczą. – Albo ten twój... jak mu tam? Pod jednym tylko względem się z nim zgadzam: układ istnieje i to jego członkowie rozdają karty! Ale mylicie się, jeśli sędzicie, że dacie radę go rozbić. Ja ci mówię, Beato: oni są nietykalni!

Zastygł z palcem wskazującym wycelowanym w jej wielkie piersi.

Patrzyła na niego chwilę, po czym, jakby wiedzona jakimś pierwotnym instynktem, rzuciła się w jego stronę, znów zalewając podłogę wodą. Chwyliła go za rękę i zaczęła go po niej całować z wyrazem niewolniczego oddania. Mimo że wstawiony, z trudnością krył odrazę wobec tych gorących pocałunków, wobec wywróconych rozkoszą białek.

Cóż tam dobiegało z jej ust? Jakies jęki, stęki i co jeszcze? Niemal siłą wyrwał z jej ust własny kciuk, który ssała tak zapamiętale. Delikatnie, by nie zniekształcać pulchnego, mokrego ryjka, ujął ją pod brodę.

– Co tam mamrociesz, moja... moja perełko? – szepnął czule.

– Mówię, że nie dam cię skrzywdzić! – wybełkotała.

To enigmatyczne zapewnienie musiało mu chwilowo wystarczyć. Pozostawało ufać, że rano z jej ust padną w końcu konkrety... Cóż, przy śniadaniu będzie musiał docisnąć pedał.

Dzisiaj już niewiele z niej wydusi, była kompletnie zalana.

Tymczasem ona, ociekając wodą, gramoliła się z wanny wprost na śliską jak lodowisko posadzkę. Szybko wstał i chwycił ją za łokieć. W samą porę, ani chybi wyrznęłaby głową o kant umywalki i nie byłoby co zbierać...

Rozbawiona możliwością wywrotki, zaczęła się histerycznie śmiać. Kwaśniak chwycił stertę czystych ręczników, które cisnął na mokrą posadzkę. Potem ostrożnie wyszedł z wanny, nie puszczać jej ramienia.

– Uratowałem twoją śliczną główkę, moja panno! Za dużo tego szampana!

Śmiejącą się jak stu czartów, holował ostrożnie do pokoju, do łóżka. Była niemąla nadzieja, że zmorzy ją sen.

Dzień rozprawy

W dzień rozprawy Paweł Wencel otworzył oczy, zanim zadzwonił budzik. Była za piętnaście szósta. Za oknami zupełnie ciemno. Jeszcze chwilę leżał nieruchomo, oddychając głęboko. Czuł się dziwnie spokojny i samo to zdało mu się podejrzane. Zazwyczaj przed rozprawą był zdenerwowany. Tylko napięcie, tylko nerwy i stres przydawały mózgowi odpowiedniego skupienia – niezbędnego w sądzie, by wykazać się konieczną błyskotliwością, jasnością umysłu, refleksem.

Wstał i poszedł do kuchni zaparzyć sobie mocnej kawy. Nic innego nie mogło postawić go na nogi. Machinalnie sięgnął po papierosa i zapalił go, obserwując, jak kawa powoli przelewa się przez filtr ekspresu i napełnia mały dzbanek. Osobliwe. Przez ostatni miesiąc nie myślał o niczym innym, jak o dniu, w którym wreszcie dopadnie Zagajewicza, a tymczasem wczorajsze spotkanie z Hanną... Żle, zdecydowanie źle na niego zadziało. Rozproszyło go, wybiło myśli z ich naturalnego rytmu. Pewnie gdyby nie to spotkanie, powtarzałyby teraz mowę otwierającą i antycypował, co odpowie Zagajewicz, po czym przyszykowałby ciętą ripostę.

Dziś rano jednak jego mózg był ociążały i powolny, jakby nie miał chęci stawić temu czoła.

Mimo kaca nie miał już złudzeń. Oto pokłosie spotkania z „nią”. Niczym czarownica, rzuciła na niego klątwę. Był bezpieczny, dopóki trzymał się od niej z daleka. Wiedział to już wcześniej – czemu więc nie wytrwał w swoim postanowieniu?

Spokojnie wypalił, łyknął kawy i poszedł do łazienki, by zmyć z siebie smród nikotyny. Lejąc na głowę strumienie wody, nieco się uspokoił, przypomniał sobie, że przecież poszedł do niej tylko po to, by wreszcie się rozwieść.

Chwilowo to zapewnienie, złożone samemu sobie, musiało mu wystarczyć. A teraz czas nagiął. Paweł nie mógł się spóźnić. Nie powinien pozwolić jej zepsuć sobie tego dnia – dnia triumfu sprawiedliwości. Gwałtownie zakręcił kran i, mrugając, po omacku szukał ręcznika. Cholerne mydło dostało mu się do oczu i piekielnie szczypało.

Godzinę później, nieskazitelnie ubrany, z ciężką teczką w dłoni i togą przerzuconą przez ramię, wchodził po kamiennych schodach obszernego gmachu, który tak dalece wrósł w ponure otoczenie alei Solidarności i tak głęboko pokrył się brudem spalin, że skrzętnie skrywał cały swój urok. Trzeba było stanąć po drugiej stronie ulicy i chwilę się zatrzymać, by dostrzec jego harmonijne dostojeństwo, jego ponadczasową formę. Ale kto robiłby sobie tyle fatygi, by zastanawiać się nad odpychającą fasadą? Komu chciałoby się dziś dochodzić istoty spraw?

SPRAWIEDLIWOŚĆ JEST OSTOJĄ MOCY I TRWAŁOŚCI RZECZYPOSPOLITEJ – Paweł z nieprzeniknioną miną, podniesionym kołnierzem i wzrokiem wbitym w ziemię mijał ten wyryty nad wejściem napis. I choć nigdy nie zaszczycał go spojrzeniem, zawsze o nim pamiętał i zawsze poświęcał mu chwilę swojego czasu.

Nie inaczej było teraz, gdy z bładym uśmiechem mijał bramki i kiwał głową strażnikom. Rzadko prosili o okazywanie legitymacji, wielu znało go z widzenia. Od początku praktyki ochoczo stawał w sądzie, był tu więc częstym gościem. Nawet gdy już zatrudniał ludzi, którzy mogli występować w sądzie za niego, nigdy nie cedował tego na innych.

Zobaczył Agnieszkę, stała przy kamiennych schodach. Miała na sobie stary ortalionowy płaszcz. W majestatycznym holu, zaprojektowanym w stylu funkcjonalizmu lat trzydziestych, wydawała się drobniejsza niż zwykle.

Skinął jej głową i ramię w ramię, w zgodnym milczeniu, ruszyli po schodach. Potem długo szli krętym niczym labirynt korytarzem. Szczęście, że nie była z gatunku kobiet, które, by pokryć zdenerwowanie, miały bez sensu ozorem. Przy niej mózg odpoczywał.

Sala numer sto dwadzieścia osiem znajdowała się na końcu obszernego korytarza. Z daleka zobaczyli już stojących tam czterech mężczyzn. A więc wszyscy pojawili się przed nimi, choć do rozprawy zostało jeszcze dobre dwadzieścia minut.

Pod oknem stali pozwany Zagajewicz i jego pełnomocnik. Już z daleka Paweł rozpoznał w tej pokracznej postaci mecenasa Kuropatwę. Stary komuch, oczywiście kumpel Mariana Zagajewicza! Obrzydliwy typ, w brudnej, wyszmelcowanej, wytłuszczonej todze, z wymiętym zielonym żabotem. Za mądry na to, by czytać współczesne orzecznictwo. Czasem za mądry nawet na to, by wnikliwie czytać akta sprawy!

Włosy w nosie i uszach, niewypastowane buty i przemądrzały uśmiech – oto jego znaki rozpoznawcze. W duchu Paweł zdziwił się, że Zagajewicz pozwolił ojcu wybrać sobie takiego adwokata... I zaraz poczuł silny skurcz żołądka. Dziwne! Niepokojące! Skąd napływały te fale panicznego lęku, skoro argumenty, dowody i słuszność były po ich stronie?

Podeszli do prezesa Baranowskiego i przywitali się jedynie skinieniem głowy. Powaga chwili czyniła niemożliwym wszystko inne. Potem stanęli z nim pod ścianą i w milczeniu dyskretnie obserwowali pozostałych. Dyrektor Kostrzyc siedział na pobliskiej ławeczce i wpatrywał się w czubki swoich pantofli. Ściągnięty spojrzeniem Pawła, na chwilę uniósł głowę i nieznacznie się uklonił. Siedział nieco oddalony. Mecenas Wencel poinstruował go uprzednio, by tak zrobił dla zachowania pozorów obiektywizmu.

Paweł, nie chcąc rozmawiać z prezesem w obecności tamtych i nie chcąc też zaszczycać przebrzydłego zdrajcy Zagajewicza ani jednym spojrzeniem, wbił wzrok w swoje wyglansowane na wysoki połysk pantofle. Czuł zdenerwowanie pozostałych, które wcale nie ułatwiało mu sprawy. Powoli jego żołądek zamieniał się w twardy kamień.

Postawił na podłodze ciężką aktówkę i usłyszał, jak Zagajewicz z Kuropatwą szepczą, po czym ten pierwszy zaśmiał się przykrym, cichym śmiechem. Paweł czuł, jak robi mu się ciepło. Wbił wzrok w wypełnione siwym światłem okno. Niech wreszcie zacznie się ta cholerna rozprawa! Dłużej nie sposób tego wytrzymać.

Otworzyły się drzwi i na korytarz wyszedł protokolant, głośno wołając:

– Sprawa z powództwa Budexprim przeciwko Robertowi Zagajewiczowi o zapłatę!

Zebrani poruszyli się, a następnie stłoczyli wokół drzwi, kurtuazyjnie się przepuszczając. Wszyscy oprócz Zagajewicza zdawali się przejęci i poważni. Paweł, mimo prób zapanowania nad nerwami, poczuł uderzenie krwi do mózgu. Nic nie pomagały krzepiące spojrzenia Agnieszki. Zarozumiały uśmieszek Zagajewicza, jego pewność siebie, jego beztraska zrobiły swoje. Paweł znów czuł ucisk w okolicy mostka.

W tej chwili wiedział, że żaden werdykt nie usatysfakcjonowałby go tak, jak wymierzenie sprawiedliwości własną pięścią! Tylko potężne rąbnięcie dawnego współnika w tę podłgę, uśmiechniętą gębę mogłoby jako tako powetować mu poczucie doznanej krzywdy. Odganiając tę kuszącą wizję, wszedł na salę rozpraw ze wzrokiem utkwionym w drewnianą posadzkę.

Tymczasem wszyscy zajęli miejsca. Agnieszka w charakterze publiczności i Kostrzyc jako świadek usiedli w ławce na środku.

Sędzia przewodniczący rozkładał papiery. Paweł zerknął na niego spod oka. Mężczyzna był w średnim wieku, zdawał się opanowany, a jednak coś w jego wyglądzie nie spodobało się Wencelowi. Miał szczupłą, zapadniętą twarz, chorobowe sińce pod oczami i skrzywione, surowo zasznurowane usta człowieka cierpiącego na przewlekłe dolegliwości gastryczne. Snując rozważania na temat tego, jaki wpływ mogłoby to mieć na przebieg sprawy, Paweł splótł dłonie. W końcu rozległ się nosowy głos sędziego:

– Kto się stawiał w imieniu strony powodowej?

A więc nie tylko wrzody, ale i polipy w nosie. Paweł wstał i rzekł głośno i dobitnie:

– Wysoki sędzie, za firmę-powódkę stawił się prezes zarządu – pan Baranowski.
– Z pełnomocnikiem? – Sędzia zerknął na niego, nieznacznie unosząc brew.
– Radcą prawnym Pawłem Wenclem, ustanowionym w sprawie. Pełnomocnictwo w aktach, wysoki sędzie.
– Dziękuję, panie mecenasie. – Sędzia skierował teraz wzrok w stronę pozwanego. – A pozwany... osobiście?
– Tak, wysoki sędzie, Robert Zagajewicz osobiście, wraz z pełnomocnikiem, adwokatem Krzysztofem Kuropatwą – odezwał się Kuropatwa skwapliwie i szybko podszedł do stołu sędziowskiego, skrzypiąc buciorami. – Składałem pełnomocnictwo.
Sędzia wziął od niego kartkę i przeczytał, po czym podniósł wzrok.
– A opłata skarbową, panie mecenasie? – Jego głos zabrzmiał surowo.
– Aaaaa... Wysoki sędzie, zobowiązuję się uiszczyć niezwłocznie... – Kuropatwa modulował głos niczym na konkursie recytatorskim.
– Trzy dni wystarczą panu? – spytał sędzia, nie patrząc na rozmówcę.
– Tak, wysoki sędzie!
– Trzy dni. Proszę to wpisać do protokołu – sędzia zwrócił się surowo do załęcznionego protokolanta. – Sąd postanowił dopuścić warunkowo do udziału w sprawie adwokata Kuropatwę i zobowiązał go do dostarczenia dowodu uiszczenia opłaty skarbowej w terminie trzech dni... Dobrze – ciągnął jakby do siebie, po czym z nagłym zainteresowaniem zwrócił się do siedzącej naprzeciwko niego dwójki. – Czy jest na sali świadek Kostrzyc?
– Tak, jestem! – Kostrzyc poderwał się i skłonił gorliwie. Baranowski obrzucił go łaskawym spojrzeniem władcy absolutnego i znacząco trącił Pawła łokciem.
– Proszę wpisać: stawiał się świadek Zbigniew Kostrzyc! – zakomenderował sędzia i dodał: – Świadek proszony o opuszczenie sali!
Kostrzyc pokiwał do siebie głową, jakby się w czymś utwierdzał, po czym, lekko przygarbiony, opuścił salę. Tymczasem sędzia zwrócił się do Agnieszki:
– A pani?
– Pani jest moją asystentką, wysoki sędzie! – szybko wmieszał się Paweł. – Pracownikiem mojej kancelarii. Będzie tu w charakterze publiczności.
Wypowiedziawszy to, nieopatrznie zerknął przed siebie i złapał beczelne spojrzenie Zagajewicza. Mierzyli się wzrokiem przez kilka sekund.
– Proszę więc o stanowiska stron. Panie mecenasie.
Paweł wstał, odchrząknął i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy rozpoczął krótką mowę otwierającą. Zwięźle oskarżył swego byłego współnika o naruszenie obowiązków zawodowych, etyki radcy prawnego oraz o celowe wprowadzenie w błąd jego klienta, narażając go tym samym na straty wysokości ośmiu milionów złotych. Mówił stanowczo i dobitnie, dokładnie tak, jak planował. Po zakończeniu wystąpienia nie bez satysfakcji odnotował niepokój malujący się w oczach byłego współnika.
Usiadł. W absolutnej ciszy słyhać było tylko klekot klawiszy komputera protokolanta. Sędzia zerkał mu przez ramię, by sprawdzić, czy wszystko zostało dokładnie odnotowane. Tymczasem podniósł się pełnomocnik Zagajewicza – adwokat Kuropatwa. Ze swojej poprzecieranej na rogach teczki wyciągnął pismo i rzekł:
– Wnoszę o oddalenie powództwa w całości i zasądzenie na rzecz powoda kosztów sądowych, w tym kosztów zastępstwa. I poza tym, co zostało podniesione w odpowiedzi na pozew złożony przez powoda, składam niniejszym pismo procesowe.
Po czym wstał, zaniósł pismo sędziemu, a następnie kopię Pawłowi.
– Panie mecenasie, proszę zapoznać się z pismem – odezwał się sędzia. Paweł wziął je do

ręki i szybko przebiegł wzrokiem.

Hmmm. A jednak pojawiała się tam nowość!

Linia obrony była taka, że to BARANOWSKI zmusił Zagajewicza do podpisania glejtu, by uzasadnić przed akcjonariuszami Budexprimu zakup szemranej firmy! Odwracali kota ogonem? Paradne! A niby jak zamierzali to udowodnić? Co, co? Że to niby sam prezes znalazł tę spółkę? Że zapewniał Zagajewicza, iż „nie będzie problemu”, bo „zna” właścicieli? Że potrzebował jedynie podkładki prawnej, by uspokoić akcjonariuszy?

Bęcwał z tego Kuropatwy. Jak niby zamierzał to udowodnić?

Szczęście, że mieli Kostrzyca – w zasadzie jedynego bezstronnego świadka.

Tymczasem sędzia pytał już, czy mieli jakieś wnioski formalne. Ponieważ nie mieli, nakazał wezwać na świadka Zbigniewa Kostrzyca.

Ten wszedł i zajął miejsce przy barierce. Choć pytania, przynajmniej ze strony powoda, miał doskonale obcykane, teraz wyglądał na zdenerwowanego. Oczy biegały mu niespokojnie, a ręce wykonywały dziwne pospieszne ruchy. Sędzia zaczął spokojną indagację:

– Nazwisko świadka.

– Kostrzyc. Zbigniew Kostrzyc.

– Zawód.

– Wyuczony? – Kostrzyc wiercił się, jakby jakaś mrówka weszła mu w nogawkę. Nie robił najlepszego wrażenia. – Prawnik, ale pracuję w spółce Budexprim.

– Na stanowisku?

– Dyrektora finansowego.

– Obcy dla stron? – kontynuował sędzia, patrząc na świadka zwięzionymi oczami.

– No, mówiłem właśnie, że pracuję dla pana prezesa Baranowskiego w spółce Budexprim – zaniepokoił się Kostrzyc.

– Chodzi o pokrewieństwo – oschle wyjaśnił sędzia. – Niespokrewniony, tak?

– Nie! Niespokrewniony! – szybko i usłużnie uściślił Kostrzyc.

– Pragnę świadka pouczyć o odpowiedzialności karnej do trzech lat pozbawienia wolności za składanie fałszywych zeznań! Czy strony chcą odebrać przyrzeczenie? Nie? Dobrze, idźmy dalej!

Wlepił badawczy wzrok w mrugającego niespokojnie Kostrzyca.

– Czy wie pan, w jakiej sprawie został pan wezwany?

Paweł poczuł, że Baranowski znów trąca go łokciem i patrzy na niego z porozumiewawczym uśmiechem, lecz nie podzielał optymizmu ani zadowolenia swojego klienta. Zamiast tego czujnym wzrokiem obrzucił kręcącego się Kostrzyca.

– Tak, wiem – z lekkim wahaniem zaczął Kostrzyc. – Chodzi o aferę, która się u nas rozpętała po tym, jak firma kupiła osiedle. A właściwie spółkę, która była właścicielem osiedla. Niedokończonego osiedla, że się tak wyrażę. I jak się okazało, na spółce był dług!

Cóż on wygadywał? Czyżby zapomniał, jak miał zacząć, gdy go sędzia w taki sposób spyta? A to głąb! Zmarnował okazję opowiedzenia wszystkiego od początku, przedstawiając sprawy w odpowiednim świetle!

Paweł głośno chrząknął, by przywrócić mu pamięć wymownym wzrokiem, lecz Kostrzyc nawet nie spojrzał w jego stronę.

– Jak to: dług? – zirytował się sędzia, widząc, jak świadek wierci się i zająkuje. – Niech świadek opowie to po kolei!

– Dobrze, spokojnie! – Kostrzyc skarcił sam siebie. – Już mówię od początku. No więc było tak, proszę... to znaczy, wysoki sędzie. Pojawiła się okazja kupienia za korzystną cenę osiedla mieszkaniowego.

– Jak to „pojawiła”? Niech świadek wyraża się precyzyjnie.

– Prezes Baranowski zna wszystkich w branży deweloperskiej! Pewnego dnia poinformował mnie, że jest okazja do podreperowania naszego budżetu. Że znalazł spółkę na sprzedaż i że dobrze na tym zarobimy! Rzekomo znał właścicieli... Kazał na gwałt wzywać pana mecenasa...

Paweł skamieniał, tymczasem Kostrzyc kontynuował, nieco pewniej i głośniejszym głosem, jakby nabierał wiary we własne siły.

– Nasza firma była tym bardzo zainteresowana, bo mieliśmy kłopoty finansowe. Pan prezes kazał mi „migiem” zorganizować finansowanie tego zakupu, a mecenasowi – przygotowywać papierzyska. I choć mecenas ostrzegał, że na firmie mogą być zobowiązania, prezes mówił nam, że bierze to na siebie. Zapewniał, że znał tych, co sprzedawali i parł do kupna, nie bacząc na nic!

„Parł do kupna, nie bacząc na nic”?! Paweł wpatrywał się w swego świadka oniemiały, jakby nie wierzył własnym uszom. Zerknął w stronę Agnieszki. Wymienili spojrzenia. Kątem oka zobaczył, jak Baranowski zacisnął palce na ławie sądowej.

– Ale w pozwie, który przedstawił powód, jest stwierdzenie, że to pozwany, mecenas Zagajewicz, przyszedł do państwa biura, namawiając Budexprim do zakupu. – Sędzia zmierzył dyrektora finansowego chłodnym, badawczym spojrzeniem. – Czy pan potwierdza to oświadczenie?

Kostrzyc zawahał się. Jego wzrok uciekł na ułamek sekundy w stronę Kuropatwy, co nie uszło uwagi Pawła. A więc to tak!

Podkupili świadka! Zapewne stary Zagajewicz nie żałował na to grosza!

Spotkał się już z czymś takim, ale w zupełnie innych okolicznościach. Tu było przecież inaczej – Kostrzyc pracował w Budexprimie od piętnastu lat, a Baranowski traktował go niemal jak członka rodziny. Może nieco nim pomiałał, ale generalnie zdawał się mu ufać. Pawłowi zrobiło się ciemno przed oczami. Na chwilę przymknął powieki, by opanować to dziwne wrażenie, gdy znów dobiegł go głos świadka.

– Podczas ostatniej wizyty pan mecenas Zagajewicz raczej przestrzegał przed zbyt pochopnym zakupem – Kostrzyc mówił szybko, nerwowo. – To sam pan prezes bardzo się do tego interesu „palił”, jak to się mówi.

– A więc nie podtrzymuje świadek stwierdzenia, że to mecenas Zagajewicz przyszedł z propozycją zakupu. Twierdzi świadek, że wręcz odradzał.

– Co pan chrzaniisz, panie Kostrzyc?! Ile ci zapłacili za te łgarstwa? – wrzasnął niespodziewanie prezes Baranowski, podrywając się na równe nogi. Paweł, który oniemiał, słuchając kłamstw świadka, na sekundę o nim zapomniał i tym samym popełnił błąd. Popełniał błąd za błędem, jeśli się nad tym zastanowić!

– Panie prezesie, proszę natychmiast usiąść, bo pogarsza pan sprawę – wysyczał, ciągnąc klienta z powrotem na siedzenie.

Strażnik postąpił dwa kroki naprzód, wszyscy patrzyli w osłupieniu.

– Niech powód natychmiast się uspokoi, bo każę mu opuścić salę! – pouczył sędzia.

– Wysoki sądzie! On kłamie w żywe oczy! Zmienił zeznanie w ostatniej chwili! No powiedzże coś wysokiemu sądowi, panie Wencel! – Prezes dramatycznie trzymał się za falującą klatkę piersiową, jakoby miał za chwilę dostać rozległego zawału.

– Proszę zamilknąć, bo zostanie pan usunięty z sali! – Sędzia grzmotnął młotkiem w ławę, marszcząc brwi.

– Wysoki sądzie! – Paweł niemal siłą pociągnął Baranowskiego na ławę, po czym znów wstał i zagrzmał: – Wnoszę o natychmiastowe odebranie przyrzeczenia! Powołany przez nas

świadek kompletnie zmienił zeznanie. Natychmiast złożę na pana wniosek o popełnienie przestępstwa, za które grożą trzy lata pozbawienia wolności! Zbadamy pana wiarygodność na wariografie!

– Dość tego, panie mecenasie! – huknął sędzia. – Wygląda, jakbyście chcieli świadka zastraszyć!

– Wysoki sędzie – rzekł Paweł głucho, z całej siły usiłując zapanować nad sobą. – Czy teraz ja mogę zadać kilka pytań?

– Kiedy tylko zakończę moje pytania, pan mecenas będzie mógł rozpocząć swoje dochodzenie! – wycedził sędzia, mierząc Pawła ostrzegawczym spojrzeniem. – A teraz pozwól mi panowie wreszcie zadać moje pytania? Tak? To dziękuję!

Zwrócił się w stronę bladego Kostrzyca.

– A więc jest pan świadom konsekwencji, w razie gdyby okazało się, że pańskie zeznanie jest fałszywe? – zagaił, mierząc go surowym spojrzeniem. – Tak więc, mając to na uwadze, proszę o odpowiedź na moje pytanie. Twierdzi pan, że mecenas Zagajewicz ustnie ostrzegał was przed ukrytymi zobowiązaniami, mogącymi ciążyć na spółce?

– Tak jest, wysoki sędzie!

– Jakimi słowami ostrzegał mecenas Zagajewicz?

– Mówił po prostu, że na spółce mogą być jakieś zobowiązania! Ukryte! – Kostrzyc miętosił palcami brzeg barierki, na której się wspierał.

– Tak się właśnie wyraził?

– Tak, mówił, że za nic nie ręczy, bo nigdy nic nie wiadomo!

– Hm. – Sędzia zmarszczył brwi, chwycił plik dokumentów i przebiegł wzrokiem parę linijek, po czym znów utkwiał w Kostrzycu badawcze spojrzenie. – Proszę przypomnieć sądowi, w jakich okolicznościach przyszedł do panów mecenas Zagajewicz? Czy nie po to, by namówić panów, jak twierdzi powód, na zakup tej „szemranej” spółki?

Paweł dosłownie zamienił się w słuch.

– Nie – padło z ust Kostrzyca niemal natychmiast. – Kancelaria Wencel, Zagajewicz i Zyberty prowadziła Budexprimowi sprawę o odszkodowanie. Inną zupełnie sprawę. To w tej sprawie przybył mecenas Zagajewicz. By poinformować o wyroku. I właśnie wtedy prezes zaczął o tej spółce na sprzedaż.

– I wtedy właśnie, jak pan twierdzi, mecenas Zagajewicz zaczął przestrzegać przed zakupem tej spółki? – Sędzia lekko przymrużył oczy, jak wąż gotujący się do ataku. Kostrzyc przez cały czas lekko się wiercił. Albo przestępował z nogi na nogę, albo masował boki blatu, albo luzował kołnierzyk koszuli.

– Nie to, żeby przestrzegał. – Uciekł spojrzeniem w okno, jakby próbując sobie przypomnieć, jak to dokładnie było. – Po prostu ostrzegał, że nie zna stanu prawnego.

– Czemu więc podpisał, że gwarantuje bezpieczeństwo transakcji bez żadnych zastrzeżeń? – spytał sędzia i nie odrywał od przesłuchiwanego wzroku. Na sali było cicho jak makiem zasiał.

– Bo nasze przedsiębiorstwo było w złym stanie i prezes chciał za wszelką cenę kupić coś lukratywnego, by je ratować! A ze swoich źródeł miał potwierdzenie, że to dobry biznes. Chciał kupić za wszelką cenę, by uratować swoją pozycję i stołek prezesa. A akcjonariusze nigdy by się nie zgodzili na zakup, gdyby nie miał gwarancji kancelarii prawnej. Praktycznie zmusił mecenas Zagajewicza do napisania mu takiej, jak to określił, za przeproszeniem wysokiego sądu, „dupokrytki”!

– Świadek twierdzi, że powód żądał od mecenas Zagajewicza dokumentu na piśmie, by usprawiedliwić zakup przed akcjonariuszami?

– Tak jest, wysoki sędzie! Prezes nalegał na takie pismo. Nazwał je czystą formalnością, niezbędnikiem, który musiał przedstawić na zgromadzeniu akcjonariuszy, by dokonać zakupu.

– Czy ma świadek świadomość, że zeznaje pod przysięgą?

– Wysoki sędzie, to najszczerza prawda! Byłem tam i słyszałem słowa prezesa. Zresztą prezes zawsze tak działał! W sposób drapieżny, nie przebierając w środkach.

Paweł nie śmiał zerknąć na Baranowskiego, słyszał jednak, jak z jego gardła wydobywa się coś w rodzaju cichego warczenia.

– Nie mam więcej pytań. – Sędzia surowo zerknął w stronę powoda.

– Wysoki sędzie, za pozwoleniem. – Wencel już stał na nogach niczym koń w blokach startowych. – Teraz ja chciałbym zadać świadkowi kilka pytań.

– Słuchamy, panie mecenasie.

– Świadek twierdzi, że mecenas Zagajewicz zjawił się u panów tego dnia, a dokładnie dwudziestego szóstego lipca dwa tysiące siódmego roku, w innej sprawie niż ta, której przedmiotem jest dzisiejsza rozprawa, czy tak? – zaczął Paweł, celowo nie patrząc Kostrzycowi w oczy i chcąc go tym samym wyprowadzić z równowagi.

– Tak. Przyszedł w zupełnie innej sprawie.

– Aha. A czy przypomina pan sobie, co to była za sprawa? – Paweł uniósł jedną brew, wciąż nie patrząc na Kostrzycę, a tuż obok.

– Sprawa, którą kancelaria prowadzi nam od wielu lat. Przeciwno Żelbet Construction.

– Rozumiem. I czy to właśnie mecenas Zagajewicz zajmował się tą sprawą?

– Doskonale pan wie, kto zajmował się tą sprawą – zachnął się Kostrzyc, jakby oburzony pytaniem.

– Proszę odpowiadać na pytania mecenasa Wencela – upomniał go sędzia z lekką irytacją w głosie.

– Mecenas Wencel zajmował się tą sprawą – niegrzecznie burknął przesłuchiwany.

– Jaką sprawą? – zimno wycedził Paweł.

– Pan mecenas raczy żartować? – znów obruszył się Kostrzyc, lecz na widok groźnej miny sędziego dodał: – No, sprawą między Budexprimem a Żelbet Construction.

– Czy jest pan zatrudniony na stałe w Budexprimie? – ciągnął Paweł chłodnym tonem.

– Już mówiłem! Jestem dyrektorem finansowym, więc oczywiste, że jestem tam zatrudniony! – Kostrzyc tracił panowanie nad sobą.

– Tak więc, jak miemam, orientuje się pan doskonale w sprawach finansowych spółki Budexprim – Paweł mówił beznamiętnie.

– Tak. – Kostrzyc lekko poczerwieniał. – Orientuję się.

– Wie pan zatem, kto zazwyczaj zajmował się wszystkimi sprawami prawnymi przedsiębiorstwa, w którym pan pracował... Pracuje – Wencel poprawił się z cieniem uśmiechu, który zniknął szybciej, niż się pojawił.

– Różni się zajmowali...

– Proszę zanotować, że świadek zeznał, że zajmowali się „różni”.

– Do czego pan zmierza, panie mecenasie?

– Chcę to zaprotokołować, bo na następnej rozprawie, o ile oczywiście taka będzie, z łatwością udowodnię, że dyrektor Kostrzyc mówi nieprawdę! Otóż od pięciu lat JA osobiście zajmuję się WSZYSTKIMI sprawami prawnymi Budexprimu. Mam na to wielu świadków wewnątrz spółki. Łatwo też to sprawdzić, przeglądając akta licznych rozpraw, w których brałem udział jako pełnomocnik Budexprimu. Tak więc niech mi świadek powie: pracując tyle lat i znając mnie od lat pięciu oraz asystując mi we wszystkich sprawach, które prowadziłem dla firmy, która zatrudniała pana od piętnastu lat, czy kiedykolwiek wcześniej widział pan mecenasa

Zagajewicza w waszej firmie?

– Muszę chwilę pomyśleć. – Kostrzyc niespokojnie zerknął w stronę mecenasa Kuropatwy. Paweł też zerknął w tamtą stronę. Zagajewicz wpatrywał się we własne buty.

– Czy jest nad czym się zastanawiać? Przecież widział pan Zagajewicza w waszej firmie po raz pierwszy.

– Nooo, nie wiem... No... – Kostrzyc wiercił się niespokojnie.

– Przypominam, że zeznaje pan pod przysięgą! Bardzo łatwo będzie sprawdzić, czy Zagajewicz kiedykolwiek u was był, gdyż sekretarka pana prezesa jest starej daty i prowadzi skrupulatny dziennik. – Tu Paweł Wencel z lekkim uśmiechem spojrzał na swojego klienta. – Czyż nie tak, panie prezesie? Pani Małgosia prowadzi ręcznie swój zeszyt od dwudziestu lat. Bo nie lubi nowomodnych wynalazków takich jak komputer, nieprawdaż, panie prezesie? To tam pani Małgosia skrzętnie zapisuje wszystkich gości. Łatwo będzie teraz sprawdzić pana wiarygodność. Bo jak by to było możliwe, żeby dyrektor finansowy, człowiek, który wie o firmie wszystko i zna od lat prawnika prowadzącego jej interesy, mógł nie odnotować faktu, że po raz pierwszy na spotkanie stawiał się ktoś inny niż mecenas Wencel?! Jak mógłby pan o tym nie pamiętać?

– Może i był pierwszy raz! Co to ma za znaczenie?

– O! A więc przyznaje pan, że mecenas Zagajewicz stawiał się u was pierwszy raz. Proszę wysokiego sądu o zaprotokołowanie tego. Czy orientuje się pan, na jakim etapie była sprawa między Budexprimem a Żelbet Construction?

– Nie rozumiem, po co wciąż pan o to pyta! – wybuchnął w końcu Kostrzyc. – Wysoki sądzie, niech sąd przypomni mecenasowi Wencelowi, że zajmujemy się tu sprawą Invest Nobiscum, a nie Żelbet Construction!

– Do czego pan zmierza, mecenasie? – Sędzia wyciągnął okulary z etui i umieścił je na nosie, a następnie obrzucił Pawła podejrziwym spojrzeniem.

– Zaraz wszyscy obecni zrozumieją związek tego pytania ze sprawą. Tymczasem żądam odpowiedzi! – zagrmiał Wencel tubalnym, nieznośnym sprzeciwu głosem. Wszyscy zamarli. Paweł zerknął na Agnieszkę i, widząc jej szeroko otwarte oczy, mrugnął do niej niemal niezauważalnie.

– Niech świadek odpowie na pytanie mecenasu – nakazał sędzia z mocą.

– A jakie to było pytanie, bo już nie wiem? Żeby tak kręcić, że nikt już nic nie rozumie...

– gderał pod nosem Kostrzyc, jakby zgorszony bezzasadnością pytań.

– Na jakim etapie była sprawa przeciw Żelbet Construction, kiedy pierwszy raz w swojej karierze nawiedził pana niezwiązany z nią mecenas Zagajewicz?

– A bo ja wiem? A bo ja pamiętam? Takie sprawy wleką się latami i mamy ich po kilka w toku. A to było parę miesięcy temu.

– Proszę przypomnieć, jakie stanowisko zajmuje pan w Budexprimie? – ciągnął Paweł bezbarwnym głosem.

– Pan mecenas robi sobie żarty! – rzekł z przekąsem świadek. – Zajmuje czas sądu i...

– Proszę odpowiadać na pytania! – Sędzia zgromił Kostrzyca wzrokiem. Paweł zerknął na niego z uznaniem.

– Jestem w Budexprimie dyrektorem finansowym.

– Jest pan tam dyrektorem finansowym? – podjął Paweł spokojnie. – I jako dyrektor finansowy nie pamięta pan, że po czterech latach procesowania się dostaliśmy wyrok z natychmiastową klauzulą wykonalności? Że wygrałem panom sprawę o odszkodowanie i że mieliście panowie zasądzone odsetki! Razem pięć milionów dziewięćset tysięcy złotych! Czekaliśmy na taki obrót spraw wiele lat. Inne sprawy, które wam prowadzę, są o dużo mniejsze

kwoty. Kwoty, których nawet nie da się porównać. Tak więc okoliczność była szczególna. I wtedy po raz pierwszy pojawił się u was inny prawnik, mój były wspólnik, komunikując wynik rozprawy, w której nie brał udziału i robiąc to w moim imieniu?! Dziwne, zastanawiające! I pan chce, żebyśmy uwierzyli, że w czasie tej rozmowy prezes radził się mecenasa Zagajewicza co do nabycia spółki? Chce pan, byśmy uwierzyli, że prezes Baranowski sam się dopraszał o podpisanie glejtu, by zawrzeć niekorzystną dla swojej spółki transakcję? Akurat wtedy, gdy finanse jego spółki kwitły, a co więcej, zostały właśnie powiększone o sześć milionów polskich złotych?! – Paweł mówił coraz głośniejszym głosem, wyraźnie akcentując kluczowe słowa. – I na koniec: jakim prawem oskarża pan prezesa o złe zarządzanie przedsiębiorstwem i gorączkowe poszukiwanie „czegoś” do nabycia, by zarobić?! Finanse spółki były w doskonałym stanie! Po cóż prezes miałby szukać podejrzanych podmiotów gospodarczych? Po co narażać siebie, każąc mecenasowi podpisywać nieprawdziwe oświadczenie? I tu znów rodzi się pytanie: jeśli mecenas ostrzegął i miał wątpliwości co do stanu faktycznego spółki, jak mógłby coś takiego podpisać?! Nawet gdyby prezes miał go do tego namawiać! To nielogiczne.

– Jakież więc był, według pana, motyw, który pchnął mecenas Zagajewicza do podpisania podobnego oświadczenia? – Sędzia wpatrywał się w Pawła groźnie.

– Mecenas, w najlepszym wypadku, nie znał faktycznego stanu spółki! Chciał ją, przepraszam za kolokwializm, ale on najlepiej oddaje sytuację, wcisnąć komuś, kto był w stanie ją kupić. Kto miał gigantyczny budżet. Wykorzystał więc moje dobre relacje z klientem i poszedł do niego niby w moim imieniu. Za moimi plecami.

– Ale jaki miał motyw?

– Oto i motyw, wysoki sędzie. – Wencel wstał i poszedł do ławy sędziowskiej, kładąc na niej wyciąg z sekretnego konta Zagajewicza. – Oto przelew na dwieście pięćdziesiąt tysięcy, datowany na osiemnastego września. Dwa dni po podpisaniu umowy przedwstępnej o przejęcie spółki. Mecenas Zagajewicz wcisnął prezesowi Baranowskiemu zadłużoną spółkę, bo dostał za to, kolokwialnie mówiąc, „łapówkę”. Czy jest to zrozumiały motyw?

– Skąd ten przelew? – Sędzia wpatrywał się w dokument, mrużąc oczy. – Aha! Spółka zarejestrowana na Cyprze. No, no...

Szybko zerknął znad okularów na Zagajewicza, który dosłownie znieruchomiał i wyglądał, jakby nie miał pojęcia, czy aby nie powinien brać nóg za pas. Kuropatwa pochylił się ku niemu, coś szeptał mu do ucha, lecz zdawało się, że jego słowa uderzają jak grochem o ścianę.

– Załączam ten dowód do akt! Proszę to zaprotokołować! – Sędzia pochylił się nad protokołantem.

– Wysoki sędzie, chciałbym kontynuować pytania. Panie Kostrzyc, pragnę wiedzieć jedno, zanim złożę zawiadomienie do prokuratury za składanie fałszywych zeznań. Bo ma pan zapewne świadomość, że mam i notatki, i świadka w osobie mojej asystentki, które pomogą mi dowieść, że zmienił pan zeznania dosłownie w ostatniej chwili...

– Jasne, że twoja... ekhem... „asystentka” powie wszystko, co zechcesz, tylko na ile to wszystko jest wiarygodne? – krzyknął Zagajewicz zniecierpliwiony.

Najwyraźniej i on był kompletnie wyprowadzony z równowagi. Z jednej strony przeraził się, że wiedzieli o tym przelewie, a z drugiej strony miał świadka w kieszeni, więc postanowił nadal robić dobrą minę do złej gry. Dureń!

– Proszę zamilknąć, panie mecenasie. Będzie pan miał możliwość wypowiedzenia się, gdy przyjdzie pora! – zganił Zagajewicza sędzia.

Co za pyskówka. Co za dno.

Paweł podjął przesłuchiwanie Kostrzyca pewnym swego tonem, ale gdzieś w głębi duszy narastało w nim poczucie nieuchronnej klęski. Nie ma się co czarować, byli w defensywie! Co

prawda jego argumenty i wywód logiczny były bezbłędne, to prawda, i w znacznie mierze podważyły słowa Kostrzyca, ale tu nie Ameryka! Sąd oprze się na dowodach, o tym Paweł wiedział doskonale.

Teraz gorzko pożałował, że podjął się tej sprawy osobiście. Lekarz nigdy nie powinien stawiać samemu sobie diagnozy, a prawnik reprezentować siebie w swojej sprawie. Przez całe życie trzymał się tej złotej zasady... Czemu od niej odstąpił?

Zbyt mocno pragnął pogrążyć tego błazna. Zbyt mocno chciał go widzieć na dnie i teraz spartolił sprawę. Cokolwiek się wydarzy, będzie to słowo przeciw słowu. Niby dowody są po ich stronie, ale tamci mają świadka! Przekupili go.

Czemu tego nie przewidział? On, który myślał o sobie jako o takim przewidującym.

Tymczasem sąd zarządził krótką przerwę, a potem pytania Kostrzycowi miał zadawać Kuropatwa. Paweł siedział jak na szpilkach. Pragnął już tylko, by to wszystko jak najprędzej się zakończyło. Wiadomo było, że skoro uzgodnili, że zatopią Baranowskiego, teraz nie będą przebierali w środkach i wytoczą najcięższe działa. Będą go oczerniać, wyciągną brudy. Kostrzyc przekroczył Rubikon i nie miał już nic do stracenia. Można się było spodziewać najgorszego.

Kuropatwa wstał, zatarł ręce, spojrzął na Kostrzyca surowo, jakoby prezentując swoją bezstronność, po czym rozpoczął dochodzenie:

– Jak prezes Baranowski prowadził interesy?

– W skrócie można powiedzieć, że był bardzo skuteczny i nie przebierał w środkach! – wyrecytował pytany jednym tchem.

– Czy świadek chce przez to powiedzieć, że prezes Baranowski nie zawsze prowadził interesy do końca uczciwie?

– Jak na razie nikt go jeszcze na niczym nie przyłapał – Kostrzyc mówił teraz znacznie pewniej. Głośniej.

Kuropatwa uśmiechnął się pod nosem. Paweł z niepokojem zerknął w stronę ciężko dyszącego prezesa.

– W jakim stanie znajdowały się interesy spółki Budexprim w dniu, kiedy pozwany przyszedł do panów, by zakomunikować wynik tamtej rozprawy? – Patetyczny głos Kuropatwy odbijał się echem po sali. Paweł przymknął oczy i zacisnął palce na drewnianej ławie. Z oddali słyszał perorującego Kostrzyca. Spryciarz zaczął od jakichś wymaginowanych lewych pożyczek, których rzekomo Baranowski udzielał na lewo i prawo swoim kumpłom i które miały doprowadzić do ruiny budżet firmy. W tym momencie Kuropatwa wstał i załączył sądowi kwity. Czyli podprowadzili z firmy dokumenty, zмова była szykowana od dawna! Jak echem odbijały się w głowie Wencła silnie akcentowane stwierdzenia: „ślepa chęć zysku”, „węszenie za okazją” czy „pranie brudnych pieniędzy”.

Dyskretnie popatrzył na swojego klienta. Baranowski, choć blady, wyglądał, jakby wzięty się w garść. Nie zdziwiłby się, gdyby prezes już szykował odwet. Znając go, można sobie wyobrazić, że i on trzymał na Kostrzyca to i owo. „To i owo”, które wykorzystają, jeśli tak się piekielnie złoży, że przerzną w tej instancji!

Dwie i pół godziny później opuścili salę w grobowych nastrojach, bo i nie mieli powodów do optymizmu. Zeznania pozwanego, czyli Zagajewicza, idealnie zgadzały się ze słowami świadka – notabene powołanego przez powoda. Chłopaki starannie odrobili lekcję. Kuropatwa dobrze ich przygotował. Baranowski z kolei, doprowadzony do ostateczności przez pełnomocnika Zagajewicza, który drażył jakieś delikatne kwestie finansowe, znane tylko ludziom ze ścisłego kierownictwa firmy, wielokrotnie tracił nad sobą panowanie. Kilka razy wygrażał Kostrzycowi, co kończyło się napomnieniami sędziego. Nie pomagało to sprawie.

Na nic zdały się kontrargumenty Pawła i jego krzyżowy ogień pytań, dotyczący

pochodzenia „lewych pieniędzy”.

Zagajewicz szedł w zaparte, twierdził, że to rozliczenia rodzinne, więc gównu mu mogli zrobić, przynajmniej na tym etapie. Paweł, mimo że wciąż atakował, czuł już w ustach gorzki smak przegranej.

Gwoździem do trumny była płomienna tyrada Kuropatwy, wygłoszona pod sam koniec. Stary wyga przytoczył szereg niechlubnych wydarzeń z życia Pawła i nazwał proces ohydną zemstą na współniku za sprawy o podłożu sercowym, prywatnym. Wyrażał ubolewanie z powodu tak haniebnego zachowania, jak chęć zemsty za nieudane życie osobiste. Przybierał przy tym tak obrzydliwy, cyniczny uśmieszek, że Paweł liczył w myślach do dziesięciu, by się uspokoić.

Niemal nie słyszał słów prowadzącego rozprawę, który oddalił powództwo w całości. Przerznęli więc z kretesem!

Sędzia powołał się w uzasadnieniu na fakt, że zeznania świadka – KLUCZOWE W TYM PROCESIE – były spójne i wiarygodne, zważywszy na to, że był on pracownikiem Budexprimu, a został wezwany przez powoda. I że nie było podstaw do uznania, iż nastąpiło zawinione zaniedbanie zawodowe ze strony mecenas Zagajewicza, gdyż, według świadka, ostrzegwał powoda ustnie, a pozytywną opinię napisał na wyraźny rozkaz samego Baranowskiego. Potwierdzały to zeznania dwóch osób.

Zeznania dwóch przeciwko jednemu.

Salę opuszczali w groźnym milczeniu. Po pierwszym szoku pomалу dochodzili do siebie, przynajmniej na tyle, by wymienić parę uwag, co mają robić dalej. Prezes chciał natychmiast jechać do biura i przypuścić atak na komputer Kostrzyca. Agnieszka próbowała go przekonać, żeby wszedł do baru i napił się choćby szklankę herbaty, lecz na próżno. Baranowski już dzwonił do księgowej, której kazał pozostać w firmie. Potem zadzwonił do pani Małgosi i, używając słów niecenzuralnych, w paru zdaniach naszkicował jej sytuację, po czym kazał zwołać zarząd, kadrową i informatyka.

– Panie Wencel, pożycz mi pan panią Agnieszkę! Widzę, że pan jesteś wykończony, a nam może przydać się prawnik. Niech ja tylko wejrzę w swoje papiery! – odgrażał się Baranowski.

Paweł spojrzał na Agę, zapalając papierosa. Dała oczami znać, że się zgadza.

– Oczywiście, pani Agnieszka pojedzie – rzekł spokojnie. – Dzwońcie do mnie, kiedy tylko wypłynie coś nowego. Jak będziemy mieli pozbierane wszystkie fakty, spotkamy się i omówimy strategię apelacji. Jeśli dorzucicie coś na Kostrzyca – świetnie, jeśli nie, i tak damy sobie radę.

Prezes zwrócił się ku niemu. Spojrzeli sobie w oczy. Baranowski, choć wyczerpany, przyjaźnie klepnął Pawła po ramieniu i powiedział:

– Dorwiemy skurwysynów następnym razem.

Gorzki, oj, gorzki był smak porażki.

Wencel uściśnęła mu dłoń, po czym spojrzał na Agnieszkę i dodał:

– Może lepiej was podwiozę? Pan nie powinien prowadzić.

– Co pan? Jeszcze tak źle mi się nie wiecie, by nie było mnie stać na szofera. Auto czeka za rogiem.

Rozstali się więc pospiesznie i z uczuciem ulgi, bo też cała sytuacja nie sprzyjała pogawędkom. Prezes aż palił się, by przeprowadzić dochodzenie wewnątrz firmy, Agnieszka chwilowo musiała się temu poddać, a Paweł miał do napisania terminowe pismo.

Szedł szybko po zmrożonym, brudnym śniegu w stronę Ogrodowej, gdzie zaparkował samochód. Wsiadł i prowadził machinalnie, usiłując opanować mętlik w głowie.

Słuszność była po jego stronie, a tymczasem zarówno Kwaśniak, jak i Zagajewicz pozostawali bezkarni!

Sprawa, o której jeszcze rano myślał, że ma ją w kieszeni, została właśnie przegrana. Dali się zrobić na szaro jak ostatni frajerzy!

Mimo całego zapалу Baranowskiego Paweł czuł, że nie będzie mu łatwo dowieść w prokuraturze, że Kostrzyc kłamał. W każdym razie na pewno nie stanie się to tak szybko.

Zły, zniechęcony i rozdrażniony, zapalił papierosa w środku swego nieskazitelnego bmw, zapominając nawet o tym, by otworzyć okno!

Kołysanie łodzią

I wtedy stary mandaryn odwrócił się i wskazał na żonę gospodarza. „To nie twój mąż jest winny, lecz ty – odrzekł, patrząc na nią ze smutkiem. – Czyż nie ostrzegałem, że jeśli nie rozdzielimy ryżu po równo, pokarmu nie wystarczy dla wszystkich?”.

Młoda kobieta zamilkła i patrzyła na zgromadzonych wokół niej ludzi z melancholijną powagą. Cisza przedłużała się.

– No, śmiało – zachęcała ludzi zgromadzonych w sali konferencyjnej. – Możecie podzielić się swoimi myślami! Nie ma tu złych ani dobrych odpowiedzi. Każdy ma prawo odbierać tę przypowieść, jak uważa, jak czuje. A więc słucham.

Zebrani, siedząc na fotelach ustawionych dookoła kobiety, uparcie milczeli. Cisza przedłużała się. Zerkali jeden na drugiego, patrząc, czy aby nie znajdzie się jakiś śmiełek, lecz daremnie. Jakoś nikt nie kwapił się dzielić swoimi wrażeniami. Cisza zaczęła być dokuczliwa, męcząca, niemal dzwoniła w uszach. We wszystkich narastało poczucie dyskomfortu, a co za tym idzie – złości i buntu. Po jakie лихо ich tu zebrano? Nagle spod okna dobiegł zduszony chichot. Wiktoria, siedząca w środku półkola wraz z innymi pracownikami marketingu, zerknęła w tamtą stronę zdumiona.

Mateusz, gdyż to właśnie on znajdował się w centrum zamieszania, gładził trzęsącą się ze śmiechu Justynę po plecach, jakby chciał ją uspokoić, lecz na próżno. Dziewczyna musiała pochylić głowę na kolana i długo jeszcze tkwiła w tej pozycji. Od czasu do czasu z jej gardła dobiegał chrapliwy dźwięk, jakby z całych sił próbowała zapanować nad szalonym śmiechem.

Potem Mati zrezygnował z prób uspokojenia jej, siedział tylko obok i uśmiechał się do wszystkich niczym diabeł, któremu udało się przeciągnąć na złą stronę kolejną niewinną duszyczkę.

– Może i z nami podzielisz się swoimi złotymi myślami, Mateuszu! – przerwała milczenie Wiktoria, ledwo tłumiąc wściekłość.

Mateusz zaśmiał się teraz głośno i odrzekł wesoło:

– Oj, nie tym razem. Ale wracając do mandaryna, Zuzanno! – zwrócił się do prowadzącej zajęcia coacherki. – Ja nie mam pojęcia, co kryje ta przypowieść. Nie trzymaj nas już w napięciu. Powiedz, o co tam chodzi!

– A co przychodzi ci do głowy? – Coacherka patrzyła na Mateusza z zimnym uśmiechem.

– Jak go znam, same świństwa! – rzucił Miś z drugiego końca kręgu.

Rozległ się zbiorowy wybuch wesołości, na tyle gwałtowny i nieproporcjonalny do żartu, że natychmiast uświadomił wszystkim skrajne napięcie nerwów, w którym się znajdowali.

To nie był tak naprawdę śmiech, tylko spazm nerwowy, odreagowanie presji, pod którą znajdowali się od kilkunastu minut.

– No nie, słuchajcie! Okażcie Zuzannie trochę respektu, ok? – nakłaniała niby spokojnie Wiktoria, lecz mówiła zduszonym, świadczącym o narastającej wściekłości głosem.

– Ależ właśnie przez szacunek dla obecnej tu Zuzanny nie powiedziałem, co przyszło mi do głowy! – bronił się Mati z komiczną miną, mrugając do lekko zmieszanej prowadzącej.

Trwał drugi dzień zajęć z dyplomowaną trenerką, specjalizującą się w ewaluacji mocnych i słabych stron zespołów ludzkich. Zajęcia odbywały się w wynajętej salce konferencyjnej warszawskiego „Hyatta”. Poprzedniego dnia omówili wyniki przeprowadzonego testu i zastanawiali się nad anonimowymi wypowiedziami na temat relacji w ich dziale, lecz cel ich spotkań nie został sprecyzowany. Wręcz przeciwnie! Im więcej czasu spędzali na sali, tym bardziej enigmatyczny się wydawał...

Wiktoria przez cały czas usiłowała maskować swoją więź z trenerką i kamuflować

wrażenie, jakoby trening ten przeprowadzany był w jakimś, jej tylko znanym celu. Starła się więc udawać, że jest „jedną z marketingowców” i że również nie ma pojęcia, dokąd ich te spotkania zabiorą. Jednak robiła to na tyle nieudolnie, że nawet najbardziej ograniczeni pracownicy działu zauważali jej kontakt wzrokowy z coacherką, jej dopowiadanie i precyzowanie, co Zuzanna mogła mieć na myśli. Była też, oczywiście, najgorliwszą uczestniczką owego, zapewne pilnie wyreżyserowanego przez nią samą, spotkania, które okazało się o tyle abstrakcyjne, że nikt nie wiedział, po co je w ogóle zorganizowano.

Teraz znów trwała niezręczna cisza. Nikt nie palił się, by podzielić się wrażeniami o chińskiej przypowieści. Na twarzy coacherki malował się wyraz niedowierzania.

– Tak jesteście zablokowani emocjonalnie, że boicie się wyrazić własne myśli? – rzuciła w końcu, gdyż wroga cisza trwała od dobrych paru minut. Mati, który ledwo tłumił śmiech, aż bał się rozejrzeć, by nie napotkać czyjegoś wzroku. Mógł się po prostu nie opanować. Surrealizm sytuacji, która przypominała mu *Proces* Kafki (zresztą same te spotkania jak na ironię losu Wiktoria zwykła była nazywać „procesem”), na przemian wzbudzał w nim grozę, a następnie doprowadzał do napadów z trudem hamowanego śmiechu.

Najbardziej groteskowe było, że reszta jego zespołu zaczynała mieć co do tego mieszane uczucia. Na początku się buntowali, ale dzisiaj niektórzy z jego wiernych giermków popatrywali na niego powątpiewająco. A nuż nieomylny Mati nie miał racji? A może całe to szkolenie naprawdę jest dla ich DOBRA?

Miałby wiele do powiedzenia na temat puenty tkwiącej w przypowieści o starym mandarynie, lecz wtedy wywaliłby karty na stół. O nie! Nie był w ciemni bity i nie zamierzał nikomu niczego ułatwiać.

Wtedy głos zabrała Justyna, która najwyraźniej zdołała się już całkowicie opanować:

– Zuzanno, może i mamy jakieś przemyślenia na temat przypowieści, którą nas uraczyłaś, ale, jak zauważyłaś, nie bez kozery wywołało to z naszej strony cichy protest.

Oj, nie, dziewczyno! Nie brnij w to!

Z całej siły przycisnął kolano do jej kolana, chcąc dać jej znać, by nie wdawała się w żadne wyjaśnienia. Z góry był w stanie przewidzieć, w jakim kierunku ta rozmowa się potoczy, ale jako jeden z nielicznych kompletnie nie stresował się pełną napięcia ciszą. Wręcz przeciwnie! Czerpał z niej dziką satysfakcję, bo cisza oznaczała porażkę pokrętnych metod Wiktorii. Gdyby cisza potrwała jeszcze dłużej, pancerna suczka zapewne straciłaby nad sobą panowanie i zdarła maskę obojętności. I wtedy to ona musiałaby się odsłonić.

Cholerna Justysia, pełna cywilnej odwagi! Pocziwa dziewczynka, której zdawało się, że wykazuje bunt i ujmuje się za nim, za Matim. Od dawna widział, że się w nim podkochuje, ale...

No i masz babo placek! Nie milkła:

– Może i mielibyśmy ochotę podyskutować, ale ów mur wrogości może świadczyć tylko o tym, że nie czujemy się komfortowo, bo nie znamy celu spotkania! Celu KOLEJNEGO JUŻ spotkania!

– Nie rozumiem! – Zuzanna patrzyła zdumiona.

Znów zapadła wroga cisza.

Mati kątem oka obrzucił zebranych. Wszyscy oprócz Wiktorii wpatrywali się oskarżycielsko w trenerkę. A więc podzielali zdanie Justyny. Naturalnie. Jedynie Wiktoria siedziała z głową zwieszoną na piersi, udając, że nie wie, jak się zachować. Nagle, jakby czując na sobie wzrok Mateusza, uniosła głowę i śladem innych wpatrzyła się w prowadzącą zajęcia coacherkę. Na Boga, przed kim udawała, że stanowi część grupy, a z treningami nie ma nic wspólnego? Czy ktoś z obecnych to kupował?

– No, po prostu! – Justyna brnęła bohaterko. – Nie mamy pojęcia, po co nas tutaj

zebrałaś!

– Jak to, Justyno? – Zuzanna popatrzyła jej w oczy, nie mrugając. – Przecież sama wczoraj narzekałaś na brak informacji co do zamierzeń zarządu. I w ogóle na brak komunikacji w firmie!

– Nic podobnego nie mówiłam! – Justyna wyprostowała się na krześle.

– Mówiłaś! Mam to w swoich notatkach! – trenerka upierała się nieco napastliwie, tracąc nieco ze swego chłodnego profesjonalizmu i upodabniając się do przekupki w maglu.

– Ja to mówiłam! – rzekła Paulinka, patrząc na Wiktorię ze zdziwieniem.

Na Wiktorię!

– Tak, to Paulina! – z gniewem odezwała się Wiktoria do lekko zbitej z tropu Zuzanny, niespokojnie wertującej gruby plik papierzysk, który trzymała na kolanach.

– Ach, no tak, to Paulina... – Zuzanna odnalazła wreszcie odpowiedni ustęp i przebiegła go wzrokiem, niespokojnie marszcząc brwi.

Mati mało co nie ryknął śmiechem.

– Tak naprawdę wszystko jedno, kto to powiedział! Wasz test na komunikację wypadł katastrofalnie! – podjęła Zuzanna z nową mocą. – Tak więc zapewne ty, Justyno, też nie jesteś do końca zadowolona z trybu, w jakim przekazywane są informacje w waszym zespole?

– Ale co mają na celu nasze spotkania? – nie ustępowała Justyna. – Załóżmy nawet, że komunikacja nie jest doskonała! Być może nigdzie nie jest! Ale kto chce, zawsze się dowie tego, co mu potrzebne!

W tym momencie Wiktoria rzuciła Mateuszowi spojrzenie, którego znaczenia nie odgadł od razu.

– A więc odmawiasz uczestnictwa w spotkaniu, tak, Justyno? – złowieszczo zapytała Zuzanna. Zabrzmiało to jak groźba. Mati niemal czuł, jak wszyscy zastygli w niemym proteście. Zaczynało to przypominać przesłuchanie przy alei Szucha!

– Hej, Zuzanno – wmieszał się łągodząco. – Czemu się denerwujesz? Justyna nie powiedziała, że odmawia uczestnictwa w spotkaniach. Na razie – dodał nieco ciszej, kryjąc uśmiech. – Powiedziała tylko, że nie bardzo rozumie, jaki jest ich cel! Twoje chińskie opowiadanie, skądinąd bardzo interesujące, było jakby wyrwane z kontekstu. Zaczęłaś od niego spotkanie, którego celu nie znamy – tłumaczył jak dziecku. – Wczoraj wykazywaliśmy się mnóstwem dobrej woli, walcząc pytania zadawane w teoretycznie anonimowej ankiecie...

– Jak to teoretycznie? – wybuchnęła Wiktoria z wściekłością.

– Droga Wiktorio! Po tym, jak wyświetliłaś anonimowe odpowiedzi na ścianie i zajadle je atakowałaś, zazwyczaj zdania swego broniły osoby, które tych odpowiedzi udzieliły! No, nawet dziecko by się po tym zorientowało, kto co napisał. No, Wiktorio... – Patrzył na nią spod oka, uśmiechając się szelmowsko.

– Czy sugerujesz, że zorganizowaliśmy to spotkanie, bym wytropiła, co kto myśli? – zaperzyła się Wiktoria.

– Po co więc innego „zorganizowaliśmy” spotkanie? No, Wiktorio? – Mati założył nogę na nogę i zaplótł ręce na piersi.

– Z ankiety wyszło, że w zespole szwankuje komunikacja! Informacje są przed ogółem zatajane, a przechodzą drogą korytarzową. Decyzje podejmowane są w niewiadomych okolicznościach, w zaciszach gabinetów! Brak otwartości, brak wpływu szeregowych pracowników na decyzje działu – wyraźnie piła do Mata. – To wam, nie mnie, powinno zależeć na poprawie! Ja wam nie powiem, jaki jest cel spotkania, wy mi powiedzcie! – wybuchnęła ze złością, po czym obrzuciła Zuzannę oskarżycielski spojrzeniem.

A! Czyli zadaniem Zuzanny było wydebić od grupy, że konieczne są zmiany. I nie

powiodło się. Musiała to wyrzeshzczeć sama inspiratorka „zmian”. Boże, widzisz, a nie grzmisz!

Zuzanna popatrzyła przeprasząco, po czym szybko się opamiętała i zawołała:

– Słuchajcie, zrobmy sobie takie ćwiczenie na opadnięcie emocji! Pamiętajcie cztery główne typy zespołów, które możemy wyodrębnić?

Znów cisza. Nikt nie palił się do odpowiedzi. Mati z kamienną miną patrzył na siedzącą sztywno Wiktoria. Zdawała się opanowana, lecz miała kurczowo zaciśnięte szczęki.

– No to ja wam przypomnę – próbowała załagodzić sytuację Zuzanna, włączając rzutnik.

– To jest oś nastawienia, o! Skrajnie po lewej widzicie negatywne nastawienie, po prawej pozytywne. Na osi igreków produktywność. Im wyżej, tym wyższa. Tak więc mamy tutaj cztery skrajne postawy i szybko je przypomnę.

Podeszła do ekranu i długopisem wskazała wykres podzielony na cztery prostokątne pola.

– Dolny, lewy kwadrat to najgorsze miejsce: niska produktywność, negatywne nastawienie. Czy ktoś może pamiętać, czym się to charakteryzuje?

Obejrzała się i czekała cierpliwie. Jej mina wyrażała rozczarowanie. Wobec tego Wiktoria zmuszona została do działania:

– To ja przypomnę. Może potem reszta się ośmieli.

Bezczelna!

– Cechy typowe dla takiej grupy to atmosfera krytyki, wytykanie win, cynizm, poczucie zagrożenia i niepewności o własne stanowisko! – wyrecytowała jednym tchem.

Cóż za „fenomenalna metoda naukowa” przynosiła takie „przenikliwe” wnioski! Kurka wodna, i jeszcze ktoś dostał kasę za opracowanie czegoś takiego i zbierał procenty od takich szkoleń. Jakiś „profesor” do spraw komunikacji z uniwersytetu z psiej budy. Doprawdy, świat zmierzał ku końcowi. Pełna inwigilacja, pełna biurokracja, pełna kontrola postaw ludzkich. Orwell na żywo!

Mati pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Tkwił tak przez chwilę, dopóki nie dobiegł go łagodny głos Zuzanny:

– Druga grupa, na osi iksów trochę w lewo, to negatywne nastawienie i wysoka produktywność! Paulina! Pamiętasz może? Przypomnij nam.

– Tacy pracownicy są zorientowani tylko na wynik, ostro rywalizują, ale szybko odchodzą na skutek wypalenia zawodowego – dobiegł Matiego świdrujący głosik podwładnej.

– Fajnie, świetnie! Fantastycznie wszystko zapamiętaliście! – wykrzykiwała Zuzanna, dyskretnie poprawiając spodnie od garnituru, które ładnie opinały jej kształtny zadek. Z tego, co Mati zdołał zauważyć, tyłeczek był w kształcie gruszki. Gdyby nie cholerna marynareczka, miałby znacznie lepszy widok.

Cóż te biedne kobitki musiały wyprawiać, żeby zarobić na dom w dzisiejszych czasach! Matiego ogarnęła nietypowa dla niego melancholia.

– No i teraz grupa, która najbardziej nas interesuje, bo prawie w stu procentach pasuje do waszego zespołu. A raczej wy pasujecie do tego modelu. Mati, może ty, jako szef, przypomnisz nam, czym charakteryzuje się wasza grupa?

– Pamiętam tylko, że za cholerę nie mogłem się dopatrzeć żadnego podobieństwa między moim zespołem a wybranym przez ciebie opisem. – Uśmiechnął się do coacherki.

– Ależ to nie mój opis! – zawołała. – Tak wyszło z ankiety. No dobrze, przypomnę.

Wasza grupa to pozytywne nastawienie i niska produktywność! Cechy typowe: brak nastawienia na wynik, opory przed zmianami – nie kołysz łodzią, bo przewrócisz – tolerowana niekompetencja, a w zamian za to przyjacielskie stosunki! Mati, śmiesz się?

Mati znów ukrył twarz w rękach i z rezygnacją kręcił głową.

– Jeśli masz coś do powiedzenia, to powiedz, ale nie próbuj podważać znaczenia tych

wyników! – Wiktoria zawołała wyzywająco.

– Jak możesz wciskać ludziom taki kit?! – Mati nie wytrzymał. – Jak możesz określać nasz zespół jako nisko produktywny?! Mamy najlepsze wyniki w kraju! Więcej: w tej części Europy! To jest jakieś szaleństwo! – dodał całkiem poważnie.

Wszyscy spojrzeli na niego zaniepokojeni, bo rzadko mówił coś na poważnie.

– Oceniamy zespół – Dziedzic dobitnie artykułowała głoski. – Nie ciebie, tylko zespół!

– A co to, kurwa, za różnica?!

– Wynik testu mówi sam za siebie.

– Nie będę słuchał tych bzdur!

– A więc rezygnujesz z diagnostyki zespołu? – zazgrzytał głos Wiktorii.

– Tak! Nie! Nie wiem! – Przetarł oczy, po czym dodał: – A co mi tam. Zobaczę, co będzie dalej.

Po chwili dziwnej ciszy Zuzanna podjęła:

– No i ostatni zespół, wydający się niedoścignionym ideałem. Pozytywne nastawienie i wysoka produktywność.

Zastygła i patrzyła na nich roziskrzonym wzrokiem, jakby za chwilę miała rozdawać gwiazdkowe prezenty. Nabrała powietrza i zawołała:

– Wydający się niedoścignionym ideałem, a tak naprawdę w waszym zasięgu! I żeby lepiej wczuć się w tę rolę, na waszej nowej drodze do ideału chciałabym przeprowadzić małe ćwiczenie.

Stukając obcasami, podeszła do leżącego na stole neseserka i wyjęła z niego cztery plansze. Następnie rozłożyła je równo na podłodze, by utworzyły kwadrat. Mati zerknął z większym zainteresowaniem, gdyż jego uwagę przykuły bujne kształty coacherki, szczególnie eksponowane, gdy pochylała się, by przesunąć karty z napisami.

Na planszach widniały nazwy czterech typów zespołów. W końcu, zadowolona z efektu, podniosła się i z zaróżowioną od wysiłku twarzą zaczęła:

– A teraz chciałabym, abyśmy wszyscy stanęli na polu z napisem: niska produktywność, negatywne nastawienie!

I widząc ich niepewne miny, dodała:

– Chodźcie tu wszyscy! To naprawdę fajne ćwiczenie!

Pomału wstawali i z ociąganiem ruszali w jej kierunku, by skupić się wokół napisu na podłodze. Mateusz podszedł bez cienia uśmiechu. Miał tego powyżej uszu.

– A teraz wszyscy zaśpiewamy sobie *Panie Janie*, udając za pomocą głosu i mimiki taki zespół: mało produktywny i negatywnie nastawiony. No! – dodawała im animuszu, widząc zdziwione, ironiczne spojrzenia. – No! Mówiono mi wprawdzie, że taka z was wesoła kompania, że ciężko wam będzie wejść w rolę pesymistów, a tu widzę, że jesteście straszne ponuraki. No, dalejże! Co z wami? Co z waszym poczuciem humoru?

– Ale to w ogóle nie jest śmieszne – mruknął ktoś w zbitej, ciasnej gromadce. Mateusz nawet nie podnosił głowy. Stał i wpatrywał się w gołębią wykładzinę i stłoczone tam stopy: jedne w szpilkach, inne w półbutach.

Rzeczywiście, chyba stracił poczucie humoru. Jakoś ostatnio życie przestało być takie cholernie zabawne!

Dawniej mógł okręcić się na pięcie i wyjść. Ale teraz? Czy mógł sobie na to pozwolić w obecnej sytuacji?

To... to upokarzające. Nie do zniesienia!

– „Panie Janie, panie Janie, rano wstań! Rano wstań! – zaczęli śpiewać cicho i pokornie. – Wszystkie dzwony biją, wszystkie dzwony biją, bim, bam, bom, bim, bam, bom!” – wybijał się

głos Misia, który ryczał basem, próbując tuszować zażenowanie i udając, że to on robi sobie jaja. Lecz i on, i Mati, i wszyscy tu obecni doskonale wiedzieli, że to nie on kpił z Wiktorii-korporacji. To Wiktorii-korporacja zakpiła z niego.

Neofita

Późnym popołudniem większość uczestników zjazdu opuszczała ustronny ośrodek prezydencki położony w samym sercu leśnej głuszy. Zakończyło się sympozjum dotyczące otwarcia zawodów prawniczych. Sympozjum, mające dać podwaliny merytoryczne do projektowanej przez rząd ustawy. Sympozjum, na którym bezapelacyjnie najjaśniej świeciła gwiazda Mirka Kwaśniaka! Dziś wieczorem wyjeżdżali prawie wszyscy. Wszyscy oprócz ścisłej wierchuszki partyjnej, mającej deliberować nad spadającymi na łeb, na szyję sondażami.

Kwaśniak pomału się pakował, gdy nagle ktoś zastukał do drzwi jego pokoju. W dwóch skokach dopadł do nich, a potem powoli je otworzył. Na schodkach stała Beata, ledwie tłumiąc radość.

– Załatwiłam z Kazimierzakiem, żebyś został – powiedziała cicho i weszła do środka.

– Hej! Cudownie! Ale jak ci się to udało?

A jednak opłaciło się palnąć to ogniste przemówienie.

– Nawet nie masz pojęcia, jakie to u niego niespotykane. – Podeszła i zarzuciła mu ręce na szyję. – On nie znosi obcych, zresztą za swojakami też nie przepada. Na kolacji będzie tylko ścisłe grono zaufanych posłów i paru funkcjonariuszy NOP-u oraz ludzie, którzy pracują z naszą agencją strategiczną. Zrobiłeś na nim wrażenie! Dzisiejszym wystąpieniem zyskałeś kilka dodatkowych punkcików.

– Tak powiedział? – Kwaśniak usiłował oddawać jej pocałunki z podobnym zapachem, jednocześnie przysmykając drzwi do salonu, tak by nikt nie mógł ich zobaczyć przez wielkie okno prowadzące na taras.

– No, taki wylewny to on nie jest. – Odsunęła się i popatrzyła na niego filuternie. – Ale powiedział, że widać, żeś swój chłop. I ujęło go, że nigdzie nie pchasz się na siłę. Widzi w tobie prawdziwego ideowca.

– A z czego on to wywnioskował? – zdziwił się Kwaśniak. Owszem, liczył, że takie właśnie wrażenie wywrze, ale nie miał bezpośredniej styczności z samym ministrem spraw wewnętrznych. Skąd więc tamten... Może już go prześwietlali i chcieli...

– Ja mu powiedziałam! – przerwała te niespokojne myśli prostoduszna Beata i uśmiechnęła się porozumiewawczo, znacząco oblizując pulchne, różowe usteczka. Przysunęła się do niego z szelmowskim uśmiechem, który natychmiast odwzajemnił, przypominając w tym jej lustrzane odbicie.

A więc załatwiła to „po kobiecemu”. Niepotrzebnie tak się wciąż lękał tego Kazimierzaka. Nawet gdyby zaczęli go prześwietlać, cóż by na niego znaleźli? Sprawy ojca? A od kiedy człowiek płaci za grzechy rodziny? Zresztą przecież niczego ojczulkowi nie udowodniono! Zawsze będzie mógł powiedzieć, że dawno temu odciął się od rodziny – właśnie ze względu na tamte sprawy. A na niego samego niczego nie mieli, przynajmniej na razie. I postara się, by nigdy nie mieli! Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli...

– Nad czym mój tygrysek tak rozmyśla? – dobiegł go przymilny głosik Beatki.

Natychmiast skupił na niej wzrok.

– Ach, ty moja mała adwokatko! – Potarł nosem jej nosek. – Ach, ty mała czarodziejko! Chodź tu do mnie szybko. Wrrr! – Objął ją ciasno, warcząc niczym pies. Tak się zwykle zabawiali i uznał tę formę retoryki za najwłaściwszą w tym momencie.

Rozradowana, zapiszczała, potem buchnęła perlistym śmiechem, wyrwała mu się i zaczęła się cofać niczym przed atakującym zwierzęciem, a on, wściekle warcząc, zbliżał się do niej. Puściła się biegiem dokoła kanapy, a on skoczył ku niej na skrót, butami po miękkich poduchach, a potem szczupakiem, co przyjęła spazmatycznym rechotem. Nagle w środek ich

intymnego świata wdarło się gromkie pukanie. Poderwali się z kanapy, po czym Kwaśniak w ułamku sekundy doskoczył do drzwi i, niewiele myśląc, otworzył je, jakby po drugiej stronie spodziewał się zobaczyć ruskiego cara i tylko otworzenie w rekordowo błyskawicznym tempie mogło go ocalić od szafotu. Beata ledwo zdążyła się poderwać do pionu.

W otwartych drzwiach stał poseł Bożymski, miał niewyraźną minę. Kwaśniak, polectany pochlebnymi uwagami Kazimierczaka, nabrał większej pewności siebie.

– Wejdz, Mieczysław! – zachęcił sztywno stojącego okularnika. Bożymski był jednym z tych, z którymi zeszłej nocy Kwaśniak wypił brudzia.

– Wejdz, wejdz – namawiał, widząc, jak Bożymski niepewnie zerka do środka. – Zapewne słyszałeś, jak się z Beatą śmialiśmy!

Bożymski przecząco pokręcił głową, przestępując z nogi na nogę, lecz Kwaśniak ciągnął dalej:

– Opowiadałem jej dowcip o blondynkach! No więc, słuchaj...

– Coś się stało, Mietku? – przerwała mu Beata, co okazało się najroztropniejszym wyjściem, albowiem Bożymski nie był chyba typem towarzyskim. Jeśli przyszedł, to znaczyło, że chciał coś przekazać.

– Prezes dzwonił! – rzekł niemal surowo. Beata natychmiast spoważniała. Podeszła i patrzyła na Bożymskiego przejętym, poważnym wzrokiem.

– Coś się stało? – spytała.

– Nic się nie stało, ale prezes już dziś do nas nie dotrze! Tak więc Kazimierczak poprosił, bym zwołał wszystkich już teraz, bo zaczynamy zebranie wcześniej. Bez prezesa! Nie mamy już na co czekać.

– Rozumiem – Kwaśniak odezwał się z powagą, przeczesując sobie włosy. – Rozumiem – powtórzył, patrząc na rozmówcę nieobecny wzrokiem.

Pół godziny później siedzieli na małej antresoli sali restauracyjnej, skupieni wokół suto zastawionego stołu. Kolacja była zimna, ale wina, które podano – smaczne. Oczywiście Kwaśniak ledwo umoczył usta, chcąc zachować jasność umysłu. Przy stole zebrało się kilkunastu posłów PN-u. Kilku z nich znał już z konferencji, kilku innych dojechało dopiero teraz. Rozmawiali na tematy neutralne i tylko dzięki wyjątkowo wyczulonej uwadze zaczął się z grubsza orientować, kto był posłem, kto funkcjonariuszem służb specjalnych, a kto trafił tu „z zewnątrz”.

Kazimierczak jeszcze się nie pojawił, dlatego zebrani zachowywali się jak uczniaki przed wejściem do sali profesora – śmiali się cicho, zgrywali chojraków, lecz bacznie się rozglądali, zerkając na przeszklone wejście. Czekali.

W końcu Kwaśniak sam dostrzegł potężnego, krępego mężczyznę, zmierzającego przez przestronną salę restauracyjną, a potem po schodkach na górę. Rozmowy ustały.

Kazimierczak zasiadł u szczytu stołu, przetarł okulary i nasadził je na siodełko nosa, po czym, nie patrząc na nikogo, zaczął poważnym, złowieszczym tonem:

– Zebraliśmy się tu w wiadomej kwestii. – Odchrząknął dyskretnie, przeczącym gestem przeganiając precz jakiegoś nadgorliwego kolegę, który zaproponował mu wodę mineralną. – Sprawy nie idą gładko, to wiemy wszyscy.

Kwaśniak dyskretnie zerknął na twarze zebranych. Wyrażały bolesną troskę.

– Na naszą prośbę CBOS przeprowadził badania, o czym już wszyscy wiecie, bo dostaliście raporty, z którymi mieliście się wnikliwie zapoznać! – Minister rzucił groźne spojrzenie na chybił trafił gdzieś przed siebie. Padło na siedzącą obok Kwaśniaka Beatę.

– Naturalnie, wszyscy czytaliśmy raport CBOS-u, Robercie, i wszyscy mamy opracowane propozycje dalszych działań – odezwała się skwapliwie. – No, może prawie wszyscy!

I wtedy, rozanielona, psia ją mać, zerknęła w jego stronę! Mirosław aż się wzdrygnął. Na diabła tak się do niego kleiła? Po co już w tej chwili zwracała na niego uwagę? W dodatku podkreślając fakt, że z czymś się nie zapoznał...

Lecz jego niepokój był chyba na wyrost. Może i wiedziała, co robi, cholera jasna... Może po prostu teraz zaprezentowała wszystkim jego osobę?

– Pan Mirosław, naturalnie, nie mógł się z raportem zapoznać, gdyż świeżo dołączył do naszych struktur i, jak wiecie, nie był obecny na ostatnim zebraniu w Warszawie. Co więcej, muszę wam powiedzieć, że wcale się do nas nie pchał! Ja jednak znam jego dokonania i namawiam go gorąco, by zasilł nasze szeregi, by swym doświadczeniem, obyciem i rzetelną pracą wspierał nas w naszej szczytnej misji! Pan Mirek jest świeżym członkiem PN-u i będzie współpracował ze mną i kolegą Boroniem nad ustawą o otwarciu zawodów prawniczych.

Mirosław skromnie spuścił oczy i uśmiechnął się wyrozumiale. Niechże widzą, jak dystansuje się od opinii najwyraźniej zauroczonej nim kobiety. To musiało się przecież rzucać w oczy. Jednak, wbrew swym obawom, nie usłyszał ani złośliwych śmieszek, ani przykrych komentarzy. Jakże inaczej powitano by taki pean pochwalny w jego przekłętej firmie. Cynizm kwitł tam jak dzikie chwasty!

Tu, w tym gronie, nikt nie miał ani prawa ani ochoty ironizować.

– Tak więc proszę mu wybaczyć brak przygotowania, bo bez cienia wątpliwości na następnym spotkaniu nadrobi to z nawiązką! Jak mówiłam, to człowiek stuprocentowo oddany idei. Prawy do tego stopnia, że ja sama musiałam go zapewniać o niezłomności naszych postaw. To chyba cenny nabytek, nie sądzicie?

– Tak jest! Przekonania pana mecenas Kwaśniaka i trafność jego argumentacji, czemu dał wyraz na sympozjum, bardzo nam się mogą przydać. Zwłaszcza gdy wśród nas samych panuje... jakiś niezdrowy rozłam – mruknął Kazimierczak, drapiąc się po szorstkim zarostwie. Po sali przeszedł zaniepokojony szmerek. – Tak więc, drogi kolego, witaj na naszym zebraniu. Prosimy o czynny udział w burzy mózgów i efektywny wkład merytoryczny!

Kwaśniak aż oniemiał. Lekko poczerwieniał i wbijał zatroskany wzrok w ziemię, bojąc się zdradzić choćby błyskiem w oku. Tymczasem nie miał powodu do obaw, bo nikt już się nim nie zajmował. Wciąż przemawiał Kazimierczak, podczas gdy inni słuchali w milczeniu:

– Zanim omówimy sposoby wydzwignięcia się z tego małego dołka, w który wpadliśmy, głosząc niewygodną prawdę, posłuchajmy, co ma do powiedzenia psycholog, pan Jakub Poręba, specjalista od spraw wizerunku politycznego. A także doradca naszych spin doktorów podczas jesiennej kampanii, całkiem zresztą skutecznej.

Oczy wszystkich skierowały się na przeciwległy kraniec stołu, gdzie siedział młody, wybijający się nonszalancką elegancją mężczyzna.

– Szanowni państwo! – zwrócił się do wpatrzonych w niego ludzi. – Jak wiecie, wasze wyniki sondażowe wahnęły się niebezpiecznie w dół, na czym natychmiast zyskała wasza konkurencja. Cztery miesiące temu, po wygranych wyborach, kiedy byliście chyba u szczytu możliwości...

– O naszych szczytach, łaskawy panie, niech my sami decydujemy – lekceważąco przerwał mu Kazimierczak, nie bacząc na zdumione spojrzenie badacza CBOS-u.

– Otóż po drobiazgowych badaniach udało się nam wyodrębnić kwestie szczególnie zniechęcające opinię społeczną. I pierwszą taką jest właśnie sprawa walki z korupcją. Jak widać na załączonym wykresie, kolejne przypadki aresztowań podkopują waszą popularność. – Badacz spojrzął na ministra przepraszająco.

– Popularność partii zawsze spada po wygranych wyborach – rzucił jowialnie Rafał Biernacki, przedwcześnie tysiejący, lekko spocony młody człowiek w białej koszuli, patrząc na

przewodzącego spotkaniu z oddaniem i życzliwą sympatią, mimo że odpychająca mina tamtego nie zachęcała go do podobnej uprzejmości. – Pamiętaj o tym, Robert. Taka jest cena, jaką płacimy za nonkonformizm. Ale tego oczekuje nasz twardy elektorat!

– Z samym twardym elektoratem nie zwyciężymy w następnych wyborach! – mruknął spod ściany niepozorny młodzik w okularach i szarej marynarce, siedzący z rękami założonymi na piersiach. Musiał dojechać niedawno, wcześniej Kwaśniak go nie zauważył.

– Prezes nie kieruje się tym, co mu się opłaci! Tym właśnie różni się od swoich oponentów politycznych! – surowo zganił go Kazimierzczak.

– Jednak prezes doskonale zdaje sobie sprawę, że jeśli nie przetrwa, to nie zdoła spełnić ani jednej obietnicy danej wyborcom. Może nawet nie doczekać końca kadencji... – rzucił niski, świński blondyn o bezczelnym półuśmiechu. Tego Mirek kojarzył. Mężczyzna ów, będący w sile wieku, nazywał się Bożydar Stec i był jednym z mózgow kampanii parlamentarnej.

– Masz słuszność, Bodek – poparł go natychmiast wycofany młody, którego nazwiska Kwaśniak nie kojarzył.

Kwadratowa głowa Kazimierzczaka jeszcze bardziej się poszerzyła. Przypominała odbiornik telewizyjny, emitujący ponury film wojenny.

Kwaśniak w skupieniu sondował grono, w którym się znalazł. Lubił od razu wiedzieć, kto jest kim i kto za kim stoi, lecz na razie wyniuchał tylko lekką antypatię na linii Kazimierzczak–Stec. Steca gorliwie popierał młodzieniec w okularach, który, choć niepozorny i niczym szczególnym się nieodznaczający, miał w sobie jakąś siłę i budził większe emocje od pozostałych.

Patrząc na gęstniejący za oknami mrok i ledwo widoczne we mgle lampki oświetlające ścieżynki wiodące do przytulnych bungalów, Kwaśniak – niczym taktyk wojskowy – usilnie zastanawiał się, komu okazać lojalność.

Chyba najrozsądniej było trzymać z Kazimierzczakiem, najwyraźniej brytanem prezesa. Ten grubo ciosany, krępy mężczyzna miał jasno wytyczony cel, do którego zmierzał, a tak się dogodnie składało, że tym celem była bezlitosna walka z korupcją. Najwyraźniej badania CBOS-u nie ruszyły go za bardzo. Zamierzał przeć do celu jak czołg i to właśnie było Kwaśniakowi na rękę. Musiał go tylko przekonać o konieczności zastawienia siodeł na Wencłów.

I może nawet odrobinę żałował, bo instynktownie poczuł sympatię do ciemnowłosego okularnika, który najwyraźniej piekł swoją własną pieczeń! Kwaśniak lubił takich ludzi, czuł, że rozumem i sercem właśnie do takich przynależy.

Lecz naturalnie musiał się zdyscyplinować. Nie pora na sentymenty! Lecz miło wiedzieć, że i tutaj było pole do popisu, a za jednym pagórkiem wyrastał następny, jeszcze zieleńszy, na który chętnie by się wspiął! Ale jeszcze nie teraz, nie w tej chwili.

Pogrzyżył się w przyjemnych projektach i nagle aż drgnął, gdy usłyszał podniesiony, nieprzyjemny głos Kazimierzczaka:

– To co w końcu proponujesz? Zaniechać naszych działań w imię badań marketingowych? Ja ci powiem, Bożydar, jak ja to widzę! Za często patrzysz na słupki wykresów statystycznych, a za mało pracujesz w terenie, z ludźmi! Ja, który ciągle jestem z ludźmi, mam oczy i uszy otwarte na to, co mówią na ulicach. I powiem ci, że zwykli ludzie chcą, by wreszcie wyplenić te praktyki korupcyjne! – Minister wlepił nieruchomy wzrok w siedzącego naprzeciw szydercę.

– Ale nie dajecie ludziom mięsa, rzucacie same skrawki! Za dużo tych pomyłek, za dużo akcji robionych na wyrost! – zadrwił Bożydar, nerwowo ruszając kolanem.

– Spokojnie, Bożydar! – mitygował go młody, tajemniczy okularnik. – Nie pora, by wnikać w takie szczegóły. Niech Robert robi swoją robotę, a ty rób swoją! – uspokajał

poirytowanego kolegę.

– Faktem jest, Robert, że ostatnia akcja nowo powołanego przez ciebie NOP-u strasznie nam zaszkodziła. – Spocony łysoń, Rafał Biernacki, patrzył na kolegę przepraszająco. Ach, więc ten był z gatunku tych, którzy patrzą, skąd wiatr wieje! Widząc, że szala przechyliła się na stronę Steca i jego poplecznika, natychmiast zmienił front.

– I wam ostatnio zdarzają się wpadki! Ot, choćby wasze werbowanie posłów z innych klubów w zamian za prominentne stanowiska. I dopuściliście, by to wyszło na jaw! Rażące zaniedbanie! – warknął zniecała introwertyczny poseł, przy okazji radca prawny, Mieczysław Bożymski.

Ach, więc to lojalny człowiek Kazimierczaka.

Powoli obraz sytuacji stawał się dla Mirka coraz jaśniejszy. Były dwa „obozy”. Twardogłowi fanatycy i sprytni kunktatorzy – korsarze polityczni. Różniło ich głównie to, że pierwsi nadal chcieli walczyć z korupcją mimo spadków sondaży, a drudzy, uważnie obserwując nastroje społeczne, szybko zmieniali front. Twardogłowi pochodzili z dawnego konserwatywnego ugrupowania, od zawsze skupionego wokół osoby obecnego prezesa. „Korsarze” dołączyli do nich jako młoda partia populistyczna, która zaskarbiła sobie wielu zwolenników, głosząc chwytliwe hasła lewicowe. Zjednoczeni, stworzyli w sierpniu 2007 formację Porozumienie Narodowe – dziwny prawicowo-lewicowy konglomerat! Ugrupowanie to zwyciężyło w przedterminowych wyborach, ale już teraz widać było gołym okiem, że korsarzom nie zależało na trwałości sojuszu. Kwestionowali władzę „prawej ręki prezesa”, czym podważali pozycję samego prezesa. Czyżby po czterech miesiącach wspólnego rządzenia już dybali na główne stanowiska? A więc kolejny przewrót wisiał w powietrzu...

Kwaśniak w zasadzie wiedział już wszystko, co było mu potrzebne.

– No, tak – podsumował badacz CBOS-u. – To jest kolejna kwestia, którą miałem poruszyć, panowie. Po wyjściu na jaw faktów o handlu stanowiskami w zamian za przejście do waszej partii nastąpił, jak zresztą sami widzieliście, ogromny spadek. Prawie siedem punktów w dół, mierzone na grupie reprezentatywnej. Nie do zlekceważenia!

Kazimierczak zagryzł wargi i posłał Stecowi nienawistne spojrzenie, mówiące: „O! Proszę, do czego przywiodła nas wasza polityka!”

– Moglibyśmy długo dyskutować, kto zawinił, lecz przypominam wam, koledzy, iż nie to było celem dzisiejszego spotkania! Rozmawiałem z prezesem przed chwilą, tuż przed wejściem do tej sali – odezwał się młody w szarym garniturze. Przemawiał ze swadą i uwadze Kwaśniaka nie umknęło, że słysząc te słowa, Kazimierczak aż drgnął! A więc rywalizowali też o łaski prezesa. Może nawet „szary” był dla ministra groźniejszy niż starszy od niego świński blondyn. Trzeba więcej czasu, by to rozgryźć. – Prezes dał do zrozumienia, by wyjść z czymś nowym, co rozwieje wątpliwości w sprawie naszego stanowiska politycznego – ogłosił okularnik z powagą.

– A więc jasno dał do zrozumienia, by atakować! – wyrwało się ze zduszonego gardła Kazimierczaka.

Przypominał teraz lotra więziennego, gotowego zakatrupić każdego, kto stanie mu na drodze. Nawet okulary i garnitur nie były w stanie tego zamaskować.

– Owszem, atakować, ale mądrze. W sposób przemyślany – perorował młody – a nie huzia na Józia! Musimy mieć twarde dowody na istnienie układu, w który zamieszani są przede wszystkim nasi oponenti polityczni. Inaczej będziemy mało wiarygodni, a wtedy oni pozostaną bezkarni. Panowie! – Potoczył po wszystkich surowym spojrzeniem. – Nigdy więcej gola do własnej bramki! Rozumiemy się?

– We wszystkich sprawach, które Naczelny Organ Prewencyjny przeprowadził i w których doszło do aresztowań, zdobywaliśmy dowody. Ale w sądach nie było łatwo tym

cwaniakom dowieść winy. Poza tym w naszym kraju procesy ciągną się latami! – Minister zacisnął zęby.

– Nikt z nas w to nie wątpi, Robert. – Szary założył nogę na nogę i patrzył na rozmówcę z wyrozumiałością. – Ale jak pokazują badania, musimy być bardziej wiarygodni. Pozwól, że powiem jeszcze raz: wiemy, że mamy rację, ale, niestety, musimy tego dowieść!

– Jednym słowem, potrzebny nam pewny cel! – ugodowo podsumował Biernacki. – Możesz powiedzieć nam, Robercie, oczywiście nieoficjalnie, czy NOP ma na oku kogoś takiego? Jakiegoś posła opozycji, jakiegoś związanego z nimi lobbystę?

Wszyscy wpatrzyli się w Kazimierczaka, który zacisnął pięści w kulak.

– To, że układ dławi wszelką przedsiębiorczość i dusi możliwości naszej ojczyzny, chyba wszyscy wiemy – wychrypiał powoli. – Chyba że ktoś ma na ten temat inne zdanie?

– Nie, nie! – padło z wielu stron naraz.

– Tak naprawdę ludzie Deptuły prowadzą mnóstwo śledztw! Naturalnie nie znam szczegółów... Są to, jak wiadomo, tajne sprawy NOP-u...

No tak. Nie mógł mówić swobodnie, bo na sali siedziały osoby „spoza”. Zapewne minister wręcz sterował Deptułą, ale nie mógł o tym mówić w tak szerokim gronie. Ściany mają uszy i nigdy nie wiadomo, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem.

– Bardzo obiecująca jest sprawa tycząca znanego polityka opozycji. Nie chciałbym teraz wnikać w szczegóły...

Na antresoli zapanowała cisza jak makiem zasiał.

– ...lecz mogę was zapewnić, że kiedy to wyjdzie na jaw, nikt już nie będzie miał wątpliwości co do naszej krystalicznej uczciwości i czystości naszych intencji!

Jedynym, który odważył się przerwać przedłużającą się ciszę, był charyzmatyczny okularnik w szarościach.

– Kiedy mogą to ujawnić opinii publicznej? – zapytał, wykrzywając wargi, jakby czuł brzydki zapach.

– Daj im chwilę, żebyś potem znów nie narzekał, że było za mało zebranych dowodów! – odwarknął Kazimierczak. – Obecny tu funkcjonariusz służb specjalnych nadzoruje pracę dzień i noc. Powołano specjalną ekipę, która tropi tę aferę dwadzieścia cztery godziny na dobę!

– Ale nie są gotowi! A nam trzeba faktów! Teraz! – Szary kiwał głową, oglądając paznokcie.

– Zalecasz większą dokładność, a jednocześnie chcesz mieć wszystko od razu! – Bożymski zezował w niewiadomym kierunku. – Nie rozumiem zupełnie, jakie jest więc twoje stanowisko?

– Mówię tylko, że koalicja się wali, wyniki w sondażach spadają, a my nie mamy czym odpowiedzieć. – Szary podniósł głos.

Wszyscy spojrzeli na ministra, lecz ten milczał, jakby znużony i poirytowany.

– Można by na szybko rzucić ludziom ustawę o korporacjach... Takie działanie zostanie odebrane jednoznacznie pozytywnie. – Biernacki zatarł pulchne dłonie.

– A czy mamy w Sejmie dostateczne poparcie, by to przeforsować?

– Gdyby głosowanie nad ustawą poprzedziła jakaś afera, byłoby łatwiej wywrzeć nacisk na opozycję – cicho zauważył młody okularnik.

Kwaśniak przyklasnął temu w duchu. Dobrze chłop kombinował! I Kazimierczak musiał popierać ten tok rozumowania, lecz w życiu głośno by się do tego nie przyznał. W PN-ie jedni nie ufali drugim, więc nie mogli otwarcie omawiać form nacisku na Naczelny Organ Prewencyjny. Zapewne minister miał gigantyczny wpływ na działania tego organu – i właśnie dlatego wciąż podkreślał jego niezawisłość!

Lecz Mirek wiedział od Beatki, czego Kazimierczak szukał. I zaraz podejdzie, by mu to zaproponować. Raz kozie śmierć!

Tymczasem utarczki słowne trwały jeszcze dobre pół godziny. W końcu, wobec braku kompromisu, uradzono przerwę. Zgromadzeni wstali od stołów i zeszli do sali restauracyjnej, by znów trochę się pokrzepić i ewentualnie łyknąć coś mocniejszego na ukojenie zszarganych nerwów.

Zbijali się w mniejsze grupki, by przedyskutować sprawy z dala od czujnych uszu mniej zaufanych kolegów.

Wściekły Kazimierczak stał samotnie przy barze i popijał szkocką. Kwaśniak natychmiast ruszył w jego kierunku, dosiadł się do pochmurnego ministra spraw wewnętrznych i zawołał w stronę kelnera:

– To samo dla mnie!

Kazimierczak nawet się nie poruszył, więc Kwaśniaka ogarnął nagły strach! Czy aby nie porywał się z motyką na słońce? Wtedy przed oczami stanął mu Wencel. Wencel, krążący po jego rodzinnym mieście. Wtykający swój przebrzydły nochal w nie swoje sprawy!

– Panie Robercie – Mirosław odezwał się lekko zmienionym z emocji głosem – jestem pod wrażeniem.

Kazimierczak zwrócił się ku niemu bez słowa i zmierzył go nieufnym, taksującym spojrzeniem, a potem wychylił całą szklankę i warknął do kelnera:

– Jeszcze raz to samo!

Potem zwrócił się w stronę Kwaśniaka, dając do zrozumienia, że gotów jest go wysłuchać.

– Jestem pod wrażeniem pańskiej odwagi cywilnej – kontynuował Kwaśniak, patrząc ministrowi w oczy. – Mnie tej odwagi kiedyś zabrakło! By chronić pracę, byt – stchórzyłem! I do dziś paskudnie się z tym czuję.

Kazimierczak, niewzruszony, obserwował go w milczeniu.

– Pewnie zastanawia się pan, po co, u licha, pana tym zamęczam. Ma pan przecież własne problemy! Wiem, wiem... – Kwaśniak upił whisky, odstawił szklankę i ciągnął: – Po prostu widzę paralełę między naszymi sytuacjami. Wprawdzie pan jest mężem opatrnościowym, który czyści tę stajnię Augiasza na skalę krajową, a ja tylko maluczkim pana odpowiednikiem, działającym na dodatek ledwie lokalnie. Więc myśli pan sobie pewnie: czemuż ten szaraczek waży się porównywać ze mną! Otóż idzie mi o powtarzającą się sytuację. To, *par excellence*, jak u Szekspira! Sytuacja pełna dramaturgii! Konflikt nie do rozwiązania!

– O czym pan mówisz? – przerwał mu Kazimierczak dość brutalnie.

– Rozgadałem się, jak to klasyczna papuga! Niechże mi pan daruje, wiem, że jest pan człowiekiem czynu, a nie słowa, więc będę starał się przejść do rzeczy, choć nie jest to łatwe, bo rana ledwo się zabiłżniła i wciąż się jątrzy!

Minister był już wyraźnie zniecierpliwiony, więc Kwaśniak wypalił:

– Widzę pański problem! Działa pan w zgodzie z sumieniem, a koledzy chcą wymusić działania bardziej, nazwijmy to, koniunkturalne, obliczone na efekt. Pańskie plany będą może docenione za kilka pokoleń – oni zaś pragną zyskać parę punktów więcej w słupekach sondażowych. Otóż powiem tylko jeszcze jedno zdanie, może w pańskich oczach nie do końca na temat – mówił teraz bardzo szybko, widząc, jak Kazimierczak wierci się na stolku. – I ja miałem kiedyś taką sytuację! Taki szekspirowski dylemat!

– Panie... – przerwał mu Kazimierczak ze zniecierpliwieniem.

– Dobrze, już! Ma pan rację! Ten wstęp jest może nieistotny...

– Mówże pan jak mężczyzna, do diabła! O co panu chodzi? – Minister dopił whisky.

– Mam dla pana tego pewniaka, którego pan szuka! – wypalił Kwaśniak i zamilkł. Kazimierczak pomału zwrócił się w jego stronę i lustrował go przymrużonymi oczami.

– Jeszcze dwa razy to samo – warknął półgębkiem w stronę chodzącego na palcach kelnera, po czym znów zwrócił się do Kwaśniaka i czekał.

– Mam dla pana pewniaka, którego pan szuka, i to tam, gdzie najchętniej by pan go znalazł!

– Mówi pan o korupcji? – Polityk uniósł brwi. Mirosław, jednocześnie przerażony, ale i podekscytowany, zaczął szybko:

– Znam pewnego wysoko postawionego radcę prawnego, który funkcjonuje w środowisku jako osoba ciesząca się nieposzlakowaną opinią. Jest sympatykiem waszych przeciwników politycznych. To człowiek wysoce skorumpowany, cyniczny, bezczelny. On nie ma żadnych hamulców! Och, gdybym dysponował wtedy odpowiednim sprzętem!

– Wtedy, znaczy kiedy?

– Wtedy, gdy mówił mi, że z pomocą swoich ludzi spreparował na mnie dokumenty, aby mnie wykończyć! Nagrałbym go wtedy! Miałbym go na widelcu! Tymczasem jest bezkarny, choć obraca lewymi pieniędzmi! Choć w swojej kancelarii pierze brudy po ojcu i bracie! Przewalają tam miliony! W biały dzień!

– Jak nazywa się ta szumowina? – Polityk znów usiadł bokiem do Kwaśniaka, który widział teraz jego grubo ciosany profil.

– Paweł Wencel! Syn Ryszarda, czerwonego hochsztaplera, który zarobił na prywatyzacji browarów. Tego na pewno macie w aktach. Nie wiecie za to, że cała ich rodzina jest unurzana. Używają kancelarii jako pralni! Zawód zaufania publicznego bezczeszczonego w biały dzień. Oni się nam śmieją w twarz.

– Masz pan na to dowody?

– Czy gdybym miał, musiałbym prosić pana o pomoc? – Kwaśniak przysunął się do niego i zajrzał mu w twarz.

Przez chwilę patrzyli na siebie w napiętym milczeniu, po czym Kazimierczak wysunął naprzód swój potężny podbródek i – upodobniony do warczącego buldoga – rzekł:

– Normalnie bym tego nie zrobił po tak krótkiej znajomości, ale... Po pierwsze, zaimponowałeś mi dzisiaj rano, kiedy podczas warsztatów zagiąłeś tego zadufanego studencika, najwyraźniej zagorzałego zwolennika opozycji! Po drugie, Beatka za ciebie ręczy, a tak między nami mówiąc, to jedyna porządna dziewczyna w naszej partii. Jak mało kto oddana sprawie. Wierzę jej jak sobie samemu. Poza tym za dużo w naszej partii szuj, które robią krecią robotę. Potrzebuję zaufanych ludzi! – Minister głęboko westchnął, jakby wyznanie sprawiło mu ulgę. Kwaśniak nie odrywał wzroku od jego ust. – Dam ci więc szansę. Osobiście poproszę Deptułę, by przydzielił cię do małego zespołu operacyjnego, którym dowodzi obrotny, młody agent. Chłopak głodny sukcesu, więc ambitny. Dasz im namiary na tych bandytów. Będziecie współpracować. Macie równo cztery tygodnie, by przynieść mi twarde dowody.

Rzeczywistość depcze Mateuszowi po piętach

Pod koniec stycznia Mati wyjechał z żoną na wakacje. Na Sycylię.

„To będzie krótki wypad w ramach terapii małżeńskiej – nonszalancko tłumaczył zaniepokojonemu, popatrującemu nań podejrzliwie ojcu, kiedy dwa dni wcześniej siedzieli w przestronnej kuchni domu rodziców w Konstancinie. – Szansa, by odbudować względną normalność, rozumiesz...”

Wolno nadchodził wieczór. Młody Wencel rozkoszował się widokiem i ostatnimi promieniami chylącego się ku zachodowi słabego, styczniowego słońca. Wyciągnięty na wygodnym łóżku z drewna tekowego, otulony miękkim kocem i odgradzony od świata markowymi okularami przeciwsłonecznymi, z zewnątrz zdawał się zupełnie zrelaksowany.

Otaczał go wyrafinowany luksus w najlepszym, włoskim guście. Prywatny taras apartamentu, wykładany podnieszczoną mozaiką i położony na ostatnim piętrze, miał nienajgorszy widok. Między ornamentowanymi stiukami bielonej balustrady lazur nieba łączył się z ciemnym granatem Morza Jońskiego, a że Taormina, w której wypoczywali, leżała kilkaset metrów nad poziomem morza, z tej odległości powierzchnia wody przypominała granatowy jedwab, marszczący się delikatnie raz tu, raz tam.

Szum morza był bardzo odległy, tak odległy, że ten cichy, jednostajny pomruk mógł być równie dobrze produktem wyobraźni. Gdyby Mateusz miał wstać teraz z leżaka i przechylić się nad balustradą, ogarnąłby wzrokiem ceglaste, spłowiełe dachówki średniowiecznego centrum miasta i położony nieopodal teatr grecki. Na zachodzie pyszniła się, bardzo aktywna od kilku dni, otoczona siwym dymem Etna.

Wakacje na Sycylii. Niezwykle ciepła, jak na środek zimy, pogoda, w słońcu dochodząca do dwudziestu stopni. Bajeczny, wyrafinowany luksus hotelu, ciężarna żona – wciąż tak ładna, że mimo zaawansowanej ciąży mało który Sycylijczyk nie odwracał za nią głowy – do tego czekająca w kraju intratna posada, pozwalająca na dostatni byt. Czegóż można chcieć więcej? Czy w tej sytuacji można myśleć o sobie inaczej niż jak o cholernym farciarzu?

Sam Mati jeszcze parę miesięcy temu czerpałby z takiego wyjazdu pełnymi garściami. Niefrasobliwy, pełen chłopięcego uroku, zabawiałby żonę, a w wolnych chwilach telefonicznie zapewniałby kochankę o palącej tęsknocie. A na boku zaliczyłby ze dwie młode, miejscowe... Ech...

Dziś tamte podboje były tylko wspomnieniem. Wprawdzie zdawało mu się, że nadal panuje nad sytuacją, ale zaczynał już odczuwać jej narastające brzemie.

Rzeczywistość przestała być przewidywalna. W robocie, wobec konsolidacji dwóch firm, coraz częściej mówiło się o masowych zwolnieniach. Napięta sytuacja z Wiktoria dawała się we znaki! Pierwszy raz w życiu Mati miał przeciwnika, groźnego przeciwnika, z którym nie umiał sobie poradzić. Uczestniczył więc w tragikomicznym „procesie”, mającym „uleczyć” jego zespół z pleniącego się tam „tumiwisizmu”. Najgorsze było to, że Wiktoria nie określiła celu spotkania, które sama organizowała. Próbowwała wmówić im, że sami mają potrzebę inicjacji zmian. Chciała, by od nich wyszedł werbalny sygnał o konieczności restrukturyzacji działu. Całe szczęście, że ludzie Matiego byli, jak do tej pory, solidarni i lojalni. Ale jak długo wytrzymają? I co im szeptuje Wiktoria w zaciszu swojego gabinetu?

Do tej pory Mateusz radził sobie z tego typu praniem mózgu w sposób świadomie cyniczny, jednak obecne spotkania irytowały go bardziej niż jakiegokolwiek wcześniej widziane korporacyjne „szajby”. Nic dziwnego. Miał pełną świadomość, że te działania wymierzone były przeciwko niemu. Że w ten sposób Wiktoria zbierała przeciw niemu „dowody”. Wiedział o tym, a jednocześnie nie mógł odmówić uczestnictwa w tym szaleństwie, bo natychmiast poleciałaby

do zarządu, by oskarżyć go o obstrukcję. Była to niezbyt komfortowa sytuacja.

Jedynie, co mógł robić, to szykanować jej cholerne podchody, buntując przeciwko niej resztę ekipy, ale ta „cholera” była sprytna.

I choć nie lubił stawiać twarzą w twarz z własnymi porażkami, pomału zaczynał rozumieć, że sytuacja nieco go przerosła. Nie sposób walczyć w pracy, a potem walczyć w domu. Gdzieś człowiek musi mieć wytchnienie. Naturalnie wykluczone było zrezygnowanie z kochanki tylko po to, by zapewnić sobie możliwość spokojnego, strategicznego działania w robocie! O, co to, to nie... Znadto ją kochał, znadto...

Poruszył się niespokojnie, uniósł lekko i dolał sobie campari.

Ale męczyć się tak? Jak długo? Po co? To już naprawdę przestawało być zabawne. Przecież schudł, zmarniał, miewał kłopoty z męskością. To nie do pomyślenia!

Miłość miłością, a tymczasem człowiek musi żyć normalnie. Cóż by począł, gdyby na serio wypierdolili go z roboty? Otworzy własną firmę? Szarpać się, walczyć o klienta? Cholera, to nie w jego stylu. Działał doskonale w korporacji, był asertywny, mając po temu racje. Miał za sobą cały oręż potężnej firmy i wszystkie jej apanaże. Wielkie biuro, sekretarkę, samochód, ubezpieczenie medyczne i solidną pensję. Nie mówiąc o bocznych wpływach od agencji reklamowych. Czy całe życie harował po to, by teraz, „przez dupy”, jak klarował mu ostatnio ojciec, wszystko to zaprzepaścić?

Nie żeby zamierzał zrywać, w życiu jej nie zostawi! Co więcej, w głębi duszy był pewien, że ona była tą jedyną i że może kiedyś...

Ale jak na razie trzeba było jakoś inaczej to zorganizować. Tydzień temu, po kolejnej „umoralniającej” rozmowie ze starszym, dobrze wszystko przemyślał. Hm.

Wykoncyrował więc, jak zapewnić sobie spokój na dłuższy czas! Powie Antośce, że u Karoliny podejrzewają cięższe schorzenie na tle psychicznym.

To doskonale – wprost idealnie! – pasowało do tego, co mówił jej do tej pory. Wręcz spinało poprzednie kłamstewka jak uwiarygodniająca kłamra. Napady szału żony, jej próby samobójcze i awantury – kłamstwa, którymi karmił kochankę, pomału przestawały być wiarygodne. Ale choroba – prawdziwa, zdiagnozowana choroba – to już coś więcej. Wszystko, co do tej pory mogło Antośce wydawać się w jego słowach nieprawdziwe, co mogło budzić podejrzenia, teraz podeprze opowieścią o strasliwym schorzeniu.

Po długich godzinach spędzonych na psychiatrycznych stronach internetowych znalazł coś odpowiedniego. Choroba zwana cyklofrenią albo inaczej chorobą afektywną dwubiegunową. Charakteryzowała się okresami szaleńczego podniecenia, gonitwy myśli, nadmiernej aktywności, przedzielanych apatią, smutkiem, brakiem radości życia.

Naturalnie nie zamierzał meldować Antosi o cyklofrenii tak od razu, ni z gruszki, ni z pietruszki. Tak mógłby zrobić dyletant, zwykły frajer. Nie, Mati do takich nie należał. Starannie selekcjonował strzępki informacji, które już przed wyjazdem zaczął sączyć do świadomości obu kobiet. Był przekonany, że jest wiarygodny. Koniec końców przywiązywał do tego bardzo dużo uwagi.

Nadchodzącą nieobecność w Warszawie – czyli wyjazd z żoną na Sycylię – wyjaśnił kochance bardzo sprytnie, przy okazji zwiastując niejako mającą niedługo nadejść informację o chorobie. Pewnego dnia wpadł do niej po robocie, zrobił chmurną minę i zagaił chytrze:

– Cholera, przez to wszystko będę miał niedługo poważne kłopoty w robocie!

Jeśli liczył, że ją zaciekawi, to się pomylił. Antonina, ubrana w seksowny cielisty stanik i skąpe, białe majtki, stała przed lustrem w łazience i malowała rzęsy. Nie spytała, co miał na myśli, więcej nawet – nie raczyła nawet spojrzeć w jego stronę! Zmuszony odstąpić od sztywnego planu, który zakładał oszczędność wypowiedzi, spróbował wzniecić jej ciekawość raz

jeszcze.

– *Shit!* Mało brakowało, a zbilbym ci ten piękny kieliszek z Murano! Widziałaś? Ledwo go złapałem... Ale mi się ręce trzęsą... Nie jestem sobą po tym wszystkim!

Antonina nie odrywała wzroku od własnych rzęs. Wolno, metodycznie pokrywała je czarnym tuszem. Mati, bardzo z siebie niezadowolony, lecz niemający więcej czasu do stracenia, stanął za nią, objął w pasie i położył głowę na jej ramieniu. Był całkowicie ubrany, a ona niemal goła, lecz to ona, poprzez odbicie w lustrze, patrzyła mu prosto w oczy, pewnie i śmiało, a jego spojrzenie umykało.

– Czemu jesteś taka niedobra? Wcale mnie nie słuchasz. Znudziłem ci się?

Odwrociła się na pięcie, spojrzała na niego bystro i zapytała:

– Do czego zmierzasz?

– Do czego zmierzam? Do niczego, cholera, nie zmierzam! Chciałem ci opowiedzieć o koszmarze, jaki przeżywam, ale ciebie to najwyraźniej mało interesuje!

I ponieważ poczuł się nieswojo pod jej nieruchomym spojrzeniem, musiał zebrać wszystkie siły, by odegrać projektowany spektakl. Ciężko opadł na klapę klozetu, używając go jako krzesła, ukrył twarz w dłoniach i szepnął łamiącym się z emocji głosem:

– Zacząłem ci mówić, że chyba niedługo wypieprzą mnie z roboty!

Milczała, lecz tym razem patrzyła nie na lustro, a wprost na niego. Uznał to za dostateczną zachętę.

– Nie dość, że mam krzyż pański z tą panoszącą się po firmie żmiją, która robi, co może, by wygryźć mnie z roboty, to jeszcze z Karoliną dzieje się coś NAPRAWDĘ niedobrego i będę musiał z nią jechać na tydzień na skomplikowane badania. Nie w smak mi to, bo powinienem zostać na miejscu i pilnować, co się dzieje w robocie. Jak Boga kocham, że po tym kolejnym wyjeździe w końcu mnie wypieprzą! Ledwo zamkniesz za sobą drzwi, a oni zaczynają spiskować!

Podniósł na nią poważny wzrok, lecz nie odnalazł w jej oczach współczucia. Nic dziwnego. Nie raz słyszała od niego tego typu opowieści. Ale zaraz ją zaskoczy. Podniósł się z sedesu, przecesał włosy i wyjął z kieszeni kilka spiętych kartek.

– Spójrz na to, a przestaniesz patrzeć na mnie z takim niedowierzaniem.

– Mati, masz urojenia! Nie patrzę na ciebie z niedowierzaniem.

– Spryciulka z ciebie, kochanie! Chcesz mi udowodnić, że niepotrzebnie się tłumaczę? Według ciebie mam paranoję i wymyślam sobie, że mi nie wierzysz, tak? Że niby na złodzieju czapka gore, co?

Patrzyła na niego bez słowa. A może naprawdę miał już paranoję? Może jednak mu wierzyła? Bo przecież wzięła kartki i zaczęła czytać.

Było to „pismo ze szpitala”, którego spreparowanie kosztowało go niemało wysiłku oraz kolejną lawinę kłamstw, jakie musiał opowiedzieć lekarzowi.

Lekarz ów był bratem ciotecznym Matiego i tylko dzięki pokrewieństwu oraz zapewnieniu, że dokument zostanie użyty w dobrej wierze, zgodził się wykraść stosowny formularz ze szpitala, w którym odrabiał staż. Ku własnemu niezadowoleniu musiał wypisać na nim straszliwe bzdury i jeszcze się pod nimi podpisać. Wymógł jednak na Mateuszu, by ten pokazał zaświadczenie jedynie tajemniczemu „komuś”, po czym odniósł mu papiery z powrotem, by wspólnie je zniszczyli.

Miało to być sprawozdanie z wizyty na izbie przyjęć, z którego wynikało, że pacjentka Karolina Wencel, lat dwadzieścia osiem, trafiła do szpitala w ciężkim stanie, wskazującym na wyczerpanie nerwowe. Głównymi objawami był słowotok, urojenia graniczące z psychozą, nadwrażliwość na światło, nadmierne pobudzenie oraz rozproszone myślenie. Potem następowały

skomplikowane wyniki morfologii, a na koniec widniało zalecenie, by udać się do specjalistycznej placówki psychiatrycznej w celu dalszej konsultacji.

Antonina skończyła czytać. Mati wbił ręce w kieszenie, jakby bał się własnego odruchu, że zaraz zechce wyrwać jej pismo z rąk. Na pieczętce widniał niewarszawski adres (brat cioteczny mieszkał i praktykował w Krakowie). Bał się, że ona zwróci na to uwagę. Strasznie już chciał dostać dokument z powrotem. By nie wykonać niekontrolowanego gestu, stanął do niej tyłem i pochylił cierpiętniczo głowę, obserwując jednak kątem oka jej twarz w wiszącym naprzeciwko lustrze.

Wreszcie położyła papiery na umywalce.

– To przykre... – Włożyła szlafrok. – Napijesz się kawy?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła do kuchni. Złapał kartki, złożył i natychmiast wsadził do wewnętrznej kieszeni marynarki. Poszedł za Antoniną, mówiąc głośno, by na pewno dosłyszała:

– Nie, dziękuję już za kawę. Nie mam już czasu, bo jutro wyjeżdżam. Muszę lecieć do domu i spakować parę rzeczy. No i zobaczyć, co z nią...

Nie odpowiedziała, za to słyszał, jak nastawia ekspres ciśnieniowy.

– Słyszysz mnie? Muszę jutro wyjechać...

– Tak, słyszę cię.

– Nie spytasz, dokąd wyjeżdżam? – Wszedł do kuchni i oparł się o framugę drzwi.

Krzętała się po kuchni bez słowa. Jej ruchy były spokojne i precyzyjne, a wzrok zdawał się skupiać na wykonywanych czynnościach. Ciasno spięte platynowe włosy podkreślały nieskazitelne piękno jej cery, świeżość warg, biel zębów. Na jego pytanie, zadane zresztą tonem niemal histerycznym, zastygła, po czym zatopiła w nim swoje, jak to Mati często mówił, „galwanizowane niklem” źrenice, i posłusznie spytała:

– Dokąd wyjeżdżasz?

– No właśnie ci tłumaczyłem, że źle z Karoliną. Że konieczne są dalsze badania w jakimś specjalistycznym ośrodku! Jutro jadę z nią do Münsteru w Westfalii. Tam mają doskonały szpital i sprawnie diagnozują różne skomplikowane schorzenia... Wiesz... – ciągnął, obserwując ją uważnie – ...w materii psychiatrycznej diagnoza jest niezwykle istotna. Czasem to trwa bardzo długo i ze szkodą dla pacjenta... Często wymaga wielotygodniowej obserwacji... Dlatego nie chcę, by musiała tkwić w obskurnym polskim ośrodku, jakkolwiek by patrzeć, dla czubków. Wiesz, jak to u nas wygląda. Niczym w siedemnastym wieku... Brakuje tylko przytapienia i prób ogniowych – dowcipkując, znów znalazł się na pewniejszym gruncie. Jego głos nabrał pewności, a dłonie gestykulowały komicznie.

– Oby nie było to nic poważnego – odparła, lejąc czarną kawę do małej filiżanki.

– Ze względu na nią bardzo bym tego nie chciał. Jednak gdyby ją na dłużej przymknęli...

– Mrugnął porozumiewawczo, stając za jej plecami i obejmując ją za szyję.

– Masz specyficzne poczucie humoru – rzekła bezbarwnym tonem, lekko luzując jego uścisk.

Nie był w stanie spojrzeć na siebie krytycznie, więc zdawało mu się, że podobna nonszalancja może budzić jedynie podziw.

– Wiesz, że żartuję – szepnął jej do ucha namiętnie, niezmiernie z siebie zadowolony. Na żarty z najważniejszych spraw życiowych mogli sobie pozwolić tylko ludzie wielkiego formatu. Niech Antosia wie, że on, poza nią i sobą, wszystko i wszystkich ma za nic.

– Zdaje się, że mówiłeś, że musisz już lecieć – przypomniała spokojnym głosem.

– Ach tak, faktycznie. Lot do Hamburga mamy jutro, bardzo wczesnie rano... – zaczął i cicho czekał, aż spyta, o której, by móc jej udowodnić, że zna dokładnie rozkład lotów i tym

samym uwiarygodnić kłamstwo. Niestety, nie zapytała. Tkwił tuż za nią, obejmując ją teraz za ramiona, lekko spięty, czujny. I ona stała sztywno, niechętnie poddając się niespokojnej wędrówce jego dłoni.

– Samolot mamy o dziewiątej trzydzieści, a potem wypożyczę samochód. Stamtąd jest jakieś sto kilometrów do Münsteru. Tam znajduje się ten osławiony szpital! Ciekawe, czy faktycznie Niemcy mają taką opiekę medyczną, jak się wszem wobec mówi...

Łagodnie odsunęła jego rękę, wzięła kawę i poszła do salonu. Usiadła z podwiniętymi nogami i wolno popijała, nie patrząc na niego.

– Ale seksownie wyglądasz! Chyba się zabiję! Tydzień z dala od ciebie!

No. Miał to za sobą. Przekazał wszystkie niezbędne informacje. I ma spokój, bo, po pierwsze, kochanka nie będzie mogła do niego dzwonić, było to oczywiste samo przez się. „Chora” Karolina mogłaby bardzo źle zareagować, gdyby Mati krył się z telefonem. Tak więc tylko on mógł się z Antosią kontaktować. I świetnie.

Po drugie, zapowiedział, że pobyt będzie tygodniowy, więc mógł spokojnie jechać na wakacje z żoną bez konieczności ciągłego wykradania się, by wykonać telefon. Musiał się trochę zrelaksować, bo... bo już nie dawał rady.

Teraz Antośka jest już przygotowana na przyjęcie za jakiś czas wiadomości o cyklofrenii. I uwierzy, a co więcej, nie będzie mogła żądać od niego żadnych drastycznych posunięć ani zmian.

Będzie zmuszona zaakceptować istniejący stan rzeczy. A on będzie uratowany. Uratuje swoje małżeństwo – nieskalane gniazdo prawidłowego rozwoju najmłodszego Wencla – a na dodatek zachowa swoją miłość i szczęście „osobiste”. Och, genialnie to wymyślił.

Powoli zaczynał zdawać sobie sprawę, że nie ma z tej sytuacji innego wyjścia. Jeszcze miesiąc temu, przed świętami, po serii domowych awantur znów na poważnie rozważał opuszczenie żony. Był naprawdę bliski wyznania jej wszystkiego, by definitywnie przeciąć ten węzeł. W ostatniej chwili jednak postanowił, na wszelki wypadek, skonsultować to z ojcem.

Jak się starszy na niego rzucił! Jak mu nawymyślał! Ponura wizja, którą przed synem roztoczył, przytłoczyła nieszczęsnego bon vivanta. Na każdy argument Matiego ojciec miał dziesięć przeciwnych, popartych przykładami. Według niego rozwodnik, który opuszczał własny dom, nie mógł już nigdy zaznać szczęścia. Był na zawsze stracony dla świata. Czyż mogło to być prawdą w dwudziestym pierwszym wieku? Czy para dorosłych ludzi nie jest w stanie się dogadać i wychowywać potomka wspólnie, mimo że mieszkają oddzielnie? Ojciec prychnął mu w twarz: „Kobieta nigdy ci tego nie daruje! Nie zobaczysz więcej dzieciaka!”

Czy mogło tak się stać w cywilizowanym państwie? W państwie prawa? Ojciec chyba tracił kontakt z rzeczywistością! Może tak było za jego czasów! Teraz przecież wszystko się zmieniło!

– Mateusz, co się tak trzęsiesz? – ostry głos Karoliny przywołał go do rzeczywistości.

– Słońce zaszło i zmarzłem! – Jednym ruchem poderwał się z leżaka. – Muszę wziąć gorący prysznic! Zaraz, zaraz... – Zerwał okulary i obrzucił ją zachwyconym spojrzeniem. – Ależ ty pięknie wyglądasz! Seksbomba z brzuszkiem! Opaliłaś się dzisiaj. I cudnie ci w tej zielonkawej sukni.

Mówiąc to, złapał ją za ramiona i oglądał z teatralnym zachwytem.

– Ale powiem ci, że nóż mi się w kieszeni otwiera, jak ten kelner gapi się na ciebie! Ci Sycyljczycy są tak napaleni! Niby widzą, że babeczka w ciąży, co tu, na katolickiej ziemi, powinno być świętością, ale południowe słońce tak uderza do łbów, że latają za babami stadami, niczym wygłodniałe sfory psów za suką...

– Mati, rozlewasz aperitif! Odstaw kieliszek albo nie machaj tak rękami! – Zaśmiała się,

zabierając mu kieliszek i wnosząc go do środka. Mąż natychmiast ruszył za nią i oblał wpół.

– Ale jesteś lepki! Umyj się, zaraz kolacja! Czekają na nas!

– Kto znowu?! – wykrzyknął zdumiony.

– Para Polaków! Miałaś rację, kiedy wczoraj mówiłaś, że słyszałaś polską mowę w restauracji. Trochę starsi od nas i mają trójkę dzieci, ale tutaj przyjechali sami. Sympatyczni, dobrze sytuowani ludzie. On jest prywatnym przedsiębiorcą. Bardzo chcą cię poznać!

– Droga Karolino, jeśli mogę po imieniu...

– Oczywiście, przecież tak ustaliliśmy. – Karolina delikatnie przesunęła kieliszek, by Mati nie zawadził o niego rękawem marynarki, zamasyżuje sięgając po chleb.

– Bardzo mi się podoba twój mąż! Jest czarujący! Świata poza tobą nie widzi!

Pani Grażyna Banasik wyszeptwała te słowa pochylona nad stolikiem, osłaniając usta dłonią, by zajęci rozmową mężczyźni nie mogli jej usłyszeć. Myliła się jednak, sądząc, że słowa te nie dotarły do męża nowej znajomej.

A ten, czujny jak tropione zwierzę, najwyraźniej obdarzony był podzielną uwagą.

Natychmiast przerwał prowadzoną rozmowę i zawołał do żony ze śmiechem:

– A widzisz! Tylko ty mnie nie doceniasz! – Po czym chwycił jej rękę i przycisnął do ust.

Pani Banasik patrzyła na to z rozrzewnieniem, lecz pan Banasik, obdarzony nieco większą zdolnością obserwacji niż jego dobroduszna żona, spuścił oczy i zajął się konsumpcją *vitello tonnato*.

– Doskonała ta cielęcina – ocenił, zagłuszając małżonkę rozplywającą się nad „uroczą, przeszczęśliwą parą”. – Tylko Włosi umieją dobrze przyrządzić to danie. Pamiętasz, kochanie, jak jedliśmy je u nieszczęsnego Vittoria? Ależ on zna się na jedzeniu! Vittorio to mój neapolitański dostawca najtańszego obuwia, które sprzedawałem w Polsce z potrójną przebitką – wyjaśnił lekko rozkojarzonemu Wencłowi. – Dzięki niemu zarobiłem pierwszy solidny grosz.

– Ach, cudowne lata dziewięćdziesiąte! – natychmiast zakrzyknął Mateusz. – Gdybym był o dziesięć lat starszy, ja też już bym się dorobił i nie musiałbym harować jak wół w korporacji. Mielicie szczęście z tą transformacją. My, szczawie, jeszcze mieliśmy mleko pod nosem, kiedy pieniądze leżały niemal na ulicy. Trzeba było tylko po nie sięgnąć.

– Przesada, drogi panie Mateuszu! Gdyby to było takie proste, mielibyśmy dziś samych milionerów.

– Ale któż twierdzi, że to było proste! – sprostował Mati natychmiast. – Pan z pewnością ma żyłkę biznesową. O sobie niewiele umiem powiedzieć w tej materii, gdyż jeszcze nie miałem okazji spróbować – od zawsze pracuję u kogoś, bo tak najłatwiej. Ale wiem na pewno, że mogę się pochwalić nie lada sprytem. Patrzcie państwo, jaka piękna żona mi się trafiła!

– Pierwszy raz się z panem zgadzam! – Banasik uśmiechnął się kwaśno, umoczył kawał chleba w sosie z tuńczyka i gdy przełknął, szybko dodał: – Ale nie myśli pan chyba, że ja już odcinam kupony? Biznes sam się nie kręci, jak się go nie dogłąda!

– Jednak bycie na swoim musi być miłe – komplementował go Mati, zezując na bok. Sąsiednie stoliki obsługiwała ognista czarnula o gęstych brwiach i bujnych piersiach. Pełna i śniada, rzucała Matiemu na wpół oburzone, na wpół prowokujące spojrzenia.

– Na pewno dobrze jest nie mieć nad sobą szefa – przytaknął Banasik, upijając łyk tancredi. – Mmm, doskonałe to wino...

– Dla niego tu przyjeżdżamy! – zawołał Mati niemal serdecznie. Był miło zaskoczony towarzystwem Banasików. Doprawdy, spodziewał się chamów i prostaków, a tymczasem... Nie do wiary! Kulturalni Polacy na obczyźnie to jak czterolistna koniczyna!

– Ma charakterystyczny posmak dzięki lukrecji – ciągnął przedsiębiorca. – Zamawiam to

wino przez Internet!

Lukrecja?! Śmiech na sali! Jednak pretensjonalny pozer! Mati nie wierzył, by tamten aż tak znał się na winach... Wszystko to wiedza z podręczników. W Polsce nie było prawdziwych koneserów win.

– Doprawdy? Fenomenalnie! Karolciu, my też tak musimy. – Mati złożył na policzku żony czulego całusa, rzucając w tym samym czasie długie spojrzenie paradyżującej przed nimi sycylijskiej kelnerce. Prawie Monica Bellucci, niech ją licha!

– Wracając do prywatnego biznesu, drogi panie Mateuszu... – Banasik obserwował go dyskretnie, jednocześnie podając żonie bułeczki – ...mam z tym same kłopoty. A już handel z Włochami to prawdziwe utrapienie! Niesłowni awanturnicy, tak bym ich podsumował!

– A to dziwne! – Mateusz usiłował skupić wzrok na poważnej twarzy rozmówcy, lecz oczy uciekały mu w bok, w stronę drzwi do kuchni, za którymi zniknęła dziewczyna. – Zawsze myślałem o Włochach jako o cwanych profesjonalistach. Cwanych, ale z polotem.

– Bo tak jest – wtrąciła ze śmiechem pani Grażynka. – Czego jak czego, ale polotu to im nie brak! Ten wspomniany Vittorio, panie Mateuszu, to naprawdę niezłe ziółko. W Neapolu miał żonę, a w Warszawie...

– Drugą żonę. Bigamista po prostu – uzupełnił pan Banasik, komicznie ściągając wargi.

– Mąż przesadza, ale faktycznie prowadził dwa domy. Aż do czasu, kiedy Włoszka nie poszła po rozum do głowy. Taki numer mu wycięła, że do dziś się nie pozbierał. Tamta firma była zarejestrowana na nią... i wszystko mu zabrała! Ogołiła go do zera. – Pan Banasik śmiał się, kiwając kelnerowi, że można zabierać talerze. – Uch, miałem przez niego ciężki rok. Wisiał mi facet kilkadziesiąt tysięcy złotych, ale nie miał skąd ich wziąć, chłopina. Do zera go ogołiła wredna kobietka!

– Wredna? – oburzyła się ze śmiechem pani Banasik. – To samo byśmy zrobiły na jej miejscu! Prawda, Karolino?

Konwersacja lekko przygasła, gdyż młodsze małżeństwo nie kwapiło się, by podjąć temat. Szczęśliwie przyniesiono drugie danie – kotlety jagnięce w sosie miętowym. Ochoczo zabrali się do jedzenia, a tematem stała się projektowana przez państwa Banasików wyprawa na Wyspy Liparyjskie, zwane też Eolami. Mati, przed chwilą przygaszony, ożywił się nieco, słysząc o wyspach budzących u niego tyle tęsknych skojarzeń.

– Lipari to jedna z wysp, na której znalazł się Odyseusz – odezwał się dziwnym, bezdźwięcznym głosem. – Gdyby nie cięża Karolci, dołączylibyśmy do państwa.

– Odyseusz to ostatnio ulubiony temat mojego męża – natychmiast wtrąciła Karolina, po czym, widząc spojrzenie Mateusza, dodała, śmiejąc się: – No tak, kochanie! Już drugi raz tu o nim wspominasz...

– A cóż takiego robił tu ten Odyseusz, niech pan nam przypomni – natychmiast zainteresował się przenikliwy pan Banasik. – Niech pan wybaczy prostemu przedsiębiorcy jego ignorancję!

– A pływał w tę i we w tę, szukając swojej Itaki. Kiedy przepływał między Scyllą a Charybdą, dwoma mitycznymi potworami, mającymi ponoć żyć całkiem niedaleko stąd... – Mati niedbale wskazał głową północny zachód – ...w Cieśninie Messyńskiej, te potwory go zaatakowały... Stracił sporo ludzi... Ekhem, ekhem. Tak więc chętnie bym z wami popłynął na Eole, ale żona nie wytrzyma tego kołysania. O, cóż widzę! Deser. I to tiramisu.

Po skończonej kolacji starsze małżeństwo zapraszało młodych do siebie, na taras. Proponowało doskonałe whisky, lecz Karolina był zmęczona, a i Mateusz dość miał towarzystwa na dzisiejszy wieczór. Pożegnali się skwapliwie i czym prędzej zjechali windą do swojego apartamentu.

Mati, dziwnie wykończony, otworzył drzwi na taras, oparł się o balustradę i głęboko wdychał zapach azalii. Tuż pod nimi znajdował się miniaturowy, bujnie zadrzewiony park. To stamtąd pachniało tak słodko... Powietrze było ciepłe, otulało niczym najdelikatniejszy balsam.

Na morzu błyskały światła statków, a w dole szerokim pasem skrzyło się rozjarzone tysiącem światełek nadbrzeże, ciągnące się daleko, w stronę Katanii i niewidocznych stąd Syrakuz.

Na niebie pozapalano już wszystkie przewidziane na tę noc gwiazdy. Lśniły i migotały, jedna przy drugiej. Bóg nie żałował im dziś energii, oj nie... Krajobraz był kojący, Mati sycił więc nim wzrok, bezskutecznie usiłując wytłumić niemiłe uczucie niepokoju. Historia o Włochu wykończonym przez własną żonę podrażniła go do żywego. Przez chwilę miał wręcz wrażenie, że stary spryciarz opowiedział ją specjalnie. Widział zapewne, że Mati wodził wzrokiem za czarnulką.

Cóż to, patrzeć już nawet nie można?

Tymczasem korciło go, by zatelefonować choć na chwilę do Antosi. Wczoraj wieczorem nie odebrała. A szkoda, bo okazja była idealna – Karolina poszła zwiedzić zabytkowy kościółek. Nie było jej ponad godzinę i przez całą tę godzinę Mateusz wybierał numer Antosi kilkanaście razy. Szkoda, po prostu szkoda.

Niby zapowiedział jej, że z „Niemiec” nie będzie dzwonił w ogóle... Nie musiał więc psuć sobie krwi, latając jak kot z pęcherzem w poszukiwaniu ustronnego zaułka. Mógł spokojnie zostać tu, gdzie stał. Poczekać, aż Karolcia się wykąpie i wyjdzie do niego. Odwrócił się w stronę wnętrza apartamentu i nastawił uszy. Woda lała się obfitym strumieniem, żona była więc pod prysznicem. Nim się wygramoli, wytrze i wyjdzie, minie dobre piętnaście minut. Aż żal nie wykorzystać tego czasu. Zresztą, nawet gdyby zakręciła wodę, wewnątrz apartamentu szumi klimatyzacja, więc nie usłyszałyby rozmowy prowadzonej na tarasie.

Z drugiej strony, gdyby krzyknął jej teraz, że leci na chwilę na dół po papierosy (specjalnie wcześniej ich nie kupił, przygotowując sobie taką furtkę, w razie gdyby zaszła potrzeba), mógłby porozmawiać z Antosią swobodniej, spokojniej, bez nerwowości, bez wsłuchiwania się w odgłosy z łazienki. I był jeszcze jeden aspekt, do którego niechętnie przyznawał się przed sobą. Gdyby wyszedł z hotelu, mógłby podejść do kawiarenki w centrum, gdzie urocza Sycylijka dorabiała po godzinach. Wczoraj ją tam widział, podawała do stolików... Mógłby napić się z nią kawy, ochłonać chwilę od horroru (horroru?!) szamotania się między dwiema kobietami...

Usiąść z dziewczyną przy stoliku, pogwarzyć, pośmiać się... by życie miało jeszcze jakiś smak.

Stał niezdecydowany, spięty, obracając w palcach płaski telefon. Co robić? Jeśli dzwonić stąd, to teraz, nim Karolina zakręci wodę!

A jeśli wychodzić – to też natychmiast. Puknąć tylko w drzwi łazienki, zawołać o papierosach. Nim żona wysunie głowę z łazienki, dopytując się, gdzież znów się wybiera, on będzie w połowie drogi. Już nie dosłyszcy jej wołania...

Stanął jedną nogą w środku, by lepiej słyszeć, co się dzieje w łazience i dzięki temu łatwiej podjąć decyzję... I gdy stał tak jak skamieniały, paraliżowany możliwością wyboru, miętosząc telefon, nagle drzwi łazienki otworzyły się z impetem i wysunęła się stamtąd okręcona turbanem głowa Karoliny.

– Mati, nie wybierasz się po coś na dół? – zawołała, mrugając oczami. Z łazienki wydobywały się kłęby pary. – Przynieś mi, proszę, mały kubeczek lodów czekoladowych! Mam dziką chęć na lody!

O fortuna najszczodrzejsza! O cudowny zbiegu okoliczności!

Schowwał za siebie telefon i szybkim ruchem wsunął do tylnej kieszeni spodni. Potem podszedł do żony, pozornie poirytowany, ostatnim wysiłkiem woli tłumiąc chęć podskoczenia do góry z radości.

– Teraz mam iść? – mruknął, pozorując niezadowolenie. – No dobra, dobra...

Pół minuty później sfruwał po schodach, w duchu wyrzucając sobie, że nie umył zębów. Potem, niemal biegiem, puścił się przez kręte, kamienne uliczki. Noc była piękna, więc pogodni, przyjaźni ludzie wychodzili z domów. W małych ogródkach migotały pozapalane lampiony.

Świecek ustawiano nawet na kamiennych schodkach lub bezpośrednio na ulicy. Powietrze było słonawe, ciepłe, obiecujące.

Szedł szybko w stronę znajomej kawiarenki. Uliczka dochodząca do rynku była prawie pusta, lecz by być pewnym swego, skręcił w bok i puścił się kamiennymi schodami w dół, aż do ustronnego skweru, z którego roztaczał się bajeczny widok na morze. Najpierw dokładnie zlustrował okna otaczających skwer domów. Większość zasłonięta była drewnianymi okiennicami, tylko w kilku paliły się światła.

Mogli tam mieszkać tylko miejscowi. Szybko wyciągnął telefon i wybrał numer Antosi, który dla niepoznaki wyświetlał się jako „prezes Kozłowski”.

Z bijącym sercem i gonitwą myśli, które szybko poddawał logicznej obróbce, wsłuchiwał się w sygnał telefonu. Nie odbierała...

Znow wybrał jej numer i czekał, wierząc butem w wyschniętej glinie. Nie odbierała. Ulicą prowadzącą do placu musiała przejść gromadka ludzi – słyhać było wesoły śmiech i melodyjną włoską mowę.

Skrajnie zdenerwowany, zadzwonił po raz trzeci. Słyhać było tylko niekończący się sygnał. A to suczka. Podła, wodząca go za nos suczka. Wściekły, kopnął mały kamyk, który potoczył się z grzechotem.

Miała zamiar się mścić? A cóż zamierzała osiągnąć? Z jednej strony czuł rozczarowanie i wściekłość, lecz gdzieś w głębi duszy majaczyła dziwna ulga.

Świetnie. Jeśli ona chce to tak zakończyć, czemu nie? On robił niemal wszystko, by utrzymać ich związek. Dokonywał nadludzkich starań, by mimo niesprzyjających okoliczności stworzyć im choć pozory normalności. Kombinował jak koń pod górę, by wykraść dla niej każdą wolną chwilę. Zaniedbując przy tym dom, żonę i ryzykując karierę, gdyż wciąż pakował się w niebezpieczne, dwuznaczne sytuacje. To on miał mnóstwo do stracenia, a ona nie ryzykowała niczym! Niczym!

Otępiąły, ruszył w stronę rynku. Mijali go roześmiani ludzie. Pozdrawiali go, zwracając się do niego po włosku. Odpowiadał im machinalnie, z trudem przywołując na twarz wesoły uśmiech.

Z wolna odzyskiwał nad sobą panowanie. Jeśli tak to miało wyglądać, proszę bardzo. Nie on zrywa, nie on to kończy.

Nie kochała go dość mocno, jeśli nie mogła znieść faktu, że moralny obowiązek nakazywał mu leczyć chorą żonę! W głuchym gniewie zapomniał, że choroba żony była wierutnym kłamstwem. Bo jeśli faktycznie Karolina byłaby chora, czyż nie miałby obowiązku być przy niej? Wszak ślubował jej. W zdrowiu czy w chorobie. Jeśli Antonina była na tyle niecierpliwa, by zrywać wszystko, znając sytuację (choćby zmyśloną, lecz przecież ona o tym nie wiedziała), to czy warto było wywracać życie do góry nogami, by być z nią?

Wpaść z deszczu pod rynną?

Jeśli tak się sprawy miały, tym lepiej. Czy czuł ulgę? Ależ skąd! On, który zrobił niemal wszystko, by pozostać z kochanką, miałby teraz czuć ulgę? Cóż za niecny głos podszeptował mu podobne zarzuty!

Nogi same doprowadziły go do gwarnej trattorii. Już z daleka widział hożą włoską piękność. Usiadł przy ustronnym stoliku i rozparł się przesadnie, pozorując nonszalancję. Dziewczyna dostrzegła go, widział wyraźnie, jak obrzuciła go szybkim spojrzeniem, po czym natychmiast zniknęła w środku.

Kazała mu czekać dobre dziesięć minut, nim zbliżyła się kołyszącym krokiem do jego stolika. Pod światło widział jej kuszące kształty. Stała bardzo blisko, powoli kładąc na stole menu. Uśmiechnął się do niej, lecz był jak ogłuszony natłokiem myśli o potencjalnym zerwaniu z Antoniną.

Gdy spytała, czego sobie życzy, natychmiast zagadnął, o której będzie wolna. Gdy z szelmowskim uśmiechem, łamaną angielszczyzną powiedziała, że dziś pracuje do ostatniego gościa i że dopiero potem mogą iść na mały spacer, przyjął to niemal z ulgą. Nie było jeszcze dziesiątej, a czekanie do ostatniego gościa było wykluczone, o czym poinformował ją z przesadnym rozżaleniem. W zasadzie dzisiejszego wieczoru wystarczyła mu pewność, że była chętna pójść z nim.

Napawał się tą świadomością niczym zaszyty alkoholik wachający bimber, którego nie może już spożyć. Poflirtował z nią chwilę, wypił małą kawę, mamił ją perspektywą jutrzejszego wieczoru, nie obiecując jednak niczego konkretnego, po czym niechętnie powłókł się w stronę hotelu, niosąc w rękę papierową torbę z kubelkiem lodów czekoladowych.

Jeśli Antonina sama mu to ułatwia, tym lepiej, tym prościej. Choć myśli, że już nie będą się widywać, nie mieściła mu się w głowie...

Gniew mieszał się wszakże z poczuciem dziwnej ulgi. Mati miał w duszy taki zamęt, że nie zauważył nawet państwa Banasików, którzy najwyraźniej od dłuższego czasu szli za nim w pewnej odległości, wracając z wieczornego spaceru. Dopiero gdy zrównali się z nim przed samym wejściem do hotelu i pan Banasik zaczął żartować z zachcianek ciężarnych kobiet, Wencel ze zgrozą uświadomił sobie, że jego dłuższa pogawędka z kelnerką nie mogła pozostać niezauważona. Wszystkie drogi do hotelu wiodły przez rynek.

Niczego nie dał po sobie poznać, lecz poczuł tak silne znużenie ciągłym zaszczuciem, że natychmiast po wejściu do pokoju rzucił się na łóżko i zapadł w ciężki sen.

Nowy ślad

Stara winda z brzękiem żelastwa zatrzymała się na dziesiątym piętrze. Agnieszka popchnęła metalowe drzwi i starając się nie hałasować, szybko odnalazła kontakt na brudnej, pociągniętej szarą lamperią ścianie. Jej oczom ukazał się długi, ponury, skąpo oświetlony korytarz. Szła szybko, starając się nie patrzeć w lewo, gdzie musiała minąć ciemną czeluść klatki schodowej.

Zdarzało się, że na schodach, tuż pod wyjściem na dach, gromadzili się lokalni blokery. Pili wódkę, a w mroku widać było jedynie żarzące się końcówki papierosów. Odór ich brudu, potu i jeszcze czegoś szczególnego, niedającego się nazwać, a budzącego skojarzenie z żyzną ziemią lub szklarnią, działał na Agnieszkę paraliżująco. Często ją zaczepiali, lecz ponieważ była miejscowa, a w dodatku raz pomogła wydobyć z aresztu sławetnego pana Młynarskiego, ojca jednego z nich, teoretycznie miała u nich chody. Nigdy nie byli zbyt agresywni. Niby więc nie miała się czego bać.

Pan Młynarski, najbliższy sąsiad Agnieszki, wielki bydlak dobrze po czterdziestce, był kierowcą wiekowego kamaza, na stałe parkującego za ich blokiem. Gdy nie był w sztok pijany, leżał pod tym kamazem i całymi godzinami dłuwał w podwoziu. Czasami jechał nim „na robotę”. Nie było go wtedy przez kilka dni i wtedy na dziesiątym piętrze panował względny spokój. Jedynymi dźwiękami zakłócającymi nocną ciszę były rechoty młodocianych wyrostków.

Jednak ekscesy młodziaków były niczym w porównaniu z tym, co wyczyniał stary Młynarski, gdy wracał do domu z zarobioną gotówką. Pierwszą słyszalną przez cienką ścianę oznaką przyływu pieniędzy były odgłosy imprezy. Z różnych pięter ciągnęły do Młynarskich rozmaite szumowiny. Zawsze zaczynało się niewinnie: śmiechy, muzyka, a czasem nawet odgłosy tańca. Finał jednak zawsze był identyczny. Po dwóch godzinkach coraz głośniejszych rechotów i krzyków słychać było pierwsze odgłosy wskazujące na różnicę zdań między gośćmi.

Wrzaski i pohukiwania stawały się mniej wesołe, a bardziej zaczepne, aż w końcu agresywne, wściekłe. Nieraz w takich chwilach wyróżniał się pojedynczy głos, bełkotliwie usiłujący przyprowadzić pozostałych do porządku, najwyraźniej optujący za polubownym rozstrzygnięciem konfliktu. Lecz był on zakrzykiwany przez kilka innych, bulgoczących, mętnych, pełnych pijackiej furii.

Potem dawały się słyszeć pierwsze odgłosy szamotaniny i jakieś głuchoe dźwięki. Wtedy Aga głośniejsz nastawiała telewizor albo zakładała na uszy słuchawki. Gdy była z jakimś chłopakiem, chowali się pod kołdrę, a jej gość zwykle robił sobie żarty, Agnieszka zaś udawała, że się śmieje.

Jednak nie śmieszyło jej to. Nigdy. Pijackie krzyki przywoływały zbyt dużo wspomnień. Odgłosy awantury narastały, słychać było brzęk bitych talerzy, dzikie wrzaski, odgłosy kopania oraz jeszcze gorsze, tępe, jakby ktoś uderzał kogoś czymś ciężkim. Za każdym razem serce Agi wpadało w niespokojny rytm, którego nie mogła potem uspokoić aż do sinego świtu, zakradającego się poprzez zasłony z Ikei, zasłaniające ohydny obraz za oknem. Brudne, szerokie torowisko, za nim opustoszałe hale z powybijanymi szybami i dzikie chaszcze, kryjące koszmarnie tajemnice. A na tle tego wszystkiego, na horyzoncie, zarys warszawskich drapaczy chmur.

Teraz szła korytarzem szybko, a przez głowę przebiegały jej niespokojne myśli. Na klatce nikogo chyba nie było. Z łomoczącym sercem dotarła do swoich drzwi i szybko je otworzyła. Potem wślizgnęła się do ciemnego mieszkania i błyskawicznie zasunęła zasuwkę.

Oddychała chwilę w absolutnej ciemności, opierając czoło o obciążone skajem drzwi, po czym przesunęła dłonią po ścianie, szukając włącznika. Światło zalało sterylnie czystą, prosto

urządzoną kawalerkę.

Zsunęła buty, zdjęła płaszcz, powiesiła go w jasnej, drewnianej szafie, mieszczącej całą jej garderobę. Przelotnie zerknęła na wiszące tam futro, musnęła je dłonią i szybko zamknęła drzwiczki. Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Paweł. Paweł i jego wyobrażenie o świecie. Długo by nie pożyła, gdyby paradowała tutaj w takich ubraniach. Futro budziłoby u nich jednoznaczne skojarzenia. Samotna, niezamożna dziewczyna chodząca w prawdziwym futrze! I mimo że Aga była wolna od uprzedzeń, jakoś nie mogłaby znieść myśli, że wołano by za nią „puszczalska”. W Pawła świecie to było nie do pomyślenia (przynajmniej jawnie), tu – na porządku dziennym. I choć w głębi przekonana, że natura ludzka jest wszędzie taka sama – może być jedynie powleczone cienką warstwą kurtuazji – przez chwilę żałowała, że sytuacja losowa zmusiła ją do zamieszkania w tej części Targówka.

Szybko podeszła do okna i zasunęła żaluzje, a potem włączyła światło. Pokój urządzony był z surową prostotą – tylko biurko, na nim komputer. Pecet, zwyczajny, ale za to z gigantyczną pamięcią i superszybkim łączem. Obok prosta lampa, drewniane krzesło, jasne łóżko, idealnie wprost zasłane. Aga organicznie nie znosiła brudu. Nie znosiła go tak bardzo, że nawet gdy wracała z pracy padnięta, szorowała mieszkanie ostatkiem sił. Często do późnych godzin nocnych.

Na ścianie półki pełne segregatorów z uczelni. Niewiele książek – Agi nie stać było na własne, większość wypożyczała z biblioteki.

Wychodząc z pokoju, włączyła komp.

Łazienka pokryta była starymi, szarymi kafelkami, jednak wyszorowanymi tak, że niemal lśniły. Na podłodze leżał nieskazitelnie biały dywanik. Aga pochyliła się, by napełnić wodę do wanny. Potem wrzuciła koszulę do pojemnika na brudne ubrania, a spodnie zawiesiła na wieszaku.

W samym staniku i majtkach wróciła do pokoju, który służył jej i za salon, i za sypialnię. Usiadła do komputera, machinalnie zapalając papierosa, a potem tą samą zapalką dwie świece pochłaniające dym. Szczupła i śniada, z wijącymi się wokół twarzy krótkimi, czarnymi włosami, zamarała dziwacznie powyginana, wlepiając wzrok w ekran, czekając, aż włączy się Outlook.

A jednak! Przyszła nowa wiadomość. Odpowiedź, na którą czekała. Zaciągnęła się mocno i otworzyła e-mail.

Szanowna Pani,

Nie mam nic do powiedzenia we wspomnianej przez Panią sprawie. Jestem tylko anonimowym obywatelem miasta Pabianice, zatroskanym wszechobecną korupcją i lodami, które kręci prezes, ale o tym wiedzą wszyscy, a ja wiem tyle samo, co inni. Proszę mnie więcej nie niepokoić, bo nie wiem nic więcej nad to, co piszę w moim blogu. Moje zarzuty opierają się na zwykłych obserwacjach. Nie chcę żadnych kłopotów!

Z poważaniem,

Lolek

Przez chwilę siedziała jak oniemiała. Dwa dni temu, po przegranej rozprawie, ze zdwojoną mocą podjęła śledztwo, które przez ostatni miesiąc zaniedbali.

Wprawdzie Paweł się z tym nie zgadzał, ale ona była pewna, że jedynym sposobem na wygranie sprawy w drugiej instancji było pokazanie sądowi CAŁOŚCI. KOMPLETNEJ CAŁOŚCI tej daleko sięgającej afery. Udział Kwaśniaka, Wędzichy oraz – ale dopiero na sam koniec – Zagajewicza, który przy tamtych okazywał się tylko płótką. Może Aga była niedoświadczona, może naiwna, ale intuicja podpowiadała jej, że gdy sędzia zobaczy wszystkie aspekty sprawy, zrozumie oczywiste powiązanie między przelewem od Wędzichy a związkami

Wędzichy z Kwaśniakiem.

Och, gdyby zdobyła choć jeden dowód na samego Kwaśniaka. Paweł miał rację – bez tego ani rusz. Sąd bazował na dowodach, nie poszlakach...

Przez dwie ostatnie noce przekopywała Internet – niewyczerpane źródło informacji. Wpisywała nazwy spółek, ludzi, miejsc. Posprawdzała wszystko, co mogła. W końcu na ostatniej z wyświetlonych stron odnalazła osobliwego bloga piłkarskiego, rzecz jasna anonimowego, w całości poświęconego wytykaniu nieprawidłowości prezesa Wędzichy i machlojek związanych z jego klubem piłkarskim. Nie znalazła go wcześniej, gdyż nie szukała niczego pod kątem działalności sportowej Wędzichy!

W blogu nie było wprawdzie niczego, na czym można by się było oprzeć... Klasyczne wiadra pomyj wylewane anonimowo na prezesa, który źle zarządzał klubem. Posądzenia o korupcję, o kupowanie meczów.

Blog miał mało odwiedzających i jego autor o nicku^[72] Lolek nie pisał tam nic nowego, ale był tak cięty na Wędzichę, że Agę to zainteresowało. A nuż facet wiedział coś więcej?

Poza tym ciekawe było, że blog zawieszony był na amerykańskim serwerze. Zapewne szczelnym. Wynikałoby z tego, że autor obawiał się, by ktoś go nie odnalazł.

A więc w Pabianicach faktycznie bano się Wędzichy.

Szczęśliwie blogger podał adres mailowy, na który można było do niego pisać. Agnieszka wysłała wiadomość ze swojego anonimowego adresu, gdzie posługiwała się fałszywym imieniem i nazwiskiem. Napisała, że ona też ma sprawę do pana prezesa i że szuka na niego dowodów obciążających w sprawie zagranicznych spółek, mających udziały w gigantycznej firmie deweloperskiej, którą komuś wcisnął, okradając ją uprzednio z dużej ilości pieniędzy. Jednak blogger odpisał, co odpisał... Może się przestraszył... Nic dziwnego. Może jednak warto było spróbować jeszcze raz. Z papierosem w zębach wystukała:

Szanowny Panie,

Proszę się nie obawiać, nie jestem dziennikarką, tylko prawnikiem z Warszawy. Nikt w Pabianicach nie chciał ze mną mówić, wszyscy się boją! Ten człowiek najprawdopodobniej wrobił mojego klienta, jednak bez pomocy nie będę mu w stanie niczego udowodnić. Może coś się Panu obilo o uszy? Może wie pan o kimś, kto wie coś o Wędzisz i faceta nie lubi! Czasem nawet niepozorna informacja może naprowadzić na główny ślad. Zaręczam Panu własnym honorem, że jeśli poda mi Pan cokolwiek, na czym mogłabym się oprzeć, nigdy nie wyjawię Pana jako źródła. Zresztą, nawet gdybym chciała (a nie chcę!), nie mogłabym, gdyż ma Pan adres na szczelnym portalu. Jest Pan anonimowy i bezpieczny! Proszę podać mi cokolwiek, co doprowadzi mnie do tego człowieka: ludzi, z którymi pracował lub z którymi się kumpluje. Cokolwiek! To właśnie przez strach współobywateli ten człowiek jest bezkarny! Niechże się pan nie obawia!

Z wyrazami szacunku,

Tola

Potem weszła do wanny i leżała w niej, patrząc w sufit. W końcu zanurzyła się cała wraz z głową i leżała tak parę sekund. Potem umyła włosy. Szybko, ale dokładnie, po czym znów wygodnie rozciągnęła się w niewielkiej, wyszorowanej do białości wannie. Wyszła dopiero wtedy, gdy woda zrobiła się letnia. Nie zamierzała dopuszczać ciepłej. Miała wyliczony każdy grosz.

Okręcona ręcznikiem, z papierosem w ustach i z turbanem na głowie, znów usiadła do komputera. Sprawdziła pocztę. Facet nie odpisał. Zerknęła na zegarek. Było dwadzieścia po dziewiątej. Miała jeszcze trochę czasu, by posprzątać, a potem jeszcze raz sprawdzi maila, tuż przed snem. Poszła więc do kuchni, gdzie wyszorowała dokładnie stół po śniadaniu. Rano nie miała już na to czasu, tak się spieszyła do kancelarii...

Włączyła telewizor, po czym natychmiast go przyciszyła. Nadawali jakiś idiotyczny „szoł”, więc czym prędzej odwróciła wzrok. Poszła do kuchni i wyjęła z lodówki resztkę żółtego sera. Odcieła wyschnięte brzegi, skroiła go i położyła na kanapkę.

Nastawiła wodę na herbatę i czekając, aż się zagotuje, ostrożnie rozsunęła dwoma palcami żaluzje. Przez tory z turkotem sunął pociąg towarowy. Odprowadziła go wzrokiem. Lubiała patrzeć na pociągi.

Zamknęła żaluzje, zalała herbatę, po czym natychmiast umyła łyżeczkę. Irytowało ją, gdy coś nie leżało na swoim miejscu. Wpędzało ją to w poczucie paniki, braku kontroli. Wzięła kanapkę i herbatę i postawiła na biurku. Wyciągnęła nogi obok klawiatury, oparła się wygodnie, położyła talerzyk na kolanach i zaczęła jeść, nie odrywając wzroku od ekranu monitora.

Czekała na wiadomość. Jeśli tamten był zapalonym blogerem, siedział o tej porze przed swoim kompem gdzieś w pabianickim blokasie. Z okna miał pewnie podobny widok jak ona. Ponury i beznadziejny. Po cóż miałby jej odpisywać? Po co miałby się narażać? Może wiedział znacznie mniej od niej o możliwości wysledzenia kogoś po adresie mailowym. A może więcej?

Odłożyła w połowie niedojedzoną kanapkę i natychmiast zapaliła papierosa, popijając czarną kawę. Człowieku, człowieku, rusz się... Daj znać... Odpisz... Jeżeli chcesz zmienić swój los, rusz tyłek i napisz. Inaczej będziesz tylko anonimowym frustratem, wylewającym żale w cyberprzestrzeni. Żyjemy tylko raz... Pijąc i paląc, oglądała plan Pabianic, szukając nazw osiedli mieszkalnych i próbując dopasować je do tego, co wyczytała na blogu.

Bugaj. Piaski. Ładne nazwy, kryjące pod sobą brzydkie obrazy. Szare, betonowe klocki, małe spożywczaiki, solarium, turecki kebab i chińczyk. Trzepaki, a wokół nich garstka młodzieńców. Chyba każdy obdarzony zmysłem estetycznym chciałby stamtąd prysnąć do lepszego świata...

Napisz coś. Bądźże choć raz człowiekiem. Walczysz z Wędzichą anonimowo i chwala ci za to, ale teraz pokaż, że masz jaja. Napisz coś.

Wypaliła papierosa, czytając historię Pabianic. Miasto z gigantyczną historią, ale zdewastowane przez komunę. Przed wojną jedna trzecia Żydów, po wojnie sto procent wyznania rzymskokatolickiego. Same kościoły i supermarkety. Boże.

Odepchnęła się od biurka i poszła uchylić okno, aby wywietrzyć przed snem. Nie znosiła spać w smrodzie, ale nie mogła palić na miniaturowym balkoniku, w który wyposażony był jedyny jej pokój.

Nie mogła tam palić, bo panicznie bała się wysokości.

Potem wróciła do biurka i właśnie z wahaniem sięgała po myszkę, by wyłączyć komputer, gdy w dole ekranu ukazał się dymek oznajmiający nadchodzącą wiadomość.

– A niech mnie!

Drżącymi rękami kliknęła na Outlooka. Wiadomość od Lolka! A to dopiero! Natychmiast znów zapaliła i błyskawicznie otworzyła plik.

Kochana Pani,

Zarzuca mi Pani strach, siedząc sto kilometrów stąd, zapewne w luksusowym mieszkanku, jak to prawniczka ze stolicy. Niech mi Pani nie pieprzy o odwadze cywilnej! Proszę się ode mnie odczepić, bo ja nie chcę więcej kłopotów!

Żegnam

Lolek

Och, Paweł miał rację! Oni wszyscy potwornie się bali. Stała zdenerwowana, z papierosem w ustach, nie wiedząc, co począć. Po chwili rzuciła się do klawiatury i napisała:

Dobry Człowieku,

Jestem prawnikiem, ale też jestem biedna jak mysz kościelna. Nie mam więcej niż Ty i to

ja będę ryzykować, ale nie chcę, nie mogę pozwolić, by taki komunistyczny skurwiel się panoszył i zastraszał ludzi. A teraz wysyłam Ci zdjęcie z datą jego zrobienia. Będą tam tylko moje nogi, żebyś zobaczył, że jestem babką (a nie tajniakiem Wędzichy). Będzie też widok z mojego okna – z okna bloku na inne blokasy, żebyś zobaczył, że nie jestem żadną bogatą cwaniarą, chcąc Cię wykorzystać! Zobaczysz również Pałac Kultury – to dowód na to, że jestem z Warszawy!

W tym miejscu zastanowiła się przez chwilę. Paweł uparcie twierdził, że wszyscy są interesowni... Nie zgadzała się z tym, ale nie zaszkodzi spróbować... Dopisała:

Jeśli informacja, którą podasz, pomoże w moim dochodzeniu, wyślę Ci przelew w wysokości 10 000 złotych najszybciej, jak tylko będę mogła! Pieniądze nie będą moje, bo aż tyle nie posiadam. Ale sprawę prowadzę z zamożnym mecenasem, a on hojnie wynagrodzi każdego, kto mógłby nam pomóc. Natomiast jeśli Twoja informacja nam się nie przyda, i tak zapłacę Ci kasę – z moich własnych oszczędności. Niech to będzie 2000 złotych. Jeśli nie chcesz podać mi konta bankowego albo go nie posiadasz, zrobię Ci przelew na poste restante w Pabianicach na hasło Lolek. A teraz czekaj, zaraz dojdzie fotka!

Tola

Wysłała wiadomość, po czym otworzyła okno balkonowe na oścież i natychmiast się cofnęła. Lodowate powietrze zaparło jej dech. Usiadła przy biurku i założyła na nie nogi, wzięła telefon komórkowy i cyknęła fotkę. Cholera, na zdjęciu widoczny był też fragment wnętrza kawalerki – o dziwo, na zdjęciu prezentowała się znacznie lepiej niż w realu! Aż trudno było uwierzyć, że to fotka z wnętrza blokasa-odrapańca.

Podeszła do otwartego okna i zrobiła kolejne zdjęcia. W końcu na jednym widać było charakterystyczną dla bloków z lat pięćdziesiątych balustradę balkonu, a za nią majaczący na horyzoncie Pałac Kultury i kilka otaczających go wieżowców.

Czy ryzykowała, pisząc do tego kogoś? Wyjawiając mu, że prowadzą śledztwo? Przecież tak naprawdę nie miała pojęcia, kim on był.

No, ale przecież przed chwilą sama namawiała tego człowieka do odwagi cywilnej, więc wyciągnęła kartę pamięci z telefonu i wsunęła ją w peceta. Zgrała zdjęcie, załączyła do wiadomości i puściła drugą wiadomość, nim tamten zdołał cokolwiek odpisać.

Poszło! Wyczerpana, natychmiast zamknęła balkon, starając się nie patrzeć w dół. Zdenerwowana i podniecona, poszła do kuchni. Z dolnej szafki wyjęła butelkę whisky. Nalała jej do szklanki i znów zajęła swoje strategiczne miejsce.

Siedziała i siedziała, niemal bez ruchu. Wpatrywała się w ekran, jakby telepatycznie chciała przekonać cybernetycznego rozmówcę o szczerości swoich intencji, a sama przejrzeć jego. Dochodziła północ. Wypiła już całą szklankę, gdy wreszcie zjawiała się upragniona wiadomość.

Tola,

Zgadzam się. Może się narażam, ale wierzę Ci! Mam chyba informację, która mogłaby Wam pomóc, ale nie jestem takim frajerem, by ją zdradzić, nim zrobicie mi przelew. Wpłaćcie mi trzy tysiące na poste restante na pocztę przy ulicy Popławskiej na nazwisko Jan Kowalski. Gdy informacja okaże się przydatna (a wiem, że na pewno tak!), doślecie mi pozostałe siedem w ten sam sposób. Kontaktować się będziemy jedynie przez ten adres mailowy!

Nie próbujcie mnie wykiwać!

Ledwie parę tylko sekund zajęło Adze napisanie odpowiedzi.

Lolek

Przekaz pocztowy nadam jutro z samego rana na nazwisko Jana Kowalskiego. Będę czekać na Twoją wiadomość z niecierpliwością.

Tola

Położyła się na łóżku zupełnie wyczerpana, wpatrując się w sufit. Zdawało się jej, że nie uśnie z emocji, jednak sama nie wiedziała, kiedy odpłyneła. Śniła coś bardzo przyjemnego, ale gdy się przebudziła, nie mogła sobie przypomnieć, co to było, dało jej jednak zastrzyk energii, nieprzytłumiony nawet ponurym praskim świtem.

Nim na zegarze wybiła ósma, Aga z perfekcyjnie wymytą główką, w swoim ortalionowym płaszczu i wciśniętej na oczy czapce jechała już windą na dół. Wcześniej sprawdziła w necie, w który autobus ma wsiąść, by jak najszybciej dostać się na pocztę przy praskim odcinku alei Solidarności.

Wsiadła w zatłoczone sto dziewięćdziesiąt i starając się nie prowokować nikogo wzrokiem, wpatrywała się w czubki własnych pantofli. Tłum napierał na nią, czuła odór czyjśgo potu, mimo nietwarzowej czapeczki gapiło się na nią dwóch obleśnych, lekko wstawionych żulików, lecz ona z uporem maniaka nie odrywała spojrzenia od podłogi. W końcu znalazła się na placu, który warszawiacy nazywali „Placem Czterech Śpiących”. Ostrożnie precyzyjnie się do wyjścia i bez spodziewanych kłopotów opuściła tłoczne, smrodliwe wnętrze.

Ostrożnie przemknęła przez ulicę, wbiegła po schodach na pocztę, znalazła ustronny bankomat, wypłaciła trzy tysiące złotych i z wyraźnym wahaniem skierowała się do automatu, by pobrać numerki do wpłat. Trudno, podjęła decyzję. Jeśli okaże się chybiona, znów weźmie jakąś dodatkową robotę, może nawet w piekielnym „McDonaldzie”! Tyle że wybierze ten w Markach, by na pewno nie spotkać tam nikogo znajomego.

Tak czy inaczej, na koniec każdego miesiąca musi mieć na koncie pięć tysięcy. Starając się odegnąć ponure myśli, po raz już chyba tysięczny przypominała sobie wieczór sylwestrowy.

Ale szukanie pocieszenia akurat w tej sferze życia nie było najfortunnijszym pomysłem. To właśnie od sylwestra Paweł zrobił się taki... odległy. I nie tylko w stosunku do niej. Jakby przestały go obchodzić sprawy kancelarii, jakby stał za jakąś szybą.

Nie miała wątpliwości, czego one dotyczyły. Znała sprawę z plotek, które powtarzali wszyscy w kancelarii na Ordynackiej. Teraz była jednak w o tyle gorszej sytuacji, że nie miała pojęcia, jak naprawdę przedstawiały się stosunki Pawła z jego... żoną.

Po zaproszeniu na Wigilię nie oczekiwała zgoła niczego, jednak przynajmniej mogła się tam przekonać, że jego małżeństwo należało raczej uważać za skończone. Lecz czy było tak w dalszym ciągu? Czy było to tylko pobożne życzenie jego rodziny?

To zresztą było do przewidzenia. Posunęła się zdecydowanie za daleko, snując absurdalne plany, za pożywkę dla wyobraźni mając jedynie kilka serdecznych gestów i jeden pijacki wieczór. Trzeba znać miejsce w szeregu, inaczej można zdrowo oberwać. Sama była sobie winna...

Znalazła się wreszcie przy okienku pocztowym i już bez ceregieli dokonała wpłaty. Dziś był piątek. Anonimowy odbierze przesyłkę nie wcześniej niż w poniedziałek. A więc dopiero na początku przyszłego tygodnia mogła się spodziewać odpowiedzi.

Lekko niespokojna, szła aleją Solidarności wzdłuż parku Praskiego w stronę przystanku tramwajowego. Wiał lodowaty wiatr, wyglądało na to, że znów spadnie śnieg. Niebo było szare, przytłaczało. Wieże kościoła Świętego Floriana ginęły we mgle. Dotarła do przystanku wraz z nadjeżdżającym tramwajem i wtopiła się w szary tłum, który wessał ją do środka pojazdu.

Usiadła i kontemplowała osobliwy, szarosiwy widok za oknem. Wisła miała kolor błota, sunęły po niej kry. W chwili, gdy mijali tunel pod Starówką, zaterkotał jej telefon.

Paweł, jej szef i patron.

Nim odebrała, postanowiła, że ani słowem nie piśnie mu o wieczornej korespondencji. Natychmiast chciałby jej zrefundować wydatki, tymczasem ona zamierzała przeprowadzić sprawę na własną rękę. Bo przecież może nic z tego nie wyjść. Instynktownie czuła, że wyśmieje

to amatorskie „dochodzenie”, był sceptycznie nastawiony do takich przedsięwzięć. Jej decyzja, jej ryzyko. I basta!

Tymczasem on nie miał dla niej żadnych dobrych wieści. Wyjeżdżał na cały weekend i nie powiedział dokąd, przydzielił jej za to mnóstwo pracy.

– Tylko nie rób tego w weekend – ostrzegł ją z dobroduszną surowością. – Zrób dzisiaj, ile dasz radę, a ja skończę tamtą umowę, którą zaczęłaś. Wrócimy do tego wszystkiego w poniedziałek.

– A dziś już cię nie będzie? – wyrwało się jej niepotrzebnie, po czym natychmiast dodała: – Chodzi mi tylko o to, kiedy sprawdzisz umowę. Zdaję się, że dziś powinniśmy ją wysłać!

– Najwyżej prześlesz mi mailem. Jak sprawdzę, odeślę – zdawało się jej, że w jego głosie pobrzmiwało lekkie zniecierpliwienie.

– Gdybyśmy nie mieli się widzieć, miłego weekendu – rzekła szybko, by nie wyczuł, że jej przykro.

– Dziękuję i nawzajem! I Aga... nie przepracowuj się... – dodał po chwili wahania, nieco miększym tonem. Rozłączył się. Nie miała już czasu się tym martwić, bo ktoś mocno ją potrącił, przeciskając się do wyjścia. W ostatniej chwili zorientowała się, że była już na placu Bankowym. Wyskoczyła z tramwaju na oblodzony i zatłoczony przystanek. Zimny wiatr zaparł jej dech.

Igraszki w paszczy lwa

Kolego, powtarzam, że nie wydaje nam się, by istniał jakikolwiek związek między interesami Ryszarda Wencła a działalnością prawną jego syna, Pawła. – Młody oficer NOP-u, w poluzowanym krawacie i bez marynarki, znów pochylił się nad stołem, wlepiając wzrok w leżące między nim a Kwaśniakiem teczki. Ustronna salka konferencyjna musiała chyba służyć głównie do przesłuchań, gdyż z dwóch stron miała wbudowane lustra weneckie i była jaskrawo oświetlona.

– A co z przestępczą działalnością samego Pawła? Może udało się wam coś podsłuchać z komórek? – Kwaśniak pozorował swobodę, lecz nieco się napiął, gdy oficer Jastruń podniósł na niego skupiony wzrok.

– Na razie niczego nie wychwyciliśmy. Wydaje się, że Paweł Wencel jest bardzo ostrożny i przez telefon nie rozmawia o niczym ważnym. A przynajmniej nie mówi o żadnych machlojkach. Ale spokojnie, nie poddajemy się... Mamy jeszcze dwa tygodnie do końca terminu wyznaczonego przez pana ministra Kazimierczaka.

Kwaśniakowi spotniały ręce. Doskonale wiedział, że Paweł nigdy nie rozmawiał przez komórkę o niczym ważnym – nie raz mówił mu o tym Zagajewicz. I właśnie na tym opierał cały swój plan. Wiedział, że funkcjonariusze NOP-u nie podsłuchają ani słowa o dochodzeniu prowadzonym przez tę cholerną parkę w sprawie jego i pana Wędzichy, a jednak z mocno bijącym sercem czekał na potwierdzenie tej informacji.

– Cholera, szkoda. – Doskonale pozorował rozczarowanie, masując czoło. – To jednak kolejny dowód na to, że dużo ma „za uszami”.

– Jeśli pan chce, możemy jeszcze spróbować zainstalować mu podsłuch w domu i kancelarii, ale tu wolałbym mieć pewność, że się pan nie myli. To cholernie kosztowna operacja. No i musi być zezwolenie prokuratury. – Oficer obserwował go uważnie.

Kwaśniak milczał chwilę.

– Nie, wolę nie przekraczać budżetu, który wyznaczył nam pan minister – mówił wolno, jakby z namysłem. – Uważam jednak, że warto baczniej przyjrzeć się interesom jego ojca. Przecież chyba widzicie, że się nie myliłem co do nich! Mam nadzieję, że zaraportowaliście panu ministrowi Kazimierczakowi, że moje podejrzenia były słuszne. Wolałbym, by przez waszą opieszałość pan minister nie nabrał wątpliwości co do słuszności moich podejrzeń! – Tu Kwaśniak zamarł, czekając na odpowiedź, lecz Jastruń albo nie usłyszał, albo nie uznał za stosowne udzielić odpowiedzi, bo milczał, czekając na dalszy ciąg wypowiedzi, Kwaśniak musiał więc kontynuować, nie uśmierzywszy swych obaw. – Ryszard Wencel to człowiek, który okradał państwo już lata temu. Teraz kradnie dalej. Obraca lewymi pieniędzmi. Myślałem, że kiedy ludzie waszego pokroju dojdą wreszcie do władzy, zrobią z takimi jak on porządek!

– Spokojnie, proszę pana! – Oficer nie spuszczał go z oka. – Już panu tłumaczyłem, że owszem, mamy całą teczkę na Ryszarda Wencła. Rok temu prowadziliśmy nawet dochodzenie w sprawie prywatyzacji browarów, których był dyrektorem zarządzającym...

– Tak, wiem. Mielicie to posprawdzać – ponaglił go Kwaśniak niecierpliwie, dając do zrozumienia, że już omawiali te fakty. – I co pan znalazł w tych aktach?

– Pan Wencel już rok temu był wzywany na przesłuchanie, ale zabrakło wiążących dowodów. – Jastruń przewertował parę stron i palcem pokazał Kwaśniakowi zakreślony ustęp. – O! Widzi pan? Zeznanie współpracownika Wencła, dyrektora Bieługi, wykluczyło dalsze postępowanie. Dlatego to umorzono. Choć wiemy, że parę baniek przekreścili, nic mu nie udowodnimy. Ręka rękę myje!

– Cholera. – Kwaśniak potargał sobie włosy. – Jest winien i nic się nie da zrobić?

– Prawo jest prawem! – Oficer rozłożył ręce w wymownym geście. – Może jak zmienią ustawę...

– Panie, kiedy to będzie – zirytował się Kwaśniak.

– A co się panu tak spieszy?

Czy mu się wydawało, czy śledczy przyglądał mu się podejrzliwie?

– Sondażę nam spadają! A tymczasem skorumpowana opozycja chce odsunąć nas od władzy! My kierujemy się prawem, a oni piorą pieniądze! Czy to nie paradoks?

– W zasadzie się z panem zgadzam, ale w sprawie Ryszarda Wencła nic już nie możemy zrobić.

– To chore! – Kwaśniak był oburzony. – To wręcz niemoralne!

– Teraz sprawdza go fiskus. Może oni na czymś go capną.

– A ile im to zajmie? Nie można by tych z fiskusa przypilić?... – Kwaśniak założył nogę na nogę i wpatrywał się w rozmówcę z błyszczącymi oczyma.

– Proszę pana. – Dziwnie wprost opanowany Jastruń zmroził go wzrokiem. – Nie bardzo pana rozumiem! Są procedury...

– Co tu do rozumienia, panie oficerze – opanował się Kwaśniak. – Wiem, że ci ludzie są skorumpowani. Zresztą, sami widzicie, bo macie ich teczki. Wiem, że kancelaria jest pralnią, przez którą przewalają miliony, wy zaś nie potraficie niczego udowodnić. A przecież właśnie o Pawła i jego pralnię nam chodziło! To w tym sektorze potrzebujemy złowić rybkę, rozumie pan przecież. Musiałbym chyba sam wam coś przynieść na widelcu, byście wreszcie mieli dostateczne „dowody”. No więc, co w końcu?... Będziecie tego Ryszarda przesłuchiwać czy nie? Zróbcie to choćby po to, by się troszkę wystraszył... Może wtedy się sypnie...

Powiedział to swobodnym, pozornie niezainteresowanym tonem, lecz całe jego jestestwo zamarło w oczekiwaniu. Chciał mieć pewność, że NOP niedługo zapuka choćby do jednych drzwi z tabliczką „Wencel”... Gdyby jeszcze dało się Ryszarda posadzić w „wydobywczym”, na dłużej, robiąc mu uprzednio poranną rewizję, Paweł robiłby ze strachu po gaciach. Inaczej by wtedy pogadali. Bo takie grożenie na „pusto” nie ma sensu. Gdyby Mirek miał w zanadrzu taką siurpryzę, mógłby go łatwo zastraszyć...

Minęła chwila, wydająca się Kwaśniakowi wiecznością, nim oficer odparł:

– Nie! Sprawa Ryszarda Wencła jest zamknięta, tłumaczyłem panu przecież!

Kwaśniak wbił paznokcie w opuszki własnych palców. Przymknął powieki, lecz po chwili otworzył je szeroko i zawołał z dobrodusznym uśmiechem:

– Och, służbista z pana, kolego! Nawet w świetle tego, co zeznałem?

– A co pan takiego zeznał?

Nieprzyjemna sztuka z tego śledczego. Kwaśniak czuł się jak linoskoczek balansujący nad przepaścią.

– No mówiłem przecież i nie mam już siły tego powtarzać. Wiem z pewnych źródeł, że kancelaria pierze brudne pieniądze zarobione przez Ryszarda na lewo w browarach. Nie korzystacie z mojej wiedzy? No to sam już nie wiem, jak wam pomóc! – oburzył się. – A ten drugi brat? Mateusz Wencel? Też jest niewinny? Po prostu śmiech na sali! Toż nawet w kancelarii, w której ja pracuję, a która obsługuje jego firmę, mówi się otwarcie, że koperty do rąk mu się kleją. Jego też uznacie za niewinnego?! – Pokręcił głową, jakby załamany biurokracją zwyciężającą sprawiedliwość.

Oficer pierwszy raz lekko się uśmiechnął i sięgnął po żółtą teczkę.

– Mateusz Wencel! Muszę przyznać, że po tym przypadku faktycznie sporo sobie obiecujemy, bo ten faktycznie „rokuje”...

– Cóż to ma znaczyć? – Jedyłą oznaką, że Kwaśniak wzmógł czujność, było nagłe

poruszenie ciała, które prędko zakamuflował, udając, że poprawia skarpetę.

– Tak mówimy w naszym żargonie śledczym. Znaczy to, że z jego rozmów telefonicznych może wynikać, że planuje jakieś nieuczciwe transakcje. Lecz na tym etapie jesteśmy jeszcze bardzo daleko od ustalenia: z kim, gdzie, jak. Także masz pan niewątpliwie rację, że ta rodzina to podejrzana zgraja, ale sprawa idzie wolno.

– Zbyt wolno! – wybuchnął Kwaśniak niegrzecznie, ośmielony faktem, że przyznano mu rację.

– Trudno jest coś ustalić, bo ten człowiek wciąż opowiada takie banialuki, że agentka, która go podsłuchuje, doniosła nam w raporcie, że jest to przypadek szczególny.

– Co to znaczy? – Kwaśniak zjeżył się.

– Znaczy, że nie możemy bazować na jego słowach...

– Jakże to? Dlaczego?

– Albo cierpi na mitomanię, albo jest w jakiejś trudnej sytuacji życiowej – tłumaczył oficer spokojnie. – Albo jedno i drugie. Fakt faktem, że ciągle opowiada kłamstwa, więc trudno brać jego słowa za pewnik.

– Nie rozumiem! – Kwaśniak zacisnął pięści.

– Chodzi o to, że facet kłamie jak najęty! Agentka nigdy nie wie, czy to, co aktualnie mówi, jest wymówką, czy prawdą!

Ponieważ Kwaśniak złowieszczo milczał, Jastruń przysunął się do niego i, opierając się na łokciach, zaczął:

– Facet ma żonę w siódmym miesiącu ciąży. Najwyraźniej ma też kochankę, z którą planuje przyszłość – tak się przynajmniej wydaje. Nie wyobraża pan sobie, cóż on im obydwu za kłamstwa opowiada! Wie pan... – Podniósł na Kwaśniaka wzrok. Górna lampa oświetlała go tak dziwnie, że jego twarz wyglądała niemal nieludzko. – Powiem panu, że mnie tego faceta czasem szkoda...

– Ma ŻONĘ W CIAŻY I KOCHANKĘ? – Kwaśniak zeszywniał na moment, po czym tonem niemal obojętnym spytał: – A kim jest ta kochanka? Wiecie kto to?

– Ustaliliśmy, że to prawniczka z kancelarii obsługującej firmę, w której Wencel pracuje. Zresztą, co zabawne, pańska koleżanka z Guy et Chardon, Antonina Michalik.

Kwaśniak aż zeszywniał z wrażenia. Z jego gardła dobył się niekontrolowany jęk, lecz oficer chyba tego nie zauważył, a jeśli nawet, nie dał tego po sobie poznać. Patrząc w papiery, kontynuował:

– Tym bardziej proszę o zachowanie dyskrecji. Wiem, że jest pan zaufanym człowiekiem pana ministra, ale muszę to powiedzieć: proszę o najwyższą delikatność w tej materii – dla dobra śledztwa i bezpieczeństwa naszego biura. Rozumiemy się, panie Mirku? Panie Mirku? Wszystko w porządku?

– Naturalnie – odparł tamten drewnianym głosem, gdyż w tym momencie jego synapsy mózgowe nie sklejały się, a szare komórki zderzały się bez ładu i składu, przypominając rozłoższone mrówki, którym ktoś wsadził kij w mrowisko. – Naturalnie.

Pragnął już opuścić to przebrzydłe miejsce i znaleźć się z dokonany odkryciem sam na sam, by móc spokojnie zastanowić się, jak najlepiej wykorzystać tę niebłahą informację. Jednak oficer mówił coś jeszcze... Kwaśniak z trudem skupił wzrok na jego twarzy.

– A! I sprawdzaliśmy jeszcze „wspólniczkę” Wencla – jak ją pan nazwałś – Agnieszkę Pęczek – ciągnął śledczy, biorąc leżącą na końcu stołu teczkę. – Ale i tutaj pudło! Zwykła, nic nieznacząca studentka, szara myszka. Całe zaoszczędzone pieniądze posyła matce, która spłaca spory kredyt. Zwykła studentka... oprócz pewnego epizodu... no ale to jest bez znaczenia dla sprawy Wencłów. – Mężczyzna uśmiechnął się dziwnie.

Kwaśniak siłą woli sprowadził się na ziemię. Za dużo dziś tego wszystkiego, do diabła. Musi wziąć się w garść. Sięgnął po kawę, jakby chcąc zyskać na czasie, po czym z ociąganiem spytał, udając obojętność:

– Cóż to za epizod?

– O, to na pewno nie ma nic wspólnego ze sprawą! – Błady uśmiech oficera zniknął bez śladu.

– No, ale niech pan powie, co to za sprawa. Ciekaw jestem! W końcu współprowadzę tę sprawę, zgodnie z tym, co nakazał pan minister! – Tu nieco się mijał z prawdą, ale trzeba było cisnąć, ile się da! Szło o najwyższą stawkę. – Chciałbym sam ocenić, czy rzeczywiście jest tak, jak pan twierdzi... Mógłbym zobaczyć tę jej teczkę?

Oficer bez słowa podsunął mu skoroszyt. Kwaśniak otworzył ją lekko drżącymi palcami i szybko wertował. Oficer patrzył na niego bez słowa, więc Kwaśniak z całych sił próbował ukryć ożywienie. Powoli przekreślał strony, zwilżając palec. Na końcu widniała koperta. Otworzył ją i bez śladu emocji wyjął kilka zdjęć.

Oglądał je w milczeniu, cały czas panując nad mimiką i usiłując stłumić łomot serca.

– Mogę skserować te zdjęcia? – spytał obojętnym tonem i zamarł, nie patrząc swemu rozmówcy w twarz. Oparł dłonie na stole, by opanować ich dygot. Wydawało mu się, że minęły wieki, nim tamten rzucił:

– Koło mojego gabinetu jest ksero i skaner.

– Proszę o to tylko dlatego, że sam chcę o nią popytać. Wie pan, ja też nie próżnuję.

Tamten bez słowa ujął słuchawkę stojącego na stole telefonu, wykręcił krótki numer wewnętrzny i sucho zakomenderował:

– Kaśka, pozwól do trójki, pan chce, by mu skserować dokumenty. Przegraj mu też dostępne materiały filmowe.

Po czym zwrócił na Kwaśniaka chłodny wzrok i zakomunikował:

– No, załatwione. Płytkę z materiałami odbierze pan u pani Kasi, a ja już się żegnam. Będę w kontakcie.

Kwaśniak wyszedł z budynku NOP-u i skierował się w stronę auta. Było już ciemno i padał mokry śnieg, lecz Kwaśniak niemal nie zdawał sobie z tego sprawy.

A więc powoli odzyskiwał panowanie nad sytuacją. Nie dostał wprawdzie stenogramów rozmów, więc nie wiedział, co Wencel planuje w weekend, ale nie wyglądało na to, by wybierał się do Pabianic. Można było uspokoić ojca, niech nie alarmuje na razie chłopaków pana Wędzichy. Nie ma powodu uciekać się do takich kroków. Niech nadal mają na łachudrę oko, ale bez żadnej brudnej interwencji! Nie tędy droga, panowie, nie tak to się załatwia! Trzeba mieć głowę na karku, a obędzie się bez ryzyka.

Miał wreszcie mocny punkt zaczepienia!

I choć ojciec w to nie wierzy, wygląda na to, że sam jeden – i to w białych rękawiczkach – utnie hydrze jej liczne, ruchliwe, wszędobylskie łebki.

Trzeba tylko nieco zmodyfikować plany: jednak pojedzie sobie na ten wtorkowy wyjazd integracyjny. Pewnie jego ostatni w Guy. Nie przepadał za tego typu spędami, ale na ten jeden jedyny pojedzie z prawdziwą przyjemnością! Wyjazd integracyjny organizowało Telecommerce – przyszły Unitel Commerce. Gościnnie zapraszało swych głównych dostawców usług – w tym, naturalnie, blisko współpracujących prawników.

Będzie to wyśmienita okazja do zobaczenia pewnych rzeczy „na żywo”, jak w najlepszym teatrze, by potem odbyć arcyciekawą rozmowę.

Tak więc Beata będzie musiała poczekać ze swymi romantycznymi planami. Zimowy wyjazd do Juraty odbędzie z własnym mężulkiem. A Kwaśniak najbliższe dni spędzi z kolegami

z kancelarii w sopockim pięciogwiazdkowym „Hefflerze”! I niech się dzieje, co chce. Teraz, jeśli oficer Jastruń dojdzie do wniosku, że niczego na Wenclów nie ma, z pewnością da o tym znać Kazimierczakowi. Lecz nim do tego dojdzie, Kwaśniak będzie już w posiadaniu rozlicznych asów. Jak dobrze pójdzie, ugasi ten pożar... Wtedy najgorsze, co Kazimierczak może pomyśleć, to, że był to fałszywy alarm.

Zagadką pozostawało, czy już prześwietlił jego starszego... Kwaśniak sądził, że zrobi to natychmiast i miał już ułożoną linię obrony. Ale, co dziwne, Kazimierczak nie czepiał się na razie Kwaśniakowych korzeni. Dziwne i trochę turbujące...

Tysiące razy klarował sobie, że przeszłość rodziny nie jest podstawą, by kogoś utracić. Wystarczyło wejrzeć bliżej w szeregi polskich posłów. A jednak spodziewał się, że będzie musiał się z tego tłumaczyć na dywaniku u Kazimierczaka. Fakt, że tamten nawet o tym nie wspomniał, był... Hm. Wniosek był prosty: musi jak najprędzej omotać Beatę, by i na nią coś mieć... A potem po nitce do kłębka – ona zna szefa bardzo dobrze... a nie ma ludzi świętych. Każdy ma coś na sumieniu i na każdego można coś wyszperać...

Wsiadł do auta, włączył radio i zaczął wycofywać, cicho nucąc. Na jego ustach zagościł dobroduszny uśmiech. Prawą ręką wymacał teczkę leżącą na siedzeniu. Zimna i gładka, skrywała niezwykle cenną zawartość.

Prywatne sprawy Roliczów

Sanie z pochodniami pędziły przez zaśnieżony, uśpiony las. Robiło się ciemno, choć nie było jeszcze piątej. Jedynym odgłosem, który mącił białą ciszę, był chrzęst śniegu pod płozami. Paweł pociągnął z piersiówki, a następnie wcisnął ją w rękę młodszego brata. Mati spojrzał z ukosa, uśmiechnął się pod szalikiem, po czym wypił co najmniej połowę zawartości, odchylając przy tym głowę do tyłu niczym zdesperowany skazaniec próbujący dodać sobie kurażu przed szafotem. Czapka uszanka zsunęła mu się z głowy, odsłaniając gęste, nieco zmierzwiłone włosy.

Bracia milczeli wrogo. Sytuacja obu była nie do pozazdroszczenia, przy czym każdy uważał się za bardziej poszkodowanego i miał pretensje do drugiego o brak zainteresowania jego osobistymi problemami. Każdy z nich głęboko skrywał prawdziwe myśli, więc od jakiegoś czasu nie rozmawiali ze sobą szczerze i, prawdę powiedziawszy, nie mieli na szczerłość najmniejszej ochoty.

Idiotyczny męski wyjazd wymyślił oczywiście ojciec. Siedział teraz naprzeciwko nich i częstował zajmującego miejsce obok najmłodszego syna, Piotra, żołądkową gorzką.

Starsi bracia ze stoickim spokojem obserwowali, jak Piotr przecząco kręci głową, a ojciec patrzy na niego ze źle skrywaną urazą, po czym odwraca głowę w stronę nieprzemierzonych leśnych ostępów, jakby w ich majestacie szukając pocieszenia od losu, który obdarzył go takim synem.

– Napijże się, Piotruś, nie rób ojcu zawodu! – podjudził brata Mati z cwaniackim uśmiechem. Wkładanie kija w mrowisko zawsze poprawiało mu nastrój.

– Nie możesz ścierpieć, że ktoś nie pije, Mateo? – W głosie najmłodszego pobrzmiwała nietajona wyższość.

Zapadła chwila ciszy, w której słyhać było tylko chrzęst śniegu, dźwięk dzwonek i chrapliwe rżenie koni.

– Picie jest symptomem niepokładania i braku satysfakcji. Jeśli chodzi o Matego, zaryzykowałbym twierdzenie, że satysfakcji seksualnej – jeśli to, co pisał Freud o takich osobowościach jak twoja kryje choć ziarnko prawdy – dodał Piotruś, patrząc w las tuż nad głową Matego.

– Trafiłeś jak kulą w płot, Seneko! – Tamten wybuchnął śmiechem.

– Ilość nie zawsze przekłada się na jakość – uściślił Piotr.

– Powiem ci, synu, że pierwszy raz zgadzam się z twoim niedorobionym bratem! – odezwał się ojciec do swojego średniego, łykając haust gorzałki, po czym zaniósł się gruźliczym kaszlem. Czerwony i posiniały, kaszlał dobre pięć minut, a z ust leciała mu para, która musiała trącić siarką – tak się przynajmniej Pawłowi zdawało.

– „Nedorobionym”? Dajże Piotrusiowi żyć! To, że chłopak ma prawie trzydziestkę na karku i żadnej stałej pracy, to jeszcze nie powód do obelg! – w sposób szczególny i z błazeńskim wyrazem twarzy Mati ujął się za bratem. – Tato, zrozum raz na zawsze, że pieniądze szczęścia nie dają!

– Mateusz, jesteś tego żywym dowodem. – Oczy Piotrka zwęziły się w złośliwym uśmiechu.

– Za dużo w tobie goryczy jak na wyzwolonego, oświeconego i spełnionego! Czyżbyś zmieniał się w moralistę już w tak młodym wieku? – wybuchnął Mateusz, szarpiąc baranicę w swoją stronę.

– Chłopcy, *pax* – wybełkotał stary Wencel, unosząc prawicę jak Juliusz Cezar. Do Niedźwiedziego Rogu przyjechali bez Elżbiety, więc od piątku ciągnął whisky bez żadnych

ograniczeń. – Nie chcę żadnych sprzeczek! Obiecałem waszej matce, że spędzimy wspaniały męski weekend i że nie dopuszczę do żadnych waśni!

W tym momencie odwrócił się do nich woźnica, pytając, czy ma zrobić większą pętlę, czy już wracać, na co Piotr, studząc zapędy ojca, namawiał do powrotu.

– Do Podkomorzyna więc! – ryknął stary Wencel zgodnie. – Galopem!

Konie rzeczywiście zerwały się do galopu, gdy sanie zjeżdżały ze wzniesienia. Kończył się las. Ukazały się należące do stadniny łąki, otoczone ogrodzeniem skleconym z okrągłych żerdzi. Nisko nad horyzontem ukazało się słońce, oświetlając zimowy krajobraz na pomarańczowofioletowo. Zabudowania wioski czerniły się na tle tej feerii barw.

Konie zwolniły do stępa. Choć śnieg prószył drobny, zdążył już prawie pokryć ślady, które zrobiły zwierzęta, gdy stąd wyjeżdżali. Wjechali teraz między chałupy. Drewniane i przygarbione, zimą zdawały się jeszcze bardziej ubogie niż latem. Przy domach ani w obejściach nie było żywej duszy. Tylko z nielicznych kominów sączyły się nikłe dymki – jedyna oznaka życia.

– Czemu oni nie palą światła? – zagaił w przestrzeń rozparty w baranich skórkach Mati.

Nikt mu nie odpowiedział. Zamiast tego ojciec zaczął głęboko wdychać powietrze. Robił to tak zachłannie, że Pawłowi zdawało się, iż kieruje się swoją zasadą, by za swe pieniądze wyciągnąć z przejażdżki maksymalne korzyści. W tym przypadku było to świeże powietrze – zdrowe powietrze, którego w mieście brakowało.

Mróz szczypał w nosy, malował na szybach chatynek kwieciste wzory. Potem nagle słońce zaszło zupełnie i niemal natychmiast zapadł zmrok. Śnieg, który dotychczas prószył skąpo, teraz zaczął sypać obficie. Gdy wyjeżdżali z wioski, z jednej z bram wypadł kundel i zażarcie obszczekiwał sunące pomału sanie. Konie zarżały ostrzegawczo.

– Paszoł won! – warknął ojciec, szarpiąc za palcat, który ktoś przytroczył do wnętrza sań na poczeriałym rzemieniu. Odczepił go i świsnął w stronę psa, lecz tamten jeszcze bardziej się rozsierdził.

Konie znów zarżały, lecz uparcie ciągnęły naprzód. Znów było lekko pod górę. Pies wreszcie dał sobie spokój i powarkując, triumfalnie powrócił na swoje podwórko. Teraz już widać było podwórzec stajni. Na zewnątrz stał okutany chłopak z czerwonym od mrozu nosem. Pewnie długo na nich czekał. Paweł zaciągnął się papierosem, po czym wyrzucił go i otulił się szczelnie brudnym włochatym pledem.

– Wiatr się zrywa – ojciec zagadnął skręcającego w bramę wjazdową woźnicę.

– Będzie zamieć! – odkrzyknął tamten z kozła, ukazując braki w uzębieniu.

Skrzypiąc i chrzęszcząc, sanie dotarły na zaśnieżone podwórze. Śnieg rozpadał się na dobre. Zgodnie z przewidywaniami woźnicy wiało coraz mocniej. Tupali nogami dla rozgrzewki, lecz zimno było niemiłosiernie.

– Chodźcie szybko do środka! – zaganiał ich obrotny Mati, popychając ojca w kierunku wejścia do knajpy. Gdy wreszcie uporali się ze szczelnie zamkniętymi wrotami, przywitało ich przyjazne ciepło, ogień buzujący w kominku i kilka warszawskich „gąb” gapiących się na nowo przybyłych.

Wewnątrz była też właścicielka stadniny, pani Stefania Połaniecka, która najpierw bystro podniosła głowę, a poznając Ryszarda Wencła, prędko opuściła pośledniejsze towarzystwo, by powitać znamienitszych gości.

– Wchodźcie, wchodźcie! – popędzała cztery zaśnieżone postacie, by jak najszybciej zaryglować wrota, przez które do środka wlatywał śnieg. – Dziewczyny, zróbcie panom grzańca.

– Przydałoby się nam wymoczyć nogi w musztardzie! – Mati, widząc kobiety, odzyskał humor.

Szybko zasiedli przy najlepszym stoliku i zostali sprawnie obsłużeni. Trzej Wenclowie zamówili befsztyki, a czwarty, powodując tym nie lada zamieszanie – pierogi z serem. Lecz cóż można zrobić z takim odmieńcem? Upór i ostentacja! Stary Wencel popatrywał na najmłodszego z jawną dezaprobatą, wsuwając do ust ociekający krwią kawałek soczystej polędwicy okraszony rozplwającym się masłem czosnkowym.

– Nie wiesz, co tracisz – mamrotał z pełnymi ustami, popijając mocnym hiszpańskim winem. Nigdy nie zgasła w nim wiara, że jeszcze uda się go „nawrócić”. – Błady jesteś! – rzucił jeszcze ostatnią uwagę, patrząc, jak najmłodszy kroi na małe kawałki zielonkawego pomidora. – Zrób badania krwi. Sprawdź poziom żelaza.

– Soja i szpinak trzymają żelazo w normie.

Umilkli i ochoczo wsuwali w absolutnym milczeniu. Po posiłku dłuższy czas siedzieli bez słowa. Rozmowa jakoś przestała się kleić. Paweł był pochmurny, Matiego jak zwykle nosiło, wprost nie mógł usiedzieć na miejscu. Gdy tylko zobaczył jakiegoś znajomego, natychmiast poleciał się z nim witać. Piotruś podszedł do kominka, żeby pogłaskać wyciągniętego na jelenich skórkach psa.

Stary Wencel westchnął i żałośnie popatrzył na swego najstarszego, jedyne, który przy nim został.

– W tobie moja jedyna nadzieja! – odezwał się do niego. – Tamci dwaj do grobu mnie wpędzą. W tobie moja przyszłość i spokój mojego ducha...

Paweł wyciągnął cygaretkę i ostrożnie przypalił. Wydmuchnął kłęb dymu i obserwował, jak unosi się pod belkowane sklepienie, upstrzone wiązkami suszonego bagna.

– Polej nam wina – zażądał ojciec, rozpierając się wygodnie na krześle.

Najstarszy posłusznie napełnił kieliszki. Najwyraźniej ojciec przymierzał się do jednej z wielu konfidenacyjnych rozmów, w których przekazywał synowi porady życiowe.

– Posłuchaj mnie teraz, bo chcę powiedzieć ci coś ważnego, póki jesteśmy sami. – Ojciec ściszył głos, ostrożnie zerkając na boki. – Posłuchaj mojej rady i zakładaj rodzinę jak najszybciej.

Paweł uśmiechnął się pod nosem na tak szczególne zalecenie.

– Zamierzasz z tym czekać do późnej starości? – Stary Wencel lekko poczerwieniał. I choć widział, że syn wyraźnie się usztywnił, ośmielony alkoholem zakomunikował: – Chcę mieć wnuka.

– Przecież niedługo urodzi ci się upragniony wnuk – odparł Paweł oschle, mieszając wino w kieliszku.

Czyżby starszy za dużo popił?

– Zrozum, co chcę ci powiedzieć... – Stary Wencel chrząknął w zakłopotaniu. – Ci dwaj... ci twoi bracia... – przerwał na moment, jakby niepewny, czy może mówić tak otwarcie – ...są, jacy są. Nieważne! Ja chcę mieć wnuka z ciebie. Chcę, żebyś ty się wreszcie ustatkował... Starzeję się... – Najwyraźniej zamierzał uderzyć w tony patetyczne. By do tego nie dopuścić, Paweł podsunął mu kieliszek i szybko swój podniósł do ust.

– Mężczyzna bez rodziny jest jak... jak chwast. – Najwyraźniej ojciec miał już w mocno czubie, gdyż mówił nieco rzewnie.

Paweł, poruszony, popadł w ponure zamyślenie. Rzadko rozmawiali o uczuciach, więc tego rodzaju przemyślenia człowieka, który – tak jak on sam – nie znosił obnoszenia się ze swymi intymnymi myślami, musiały budzić zastanowienie.

Więc ojciec się o niego martwił. Czy miał do tego podstawy? Czy naprawdę było z nim aż tak źle?

Wstał, jakby opędzał się od osaczających go czarnych myśli. Przeprosił ojca i poszedł do baru. Chciał побыć sam. Rozsiadł się wygodnie pod ścianą, z cygaretką i kieliszkiem wina, i tak

przydybała go nadchodząca ze szklaneczką whisky pani Stefka.

– A! Wreszcie sam. Chciałam zamienić z tobą dwa słowa na osobności. – Zniżyła swój donośny głos i zatopiła w nim swoje przenikliwe, czarne spojrzenie.

Kolejna osoba chcąca rozmawiać z nim na osobności! Co za dzień.

Pani Stefania Połaniecka była z gatunku tych, którzy „znają się na ludziach”.

Rozmawiając z nią, miało się nieprzyjemne wrażenia, że czyta w myślach. Bez ceregieli chwyciła Pawłowe cygaretki, wyjęła jedną i wetknęła sobie do ust, ponaglając go spojrzeniem, by jej przypalił. Gdy to zrobił, wydmuchnęła na niego chmurę dymu, kaszlnęła i zaczęła:

– Sprawa jest delikatna i choć wiem, że tego nie lubisz, postanowiłam ci powiedzieć, by poprawić ci samopoczucie... – Zawiesiła głos i przyjrzała mu się ciekawie.

Oparł ręce o barek i patrzył na nią z głową przechyloną na bok.

– No więc nie wiem, czy wiesz, ale u Roliczów wielka afera! Tak jak przewidywałam, Hanna wyprowadziła się od tego... tego artysty. Nie chcę cię tym dręczyć, wiem jednak, że sprawi ci to czysto ludzką satysfakcję... Chcesz wiedzieć, czemu się rozstali? – Pani Stefka obrzuciła rozmówcę niedyskretnym spojrzeniem, po czym podjęła zabawę zapalniczką.

– Nie.

– I dobrze! – Popatrzyła na niego z uznaniem. – Zuch chłopak! Zawsze miałam cię za mięczaka, a widzę, że wcale nie brak ci charakteru. Może nawet masz go więcej niż tamten wariat, choć, bijąc się w piersi, przyznaję, że wszystkich nas tutaj zwiódł. Tyle miał czaru, tyle męskości. Prawdziwy Bohun, jeśli można go do kogoś porównać...

Paweł zacisnął palce na krawędzi blatu.

– Ale powiem ci, że podobno nie mogła już z nim wytrzymać. Życie z artystą do łatwych nie należy... Choć i ona nie była specjalnie drobnomieszczańska... Ale wiedziała, na co się pisze...

Paweł milczał zajadle, paląc i przyglądając się podłodze.

– No dobrze, chciałam, żebyś po prostu wiedział, że jest wolna. – Znów jej niedyskretnie spojrzenie przesunęło się po jego stężałej twarzy. – I dodam jeszcze, że wszystkie te zajścia spowodowały istny rozłam u Roliczów. Stary Edward ponoć kupił Hannie mieszkanie, na co Anna się na niego obraziła, bo te pieniądze miały przypaść w udziale Matyldzie. Wiesz, u nich nietęgo z gotówką. A przecież swoją część schedy Hanna już spożytkowała, jadąc na studia...

– Prywatne sprawy Roliczów kompletnie mnie nie interesują. – Paweł zacisnął dłoń na kieliszku z winem tak mocno, że ten omal nie pękł. – Nie chcę nic więcej wiedzieć na ten temat.

I nie odzywając się już ani słowem, powrócił do swego stolika, gdzie zapadł w milczenie głębsze i cięższe niż poprzednio.

W knajpie, mimo zimowej pory, zgromadziło się całkiem sporo ludzi. Wyglądało na to, że zbierali się nawet chętni do tańca. Było duszno, dla Pawła zdecydowanie zbyt duszno. Siedział jeszcze chwilę, przysłuchując się wywodom ojca na temat „wyskoków” Mateusza.

– Masz mnie za idiotę czy co? – uniósł się w końcu podchmielony Mati.

– A tak! – odparował ojciec, niebezpiecznie podnosząc głos i opróżniając kieliszek jednym haustem.

– Przecież ja już definitywnie to skończyłem, ile razy mam ci powtarzać? – doleciał Pawła histeryczny, stłumiony głos brata.

– Pieprzysz! Gdybyś to skończył, nie kręciłbyś się ciągle z telefonem jak gówno w przeręblu – warknął poirytowany ojciec. – Myślisz, że ja świata nie znam? Myślisz, że jestem taki stary i głupi? I powiem ci więcej. – Ton ojca był chrapliwy, niemal przerażający. – Tobie się zdaje, że jesteś taki cwany, a ja ci powiem, że mądrzejsi od ciebie życie przegrali właśnie przez takie sytuacje! Wiesz, co się niedługo stanie? Ja ci powiem, co się stanie... Twoja anioł-nie-żona

pójdzie po rozum do głowy i...

Wybuch śmiechu przy sąsiednim stoliku pochłonął słowa ojca, lecz widząc jego poczerwieniałą twarz, odęte wargi, rozszerzone nozdrza i jeden dolny ząb, ukazujący się pomiędzy wykrzywionymi gniewem wargami, Paweł mógł sobie wyobrazić, że ojciec przepowiada Matiemu coś mało przyjemnego.

Wstał i narzucił kurtkę, po czym podszedł do małego okienka wychodzącego na rzekę. Długie sople zwisały z rynien, zajmując niemal cały widok. Poniżej widać było tylko śnieżną zamieć.

Starszy miał rację, Mati zachowywał się jak ćma latająca wokół płomienia. Niestety, miał też rację co do niego, Pawła. I on powinien mieć żonę, dzieci – solidne zabezpieczenie na przyszłość. Był bardziej od pozostałych braci predestynowany do życia w rodzinie, ale to właśnie on został z tej możliwości ograbiony!

Opuściła go... Dlaczego? Po co? Dla zwykłej ułudy?

To nie mieściło mu się w głowie...

A teraz sama dostała po nosie. Jeśli ktoś by go o to zapytał, odpowiedziałby, że od początku wiedział, jak to się skończy. Zburzyła ich życie, pogrzebała ich oboje, choć mogło być zupełnie inaczej. Bo w zasadzie czego brakowało im do szczęścia? Teraz, z perspektywy czasu, zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, o co toczyli te ciągle spory...

Kupował jej wszystko, czego zapragnęła. Miała sukienki, biżuterię, wyjazdy, opery. Żyła w odpowiedniej do swojej nieprzeciętnej urody oprawie. Poza tym nie pił, nie zdradzał jej, nie szastał pieniędzmi, nie szlał się z kolegami. Czegóż od niego chciała?

Może gdyby dał jej trochę więcej wolności? Ktoś mógłby powiedzieć mu na to: „Ależ stary, ona miała aż nadto wolności”. Ale któż może wiedzieć, co jest między dwojgiem ludzi oprócz nich samych? Tu chodziło o wolność, którą mógłby jej dać we własnym sumieniu... Sam najlepiej wiedział, jak ją ograniczać...

Teraz to już czcze rozmyślenia. Jedyne, co może dla niej zrobić, to wesprzeć finansowo w tej ciężkiej sytuacji, w której się teraz niewątpliwie znalazła. Jakoś jej pomóc. Zrobi to zresztą bez niechęci, ze względu na stare czasy. Jak przyjaciel, jak powiernik, nie chcąc przecież nic w zamian. Cokolwiek by mówić, to wciąż jego żona. Do tego samotna, opuszczona...

Może, gdy los tak ją upokorzył, pojmie wreszcie, czym jest życie? Może ta sytuacja wyleczy ją z nieznośnego, beztroskiego nastawienia do świata? Może skłoni do refleksji?

On, sam jak palec, w ich wspólnym, wielkim mieszkaniu. A teraz i ona samotna w pakamerze, którą kupił dla niej stary Rolicz. Za pieniądze należące się jego rodzonej córce. Czy to uczciwe?

I cała ich rodzina zjednoczyła się przeciwko tej nieuzasadnionej szczodrości: oburzona ciotka Anna, lafiryndowata Matylda, nie mówiąc już o starej cwaniarce Polci. Naturalnie miały prawo mieć do starego pretensje. Niby jakim prawem oddał Hannie pieniądze należne Matyldzie tylko dlatego, że Hanna była w tarapatkach? Sama w nie wpadła!

Materialistyczny umysł Pawła, który przede wszystkim znał się na rachowaniu, nie mógł dać wiary podobnemu aktowi miłosierdzia. Oddać siostrzenicy coś, co należy się rodzonemu dziecku? Jasne, że Matylda zawsze była bardziej zaradna i na pewno doskonale da sobie radę bez tych pieniędzy, ale mimo wszystko... Dla samej sprawiedliwości!

Rolicz nie po raz pierwszy ostentacyjnie buntował się przeciwko powszechnie przyjętym zasadom społecznym. I o ile poprzednio, w głębi duszy, Paweł mógł go jeszcze zrozumieć, o tyle teraz jego poczucie sprawiedliwości i tego, co MATERIALNIE należne własnemu dziecku – krwi z jego krwi – buntowało się przeciwko podobnej ostentacji.

W swym wrącym gniewie palił jednego papierosa za drugim i zastanawiał się, jak to

mogło wyglądać z perspektywy Hanny. Jakże miała w ogóle czelność przyjąć od wuja te pieniądze?!

Czy nie lepiej dla niej było zrzec się tej niemoralnej wręcz darowizny i wrócić do niego?

Ale czy gdyby tak zrobiła, czy gdyby przeważyły w niej skrupuły i zrezygnowała z mieszkania, po czym zapukała do jego drzwi, to czy Paweł w ogóle byłby w stanie przebaczyć jej to, co mu zrobiła?

Z gniewem dopił do końca zawartość kieliszka. Niedorzecznością było rozmyślanie o tym po pijaku. Do głowy przychodziły wtedy rzeczy zupełnie... absurdalne. Bo czy możliwe jest w ogóle... Po tym, co mu zrobiła?

Bolesny i brzydki grymas ściągnął jego twarz. Obmacał kieszenie, szukając kolejnej cygaretki...

Wyjazd integracyjny do Sopotu

Wyjazd integracyjny rozpoczął się nietypowo, bo w niedzielny wieczór, oficjalną kolacją. Niemal wszyscy zaproszeni stawili się na miejscu tłumnie i w wyznaczonym czasie. Po pierwsze, samo miejsce – pięciogwiazdkowy hotel „Heffler” – słynęło z wyrafinowanego luksusu, więc warto było najeść się i napić za firmowe pieniądze, a po drugie, nie można było tego przegapić ze względów strategicznych. Zaproszenie wystosował sam nowo mianowany *managing director* Telecommerce – Patrick Duchamps. A że firma miała niedługo zmienić nazwę na Unitel Commerce, wszyscy byli jak na szpilkach.

Zawiały się nowe koalicje, grupowały świeże koterie, w korytarzach dużo szeptano – jednym słowem, nadchodziły nowe porządki, o czym wiedziała nawet najbardziej ospała księżowa. To czuło się w kościach!

Czy nowa miotła wymiecie połowę pracowników? Jeśli tak, to kogo? Wyjazd integracyjny do TAK eleganckiego hotelu budził kontrowersje, obawy, domysły, był niemal złowieszczy. W ciężkich czasach taki wydatek to niemal jak pocałunek śmierci. Prezent pożegnalny dla wieloletnich pracowników. Ochłap rzucony, nim zostaną wykopani na bruk...

Jedynym, który nie przybył w niedzielę wieczorem, a dopiero w poniedziałek rano, był dyrektor marketingu, Mateusz Wencel. Jego nieobecność została od razu zauważona i była szeroko, choć bardzo ostrożnie, komentowana.

Powszechnie wiadomo było, że Wencel darł koty z Wiktoria Dzedzic, ważną osobistością z centrali. Jej zadaniem było dopilnowanie, by unifikacja firm poszła gładko. Jednak w kularach szeptano, że to właśnie owa – skądinąd bardzo ładna i elegancka pani (a chyba nawet panna?) – ma decydować o tym, kto z firmy wyleci.

Mateusz Wencel nie dotarł w niedzielę. Jego strata. Nie od dziś wiadomo, że na takim wyjeździe najlepiej pije się pierwszego dnia. Wtedy też ubija się najlepsze interesy. Bo gdy dojedzie się później, karty są już rozdane. To jak z lekcją matematyki – jedna nieobecność powoduje, że potem już niczego się nie rozumie. Można naturalnie mieć życie rodzinne, jest to w takich „prorodzinnych” firmach wręcz mile widziane, ale...

Mateusz Wencel oficjalnie zakomunikował, że dotrze do nich dopiero w poniedziałek, ze względu na „ważne sprawy rodzinne”, tak przynajmniej przekazała Wiktoria dopytującemu się o Matiego Misiowi.

Miś i Wiktoria siedzieli w restauracyjce z widokiem na kameralny basen. Po skończonej kolacji dopijali czarną kawę. W tle rzępoliły miły jazzik, światła były przygaszone, a jednak *tête-à-tête* z Wiktoria przypominało Misiowi przesłuchiwanie przez czekistę.

– Nie podoba mi się, że Mateo będzie dopiero jutro – uporczywie wracała do tematu Wiktoria.

Zawsze zdrabniała imiona pracowników, udając tym samym, że ma z nimi relacje bliższe, niż to miało miejsce naprawdę. Nikt nie wiedział, po co to robiła, bo przecież mało kto dawał się na to nabierać. To, że grała tylko na siebie i nie miała żadnych przyjaciół, było już w firmie ogólnie wiadome. Być może oszukiwała samą siebie, a może wciąż jej się wydawało, że jest osobą „w porządku”, która robi tylko to, co do niej należy, by utrzymać się w pracy i samej nie dać się wyrolować sprytniejszym.

Miś ze zrozumieniem pokiwał głową, zajadle mieszając kawę. Umykał wzrokiem, gdzie mógł, ponieważ jednak Wiktoria wpatrywała się w niego znacząco, jakby czekając, że tamten coś powie, zmuszony był zauważyć:

– Tak, to nie będzie dobrze widziane!

– Misiek, jest z ciebie równy chłopak, więc powiem ci w zaufaniu, że to będzie

FATALNIE widziane! – Założyła nogę na nogę, rozsiadając się wygodnie.

– Wiesz, może serio coś mu wypadło... – bąknął w końcu z powątpiewaniem Miś.

Skwitowała to znaczącym uśmieszkiem. Szczęśliwie ta niemrawa konwersacja szybko dobiegła końca, gdyż w polu widzenia ukazała się imponująca sylwetka Duchamps'a. Wiktoria ruszyła więc za nim pędem, nie bacząc nawet, by rzucić Misiowi kurtuazyjne „przepraszam”. Za to Miś odetchnął z ulgą, a następnie błyskawicznie ruszył w stronę sąsiedniej sali. Tam aż do dziesiątej był dziś „otwarty bar”. Czuł się podle, że tak się ugiął i zeszmacił, więc przynajmniej natrąbi się porządnie.

Mateusz przyleciał na gdańskie lotnisko Rębiechowo następnego dnia pierwszym rannym samolotem. Szybko złapał taksówkę, a teraz pędził przez trójmiejską obwodnicę w stronę Sopotu. I choć był bardzo elegancko ubrany, tego dnia nie czuł się najlepiej. Po pierwsze, zdrowo popili z ojcem i Pawłem podczas „męskiego wyjazdu”. Po drugie, starszy znów przeprowadził z nim kilka umoralniających rozmów, podczas których wymusił przyrzeczenie, że syn wreszcie zakończy „ten chory układ”.

Tak więc Mati gnał taksówką w stronę „Hefflera”, gdzie znajdowała się już Antonina, a w głowie miał chaos. Owszem, przyrzekł sobie, że ze względu na bezpieczeństwo przyszłego potomka zerwie z kochanką. Trafiły do niego argumenty ojca, który przekonywał, że po urodzeniu dziecka będzie mu jeszcze trudniej, gdyż najzwyczajniej nie będzie miał już na nic czasu.

Mateusz, człowiek jeszcze bezdzietny, nie za bardzo umiał sobie wyobrazić, że opieka nad dzieckiem będzie mu zajmowała tyle czasu, by nie mógł wyrwać się z domu choćby na parę chwil, ale ojciec był przekonujący.

– Wykończysz się, jeśli będziesz tak latał od jednej do drugiej! W końcu cię przyłapią. Jak nie jedna, to druga, albo obie naraz – wróżył złowieszczo podczas wczorajszego śniadania w Niedźwiedzim Rogu, kładąc sobie na chleb tyle plastrów szynki i pomidora, że nie mógł go potem pomieścić w ustach i, szczęśliwie dla Mata, umilkł, zajęty przeżuwaniami.

Tymczasem taksówka zjechała z obwodnicy i szybko zbliżała się do położonego nieopodal plaży i zbudowanego w stylu marynistycznym budynku. Mati, gryząc dolną wargę, otępiłym wzrokiem omiatał imponujące sopockie wille, oświetlone bladym zimowym słońcem.

Jak tak dalej pójdzie, jeśli będzie tak rozmiękał się na drobne, faktycznie wypieprzą go z roboty. Wtedy zobaczy, jak to jest naprawdę. Jak się żyje życiem ameb. Będzie troszczył się tylko o zdobycie pokarmu i zapewnienie schronienia. Taki los będzie mu pisany, jeśli w porę się nie opamięta!

Jednak myśl o zerwaniu była niewyobrażalna. Nie to, żeby bał się reakcji kochanki! Tu Mateusz z gniewnie zmarszczonymi brwiami rzucił niespokojne spojrzenie na przelatujące za oknem morze.

Na pewno nie ma sensu robienia tego tutaj, na wyjeździe służbowym, gdy dookoła pełno ludzi. Kto wie, jak by się zachowała! Choć sądząc z tego, co wydarzyło się między nimi w ostatnich dniach, mogła się czegoś domyślać...

W razie czego miał w zanadru opowiastkę o cyklofrenii. Na szczęście jeszcze jej nie wykorzystał. Zresztą zrobi dokładnie tak, jak wczoraj postanowił: nie będzie stronił od kontaktów z nią, ale nie będzie też namiętnie ich poszukiwał. Może samo jakoś rozejdzie się po kościach...

– Proszę pana, słyszy mnie pan? – przyjaźnie zawołał taksówkarz, stojąc z jego walizką koło drzwi. Więc już byli pod „Hefflerem”! Tak szybko! Zabawne, jak mu zleciała ta podróż. Złośliwa pamięć podsunęła mu obraz, jak rok temu jechał na podobny wyjazd integracyjny, tyle że do Zakopanego. Jakże inne miał wtedy nastawienie, jakże lekko mu było na duszy! I jak

strasznie dłużyła mu się wtedy trasa. Jak niecierpliwiał się, by zobaczyć Antoninę...

Przyoblekając maskę beztróskiej pogody, wysiadł energicznie, zapłacił taksjarszowi, złapał walizkę i sprężystym krokiem ruszył po marmurowych schodach, przelotnie zerkając na zawieszane nad recepcją zegary. Była dziesiąta piętnaście. Pewnie już po śniadaniu.

Pospiesznie się meldował, jednocześnie nerwowo rozglądając. Od recepcjonistki dowiedział się, że firma Telecommerce miała teraz zajęcia w grupach. Po kilku minutach udało mu się ustalić, że grupa marketingowa znajduje się w Sali Heweliusza.

Zostawił walizkę w swoim pokoju, po czym ruszył w stronę tamtej sali. Idąc korytarzem, zerknął na wyświetlacz telefonu. Żadnej wiadomości, a więc Antonina ani nie odpisała, ani nie oddzwoniła, choć przez cały weekend wydzwaniał do niej jak najęty. Chciała go ukarać, a tymczasem ułatwiała mu sytuację.

Usiłował sam siebie przekonać, że to dla niego lepiej. I nawet prawie mu się udało. Jedyne, co psuło mu humor, to owe zajęcia w grupach. Z tego, co pamiętał, właśnie dziś miała się odbyć kolejna sesja „procesu ozdowieńczego” jego działu.

Nieco zbyt śmiało zastukał w drzwi i otworzył je energicznie, szczerząc zęby w rozbrajającym uśmiechu.

– Dzień dobry! Widzę, że wpadłem w sam środek czegoś ekscytującego! Doskonale się bawicie – podsumował najkrócej, jak mógł, widok, który roztaczał się przed nim niczym scena ze złego snu. Na środku stała coacherka Zuzanna, rozdając kartki czujnym i niespokojnym członkom jego zespołu. Mateuszowi krew napłynęła do twarzy, lecz niczego nie dał po sobie poznać.

– Wejź, Mateusz! – Wiktoria przywitała go luzacko, a zarazem profesjonalnie. – Siadaj! Jesteśmy tu wprawdzie od dziewiątej, ale Zuzanna postara się cię zupdatować^[73]...

Mateusz widząc, że szykują jakieś nowe ćwiczenie, aż jęknął. Pomału doszedł do pierwszego wolnego krzesła i opadł na nie w geście rezygnacji.

– Widzę, że tryskasz entuzjazmem – kontynuowała Wiktoria z pewnością siebie, która dawała Matiemu wiele do myślenia. – Zuzanno, powiedz Matiemu, o co chodzi, widać, że chłopak zmęczony po podróży!

Gorliwa trenerka zaczęła coś bredzić na temat ważności technik komunikacyjnych, lecz myśli Wencla odpływały w kierunku poufałych konszachtów Wiktorii z nowym dyrektorem zarządzającym, Patrickiem Duchamps'em.

Zapewne korzystając z jego nieobecności, oczerniała go, ile wlezie. Pytanie tylko jak? Donosząc, że w ich dziale szwankuje komunikacja? To wprost śmieszne.

A jeśli chodzi o „inne sprawy”, to mogła się domyślać, ale za rękę go nie złapała. Z Maruszewiczem wszystko załatwiali „na gębę” i to na świeżym powietrzu. A więc głównie na niego miała. Kalkulując w ten sposób i niemal w parę sekund ogarniając sytuację psychologiczną panującą na sali, szybko doszedł do wniosku, że nic mu nie mogła zrobić.

Nie wypieprzą go przecież z firmy za złe komunikowanie się i utrudnianie zajęć „oczyszczających”. Kogo wezmą na świadków: te dwie pindy? Coacherkę Zuzannę i jej szefową Wiktorię?

Może i powinien bardziej kalkulować, może powinien być bardziej ostrożny, bo przecież za góra dwa miechy rodzi mu się pierworodny syn i niedobrze byłoby stracić pracę, ale, kurwa żeż mać, nie pozwolił pomiać sobą ani swoim zespołem!

Te zajęcia są nieludzkie. I oni, zgrany, zabawny zespół pełen ciekawych ludzi, mają się poddać temu bezmyślnemu terrorowi?

O, niedoczekanie twoje, modliszko! Chory wykwiecie ułomnej współczesności.

Rozparł się wygodnie i szybko zaczął rzucać żarciki w ucho siedzącej obok Justyny.

Potoczył po zebranych w półkolu beztróskim, komicznym wzrokiem i z zadowoleniem odnotował, że ludzie jakby odtajali. Oddychali głębiej, z twarzy zniknął wyraz tajonego niepokoju. Tymczasem Zuzanna jakby nieco się spięła i teraz wyczekująco patrzyła na szefową.

– Kontynuuj zajęcia, Zuzanno! – uprzejmie odezwała się do niej Wiktoria, choć w jej głosie słychać było nutę przygany.

– Teraz zrobimy takie fajne ćwiczenie na otwartość i dawanie feedbacku – zaczęła coacherka sztucznie ożywionym tonem. – Czy wszyscy wiecie, co to jest *feedback*? Oj, znowu cisza. – Rzuciła Wiktorii porozumiewawcze spojrzenie, aż nadto czytelne.

Jest cisza, bo on tutaj wszedł i knebluje swoim pracownikom usta, blokuje ich spontaniczność! A mówiąc wprost, boją się przy nim otwarcie podlizywać i ulegać tyranii paskudnej Wiktorii. A jeszcze inaczej rzecz ujmując – on jest ostatnim bastionem dobrego moralnego prowadzenia się. Paradne!

Na głos zaśmiał się do swych myśli. Wszyscy na chwilę spojrzeli w jego stronę, lecz nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Bawiło go niezmiernie, że wbrew temu, iż w świetle prawa korumpował, a w świetle religii cudzołożył, czuł się tutaj najzdrowszą moralnie jednostką! Był jak znak drogowy, wytyczał im kierunek, a oni doskonale o tym wiedzieli, dlatego go popierali. Nie prawił im kazań, nie szkolił, nie prał mózgow, nie oceniał, ale zawsze potrafił im pomóc i dbał o stan ich zarobków. Tak, w całej tej złej sytuacji, w której się znalazł, mógł o sobie powiedzieć jedno: był dobrym szefem i jako dobry szef musi teraz zostać na mostku kapitańskim do końca, nawet jeśli „Titanic” już tonie. Albo jeśli okręt Odyseusza już tonie, by utrzymać dotychczasowy tok myślowy, oscylując jednak wciąż wokół marynistyki.

– *Feedback* to umiejętność dawania komuś informacji zwrotnej na temat jego pracy – oświecała ich podekscytowana Zuzanna. – Zawsze trzeba umieć podać negatywną informację, ale ubrać ją w dwie warstwy pozytywu, na początku i na końcu, kanapkowo – przekonywała gorąco.

Mati aż zagapił się w okno, zdumiony. A więc „pracownicy” albo – mówiąc ich nowomodnym żargonem – „modele zespołów” byli teraz szczegółowo analizowani. Opracowywano komunikację międzyludzką w najdrobniejszych detalach. Formy i formuły, po których należało się poruszać, przypominały kręty labirynt uniemożliwiający zobaczenie szerszej perspektywy.

Wyglądało to tak, jakby świat miał zamiar sam zadusić się procedurami. Powstawanie firm-molochów ułatwiała prześlizgiwanie się w nich niczego nieumiejącym obibokom, zerującym na ludzkich słabościach. Wiktoria, która sama nie potrafiła niczego dokonać, gładko przechodziła kolejne szczeble korporacyjnej kariery, załatwiając niewygodnych, wystających poza sztancę, nieobrabialnych ludzi, a tych, którzy się poddawali, przemieniając w bezwolne owce, działające zgodnie z procedurami, komunikujące się zgodnie z procedurami, może nawet srające według procedur.

A może jednak czas odejść?

– Tak więc, skoro wiecie już, jak dawać *feedback*, to weźcie, proszę, te kartki i napiszcie dwa pozytywne zdania o każdym z kolegów, który się znajduje na sali – zakomenderowała Zuzanna.

– Coś mi mówi, że w drugiej rundce już będzie mniej przyjemnie? – zagaił Mati znienacka.

– Mateusz, mów jaśniej. Nie bardzo zrozumiałam – odparła trenerka, znów ukradkiem rzucając Dziedzic spojrzenie mające ustalić, czy dobrze się odezwała.

– Myślę, że w drugiej rundce będziemy pisać o kolegach dwa zdania negatywne? – Mati mówił bardzo dobitnie, jakby znacząco. Wzrok wszystkich skupił się na nim.

– Tak, bo aby dobrze funkcjonować w korporacji, musimy nauczyć się przekazywać też

negatywną informację zwrotną – sucho odparła Zuzanna.

– Doskonale więc! – Mina Mateusza nie wróżyła niczego dobrego.

– Zaczynajcie. Pamiętajcie: dwie dobre rzeczy o każdym z kolegów!

Zapadła cisza, przerywana tylko odgłosami szeleszczących kartek i zgrzytaniem długopisów. Za oknami zimowe słońce oświetlało dostojne sopockie wille – w tej sytuacji widok ten przypominał obrazek z innego świata, do którego nie mieli dostępu. Wspomnienie normalności, z której zostali okradzeni, a potem wrzuceni tutaj. Przypadkowa zgraja, dziobiąca się nawzajem – na tyle słabo, by zachować pozory kurtuazji, ale na tyle mocno, by uświadomić innym, że jest się u sterów i panuje nad sytuacją. A może szurnięty Piotruś miał rację? Może życie nie musiało tak wyglądać?

Tymczasem trenerka znów rozpoczęła zajęcia od siedzącego z brzegu Misia.

– A więc o Justynie! – Miś podrapał się po głowie, by zyskać na czasie. – Jest zawsze pomocna! Taka nasza działowa mamusia...

– Ale, ale, Misiek! Zwracaj się bezpośrednio do Justyny – coacherka zgasiła jego przedwczesną wesołość. – Na tym polega całe ćwiczenie!

Misiek, zbesztany i zakłopotany jak tępy uczeń w oślej ławce, powtórzył całą kwestię, patrząc Justynie w oczy. Mat, który zawsze potrafił rozbroić śmiechem każdą sytuację, teraz, głęboko zażenowany, ukrył twarz w dłoniach, starając się uciec myślami jak najdalej. Co chwila dobiegały go odgłosy sztucznej, ugrzecznionej wesołości, które starał się wypierać, by nie zrobiło mu się niedobrze. Nagle usłyszał, że Misiek, rumieniąc się ze wstydu (najprawdopodobniej, bo Mat nie miał siły na to spojrzeć), komplementuje Dziedzic:

– Wiktorio, doceniam twój profesjonalizm!

Wprawdzie powiedział to tonem lekko ironicznym, ale i tak Wencel niemal dostał mdłości.

Już miał zamiar ostentacyjnie zrezygnować z udziału w przedstawieniu, ale wtedy przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. Weźmie udział w części pozytywnej tylko po to, by móc dojść do negatywnej i wtedy... Tymczasem nadeszła jego kolej. Wybrnął w ten sposób, że niczego nie mówił na serio. Justynie powiedział, że parzy świetną herbatę z automatu, Misiowi, że w sposób niemal niezauważalny podbiera z firmy długopisy. Przy Wiktorii celowo bardzo długo się zastanawiał, jakby nie mógł doszukać się niczego. W końcu, po przedłużającej się ciszy, popartej komicznym wyrazem twarzy, jakoby nerwowo się zastanawiał, rzekł:

– Wiktorio! Masz na biurku bardzo ładny zszywacz!

Zapadła cisza, przzerwana nagłym zbiorowym chichotem. Dziedzic, nie wiedząc, co odpowiedzieć, rzuciła mu tylko złośliwe podziękowanie. W końcu upiorna, podszyta zakamuflowanym lizusostwem część dobiegła końca.

– A teraz napiszemy dwie negatywne opinie o każdym z kolegów. Starajmy się przekazać je w tak sposób, jak mówiłam. Przypominam: nie obrażając, a mówiąc o własnych odczuciach, które to negatywne zachowanie w nas wywołuje! Może teraz zaczniemy od końca. Paulinko, zaczniesz?

– Miśku, bardzo doceniam dobrą robotę, którą dla firmy robisz, jednak czuję się zakłopotana, że tyle razy muszę dopraszać się o raporty od ciebie. Nie podoba mi się, że trzeba ci zawsze o nich przypominać i próbujesz je zwalić na kogoś innego...

– Hola, hola! – profesjonalnie interweniowała Zuzanna. – Pierwsza część była świetna, ale potem trochę za dużo mówiłaś o tych negatywach. Pamiętajcie, by nigdy nie używać wyrażen „ty zawsze”, „ty nigdy”... One ranią i powodują zamykanie się drugiej osoby.

Mati z założonymi rękami obserwował, jak Paulinka wytyka wszystkim po kolei uchybienia, celowo dobierając takie, na których Wiktorcia łatwo mogłaby się potem oprzeć, gdyby

musiała w niedługim czasie typować ludzi do zwolnień. Misiek był leniwy, Justyna zbyt drobiazgowo i nie umiała działać elastycznie pod klienta, Sławek był zamknięty w sobie, w związku z czym miał trudności w kontaktach z ludźmi... i w ten oto sposób Paulinka dotarła do Mateusza...

– Mati! Doceniam twój profesjonalizm, ale nie zawsze podoba mi się, jak traktujesz kobiety – zaczęła. Patrzyli sobie w oczy, nie mrugając. Obojgu musiały przypominać się w tej chwili wspólnie spędzone noce, jednak dopiero teraz Mati zrozumiał, że dla niej one mogły coś znaczyć, podczas gdy on, na wpół pijany, rzadko kiedy pamiętał same wieczory, co najwyżej ciężkie, skacowane i pełne jej obrzydliwych umizgiwań poranki. – Chciałabym, żebyś nie nadużywał swojej roli szefa... ot, choćby, między innymi... do wypowiadania seksistowskich uwag!

Mati oblał się ciemną purpurą. Już chciał jej odparować, by nie pchała się facetom na siłę do łóżka, ale w końcu zmilczał. Wdawanie się w pyskówkę z tą małą maglarą zaszkodziłoby mu jeszcze bardziej. O ile to w ogóle było możliwe.

Siedział tak rozwścieczony, że wręcz nie mógł się doczekać, kiedy przyjdzie jego kolej i będzie mógł się dobrać do Wiktorii – wrednej modliszki, która urządziła im tu takie publiczne pranie brudów, że nie mógł sobie w ogóle wyobrazić, jak teraz mieliby wspólnie pracować, jak tworzyć zgrany zespół!

Wreszcie nadeszła jego kolej. Leciał po nich, pospiesznie, niecierpliwie, nie mogąc się już doczekać Wiktorii. Wytykając im wady, był złośliwy, jednak starał się nie przekraczać granicy dobrego smaku ani nie wskazał żadnego poważnego uchybienia swoich pracowników, które potem podła Wiktorii mogłaby wykorzystać. Wreszcie nadeszła jej kolej.

– Droga Wiktorio! – specjalnie przeciągał sylaby, rozkoszując się chwilą. – Bardzo szanuję to, że chcesz poznać bliżej zespół, do którego dołączyłaś. Jednak powiem szczerze, że sposób, w jaki działasz (tu mam, oczywiście, na myśli cały ten twój „proces”), uprawia mnie w zażenowanie. Wybacz, może to moje prywatne odczucie... – z premedytacją stosował zaproponowane przez coacherkę zwroty – ...ale mam wrażenie... naturalnie mogę się mylić... Dobrych sformułowań używam, Zuzanno? – Wreszcie poczuł, że żyje, więc osiągał szczyty swej komicznej błazenady, niepozbawionej jednak głębokiego sensu. Na sali panowała kompletna cisza. – Tak więc mam bardzo prywatne i subiektywne odczucie, że to ty jesteś osobą zablokowaną psychicznie i poprzez te treningi usiłujesz nas poznać. Co więcej, usiłujesz wydobyć kompromitujące informacje o nas, a my możemy się tylko domyślać, jak je w przyszłości wykorzystasz. Wybrałaś dziwną, podstępłą metodę, bo nie potrafisz osiągnąć celu w sposób normalny, obcując z ludźmi na co dzień. Wydaje mi się, że poznać nas mogłabyś w okolicznościach dużo sympatyczniejszych, ot, choćby idąc z nami na piwko! Takie maltretowanie psychiczne naprawdę nikomu nie służy ani nie integruje zespołu...

– Skończyłeś już? – Wiktorii spytała z zimną furią.

– Nie, czekaj! Przecież musi się skończyć czymś pozytywnym... – Zamilkł, jakby usilnie starał się znaleźć owe pozytywne zakończenie.

Zapadła cisza. Kątem oka Mat zauważył, że Wiktorii patrzy na Zuzannę z nietłumioną wściekłością i daje jej jakieś znaki.

– No dobrze! – Trenerka ogarnęła się w końcu pod spojrzeniem zleceniodawczyni. – A więc... Mati, dobrze mówię? – Zerknęła na niego, czekając na aprobatę, lecz nikt na sali nie wierzył, że nie pamiętała jego imienia. A on nie mógł się powstrzymać przed posłaniem coacherce lekko prowokującego spojrzenia, na co nieszczęsna pogubiła się na dobre, jednak mobilizowana wzrokiem Wiktorii podjęła: – No więc, Mati, jak rozumiem, ty masz problem z naszym procesem, tak?

– Taaak! – zawołał radośnie, a zarazem komicznie, jakby ciesząc się, że wreszcie zrozumiała aluzję.

– Czyli, jednym słowem, nie chcesz brać w nim udziału?

– Nie!

– Być może jednak to ty masz jakiś problem, nie pomyślałeś o tym?

– Absolutnie nie!

– Czemu więc nie chcesz go kontynuować? – nalegała Zuzanna pod czujnym okiem szefowej. Przypominało to trochę zabawę z podstawówki, a jednak było jak najbardziej rzeczywiste. Świadomie siedziało tu około piętnastu dorosłych, zdrowych psychicznie, wolnych i nienajgorzej wykształconych ludzi!

– Bo nie wiem, czemu on służy! – zadrwił Mati z narastającym poczuciem pewności siebie. Wokół słyszał pomruki współpracowników wyrażające coraz głośniejsze wsparcie jego buntu. A więc nadal miał ich po swojej stronie.

– To my mamy wiedzieć, czemu służy ten proces, nie Zuzanna! – zniecka krzyknęła Wiktoria, najwyraźniej nie mogąc się dłużej opanować. Jednocześnie patrzyła na trenerkę pałającym wzrokiem. Miała do niej żal, że została zmuszona do takiego wystąpienia. Przecież to Zuzanna powinna była to powiedzieć sama z siebie!

– Właśnie! – nerwowo podchwyciła Zuzanna. – Przecież proces jest waszą decyzją! Z waszych odpowiedzi w teście wynikało, że nie jesteście zadowoleni z komunikacji. To co? Nie jesteście zadowoleni, ale nie zamierzacie tego usprawnić?

– Nie w ten sposób, jeśli mamy wybór – spokojnie odezwała się Justyna. Mati rzucił Wiktorii szybkie spojrzenie mówiące: „No i co? Jeden zero dla mnie!”.

– Czy możemy zrezygnować z procesu, Wiktorio? – odezwała się Justyna, teraz bezpośrednio do samej Dziedzic.

– Ależ, kochana, rób, jak uważasz. – Tamta uśmiechnęła się złowieszczo. – Czy ktoś jeszcze rezygnuje? – zazgrzytał jej napięty głos.

– Ja.

– I ja.

Wszyscy po kolei podnieśli ręce. Ostatnia zrobiła to Paulinka. Koniunkturalna bładź.

– Dobrze więc. – Wiktorii lekko trząśł się głos. – Dobrze, zrobimy przerwę na kawę.

A potem pogadamy. Do lunchu macie czas wolny...

Mati, otoczony garstką buntowników, zmierzał w stronę kawiarni hotelowej. Wygrali tę bitwę, a jednak z wolna ogarniała ich niepewność. Śmieszki i żarty brzmiały sztucznie, wesołość była na wyrost. Jedni drugich podnosili na duchu. Zajęli dwa sąsiadujące stoliki, wzięli napoje i wtedy Wencel uznał za stosowne przemówić:

– Słuchajcie, nie pękajcie! W razie czego wezmę to wszystko na siebie.

– Wiemy, Mati – zabrzmiał spokojny głos Justyny. Uśmiechnął się do niej ciepło i właśnie z takim uśmiechem na twarzy zobaczyła go wchodząca do kawiarni Antonina. Antonina szczupła i strzelista niczym modelka. Antonina w pięknym granatowym żakiecie. Z platynowymi włosami związanymi w ciasny kok. W okularach z samego szkła, bez ramek.

Wencel zamilkł, uśmiech zniknął z jego twarzy, jak zmieciony wiatrem. Nie patrzyła na niego, a jednak był przekonany, że go widziała. Stała z Vince'em i kilkoma prawnikami Guy. Wśród nich był również od dłuższego czasu niewidziany przez Mateusza Kwaśniak.

Mati widział, jak jej szef coś do niej mówi, po czym ona odpowiedziała, a Vince wybuchnął nieproporcjonalnie gromkim do sytuacji śmiechem. Antonina, choć zimna jak ulepiona z lodu, zdawała się rzucać im zagadkowe, prowokujące spojrzenia. Mateusz znał każdy ruch jej ciała i każde wygięcie ust, czytał więc z niej teraz jak z otwartej książki. Wypuściła na

tych mężczyzn swe trujące, niewidzialne wici, a oni lepili się do niej jak muchy do miodu. Nie mieli nawet świadomości, że byli właśnie wciągani w pułapkę. Jedyłą tego oznaką było to, że prześcigali się w żartach i stali coraz bliżej niej, jakby włączyła magnes.

Ależ mieli używanie, ale dla nich była to gratka. Antonina dawno już nie wydała takiej uczty – przez bardzo długi czas jej wdzięki, jej wabiki, jej spojrzenia – wszystko to było zarezerwowane dla Mateusza. Naturalnie oni o tym nie wiedzieli, wiedzieli jedynie, że nie wysyłała do nich żadnych „sygnałów”, była jak martwa. „Antonina nie jest ostatnio sobą” – mówili. Na tym wyjeździe znów była w formie, znów dostarczała im wrażeń, dla których warto było jeździć na takie szkolenia!

Mati oddychał powoli, jakby z trudnością, lecz trwało to tylko chwilę. Po prostu wzięła go przez zaskoczenie. Naturalnie robiła wszystko z premedytacją i tylko po to, by wzbudzić w nim zazdrość! Lecz mimo że tak to sobie wytłumaczył, nie mógł opanować ogarniającej go cichej furii.

Zamyślony i nieswój, znów odwrócił się w stronę wesołej grupki z Guy – i od razu zobaczył, jak przebrzydły, niemal śliniący się Vince żartobliwie grozi Antoninie włochatym paluchem, na co ona przytyka swój palec do warg, jakby chcąc go uciszyć.

Brzdęk! Szkło, które Mateusz ścisnął w ręce, rozprysło się na milion kawałeczków. Wszyscy z hurgotem krzesel i okrzykami zaskoczenia poderwali się z miejsc.

– Cholera jasna! – Mat z niezadowoleniem strząsnął z dłoni resztki przyklepionego szkła i wstał z miejsca. Woda ze szklanki bryzgnęła dookoła, plamiąc jego eleganckie spodnie.

– Krew ci leci. Chodź do łazienki. – Niezawodna Justysia, „działowa mamusia”, jak przed chwilą określił ją Miś, już prowadziła go za drugą rękę. Musieli minąć gapiącą się na nich grupkę, więc Mat, przechodząc parę centymetrów od Antoniny, nie omieszkał obrócić tej sytuacji na swoją korzyść, tak by jak najszybciej się na niej odegrać.

– Aj, aj, boli! – zawołał teatralnie, mrugając do Vince’a szelmowsko, a jednocześnie mocniej ścisnął prowadzącą go Justysię. Spowodowało to natychmiastową reakcję żabojada.

– Ech, Mat, *tu es fou*^[74], zrobisz wszystko, by pójść z kobietą do *toilette* na małe *tête-à-tête*! Nawet się kaleczyć!

Znikając za zakrętem, Mateusz odwrócił się jeszcze do nich i żartobliwie pogroził Vince’owi palcem. Na Antoškę nawet nie spojrzął!

Znał ją doskonale i wiedział, że nawet takie błahe żarty potrafią kompletnie wyprowadzić ją z równowagi. Wkładając do umywalki dłoni i patrząc, jak krew barwi spływającą wodę, w duchu obmyślał już dalsze gierki. Bo choć ta sytuacja jemu samemu sprawiała, hm, prawie ból, to jako wybitny taktik nie mógł nie wykorzystać jej do zrealizowania swego planu.

Jeżeli ona nadal będzie flirtowała mu przed nosem, odpłaci jej w dwójnasób. Gra taka, choć bolesna dla obojga, może być o tyle zbawienna, że tak się na siebie pogniewają, że przestaną w ogóle do siebie dzwonić. On może później palić głupa i mówić, że wściekł się o jej zachowanie i nie mógł jej darować. A znając jej zapiekły charakter, prędko do niego nie zadzwoni. Może nawet już nigdy!

W sumie sama to rozpoczęła! Wydzwaniał do niej nawet z Münsteru (tyle razy wmawiał sobie ten wyjazd do Niemiec, że zdawało mu się, jakby naprawdę tam był), wydzwaniał w ostatni weekend. Nie odbierała! Miała dość! Czy więc ma ją błagać w nieskończoność? I on ma prawo mieć dość!

– Wiesz, Justysiu? – zagaił do stojącej obok koleżanki, która właśnie wróciła z recepcji z kawałkiem bandaża i teraz zręcznie owijała mu kciuk.

– Tak? – Nie śmiała nawet podnieść na niego oczu. Opatrywała mu palec z zapalem harcerki zakochanej w druhu drużynowym.

Doskonały materiał na dzisiejszy wieczór. Idealna, bo nieśmiała – więc nie nachalna!
– Zaimponowałaś mi dzisiaj odwagą cywilną! Wiedziałem, że jesteś w porządku, ale nie miałem pojęcia, że tak się modliszce postawisz... – Stali bardzo blisko, więc poufale zniżył głos.
– Daj spokój, Mat! Przestań brać mnie na swoje plewy – burczała, udając zagniewaną, ale widać było, że komplement sprawił jej przyjemność.
– No! Gotowe! – zakrzyknęła z żołnierskim zapałem. Czyżby chciała pokryć zmieszanie?
– Idziemy?

Nie odpowiedział, a zamiast tego uśmiechnął się i popatrzył na nią jednym ze swych niezawodnych, do perfekcji wytrenowanych spojrzeń słodkiego łobuziaka.

Tę dziwną ciszę przerwał dźwięk otwierających się drzwi. Do toalety wkroczyła rozjuszona Wiktoria.

– A co wy tu robicie? – wyraziła swoje zaskoczenie, nie bez poczucia humoru.

– Tnę sobie żyły, nie mogąc znieść tego, że zepsułem twój proces – zaczął błaznować. Doskonale, że zapytała o to w łazience. Tutaj i teraz może jej przedstawić swoje stanowisko lekkim tonem, więc i jej samej łatwiej będzie przyznać się do porażki.

– Słuchajcie, jeśli o mnie chodzi... – Odęła lekceważąco wargi i rozłożyła ręce, jakby dawała do zrozumienia, że nic jej to nie obchodzi, bo problem leży po ich stronie. Zdążyli się już przyzwyczaić do sprzecznych masek, które przybierała, zwłaszcza w mniejszym gronie. Zawsze wtedy udawała luzaczkę, by za chwilę – zwłaszcza gdy na horyzoncie pojawił się ktoś ważniejszy – przywdziać maskę gorliwej służbistki, fanatycznie wyznającej *core values*^[75] korporacji. – Powiedźcie reszcie, że zawieszamy proces do momentu, gdy sami zdecydujemy, by go wznowić! Zresztą zaraz poinformuję ich osobiście, bo zbieramy się na lunch, tak? – Nie czekając na odpowiedź, wmaszerowała do kabiny i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

Doszła do wniosku, że nic nie poradzi na ich bunt i postanowiła robić dobrą minę do złej gry. Miała rację. Choć plują, udawaj, że pada deszcz. Nie bez kozery dostała tak wysokie stanowisko w korporacji, palenie głupa było jej mocną stroną.

Zwyciężył. Zawiesiła idiotyczne spotkania. Pytanie tylko, na jak długo. Zbyt dobrze ją znał, by uznać, że się poddała. Doskonale wiedział, że był solą w jej oku i że suka nie spocznie, póki nie doprowadzi do jego zwolnienia. Chwilowo jednak nie udało się jej i należało się z tego cieszyć.

Spojrzał na Justynę z miną wyrażającą triumf, ale jednocześnie tak komiczną, że biedna dziewczyna ledwo zdążyła wybiec z łazienki, by na korytarzu wybuchnąć śmiechem. Mat wyskoczył w ślad za nią. Wszyscy zwrócili się w ich stronę! Wencel zdążył jeszcze uśmiechnąć się z rozleniwieniem, upodabniając się do kocura, który właśnie napił się słodkiej śmietanki.

Jedni patrzyli ze zgorzeniem, inni uśmiechali się pobłaźliwie, kiwając głowami. Ach, ten Mat! On nigdy się nie zmienia! Bo żeby poważny dyrektor marketingu wchodził do damskiej toalety w towarzystwie chichoczącej podwładnej? Lecz on sam już nawet nie rejestrował tego wszystkiego, gdyż gorączkowo przeczesywał wzrokiem hol w poszukiwaniu tego jednego widza, dla którego całe to przedstawienie było przeznaczone.

Lecz smukłej kobiecej postaci w eleganckim granatowym kostiumie nigdzie nie było widać. Tak go to zirytowało, że nie usłyszał nawet żartów swoich kolegów, a podczas lunchu siedział ponury i milczący do tego stopnia, że co chwilę ktoś pytał, co mu jest.

Po posiłku znów podzieleni zostali na grupy robocze. Mat znalazł się w uprzywilejowanej grupce menadżerów wyższego stopnia. Zarząd na czele z drewnianym Duchamps'em miał im przekazać ściśle tajne informacje dotyczące szczegółów połączenia z Unitelem.

Prezentacja, składająca się z niemal samych cyfr, była tak przeraźliwie nudna, że ledwo mógł utrzymać oczy otwarte i z trudnością powściągał rozdzierające ziewanie. Jego niespokojne

myśli co chwila odpływały w stronę kochanki. Kilka razy bezwiednie sprawdzał telefon.

W końcu był już tak wyczerpany, że prawie usnął. Z letargu wyrwały go owacyjne brawa. Poderwał głowę i ujrzał, że Duchamps schodzi z podwyższenia. Błazny, pajace, lizusy, włazodupy, wazeliniarze cholerni – zżymał się, przyglądając się klaszczącym zapamiętałe kretynom. Nie miał dziś ochoty na żadną „politykę”. Chrzani ich wszystkich. Nie będzie się z nimi siłował. Jeżeli korporacja zmieni się na jeszcze gorsze, on już się przed tym nie ukorzy. Nie będzie balansował na cienkiej granicy dobrego smaku i ordynarnego włożenia komuś w dupę.

W czasie kolacji siedział z kamienną miną, nie racząc nawet odezwać się do zebranych przy stoliku. A ponieważ miał dziwną moc wpływania na nastroje innych, humory siadły wszystkim dookoła.

– Mat, coś ty taki nie w sosie? – Justysia uśmiechnęła się do niego. – Wyczerpałeś całą energię twórczą na wystąpienie przeciwko tyranii Wiktorii czy co?

W tym momencie zobaczył wchodzącą do sali Antosię. Poczł ukłucie w żołądku, a potem adrenalina rozplęła się po całym jego ciele. Fluidy życiowe wróciły w okamgnieniu. Ewidentnie „coś” w niego wstąpiło! Coś, co przydawało jego ruchom energii, a mowie elokwencji.

– A może oszczędzam tę energię na później, nie pomyślałaś? – Uśmiechnął się zmysłowo, po czym popędził Miśka, by nalał wszystkim wina. Teraz mógł już błaznować do woli. Już on jej pokaże, kto tutaj jest górą. Śmiał się, dowcipkował, zabawiał towarzystwo tak głośno, że siedzący przy dalszych stołach odwracali oczy w ich kierunku. Jednak po pewnym czasie jego zapach zaczął zanikać, albowiem Antosia nie spojrzała na niego ani razu.

Nawet potem, kiedy zaczęły się tańce, a wszyscy ruszyli do baru pić, nie mógł ani na moment złapać jej spojrzenia. Zaczynało to przypominać tamten ich pierwszy wieczór, kiedy jeszcze nie byli razem, kiedy nic ich jeszcze nie łączyło i robili sobie nawzajem na złość.

Teraz też niby robili to z premedytacją, lecz była w tym jakaś niewyobrażalna ostateczność. Tak jak wtedy, stanął przy barze, czekając, że może podejdzie do niego, stanie obok i powie to, na co czekał cały wieczór. Wbrew wszystkiemu, co racjonalne, wbrew swoim zamierzeniom, kiedy pod wpływem alkoholu zajrzał we własną duszę, zobaczył straszną prawdę.

Nie uporał się z romanssem. Nie chciał się z nim uporać. Niechże stary bredzi, co chce! Przecież i on kiedyś był młody, a z tego, co Mat wiedział, starszy dmuchał wtedy na lewo i prawo. Czemu więc uwziął się na niego? Cholerny zgred!

To chemia pchała go do niej, chciał tego czy nie!

Nie musiał obracać głowy, bo niemal instynktownie ją wyczuwał. Nie patrzył na nią, a jednak widział, że zerkąła na niego. Byli jak dwa walkie-talkie nastawione na odbiór tylko siebie samych. Tu, w tej sali, nie istniał dla niego nikt inny.

I może właśnie dlatego, że wreszcie sobie to uświadomił, w końcu podeszła do niego. Czł zresztą, że zmierza ku niemu, nim ją jeszcze dojrzał. Stała obok, bez słowa patrząc przed siebie, na podświetlony na kolorowo barek.

– Czego się napijesz? – wychrypiął zmienionym z emocji głosem.

– Wódki. Podaj numer swojego pokoju, nim ktoś do nas podejdzie – odparła chłodno, jakby omawiali jakąś kwestię prawną. To lubił. Jego dziewczynka.

– Sto siedemdziesiąt, przy samych schodach. Pójdiesz na górę schodami, skręcisz w lewo. Pierwsze drzwi. Będą otwarte. Teraz pójde i powiem wszystkim, że za dużo wypilem i muszę wrócić do pokoju. Odczekaj pół godziny, ale nie dłużej, bo mnie tam szlag trafi.

Zrozumiałaś?

Uśmiechnęła się do niego samymi oczami, po czym zabrała wódkę i odeszła do swego

stolika.

Tymczasem on, niepomny, co przysięgał wczoraj starszemu, i nieprzytomny z niecierpliwości, podszedł do swoich marketingowców z ponurą miną – zacznem pod informację o rychłym udaniu się do łóżka.

– Cóż to? Znów ci wrócił zły humor? Hej, chodź, zatańczymy. – Justyna, najwyraźniej wcięta, wstała i lekko się zachwiała, po czym padła w jego ramiona. Podtrzymał ją, ale tknięty jakimś złym przeczuciem, odparł z wahaniem:

– Justysiu, Ptysiu, wiesz, że cię kocham, ale mam tak w czubku i ogólnie jestem w takim nieciekawym stanie, że daruj mi... Nie każ mi tańczyć!

Duże, ciemne oczy Justysi przypominały ślepią proszącego spaniela.

– Nie, proszę, nie patrz tak! No dobrze już, dobrze! – Wziął ją za rękę i ruszyli na parkiet, na którym kręciło się już sporo par. Rozgorączkowanym wzrokiem przeleciał stoliki. Zobaczył Antosię siedzącą z Woźniakiem, Nawrockim i... tą kanalią! Kwaśniakiem!

Skurwiel nawet nachylał się w jej kierunku... Mat odwrócił głowę i bezwiednie zacisnął palce na talii Justyny.

Najwyraźniej odebrała to dwuznacznie, bo objęła go mocniej, z czego zdał sobie sprawę dopiero po dłuższej chwili, albowiem głowę miał tak nabitą Antošką, że zapomniał, gdzie jest i co robi. Próbował Justysię ostudzić, lecz kleiła się do niego bez skrpułów. Widocznie zdrowo sobie popiła. Odsunął ją na dobre dwadzieścia centymetrów pod pretekstem tego, że chciał patrzeć jej w twarz. Zaczął zabawiać ją niewybrednymi żarcikami, pilnując jednak swej mimiki. Nie chciał już żadnych kłopotów z Antolką, pragnął już tylko znaleźć się z nią w pokoju.

Tymczasem Justyna szeptała coś do niego. Nie dosłyszał, pochylił się nad nią.

– Słucham?

Lecz znów nie dosłyszał, bo między tańczącymi mignęła mu patrząca w jego stronę, jakby niespokojna, Antosia. Och, jak bardzo chciał, by ten taniec już się skończył. Gorączkowo śledził kochankę wzrokiem, lecz widok zasłaniał mu kręcący się jak niedźwiedź na rozżarzonych węglach pękaty i wysoki Szwab, ciasno obejmujący sekretarkę działu technicznego.

Gdy wreszcie obściskująca się potajemnie parka przesunęła się nieco w lewo, zobaczył, że Antosi nie ma już przy tamtym stoliku. Nerwowo poderwał głowę, unosząc się na palcach i gorączkowo lustrując ruchliwy tłum. Aha, stała teraz przy barze. Zdawało mu się, że nie była sama, bo wciąż zwracała główkę w jednym kierunku, lecz nie mógł zobaczyć, z kim rozmawiała. Wtem dotarło do niego, co mówiła Justyna, zresztą już któryś raz:

– Słyszysz mnie w ogóle, Mateusz? Co się z tobą dzieje? – Uśmiechała się rozanielona, lejąc mu się przez ręce. Jej twarz błyszczała od potu. – Mówię, że jeśli chcesz, możemy iść do mnie! Do mojego pokoju!

Zamarł, przerażony. W końcu skupił wzrok na partnerce, lecz jedynie po to, by jak najszybciej pozbyć się zagrożenia. Nie chciał jej urazić, bo naprawdę ją lubił! Jakże więc przerwać ten narastający w niej potok uczuć, który niebezpiecznie przelewał się przez tamę? Jak go zatrzymać, by jutro nie było niesmaku?

– Justyś, jesteś trochę wstawiona! Nie chcę tego nadużyć – skłamał gładko, po czym zogniskował wzrok w miejscu, gdzie stała Antonina. Czy mu się zdawało, czy znów rozmawiała z Kwaśniakiem? Z szują, która w zeszłym roku napsuła krwi jego bratu! Cholera jasna, przez całe to zamieszanie gotowi się znowu z Antošką poróżnić!

Ona będzie zazdrosna o nieszczęsną Justysię, a on o tego padalca. Nie zwracając już uwagi na zamuloną, lecz ewidentnie załamaną Justynę, skończył taniec przed czasem. Odprowadził ją do stolika, życzył wszystkim dobrej nocy i nie zwracając uwagi na chóralny protest, ruszył do pokoju.

Podszedł bliżej baru, by pokazać kochance, że już nie tańczy i że zmierza w umówione miejsce. Chciał napotkać jej wzrok i dać jej to do zrozumienia. Stała bokiem. Dobrze mu się zdawało, rzeczywiście rozmawiała z Kwaśniakiem. Zdawała się jednak cała usztywniona, zdecydowanie daleka od flirtu, czyli niepotrzebnie się martwił. Podszedł całkiem blisko, a wtedy zwróciła ku niemu poważną twarz.

Mrugnął do niej i ruchem głowy pokazał, że już idzie, lecz ani nie odkiwnęła, ani nawet nie mrugnęła. Ktoś lekko go potrącił i Mati znów musiał wdać się w krótką rozmowę, albowiem był to lubiany przez niego Yoni. Potem, gdy spojrział w kierunku Antosi, stała już tyłem, a przekłety Kwaśniak poufale pochylał się w jej stronę, szepcząc coś prosto do ucha.

A tam, nie da się opanować paranoi! Pójdzie najszybciej, jak można, zgodnie z tym, co ustalili.

Wszedł do swojego pokoju, niemal od razu wyjął z lodówki małe, białe wino, odkręcił i nalał sobie do kieliszka. Po chwili namysłu nalał również do drugiego, po czym zdjął marynarkę. Poprawił spodnie i usiadł z winem naprzeciwko drzwi w wygodnym fotelu. Zerknął na zegarek.

Piętnaście po jedenastej. Wcześniej. Będą mieli ładnych parę godzin używania. Łyknął wina i znów wpatrzył się w drzwi. Najdalej za pół godziny wejdzie do tego pokoju. Przełknął ślinę, poprawił spodnie w kroku, po czym nerwowo upił pół kielicha na raz. Czas mijał bardzo wolno, jakby ktoś specjalnie go opóźniał...

Cholera, gdyby pomyślał o tym od razu, zdążyłby wziąć prysznic. Teraz pewnie ona wejdzie już lada chwila, więc szkoda czasu. Zresztą mógłby nie zdążyć z powrotem się ubrać, a zależało mu, by zobaczyła go w tej eleganckiej koszuli. Zapłacił za nią majątek i miał świadomość, że doskonale się prezentował, siedząc tak w pełnym rynsztunku, z nogą założoną na nogę i kieliszkiem w dłoni.

Nie chciał czekać na nią w ręczniczku jak palant. Szerzej rozłożył nogi, wygodnie rozparł się w fotelu i seksownym, rozleniwionym wzrokiem obserwował drzwi, masując się lekko po torsie. Jeszcze raz zerknął na zegarek. Ale ten czas się włókł. Spokojnie zdążyłby umyć zęby.

Odstawił pusty kieliszek i szybkim krokiem wszedł do łazienki. Była elegancka i przestronna, wyposażona we wszelkie wygody. Sięgnął po niezbędnik ze szczoteczką i pastą, odkręcił wodę i lewą ręką szorował zęby, uważając, by nie ochłapać koszuli. Prawa wciąż jeszcze pobołewała – słodkie wspomnienie ich burzliwego przedpołudnia. Kiedy jeszcze nic nie było wiadomo!

Czasem nawet lubił się z nią kłócić, bo godzili się potem z nie mniejszą pasją. Nagle usłyszał jakiś stukot, więc czym prędzej umył twarz, otworzył kosmetyczkę, spryskał się perfumami i pewnym gestem otworzył drzwi łazienki.

Dziwne. Nikogo. Musiało mu się zdawać. Znów opadł na fotel, przyjmując nonszalancką pozę. Cholera jasna, która to godzina? Pół godziny minęło, jak w mordę strzelił! Czemu się spóźnia? Napięcie narastało w nim wprost proporcjonalnie do ogarniającej go irytacji. Czy znów się z nim droczy? Chce, by pomyślał, że z kimś flirtuje? Czy może zamierza go ukarać za jego wyjazd, na którym teoretycznie nie mógł odbierać telefonu? Teoretycznie, albowiem dzwonił do niej przecież codziennie! A że ona nie odbierała, to już zupełnie inna historia.

Znów zadbał o to, by przybrać rozleniwioną, ekstrawagancką pozę seksownego drapieżnika czekającego na ofiarę. Wtrzymał tak dobre parę minut, lecz ostatecznie stracił cierpliwość.

Co jest, do kata? Spóźniała się już piętnaście minut! Tak się zagadała z tym plugawym dependencją? Cóż znów próbowała udowodnić? Czy nie dość miała dwutygodniowej kłótni? Po co więc przychodziła do baru, po co pytała o numer pokoju?

To miała być zemsta za jego wyjazd?

W aktualnym stanie ducha kompletnie wyleciało mu z głowy, że miał się z nią rozstać. Nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że dobrze się stało, jak się stało! Palony dziką żądzą, niepomny na żadne postanowienia, przemierzał pokój tam i z powrotem, wichrząc sobie bujną czuprynę w geście niemej rozpacz.

Co robić? Zadzwoić do niej? Czy może lepiej zejść i sprawdzić, co się tam dzieje? Nalał pełną lampkę wina, wypił połowę, po czym zamaszystym gestem otworzył drzwi i ruszył na dół.

Szum rozmów narastał w miarę, jak Mat, z rozwianym włosiem i dzikim spojrzeniem, parł naprzód po miękkiej wykładzinie. Trupio blady, nie próbując nawet maskować zdenerwowania, wszedł do sali po brzegi wypełnionej wesołym tłumem.

Ktoś ze śmiechem wołał jego imię, lecz on ani się nie obejrzał. Potrącając tańczących, zmierzał w stronę baru, gdzie spodziewał się ją znaleźć w towarzystwie tego obślizgłego, szemranego padalca.

Jakże się zdumiał, widząc, że jej tam nie było. Dzikim wzrokiem omiół salę. Postąpił parę kroków naprzód, na skraj parkietu, skąd widoczne były kanapy. Przy jednej z nich siedzieli prawnicy z Guy, lecz jej tam nie było!

Dokąd, u licha, poszła? Może właśnie się minęli, może, wbrew jego zaleceniom, pojechała windą? Ledwo się pohamował, by puścić się biegiem. Po drodze znów ktoś go zaczepił, a Mat odburknął coś niejasno. Przechodząc obok stolika swych pracowników, spotkał zdumione spojrzenie Justysi, lecz nie wysilił się nawet, by kiwnąć jej głową. Zamiast tego szybko przeciskał się między tańczącymi w stronę wyjścia. Mijając recepcję, przyszło mu na myśl, by spytać o numer jej pokoju, lecz w holu stało grono członków zarządu z Duchamps'em na czele, więc odstąpił od tego szaleńczego zamiaru.

Szedł teraz wolniej, statecznym krokiem, starając się panować nad niespokojnym spojrzeniem, lecz chyba nie do końca mu się to udało. Duchamps zerknął na niego z uniesionymi ze zdziwienia brwiami, a Jean Paul pozdrowił zdawkowo, po czym obaj mężczyźni spojrzeli się na siebie znacząco.

A śmiećcie się w kułak, gamonie, drwicie! Oto jestem, pokonany! – myślał z goryczą, czekając na windę. Pomyślał, by pobiec schodami, w razie gdyby właśnie schodziła, szukając go, lecz w końcu poniechał tego.

Przeleciało mu jeszcze przez głowę, by dać upust nagromadzonemu pożądaniu z jedną z nieszczęsnych koleżanek działowych, lecz zdał sobie sprawę, że już nawet na to nie miał prawdziwej chęci!

Chciał tylko wrócić do pokoju i siedzieć, czekając, aż Antosia przyjdzie, lecz tylko po to, by jej powiedzieć, że może spadać z jego życia raz na zawsze. Ostatnia nadzieja uleciała, gdy wszedł do pokoju i stwierdził, że jej tam nie ma.

W otępiałej rozpacz zrzucił ubranie i wskoczył pod prysznic, by nieco ochłonać i móc myśleć logicznie. Lodowata woda studziła gorączkę. Wraz z ustępującym pożądaniem zdawała się wracać zdolność logicznego myślenia.

Powoli wyszedł z kabiny, teraz, dla odmiany, trzęsąc się z zimna. Narzucił hotelowy szlafrok i znów zasiadł w dawnym miejscu. Miejsce gniewu z wolna zajmowało uczucie głębokiego, niczym przecież nieuzasadnionego niepokoju.

Dlaczego to zrobiła?

Zmory przeszłości

Od chwili, kiedy nadała pieniądze, Agnieszka żyła w nieustannym napięciu. Ciągłe sprawdzała pocztę, czekając na obiecaną wiadomość – wiadomość, która miała naprowadzić na trop Wędzichy. Anonimowy uważał, że informacja była niebłaha. Pewnie każdy inny człowiek, z Pawłem na czele, uważałby, że Anonimowy kłamie. By zarobić. Ale nie ona. Agnieszka miała wiarę w ludzi. Niezmaconą powszechnym przekonaniem, że wszyscy widzą tylko koniec swego nosa.

Wiarę w ludzi plus coś, co Paweł nazywał instynktem prawniczym. Czy był to szósty zmysł, czy podświadomość, czy też zdolność wylapywania najmniejszych sygnałów i ich trafnej interpretacji (choć niektórzy tak właśnie definiowali podświadomość), Aga sama nie wiedziała. Grunt, że czuła, iż tym razem dowiedzą się czegoś więcej. Ale pewności nadal nie miała i dopóki tamten facet (chyba facet?) się nie odezwie...

Weekend bardzo jej się dłużył. By skrócić sobie oczekiwanie, zamierzała iść w sobotę na uniwersytet, na wykłady dla wieczorowych. Mogłaby uzupełnić zaległości powstałe wskutek ciągłego przesiadywania w kancelarii. Ale w końcu zrezygnowała – nie była w stanie na niczym się skupić. Pocieszała ją myśl, że i tak wszystkie notatki z wykładów, skrzętnie pokserowane, dostarczy jej niezawodny Sienicki.

Żyła w nerwowym napięciu, sama do końca nie znając jego przyczyny.

Miała przecież świadomość, że przekaz gotówki musiał potrwać. Nie powinna spodziewać się odpowiedzi Lolka przed wtorkiem. A jednak nie mogła się powstrzymać, więc co chwila przeglądała pocztę.

Jednak w jej napięciu było coś więcej. Czyżby łudziła się, że zadzwoni do niej Paweł? Przecież wyraźnie dał jej do zrozumienia, że gdzieś wyjeżdża.

Idiotycznie było żyć podobne nadzieje.

By uwolnić się od tych myśli, na sobotni wieczór umówiła się z długowłosym palantem z polibudy, który wciąż do niej wydzwaniał. Postanowiła dobrze się bawić, umalowała się starannie, włożyła nawet sukienkę, którą na sylwestra kupił jej Paweł. A co tam... Wyglądała tak, że nieszczęsny studencina w kraciastej flanelowej koszuli nie mógł oczu od niej oderwać i zachowywał się, jakby zapomniał języka w gębie. Poszli do klubu, wypili po kilka mohito, tańczyli, całowali się w toalecie, a na noc wylądowali u niej, lecz nie przyniosło jej to najlżejszej poprawy nastroju. Rano palant irytował ją do tego stopnia, że po śniadaniu niemal niegrzecznie oznajmiła, że musi się jeszcze pouczyć, bo, jak to określiła: „Wyleją ją wraz z następną sesją”.

Gdy wreszcie zniknął, rzuciła się na kanapę przed telewizorem, pałac papierosa za papierosem i ogryzając paznokcie niemal do opuszków.

Cholera jasna. Ona ciągnie mu wszystkie sprawy, bez niej kancelaria by padła, a on nawet nie raczy się zainteresować, co się z nią dzieje. Czując, że nie dotrwa do poniedziałku, faktycznie chwyciła „Prawo pracy” i wkuwała, aż zrobiło się kompletnie ciemno.

Koło dziesiątej, niemal prosząc się o guza, wyszła na wieczorny spacer. Pragnęła ruchu, powietrza. Zimny wiatr hulał po ciemnych ulicach, w mroku mijały ją typy spod ciemnej gwiazdy. Dotarła do skrzyżowania, w małej pizzerii kupiła margheritę na wynos i nie bacząc na gapiących się na nią łysoli, szybkim krokiem wróciła do domu.

Piekielny weekend pomału zbliżał się do szczęśliwego końca. Zjadła, posprzątała kuchnię, odkurzyła mieszkanie, przygotowała materiały do jutrzejszych ćwiczeń i poszła się kąpać.

W poniedziałek dotarła do kancelarii przed ósmą. Dziesięć minut po niej mecenas Wencel wpadł jak po ogień. Nim zdążyła o cokolwiek go zapytać, był z powrotem w drzwiach, mówiąc,

że leci na rozprawę i że pogadają potem...

Została więc sama ze stosem papierzysk i niepokojem w sercu. Jak na siebie, był całkiem sympatyczny, ale jednocześnie jakiś rozkojarzony, odległy...

By o tym nie myśleć, zmobilizowała się do pisania terminowego pisma. O dziesiątej przyszedł student o imieniu Wojtek, którego niedawno zatrudnili na zastępstwa, więc mogła polecić na uczelnię, by zaliczyć obowiązkowe ćwiczenia. Stary „zbok” od prawa pracy zawsze sprawdzał listę obecności, a na Agę był szczególnie wyczulony.

Po lunchu pędem wróciła do kancelarii, zwalniając Wojtkę. Zdziwiła się, gdy usłyszała od niego, że mecenasa nie było i raczej już go dziś nie będzie.

Kryjąc rozgoryczenie, znów zabrała się do umowy. Pracę przerywały telefony, a utrudniało irracjonalne sprawdzanie poczty. Jednak do wieczora Lolek nie dał znaku życia.

We wtorek miała zajęcia od rana i dotarła do kancelarii wczesnym popołudniem, zmieniając Wojtkę w sekretariacie. Ten, gdy wprowadził ją w stan spraw i listę odbytych rozmów telefonicznych, natychmiast pogalopował do swoich zajęć. Jednak najdziwniejsze było, że mecenasa nie było od rana i ani razu się nie kontaktował.

Zniecierpliwiona, chwyciła za telefon. Do podpisania miała szereg dokumentów, które wymagały natychmiastowego wysłania do sądu. Paweł powinien również zerknąć na umowę, a także podpisać się pod pismem, które sporządziła wczoraj. Czemu nie przyszedł?

Z narastającym niepokojem wsłuchiwała się w głuchy sygnał. Nie odbierał komórki.

Odpaliła laptop, zerknęła do skrzynki. Nie było odpowiedzi od Lolka... Na Boga, wczoraj wieczorem powinien być dostać przelew! Chyba że coś się opóźniło...

Tymczasem w skrzynce znalazła lawinę korespondencji, przez którą musiała się przekopać. Zdjęła kurtkę, podwinęła rękawy sweterka, zrobiła kawę z odjazdowego ekspresu Pawła (nikt oprócz niej nie umiał tego cuda włączyć!), a następnie uchyliła okno, zapaliła czerwone marlboro, usiadła w wygodnym fotelu i zabrała się do zaczytywania „bieżączki”.

Ktoś to przecież musiał zrobić. Cholera, urwanie głowy miała z tym swoim mecenasem.

Do domu wróciła półżywa, ledwo miała siłę wyswobodzić się z płaszcza. Gdy zdjęła buty, prawie natychmiast włączyła komputer, by sprawdzić pocztę.

Znowu nic.

Zerknęła na zegarek. Dziesięć po ósmej. Nie miała siły szykować sobie niczego do jedzenia, mogła co najwyżej zamówić pizzę i poleżeć z nią przed telewizorem.

Wyjęła z torebki komórkę, wykręciła numer lokalnej pizzerii. Znali ją, nie musiała nawet wymieniać, co chce. Margherita na cienkim cieście z podwójnym serem i kaparami. Do tego duża pepsi. Dostarczone na dziesiątą wieczór. Zapowiadał się całkiem sympatyczny wieczór sam na sam z telewizorem, papierosami i ekranem komputera.

Przysięgła sobie ani razu nie pomyśleć o mecenasie Wenclu i powodach, które zatrzymały go dzisiaj poza kancelarią. Napuści wody do wanny, a potem zje pizzę w łóżku, oglądając *Rzym*.

Teraz jednak sprawdzi mail. Ostatni raz. Pewnie i tak niczego...

O cholera!

Znieruchomiała z niezapalonym papierosem w ustach. Powoli usiadła przed monitorem, a raczej osunęła się na krzesło.

W wiadomościach nieprzeczytanych, pomiędzy ofertami „tanich” wakacji, zabiegów pielęgnacyjnych „za grosze” i wielu, wielu innych hiperniezbędnych superokazji, widniał nowy mail. Lolek!

Serce waliło jej jak szalone. Błyskawicznie kliknęła „otwórz” i przeczytała:

Paniusiu!

Dotarły pieniądze, w porządku. Oto, co wiem o prezesie „dobrodziejcu”:

W listopadzie ubiegłego roku z klubu piłkarskiego Krośniarz Pabianice, należącego do prezesa Wędzichy, odszedł księgowy – mówiono, że zdrowo walnięty typ. Parę tygodni po tym zdarzeniu miał miejsce dziwny wypadek: księgowy został potrącony przez pędzący samochód. Mało się nie przekreślił. Potem był przez długi czas w szpitalu i jakoś się wylizał, ale teraz jeździ na wózku i od tej pory tkwi zadekowany w swoim mieszkanku. Nigdy nie miał ani przyjaciół, ani rodziny, więc nikt tak naprawdę nie wie, co się tam wydarzyło, ale ludzie gadali, że to wcale nie był wypadek. Że facet wiedział więcej, niżby ONI sobie życzyli.

Jednak ciężko będzie go o coś zapytać, bo on z nikim nie gada. Na pewno się boi. Może go nawet obserwują, cholera ich wie. Z góry uprzedzam, że może nie chce gadać z prawnikami.

Gdybyście jednak chcieli spróbować, to mieszka na ulicy Perłowej pod numerem 6, w takim dwupiętrowym bloku, na skraju osiedla Bugaj. Łatwo go poznać, bo, tak jak mówiłem, jeździ na wózku. W poniedziałki i czwartki jedzie do najbliższego spożywczaka, a poza tym parę razy dziennie uchyla drzwi i wypuszcza na dwór swojego kundla.

P.S.

Jeśli moja informacja będzie coś warta, liczę na to, że mnie nie wykiwacie i że dostanę resztę doli.

Aha. Facet ma na nazwisko Rzeszoto. Andrzej czy Adam, nie jestem pewny.

W razie co, liczę na kontakt.

Lolek

Aga drżącą dłonią sięgnęła po papierosa, po czym trzymając go w ustach, sięgnęła po telefon i napisała SMS do Pawła:

Odezwij się, to sprawa niemogąca czekać. Jeżeli możesz, przyjedź po mnie albo powiedz, gdzie możemy się spotkać, by porozmawiać sam na sam!

Potem siedziała na krześle sztywna i wyprostowana, wpatrując się szeroko otwartymi oczami prosto przed siebie.

Zupełnie odechciało się jej jeść.

Do informatora nie odpisze, to zbyt ryzykowne. Musi natychmiast naradzić się z mecenasem, a potem jak najszybciej jechać z nim do Pabianic. Anonimowy niepotrzebnie martwił się, że podjadą pod dom pana Rzeszoto samochodem, w garniturach i z teczkami. Nie byli tacy naiwni...

A więc mężczyzna trzyma psa, kundelka...

Pałac papierosa za papierosem, przeglądała mapę satelitarną Pabianic, pomału lokalizując ulicę Perłową sześć, osiem, a potem wszelkie miejsca mogące być małymi lokalnymi spożywczakami. Jednocześnie siedziała jak na szpilkach, czekając na telefon od Pawła.

Minęła godzina, a on nie oddzwaniał. Agnieszkę rozsadzała chęć działania i irytował fakt, że tracą cenne minuty. Musiał dostać wiadomość, czemu więc nie odpisywał?

A może był już tak przewrażliwiony na punkcie rozmów telefonicznych, że przyjedzie do niej, nawet nie odpisując?

Znów zerknęła na zegarek. Półtorej godziny od wysłania mu wiadomości o tak ważnej treści! Co, u licha? Czyżby naprawdę miał zamiar do niej podjechać, nie odpisując przez ostrożność? Może na wszelki wypadek powinna nieco się przebrać, w razie gdyby...

Pobiegła do łazienki. Lustro odbijało jej drobną, śniadą twarz. Wyszorowała zęby, umyła twarz, a następnie lekko oprószyła się pudrem. Włosy zaczesła do tyłu, lekko przeciągając po nich brylantyną.

Dziwne, że na samą myśl o zobaczeniu go zdawała się sama sobie ładniejsza, bardziej promienna...

Wciągnęła luźne dzinsy i prosty, biały podkoszulek. Ładnie podkreślał kolor...

W tym momencie rozważania jej przerwał brzęczący domofon, który podziałał na nią wręcz elektryzująco. Skoczyła do drzwi i bez zastanowienia wcisnęła guzik otwierający drzwi od bloku. Słyszała w słuchawce, że drzwi zamknęły się z trzaskiem. Po chwili głucho stuknęło w szybie windowym. Z dołu ktoś wezwał windę. Zjeżdżała na parter z charakterystycznym piłowaniem.

Agnieszka pobiegła do łazienki i spryskała się perfumami. Dopiero wtedy uzmysłowiła sobie swój błąd. Nie zapytała przez domofon, kto idzie. Może to wcale nie on?

Skąd płynęło jej przekonanie, że to Paweł?

Winda tymczasem już sunęła do góry, a Aga, marszcząc brwi w skupieniu, niewidzącym wzrokiem popatrzyła na swoje dłonie, automatycznie zmywające z umywalki delikatne ślady pudru.

Pewnie to tylko facet od pizzy. Raczej nikt z jej znajomych. Nikt nie zapuszczał się do niej bez zapowiedzenia. Nie, to raczej dostawca pizzy. Miał wprawdzie być dopiero o dziesiątej, no ale może zamykali dziś wcześniej....

Dziwne, że słysząc domofon, od razu pomyślała o Pawle. Powinna mocno wziąć się w garść. Gdyby jednak to był Paweł... Chwyliła gąbkę i dokładnie zmyła z twarzy ślady pudru. Niech nie myśli, że szykowała się dla niego.

Winda z głuchym brzękiem stanęła na dziesiątym piętrze. Na ten dźwięk wyszła z łazienki i stanęła pod drzwiami, rękami obejmując sobie szyję. Już słychać było miarowe kroki, szedł korytarzem! Paweł czy nie Paweł? Kroki zdawały się ostrożne, ciche, ktoś poruszał się jakby z wahaniem. Czy dostawca pizzy tak by się skradał?

Aga zamarła przy wizjerze.

W mętym świetle korytarzowej żarówki ujrzała po drugiej stronie mężczyznę w garniturze i płaszczu. Żaden dostawca pizzy – to Paweł, elegancki jak zwykle!

Stał przez chwilę i po dłuższej chwili wahania zapukał. Był tak blisko drzwi, że nie widziała twarzy, tylko fragment kołnierzyka z krawatem i ciemny płaszcz.

Z walącym sercem i radosnym uśmiechem, którego nie była w stanie ukryć, otworzyła drzwi na oścież i natychmiast zamarła.

W drzwiach stał Kwaśniak.

Przez głowę przemknęło jej, by zatrzasać mu drzwi przed nosem, jednak nadal tkwiła jak skamieniała. Tymczasem on, korzystając z jej zaskoczenia, szybko wsunął między drzwi a futrynę stopę w ubłoconym czarnym lakierku. Sekundę później był już w środku, zatrzaskując plecami drzwi. Aga cofnęła się o dwa kroki.

Było coś paraliżującego w jego wysokiej, chudej sylwetce, odzianej w długie czarne palto, w jego wszędobylskich, taksujących oczach.

– Daruj najście, ale poniekąd mnie do tego zmusiłaś. – Bystro, niespokojnie omiół wzrokiem małe wnętrze, po czym, nieco uspokojony, postąpił krok w jej stronę.

Wiedział już, że jest sama w domu.

– No, co jest, droga Agnieszko? – mówił z zaciśniętymi zębami. – Nie zaprosisz do środka kolegi po fachu?

Przez głowę przebiegło jej kilka bezładnych myśli. Wrzeszczeć o pomoc? Jakoś nie była w stanie się na to zdobyć. Z tłukącym sercem zerknęła w stronę komputera, by sprawdzić, co widoczne było na ekranie. Na szczęście włączył się już wygaszacz. By odpalić, trzeba było znać hasło.

– Chyba wiesz, po co tu jestem? – Stał w szerokim rozkroku, znacząco poklepując czarną teczkę.

– Nie, nie wiem. Ale jeśli za chwilę stąd nie wyjdiesz, zawołam sąsiada. Za ścianą

mieszka...

– Daruj sobie straszenie mnie. Chcę ci coś ciekawego pokazać... – Uśmiechnął się szeroko. Zęby miał ostre i powykrzywiane, niepasujące do regularnych rysów twarzy, zdradzające jego prawdziwą naturę – jakby drapieżnika. Adze zaczęło lekko szumieć w uszach.

– Widzę, że zaczynasz pomału rozumieć. Tak, tak... – Patrząc na nią przenikliwie, postąpił krok naprzód. – Mam właśnie to, czego tak się obawiasz....

O czym on bredził? Przecząco pokręciła głową.

– ...coś, co pilnie skrywałaś przed światem. Mam świadectwo twojej niezbyt chlubnej przeszłości...

Stała jak ogłuszona. Do czego on pił? Czyżby? Jakim cudem...

– A to pech, co? – Kwaśniak minął ją i wszedł do pokoju, zostawiając ślady błota.

W wilgotnym płaszczu rozsiadł się za stołem, plecami do niej, rzucił teczkę na leżące tam papiery, otworzył ją i wyjął na biurko szarą kopertę. Potem wyciągnął z niej plik zdjęć, obrócił się na krzesło przodem do Agi i zaczął je podziwiać jakby z teatralnym ukontentowaniem. Okręcał je w lewo, potem w prawo, jakby nie wiedział, gdzie góra, gdzie dół. Zbliżał do nich twarz i stroił dziwne miny.

Nadal nie widziała, co na nich było. Nie widziała, ale już mogła się domyślać. Obelżywy, sprośny wyraz jego gęby mówił wszystko.

– Ale, ale, nie blednij mi tutaj. Wcale nie chcę cię straszyć ani szantażować! –

Uśmiechnął się krzywo.

Milczała, opierając się o ścianę.

– Chcę się dogadać – przekonywał. – Będę pieczołowicie strzegł twojej tajemnicy i nikt ze środowiska się o tym nie dowie. Nie chcę ci przecież rujnować błyskotliwej kariery prawniczej. Będę twoim sojusznikiem, ale i ty musisz okazać mi lojalność... – Szczerzył zęby jak upiorna maska teatralna.

Aga słyszała go jakby z oddali. Cóż on mówił?

– ...kiedykolwiek dowiem się, że wążysz przy sprawie pabianickiej, opublikuję to wszędzie, powysyłam fotki do wszystkich ze środowiska... Będziesz skończona, rozumiesz?

Kiwnęła głową. Przymknęła oczy.

Mówił dalej, lecz już nie mogła tego słuchać.

Z całej jego gadaniny dotarły do niej dwie rzeczy. Tylko dwie rzeczy tłukły się po jej głowie.

Żądał, by nie zajmowała się już sprawą pabianicką. I nakazał, by natychmiast odeszła z kancelarii Wencla, nie informując go o powodach!

Stała oparta plecami o ścianę jeszcze długo po tym, jak wyszedł, trzaskając drzwiami.

Ostatni raz

Myśl o okazaniu Hannie miłosierdzia kielkowała w duszy Pawła przez cały weekend. Gdy wrócił z Mazur do warszawskiego mieszkania, pierwszą rzeczą, którą zrobił, było przepatrzenie jej bielizniarki oraz szafy z garderobą. Miejsc, do których nie zaglądał od tamtego dnia. W szafie wisiały dziesiątki sukienek, marynarek, spodni. W sekretarzyku, w zdobnych pudełeczkach, spoczywały komplety biżuterii. Wszystko przedniej jakości, bo na to Paweł nigdy grosza nie żałował.

Aż gwizdnął na widok takiej obfitości, zostawionej tu na pastwę moli i wpływającego czasu. Czy nie szkoda tego wszystkiego? Czemu nie miałby jej tego zwrócić?

Z tą myślą kładł się spać w zimny niedzielny wieczór, kiedy północny wiatr gwizdał we wszystkich nieszczelnych lufcikach i szybach kominowych. Nazajutrz, tuż po przebudzeniu, wstał ostatecznie utwierdzony w przekonaniu, że powinien spotkać się z nią i zaoferować przewiezienie jej całego tego majdanu na nowy adres. Niech zobaczy, jaki jest wielkoduszny. Wprawdzie deklarowała, że niczego od niego nie chce, jednak, jakkolwiek by patrzeć, cała sytuacja uległa drastycznej zmianie.

Teraz znów była wolna.

Poniedziałkowy poranek był piękny, wiatr przegnał chmury, zimowe słońce oświetlało widoczną z Pawłowej sypialni spójną zabudowę Saskiej Kępy. Wszystko to wyglądało jak zapowiedź pozytywnego przełomu i tchnęło w Pawła odrobinę nadziei.

Przecież każde z nich już zapłaciło słoną cenę za swoje grzechy. Czy potrzeba jeszcze bardziej się biczować? Czy rzeczywiście taką niestosownością byłoby pójść i porozmawiać? Jak ludzie. Bo czemuż nie mieliby pozostać w przyzwoitych stosunkach? Mogliby przecież okazjonalnie widywać się, choćby przez wzgląd na stare czasy.

Odda jej rzeczy i zaoferuje pomoc finansową w sposób kulturalny i niezobowiązujący. Tak postanowił. Tak wypadło. Przecież teraz została sama jak palec, kiedy ten przekłety odszczepieniec społeczny zniknął na dobre z jej życia.

Naturalnie rozwiodą się, jeśli taka będzie jej wola, ale nie są już przecież porywczymi nastolatkami, którzy trzasną drzwiami i każde odejście w swoją stronę. Zaczątki siwizny zobowiązują. Człowiek dojrzały nie może zachowywać się jak gówniarz.

Ten tok rozumowania z minuty na minutę zdawał mu się coraz bardziej słuszny i pochłaniał go do tego stopnia, że nie chciał się z nikim kontaktować. Podświadomie bał się, że ktoś lub coś odwiedzie go od nowo wytyczonej linii.

Z domu wyszedł bardzo wcześnie, chcąc wszystko pozałatwiać z rana, by nie musieć wracać do kancelarii po rozprawie. Potem zamierzał zacząć się pod redakcją, a następnie śledzić żonę aż do jej nowego mieszkania. Potem, znając już jej adres, łatwiej mu będzie zaaranżować „przypadkowe spotkanie”. Wtedy, w sprzyjających warunkach, poruszy kwestię jej rzeczy osobistych i zaproponuje pomoc finansową.

Kiedy pierwszy raz o tym pomyślał, ze wstydem odrzucił projekt jako „naiwne wariactwo”, jednak to samo wariactwo, obracane w głowie przez dłuższy czas, teraz zdawało mu się całkiem naturalne. Nie oni pierwsi i nie ostatni doświadczyli czegoś, co w tym obłudnym świecie zwano „kryzysem małżeńskim”. Wielu jego kolegów po fachu, przebrzydłych, kołtuńskich hipokrytów, gziło się na lewo i prawo, a potem, z fałszywymi uśmiechami przyklejonymi do gąb, przybywało na publiczne spotkania z żonami, bredząc coś o terapiach małżeńskich, o życiowych zakrętach! A czemuż i tej sytuacji nie można by nazwać „życiowym zakrętem”?

Czy to, że szambo wylało się na widok publiczny, musi oznaczać, że ma zrezygnować

z żony i skazywać siebie samego na piekło rozwodu?

Od piętnastej tkwił pod redakcją w swoim bmw, zaparkowanym za dużym, żółtawym dostawczakiem, tak by nie mogła go dojrzeć z okna biura. Specjalnie postanowił znaleźć się tam znacznie wcześniej, niż kończyła pracę, bo nie chciał się później niepokoić, czy aby nie wyszła wcześniej. Wypalił kilka papierosów, nie wychodząc jednak z auta. W końcu, gdy myślał już o poddaniu się, ujrzał jej zgrabną sylwetkę, ubraną w długi płaszcz w kolorze marengo. Nosiła ciemne okulary. Wyszła z bramy i skręciła w odwrotnym kierunku niż poprzednio. Cisnął papierosa przez uchylone drzwi, wyszarpnął kluczyk ze stacyjki i wysiadł z auta w chwili, gdy skręcała w Koszykową. Kierowała się w stronę placu Konstytucji. Doskonale. To by się zgadzało z tym, co mówiła ta czarownica o mieszkaniu zakupionym przez Rolicza gdzieś w okolicach Politechniki.

Przebiegł na drugą stronę ulicy, znów pilnując, by trzymać się od niej w odległości dobrych trzydziestu metrów. Oślaniał pół twarzy szalikiem i nasunął kaszkiet głęboko na oczy.

Szła szybko, po drodze poprawiając listonoszkę z modnej surowej skóry i owijając się szczelnie ekstrawaganckim, kolorowym szalem. Nawet z daleka zdawało mu się, że widział, jak mężczyźni odwracali za nią głowy, a jakiś kostyczny starzec nawet uchylił czapki.

Zacisnął w złości zęby.

Opierając się lodowatemu wiatrowi, który gonił po niebie wysokie obłoki i szarpał poły jego płaszcza, odczekał chwilę, chroniąc się pod arkadami. Widząc ją kierującą się w stronę Waryńskiego bądź też Śniadeckich, puścił się biegiem, by zdążyć przejść na migającym już świetle. W pośpiechu minął dwie kobiety i niefortunnie zderzył się z nadbiegającą z naprzeciwka babina w berecie. Na jezdnię posypały się ziemniaki, kobieta zaczęła mu złorzeczyć. Stropiony i poirytowany, rzucił się zbierać kartofle do leżącej na jezdni torby, by baba nie narobiła jeszcze większego rabanu – już wystarczająco wielu ludzi oglądało się za nimi. Mamrocząc przeprosiny, wcisnął jej kraciastą torbę do ręki i nieprzytomnym wzrokiem zlustrował przeciwległą część placu.

Przez chwilę zdawało mu się, że stracił ją z oczu, lecz w końcu wyłowił z nijakiego tłumu jej zgrabną, wysoką sylwetkę, rysującą się wyraźnie na tle ponurej szarości monumentalnego placu. Znikała pod łukiem prowadzącym w ulicę Śniadeckich.

Szybkim, zdecydowanym krokiem parł naprzód przez pasy, bacząc jednak, by w tym zamęcie nie zostać potrąconym przez jakiegoś skręcającego w prawo pirata drogowego. Ciężba cisnąca się przy straganach z nędznym obuwiem jawiła mu się ohydna, napastliwa, szydercza. Zdawało mu się, że swoje skrywane pragnienie wypisane ma na twarzy, ściągnął więc gniewnie brwi i surowym wzrokiem zmierzył typka, który wpatrywał się w niego ciekawskim wzrokiem, wołając go z beczelnym uśmiechem do swego straganu i zachęcając do zakupu chińskich sznurowadeł.

Nikt nie może go tu zobaczyć, nikt nie może odgadnąć celu jego wędrówki. Zlokalizuje ją, a potem wróci do domu, by dokładnie przemyśleć, co i jak jej powiedzieć. Z daleka zobaczył, że na placu Politechniki skręciła w prawo. Rzucił się biegiem w obawie, by nie zniknęła w jednej z odchodzących stamtąd ulic. Przed zakretem zwolnił i ostrożnie wyjrzał zza rogu, ogarniając wzrokiem plac, Lwowską i Noakowskiego. Szlag by to trafił! Nigdzie nie było jej widać! Czyżby go zauważyła i umyślnie gdzieś skryła? Ale żadnej bramy, w której mogłaby zniknąć, nie widział.

Zdenerwowany, skręcił w Lwowską, szedł szybko, rozglądając się pałającym wzrokiem, gdy nagle ujrzał ją jakieś dwadzieścia metrów od siebie, wychodzącą spokojnie z małego warzywniaka. Odruchowo cofnął się o krok i zamarł. Stał skamieniały pod ścianą, niczym królik w reflektorach nadjeżdżającego auta. Był pewien, że Hanna zaraz się odwróci i zobaczy go. Lecz

tak się nie stało. Z torbą winogron i gazetą pod pachą weszła do pobliskiej bramy.

A więc Lwowska numer sześć. Zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku bramy i po chwili ostrożnie wyjrzał zza winkla – zobaczył, jak zniknęła w drzwiach oficyny. Miał ją.

Tego wieczoru rozpałił w kominku, wyciągnął kolekcję eleganckich walizek. Kupił je dla niej w Brukseli. Teraz tylko zbierały kurz, ponieważ nie mógłby ich używać ze względu na kobiecy design. Zrobił sobie drinka i rozpoczął pakowanie. Ostrożnie składał ubrania Hanny i dzielił na równe stosy. Potem do mniejszej walizeczki włożył wszystkie jej perfumy, błyskotki, kremy, majtki i inne cuda. Musiał spakować wszystko, by miała pewność, że on nie chce, by do niego wróciła. Potem, gdy już utwierdził ją w tym przeświadczeniu, będzie mógł na nowo ją urabiać. Walizki wraz z jej rzeczami powrócą tutaj z nieprzymuszonej woli żony.

Po godzinie żmudnej pracy padł na fotel przed kominkiem i wreszcie zapalił upragnioną cygaretkę.

Następnego dnia wstał wcześniej, pospiesznie zjadł śniadanie, wyciągnął walizki na korytarz i ostrożnie przetransportował je do auta. Lekko zgrzany i mocno niespokojny, zajechał pod bazaręk przy Belwederskiej parę minut po ósmej i założywszy staromodne ciemne okulary, kupił trzydzieści sześć czerwonych róż, długich na ponad pół metra.

– To dla narzeczonej? – dociekała przekupka, podając mu dziesięć złotych reszty brudną ręką odzianą w rękawiczkę bez palców.

– Dla żony – mruknął oschle, czujnie rozglądając się na boki. Jeszcze by tego brakowało, by ktoś znajomy zobaczył go tutaj i z bukietem, przejeżdżając samochodem do pracy. – Czy można trochę szybciej? Bardzo się spieszę!

– Żona będzie zachwycona! – zapewniła, podając ciężki bukiet, a potem skrętnie chowając pieniądze do wewnętrznej kieszeni niebieskiej kufajki i lustrując Pawła od stóp do głów cwaniackim wzrokiem.

Równo pół do dziewiątej zaparkował samochód nieopodal jej bramy, przy Lwowskiej. Wyłączył silnik, głęboko zaczerpnął powietrza, po czym wysiadł z miną człowieka gotowego na najgorsze.

Chwycił bukiet, który teraz zaczął przytłaczać go swoimi rozmiarami i zdawał się wręcz groteskowy. Serce zaczęło bić mu bardzo szybko, gdy czał się pod bramą, czekając, aż ktoś z niej wyjdzie, by móc wślizgnąć się na dziedziniec bez używania domofonu. Szczęśliwie został zauważony przez zamiatającego tam ciecia, który podszedł, by otworzyć mu drzwi.

– Pod którym numerem mieszka pani Wencel? – spytał Paweł cicho z miną niewróżącą niczego dobrego.

– Pod numerem siedem. Otworzę panu! – I dozorca poleciał przodem, by otworzyć mu drzwi prowadzące na klatkę schodową. Zapewne węszył drobny zarobek.

Wencel ledwie zdołał przecisnąć wielki snop róż przez wąskie drzwi, co wywołało głośne uwagi ciecia. Paweł z zaciśniętymi zębami, w przekrzywionych okularach, dzięki pięciozłotówce uwolnił się wreszcie od natarczywej gorliwości towarzysza. Szedł po schodach, lecz w miarę, jak zbliżał się do jej mieszkania, jego zapał kruszał, a mina rzedła.

Gdy stanął pod siódmką, był na siebie wściekły za ten poryw spontaniczności. Miał chęć wrzucić kwiaty do śmietnika i pewnie tak by się stało, gdyby nie chrobot zasuwki i tak oto stanął twarzą w twarz z ubraną do wyjścia Hanną. Znieruchomiała, jakby zamiast męża zobaczyła potwora.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie powiedziało słowa. W końcu, po przedłużającej się ciszy, on przemówił pierwszy:

– Mogę wejść? – Zdjął okulary i patrzył na nią z dzikim napięciem, którego w żaden sposób nie był w stanie powściągnąć. Po chwili wahania skinęła głową i cofnęła się w głąb

mieszkania, tym samym wpuszczając go do środka. Weszła do kuchni, odłożyła torebkę na stół śniadaniowy, a następnie rozpięła płaszcz i przestąpiła z nogi na nogę, patrząc na niego pytającym wzrokiem.

Wnętrze, choć niewielkie, było jasne, a nawet świetliste i urządzone z paryskim szytem. Znać było jej doskonały gust. Nawet najgorszą norę umiałyby zamienić w gustowne miejsce. Wystarczyły jej do tego dwa krzesła, stary stolik i czarno-białe zdjęcie powieszony na ścianie. W mieszkaniu unosił się zapach świeżo parzonej kawy i doskonałych perfum. Łóżko było przykryte surową, szarą kapą. Na drewnianym stoliku stała autentyczna porcelana.

Ów obraz życiowej bez troski podziałał na niego dziwnie irytująco. Stał jak zahipnotyzowany, przyglądając się ładnym, bezpretensjonalnym drobiazgom, które czyniły to skromne wnętrze tak wyjątkowym. Toczył dookoła zdumionym wzrokiem, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z prawdziwej wartości Hanny, z jej wyrafinowanej elegancji, nieprzeciętnego gustu, obojętności wobec wszelkich konwencji! Jakby dopiero teraz zrozumiał, co utracił, pozwalając jej wymknąć się ze swego życia.

– Ładnie się tu urządziłaś! – W jego głosie zawibrowała delikatna nutka szyderstwa. Niech wie, że niesprawiedliwy podział dóbr, który odbył się w rodzinie Roliczów, nie rozszedł się bez echa. Niech wie, że ludzie o tym gadają. Miał wprawdzie świadomość, że było to w nienajlepszym guście, ale Bóg mu świadkiem, nie potrafił się opanować.

Aluzja, choć zawołowana, została bezbłędnie odczytana. Bądź co bądź osiem lat małżeństwa robiło swoje. Hanna, jak zwykle opanowana, odparła ze wzgardą:

– Wiem, do czego pijesz, ale muszę cię rozczarować! Mieszkanie nie należy do mnie. Wyniosę się stąd, kiedy tylko znajdę coś odpowiedniego.

I zanim zdążył przyczepić się do tego tematu, dodała, stając przed nim stanowczo, niemal bojowo, jak nie ona:

– Czemu przyszedłeś? Czy nie ustaliliśmy, że spotkamy się w sądzie?

Aha! To własny kąt dawał jej tę przekłątą niezależność. I czując, że gniewem i ironią niewiele tutaj wskóra, zaczął bardziej ugodowo:

– Przyszedłem porozmawiać.

Wyraz gniewu i zniecierpliwienia odbił się na jej twarzy.

– Wszystko już zostało powiedziane! O czym tu jeszcze rozmawiać?

Uporczywa i nieubłagana. Zawsze była nieubłagana, lecz jemu się zdawało, że za pomocą logicznej argumentacji przemówi jej do rozumu.

– Przede wszystkim weź te kwiaty na znak przeprosin za wszystko, co złe – zaczął sztywnym, urzędowym tonem, lecz ponieważ nie ruszyła się z miejsca, opuścił przekłete róże, niemal zamiatając nimi podłogę. Ledwo panując nad głosem, ciągnął w nagłym przypiływie emocji: – Hanno, posłuchaj mnie. Wiele znajomych nam par przechodziło podobne turbulencje życiowe. Nie jesteśmy jedyni! Wiem, że jesteś dumna i niełatwo ci przyznać się do błędu, ale ja... Może byłbym w stanie wybaczyć ci i spróbować jeszcze raz, gdybyś i ty... Gdybyś zechciała dać mi drugą szansę.

Sam się zdumiał brzmieniem własnych słów, jak gdyby usłyszał, że wypowiadał je kto inny. Wcale nie zamierzał jej tego proponować! Chciał tylko zaoferować pomoc materialną, lecz teraz, wsłuchując się we własne rozsądne argumenty statecznego radcy prawnego, natychmiast uznał, że nie były one pozbawione słuszności. A bo to mało par przechodzi kryzys i potem się godzi? Cóż dziwnego w jego propozycji? Jest nie tylko wspaniałomyślna i wielkoduszna, ale ze wszech miar rozsądna i właściwa. Oszczędzi im koszmaru rozwodowego, uratuje od topienia samotności w przypadkowych związkach.

Wlepił wzrok w jej twarz, bezskutecznie szukając śladów zrozumienia i chęci pojednania.

– Czemu tak milczysz? – lekko podniósł głos. – Powiedz, co myślisz! Mało który mąż zdobyłby się na coś takiego po tym, jak żona wywinęła mu taki numer!

Ponieważ, swoim zwyczajem, nie mówiła ani słowa, postąpił krok naprzód i ciągnął:

– Czy nie widzisz, jakie... – Słowo „upokorzenie” uwięzło mu w ustach jako skrajnie ostentacyjne. Dobrze dla tego narwanego gacha, artysty z bożej łaski! Zająknął się więc i szybko dodał: – ...jakie przykrości przechodzę, przybywając tu do ciebie z konieczności, przełamując się niejako dla naszego wspólnego dobra?

Znów postąpił krok naprzód, ściskając kolczaste kwiaty jak miotłę – kwiatami w dół.

– Hanno, jesteś mało praktyczna i nie do końca zdajesz sobie sprawę, co dla kobiety znaczy rozwód! Nie wiesz, bo nigdy w takiej sytuacji nie byłaś... – ciągnął gorąco, wlepiając zachłanny wzrok w jej oczy patrzące na niego z politowaniem, lecz nie rejestrując tego, nie rozumiejąc. – Będziesz jak trędowata, uwierz mi! Niby czasy się zmieniły, ale jeśli sądzisz, że zmieniła się natura ludzka, jesteś w błędzie! Ludzie stronią od takiej, nie zapraszają jej na spotkania towarzyskie... Będziesz lądować w ramionach przypadkowych gachów, zupełnie się stoczysz, nie urodzisz dzieci, a na starość zostaniesz samotna i bezdzietna, a w dodatku bez grosza przy duszy!

Ku swemu zdumieniu zobaczył, że ona się śmieje!

– Nie śmiej się! – wrzasnął rozjuszony, ciskając przeklęte kwiaty na ziemię i deptając po nich. – Ocknij się wreszcie i zrozum, czym jest prawdziwe życie!

Patrzyła na niego jak na godną pożałowania kreaturę. Uczuł znajome uderzenie krwi do mózgu. Zobaczył, jak cofa się przed nim o krok, więc hamując się nieco, powiedział złowieszczo:

– Widzę, że niczego cię życie nie nauczyło, a to dlatego, że zawsze lądujesz na cztery łapy...

Wreszcie przekłety uśmiešek zniknął z jej twarzy.

– Najpierw ciągnęłaś ze mnie, a potem, kiedy znalazłaś się na lodzie, dopomógł wujaszek, co? Ciekawe, na kogo kolej teraz? Zapewne już szykujesz sobie grunt, jak zwykle udając bezinteresowną! Szukasz następnego frajera, mam rację? Igor... – aż palił go język, gdy z odrazą wypowiedział to nienawistne imię – ...nie dostarczał funduszy, co? Dlatego się rozstaliście?

– Nigdy nie przestaniesz wartościować świata na swój sposób. Proszę cię, wyjdź już – rzekła spokojnym, zimnym głosem. Minęła go szerokim łukiem, jakby w obawie, że chwyci ją za ramię, nim ona dojdzie do drzwi wyjściowych. Jednak nie zrobił żadnego ruchu, znów stojąc jak skamieniały, porażony słowami wypowiedzianymi przez siebie samego.

A jednak powiedział prawdę!

Widział, jak zdecydowanym gestem wzięła torebkę i przewiesiła przez ramię. Stał nadal w pokoju, tyłem do niej, lekko przygarbiony. Słyszał, jak szarpnęła za klamkę i otworzyła drzwi. Jej obcasy zastukały na klatce schodowej. Zadzwoiła kluczami, potem znów zapadła cisza.

– Proszę stąd wyjść! – rozległ się jej przejęty, zduszony głos. A więc przynajmniej straciła to swoje panowanie. Lecz teraz już wszystko stracone, stracone bezpowrotnie! Skupionym wzrokiem lustrował pokój, jakby szukając jeszcze jakiegoś punktu zaczepienia, który posłużyłby im jako temat do rozmowy i zmienił bieg wydarzeń. W końcu olśniło go! Jej rzeczy. Pomału okręcił się na pięcie i rzekł:

– Przywiozłem ci wszystkie twoje rzeczy osobiste, biżuterię, ubrania, nawet ten twój sekretarzyk! Czy mogę to chociaż wnieść na górę? – Czuł, że gdy zadawał to pytanie, oblał się ciemnym szkarłatem.

– Już mówiłam, że nie chcę od ciebie niczego i powtarzam po raz ostatni: wyjdź!

– Czyli co? – Jego głos zabrzmiał chrapliwie, jakoś niesamowicie. – Mam wypierdolić na

śmietnik wszystkie prezenty i złoto, które kupowałem ci przez ostatnie osiem lat? Przez twoją fanaberię? Przez kaprys?

– Nie chcę do tego wracać – ucięła krótko. – Nie życzę sobie dalszych wizyt, a z rzeczami zrób, co zechcesz. – Mówiąc to, zaczęła przymykać drzwi, przynaglając go tym samym do opuszczenia mieszkania.

Ruszył, po drodze zajadł depcząc rozsypane kwiaty. Nie zwróciła na to uwagi, za to dalej stała z kluczem wsuniętym do zamka, czekając, aż nachalny intruz opuści jej mieszkanie.

Minął ją i wyszedł na korytarz. Czuł, że powinien odejść, a jednak jakaś tajemna siła wciskała go w podłogę. Sterczał za nią z rozszerzonymi nozdrzami, sapiąc jak miech kowalski.

Chciał powiedzieć coś kąśliwego, jednak nie znajdował dostatecznie potępiających słów. W końcu, gdy uporała się z zamkami i ruszyła na dół, wiedziony dzikim instynktem ruszył za nią. Dogonił ją na półpiętrze i chwycił za ramię.

– Stań, poczekaj! To nie tak miało wyglądać!

– Nie dotykaj mnie.

Wyrwała się i przyspieszyła. Ich kroki dudniły na drewnianych schodach.

– Stań, chcę tylko coś ci powiedzieć! Nie bój się! – przekonywał chrapliwie, lecz nieco ciszej, gdyż zza drzwi usłyszał stłumiony kaszel. Nie daj Bóg, by ktoś go tu zobaczył.

Zatrzymali się na kolejnym półpiętrze i znów zajrzał jej w twarz. Brwi miała ściągnięte, a usta zasznurowane, jakby wrota do jej duszy zatrzasknęły się przed nim w sposób nieodwołalny. Sam nawet nie wiedział, w jaki sposób następujące słowa dobieły się jego gardła:

– Idąc tu, liczyłem, że mnie zrozumiesz, wysłuchasz. Chciałem ci powiedzieć, że się zmieniłem, że patrzę na świat inaczej... I między nami byłoby inaczej! Zrozum, że możemy dać sobie ostatnią szansę, możemy jeszcze to wszystko naprawić!

Mówiąc to, dyszał ochryple, z oczu jego przeziierało błaganie.

– Puść mnie! – rzekła ostrzegawczo, niemal groźnie.

A więc to tak. Teraz była w uprzywilejowanej sytuacji. Miała WŁASNE mieszkanie, tę norę! Stary grzesznik kupił jej tym samym wolność osobistą. A niech by się smażył w ogniu piekielnym przez najbliższy wiek! Ograbił własne dziecko, by uposażyć tę...

Bluznął stekiem wyzwisk, na co odwróciła się na pięcie i ruszyła schodami. Stał chwilę jak skamieniały, po czym, nie wiedząc do końca, co robi, rzucił się za nią, przeskakując po dwa stopnie.

Słyszał, jak otwierała drzwi kamienicy, ale w chwili, gdy zbiegł na parter, już się za nią zamknęły. Natarł na nie całym ciałem, otwarły się z impetem. Mimo swego imponującego wzrostu wypadł na podwórze zwinnie, w sam raz na czas, by zobaczyć ją znikającą w bramie prowadzącej na ulicę.

– Hanno! Hanno!

Ujrzał dwie kobiety patrzące za nim z przerażeniem, to go nieco otrzeźwiło. Zwolnił kroku, minął bramę i ruszył za żoną, przewyciężając chęć rzucenia się biegiem. Jej ciemna głowa migiała mu między przechodniami, widziana pod ostre, zimowe słońce. Było tłoczno, ludzie spieszyli się do pracy. Z kanalizacji i szybów wentylacyjnych unosiła się siwa para.

Szedł na tyle szybko, by nie stracić jej z oczu, gotów na kolejną konfrontację, wręcz pragnąc jej, choć nie wiedział, do czego miałyby doprowadzić.

Nie daruję jej tego, nie puszczę jej tego płazem – myślał mściwie, choć tak naprawdę nie miał pojęcia, co mógłby jeszcze zrobić, jak ją postraszyć. Ewidentnie zmierzała do redakcji – jakby nigdy nic. Podła. Podła.

Przystając na rogu Mokotowskiej i Pięknej, zapalił papierosa. Słońce skryło się za chmurami, ewidentnie się ochłodziło. Palił w milczeniu, potrącany przez mijających go ludzi.

Potem ruszył pomału w stronę widocznego z daleka kremowego budynku, gdzie mieściła się jej nędzna praca. Postanowił wstąpić do pewnego obscurnego lokaliku, który miał tę jedną zaletę, że siedząc tam, miałby widok na wyjście z redakcji. Może czekać nawet do czasu, aż ona skończy pracę. Wtedy złapie ją pod łokieć i zmusi do wysłuchania go. Niech sobie nie myśli, że będzie go wodziła za nos.

A jeśli znów zachowa się jak wariatka, już on ją postraszy! To nie do pomyślenia, by po ośmiu latach nie móc choć chwilę porozmawiać rozsądnie, kulturalnie. Jak ludzie.

Coś na podobieństwo chrapliwego jęku wydobyło się z jego ściśniętego gardła. Pstryknął petem pod koła zaparkowanego samochodu i sztywno wszedł do lokalu, gdzie nieznośnym sprzeciwu głosem kazał sobie podać śniadanie i setkę wódki.

Lecz choć jedzenie, które mu przyniesiono, wyglądało apetycznie, nie mógł przełknąć ani kęsa. Pił więc kieliszek za kieliszkiem, usiłując odgonić widmo należącej już do przeszłości sceny. Usadowiony naprzeciwko wnęki okiennej, dla niepoznaki rozpostarł przed sobą gazetę, lecz tak naprawdę nie spuszczał rozgorączkowanego wzroku z odrapanego wejścia do jej pracy, bacząc, by jej nie przegapić, kiedy będzie szła na lunch. Czas mijał, a ona nie wychodziła.

W końcu, zniecierpliwiony, wyczerpany i ośmielony alkoholem, wyciągnął komórkę i wykręcił jej numer biurowy. Dzwonił bez końca, sześć, może siedem razy. Nie odbierała. Wtedy wybrał numer do sekretariatu redakcji. Nie pozwolił robić z siebie pośmiewiska. Nie da sobą pomiatać. Odebrała kobieta. Przedstawił się jako kurator wystawy wzornictwa użytkowego, chciał rozmawiać z panią redaktor działu wnętrz.

– Pani Wencel nie ma dzisiaj w redakcji – poinformowała go panienka. – Czy mogę coś przekazać?

– A kiedy będzie? Wolałbym przekazać jej to osobiście!

– Niestety, nie powiedziała. Jeśli to pilne, proszę zostawić mi swój numer komórkowy. Zawiadomię ją i poproszę, by do pana zadzwoniła. Niestety, nie jestem upoważniona, by podawać numer jej telefonu...

Coś tam jeszcze mówiła, lecz rozłączył się. Z irytacją przywołał kelnerkę.

– Jeszcze raz to samo!

Popatrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem, więc niecierpliwym gestem wskazał pusty kieliszek.

Dobrze po południu wstał, zapłacił i ruszył w kierunku Lwowskiej, pod jej dom. Postanowił, że tam na nią poczeka i rozmówią się, kiedy ona wróci z pracy. Niepomny na dzwoniący telefon komórkowy, kupił niewielką butelczynę whisky, po czym ciężko zwałił się na siedzenie w swoim aucie i zapadł w oczekiwanie.

Mrok zaczął gęstnieć już około piątej. Paweł siedział w ciemnym samochodzie, wypatrując oczy i zamierając za każdym razem, kiedy w oddali majaczyła kobieta postać. Dla ukojenia nerwów co chwilę pociągał z butelki. Czuł, że jest pijany, lecz nawet alkohol nie był w stanie wymazać nękającego go wspomnienia wyzwick, którymi ją obrzucił.

W końcu, skrajnie udręczony, dostrzegł ją w nikłym świetle latarni. Szła szybkim, ale czujnym krokiem. Tak, tym razem to była ona! Serce zaczęło mu bić szybciej. Niewiele myśląc, wyskoczył z auta i przebiegł na drugą stronę jezdni, by zdążyć ją zatrzymać, nim wejdzie w bramę.

– Hanno! – krzyknął, widząc, że przyspieszyła kroku, by nie zdołał jej dopaść. Dobiegła do bramy i szarpała się z kluczem. Dopadł do niej i chwycił za ramię.

– Poczekaj, poczekaj! – szeptał bełkotliwie i czule, ciągnąc ją za rękę, by nie mogła otworzyć drzwi.

– Puść!

– Czekaj, daj sobie wytłumaczyć! – Czerwony, zdyszany, usiłował zajrzeć jej w twarz. Gdzieś nad nimi słychać było trzask otwieranego okna, lecz nie zwrócił na to uwagi. – Daj sobie powiedzieć jedną rzecz! Jesteś mi to winna, na Boga! Jesteś mi to winna po tym, jak mnie ośmieszyłaś, opuściłaś, upokorzyłaś...

– Mów więc. Czego jeszcze chcesz? – W geście naglej rezygnacji oparła się plecami o bramę, patrząc na niego wyzywająco spod przymkniętych powiek. Stał ledwie kilka centymetrów od niej, pijany i oszołomiony tą nieoczekiwaną bliskością. W stronę Koszykowej jechał samochód. Minął ich i zniknął za rogiem.

– Posłuchaj! – Podsunął się jeszcze bliżej i sam nie do końca wiedząc, co robi, chwycił ją dłonią pod brodę, końcami palców lekko ściskając policzki. Szarpnęła się wściekle w geście odrazy.

– Puszczaj, jesteś pijany!

Odsunął się, zaskoczony i ocucony tym wybuchem furii.

– Jakoś u niego ci to nie przeszkadzało... – warknął, znów usiłując chwycić jej twarz w obie ręce.

Wyszarpnęła się i zaczęła otwierać bramę. Przez chwilę stał oniemiały, po czym złapał ją za rękę. Kolejny raz się wyszarpnęła.

– Stój spokojnie, nie będę robił z siebie błazna na ulicy – cedził przez zaciśnięte zęby, usiłując wyrwać jej przekłete klucze. – Chcę zamienić dwa słowa, opanujże się!

Szamotali się tak przez chwilę, gdy nagle za plecami usłyszał nadjeżdżające auto, ostrzegawczy szczęk syreny policyjnej, pisk hamulców i gruby, prymitywny głos:

– Hej, ty tam! Zostaw panią!

Na tak obcesowe zawołanie odwrócił się z oburzeniem i zmrużył oczy przed błyskającym na niebiesko kogutem. Dwóch policjantów biegło od radiowozu w ich kierunku.

– Ręce na kark!

Zagniewany, oślepiiony, lecz usiłujący zachować pozory urzędowej powagi Paweł zaczął obmacywać kieszenie płaszcza w poszukiwaniu legitymacji radcowskiej. Chciał wyjaśnić nieporozumienie, lecz nie zdążył, bo ktoś brutalnie go popchnął, a potem powalił na ziemię. Usiłował poderwać się na nogi, wołając surowym głosem, że zaszła pomyłka, lecz policjanci szarpali go bez pardonu.

– Sprawdź, czy ma broń!

To o nim? Co za bęcwały z tych policjantów!

Chciał cynicznym głosem uświadomić im, że tylko szukał portfela, lecz głos jego brzmiał nieswojo, bełkotliwie. Zdenerwowany niemożnością panowania nad własnym językiem, ponownie wsunął rękę pod połę płaszcza, zdeterminowany, by okazać im legitymację korporacyjną, lecz w tej chwili jeden z policjantów szarpnął go tak mocno, że głowa poleciała mu do przodu. Rozjuszony niczym niedźwiedź, próbował się uwolnić od osaczających go służbistów, krzycząc do niej, by im wszystko wytłumaczyła. I ponieważ ani myślała to zrobić, przestrzegł funkcjonariuszy przed konsekwencjami groźnymi za naruszenie dóbr osobistych. Zadeklarował też przynależność do tego samego resortu co oni, lecz pozostali obojętni, a nawet pozwolili sobie na niewybredne kpiny.

W ostatnim przeblýsku świadomości usłyszał tylko, że policjant o coś ją spytał.

– Nie. Nie – odpowiadała cicho. – Nie, nie!

Wyparła się go, przekłeta zdrajczyń! Widząc ją jakoś tak od dołu, kręcącą przecząco głową i obejmującą się za szyję w geście najwyższej odrazy, jakby była świadkiem ujęcia co najmniej seryjnego mordercy, ostatkiem sił wyrwał się z kleszczowego uścisku i rzucił się w jej kierunku niczym rozjuszony zwierzę, krzycząc jej w twarz najobraźliwsze epitety, gdy nagły cios

w żołądek powalił go na ziemię.

Wspomnienie przebudzenia w Izbie Wyrzeźwień na Kolskiej, gdy Paweł Wencel JESZCZE nie wiedział, czy aby nie czekały na niego jakieś dodatkowe zarzuty – ot, chociażby napad czy pobicie funkcjonariusza policji – wracało do niego jak żywe wielokrotnie, najczęściej w trudnych, przełomowych momentach życia.

Widział siebie samego leżącego na wąskiej, twardej pryczy w zszarganym garniturze z Jermyn Street. Dookoła dogorywali inni wykolejeńcy, głównie dworcowi „beje”. Jedni przywiązani pasami, bo rzucali się w pijackiej delirce, inni spokojni, bierni, nieruchomi, ciurkający różnego rodzaju odchodami. Najbliższym sąsiadem był cuchnący kloszard, który na podobieństwo wieloryba kilkakrotnie tryskał strumieniem wymiocin, a także kasłał i krztusił się niekończącymi się seriami. Na sali cuchnęło tak, że każda minuta zdawała się godziną, a każda godzina rozciągała się w nieskończoność.

Koło ósmej rano, wbrew najczarniejszym przewidywaniom mecenasa, wypuszczono go bez żadnych konsekwencji. Oddano mu płaszcz, portfel, klucze od auta, kazano uiścić opłatę za „nocleg”. Dwieście złotych.

Wieczorem, gdy już cały i zdrowy, wykąpany i odświeżony zasiadł do zamówionej z restauracji kolacji w zaciszu własnego salonu, a kieliszek wina na tyle ukoił pałący wstyd, że Paweł odważył się pogmerać w mrocznych wspomnieniach z minionego dnia, doszedł do wniosku, że to ona musiała uprosić policjantów, by zabrali go do izby wyrzeźwień zamiast do aresztu.

Zbyt wiele narozrabiał, by puścili mu to płazem bez czyjogoś wstawiennictwa... Wszak mocował się z nimi, wszak myśleli, że sięgał po broń...

O nie. Nie...

Lecz jeśli nawet to jej wstawiennictwu zawdzięczał brak postawionych mu zarzutów karnych, nie pójdzie już na Lwowską. Ani po to, by to wyjaśniać, ani po to, by jej za to podziękować.

Może warto było wachać te wyziewy przez bite trzy godziny! Niska to cena za tak skuteczną terapię ozdrowieńczą.

A osiągnięcie czegoś kosztem niższym, niżby zapłacili za to inni, musiało poprawić nastrój komuś, kto wywodził się z rodziny Wencłów.

Charybdis wide angle

Mateusz dopił kawę i odstawił filiżankę na spodeczek, po czym obrzucił siedzącą naprzeciwko kochankę zwycięskim spojrzeniem sytego kocura po udanym polowaniu. A jednak! Przyszła koza do woza.

Był czwartek rano. Siedzieli z Antošką w restauracji krakowskiego „Novotelu”, milcząc po wspólnie spędzonej nocy. Mrugał do niej porozumiewawczo, na co rzucała mu spojrzenia, których wymowa była dla niego niejasna.

Czy znów się na niego boczyła? Przecież wczorajsza noc była naprawdę... Nigdy jeszcze nie było im ze sobą tak dobrze.

Sam fakt, że w ogóle się tu spotkali, pozostawał dla niego zagadką. Do tej pory to on musiał głowić się, jak zaaranżować ich słodkie sam na sam.

Po powrocie z niefortunnego wyjazdu do Sopotu, kiedy nie przyszła do jego pokoju, postanowił nie zaprzętać sobie nią więcej głowy. Po dwóch dniach poczuł nawet ulgę, zwłaszcza że miał niemało na głowie. Karolina gorzej się czuła, coś ją pobołowało i mieli nawet jechać do lekarza, lecz dolegliwości ustąpiły. Tymczasem on musiał służbowo gnać do Krakowa, gdzie umówił się z Maruszewiczem po odbiór „należności”.

W środę Antoniny nie było w biurze, co przyjął z dziwną mieszaniną ulgi i niepokoju. Wieczorem pojechał do Krakowa pociągiem i jakże się zdumiał, spotykając ją tam przypadkiem w hotelowej restauracji! Pomyślałby, że znalazła się tam celowo, by go spotkać, lecz było to wykluczone. Ich sprzeczka trwała już ponad dwa tygodnie. Czasy, gdy Antolka przeglądała jego kalendarz i wiedziała o wszystkich jego spotkaniach biznesowych, należały już do przeszłości.

Z Maruszewiczem umówił się telefonicznie parę dni temu, nie mogła więc wiedzieć o ich planowanym spotkaniu. Nie mogła zaaranżować tego, że na siebie wpadną. W ogóle nie powinien się łudzić, że Antoška za nim „biega”.

Gdy się spotkali dzięki temu jakże cudownemu zrządzeniu opatrności, sam nie wiedział, czy chciał znów wchodzić do tej rzeki. Lecz bycie z nią sam na sam przy kameralnym stoliku i butelce wina musiało zrobić swoje. Daleko od Warszawy, od Karoliny i od czujnych oczu biurowych kolegów... Szybko puściły wszystkie tamy – było jak za najlepszych czasów, było po staremu.

Teraz, siedząc z nią rano, znów nie mógł tego wszystkiego ogarnąć. Ta dziewczyna była chodzącą zagadką! Wczoraj tak pełna temperamentu, dziś zachowywała się bardzo cicho i przyglądała mu się ukradkiem, kiedy zdawało jej się, że na nią nie patrzy.

W końcu złowił jej spojrzenie i uśmiechnął się porozumiewawczo. I ona się uśmiechnęła, ale jakoś inaczej, w zastanawiający sposób.

– Widzę, że jeszcze nie do końca ci przeszło? – Wyszczrzył zęby, zanurzając rękę pod obrus. Odnalazł jej kolano i sunął dłonią wzdłuż uda. – Kiedy wrócę ze spotkania, pójdziemy na górę i przywrócę uśmiech na twoją twarzyczkę...

Kiwnęła potakująco głową i odwzajemniła uśmiezek, popijając latte.

– No, teraz to rozumiem! Moja dziewczynka! Moja mała szelma... – Głaskał jej nogę, dyskretnie rozglądając się na boki.

Odsunęła jego dłoń i rzekła:

– Chyba musisz już iść.

Zerknął na zegarek.

– Ano rzeczywiście, piętnaście po dziesiątej. *À propos!* – Zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Miałem cię spytać, czy to ty włożyłaś mój zegarek do kosmetyczki?

– Nie mam pojęcia, o jakim zegarku mówisz.

Spuściła oczy, zajęta szukaniem czegoś w torbie od laptopa.

– Okej! – Kiwnął głową, siedział jednak zamyślony, mieszając zimną kawę. Coś nie dawało mu spokoju. Do stolika podszedł kelner i zaczął zbierać talerzyki. Antośka nadal poszukiwała czegoś, tym razem w torebce. W końcu wyjęła szminkę, małe lusterko i pociągnęła wargi błyszczkiem. Kelner zagapił się na nią, sterta talerzy na jego tacy brzęknęła niebezpiecznie.

– Nie odrywaj pana od pracy! – Mati uśmiechnął się do niej karcąco, na co rzuciła mu ukośne spojrzenie i znów podjęła szminkowanie swoich pełnych warg.

– Bo wiesz – podjął, opierając brodę na rękach i przybliżając się do niej poprzez stół – jak wyjeżdżałem z „Hefflera”, nigdzie nie mogłem znaleźć tego zegarka i gdyby nie amok, w który mnie tam wprowadziłaś, byłbym nawet zgłosił kradzież. Ale tak się denerwowałem tobą, że potem nie miałem do tego głowy. Zwłaszcza kiedy dowiedziałem się w recepcji, że wyjechałaś wcześniej rano! Dlaczego to zrobiłaś? – Znów złapał ją za udo, tym razem mocniej.

Uśmiechała się, patrząc na niego dziwnie.

– I wyobraź sobie, że ten sam zegarek znalazłem dziś rano w mojej kosmetyczce – ciągnął lekko rozkojarzony, bo nagle przestała się opierać, wręcz rozchyliła nogi, ułatwiając mu tym samym pieszczoty.

– Pewnie był tam przez cały czas – wyszeptala zmysłowo, przysuwając się do stołu, opierając ręce na fotelu i wypinając biodra w jego kierunku.

– Pewnie tak... – ciągnął rozkojarzony, z rozkoszą obserwując jej źrenice, które z zimnych stawały się błędne. Już miał przysiąść się bliżej, gdy nagle oprzytomniała i rzekła spokojnie:

– Idź teraz na spotkanie! Ja będę czekać na ciebie w pokoju.

– Na pewno? – Oddychał z trudnością, zerkając na boki, czy aby na pewno nie patrzą na nich jakieś niepowołane oczy.

– Na pewno! Tylko wracaj szybko. – Uśmiechnęła się „po staremu”.

– Nie zajmie mi to dłużej niż godzinę. – Wstał gwałtownie, lekko potrącając szklą. Szybkim krokiem ruszył w stronę wyjścia, nie oglądając się już za siebie.

Był piękny, mroźny dzień, więc postanowił się przejść. Mieli się spotkać na Rynku, jednak dla bezpieczeństwa postanowił, że „wymiana” powinna nastąpić w odludnej części parku. Dmuchał na zimne, pomny na to, co ostatnio kładł mu do głowy paranoiczny Paweł. Paweł, który wręcz zalecał mu wyjmowanie z telefonu baterii podczas ważnych rozmów. Tak na wszelki wypadek.

Zerknął na zegarek – dochodziła jedenasta. Minął Wawel, skręcił w Bracką i szedł energicznie, a śnieg skrzypiał pod jego butami. Dotarł do Rynku, który w zimowym słońcu prezentował się niezwykle okazale. Maruszewicz miał czekać pod Sukiennicami.

Z daleka Mat poznał krążącego tam i z powrotem kolegę. W ostatniej chwili sięgnął do kieszeni i faktycznie wyłączył telefon, przy okazji wyjmując baterię i wrzucając ją do kieszeni płaszczka. Potem zbliżył się do Maruszewicza, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Jak się masz, staruszkule? – Przyjaźnie klepnął go po plecach, popychając tym samym w kierunku wylotu ulicy Siennej.

– Nie mam czasu na spacer – warknął Maruszewicz, sięgając nerwowo do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Spokojnie, stary! Powstrzymaj swoje konie cugowe! – ostudził go Mat, nie zmieniając wyrazu twarzy ani na jotę i siłą kierując kumpla na przeciwległą stronę Rynku.

– Coś ty! – obruszał się tamten. – Odwaliło ci? Setki razy...

– Pohamuj jadaczkę, pici polo! Chcesz papierosa? – Mati energicznym gestem złapał go

za ręce i siłą opuścił mu je wzdłuż ciała.

– Zdużniałeś do imentu, bracie? – Maruszewicz wyrwał się i odsunął o krok. Młoda dziewczyna minęła ich z dziwnym wyrazem twarzy, na co Mati rzucił jej prowokacyjny uśmiech i puścił oko, po czym znów skierował spojrzenie na swego towarzysza.

– Nie szukaj fajek po kieszeniach! Nawet nie pakuj tam łap! – groźnie wycedził w stronę zdeorientowanego kolegi. – JA MAM FAJKI!

Maruszewicz nagle zorientował się, że Mat nie żartuje, więc posłusznie zaprzestał nerwowych ruchów, zwieszając ręce wzdłuż tułowia.

Mati wyjął z kieszeni papierosy, a przy okazji też telefon. Bez słowa pokazał go Maruszewiczowi, wysuwając go dyskretnie zza paczki papierosów. Tamten zatrybił dopiero po kilku sekundach.

– A! Prawda. – Sięgnął do kieszeni i wduśił odpowiedni guzik.

– *Battery* – syknął Mat, patrząc przed siebie na zalany oślepiającym słońcem Rynek.

– *Szto?* – Maruszewicz popatrzył na niego na wpół ironicznie, na wpół niedowierzająco, jednak wsunął rękę do kieszeni i gmerał tam ładnych parę sekund, po czym kiwnął głową na znak, że już się z tym uporał. Dureń!

– To teraz zapalimy i przejdziemy się po Plantach. – Mati bacznie zlustrował wzrokiem Rynek. Ludzi było sporo, więc poniechał nerwowych spojrzeń. I tak niczego nie da się wypatrzyć. Lepiej znaleźć się w miejscu znacznie mniej uczęszczanym.

– Po chuja mam chodzić po Plantach? – zirytował się Maruszewicz, przeczesując palcami przerzedzone włosy. – Za godzinę mam spotkanie i muszę być w agencji... Nie wyrobię się.

– Przejście tej waszej zaszranego gołębiami pipidówki z jednego końca na drugi zajmuje niecałe dziesięć minut, stary. – Mati zapalił papierosa i nałożył ciemne okulary. – Na Planty idzie się trzy minuty. Wyrobisz się na czas.

– Dobra więc! Pomówmy o następnych kontraktach!

– O kontraktach będziemy rozmawiać w biurze. Wszystko pozostanie po staremu. – Mat szedł szybko, nie patrząc ani na lewo, ani na prawo. Maruszewicz ledwo dotrzymywał mu kroku.

W tym tempie rzeczywiście dotarli do Plant w kilka minut. Mateusz ostatni raz rozejrzał się bystro, po czym podszedł do sprzedawcy kiczowatych landszaftów i zaczął wymieniać uwagi z ich nawiedzonym twórcą, ubranym w długi wojskowy płaszcz i czarny beret z antenką – jak na artystę malarza przystało.

– Po ile ta akwarelka? – indagował z papierosem w ustach. – Dwieście? Drogo! No, ale za sztukę trzeba płacić!

– Zwariowałaś? – mruknął stojący obok Maruszewicz, zezując na kolegę wystraszoną wzrokiem. Jakoś udzielił mu się jego niepokój, więc miał chęć zakończyć to spotkanie, nawet gdyby miało to oznaczać zakup kiczowatego obrazka.

– Prawie Wyspiański – zawyrokował Mati z miną znawcy. Trzymał oprawioną w drewnianą ramę akwarelkę przedstawiającą bezlistne Planty z wyzierającym z tyłu różowawym, plamiastym słońcem. Maruszewicz popatrywał na obraz z wymowną miną.

Artysta spoglądał na nich podejrzliwie.

– Bierzemy go! – orzekł nagle Mati, patrząc na Maruszewicza znacząco.

Ten zorientował się wreszcie, sięgnął do wewnętrznej kieszeni kożucha i szperał tam przez dłuższy czas. W końcu wyciągnął dwa banknoty. Artysta wziął je, a wtedy Mati zakomenderował:

– Niech pan nam to dzieło zapakuje w papier.

Malarz popatrzył kpiąco, po czym wziął od Mata obraz i pochylił się nad rozkładanym stołem. Zawinał płótno w gazety, a następnie wcisnął do starej reklamówki. W tej chwili Mat

stanął bliżej Maruszewicza i dyskretnie przejął grubą, szarą kopertę.

– Sprawdź – bezgłośnie wyartykułował Maruszewicz. Stali ramię w ramię, obaj pochyleni nad kopertą. Mati upewnił się, że artysta wciąż pakuje obraz, więc jednym szybkim ruchem rozchylił kopertę. Ujrzał grube zwitki banknotów dwustuzłotowych. Objętościowo raczej się zgadzało. Kiwnął twierdząco głową, upewniając Maruszewicza, że wszystko jest okej.

– Resztę przekażę, jak wpłynie druga transza.

Mat znów skinął głową i zwinnym gestem upchnął kopertę w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Cała operacja przebiegła gładko, nim malarz zdążył podnieść na nich oczy, podając zapakowany obrazek.

– Fajno, uszanowanie dla pana! – Mati z zadowoleniem wsunął pakunek pod pachę.

Artysta kiwnął głową i jeszcze chwilę obserwował ich, gdy odchodzili w stronę Rynku. Szli szybko, już bez słowa.

– Kiedy następny projekt? – spytał Maruszewicz, gdy dotarli do Mariackiej, gdzie ich drogi miały się rozjechać.

– Mój dział marketingu da wam znać o następnym pitchu.

– Mati, coś ty taki formalista? – Maruszewicz patrzył na niego z rozbawieniem.

– Takie czasy, takie obyczaje. – Mati poklepał go po policzku, odwrócił się i zniknął w tłumie Japończyków szturmujących wejście do kościoła Mariackiego.

Szedł teraz szybciej, z bijącym sercem, czując, jak pokaźna koperta wypycha mu kieszeń. Dola z dwóch kontraktów, sześćdziesiąt pięć patoli. Udany dzień! A najlepsze jeszcze przed nim! Przełknął ślinę i jeszcze przyspieszył kroku.

W dziesięć minut był już w recepcji hotelu i kierował się do windy, gdy w lobby ujrzał Antolkę siedzącą nad otwartym laptopem i dużą kawą. Była w eleganckiej spódnicy w pepitkę i czarnej, jedwabnej bluzce.

– A ty co tu jeszcze robisz? – zgał ją dyskretnie, lustrując wzrokiem siedzących w kawiarence ludzi. „Novotel” najczęściej wybierali ludzie z ich biura. Nie daj Bóg, by zobaczył ich tam jakiś „życzliwy” kolega czy koleżanka.

– Musiałam wysłać parę maili, no i czekałam na ciebie. A co tam masz? – Znad okularów przyglądała się pokaźnej torbie.

– Prezent dla ciebie, kochanie! *Planty o świcie!* Idealne do twojej kuchni!

– Masz na myśli: naszej kuchni? – Uśmiechnęła się dziwnie.

– Na razie twojej, a niebawem naszej wspólnej. Widzisz? Już czuję się w twoim mieszkanku jak u siebie i urządzam je pod siebie, bo niebawem zamieszkamy razem. Ehm. No to co? Idziemy na górę? – dopytywał się niecierpliwie, siadając obok i muskając dłonią jej nogę.

– Ty idź pierwszy. Idź już do swojego pokoju, a ja zaraz tam dojdę. Przygotowałam dla nas aromatyczną kąpiel. Pozapalaj świeczki i czekaj na mnie w wannie. Przyjdę, tylko zamówię nam po kieliszku białego wina. – Delikatnie odsunęła jego dłoń, ściskając mu jednak rękę porozumiewawczo.

– Widzę, że zaczęłaś się o mnie starać. – Uśmiechnął się leniwie, odwzajemniając uścisk. – Świece, wino! Jak za naszych najlepszych czasów!

– Spiesz się, Mati. – Przysunęła się bliżej, czuł na twarzy jej oddech. – Nie chcę, by nagle odwołał cię ode mnie jakiś telefon. Chcę spędzić te pół dnia, które mamy, tak, jak jeszcze nigdy do tej pory. Mam dla ciebie dzisiaj specjalną niespodziankę!

Przybrała tak zmysłowy wyraz twarzy, że poderwał się jak oparzony, mamrocząc:

– Kończ, co masz kończyć i spiesz się do mnie!

– Będę na górze za dwie minuty – odparła. – A ty masz być już w wodzie, inaczej spotka cię surowa kara. – Uśmiechnęła się tak znacząco, że mało co nie wpadł na nadchodzących od

strony recepcji gości. Przeprawił ich i niemal biegiem ruszył w stronę windy.

W pokoju zdjął płaszcz, wyjął kopertę i zerknął do niej. Przez ułamek sekundy napawał się widokiem grubych pomarańczowych zwitków, po czym zakleił ją i włożył do zamykanego na szyfr nesesera.

Wsunął neseser pod biurko, potem zdarł z siebie marynarkę, odpiął pasek, zrzucił spodnie i rozpinając koszulę, zajrzał do łazienki. Rzeczywiście, wanna napełniona była zabarwioną olejkami wodą, pływały w niej nawet płatki róż. Wokół Antośka ustawiła mnóstwo świec zapachowych. Skacząc na jednej nodze, a z drugiej zdejmując skarpetę, dotarł do szafy, wyjął z kieszeni płaszcz zapalniczkę i w samych slipkach zaczął pieczołowicie zapalać świece.

Gdy uporał się z połową, zgasił światło, zrzucił slipy i wskoczył do wanny. Stojąc już na golasa w wodzie, zapalał resztę świec, których nie mógł dosięgnąć wcześniej. Ależ się dziewczyna postarała! Musiała się za nim stęsknić. Może dobrze jej zrobiły te dwa tygodnie rozłąki? Przekona się na własne oczy, że lepiej mieć go od czasu do czasu, niż nie mieć wcale.

Woda nieco ostygła, więc dopuścił ciepłej, po czym wyciągnął się wygodnie, odchylając do tyłu głowę i zanurzając włosy, a następnie całą głowę. Gdy się wynurzył, usłyszał, że otworzyły się drzwi pokoju. Przyszła.

Rozparł się, zakładając ramiona za głowę i przymykając oczy. W samą porę. Weszła do łazienki i postawiła na drewnianym stoliku dwa kieliszki schłodzonego wina.

– Najlepsze alzackie, jakie mieli – szepnęła zmysłowo.

Leżał nadal z zamkniętymi oczami, słysząc, jak stuką obcasami po łazience. Stukała w nieskończoność.

– No idziesz? – ponaglił ją. – Co jeszcze robisz?

– Zapalam resztę świec, których szanownemu panu dyrektorowi się nie chciało.

– Jeszcze są jakieś niezapalone świece? Daj spokój! Skąd ich tyle wzięłaś? Obrabowałaś sklep świecowy?

– Już idę, dyrektorze! Chcę po prostu, by niespodzianka była naprawdę niezapomniana!

– Chodźże tu!

Stała tyłem do niego, naprzeciwko ogromnego lustra i dwóch obszernych umywalek, faktycznie przypalając resztę świec ustawionych na szerokim marmurowym blacie. Usiadł gwałtownie i próbował złapać ją za nadgarstek, wylewając przy tym z wanny sporo wody.

– Czekaj, idę się rozebrać. Wypij wino! – szepnęła i wyszła z łazienki, przymykając za sobą drzwi, na co on, coraz bardziej rozochocony, znów zanurzył się pod wodę, po czym wynurzył, rozkoszując dziwnym aromatem świec. Cóż ona kombinowała? Mała kocica. Z dreszczem rozkosznego oczekiwania usiadł wyżej, chwycił kieliszek i upił spory łyk, wsłuchując się w odgłosy dobiegające z pokoju.

Cóż takiego mogła planować? Jaką niespodziankę? Rozpalona wyobraźnia podsuwała mu różne śmiałe wizje. Antonina w skórzanej bieliźnie? Antonina w towarzystwie dwóch innych blondyneczek? Znów upił łyk wina i zamarł w oczekiwaniu.

Minęło parę minut, a nadal nie wchodziła. Pijąc wino, uśmiechnął się sam do siebie. Ależ on jest paranoikiem! Niemal jak Paweł. Czemu miałyby nie przyjść? Po takich przygotowaniach? Nagle zdało mu się, że usłyszał trzask drzwi na korytarz. Nadstawił uszu.

– Antosia! – zawołał cicho, a ponieważ nikt mu nie odpowiedział, krzyknął już całkiem głośno: – Antośka!

Cisza. Co, u licha, się działo? Co ona najlepszego wyprawia? Powtórka z rozrywki czy jak? Teraz, kiedy przygotowała wszystko do szalonej, dzikiej uczty, nagle opuszcza pole bitwy? Gwałtownie wstał, wylewając całe litry wody i gasząc tym samym sporo świec.

– Cholera by to wzięła!

Jednym ruchem wyskoczył z wanny i w dwóch susach dopadł drzwi.

– Antośka!

Goły i ociekający wodą wyskoczył do przedpokoju, a stamtąd do sypialni! Nie ma jej! Kurwa mać! Doleciał do drzwi i trwożnie wyjrzał na korytarz. Nikogo. Zatrzasnął drzwi i przez chwilę miał w głowie dziwną pustkę. Potem zaczął szukać komórki, by do niej zadzwonić. Gdzież on ją, u licha, wsadził? A tak, w kieszeni płaszcza. Leżała tam z wciąż wyjętą baterią.

Drżącymi ze złości rękami wepchnął baterię na miejsce i nerwowym ruchem włączył telefon. Wieki minęły, nim się odpalił. Mati zdążył wytrzeć ręcznikiem włosy i wyjrzał przez okno, skąd widoczne było wyjście z hotelu. Ludzie wchodzili i wychodzili, lecz nigdzie nie widać było jej jasnej główki! Zresztą po co by miała...

Wybrał jej numer i stał w oknie, nagi, niespokojny, a za szybą, w świetle lutowego słońca, rozpościerał się widok na monumentalny Wawel.

Nie odebrała. Nie odebrała, nawet gdy wybrał jej numer dziesięć razy z rzędu.

Stał jak skamieniały. Po co drugi raz z rzędu wycięła mu taki numer? Oj, nie ujdzie jej to płazem! Dziki gniew ogarnął go do tego stopnia, że zaczął dygotać. Cóż to, u licha, miało znaczyć? Pojedzie do jej mieszkania i powie, że z nimi koniec. Koniec! Dość tych dziwnych, chorych gier. On, któremu za miesiąc ma urodzić się syn, nie będzie już ani minuty dłużej uczestniczył w tej farsie.

Gwałtownie się ubierał, potrącając meble i przewracając krzesła, gdy szukał pod nimi rozrzuconych skarpet i butów. Wtem tknęła go dziwna myśl. W rozpiętej koszuli i jednej tylko skarpecie dopadł do biurka i wyrwał spod niego neseser, a potem z hukiem rzucił na blat. Nerwowo wybrał szyfr. Zamki odskoczyły, otworzył walizkę. Koperta była! Chwył ją i otworzył, sprawdzając zawartość. Nietknięta! Lecz wcale go to nie uspokoiło.

Bo niby po cóż miałyby mu kraść pieniądze? Nie o pieniądze tutaj szło... Z marsem na czole i zaciśniętymi szczękami nerwowo krążył po pokoju. Czemu zjawiała się znienacka w tym hotelu? Tylko po to, by go rozochocić, a potem zniknąć?

Znów podjął mozolną czynność ubierania się, lecz tym razem robił to powoli, pogrążony w niespokojnych myślach. Coś go nurtowało, jakiś dziki niepokój, lecz żadną miarą nie mógł znaleźć jego źródła.

Gdy zapiął już koszulę i wsunął ją do spodni, poszedł do łazienki po zegarek i tam oniemiał. Zegarka znów nie było na miejscu! Paraliżujący strach chwycił go za gardło. Dokładnie przecież pamiętał, jak kładł go na blacie, nim wszedł do wanny. Potem ona stanęła w tym miejscu, zapalając „resztę” świec. „Jest pan leniwy, panie dyrektorze”. Tak powiedziała. Świsnęła mu zegarek?

Jeśli zegarek ginie dwa razy, to raczej nie bez kozery!

Koszmar tego odkrycia docierał do niego powoli, skokowo, jakby Mat nie miał siły się z tym zmierzyć.

Zegarek po raz pierwszy zniknął mu w „Hefflerze”, lecz wtedy fakt ten nie miał żadnego doniosłego znaczenia. Teraz stawało się to podejrzane! I wtedy ktoś musiał go stamtąd zabrać, bo Mati obszukał przecież wszystkie swoje rzeczy. Wczoraj zegarek odnalazł się w kosmetyczce. Dziś ponownie zniknął, lecz nie było już wątpliwości, kto był sprawcą. Ona go zabrała, dwukrotnie. I podrzuciła go wczoraj, ale tylko po to, by znów go zwinąć! Świece i kąpiel były tylko po to, by zamydląć mu oczy.

Ale po co? Po co to wszystko?

Ogłuszony i skrajnie spięty wpatrywał się w swoje lustrzane odbicie. Był trupio blady. Machinalnie, niczym zardzewiały robot, odwrócił się na pięcie i podniósł do ust jej kieliszek i wypił go do dna. Potem spakował się, nałożył płaszcz i ciągnąc swoją małą walizeczkę

z zamkniętym w środku neseserem, zjechał do recepcji. W windzie zauważył, że urwał mu się guzik od płaszcza. Wstrząsnął nim dreszcz, być może dlatego, że nie wytarł się dokładnie po kąpieli.

– Słucham pana?

Kobieta w kostiumie w kolorze bordo patrzyła na niego z urzędową uprzejmością.

– Mam takie pytanie... Czy wie pani może, w którym pokoju zatrzymała się pani

Antonina Michalik?

– Pani Michalik wymeldowała się dziś po śniadaniu.

Ach tak. Doskonale. Zatem ukartowała to wcześniej. Żadne pierdolone *emergency*^[76] nie kazało jej wyfrunąć z jego pokoju na gwałt.

Grobowym głosem kazał zamówić sobie taksówkę na dworzec. Jadąc już, wybrał numer brata.

– Halo! – Głos Pawła brzmiał nieswojo.

– Mam problem! – Taksówka tkwiła w korku, słońce mocno przygrzewało przez szybę.

Mati poluzował szalik.

– Co ty powiesz? – Brat wydawał się wściekły.

– Kurwa, nie masz pojęcia, co mnie właśnie spotkało... – zachnął się Mati.

– No więc, co się dzieje? – Ton brata nie wróżył niczego dobrego. Było w nim ostrzeżenie, jakby mówił: „Czy na pewno to, co chcesz powiedzieć, nadaje się na telefon?”.

– Jestem naprawdę w dupie, Paweł. Spotkajmy się. Za pół godziny mam pociąg, będę w Warszawie po siedemnastej.

– OK, przyjdź do kancelarii. Będę czekał.

– Na Parko...

– Wiesz, gdzie mam kancelarię. Cześć – uciał jego dziwny brat, po czym natychmiast się rozłączył.

Matiemu nie pozostało nic innego, jak wpatrywać się w mijane ulice i starać się okiełznać galopującą wyobraźnię, która podsuwała mu filmowe wręcz scenariusze. Nie chciał jednak dać się ponieść paranoi, więc usiłował wytłumaczyć sobie zniknięcie Antoniny z zegarkiem w jakiś błahy sposób, lecz ni w ząb mu się to nie udawało.

Gdy jechał już pociągiem i mijał pola pokryte topniejącym śniegiem, okrutna pamięć podsuwała mu coraz więcej pozornie niezwiązanych ze sobą szczegółów. Przerazony, bezmyślnie gapił się na telefon, zaklinając go, by zadzwonił, by odezwała się Antośka, tłumacząc swe zniknięcie w jakiś banalny sposób. Jednak przeklęty aparat milczał jak zaklęty.

Ze swego przedziału pierwszej klasy widział chodzących korytarzem ludzi, śmiejących się i rozmawiających. Jakże im teraz zazdrościł! Jakże pragnął być teraz jednym z nich – kiepsko ubranych, spoconych, drobnych przedsiębiorców, jadących z Krakowa do Warszawy, by załatwiać nędzne interesy. Harujących jak woły, by uciułać te parę marnych groszy. Biednym szarakiem, mającym na głowie dom i rodzinę, zasiedlającą brzydki betonowy blok. Co niedziela grillować tłustą karkówkę i swojską kielbasę. Być synem strażaka, górnika, tokarza albo ślusarza. Mieszkać w małym miasteczku i nigdy nie spotkać JEJ!

Ileż by oddał, by nie mieć sumienia obciążonego tym wszystkim, co za chwilę mogło wyjść na światło dzienne, pogrążając jego, żonę i nienarodzonego jeszcze syna. Siedziałby teraz w drugiej klasie, z połataną teczką na kolanach. On, ubezpieczyciel lub przedstawiciel handlowy, spieszący się do domu na rosół i wiozący zarobione sześćset złotych – w sam raz, by pokryć najpilniejsze potrzeby.

Głęboko wierzył, że gdyby nie okoliczności, w które życie go rzuciło, mógłby być właśnie kimś takim. Łagodnym, niezardnym, cierpliwym i pracowitym.

Jeżeli to wszystko, co buzuje mu w głowie, okaże się wytworem jego chorej wyobraźni, to – przysięga sam sobie! – nigdy więcej nie zaangażuje się w żadne dwuznaczne sytuacje. Życ prościej, skromniej – lecz spać spokojnie. Oto jedyne jego życzenie. Jedyne, czego mu teraz trzeba. Jedyne, o co się cicho modli!

Haki

Gdy Mati pokonał dwa piętra i wpadł do prowizorycznej kancelarii brata, to, co zastał w środku, zjeżyło mu włosy na głowie. W biurze nie było żadnych pracowników miarowo klekoczących w klawisze komputerów, nie dzwoniły telefony, nie szumiały kserokopiarki. Wnętrze było zadymione i ciemne, a Paweł, który osobiście otworzył mu drzwi, wyglądał jak trup – błydy, z zaciśniętymi szczękami i papierosem w ustach.

– Co ty wyprawiasz? – Porażony tym widokiem Mateusz jęknął. Sam, targany rozterkami, spodziewał się znaleźć brata w zgoła innym stanie. Paweł, zawsze elegancki, był ostoją profesjonalnego spokoju – opoką całej rodziny! Cóż to wszystko miało znaczyć? A więc raczej miał ojciec, tak się o Pawła zamartwiając. Sądząc po tym, co Mati tutaj widział – także brat miał poważne kłopoty.

– Wejdz! – Paweł czujnie rozejrzał się po korytarzu, wciągnął Mata do środka, po czym zarygłował drzwi.

Mati szedł niemal po omacku w stronę nikłego światła palącego się w gabinecie.

– Bracie, czego tu tak ciemno? Co ty wyprawiasz?

– Musimy natychmiast stąd wyjść. Czekałem tylko na ciebie.

Przerażony Mateusz obserwował, jak brat upycha coś do skrytki w ścianie, po czym szybkim krokiem idzie do szafy i narzuca gruby płaszcz.

– Co się dzieje, stary? Przerażasz mnie jeszcze bardziej... Przyszedłem, byś mnie uspokoił, a tymczasem ty sam zachowujesz się jak świr!

– Ani słowa. Milcz. Porozmawiamy w samochodzie. Zostaw tutaj walizkę, później po nią przyjedziemy.

– Ale dokąd się wybieramy, na Boga? Ja mam żonę w ósmym miesiącu ciąży, powinienem już jechać do domu!

Paweł nie odpowiedział, tylko cicho otworzył drzwi. Po chwili schodzili razem w dół ciemnej klatki schodowej. Wyszli na zewnątrz, Paweł szedł szybkimi, długimi krokami, a Mati, z rozwianym włosiem i czujnie rozglądając się na boki, niemal biegł za swoim potężnym, zwalistym bratem. Parkowa była pogrążona w zimowym mroku, po drugiej stronie ulicy czernił się zimny park. Żółtawe gazowe lampy dawały niewiele światła i robiły psychodeliczne wręcz wrażenie, ćmiąc się w mroku, przydając wszystkiemu tajemniczości. Niemal surrealizm.

W taką noc mężczyzna powinien znajdować się w swoim domu, blisko żony i dzieci. Ten bieg za oszalałym starszym bratem budził w Mateuszu dziwny lęk, jakby wszystko stanęło na głowie i nigdy już nie miało być takie same. Przeklęta Mata Hari! W jaką piekielną otchłań go pociągnęła?

Gdy wreszcie znaleźli się w aucie, Paweł natychmiast zarządził wyjęcie baterii z komórek, co Mati wykonał natychmiast, jak żołnierz komendę przełożonego. W milczeniu dojechali do skrzyżowania z Belwederską. Wtedy młodszy nie wytrzymał:

– Co się dzieje? Dokąd jedziemy?!

– Godzinę temu zadzwonił do mnie Kwaśniak. Na stacjonarny. Już sam ten fakt daje mi do myślenia... Obawiam się, że jesteśmy podsłuchiwanie, dlatego w kancelarii nie chciałem nic mówić i kazałem ci wyjąć z telefonu baterię!

Mateusz oniemiał. W pierwszej chwili chciał zakpić z brata, mówiąc, że od zawsze wydaje mu się, że jest podsłuchiwany... lecz teraz zmienił zdanie. Gdy stanęli na czerwonym świetle przy skrzyżowaniu Belwederskiej z Bagatelą, Paweł zwrócił twarz w stronę brata i rzekł:

– Zażądał spotkania. Z nami dwoma, rozumiesz? Mamy stawić się przy Kanale Żerańskim, w okolicach giełdy samochodowej.

– Kwaśniak chce spotkać się ze mną? Też ze mną? – Matiemu krew zakrzepła w żyłach.
– Tak. Właśnie przede wszystkim z tobą chce się widzieć! Mam podstawy, by przypuszczać, że coś na ciebie wyszukał. Był bardzo powściągliwy i ostrożny, jak to on. – Nozdrza Pawła nieznacznie się rozdęły. – Jednak w kontekście tego, co dałeś mi do zrozumienia przez telefon, i łącząc te wszystkie fakty, dochodzę do wniosku, że ma coś niebłahego. Czekam więc teraz, byś mi wszystko dokładnie opowiedział... Szczerze jak na spowiedzi!

Mati powoli przymknął oczy. A więc pierwszy raz w życiu jego najczarniejsze przypuszczenia sprawdzały się. Wielokrotnie wyobrażał sobie moment klęski, lecz wyobrażenia były niczym wobec odczuwania tego naprawdę. To dziwna rzecz, być skończonym!

Uśmiechał się przerażająco, przeczesując włosy, nie dowierzając temu jeszcze. Bo to, że go wrobiono i nagrano, było możliwe i jak najbardziej prawdopodobne, znając naturę ludzką. Ale żeby zrobiła to jego dziewczyna? Jego Antosia, dla której chciał zostawić żonę i dziecko? Gorzko się roześmiał.

– Z czego rechoczesz? Mów szybko, co się stało! Mów, nim tam dotrzemy – Paweł przynaglił go nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Mati bezbarwnym głosem zrelacjonował całą historię, zaczynając od dziwnego zachowania kochanki w Sopocie i jej długiej rozmowy z Kwaśniakiem przy barze, a kończąc na wydarzeniach dnia dzisiejszego, nie pomijając nawet świec, róż ani tego, jak długo Antonina stała koło umywalki, gdzie znajdował się zegarek. Paweł przez cały czas milczał, lecz jego szeroka twarz wydawała się coraz bledsza. Minęli plac Trzech Krzyży i skręcili w dół, w Książęcą.

Sklepy, restauracje, gwarne bary, beztroscy ludzie na ulicach – to wszystko już nie dla niego, zdawało się należeć teraz do przeszłości, uciekać Matiemu, jak ziemia pod startującym samolotem.

– Czy kiedykolwiek mówiłeś kochance o kopertach przyjmowanych od człowieka z agencji reklamowej? – chrapliwy głos Pawła przerwał te rozmyślenia. – Przypomnij sobie! Czy kiedykolwiek chwaliłeś się jej, w jakichkolwiek okolicznościach, o tym, że masz takie dodatkowe źródło dochodu?

– Nie, nie! Nie, nie! – Mati kręcił głową, przeczesując włosy oburącz.

– Jesteś tego absolutnie pewien?

– Raczej tak. Tak!

Paweł spojrzał na niego powątpiewająco, po czym sięgnął do schowka, wyjął dwa papierosy i wetknął jednego do ust. Z piskiem opon skręcili w Wybrzeże Gdańskie.

– Po co on chce się z nami spotkać? – Głos Matiego zabrzmiał niemal histerycznie. – Mówił już? Skąd wiesz, że coś na mnie ma?

– Dał mi to do zrozumienia, znacząco zawieszając głos... – Paweł zaciągnął się papierosem i uchylił okno, jednocześnie dodając gazu. Po lewej stronie widoczna była podświetlona Starówka, potem wjechali pod rozjarzony niebieskimi światłami most Gdański. – Jeżeli sprawdzi się najczarniejszy scenariusz, to będzie znaczyło, że namówił twoją kochankę do zainstalowania ci w zegarku podsłuchu albo i kamery, a teraz przedstawi nam swoje warunki. Musimy być cierpliwi.

Mati może i spojrzałby z wdzięcznością na brata za użycie liczby mnogiej, lecz był zbyt głęboko pogrążony w myślach, by to usłyszeć, a tym bardziej docenić.

– Ale Antosia nie miała pojęcia, że przyjechałem, by zobaczyć się z Maruszewiczem. Na pewno nie wspominałem jej o tym! Skąd więc wiedziałaby, kiedy przyszykować na mnie tę... Och, kurwa! – Znów ukrył twarz w dłoniach, ale zaraz poderwał ją desperacko i z goryczą dokończył: – ...tę pułapkę! Hę?

– Tego nie wiem – uciął Paweł ponuro.

– Może powinniśmy zawiadomić policję, jak sądzisz? – lekko podniesionym głosem zaczął Mateusz. – Mamy tak jechać, niczym owce na rzeź, by spotykać się z nim w krzakach jak dilerzy narkotyków? A jeśli on nie jest sam? Jeśli szykuje na nas zasadzkę?

Paweł się zawahał, czy powiedzieć bratu o tym, że razem z Agą prowadzili małe dochodzenie w sprawie pabianickich przekrętów. Może Mat, wciągnięty w tę sytuację, powinien wiedzieć, na czym stoi.

– Słuchaj – rzekł głucho, zaciągając się papierosem. – I ja mam powody do niepokoju. Od listopada prowadzę z moją sekretarką małe dochodzenie w sprawie udziału Kwaśniaka w znanej ci sprawie Baranowskiego.

– Wiem. Miałeś podejrzenia, a nie miałeś dowodów! – mruknął Mat ze złością.

– No tak, ale dzięki mojej Adze, która miała dostęp do konta Zagajewicza, doszliśmy do tego, kto przelał mu tak zwane wynagrodzenie za wsadzenie mojego klienta na minę. To była spółka cypryjska, której właścicielem jest niejaki Wędzicha, jak się okazało, kumpel ojca Kwaśniaka.

– Kurwa, po co ci to, Paweł? – Mati odwrócił się do brata z narastającą wściekłością. Czyżby właśnie śledztwo brata doprowadziło do burzy, w której epicentrum znalazł się nagle on, Bogu ducha winny Mati? – Chciałeś napytać sobie biedy, węsząc za jakimiś lewymi interesami? Chciałeś być świętszy od papieża? Starszy miał rację! Tobie odbiło po odejściu Hanny!

– Co to ma do rzeczy, baranie? – Paweł zacisnął ręce na kierownicy, przymrużonymi oczami lustrując zakrzaczone okolice Modlińskiej. Gdzieś tutaj miał skręcić w Marywilską, tam była ta giełda. Tak, już widoczny był wiadukt.

– Kwaśniak zorientował się, że go tropicie, i postanowił wrobić i mnie! – histerycznie wrzasnął Mati. Teraz i on zapalił papierosa. Oczy niemal wychodziły mu z orbit, a gęste włosy stały jak u zjeżonego lwa.

– Czekaj, jeszcze niczego nie wiemy – uspokajał go Paweł, choć sam był skrajnie zdenerwowany. – A gdy będziemy z nim rozmawiać, pal głupa. Jeśli to w ogóle ma coś wspólnego z tą dzisiejszą kopertą, to raczej...

– Jasne, że ma! – wrzasnął Mateusz jak oszalały. – Jasne, że, kurwa, ma! Przecież to jasne jak słońce! Ten oślizgły kutas odkrył, że mam żonę w ciąży i wygadał to mojej kochance! Nastawił ją przeciwko mnie i namówił do zdrady! Sprytny kawał chuja! Tak tylko mogę tłumaczyć to, co mi zrobiła! Zimna bladź! Kompletnie bez serca! A ja ją, kurwa, kochałem! Rozumiesz to? Kochałem!!!

– Jak to? Nie wiedziała, że twoja żona jest w ciąży? – Paweł spojrzał na brata z niedowierzaniem, przez co niemal wpadli pod nadjeżdżającą ciężarówkę.

– Jak mógłbym jej powiedzieć?! – zawodził młodszy. – Natychmiast by ode mnie odeszła! Nikt w firmie nie wiedział, że Karolina jest w ciąży!

– Jesteś popaprańcem! Nie znałem cię od tej strony – wycodził starszy, szczerząc zęby na podobieństwo warczącego buldoga.

Milczeli chwilę, świadomi, że zbliżają się do miejsca spotkania. Matiemu zrobiło się wręcz mdło ze strachu, gdy usłyszał głos brata, dziwnie zmieniony, jakby tamten usiłował ukryć przed nim własne przerażenie.

– Słuchaj, nie czas na kłótnie. Nie mamy pewności, czy sprawa dotyczy koperty. Zacząłem mówić o pewnej sprawie, ale mi przerwałeś! Moja... moja sekretarka, Aga, dwa dni temu napisała mi, że dokonała jakiegoś znaczącego odkrycia. Niestety, nie wiem na razie, co to było...

– Nie no, pięknie! – przerwał mu Mati. – To, kurwa, nie dziwota, że go zmobilizowaliście

do kontraktaku – bełkotał, wprost rwąc sobie włosy z głowy.

– Wątpię, by akurat to go zmobilizowało, bo Agnieszka napisała mi to właśnie wtedy, gdy wy byliście w Sopocie, gdzie on już działał. Z tego, co mówiłeś, wygląda na to, że właśnie tam wyjawiał prawdę twojej kochance!

– Może wtedy, a może wcześniej. Diabli tam wiedzą! – Młodszy wolno podniósł głowę i szeroko rozwartymi oczami wpatrywał się w ciemne chaszcze. – Antośka jest doskonałą aktorką. Mogli to planować od jakiegoś czasu... Boże, a więc teraz to już naprawdę koniec!

– Ciii – przerwał mu brat, zwalnając. – To gdzieś tutaj... Chcę ci tylko powiedzieć, że Aga wysłała mi ten SMS. Chciała pilnie się ze mną spotkać, ale ja, kretyn, zająłem się czymś innym i dwa dni byłem jak wyjęty z życia! Potem, gdy próbowałem się z nią skontaktować, już nie odbierała. I ani wczoraj, ani dzisiaj nie przysłała do kancelarii! To nie w jej stylu i strasznie się o nią martwię. A teraz, w kontekście tego, co mi powiedziałeś, martwię się jeszcze bardziej!

– Tym, że zniknęła? – upewnił się Mati. W skrajnej determinacji rozsiadł się szerzej i zapalił kolejnego papierosa, jakby tym chciał dodać sobie otuchy. Wokół było bardzo ciemno, widzieli tylko ruiny hangarów i ciemne kępy drzew wokół ponurego Kanału Żerańskiego. Tylko od czasu do czasu mijał ich jakiś samochód.

– Tak! Normalnie się o nią boję!

– Jesteś kretynem, że nie odebrałeś, gdy wydzwaniała! Dlaczego nie odbierałeś?

Paweł nie odpowiedział, tylko jeszcze bardziej zwolnił.

– Słuchaj... – Młodszy kurczowo trzymał dłońmi pas samochodowy. – Czy to w ogóle dobry pomysł, żeby spotykać się z nim w tych krzakach? A jak naśle na nas jakichś zbirów?

– Po co miałby to robić? Trzyma nas w szachu, a zresztą jest zbyt wielkim cykorem, by nas zamordować, uwierz mi. Wrobić, nagrać, zastraszyć – oto działania w jego stylu – uspokajał go Paweł, choć i on czuł się niewyraźnie. Minęli kolejny wiadukt i teraz zbliżali się do celu. Było cholernie ciemno, bo większość latarń miała stłuczone żarówki. Kwaśniak miał czekać w zaparkowanej po prawej stronie drogi lancii. Najwyraźniej chciał mieć pewność, że rozmowa odbędzie się bez świadków. Rodziło to i obawy, i pewne nadzieje.

– Chyba że aż tak mu nadepnęliście na odcisk, że nie ma już żadnych skrupułów – Mati odezwał się złowroźnie.

Wtedy zobaczyli stojące na poboczu ciemne auto. Paweł przyhamował i szybko zatrzymał się na poboczu, jakieś sto metrów przed tamtym samochodem.

– Myślisz, że to on? – szepnął młodszy, patrząc w mrok z wytężeniem, albowiem starszy zgasił światła drogowe i stał na pozycyjnych, a tamto auto było kompletnie ciemne.

– Jeśli tak, to niech się pokaże – odparł Paweł cicho.

Siedzieli bez ruchu, czekając, co się wydarzy. Minęły ich dwa samochody jadące w stronę Zegrza, a potem zrobiło się cicho. Noc była mroźna, na niebie świeciło mnóstwo gwiazd. Obaj sięgnęli po papierosy...

– Jak zobaczysz coś podejrzanego, nie zastanawiaj się, tylko spierdalaj! – poradził Mati, wlepiając wzrok w najbliższe krzaki i starając się przeniknąć dalsze, porastające ciemne brzegi mętnego kanału. Kanału, w którym znaleziono niedawno zwłoki, o ile Mati dobrze się orientował.

– Chcę ci jeszcze powiedzieć, że jeśli dojdzie do najgorszego i powie, że ma ciebie nagranej kamerą z zegarka...

– Kurwa, a to w ogóle możliwe? Kamera w zegarku?

– Stary, na Allegro można kupić kamerę szerokokątną za marne paręset złotych! Nie wiedziałeś?

– Ożeż w mordę!

– Ale momencik! Jeśli za dużo nie kłapałeś jadaczką, to kamera mogła tego nie objąć, rozumiesz? Więc do niczego się nie przyznawaj! Ten skurwiel działa jak KGB, więc może tylko udaje? No i kto wie, może będzie nagrywał nas i teraz... Także waż słowa, bracie.

Znów siedzieli cicho, wpatrując się w ciemny samochód. Od strony Zegrza jechał tir i na moment oświetlił wnętrze tamtego auta. Zdawało im się, że w środku ktoś siedzi.

– Widziałeś? – mruknął Mati. – Chyba jest w środku. Czemu więc nie wychodzi?

– Może czeka, aż my wyjdziemy pierwsi... – Końcówka papierosa Pawła żarzyła się w mroku.

– Niech cię ręka boska broni wysiadać! – przeraził się Mati, wpatrując się w zacięty profil brata.

Niedługo przyszło im tkwić w niepewności, bo od strony Warszawy nadjechał samochód, który niespodziewanie zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt metrów za nimi i natychmiast wyłączył światła. Jak na komendę drzwi auta stojącego z przodu otworzyły się i wysiadł wysoki mężczyzna, który ruszył w ich kierunku.

– To jakaś pułapka – wyjęczał Mateusz, zaciskając dłonie na oparciach. – Spieprzajmy stąd!

Lecz Paweł siedział nieruchomo, jak skamieniały.

Tymczasem człowiek w czarnej, puchowej kurtce był już blisko.

– To on – orzekł starszy i otworzył drzwi.

– Co robisz? – jęczał Mati, lecz tamten już wysiadał, nie pytając go o zdanie. – A ja co mam robić? – szepnął histerycznie, po czym, sam nie wiedząc, co czyni, szarpnął za klamkę i poleciał za bratem.

Kwaśniak zatrzymał się dziesięć metrów od nich i stanął nieruchomo. Na głowie miał kaptur, a twarz w cieniu, lecz można było go rozpoznać po szczupłej, lekko zgarbionej sylwetce.

– Wyjmijcie z telefonów baterie i zostawcie je w aucie! – zakomenderował sucho.

– Już to zrobiliśmy – odparł Paweł lekceważąco, postępując dwa kroki naprzód. Widząc to, Kwaśniak cofnął się odrobinę.

– A więc chodźmy kawalek w tamtą stronę – zaproponował, wskazując prowadzący nad kanał przesiek w chaszczach.

– Kto jest w drugim samochodzie? – spytał Paweł groźnie.

– Przyjaciele, gotowi mnie chronić. – Kwaśniak szedł krok przed nimi, co chwila obracając się za siebie. Paweł, bez czapki i z papierosem w ustach, śmiało brnął za nim. Mati zamykał pochód, dyskretnie popatrując w stronę wygaszonych aut i starając się wzrokiem przeniknąć ciemność. Noc była zimna, zmrożone trawy chrzęściły im pod butami.

W końcu, w otoczeniu krzaków, Kwaśniak wysunął z kieszeni jakieś małe urządzonek i poświecił na nich fioletowym promieniem.

– Co, kurwa, wyprawiasz? – Paweł najwyraźniej nie pękał. Mati zerknął na brata z niekłamanym podziwem. Ostrożny i podejrzliwy, najwyraźniej w chwilach wymagających odwagi był w stanie zachować zimną krew. Chyba podziałało to paraliżująco na Kwaśniaka, który mimo obstawy w drugim samochodzie wydawał się skrajnie zdenerwowany – nawet bardziej niż oni, sądząc po dygocącym głosie.

– Sprawdzam, czy mnie nie nagrywacie. To cacko wykrywa wszystkie świństwa – rzucił cicho.

– Nie mamy w zwyczaju nikogo nagrywać... – równie cicho warknął Paweł. – Mów, po diabła nas tu wezwalesz?

– Dobrze, słuchajcie więc. Wasze małe dochodzenie jest już skończone. – Stał w rozkroku, wciąż świecąc fioletowym światłem.

– Zgaś to kurewstwo! – Paweł postąpił krok naprzód.
– Stój, gdzie stoisz, bo zawołałam kolegów na pomoc.
– Ty nie masz kolegów, padalco – wycedził starszy Wencel, zaciskając pięści.
– Chcesz się przekonać, co można kupić za pieniądze? – Kwaśniak mówił teraz szybko, oddychając głęboko. Oczy mężczyzn z wolna przyzwyczajały się do ciemności, widzieli więc kłęby pary unoszące się z ust. – Nie radzę wam podskakiwać! A teraz słuchajcie uważnie, bo powiem to tylko raz. Po pierwsze, wiem, że robisz mi koło pióra! – zwrócił się bezpośrednio do Pawła. – Masz w tej chwili zakończyć swą krecią robotę...

– Bo co? – spytał tamten, wkładając cygaretkę między zęby.
– Bo jak nie, to twój braciszek trafi za kratki. – Kwaśniak uśmiechał się w mroku. – Za przyjęcie korzyści majątkowych grozi co najmniej pięć latek. A że mam chody w prokuraturze, to nim w ogóle ruszy proces, dyrektor Wencel posiedzi w areszcie śledczym rok, może i dwa... Wyjdzie, kiedy jego dzieciak będzie szedł do komunii. – Teraz i on zapalił papierosa. – Kiepska perspektywa, co? Żonka będzie musiała ciężko harować, by dziecko utrzymać. Raczej poszuka mu nowego tatulka!

– Szantażujesz nas? – rzucił Paweł groźnie, przypalając cygaretkę. – Czy wiesz, co za to grozi?

– Raczej robię wam przysługę! – Mirosław lekko kaszlnął, nie nawykł bowiem do palenia, jednak papierosem chciał przydać sobie męstwa. – Inny człowiek już zaniósłby te taśmy na policję.

– O jakich taśmach pieprzysz? Nie przestraszysz nas. Nie udawaj, żeś tym zegarkiem spod mankietu nagrał cokolwiek, co mogłoby posłużyć jako materiał dowodowy. Znam się na tym trochę, nie masz do czynienia z głupcami, którzy wystraszą się błazna w puchówce z fioletową latarką. A w drugim samochodzie siedzi pewnie twój szacowny tata?

– Mylisz się, panie radco! – rozżościł się Kwaśniak. – Kopię nagrania zaraz ci przekażę, odtworzycie sobie w domku. Braciszek nagrywany był z TRZECH kamer. Jedną miał zainstalowaną w guziku własnego płaszcza na wysokości piersi. Druga, szerokokątna i z doskonałą fonią, siedziała w zegarku, który pozwolę sobie zatrzymać jako *corpus delicti*¹⁷⁷¹. Trzecie nagranie robił jeden z moich kumpli, który szedł za nimi krok w krok. Kompilacja stanowi niezbitą dowód zarówno odbioru łapówki, oszukiwania własnego przedsiębiorstwa, jak i zdrady małżeńskiej szanownego pana dyrektora. Wprawdzie filmik urywa się w momencie, kiedy partnerka seksualna wychodzi z zegarkiem z uroczej, oświetlonej świecami łazienki, jednak widok mężczyzny na golasa i pospiesznie zapalającego świecę jest niezwykle! Cóż za temperament! A cóż za piękne deklaracje złożył wcześniej w lobby! Coś o rychłym wspólnym zamieszkanu! Naprawdę, żona wcale się nie zmartwi, że dyrektorek pójdzie siedzieć. Uwierz mi, błaznie, znajdzie dzieciakowi lepszego ojca – pierwszy raz zwrócił się bezpośrednio do Mateusza, uśmiechając się obrzydliwie.

Obaj bracia stali jak porażeni. Młodszy nagle przykucnął, obejmując głowę rękami. Starszy rzekł:

– Ja nie dam się tak łatwo zastraszyć. Nie wierzę, że widać tam rzeczy, o które posądzasz mojego brata. Nie uwierzę, póki nie zobaczę.

– Zobaczysz, zobaczysz wszystko w swoim czasie. Nawet już dziś, jak wrócisz do kancelarii, albowiem przekazuję w twe ręce jedną z kopii. Proszę! – Podał Pawłowi małe pudełko. – W środku jest USB z nagraniem. Obejrzyjcie je, a wtedy zrozumiecie, że jesteście pogrążeni. Posłuchajcie więc, co mam wam do powiedzenia i dobrze to zapamiętajcie. Jestem teraz bardzo potężnym i zamożnym człowiekiem, choć może nie jest w dobrym tonie mówić tak o samym sobie. Jednak na układy nie ma rady, jak mówi stare polskie przysłowisko. Znam paru

wpływowych ludzi, więc zapewniam cię solennie, drogi Mateuszu, że odsiadka nie będzie ani przyjemna, ani krótka. Chcę wam powiedzieć, że mogę też ruszyć uśpioną w aktach sprawę waszego szacownego tatki. Reasumując, nie było mądrze ze mną zadrzeć, co, Wencel? Następnym razem nie wywołuj wilka z lasu!

Łyse krzaki zaszeleściły w powiewie lodowatego wiatru. Kwaśniak był jedynym, który wyraźnie drgnął.

– Lecz, by zakończyć tę przydługą pogawędkę, bo robi się zimno, chciałbym powiedzieć, że jest dla was światełko w tunelu. Otóż dziwiliście się, że zaopatrzyłem się w sprzęt godny FBI. Powiem wam, że była to drobna inwestycja, która zaraz mi się zwróci – a lepiej rzecz ujmując: będziecie bardzo radzi, mogąc mi za nią zwrócić.

– Mów do rzeczy.

– A więc pokrótce: nie spełnię obywatelskiego obowiązku i nie zadenuncjuję Mateusza, jeśli ty, Pawle, nigdy więcej nie tkniesz się wiadomej sprawy. Jeżeli kiedykolwiek się dowiem, że przy niej węszysz, puszczę taśmy z łapówką do prokuratora. A uwierz mi, że szybko się dowiem! Tak, jak dowiedziałem się, że braciszek ma żonę w ciąży i kochankę. A cała wasza rodzinka skrywa wiele różnych sekretów!

Paweł zerknął na młodszego brata, który był bardzo blady.

– A teraz druga sprawa, może nieco bardziej przykra dla waszej kieszeni. Za moje litościwe milczenie zapłacicie mi drobne wynagrodzenie. Przekażecie mi na podane tutaj konto półtora miliona polskich złotych. I żeby było fajnie i sprawiedliwie, macie na to czas do jutra. Oto namiary. – Podał kartkę Pawłowi. – A teraz żegnam was! Jeśli wszystko pójdzie gładko, nie usłyszycie o mnie więcej. Jeśli nie – Kwaśniak wymownie rozłożył ręce – sami wiecie, co was czeka. Nie będę się powtarzał!

Odwrócił się i ruszył w stronę Marywilskiej, ale Paweł zawołał:

– Czekaj!

Kwaśniak stanął, jego czarna postać rysowała się na tle mętnego światła wysokiej betonowej latarni.

– Przemyślimy to wszystko, ale jeśli prawdą jest to, co mówisz, co nam da twoje milczenie, skoro nie jesteś jedynym wtajemniczonym?

– Jeśli masz na myśli tę dziwkę, to niech was o to głowa nie boli. Ona nie ma nic.

Kątem oka Paweł odnotował, że Mateusz zacisnął szczęki tak mocno, aż drgały mu mięśnie żuchwy.

– Mamy polegać na twoich zapewnieniach? – Starszy z braci uśmiechnął się krzywo.

– Oddała mi sprzęt w całości. I zegarek, i guzik. Myślisz, że umiałyby zgrać z nich dane?

Do tego trzeba specy, a dziewczynka była roztrzęsiona jak galareta. Wcisnęła mi to w ręce, w zamian tylko żądając, by dyrektor Wencel „gryzł piach”, jak się wyraziła. Tak czy inaczej, wszystko załatwiłem tak, żeby materiały trafiły tylko do moich rąk... Chyba mnie nie doceniacie...

Zapanowała cisza. W oddali przejechała ciężarówka, słychać było dudnienie żelastwa na dziurawej jezdni. Zdaje się, że nie mieli wyjścia. Musieli mu uwierzyć.

– Być może zrobimy, czego od nas żadasz, ale powiedz, czy wiesz coś o mojej sekretarce? Bo jeśli coś jej zrobiłeś, to nie bacząc na konsekwencje, znajdę cię i uduszę gołymi łapami. – Paweł znów postąpił parę kroków w jego stronę.

– A skąd takie przypuszczenie? – Kwaśniak spytał drwiąco.

– A stąd, że zdążyłem cię już poznać, gagatku – wychrypiał Paweł, zaciągając się papierosem i mierząc oblesną, gładką twarz Kwaśniaka skupionym wzrokiem.

– Nic jej nie zrobiłem, ostrzegłem ją jedynie o konsekwencjach jej działań, tak jak teraz

ostrzegam was! A jeśli nagle zniknęła, może i ona miała coś na sumieniu, co? Może nie była taka święta, jak myślałeś? Bo ty chyba nie masz do kobiet specjalnego szczęścia, co, Paweł?

Paweł ruszył w jego kierunku, jakby chciał się na niego rzucić z gołymi pięściami. Kwaśniak na chwilę zamarł, okrzyk przerażenia uwiązał mu w gardle. Mati, kucający dotąd w milczeniu i kołyszący się na piętach, poderwał się i rzucił, by zatrzymać brata. Szamotali się przez chwilę. Kwaśniak przezornie stanął kilka kroków dalej, bacząc czujnie, co będzie dalej.

– Czekaj, spokojnie – studził Mati, szepcząc prosto w ucho brata. – Zajebmy go, ale przygotowani.

Nie mieli pojęcia, czy te ciche słowa mogły dotrzeć do tamtego, stojącego kilkanaście kroków dalej.

– Nikogo nie będę zajebował. Dam mu po prostu w mordę – wysyczał Paweł cicho.

– I co to niby da? – niemal bezgłośnie artykułował Mati, mocując się z nim. – Jeśli dać mu w mordę, to tak, żeby już nigdy nie wstał.

Bracia trzymali się nawzajem za ramiona, patrząc na siebie błyszczącymi oczami, z bardzo bliska. W końcu Paweł oderwał się od młodszego i ruszył parę kroków w stronę kanału. Oddychał ciężko, lustrując ciemną wodę, której brzegi pokryte były lodem. Usłyszał za sobą chrzęst kroków. To Mati szedł do niego. Dyszeli, milcząc. W końcu Mati rzekł cicho:

– Woda jest tu głęboka. Do wiosny go nie znajda.

– Oszalałeś? – warknął Paweł. – Wiesz, o czym bredzisz? Niedługo masz zostać ojcem!

– No właśnie – syknął brat z wściekłością. – Tym bardziej muszę coś zrobić! A jakie wyjście ty widzisz? To przez ciebie jestem w takiej sytuacji!

– Przecież w drugim aucie ktoś jest! Może nawet kilku! Ich też chcesz zakatrupić?

Umilkli, patrząc na siebie w przerażeniu.

– No? – usłyszeli niespokojne wołanie Kwaśniaka. – Naradziliście się? Mamy zgodę?

Bracia spojrzeli na siebie w milczeniu. W końcu Paweł zawołał:

– Kasę dostaniesz w ciągu paru dni! Do jutra jej nie skombinujemy. Nie śpimy na pieniądzach, choć tobie może się tak zdawać.

– Do soboty po południu kasa ma być na tym koncie. Inaczej: kryminał! – syknął głośno Kwaśniak i szybko, jakby goniło go stado upiórów, ruszył do samochodu.

Bracia stali w milczeniu. W oddali słychać było odgłosy zapalanych silników, trzaskanie drzwiami, po czym obydwa samochody odjechały w stronę Warszawy.

Odczekali chwilę, po czym i oni zawrócili.

Gdy znaleźli się na Modlińskiej, Paweł pocieszająco klepnął brata w ramię.

– Daj spokój, to tylko kasa – słowa te z trudem precyzyjnie mu się przez usta. Na myśl, że miał oddać temu robakowi pieniądze, na które ciężko pracował tyle lat, wywracały mu się flaki, lecz w jakiś sposób czuł się za to wszystko odpowiedzialny. No i jego młodszemu bratu zaraz miał urodzić się potomek! – Wykołujemy jakoś tę sumę – wymruczał, choć sam był nieprzekonany. – Bez oszczędności też dacie sobie radę, masz dobrą pensję!

Mati szarpnął się, strącając z ramienia dłoń brata.

– Przecież dorzucę połowę – cedził Paweł z wysiłkiem, zezując na skulonego Matiego.

– Kurwa, wszystko to twoja wina! – wrzasnął tamten, folgując wreszcie temu, co zalegało mu na sercu. – Gdybyś zajął się swoimi sprawami, nigdy byś go do tego nie sprowokował.

Paweł milczał. Wprawdzie miał ochotę przyłożyć młodszemu w łeb i powiedzieć, co myśli o jego głupocie, lecz się rozmyślił. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz można już tylko kombinować, co zrobić, by wyjść z tego obronną ręką, choć na chwilę obecną możliwości były mocno ograniczone.

Skurwysyn zapędził ich w kozi róg! Z ofiary stał się myśliwym i strzelał do nich jak do

kaczek. Swoją drogą fascynujące, jak szybko ich zasobny, poukładany świat rozsypał się w drobiazgi. Mieli pieniądze, żony, robili karierę... a po upływie roku niemal każda dziedzina życia leżała w gruzach.

Czy nie ma na świecie niczego trwałego?

I gdy zadawał to pytanie, ewidentnie kierując je ku jakiejś wyższej instancji, jak na zawołanie rozległ się dźwięk nadchodzącego SMS-a. To odezwał się telefon Matiego, gdy ten załadował do niego baterię. Spływały wiadomości. Paweł zerknął na brata, bo podświadomie czuł, jak tamten aż zeszywniał i oniemiały wpatrywał się w rozświetlony ekran, po czym wybełkotał:

– Syn. Rodzi mi się syn. Pędem na Wołoską!

Syn. Oto odpowiedź na pytanie Pawła o stałe wartości w świecie. Odnośnie do wyglądanych przez niego drogowskazów. Bóg, jeśli istniał, miał naprawdę niezłe poczucie humoru i nie najgorsze wyczucie czasu.

Przez chwilę starszy Wencel miał wrażenie doskonałej kosmicznej harmonii, lecz stan ten nie trwał długo. Wkrótce do głosu doszedł trzeźwy rozsądek, który niezbyt długo pozwolił mu cieszyć się tą świadomością. Cóż z tego, że rodziło się dziecko, skoro rodzina była pogrążona, a Mati stał się zakładnikiem Kwaśniaka? Zakładnikiem na zawsze! Do czegoż najlepszego dopuścił on, Paweł Wencel, który miał się za nieomylnego? Groza sytuacji unaoczniała mu się teraz z bezlitosną wyrazistością.

I on uruchomił swój aparat telefoniczny. Po chwili i do niego zaczęły spływać wiadomości. Szybko zerknął na wyświetlacz. Nareszcie. Długo wyczekiwany SMS od Agi:

Sprawdź sejf. A

Sejf kancelaryjny. Zostawiła mu coś w sejfie. Nie miał co się łudzić, by było to cokolwiek, co zmieni bieg wydarzeń, ale... Fala adrenaliny rozplynęła się po jego ciele. Bezwiednie dodał gazu, pędząc Modlińską w stronę Warszawy i nie zwracając już uwagi na lamentującego brata.

Karetka na Bugaju

Dwie godziny później Mirosław wraz z ojcem i zaufanym młodym Skoczylasem dojeżdżali dwoma samochodami do rodzinnych Pabianic. Duże gospodarstwo Kwaśniaków leżało za miastem, przy odbijającej od szosy polnej drodze. Oba auta zatrzymały się przed zamkniętą na łańcuch, rdzawą bramą. Młody Kwaśniak, który zajechał pierwszy, wyskoczył z wozu i zajął się kłódką. W czystym, mroźnym powietrzu wyraźnie wyczuwalny był odór spalin ze stojących na chodzie aut. Zaczął ujadać pies. Na ganku zapaliło się światło.

Trzasnęły drzwi drugiego auta, obok Mirka wyrósł Skoczylas. Nie odrywając wzroku od kłódki, Kwaśniak zakomenderował nieznoszącym sprzeciwu głosem:

– Zostaw tu ojca, a sam jedź na Bugaj i skontroluj, czy tam wszystko okej.

Skoczylas usłusznie kiwnął głową i wrócił do drugiego samochodu, by przekazać te słowa staremu Kwaśniakowi. Dobiegała stamtąd krótka wymiana zdań, mogąca sugerować, że zapatrywania syna nie zawsze zgadzają się z ojcowymi, a nieszczęsny Skoczylas częściej niżby chciał musi stawać w rozkroku i godzić zwaśnionych.

Jednak oczywiste było, że tym razem zdanie Mirka było decydujące, bo Skoczylas wsiadł do auta i odjechał, a niezadowolony ojciec zbliżył się do bramy.

– Trzeba to będzie naoliwić – mruknął, patrząc na zamkniętą kłódkę.

– Ano! – odwarknął syn.

– Nie wiem, po coś go tam jeszcze posyłał – stary dał wyraz swemu niezadowoleniu. – Zbyteczna ostrożność! A bo to kaleka dostanie nóg i zwieje?

W zimnym wietrze poły czarnego płaszcza ojca rozwiewały się na boki, upodabniając go do gigantycznego czarnego kruka.

– A co mu się stanie? Płacę mu za to!

– Już się dziś chłopina narobił!

– Ale i sporo zarobi!

Mirosław uporał się z kłódką, wsiadł do auta i wjechał na posesję. W reflektorach mignęła mu gigantyczna obora, oddzielająca podwórze od zespołu szklarń. Nim starszy został radnym, hodował sadzonki, na czym zrobił solidny pieniądz. Pieniądz, który pozwolił Kwaśniakowi na dobrą edukację i sensowny start.

Wjechał pod wiatę, wyłączył telefon, zostawił go w aucie, a następnie biegiem ruszył przez podwórko i dalej, po betonowych schodach na ganek oświetlony gołą żarówką. Stamtąd trafił wprost do wielkiej kuchni, gdzie nad garnkami zwijała się przygarbiona, najwyraźniej czekająca na nich z ciepłym posiłkiem matka. Mijając ją, wycisnął na jej poranym czole całusa i szepnął:

– No, jesteście! Bardzo się mamusia niepokoiła?

Na co ona, najwyraźniej powiadomiona już przez ojca o powodzeniu misji, poklepała go czule po policzku, ocierając zbierające się w oczach łzy. Na poradłonej twarzy znać było zmęczenie. Widać było, że czekała na nich przez kilka godzin. Siedziała tu pewnie jak na szpilkach.

– Niech mamusia już nie płacze, wszystko załatwione! – rzekł władczo, po czym prosto z gara spróbował strogonowa.

– Mmm, pychota!

– Myj ręce i siadaj do stołu!

Wszedł do większego pokoju, gdzie stał stół jadalny nakryty białym obrusem i taflą szkła. Zasiadł wygodnie obok ojca, który już tkwił na swoim stałym miejscu, gapiąc się na błyskający z meblościanki telewizor. Widząc wchodzącego syna, wstał i podszedł do owej meblościanki,

otworzył barek, wyciągnął butelkę czystej, odkręcił ją i postawił z brzękiem na pokrytym szkłem blacie.

– No! – sapnął z ulgą, rozchmurzając się nieco. – To polej nam!

Mirosław nigdy dużo nie pił w towarzystwie, ale w domu, wśród swoich, to co innego.

Polał ochoczo sobie i ojcu. Sam też musiał się odprężyć! To, co dzisiaj przeżył, nadawało się na film akcji.

Łyknęli obaj, odchylając do tyłu głowy. Westchnęli z ulgą.

– No! – powtórzył ojciec. – Wreszcie w domu! Nie ma co, najadłem się tam strachu!

Przeżyta groza i powodzenie misji skłoniły go do otwartości, na którą dawno sobie nie pozwalał.

– Wyższa konieczność! – odparł syn mniej cierpko, bo i on czuł się coraz lepiej usposobiony. – Ale wszystko już za nami!

Weszła matka, niosąc parującą wazę. Z brzękiem postawiła ją na stole i pędem wróciła do kuchni. Widok ten w pełni przywrócił ich do rzeczywistości.

– Jedz! – Stary, już zupełnie uspokojony, nalewał do głębokiego talerza solidną porcję, rwał chleb i popychał nim kawałki mięsa na łyżkę stołową, wiosłując ochoczo. Młody poszedł jego śladem. Był głodny jak lichy, dziś nie miał nic w ustach od śniadania. Cały dzień siedział jak na szpilkach, dopóki Antonina nie doręczyła mu umówionej przesyłki. Swoją drogą, zapieni się panienka, kiedy się dowie, że nie podał jej kochasia do prokuratury. Będzie wściekła, ale nie znajdzie żadnej możliwości nacisku na niego. A denuncjacji Mata w firmie raczej nie zaryzykuje, bo sama naraziłaby się na podejrzenia...

Poluzował krawat i odetchnął głębiej.

Spokojnie, teraz już miał ich wszystkich w garści. Gorliwa panna Agnieszka Pęczek została całkowicie i trwale unieszkodliwiona – nawet jeśli miał co do tego jakieś wątpliwości, rozwiało je dzisiejsze pytanie Pawła. Dokładnie tak, jak przewidział, podwinęła ogon pod siebie i ślad po niej zaginął! Znał się na takich wiejskich dziewczuchach, na siłę pchających się do miast. Obłudne, dwulicowe, zwracające uwagę tylko na to, co powiedzą o nich ludzie! Za żadne skarby świata nie zniosłaby, gdyby ktoś zobaczył te taśmy i zdjęcia. Wcale by się nie zdziwił, gdyby wykurzył ją z Warszawy na dobre.

Niemal udławił się, łykając gorący, niepogryziony kawał wołowiny.

No i najważniejsze: rodzina Wenclów zaprzęgnięta do kołowania gotówki, a on sam bezpieczny i na najlepszej drodze do objęcia jakiegoś lepszego stanowiska w partii.

Miał dalekosiężne plany, jeszcze im wszystkim pokaże! A kiedy dochrapie się tego, na co poluje, żaden z jego wrogów nie będzie bezpieczny.

– Podać ci jeszcze? – Ojciec popatrywał na niego ze źle skrywanym podziwem.

– Ano, niech tata poleje! W sumie mamy co świętować! – Rozparł się przy stole i z zadowoleniem przyjrzał się strojnemu wnętrzu. Lśniące mebelki, rośliny pnące się po bambusowych prętach wetkniętych w białutki żwirek, a w oknach muślinowe firanki. Meblościanka wypchana różnego rodzaju sprzętem hi-fi. W największej wnęce gigantyczny telewizor LCD. W Pabianicach ich duży dom ustępował tylko rezydencji pana Wędzichy.

Najwyraźniej myśli starego biegły podobnym torem, bo rzekł:

– No i miałeś rację, że nie kazałeś pana Wędzichy tym niepokoić!

– Mówiłem tacie, że sam dam sobie radę – triumfował młody Kwaśniak, zdejmując wymiętą marynarkę.

– Niepotrzebnie by się denerwował tam, za granicą – ciągnął ojciec z pełnymi ustami. – Jeszcze by to opacznie zrozumiał, wściekłby się na ciebie i jakiego kłopotu nam narobił.

– Niech się tak tata tego Wędzichy nie boi! Nie jest znowu taki wszechmocny. –

Wyciągnął przed siebie nogi, rozparł się na krześle i spod oka obserwował oniemiałego na takie *dictum* ojca.

– Już ty nie bądź taki chojrak! – Starego Kwaśniaka najwyraźniej wyprowadziła z równowagi buńczuczność jedynaka. Cały jego spokój znów uleciał, przegnany zbytnim, w jego oczach, zarozumiałstwem syna.

– Co tata taki nerwowy? – pysznił się Kwaśniak, luzując krawat. – Teraz już nie ma tematu! Pozamykałem im wszystkim mordy. Założyłem kagańce i trzymam na krótkich smyczach!

Ojciec popatrywał z mieszaniną nadziei i lęku. Ośmielony alkoholem młody Kwaśniak dorzucił:

– Niedługo już nikogo tata nie będzie musiał się bać!

– Takie masz w Warszawie widoki? – Stary spojrział na niego podejrzliwie.

– A mam! Ale nawet mówić nie będę, bo by tata usnąć nie mógł z podniecenia. – Znów łyknął setkę. – Jedyną solą w oku jest mi ten stary, kulawy skurwysyn.

– Eee. – Ojciec lekceważąco machnął ręką i sam też wychylił kielonek wódki. – Kiedyś i ja tak myślałem, ale chyba go przeceniasz. Chłopaki przeszukali mu dom, śladu po dokumentach tam nie widać. Gdzie on by je trzymał? W lesie by zakopał? Rodziny żadnej nie ma i tylko dygoce o życie. Gdzie by pojechał zeznawać na tym wózku inwalidzkim? I z czym? Zresztą, jemu się już dawno we łbie poprzestawiało! Ludzi nawet unika.

– Nie wiem, źle mu z oczu patrzy – Mirosław upierał się gniewnie. – A teraz, kiedy mam takie wielkie plany i możliwości, nie chcę, by cokolwiek się za mną wlekło.

– Toż on się własnego cienia boi! – przekonywał stary. – Ale wiesz, jak ludzka gadanina ucichnie, można by go jakoś... Bo na razie to nie, po tamtym wypadku straszny szum się zrobił. Ludziska za dużo gadali.

– Gadać po cichu to se mogą, co chcą! Grunt, by się bali gadać głośno – odparł syn, bawiąc się nóżką kieliszka. W tym momencie ich rozważania przerwał odgłos nadjeżdżającego auta. Nadstawili uszu.

– Dizel – odezwał się ojciec. – Romek wraca. Matka, daj trzeci talerz dla młodego Skoczylasa! – zawołał w stronę kuchni.

– A co to, on domu nie ma? Niech go żona żywi! – zagderiała matka, przynosząc jednak nakrycie. Po chwili usłyszeli pukanie do drzwi.

Skoczylas – nazywany „młodym”, choć liczył bez mała czterdziestkę – siadł przy stole bez butów, za to w kurtce.

– Zdejm kurtkę – poradził mu ojciec. – Spocisz się, a my tu gorzałkę rozpijamy.

– No, mówże wreszcie! – młody Kwaśniak ponaglił czerwonego na twarzy Skoczylasa, brutalnie przerywając niewczesną troskliwość ojca o wygodę ich bądź co bądź sownie opłacanego najemnika. – Stary na miejscu? Wszystko w porządku?

Skoczylas podrapał się po łysiejącej głowie, jakby zastanawiał się, czy wyjawić jakiś frapujący go szczegół. Mirek, widząc to wahanie, usztywnił się, zmarszczył brwi i rzekł:

– Mówże no! Stary w mieszkaniu?

– W mieszkaniu, w mieszkaniu! Światło się pali, wszystko okej! – uspokoił go Roman, rozczapierzając dłonie w uspokajającym, obronnym geście. – Ale było dzisiaj coś dziwnego na Bugaju!

– Co takiego? – zazgrzytał podniesiony głos młodego Kwaśniaka.

– Ano, nasz pan Stanisław z bloku naprzeciwko jak zwykle od okna nie odchodził, na fest wszystkiego pilnował. Tylko na siku latał, cały dzień w oknie siedział. Rano, przed siódmą, Rzeszoto uchylił drzwi i wypuścił kundla. Kundel latał po podwórku, ujadał, szczął i srał. –

Młody Kwaśniak aż zmarszczył brwi, słysząc te mało istotne dla meritum sprawy szczegóły, mające wprawdzie świadczyć o sumiennym wywiązywaniu się z obowiązków, a maskujące zapewne jakieś dalsze zaniedbanie. – Potem drzwi się uchyliły i kundel wrócił do domu. Koło jedenastej Rzeszoto wygramolił się z domu i pojechał na wózku do sklepu. Później, jak zwykle, wrócił ze sklepu z siatką z zakupami. Ale pan Stanisław nie był pewien, czy był z nim ten pies...

– No i? – warknął poirytowany Mirosław Kwaśniak.

– Niby nic takiego, ale potem już bacznią uwagę zwracał na wszystko i daje głowę, że Rzeszoto ani razu kundla nie wypuścił na dwór!

Zapadła cisza, przerywana odgłosami cicho grającego telewizora.

– A ile razy dziennie go wypuszcza? – spytał Kwaśniak niepewnie.

– No, jak to psa! Cztery razy co najmniej! – Skoczylas chciwie popatrzył na butelkę czystej. Ojciec szybko nalał mu kielicha i wtrącił:

– Może kundel chory czy co! A dajcie sobie z tym spokój! Przecie najważniejsze, że Rzeszoto wrócił do domu, tak? I ten pilnujący go emeryt, pan Stanisław, to widział? – dopytywał się gorliwie, chcąc zadowolić zagniewanego syna.

– No tak, tak – wymamrotał młody Skoczylas, po czym łyknął wódki.

– A jednak to dziwne – bezlitośnie indagował młody Kwaśniak, wpatrując się w Skoczylasa niepokojącym, niewidzącym spojrzeniem. – Zawsze wypuszczał psa, a teraz tego zaniechał. Może powinniśmy zrobić mu nalot? Sprawdzić go jakoś!

Mężczyźni popatrzyli na niego z lękiem.

– Ale po co? – zapytał ojciec, ściągając czarne brwi i marszcząc wysokie czoło przechodzące w łysinę. – Ale po co, skoro pan Stanisław widział na własne oczy, jak stary wjeżdżał wózkiem do domu? Może ten pies w ogóle z nim nie wrócił? Może gdzie po drodze zdechł? Może poleciał na pola? Synu, masz skołatane nerwy! Napijże się jeszcze! Miałeś dziś ciężki dzień!

Ale Kwaśniaka to nie uspokoiło.

– Czemu więc byłeś taki niepewny, kiedy cię pytałem? – drążył, wpatrując się w kręcącego się na krześle Skoczylasa.

– Ano, bo jest jeszcze jedna rzecz, co samego pana Stanisława zaniepokoiła, choć ja osobiście nie widzę w tym nic dziwnego...

– No mów! – ponaglił go młody Kwaśniak, przeczącym gestem odmawiając kolejnego kieliszka wódki.

– No bo jak Rzeszoto wjechał do sklepu spożywczego, działo się coś dziwnego! Pod spożywcza podjechała karetka.

– A co w tym dziwnego? Nad spożywczym jest kilka mieszkań komunalnych. Ktoś się pochorował i tyle... Co ma piernik do wiatraka? – ojciec perorował ze znanostwem, lecz Kwaśniak uciszył go ruchem ręki.

– Samo to, że zajechała karetka, nie było podejrzane, ale pan Stanisław się denerwował, bo przez dłuższy czas nie widział wejścia do sklepu i aż mu ciśnienie skoczyło. Szczególnie że pan, panie Mirku, kazał mu przekazać, że nie może kaleki spuszczać z oczu, kiedy stary wyjdzie z domu! Wie pan, pan Stanisław chciał należycie wywiązać się z zadania...

– No i? – niegrzecznie przerwał mu młody Kwaśniak. – Karetka podjechała i co dalej?

– I nic. Nim jeszcze odjechała z pacjentem, Rzeszoto spokojniutko jechał wózkiem do domu, wioząc zakupy! Pan Stanisław odetchnął, ale był przeczulony do końca dnia, no i może dlatego potem zaniepokoił się tym niepuszczaniem na dwór psa...

Kwaśniak już był na nogach.

– Co robisz? – wymamrotał ojciec. – Gdzie cię niesie?

– Musimy tam podjechać! – Kwaśniak surowym wzrokiem spojrzął na Skoczylasa. – Zajrzysz przez okna i upewnisz się, że stary jest w środku.

Skoczylas, dzielnie maskując rozczarowanie, poderwał się na równe nogi. W mniej niż pięć minut obaj siedzieli już w aucie mknącym nierówną wiejską drogą wiodącą pośród zaśnieżonych pól uprawnych w stronę głównej szosy. Zbliżała się północ, więc ulice były kompletnie opustoszałe. Wjechali pośród zabudowania, minęli centrum i pognali drogą krajową w stronę położonego na krańcach Pabianic osiedla Bugaj. Mieszkanie starego księgowego znajdowało się na skraju osiedla, nie w bloku, lecz w starym, dwupiętrowym domu. Była to rozwalająca się przedwojenna, otynkowana na szaro czynszówka. Kaleka wynajmował mieszkanie na parterze, położone tuż przy drzwiach wejściowych.

Droga osiedlowa wiodąca do tego domu była wąska i dziurawa, wiodła skrajem osiedla. Za nią znajdowały się już tylko pola uprawne. Po obu stronach uliczki zaparkowane były liche auta z okolicznych bloków, jechali więc wolno i ostrożnie, lawirując między wyrwami w asfalcie. Skoczylas, który prowadził, zerknął w stronę ważnego pana mecenasa.

– Spokojnie, panie Kwaśniak... Kaleka nigdzie nie mógł prysnąć. A swoją drogą...

– Cicho! – ofuknął go natychmiast Kwaśniak, wlepiając w przednią szybę gorejący wzrok, jakby usiłował nim przeniknąć ciemność. Już widać było dom.

– Pali się. Nawet chyba gra telewizor – Skoczylas poinformował Kwaśniaka o czymś, co tamten sam doskonale widział na własne oczy, albowiem właśnie podjechali pod budynek.

– Zgaś reflektory, zaparkuj i cicho zajrzyj do środka! – zakomenderował Kwaśniak, patrząc w okno, w którym na niebiesko mrugał telewizor.

Skoczylas wygasił światła i cicho wyszedł z samochodu. Kwaśniak, kuląc się na siedzeniu i naciągnąwszy kaptur na twarz, by nikt go nie poznał, nie odrywał spojrzenia od ciemnej postaci, najpierw uchylającej furtkę i skradającej się przez porastające front podwórka krzaki, a potem sunącej wzdłuż szarego muru. Widział, jak Skoczylas staje na palce i zagląda do środka. Zagląda i patrzy, ale jakoś długo, kręcąc na lewo i prawo swym łysym łbem.

Kwaśniakowi znów serce zaczęło walić jak młotem, czekał, by tamten wreszcie obejrzał się i kiwnął mu twierdząco głową, uspokajając go co do obecności kaleki w mieszkaniu.

Już chciał wysiadać z samochodu, gdy wreszcie zobaczył czarną sylwetkę Skoczylasa szybko powracającego w stronę auta.

Szarpnął za drzwiczki, z uśmiechem zadowolenia opadł na siedzenie i zameldował:

– Wszystko gra! Kaleka siedzi na wózku przed telewizorem i spokojnie ogląda film.

Niepotrzebnie tak się pan zamartwia, panie Mirku.

– Jesteś pewien?

– Panie Mirku, na Boga! Jak pan nie wierzy, niech pan sam idzie i sprawdzi!

Imbecyl! Kwaśniak nawet nie raczył odpowiedzieć. Jeszcze raz nieufnie przypatrzył się rozbłyskującej kolorowo szybie. Wcale nie czuł się spokojny.

– Zawracaj! – zakomenderował oschle.

Przez całą drogę powrotną Skoczylas nadawał jak zdarta płyta, lecz Kwaśniak nie słuchał go wcale.

Dość miał już bania się. Teraz, kiedy tak dobrze oczyścił teren, nie pozwoli, żeby byle łachudra odbierał mu spokój ducha. Tak, sprawę trzeba będzie załatwić definitywnie, naturalnie w białych rękawiczkach. Tak, by już nikt nie miał na niego żadnego haka.

Dokładnie jednaście godzin wcześniej Alojzy Rzeszoto z trudem pokonał wysoki, dębowy próg domu. Potem jechał powoli, pogwizdując na rozkoszującego się spacerem Rokiego. Pies, oszalały z radości, biegł przy wózku, od czasu do czasu ganiając wygłodzone wrony.

Sklep oddalony był o jakieś sto metrów, lecz przebycie tego odcinka kosztowało Alojzego

niemało wysiłku. Szczęśliwie nie musiał zjeżdżać z chodnika na jezdnię. Powietrze było chłodne, leżące po drugiej stronie ulicy bloki spowijała lekka mgła. Gdy Rzeszoto zerknął w lewo, ujrzał, jak na pierwszym piętrze drgnęły firanki. Ubek nie schodził z posterunku.

Wciskając czapkę na uszy, zajadłe wprawiał w ruch odporne, stare koła. Zwrócił spojrzenie w stronę leżących na prawo pól. Jeszcze są pokryte śniegiem, lecz niebawem się zazielenią. Będzie mógł przesiadywać na zewnątrz... Byle do wiosny.

Pod sklepem nie było żywej duszy. Jechał pomału, krzywiąc się w mroźnym powietrzu, gdy nagle zza zakrętu wolno wytoczyła się karetka pogotowia. Rzeszoto obserwował ją spode łba. Czyżby jechali do kogoś z ich budynku?

Nie, ambulans jeszcze bardziej zwolnił. Najwyraźniej kierował się pod czwórkę, czyli do budynku, w którym znajdował się sklep. Samochód zaparkował tuż przy krawężniku, z szoferki wysiedli dwaj sanitariusze. Rzeszoto, nie chcąc okazywać zbytnej ciekawości, wbił wzrok w ziemię, zrównując się z pojazdem. Potem skręcił i już chciał otworzyć oklejone reklamami drzwi sklepowe, gdy poczuł, że koła stawiają opór. Ktoś ciągnął wózek do tyłu! Sanitariuszka – młoda kobieta!

– Co jest, do diabła? – Przerażony szarpnął się, widząc, jak dwaj mężczyźni rozsuwają boczne drzwi pojazdu. Chcieli go wciągnąć do środka? To pułapka! Chcieli z nim skończyć! Udając pracowników służby zdrowia, wywiozą go za miasto i wstrzykną coś w rodzaju pawulonu, po czym wypiszą akt zgonu. Nikt się po niego nie upomni! Wędzicha wymyślił jednak sposób, jak chytrze się go pozbyć. Roki zaczął wściekle ujadać, na co kobieta zaczęła przemawiać doń łagodnie, wabiąc go do wnętrza karetki czymś do jedzenia. Zasadzka! Rzeszoto chciał wzywać pomocy, lecz jeden z mężczyzn szybko przytknął mu do usta gazę z czymś śmierdzącym. Eter?

Krzyk uwiązał mu w gardle. Tracąc przytomność, czuł jeszcze, jak ostrożnie windowali go z wózkiem do karetki – ci dwaj i ta ładna, pochylona nad nim, szepcząca mu do ucha łagodne, uspokajające słowa. Słowa, których nie zdołał już dosłyszeć, bo z zatrważającą prędkością osuwał się w ciemność.

Nie mógł więc już widzieć, jak zasuwali drzwi karetki, jak troskliwie ułożyli go na noszach, jak Roki przywarł do jego stóp, cicho skamląc i liżąc mu dłoń, jak dziewczyna zdarła z siebie pomarańczowy kombinezon, jak sanitariusze delikatnie, lecz sprawnie zdjęli z niego brudne ubrania.

Potem dziewczyna błyskawicznie włożyła jego stare portki, kurtkę, wymacała w kieszeni klucze od domu, naciągnęła na główkę jego starą czapkę, naciągnęła kaptur głęboko na oczy, po czym sanitariusze otworzyli drzwi i opuścili ją, wraz z wózkiem, na chodnik. Wtedy, z głową nisko pochyloną i pełną plastikową reklamówką na kolanach, pojechała powoli w stronę jego domu. Ostrożnie pokonała próg, otworzyła drzwi kluczem i spokojnie dostała się do środka.

Potem zeskoczyła z wózka, zakradła się do okna i ostrożnie zaciągnęła zasłony. Z reklamówki wyjęła džinsy i cienką, czarną bluzę. Przebrała się w kilka sekund. Wózek inwalidzki ustawiła przed telewizorem. Ubrania pana Rzeszoto wypchała prześcieradłem i gałganami, po czym uformowała z niego kukłę siedzącą tyłem do okna. Włączyła światła, telewizor i radio. W końcu poszła do toalety, uchyliła okno tuż pod sufitem, wspięła się do niego, stając na klozecie i wyskoczyła na zewnątrz.

W gęstniejącej mgłę przebiegła przez tylne podwórko, minęła szopę i stary, obity czarną papą garaż, dostała się do ogrodzenia, przeskoczyła je i wpadła w porastające miedzę, pozbawione liści chaszczce. Skulona, przebiegła szybko pięćset metrów polną drogą, wiodącą równoległe do osiedlowej ulicy. Potem skręciła w lewo i idąc już normalnym, szybkim krokiem, dotarła do tej ulicy. Szła spokojnie parę minut do miejsca, gdzie czekał na nią rower.

Kluczykiem otworzyła małą kłódkę łańcucha mocującego rower do latarni, wskoczyła na niego i prędko wjechała między ponure, spowite mgłą bloki. Dotarła do drogi krajowej. Szybko pedałując, pokonała kilka kilometrów, po czym w umówionym miejscu skręciła w las. Tu było znacznie cieplej, mgła parowała ze zwalonych pni. Dziewczyna oddychała głęboko, widać mocno już zmęczona, jednak niestrudzenie posuwała się naprzód. Po kilku minutach, dobrze ukryta w krzakach, ukazała się jej oczom karetka.

Aga zeskoczyła z roweru i szarpnęła za odsuwane drzwi. Otulony kocami Rzeszoto, już przytomny, leżał na wznak z oczami szeroko otwartymi.

– Daliśmy mu kroplówkę i zrobiliśmy okłady na odleżyny. Ma potężne obrzęki na nogach, musiało go to boleć jak cholera – zagadnęła dziewczynę ten z mężczyzn, który był lekarzem. – Nie wiem, jak ten facet w ogóle dawał radę jeździć na wózku o własnych siłach! Jest skrajnie wycieńczony!

– Dziękuję, panowie. – Lekko wskoczyła do środka. – Mogę was prosić, byście zostawili nas na sekundę samych?

– Jasne. – Wskoczyli z karetki i zamknęli za sobą drzwi.

Dziewczyna usiadła obok leżącego na wznak mężczyzny, który nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w sufit.

– Panie Alojzy! Słyszysz mnie pan? – szepnęła, poprawiając mu koc. Nadal gapił się w sufit, nie odpowiadając ani słowem. – Panie Alojzy. Podaliśmy panu izofluran. Szybko usypia, ale i szybko się pan z niego otrząśnie. Bardzo przepraszam, że tak to się odbyło, ale nie miałam innego wyjścia. Dłuższa pogawędka przed sklepem natychmiast zostałaby zauważona!

Umilkła na chwilę, niepewna, czy w ogóle jej wierzy. Człowiek tak zaszczuty nie da się łatwo przekonać. Rzeczywiście, wciąż udawał nieobecnego duchem.

– Jestem studentką prawa z Warszawy – podjęła gorączkowo. – Razem z moim szefem prowadziliśmy sprawę, która zahaczyła o znajomego pana człowieka, Wędzichę. Jest winny wielu przekrętów, o czym pan na pewno doskonale wie. Na skutek prywatnego śledztwa cudem niemal znalazłam informację o pańskim istnieniu i dowiedziałam się o sfingowanym wypadku, w którego wyniku ma pan sparaliżowane nogi. Wiem też, że pracował pan u Wędzichy. Reszty sama się domyśliłam! Przykro mi, że tak pana wystraszyliśmy, ale nie miałam innego wyjścia. Musiałam jakoś pana stamtąd wyrwać, a pański dom jest pod stałą obserwacją tamtych. Teraz zabiorę stąd pana, daleko. Zabezpieczymy pana, ustanowimy nad panem ochronę, zostanie pan świadkiem koronnym. Niech pan kiwnie głową na znak, że mnie słyszysz i rozumie...

Alojzy nadal milczał, lecz jego wzrok wydawał się bardziej skupiony.

– Niech się pan nie obawia, jest pan bezpieczny. Jeśli pan nie chce, nie musi zeznawać, policja i tak obejmie pana ochroną, załatwimy to. Musi pan tylko skinąć głową na znak, że chce, bym pana stąd zabrała.

Nie poruszył się.

– Wiem, że nikomu już pan nie ufa, więc przywiozłam ze sobą kopie dokumentów potwierdzających, że depczemy Wędziszę po piętach. Widzi pan to? Niechże pan na chwilę skupi na tym wzrok! To potwierdzenie, że Wędzicha jest utajonym właścicielem spółki, która zrobiła przelew pozwanemu przez nas człowiekowi. Przelali mu pieniądze w zamian za to, że zrobił naszego klienta. Ścigamy ich... Proszę, niech mi pan uwierzy!

Nadal patrzył w sufit. Agnieszka przyglądała mu się w napięciu, bojąc się odetchnąć głębiej, jakby jakikolwiek dźwięk mógł starego wystraszyć. Przez chwilę zdawało się jej, że on w ogóle nie kontaktuje, w końcu jednak przeniósł na nią swe wyblakłe, zgaszone źrenice.

– Oni już mnie szukają! – Na dźwięk jego chrapliwego głosu Aga drgnęła. – Obserwują mnie! Wiedzą, że nie wróciłem do domu! Pani nie jest ze mną bezpieczna.

Aga chwyciła go za powykrecaną artretyzmem dłoń i zawołała:

– A więc pan mnie słyszy!

– Już mnie szukają! Nie jesteśmy bezpieczni! – powtarzał stary. Na dźwięk jego głosu pies zaczął merdać ogonem i lizać jego dłoń.

– Nie, nie – gorączkowo podjęła Aga. – Mamy czas! Przebrałam się w pana ciuchy i wróciłam wózkem do domu. Tam ułożyłam z ubrań kukłę, umieściłam ją w fotelu i włączyłam telewizor. Wyszłam tylnym oknem, prosto w gęstą mgłę. Dopóki nie wejdą do środka, nie zorientują się!

Leżał, wpatrując się w nią, jakby nie był pewien, czy to, co widzi, jest rzeczywistością czy wytworem jego wyobraźni. Milczała chwilę, nie do końca przekonana, czy zrozumiał, co powiedziała, więc dodała uspokajająco:

– Nie stoimy już pod sklepem! Jesteśmy jakieś pięć kilometrów na północ od Pabianic, na leśnym dukcie. Nie znajdują nas! Zaraz odjedziemy daleko stąd. Pójdę po kierowcę...

Zatrzymał ją, chwytając za rękę. Napotkała jego spojrzenie, pełne niedowierzania. Chciał jej zaufać! W końcu przełamał wahanie i powiedział chrapliwym szeptem:

– Czekaj... Czekaj! Mam kopię zleceń przelewów, całą ich brudną księgowość. Skserowaną, zdeponowaną w banku. Musisz to zabrać.

Oniemiała.

– Gdzie? Gdzie to jest? – pytała cicho, spokojnie, by go nie wystraszyć. Jej dłoń automatycznie poszukała paczki papierosów. Cholera, gdzie one się podziały? A, w kurtce.

– W łódzkim banku. Gdzie mój portfel? – spytał niezwykle przytomnym i rozgorączkowanym głosem. – Potrzebuję dowodu osobistego!

– Mam pański portfel w plecaku, zabrałam go razem z pana ciuchami. Ale z mieszkania nie zabrałam, niestety, nic więcej!

– W mieszkaniu i tak niczego nie trzymałem! – zirytował się, poruszając się nerwowo.

Agnieszka, nie tracąc czasu, odsunęła drzwi. Młody lekarz i kierowca stali kilkanaście metrów dalej, paląc w milczeniu papierosy. Na jej widok postąpili w jej kierunku.

– Panowie, prędko! Jedziemy dalej. I mała zmiana planów. Jeszcze jeden kurs – szybka rundka do Łodzi!

Mężczyźni wsiedli do szoferki. Kierowca zapalił silnik, ruszyli. Lekarz odwrócił się do Agi i mrugnął.

– Będzie to kosztowało parę stów więcej. Na takie hece się nie umawialiśmy.

Nie odpowiedziała, bo stary na dźwięk uruchamianego silnika usztywnił się i poszukał ręką jakiegoś oparcia. Ujęła jego zniszczoną, poczerniałą dłoń.

– Już dobrze – szeptała. – Wszystko będzie dobrze.

Po pół godzinie byli już w Łodzi. Lekarz i sanitariusz przenieśli pana Rzeszoto na wózek, który Aga popchnęła do wnętrza banku. Tam, maskując nerwy, zażądali spoczywającej w skrytce bankowej teczki. Pan Alojzy lekko bełkotał, co było efektem ubocznym wziewnego anestetyka, więc urzędnik popatrzył na nich podejrzliwie. Aga pochyliła się jednak w stronę okularnika w garniturku, posłała mu kuszący uśmiech i szepnęła:

– Wujaszek jest po wylewie. Niechże się pan pospieszy, bo on źle się czuje. Prooosimy – mocno przeciągała sylaby.

Zadziałało. Służbista poderwał się i pobiegł za drzwi, a po chwili wrócił z kilkoma grubymi skoroszytami.

Aga na dłuższą chwilę przymknęła powieki. To wyglądało jak sen. Teczek było dużo, kryły niejedno. Nic się już teraz nie liczyło, tylko dobranie się do ich zawartości!

Ukłony, spokojne podziękowanie, uiszczenie opłaty i już transportowali cenne skoroszyty

do czekającej przed bankiem erki. Dziewczyna szła umiarkowanie szybko, nie rozglądając się na boki. Wypatrywanie pościgu przydawało tylko niepotrzebnego kołatania serca.

Kilka minut stresu i już sunęli ambulansem w stronę Warszawy. Pan Rzeszoto dostał od lekarza zastrzyk rozluźniający i wreszcie spokojnie przysnął. Aga siedziała obok niego na podłodze, przeglądając papiery z niedowierzaniem. Jadąc tu, myślała, że po prostu ocali nieszczęśnika od podłego losu. W głębi duszy liczyła też, że w zamian za to zdecyduje się zeznawać. Ale nawet przez myśl jej nie przeszło, że starszy pan prowadził tak skrzętną dokumentację!

Mieli rację, że tak się go bali. Od lat musiał robić kopie tajnych dokumentów. Były tam dowody na wszystko, o co Wędzichę podejrzewano, a nawet o wiele, wiele więcej!

Wędzicha był utajonym współwłaścicielem Invest Nobiscum – dokładnie tak, jak przypuszczał Paweł. Wziął też pożyczkę na Invest Nobiscum, po czym przelał pieniądze na Global Project... Wyprowadził te pieniądze na początku dwa tysiące szóstego roku, po czym zlecił Kwaśniakowi jej sprzedaż.

Wśród różnych dyspozycji było polecenie przelewu na jakieś konto. Opiewało na pięćset tysięcy złotych, a zaksięgowane zostało jako zapłata za działania marketingowe. Zapewne właśnie te pieniądze poszły na konto Kwaśniaka.

Agnieszka z trudem powściągnęła chęć zapalenia papierosa. Mieli wszystko, czego potrzebowali, by wszcząć proces. Zostawi to wszystko Pawłowi w kancelaryjnym sejfie. Wraz z listem, w którym sama poinformuje go o swojej przeszłości w olsztyńskim klubie go-go. Nie będzie czekać, aż zrobi to za nią Mirosław Kwaśniak. Potem ukryje pana Rzeszoto u ciotki, w swoich rodzinnych stronach. Niech Paweł Wencel czyni swą powinność już bez niej, niech doprowadzi sprawę do końca i zapewni księgowemu ochronę.

Ona nie będzie się już zabijać, by wytrwać w Warszawie... Nie chce, by wszyscy na uniwerku wytykali ją palcami po tym, jak Kwaśniak opublikuje jej zdjęcia w necie albo, jak się odgrażał, wręcz powysła do jej znajomych i współpracowników.

Niech mają używanie, ale bez niej.

Ruda będzie w siódmym niebie. Kiedyś usłyszała o dawnym zajęciu Agi od jednego gościa, ale do tej pory były to tylko pogłoski. Jedni dawali im wiarę, inni nie... Teraz będą mieli zdjęcia!

Nie, nie będzie o tym myśleć.

Może dałoby się załatwić przeniesienie na inną uczelnię. Jeszcze się zobaczy.

A co do znajomości z Pawłem Wenclem, należy po męsku spisać ją na straty. Nie będzie mu się narzucać. Nie daj Bóg, by teraz pomyślał, że poświęciła się dla niego, żeby coś na tym zyskać.

Kwaśniak chciał ją szantażować, kazał trzymać „gębę na kłódkę”, strasząc publikacją zdjęć. Ale ten intrygant nie znał jej, nie mógł więc przewidzieć, że Aga nie da sobie w kaszę dmuchać. Nie ugięła się. Ale nie po to, by robić z siebie bohaterkę.

W te gorączkowe rozmyślenia wdarł się głos lekarza:

– Pani Agnieszko, tu nie wolno palić!

– Dobrze, przepraszam.

– Jesteśmy już prawie na miejscu!

W kompletnym zamęciu ducha zorientowała się, że zajechali na Parkową. Zerknęła na okna kancelarii. Były ciemne. Doskonale. Miała więc czas spokojnie pokserować dokumenty, by zostawić mu kopię i napisany uprzednio list informujący o wszystkim. Potem, gdy ruszą już w stronę Olsztyna, wyśle mu SMS z wiadomością o drogocennych teczkach umieszczonych w sejfie. Pod żadnym pozorem nie mogła mu nic mówić przez telefon.

Teraz było dla niej całkiem prawdopodobne, że cholerny Kwaśniak w jakiś sposób miał ich na podsłuchu. Ale to nieważne, mecenas już niedługo dowie się o wszystkim z listu. Wiedziała, że gdy tylko dostanie jej SMS, przyjedzie tutaj i zacznie studiować zawartość teczek, choćby miało mu to zająć całą noc. A raniem stawi się w prokuraturze – doskonale przygotowany, była tego pewna.

Wbiegła po schodach z plecakiem wypchanym dokumentami.

Pat

W piątek nad ranem było jeszcze mgliście, ale przez gęsty tuman pomału przebijało słońce. Szedł wyżej, ale i ochłodzenie. Kwaśniak właśnie zasiadał do wczesnego śniadania. Miał zamiar dobrze się posilić, po czym natychmiast jechać do Warszawy, gdzie czekały go niecierpiące zwłoki sprawy. Chciał wreszcie rozmówić się z Vince'em i poinformować o „zmianie priorytetów zawodowych”.

Nie będzie już odrabiał pańszczyzny, gdy na koncie spoczną okrągłe dwie bańki – pięćset za tamto, a teraz półtora. Bez dwóch zdań rodzina Wencłów była niczym złota rybka spełniająca wszystkie życzenia! Chwała pamiętnej chwili, kiedy jego stopa stanęła w Niedźwiedzim Rogu. Nie ma więc co dłużej zwlekać, stukać w Guy bezproduktywnych godzin, za które doi po paręset złotych. Szkoda jego cennego czasu, szkoda jego „ministerskiej głowy”.

Jutro, gdy pieniądze będą już na koncie, może zrobić sobie mały urlop. Zabierze Beatkę na długo wyczekiwane wakacje, a tam omówią dalszy rozwój jego kariery. Pulchna kobietka wprost je mu z ręki – a zresztą czy ma teraz inne wyjście? Kwaśniak trzyma w dłoniach klucz do jej sekretu. Od niego zależy rozwój jej kariery politycznej i stabilność spokoju domowego.

Z ukontentowaniem stuknął łyżeczką w czubek jajka ugotowanego na miękko, gdy nagle głośno i brutalnie zadryndał telefon domowy. Ze zdziwieniem uniósł głowę.

Matka nadleciała z kuchni, chcąc oszczędzić mu wysiłku dźwignięcia się od śniadania.

– Halo?

Kwaśniak obierał drobne łupinki, pozornie skoncentrowany tylko na tej czynności.

– Do ciebie – usłyszał niepewny głos matki. Lekki skurcz zacisnął mu żołądek.

Chrząknął, otarł ręce serwetką, poprawił krawat i podszedł do aparatu. Dziwne, że ktoś dzwonił do niego na tutejszy numer. Dziwne i niepokojące!

– Słucham! – zawołał z surowością premiera odrywanego od spraw wagi państwowej.

– Witaj, Mirek. Przeszkadzam?

Nie do wiary, ale usłyszał głos zniechęconego Pawła. Pawła Wencła!

– Nie życzę sobie żadnych telefonów! Nie tak się umawialiśmy – syknął groźnie, garbiąc się nad stolikiem, na którym spoczywał szary, peerelowski aparat.

Do pokoju wszedł zaalarmowany ojciec i patrzył pytająco. Syn osłonił się od niego gestem nakazującym, by mu nie przeszkadzać.

– Umowa zerwana, kanalio. Warunki uległy zmianie – wycodził Paweł. – Teraz ty jesteś myszką, a ja kotem.

– Próbujesz mnie straszyć, szumowino? Kąsasz dłoń, która próbowała wam pomóc?

Dałem wam szansę, ale wobec tego, co mówisz, nie będę czekał już ani chwili! Ruszam z materiałami obciążającymi prosto do organów śledczych... – Głos mu się trząsnął, nie był w stanie nad tym zapanować. Chciał rzucić słuchawką, aby faktycznie postraszyć tamtego, jakoby przystępując do realizacji groźby, lecz nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Wencel próbował go zastraszać? Zapewne „na pusto”, to jasne, lecz trzeba się było co do tego upewnić...

– Tenże urząd sam niedługo zastuka do twoich drzwi, możesz być pewien – usłyszał w odpowiedzi.

– A co ty możesz im o mnie powiedzieć? – Młody Kwaśniak zaśmiał się histerycznie, a zarazem wyzywająco. – Nic o mnie nie wiesz, nie masz szans. Nie czaruj mnie, koleżko, ja nie z takich, co się wystraszą byle gówna. Takie kity to możesz...

– Mam księgowego, Kwaśniak! – brutalnie przerwał mu Wencel. – Koniec zabawy!

Kwaśniak zeszytywniał. Lecz nim zdążył coś odpowiedzieć, usłyszał sygnał ciągły. Powoli odłożył słuchawkę, ale wciąż trzymał na niej dłoń.

– Co jest?! – Ojciec wpatrywał się w niego gniewnie.

– Kaleka! Mówi, że ma kalekę! – wymamrotał Kwaśniak na wpół do siebie, na wpół do zbliżającego się ojca.

– Kto tak mówi? – zdenerwował się ojciec. Teraz z kuchni wyszła i matka, spoglądając z lękiem.

– Ale skąd? Jak? To niemożliwe! Przecież jeszcze wczoraj w nocy... Skoczył... – bełkotał młody Kwaśniak pod nosem, szybkim krokiem kierując się do przedpokoju i tam machinalnie naciągając buty. Potem stał chwilę, wwiercając się nieprzytomnym wzrokiem we własne stopy. Pędem wrócił do pokoju, mijając osłupiałego ojca i zaleknioną matkę. Znow dopadł do aparatu telefonicznego i sztywnymi paluchami wykręcił jakiś numer.

Zaspany, nieprzytomny Skoczył odebrał po dobrych dziesięciu sygnałach.

– Miałeś już wieści od pana Stanisława? – warknął młody Kwaśniak złowieszczo, nie dbając nawet o to, by się przedstawić ani dać tamtemu oprzytomnieć.

Skoczył bredził coś bez ładu i składu. Pewnie wczoraj w nocy znow zachlał tę durną, łysą pałę!

– Będę u ciebie za dziesięć minut! Masz czekać gotowy – zakomenderował Kwaśniak nieznośnym sprzeciwu głosem. Nie dbając o uspokojenie oniemiałych rodziców, wyleciał z domu, jakby się paliło.

Rzeczywiście, nie dalej niż dziesięć minut później gnał jak opętany po wyboistej drodze prowadzącej do zagrody młodego Skoczyłasa. Tamten stał już w bramie, w pośpiechu zapinając grubą ortalionową kurtkę. Słońce, które przebiło się przez chmury, bezlitośnie oświetlało jego przepitą twarz o kolorze twarogu. Masując się po łysej głowie, Roman bezmyślnie gapił się, jak auto Kwaśniaka zbliża się z zawrotną prędkością, podskakując na zmrożonych wertepach niczym gumowa piłka.

Nim wsiadł, Kwaśniak już rozpoczął dociekliwe przesłuchanie:

– Kontaktowałeś się z panem Stanisławem?

Skoczył ciężko opadł na fotel i gapił się na niego przez chwilę, jakby go nie poznawał. Usiłował zapinać pasy i bełkotał, że zasnął, lecz Kwaśniak przerwał mu brutalnie:

– Umawialiśmy się przecież, że dzwonisz do pana Stanisława zawsze o siódmej rano, by go skontrolować! By sprawdzić, czy jest na posterunku – wyjaśniał z wściekłością, niepewny, czy tamten w ogóle rozumie, co się do niego mówi. – Płacę ci немало za zwykłą kontrolę emeryta, za prosty nadzór! A więc dzwoniłeś czy nie?!

Z chaotycznego bredzenia Kwaśniak wywnioskował jedno – Skoczył jeszcze nie dzwonił do pana Stanisława.

– Na co więc czekasz? – warknął, ostrożnie manewrując autem koło rozpadającego się płotu. – Łapaj za komórkę i kręć!

Skoczył przez dłuższą, szarpiącą nerwy chwilę macał się nerwowo po kieszeniach. W końcu odnalazł komórkę i cmokając, usiłował ją wydobyć ze skózanego futerału.

– Dawaj to! – Kwaśniak wyrwał mu ją z ręki i dwoma ruchami wydobył z ochraniacza. – Masz! Dzwon!

Wypadli już na krajówkę i z zawrotną prędkością gnali w stronę osiedla.

– Halo! – zagulgotał Skoczył, jakby miał w gębie pełno klusek. – Panie Stanisławie! Melduj pan, co jest?

Po zdumionym głosie dochodzącym ze słuchawki Kwaśniak zorientował się, że poranna kontrola emeryta nie była rutyną. Z pytań zdziwionego mężczyzny wynikało, że jest tym telefonem zaskoczony. Gadał jednak przez ładnych parę minut, więc Kwaśniak brutalnie przerwał im rozmowę:

– No i co? Kaleka wychodził?

Skoczyła przysłoniła słuchawkę owłosioną łapą i szepnęła:

– Wygląda, że wszystko w porządku. Kaleka nie wychodził, w nocy grał u niego telewizor... Może powiem panu Stachowi, żeby poszedł tam i zajrzał...

– A na cholerę? My tam będziemy przed nim!

Poirytowany Kwaśniak już skręcał w znajomą drogę osiedlową. Mocne słońce oświetlało bloki i położone naprzeciwko pola uprawne. Cała brzydota okolicy, ginąca w zimowym mroku, teraz widoczna była jak na dłoni. Po stanie budynków – tego ze sklepem i drugiego, w którym mieszkał Rzeszoto – znać było, że zbudowano je przed wojną. Oba otoczone były mnóstwem szkaradnych przybudówek.

Kwaśniak jeszcze przyspieszył, nie myśląc już o tym, że nie powinien zwracać na siebie uwagi. Jedyne, czego chciał, to upewnić się, że Rzeszoto siedzi w swojej norze! A potem, gdy już będzie miał tę pewność, zastanowi się, jak go uciszyć na zawsze!

Z piskiem opon stanęli przed lichym budynkiem. Skoczyła, ponaglany wściekłym wzrokiem Kwaśniaka, wyleciał z auta i nawet nie zachowując pozorów, rzucił się przez furtkę wprost do przysłoniętego okna. Zajrzał w szparę w zasłonach, a potem zwrócił swą szeroką, uśmiechniętą głowę do Kwaśniaka.

– Jest – artykułował bezgłośnie i jak opętany wywijał łapami w radosnym geście.

Bałwan! Kwaśniak przytknął palec do wyszczerzonych zębów i puknął się w czoło, dając mu na migi do zrozumienia, by przestał. Potem trwożnie potoczył wzrokiem po oknach budynku. Zdawało mu się, że na drugim piętrze ktoś stoi za firanką. Ze złością naciągnął kaptur głęboko na twarz. Pochylony, wyszedł z auta. Nie spocznie, dopóki sam nie zobaczy kaleki.

Wszedł przez furtkę, a potem, idąc przez skopaną, pokrytą jeszcze gdzieś gdzieś śniegiem ziemię, doszedł do okna o futrynie pokrytej odrapaną farbą. Skoczyła usunął się, robiąc mu miejsce i z dumą wskazując prześwit między zasłonami, w którym widoczne było wnętrze pokoju. Mrużąc oczy, Kwaśniak przytknął twarz do przybrudzonej szyby. Pomału jego oczy przyzwyczajały się do panującego wewnątrz mroku. Na tle grającego na stoliku telewizora faktycznie widać było ciemną sylwetkę osadzoną w wózku inwalidzkim. Kwaśniak obserwował ją w milczeniu przez kilka minut, dziwnie niespokojny.

– Czemu on się nie rusza? – wycedził w końcu przez zaciśnięte zęby.

– Może śpi! Albo zdechł! – Skoczyła ukazał w szerokim uśmiechu liczne braki w uzębieniu.

Znów milczeli, to gapiąc się do środka, to odwracając za siebie i czujnie lustrując przeciwległą stronę ulicy. Po ścieżkach osiedlowych kręcili się ludzie: dwie baby z wózkami dziecięcymi i facet z jamnikiem. Kwaśniak znów zajrzał przez okno.

– Nigdzie nie widać psa – zauważył szeptem.

– Faktycznie, psa nie ma. Ale jest staruch!

– Idź od tyłu, zajrzyj przez okno od sracza!

Skoczyła posłusznie zniknęła za rogiem. Powrócił z niepewną miną.

– Psa nie widać.

– Dobrze patrzyłeś?

– Dobrze. Okno od sracza szeroko otwarte! Zajrzałem do środka. Psa nie widać.

– Coś powiedział? Okno jest otwarte? Musimy wejść do mieszkania! – zakomenderował Kwaśniak, piorunując towarzysza wzrokiem.

– Oknem? – upewniał się Skoczyła.

– Po co oknem, baranie! Normalnie! Drzwiami!

– Co? – zaniepokoił się Skoczyła. – Po co? Przecie mówił pan...

– Ładuj się do środka! – powtórzył Kwaśniak, popychając go w stronę pociągniętych sraczkowatą farbą drzwi. Znaleźli się w ciemnej sieni starego domu. Kwaśniak delikatnie nacisnął klamkę od drzwi mieszkania inwalidy. Były zamknięte.

Zapukał ostrożnie. Ze środka dobiegały tylko odgłosy programu telewizyjnego. Najwyraźniej kaleka albo spał, albo nie zamierzał im otwierać. Znow zapukał, tym razem ostrzej, a potem znow zaczął nasłuchiwać.

– Kurwa, wyważę te drzwi! – postanowił nagle Skoczylas, cofając się o krok.

– Zdużniałeś? – Kwaśniak złapał go za kurtkę, przywodząc do rozsądku. – Idź lepiej od tyłu i wejdź przez okno od sracza! Tu kręci się za dużo ludzi.

– Zobaczą mnie sąsiedzi!

– Rób, co mówię! Sąsiedzi pary z mordy nie puszcza.

Podczas gdy tamten poszedł na tyły budynku, Mirosław Kwaśniak kilka razy pukał cichutko do drzwi, baczny na odgłosy z góry. Zdawało mu się, że ktoś na pierwszym piętrze chodzi po mieszkaniu. Na szczęście był w kapturze, w razie co zobaczą tylko tamtego kretyna, który łąził po podwórku z gołym łbem! I nawet dobrze!

Wieki minęły, nim usłyszał wreszcie chrobot zasuwki. No, Skoczylas dostał się do środka i otwierał mu. Drzwi uchyliły się, a Kwaśniak jak duch wsunął się do środka.

– No i co jest? – Nieprzytomnym z niepokoju wzrokiem mierzył stojącego z niewyraźną miną Skoczylasa. – Co jest? Nie żyje czy co?

– Nie ma go! – wybełkotał tamten, najwyraźniej zdrowo przerażony.

– Co? – Kwaśniak na moment skamieniał, po czym pędem ruszył z przedsiönka do upiornego, ciemnego pokoju, w którym panował ostry zaduch. Na środku fotela siedziała opatulona, dziwnie pochylona postać. Trup? Kwaśniak z trwogą okrążył owinięty w koce kształt, by zająć go od frontu. Głowa w czapce, cudacznie przekrzywiona, pochylona była na pierś, przez co twarz pozostawała kompletnie niewidoczna. Ręce w rękawiczkach osobliwie spłaszczone. Trup! Stary trup! Oszukiwali go! Udawali, że pilnują, ciągnęli pieniądze, a ten stary skurwysyn dawno tutaj zdechł!

Zaszedł „to coś” od frontu. Dziwny, dziwny kształt! Co to, na rany Chrystusa?

Dwoma susami dopadł do fotela, zerwał z postaci koc i odrzucił go precz. Spod czapki wychyliła się ukręcona z gałganów głowa. Kukła. Ktoś podłożył kukłę!

Błady jak kreda wybiegł z cuchnącego mieszkania, jakby goniło go stado upiorów.

Pół godziny później siedział w fotelu, w pokoju dziennym rodziców, z nogą założoną na nogę, zamknięty na klucz tak, by nikt mu nie przeszkadzał, i nerwowo pocierał wilgotne dłonie. W końcu gwałtownie ujął słuchawkę i wybrał stacjonarny numer kancelarii Pawła. Wiedział, że na tamtą linię nie założono jeszcze podsłuchu. Gdyby jednak oficer o czymś mu nie powiedział, Mirek postanowił się pilnować. Będzie mówił tak, by niczego mu nie mogli...

– Halo!

Paweł Wencel odebrał telefon po zaledwie dwóch sygnałach.

– To ja! – syknął Kwaśniak. – Chcę cię powiadomić, iż jeżeli nie odstawisz na miejsce kaleki, którego uprowadziłeś, a który mieszkał tu pod moją opieką, najdalej za dwie godziny będę w stolicy, na Koziej, gdzie złożę stosowne zawiadomienie o twoim bracie, a najdalej...

– Przymknij gębę i słuchaj, ścierwojadzie, bo szkoda mi czasu! – przerwał mu Paweł. – Księgowy nie musi zeznawać osobiście. Dał nam dokumenty pogrążające i ciebie, i całą tę zgraję z Pabianic. Próbkę tego, co na Koziej JA mogę złożyć na ciebie, zeskanowałem i wysłałem ci mailem. Przejrzyj skrzynkę pocztową, byś dobrze zrozumiał, o czym mówimy. A teraz słuchaj uważnie, bo powiem to tylko raz! Jeżeli kiedykolwiek upublicznisz materiały o Agnieszce lub moim bracie, papiery na twój temat automatycznie wysłane zostaną do prokuratury i wszelkich

innych organów, które mogłyby się tym zainteresować. A tymczasem kopie zabezpieczyłem w kilku wiarygodnych kancelariach. Tak więc jeżeli komukolwiek z nas spadnie włos z głowy, a ja – z jakichś powodów – nie będę mógł zrobić tego osobiście, znajdą się ludzie, którzy uruchomią sprawę. I wy wszyscy pójdziecie siedzieć. Na długie lata. Rozumiemy się? Tak to urządziłem. Takie są moje warunki. Przestrzegaj ich, a nie usłyszysz więcej o sprawie pabianickiej. Zrozumiałeś? I to samo tyczy księgowego! Jeżeli dowiem się, że go szukacie lub że spotkało go coś „przypadkowego”, patrz punkt pierwszy. Wiedz też, że wykorzystam parę z tych nowo otrzymanych dokumentów, by wyrwać od was całą należną mojemu klientowi kasę. A przy okazji ty zwrócisz „zaliczkę”, którą z jego pieniędzy otrzymałeś! Przypomnę ci, w razie jeśli doznałeś nagłej amnezji, że było tego równo pięćset tysięcy. I zrobisz to teraz. Natychmiast. Numer konta doślę ci SMS-em. A ponieważ nie zostało już nic więcej do powiedzenia, żegnam.

Rozłączył się z trzaskiem.

Kwaśniak ukrył twarz w dłoniach i siedział, miarowo kiwając się w fotelu.

Rycerz na białym koniu

Było już zupełnie ciemno, kiedy Paweł minął Olsztyn i jechał dalej, mocno przekraczając dozwoloną prędkość. W światłach reflektorów zaczęły pojawiać się pojedyncze płatki śniegu. Znow chwycił mróz, zrobiło się ślisko. Ściszył radio, uważnie obserwując okolicę. Gdzieś tutaj powinien skręcić w lewo, jeśli prawdą było to, co zapowiadał GPS.

Za pomocą oszczędnych, niemal zaszyfrowanych SMS-ów umówił się z nią na parking stacji Orlen. Stacja ta miała znajdować się po prawej stronie drogi, tuż przed wjazdem do rodzinnego miasteczka Agi, którego nazwę poznał z listu w sejfie. Nie wymieniali jej nawet w SMS-ach, bo właśnie tam, u swojej ciotki, Aga ukryła księgowego. Nie był to najgorszy pomysł, biorąc pod uwagę obrót sprawy.

Przez całą drogę Paweł był niespokojny, nie mógł się doczekać rozmowy z Agnieszką. Jak zareaguje, gdy jej oznajmi, że nie doprowadził sprawy do oczekiwanego przez nią końca, że nie przywoździł Kwaśniaka? Że musiał kanalię oszczędzić? Naturalnie, chcąc nie chcąc, będzie zmuszony wtajemniczyć ją w prywatne sprawy tego bęcwała, swego brata. Trudno. Bez tego się nie obejdzie.

To, jak ona się zachowa, w dużej mierze będzie zależało od pobudek, które nią kierowały – uświadamiał to sobie teraz z pełną wyrazistością.

Już sam fakt, że nie dała się Kwaśniakowi zastraszyć, był znamieny, dawał do myślenia. Nie ugięła się pod groźbą publikacji zdjęć. Gdyby faktycznie puścił je do sieci, jej prawnicza kariera zawisłaby na włosku. Wiedziała, jakie będą konsekwencje, a jednak nie odwidło jej to od działania. Z jakiego powodu?

Z pewnością nie brakowało jej charakteru. Sam fakt, że wyciągnęła inwalidę z pilnie obserwowanego domu... Jeszcze nie znał szczegółów tej akcji, ale wiedział, że jej przeprowadzenie wymagało sporo zimnej krwi. I zrobiła to na własną rękę.

Po raz drugi Paweł stawał się jej dłużnikiem.

A długów nie lubił.

Nerwowo wyciągnął ze schowka kolejnego papierosa i wetknął go w usta, nie zapalając jednak. Zerknął w lusterko i odruchowo przyczesał lekko rozczochrane włosy. Nieprzespana noc dawała mu się we znaki. Miał na sobie wczorajszy garnitur, a zęby umył małą szczoteczką samolotową, którą znalazł w kancelarii. Co gorsza, w głowie też miał chaos!

Jeżeli zrobiła to dla idei, świetnie. Ale to mało prawdopodobne. W altruizm raczej nie wierzył. Zwolnił, by przypalić papierosa. Cholera, ale się rozpadało! Śnieg wirował na wszystkie strony, ograniczając widoczność do najwyżej pięćdziesięciu metrów.

Jeszcze bardziej zwolnił, starając się skupić wzrok na drodze, a nie na ruchliwych białych płatkach, układających się w przedziwne, fantazyjne kształty...

Podkochiwała się w nim. Dlatego to zrobiła. Podejrzewał to już wcześniej, a teraz był pewien. I właśnie dlatego nie powinien posunąć się w ich relacji ani kroku dalej. Pod żadnym pozorem nie może dawać jej złudnych nadziei.

Bo co on może jej zaferować? Czterdziestoletni, rozgoryczony, po przejściach... Wrak emocjonalny. Nie zdołałby sprostać jej oczekiwaniom. Wiedział o tym, gruntownie przemyślał sprawę.

Teraz, gdy ostatecznie uwolnił się od resztek nadziei na powrót Hanny, miałby brać sobie na głowę nowy bagaż?

Otóż nie. Nie podoła temu.

Inaczej jej to zrekompensuje.

Jutro Kwaśniak, pod groźbą wydania go prokuraturze, przeleje mu na konto pobraną od

Wędzichy łapowę. Odda te pół banki, które zainkasował.

Z tego czterysta tysięcy Paweł da Adze. Takie pieniądze ustawią ją, to musi ją zadowolić. Z czasem ułoży swoje sprawy i przestanie sobie zaprzętać głowę takim starym pierdzielem jak on.

Relacje kumpelskie służyły im najlepiej. Całkiem nieźle się razem pracowało, więc na diabła to psuć?

A pozostałe pieniądze przydadzą się Pawłowi na wypadek, gdyby pan księgowy okazał się zagorzałym nonkonformistą i nadal chciał tropić Wędzichę i Kwaśniaków. Sto tysięcy powinno starczyć, by kupić jego milczenie, choć Wencel postanowił zacząć negocjacje z Rzeszoto od zapewnienia mu schronienia i nietykalności.

Mocno się zaciągnął, uchylił okno i wypuścił chmurę dymu. Świeże powietrze przyjemnie cucilo. Tymczasem las zaczął się przerzedzać, wrażenie nierealności odchodziło.

Miasteczko zbliżało się na ekranie komputera pokładowego. Od spotkania z Agą dzieliło go pewnie parę minut.

Dostrzegł jaskrawo oświetloną stację benzynową. Skręcił i podjechał pod wiatę budynku. Prawie natychmiast ujrzał dziewczynę za szybą. Siedziała samotnie przy jednym ze stolików, na wysokim krześle, pijąc kawę z papierowego kubka. Dostrzegła go i kiwnęła mu głową.

Zgasił silnik i wysiadł, a tymczasem ona była już na zewnątrz.

– Cześć. – Podeszedł, trzymając ręce w kieszeniach, niepewny, jak powinien się zachować, w związku z czym sprawiał wrażenie pełnego rezerwy.

– Cześć. – Uśmiechnęła się słabo. I ona nie była rozmowna.

Zjeżył się na widok takiej powściągliwości. Stali, milcząc, w sypiącym śniegu.

Paweł z irytacją strzepnął go z włosów i rzekł:

– Chodźmy gdzieś, nim doszczętnie przemokniemy.

Zawahała się.

– W tej pipidowie lokale są już pozamykane... Możemy usiąść po prostu tutaj, w rogu, z dala od niego. – Ruchem głowy wskazała ziewającego pracownika stacji, widocznego przez szklaną witrynę. – Prawie śpi, nie będzie zwracał na nas uwagi, więc możemy...

– Mam lepszy pomysł – przerwał jej, mówiąc jednak z silnym wahaniem, jakby natychmiast zdał sobie sprawę, że pomysł wcale nie jest taki dobry. – Wsiądźmy do samochodu i pojedźmy w stronę Warszawy. Po drodze widziałem hotel... Tam, w restauracji, usiądziemy, zjemy coś i porozmawiamy bez świadków...

Jakaś nieuchwytna nuta w jego głosie musiała ją zastanowić, bo kiwnęła głową na zgodę dopiero po dłuższej chwili.

W poważnym milczeniu poszli w stronę samochodu. Próbował spojrzeć jej w twarz, lecz patrzyła pod nogi. Otworzył przed nią drzwi, po czym okrążył samochód i wsiadł za kierownicę.

– A Rzeszoto? – zapytała. – Będzie bezpieczny u ciotki? Tak go po prostu zostawimy?

Miał niejasne wrażenie, że nie mówiła na temat, który najbardziej ją interesował. Śnieg trzeszczał pod kołami, gdy wjeżdżali na szosę.

– Rzeszoto jest zabezpieczony, niech cię główka o niego nie boli.

– Zabezpieczony? Przecież na pewno go szukają, może nawet za tobą jechali! Boję się, że...

– Spokojnie. Księgowy jest bezpieczny. Zaufaj mi. W interesie Kwaśniaka jest, by włos mu z głowy nie spadł...

– Jak to?

– Nie powiem ani słowa więcej, dopóki trochę cię nie upiję. Byłabyś na mnie bardzo zła – rzekł nieco cieplejszym tonem, w ciemności szukając jej oczu. Wyjechali z miasteczka. Droga

wiodła przez las.

– Ja? Zła na ciebie?

Po tonie jej głosu można by sądzić, że nie byłaby zdolna złościć się na niego. Mimowolnie się uśmiechnął. Śnieg sypał teraz dokładnie w szyby, jakby padał poziomo. W świetle reflektorów przelatywały czarne drzewa.

– Proszę, nie pytaj o nic – dodał już nieco pewniej. – Za kilometr jest ten hotel, usiądziemy w restauracji i zostawimy komórki w aucie. WTEDY wszystko ci opowiem.

Umilkła.

Zajechali pod wejście. Ponieważ nie paliło się tam ani jedno światło, Paweł poszedł pytać, czy w ogóle było czynne. Po chwili wrócił z dobrymi informacjami. Restauracja była otwarta i mogli dostać coś ciepłego do jedzenia. Mogli też przenocować, jeśli mieliby ochotę.

Bo przecież napiwszy się wina...

Otrzepli buty, zdjęli płaszcze i weszli do małej restauracji, odprowadzani znudzonym spojrzeniem dziewczyny z portierni.

Sala „konsumpcyjna”, jak określiła ją recepcjonistka, była paskudna, ale przynajmniej ciepła. Ciepła i pusta. Byli jedynymi gośćmi. To im wystarczyło.

Zamówili coś do picia i do jedzenia, a gdy tylko kelner się oddalił, Paweł przechylił się przez stół i zaczął prosto z mostu:

– Nie złożyłem żadnego doniesienia w prokuraturze, Aga.

– Jak to? Dlaczego?

– Zanim dostałem od ciebie ten SMS, działy się straszne rzeczy. Kwaśniak szantażował mojego brata.

– Co takiego? Jak?

– Wszedł w posiadanie nagrania, na którym wyraźnie widać, jak mój brat przyjmuje łapówkę. Straszyl nas, że pójdzie z tym do prokuratury. W zamian za milczenie żądał gigantycznego okupu oraz zapewnienia, że nie będziemy już nigdy węszyć przy sprawie pabianickiej...

Przezesując sobie włosy raz jedną, raz drugą ręką, Paweł opowiedział jej od początku do końca całą historię Mateusza.

– Mój Boże! No, ale skoro tak dobrze się z tym kryli, to skąd Kwaśniak się w ogóle dowiedział, że twój brat miał romans?

– Też się nad tym zastanawialiśmy. Mati sądzi, że takie plotki mogła rozsiewać pewna nienawidząca go koleżanka działowa. Z gatunku takich, co dużo obserwują i zawsze wszystko widzą.

Dyskretnie przemilczał pobudki, który ewentualnie pchnęłyby nieszczęsną Paulinkę (bo to ją Mati podejrzewał) do tak niegodziwych czynów.

– Ale jeżeli twój brat nie pochwalil się ciążą żony w pracy, to skąd Kwaśniak się o niej dowiedział?

– A bo ja wiem? Może widział na ulicy Karolinę z brzuszkiem? Nieważne. Powiedz lepiej, czy jesteś na mnie bardzo zła?

Zapadła cisza. Dziewczyna wzięła papierosa. Paweł natychmiast go przypalił i patrzył na Agnieszkę wyczekująco.

– Nie jestem zła – powiedziała, podnosząc na niego oczy. – Nie znasz mnie wcale, jeśli sądziłeś, że będę zła.

Teraz nieco się odprężył i lekko stuknął kieliszkiem w jej kieliszek. Upił spory łyk i, ośmielony, zaczął:

– A ja myślałem, że będziesz chciała mnie zamordować. Po tym, co musiałaś przejść, by

tego dziada stamtąd wyciągnąć!

- Nie poszło to na marne.
- Ale i nie dopieiliśmy swego.

Jakże dziwnie na niego spojrziała. By uniknąć niebezpiecznego zwrotu w rozmowie, szybko dodał:

– Teraz ty musisz mi opowiedzieć, jak to wszystko wyglądało! Jak w ogóle znalazłaś księgowego? Pisałaś mi coś w liście, ale czytałem z taką prędkością, że umknęły mi niektóre szczegóły! Gnałem do przodu, chcąc jak najprędzej dowiedzieć się wszystkiego, a potem zajrzeć do tych teczek. Kurwa, nie do wiary, że nie możemy tego wykorzystać!

Ukrył twarz w dłoniach i siedział tak dłuższy czas, po czym podniósł na nią nieco błędny wzrok. Widząc jego minę, Aga powiedziała:

– Opuść to sobie. Teraz już niczego nie wymyślimy. On ma haka na twojego brata. Mógł to skopiować w milion miejsc. Już zawsze będzie was tym trzymał w szachu. Sytuacja jest patowa.

Tak, to była prawda, lecz w głębi duszy nie mógł na to przystać! Stać się zakładnikiem tego robaka przez takie gównno?

Chwilę milczeli, po czym rzekł powoli:

– Jednak CIEBIE strach przed szantażem nie odwiódł od działania. A ja, przez mojego brata kretyna, udaremniłem wszystko.

– Miesiące, a może nawet lata w areszcie to nie to samo, co skandal związany z pokazywaniem cycków! Nie porównujmy tego!

Jakaś inna się zrobiła ta jego Aga. Sam nie wiedział, czy podoba mu się to jej nowe oblicze. W każdym razie, by nieco ją udobruchać, postanowił przedstawić jej swoją propozycję finansową. To na pewno poprawi jej ponury nastrój.

– Masz rację. Nie ma sensu dalej tego roztrząsać. W każdym razie mam dla ciebie dobrą wiadomość. Nie pozwolę, żeby to, co zrobiłaś poszło na marne.

– Ale to nie poszło na marne!

Mówiła z naciskiem, ale on nie zwrócił na to uwagi, skupiony na tym, by zakomunikować jej to, co przedtem umyślił.

– Poczekaj, daj powiedzieć. Z dokumentami, które zdobyłaś, w drugiej instancji rozłożymy Zagajewicza na łopatki. Oznacza to, że ściągniemy z niego te pieniądze. Połowę mojego honorarium oddaję tobie.

Uśmiechnęła się, ale jakby z przymusem. No tak. Pewnie myślała, że usiłuje odplacić się za jej ofiarność pieniędzmi. W dodatku – na tym etapie – nadal wirtualnymi.

Ciekawe, jak Aga zaśpiewa, kiedy przekaże jej drugą niespodziankę, którą chował na osłodę ich przegranej. Dolał jej wina i zaczął:

– Widzę, że nie robi na tobie wrażenia czterysta tysięcy, które dostaniesz w ciągu paru miesięcy!

– Mylisz się, robi, i to ogromne!

– A jednak nie skaczesz z radości?

Spojrzała wymownie, ale wreszcie uśmiechnęła się cieplej. A więc nadszedł moment na wielkie wyznanie.

– Aga, słuchaj! – rzekł, biorąc ją za rękę. Lekko poczerwieniała, ale nie zauważył tego, przejęty tym, co miał zaraz jej wyjawic. – Słuchaj, uważnie! A więc nie jest tak, że nic na tym nie ugraliśmy! Zaraz po tym, jak powiedziałem Kwaśniakowi, jakiego rodzaju dokumentami dysponujemy, nakazałem mu natychmiastowy zwrot tych pięciuset tysięcy, które dostał od Wędzichy. Ma niezwłocznie przelać je na moje konto. Czterysta tysięcy dostaniesz ty. Sto

przeznaczymy na koszty operacyjne.

I mrugnął do niej, popijając podłe wino.

Nie odpowiedziała. Trochę zdziwiony podjął:

– Mówiąc o kosztach operacyjnych, miałem na myśli, że przekażę je panu Rzeszoto... gdyby nie był zadowolony, że tamtych nie dosięgło ramię sprawiedliwości.

– O Rzeszoto się nie martw – odparła dość twardo. – Ja mu wszystko wytłumaczę, nie zdradzając niepotrzebnych szczegółów. Mylisz się, sądząc, że pan Rzeszoto oczekuje pieniędzy za milczenie. Jest mi dostatecznie wdzięczny... Gdybyś widział, w jakich warunkach oni go tam...

– Urwała, silnie wzburzona. – Nie zrobi niczego przeciwko nam, wystarczy, że go o to poproszę... On ma w dupie te pieniądze... Nie przekonuj go pieniędzmi.

Co z nią? Patrzyła na niego, lecz niemal gniewnie. Hm. Że niby chciał załatwić sprawę pieniędzmi?

Poruszył się niespokojnie i znów dołał cierpkiego wina, w wielkim rozdrażnieniu rozchlustując nieco na biały obrus.

– Aga, uspokójmy się! – klarował poirytowany. – Nie sprzecajmy się, nie tak to powinno wyglądać. I ja mam niedosyt, ale pomyśl, ile na tym wygrałaś... Za taką kasę kupujesz sobie wolność!

Milczała wrogo.

– Pomyśl, że już nigdy nie będziesz musiała nigdzie dorabiać. Harować ponad siły! Czy to nic nie znaczy?

W końcu skinęła potakująco głową.

– No to chyba jednak mamy co świętować? – Patrzył uporczywie, jakby siłą woli chcąc zmusić ją do optymizmu. Jednak tym razem nie uległa. Zdjęła z oparcia sweter i wciągnęła go przez głowę. Cóż to, chciała się zbierać?

Obserwował ją z niepokojem.

Obraziła się? O co?

Czyżby tak jej na nim zależało? Wydawało mu się to niebywałe, wręcz komiczne. Trudno przychodziło mu zrozumienie uczuć innych, zdawało mu się, że tylko on jeden umie dostatecznie mocno cierpieć, tylko on jeden potrafi kochać.

Jej „zadurzenie”, jak je w myślach nazywał, wyglądało mu na młodzieńczą fanaberię. Czy nie widziała, że i on musiał dokonać pewnych poświęceń? Gdyby był pierwszym lepszym skurwysynem, natychmiast by tę jej słabość wykorzystał, tymczasem sam musiał starać się nad sobą zapanować, by...

Naprawdę szykowała się do wyjścia!

Mimo wszystko przyjemnie się im razem siedziało. Miał chęć jeszcze trochę odsapnąć, podzielić się z nią wrażeniami, nie tylko suchymi faktami. Liczył, że dokończą butelkę, a tymczasem ona uciekała, choć pozostało tyle do wyjaśnienia, tyle do zaplanowania.

– Aga, poczekaj. Porozmawiajmy jeszcze – rzekł z naciskiem, sądząc, że to wystarczy, by poddała się jego woli.

– Jestem zmęczona. Muszę się położyć. – Gwałtownie wstała, biorąc z krzesła dziwaczną wojskową torbę.

I on poderwał się na równe nogi.

Odwróciła się i poszła do wyjścia... Gdzie ten pieprzony kelner? Paweł chciał natychmiast uregulować rachunek.

Na jego donośne wołanie obibok pomału wychynął z kuchni. Dopiero przynaglony piorunującym spojrzeniem Pawła, popartym wymownym gestem, przyskoczył, niosąc na tacy rachunek.

Paweł momentalnie sprawdził kwotę i zapłacił. Tak się spieszył, by dogonić Agnieszkę, że rzucił na tacę dwie stówki i nie czekał na resztę. Nie chciał, nie zamierzał rozstawać się z nią w taki sposób. Może... gdyby dała mu choć chwilę do namysłu.

Tymczasem ona stała przy recepcji, rozmawiając przez telefon stacjonarny. Informowała ciotkę, że dziś już nie wróci. Szybko skończyła, wzięła klucz i lekkim krokiem wbiegła na schody. Wepchnął portfel do wewnętrznej kieszeni marynarki i pospieszył za nią. Już miał wbiec na schody, gdy recepcjonistka zawołała rozbawionym głosem:

– Halo! Klucze do drugiego pokoju!

Bezczelna idiotka. Po co wtrąca się w nie swoje sprawy? Zero taktu! Nauczyłby ją moresu, gdyby był właścicielem tej rudery. No, ale to nie „Ritz”. Z żądzą mordy wypisaną na twarzy podszedł do recepcji i bez słowa zabrał leżący na kontuarze klucz. Klucz od drugiego pokoju, bo właśnie o oddzielne pokoje pytał, kiedy dowiadywał się, czy restauracja jest czynna.

Aga dochodziła już do szczytu schodów, więc ruszył za nią biegiem, choć kompletnie nie wiedział, co ma robić dalej. Zatrzymać ją? Pogadać?

Dogonił ją na samej górze. Stanął o schodek niżej, teraz tylko nieznacznie górował nad nią wzrostem.

Spojrzeli sobie w oczy.

– Dobranoc – rzekła powoli, z wahaniem, jakby za chwilę miała skoczyć w przepaść, z której tylko on jeden mógł ją wyciągnąć. Mógł, więc czemu tego nie robił? Czemu stał, patrząc, jak powoli odwraca się i kieruje w głąb korytarza?

Jaka siła kazała mu stać w bezruchu i milczeć, widząc, jak ona zbliża się do drzwi? Jaka siła cementowała mu nogi i sznurowała usta, nie pozwalając przełamać wewnętrznego oporu? A wreszcie, jaka siła, wbrew jego woli, kazała mu odwrócić się i pomaszerować do własnych drzwi?

Stał chwilę pod złotym numerem dwanaście, a potem powoli włożył klucz do drzwi, delektując się torturą, którą sam sobie zadawał.

Nie popatrzył w lewo, choć słyszał, jak mocowała się z zamkiem. Wystarczyło odwrócić głowę i powiedzieć: „Agnieszko”. Wystarczyło, a jednak nie uczynił tego.

Sam też długo gmerał przy zasuwce. Wtedy usłyszał, jak zamknęła za sobą drzwi.

Wściekły, przekręcił klucz, wszedł do środka i trzasnął drzwiami, nieco zbyt mocno. A więc tak to się potoczyło. A więc – zgodnie ze swoim postanowieniem, ale wbrew własnej woli – wyładował tu sam.

I choć usilnie przekonywał samego siebie, że bardzo dobrze się stało, narastało w nim dziwne uczucie.

Czyżby schrzanił coś bezpowrotnie?

Eine kleine nachtmusik

U Wencłów z trwoźnym niedowierzaniem szeptano, że „coś porobiło się” z Matim. Bali się zapeszać, woleli otwarcie o tym nie mówić, pukali w niemalowane.

Minęły ponad trzy tygodnie od narodzin dziecka, a wyglądało na to, że świeżo upieczony ojciec porzucił dotychczasowy tryb życia na dobre. Wcześniej nikt by w to nie uwierzył – a jednak!

Teraz, gdy niedzielne popołudnie niepostrzeżenie przechodziło w wieczór, Mati siedział w salonie, na wygodnym fotelu, i jedną nogą wprawiał kołyskę w ruch. Póki dziecko spało, mógł się względnie zrelaksować. Podrzemać, a nawet przejrzeć gazetę, uważając tylko, by zbytnio nie szeleścić.

Byli sami, bo Karolina wyszła do fryzjera, „żeby nie oszaleć”, jak to określiła, zamykając za sobą drzwi.

Za oknem szarzało, w świetle latarni widać było zacinający śnieg z deszczem. Marcowa pogoda dawała się we znaki, ale Matiemu to nie przeszkadzało. Oprócz śmiertelnego zmęczenia, spowodowanego chronicznym niedospaniem, czuł się naprawdę nienajgorzej.

Rację miał stary Wencel, że jego średni był w czepku urodzony. Jakoś się to wszystko ułożyło, choć jeszcze niecały miesiąc temu zdawało się Matiemu, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Wylizał się z tego, wylizał dzięki niezawodnemu (musiał to, niestety, przyznać!) bratu.

Nawet w korporacji nieco się uspokoiło, od kiedy niewyżyta Wiktoria zawiesiła „proces”. W walce z Matim poległa, więc była duża nadzieja, że, upokorzona niepowodzeniem, niebawem ruszy dalej w świat, by jako *expat*¹⁷⁸¹ gdzie indziej bruździć i psuć krew komu innemu, wdrażając swoje metody godne gestapo.

Zapewne przekuje porażkę w sukces i jeszcze ją wypromują na wyższe stanowisko.

Z Bogiem! Byle z dala od niego, od warszawskiej centrali, od Polski!

Tak więc życie się zmieniło i, mimo wrzasku maleństwa, wszystko jakoś przycichło. Spieniona woda trafiła wreszcie w uregulowane koryto. Stateczek żeglował po gładkich wodach i to w jedynym możliwym kierunku. Była to niewysłowiona ulga.

Węclatko, najwyraźniej zdrowsze jak rydz, z dnia na dzień przybierało na wadze. Spomiędzy niebieskich kocyków widoczny był teraz anielski, pucułowaty profil i przyciśnięta do polika mała piąstka. Widok ten wprawiał Matiego w poczucie głębokiego, tajemnego zadowolenia.

Znów delikatnie poruszył stopą, wprawiając kołyskę w miarowy ruch. Maleństwo zrobiło zabawny grymas.

Z głośników dobywały się ciche dźwięki *Eine Kleine Nachtmusik* (ponoć ten utwór rozwijał synapsy mózgowo – pewnie *bullshit*¹⁷⁹¹, ale...), w lichtarzu na komodzie paliły się aromatyczne świece, a różowawe lampy rzucały ciepłe światło na bladawego ojca i jego dorodnego potomka.

W ten malowniczy obraz wdarł się nagle ostry dźwięk telefonu.

Mati poderwał się jak oparzony i bezszelestnie niczym duch pobiegł do stojącego w korytarzu aparatu. Kto miał czelność? Przecież znajomi i rodzina wiedzieli, że to pora drzemki! Jeżeli to jakiś pieprzony akwizytor telefoniczny, już on da mu popalić... Żeby w niedzielne popołudnie...

W okamgnieniu znalazł się przy aparacie i zanim telefon dryndnął po raz drugi, szybko podniósł słuchawkę.

– Halo – rzucił oburzonym głosem, dłonią zakrywając słuchawkę, by nie zbudzić maleństwa.

Po drugiej stronie panowała cisza. Może ktoś źle się połączył?

– Halo – szepnął ponownie, nie ukrywając wściekłości.

W słuchawce panowała cisza, a jednak Mat nie odkładał. Miał dziwne wrażenie, że po drugiej stronie linii ktoś był. Zrobiło mu się zimno.

Czekał jeszcze, ale nikt się nie odezwał. Po kilku sekundach dał się słyszeć sygnał przerwania połączenia.

Wstrząsnął nim nagły dreszcz.

A jeśli to ona?

Ale skąd miała numer domowy?

Zdenerwowany, powoli wrócił do dziecka i po cichu usiadł w fotelu. Jego stopa podjęła miarowe kołysanie, ale mózg pracował intensywnie.

Skądże pomyśl, że to ona?... Nie będzie znów popadał w paranoję. Jeżeli nakabluje w firmie o łapówkach, Mati spotka się z Duchamps'em i wyjaśni mu to po męsku. Że baba go molestuje, że się go czepia, że się mści za brak zainteresowania i tak dalej. Duchamps prędzej pogoni cały Guy, niż pozbędzie się dyrektora z takimi wynikami. Mati, mimo rozdrażnienia, bujał kołyską jednostajnie jak maszyna. Z konsolki wziął termos z kawą, nalał sobie kolejną filiżankę i nerwowym ruchem wypił pół kubka na raz. Cholera jasna, w nocy spał nie dłużej niż trzy godziny, bo maleństwo ryczało jak tur.

Nagle przestał poruszać kołyską. Usiadł wyprostowany i zapatrzył się w przeciwległą ścianę niespokojnym, niewidzącym wzrokiem.

A co, jeśli chciała dodzwonić się do jego żony?

Próbował się uspokoić, lecz nie mógł się opędzić od tej myśli, natarczywej jak krząjący wokół głowy giez. Jeżeli z zimną krwią przyczepiła mu podsłuch i świsnęła zegarek, to faktycznie była zdolna do wszystkiego.

No i jeśli to ona dzwoniła – do domu! – to na dodatek była chora, szurnięta.

Maleństwo mlasnęło przez sen. Mati znów bujał kołyską, wpatrując się w gęstniejący mrok.

Dziecko nie przestawało się wiercić. Kręciło się, otwierało buzię. Zgłodniało!

Poderwał się i cicho ruszył do kuchni. Karola zostawiła w lodówce odciążony pokarm. Wyjął go i wsadził do napełnionego wodą podgrzewacza. Ustrojstwo włączyło się automatycznie. Dobrze. Trzy minuty i pokarm będzie miał idealną temperaturę.

Mateusz stał oparty o blat i gapił się bezmyślnie przed siebie, gdy znów rozległ się dźwięk telefonu.

Żeż kurwa mać! W dwóch skokach znalazł się przy aparacie.

– Halo – rzekł cicho i groźnie. Nie da się zastraszyć świrniętej wariatce. Znów w słuchawce panowała przedłużająca się cisza i znów Mat dałby sobie głowę uciąć, że ktoś był po drugiej stronie linii.

– To ty! Wiem, że to ty! – zdecydował się nagle i zamarł w oczekiwaniu. Naprawdę czuł... Wiedział! Wiedział, że to była ona. – Nie przestraszysz mnie. Nic na mnie nie masz, a moja żona o wszystkim wie. Ośmieszasz się, idiotko – syknął i odłożył słuchawkę.

Jeśli to rzeczywiście była ona, czy kupi zaserwowane jej kłamstwo? Nie był tego w stu procentach pewien, choć sam sobie pogratulował przytomności umysłu.

Pędem wrócił do kuchni, by wyciągnąć mleko z podgrzewacza. Niemowlę już głośno kwękało, dopominając się obiadu.

– Tatusz już idzie! – zaświergotał, jednocześnie kropiąc mlekiem wewnętrzną stronę nadgarstka, by sprawdzić temperaturę. Kurwa, ależ gorące. A wszystko przez tę sukę! Żeby szlag ją trafił!

Trzęsącymi się rękami wsadził butelkę pod kran, chcąc ją ostudzić, a wtedy butelka potoczyła się do zlewu. Wprost w kłębiące się tam mikroby.

Zaciskając zęby, zdjął skażony smoczek i nerwowo kręcił się po kuchni, usiłując zlokalizować wyparzacz. Przyrząd stał po drugiej stronie kuchni, zupełnie nie tam, gdzie powinien. A maleństwo wrzeszczało już wniebogłosy. Mati wydezynfekował nowy smoczek i nakręcił go na butelkę.

Czując, że cały jest spocony, puścił się biegiem do wyjącego głodomora. Ostrożnie wyciągnął go z kołyski, po czym wsunął w łapczywą mordkę gumowy cycek. Węclătko zassało, zakrztusiło się, kaszlnęło. Mat już chciał poderwać się, by obrócić dziecko do góry nogami, gdy znów zaterkotał telefon. Szczęśliwie dziecina przestała parskać, więc Mati opadł na kanapę i znów wsunął smoczek w żarłoczny otworek gębowy.

Na telefon nie zwracał już uwagi, uśmiechał się do synka, jednak zaciskał zęby tak mocno, że zdrętwiały mu żuchwy. Dziecko wypilo całą butelkę, więc podniósł małego, by mu się odbiło. Poklepując jego plecki, podszedł do gniazdka i stopą wyszarpnął kabel telefoniczny ze ściany, po czym dużym palcem u nogi ukrył jego koniec za stojącym w holu fotelem do nakładania butów.

Niespokojnie przeszedł się po mieszkaniu, poklepując małe ciałko i wyciągając kable telefoniczne ze wszystkich gniazdek.

Internet siadł. Tak powie Karoli, gdy tylko tamta wróci.

Karola nie wnikała w technologię.

Jutro wezwie specja i zmienią numer telefonu. Tak będzie dobrze. To powinno załatwić sprawę.

Maleństwo znów zaczęło przysypiać, więc zaniósł je do łóżečka i podłączył aparat monitorujący oddech. Potem wziął odbiornik i upewnił się, że działa. Przechodząc przez korytarz, upewnił się jeszcze, że wyjęta wtyczka jest upchnięta głęboko za meblem.

Była głęboko. Była niewidoczna. Podśpiewując, wszedł jeszcze do „studia”, gdzie mieli duży stacjonarny komputer. Tam też wyciągnięty kabel nie był widoczny. W porządku. Wszystko było w porządku.

Zerknął na odbiornik. Żółta czujka świeciła się wraz z naciskiem na materac, dając znać, że mały oddycha. Okej, okej. Już było okej.

Poszedł do kuchni i sprzątnął rozlane mleko oraz wyrzucone ze sterylizatora akcesoria dziecięce. Dopiero wtedy zauważył, jak cholernie trzęsły mu się ręce.

Usiłując nad tym zapanować, po raz wtóry włączył *Eine Kleine Nachtmusik* Mozarta. *Mała nocna serenada*. Wesoła muzyczka, lecz gdy Mozart ją pisał, przygniatało go cierpienie, kłopoty. Nadchodziło najgorsze.

Utwór beztroski, jakże pozornie.

Mati dobitnie to teraz czuł.

Będzie okej – powtarzał sobie jak mantrę, znów rozsiadając się w fotelu. – Już teraz wszystko będzie okej.

Przypisy

[1] Spółki typu *offshore* są zakładane w tzw. rajach podatkowych, gdzie nie płaci się podatków od dochodów lub podatki są znacznie niższe. W takich spółkach rzeczywisty właściciel (*ultimate beneficial owner*) może być ukryty, czyli nieujawniony w rejestrze handlowym.

[2] *Juice* – skrót od ang. *Join us in creating excitement* – „Dołącz do nas w tworzeniu podekscytowania”. Metoda motywacji dorosłych do sprzedaży usług, produktów czy promocji. Szeroko stosowana w wielu firmach, a polegająca na porannej zbiórce pracowników i grupowym zagrzewaniu do „ruszenia na klienta”.

[3] *Cluster* (ang.) – skupisko. Wielkie korporacje bywają podzielone na klustery – rejony połączone wspólnym zarządzaniem, dostawcami, strategią itd.

[4] *Headquarters* (ang.) – kwatery główna, główny zarząd korporacji.

[5] FMCG – skrót od ang. *Fast Moving Commodity Goods* – dobra szybko zbywalne.

[6] OIRP – Okręgowa Izba Radców Prawnych.

[7] Od ang. *split* – rozdzielenie, podział.

[8] Od ang. *deal* – interes.

[9] *Alors...* (fr.) – No, idziemy.

[10] *Ça va...* (fr.) – W porządku.

[11] *Je suis...* (fr.) – Zostałem sam z panem Nejmanem, a on nie zna francuskiego. Panie Nejman, to moi koledzy.

[12] *Quot...* (łac.) – Ile głów, tyle opinii.

[13] *Due diligence* (ang.) – sprawdzenie całego stanu prawnego spółki w celu wykrycia ewentualnych zagrożeń, takich jak potencjalne roszczenia (utajone długi, pożyczki).

[14] Kedyw – Kierownictwo Dywersji Armii Krajowej.

[15] *In house* (ang.) – wewnętrzny prawnik.

[16] Od ang. *purchase order* – zamówienie zakupu.

[17] Od ang. *brief* – skrót. Zbriefować – w żargonie korporacyjnym: zwięźle przedstawić najistotniejsze informacje.

[18] Od ang. *update* – uaktualnienie. Update – w żargonie korporacyjnym: spotkanie lub dokument, mające na celu doinformowanie wszystkich tak, by byli „na bieżąco”.

[19] Od ang. *meeting* – spotkanie.

[20] Od ang. *pitch* – przetarg agencji reklamowych.

[21] *In toto* (łac.) – w całości.

[22] *Kick back* (ang.) – slangowe: odpalić. Łapówka „od zlecenia”.

[23] *Account* (ang.) – klient. Tu: kierownik odpowiedzialny za kontakt z klientem.

[24] Od ang. *twist* – wykręcić. Moment w reklamie, kiedy następuje zakończenie inne od spodziewanego.

[25] Od ang. *pay off* – tekst na końcu filmu reklamowego, komunikujący największą zaletę produktu dla konsumenta.

[26] Od ang. *umbrella* – parasol. Tu: marka parasolowa, czyli nadrzędna marka oferty firmy.

[27] Od ang. *subbrand* – osobna marka.

[28] *Tone of voice* (ang.) – ton przekazu.

[29] *Fun* (ang.) – frajda.

[30] Od ang. *charge* – naliczać koszty.

[31] Od ang. *beneficial owner* – faktyczny właściciel spółki offshore’owej, nieujawniony w rejestrze handlowym.

- [32] *This...* (ang.) – Tę część interesu biorę na siebie.
- [33] *Spiritus movens* (łac.) – w tym kontekście: główny sprawca.
- [34] *Look...* (ang.) – Spójrz pan. Agios Ioannis tou Theologou. Słynny kościół.
- [35] *Very...* (ang.) – Bardzo pięknie w środku.
- [36] *I am...* (ang.) – Jestem tu w interesach. Nie w celach turystycznych.
- [37] *Nervous...* (ang.) – Zdenerwowany, co?
- [38] *Pardon...* (ang.) – Słucham?
- [39] *You are...* (ang.) – Jedzie pan do „Klubu Kalispera”? W interesach? Cha, cha.
- [40] *Wait... I have...* (ang.) – Czekaj pan. Muszę kupić kwiaty. Kwiaty, rozumie pan?
- [41] *Flowers... Yes, sir....* (ang.) Kwiatki, ajajaj! Tak, proszę pana, Zatrzymujemy się. Pan kupić kwiaty.
- [42] *Hey...* (ang.) – Hej! Ja się tu spotykam z kobietą, ok?
- [43] *In...* (ang.) – W „Kalisperze” nie ma kobiet. Tylko mężczyźni.
- [44] *Yes... You...* (ang.) – Tak. Pan Quadropoulos, jak mniemam.
- [45] *Follow...* (ang.) – Proszę iść za mną.
- [46] *Do you...* (ang.) – Czy ma pan pieniądze?
- [47] *I have...* (ang.) – Mam pieniądze.
- [48] *Not... First...* (ang.) – Nie tak szybko, przyjacielu. Najpierw podaj mi nazwisko.
- [49] *Relax... People...* (ang.) – Spokojnie, przyjacielu... Ludzie patrzą.
- [50] *Nobody's...* (ang.) – Nikt nie patrzy. Mam pieniądze, jak ustaliliśmy. A teraz podaj to pieprzone nazwisko.
- [51] *Call option* (ang.) – umowa, na podstawie której uprawniony może w każdej chwili zażądać przeniesienia na niego udziałów w spółce.
- [52] *Success fee* (ang.) – wynagrodzenie wypłacane w razie wygranej sprawy. Dosłownie: opłata od sukcesu.
- [53] *Draft* (ang.) – brudnopis, pierwsza wersja dokumentu.
- [54] *Take...* (ang.) – dosłownie: Weź to albo zostaw, czyli albo akceptujesz taki układ, albo nie ma porozumienia.
- [55] *Merge* (ang.) – połączenie, unifikacja.
- [56] *Ambient marketing* (ang.) – wszelkie formy marketingu niestandardowego, np. ustanawianie trendów (mody, stylu życia).
- [57] *BTL* (ang.) – skrót określenia oznaczającego działania reklamowe skierowane do konkretnego klienta, a niebędące reklamą w środkach masowego przekazu. Np. ulotki, artykuły sponsorowane itd.
- [58] *Namely...* (ang.) – A dokładnie mówiąc, ty, kochanie.
- [59] Od ang. *prospect* – widoki, perspektywy.
- [60] *General manager* (ang.) – dyrektor zarządzający, naczelny.
- [61] *Hogwash* (ang.) – bełkot, słowa bez znaczenia.
- [62] *I rest...* (ang.) – Powyższe słowa potwierdzają moją teorię. / Nie ma już nic do dodania.
- [63] *We work...* (ang.) – Harujemy jak woły. Dosłownie: odpracowujemy sobie tyłki.
- [64] *Face...* (ang.) – twarzą w twarz.
- [65] *Common...* (fr.) – jak to mówią.
- [66] *Ad rem* (łac.) – do rzeczy.
- [67] Od ang. *shooting* – kręcenie filmu reklamowego.
- [68] *Qui...* (franc.) – Nie pojmuję, czego chcesz?
- [69] *Putain...* (franc.) – cholera jasna!

- [70] *Ferme...* (franc.) – zamknij się! Kurczę!
- [71] *Tabula rasa* (łac.) – niezapisana tablica.
- [72] *Nick* (ang.) – pseudonim internetowy.
- [73] Od ang. *update* – aktualizować, dostarczyć najświeższych informacji.
- [74] *Tu es...* (fr.) – jesteś szalony.
- [75] *Core values* (ang.) – fundamentalne wartości.
- [76] *Emergency* (ang.) – nagły wypadek.
- [77] *Corpus delicti* (łac.) – dowód rzeczowy.
- [78] *Expat* (ang.) skrót od *expatriate*. Osoba pracująca i mieszkająca poza granicami swojej ojczyzny. W korporacji: osoba na kontrakcie w zagranicznej filii firmy.
- [79] *Bullshit* (ang.) – gówno prawda.

